

Krucjata

Robyn Young

Książka II z Bractwo



calibre 0.9.27

Young Robyn

Krucjata

Bractwo Tom 2

1

Dzielnica wenecka w Akce, Królestwo Jerozolimskie Dwudziesty ósmy dzień września roku

Pańskiego 1274

Ostrza mieczy kreśliły zamaszyste luki, zderzając się z donośnym brzękiem, raz, jeszcze raz, i jeszcze. Każdy kolejny cios był coraz gwałtowniejszy, brutalny impet groził wytrąceniem broni z rąk walczących. Słońce prażyło zapylone czerwone płyty dziedzińca i głowy dwóch mężczyzn tańczących wokół siebie w pojedynku.

Żaden z przeciwników nie nosił zbroi. Niższy pocił się obficie, siwe włosy przylgnęły mu do czaszki, przemoczona koszula do pleców. Zęby miał zaciśnięte, na twarzy wyraz najwyższego skupienia. To on atakował częściej; co rusz po kilku błyskawicznych paradach wyprowadzał

pchnięcie, które mogło przeszyć na wylot pierś przeciwnika. Ale jego ruchy stawały się

stopniowo coraz bardziej nerwowe; w precyzyjnych, silnych ciosach dało się wyczuć rozpacz, jak gdyby każdy miał być ostatnim. Mężczyzna czuł, że długo już nie wytrzyma. Był

zmęczony, a jego wysoki, atletycznie zbudowany przeciwnik bez wysiłku odpierał każde

uderzenie. Im bardziej zaś gorączkowo uwijał się niższy szermierz, tym szerzej uśmiechał się wyższy. Jego uśmiech przywodził nieco na myśl pysk rekina, rozwarty, by rozedrzeć ofiarę.

On także był zmęczony, ale nie ulegało wątpliwości, że dobrze się bawi.

Po kilku kolejnych dynamicznych paradach Angelo Vitturi zaczął się jednak nudzić. Było mu gorąco, piekła dłoń otarta przez skórzaną opłotkę rękojęści. Kiedy niższy mężczyzna znów natarł, Angelo zwinnie zrobił unik, złapał go za rękę i wykręcił ją brutalnie, przystawiając do gardła przeciwnika smukłe ostrze własnego miecza, w którego głowicę wprawiony był wielki przejrzysty kryształ górski. Pokonany wydał zduszony jęk, po części ze złości, po części z bólu w wykręconym nadgarstku.

li

Twarz Angela, spocona, lecz rozpromieniona dziecinną zgołą, drwiącą uciechą, stwardniała od zimnej wzgardy.

Wynoś się. — Puścił rękę mężczyzny i odstawił miecz, opierając go

niski murek wirydarza.

Siwowłosy mężczyzna stał, dysząc ciężko otwartymi ustami. Pot ściekał mu z nosa. Angelo podszedł do sługi, który czekał nań w rogu dziedzińca nieruchomo jak posąg. Wziął od niego puchar wina z

wodą i wychylił go jednym haustem. Potem obrócił się do oszołomionego

przeciwnika.

Kazałem ci wyjść.

Mężczyzna przez chwilę zbierał się na odwagę.

A... zapłata, panie?

Zapłata?

Za lekcję. — Pod twardym spojrzeniem czarnych oczu Wenecjani- na mężczyzna spuścił wzrok.

Angelo wybuchnął śmiechem.

A za cóż miałbym ci dać choć miedziaka? Nauczyłeś mnie dziś czegokolwiek? Kiedy zechcę się pośmiać, najmę wesołków. — Odstawił puchar na tacę. — Odejdź, nim postanowię

dokończyć pojedynek. Stracisz wówczas więcej niż tylko zapłatę. — Odwróciwszy się

plecami, podniósł przerzuconą przez murek czarną aksamitną suknię bramowaną gronostajem i włożył ją na siebie.

Nauczyciel fechtunku, pokonany, zabrał swój płaszcz i ruszył do wyjścia ze szkarłatnymi wypiekami na twarzy.

Angelo dopinał właśnie pas ze srebrnych kółek, kiedy w drzwiach dworu pojawiła się

dziewczyna. Jak wszystkie domowe niewolnice miała na sobie cienkie białe giezło zebrane w pasie sztywną złotolitą krajką

włosy okryte zawojem. Ujrawszy Angela, zbliżyła się ze spuszczonej oczyma,

przybierając ostrożny, nijaki wyraz twarzy.

Pan mówi, goście są. — Trudno ją było zrozumieć; z trudem wymawiała słowa w obcym jej języku. — Prosi, pan przyjsć.

Angelo jednym płynnym ruchem wetknął miecz do wiszącej u pasa pochwy. Szczęk głowni przyprawił dziewczynę o wzdrygnięcie. Nie patrząc na nią, ruszył do pałacu. Niewolnica skwapliwie usunęła mu się z drogi.

Mając lat dwadzieścia osiem, Angelo był najstarszym synem Veneria Vitturiego i spadkobiercą rodzinnego interesu, założonego jeszcze przed trzecią krucjatą przez jego pradziada, Vittoria. Często widywano go na targu niewolników w Akce, gdzie sprzedawał „nadwyżki” — tych ludzi, których nie odsyłano do Wenecji. W czasach gdy interes kwitł, a Wenecja panowała na Morzu Czarnym, rodzina Yitturich zmonopolizowała mongolskie pogranicze, skupując najładniejsze dziewczęta dla europejskich nobiliów i najsilniejszych chłopców dla mameluckiej armii Egiptu. Kiedy jednak szlaki czarnomorskie opanowali Genuńczycy, Vitturi z dużym trudem, jako jedni z nielicznych, utrzymali się na rynku. Żywy towar trzeba było teraz ściągać przez Morze Czerwone.

Najpiękniejsze dziewczęta Venerio zatrzymywał dla siebie. Miały zwykle od jedenastu do szesnastu lat — filigranowe Mongołki o owalnych twarzyczkach i lśniących czarnych włosach lub Czerkieski, w których młodych buziach dawały się już dostrzec wyraziste rysy dojrzałych piękności, charakterystyczne dla ich rasy. W ciągu ubiegłych dziesięciu lat rodzina gwałtownie się powiększyła, zaś Angelo gotował się z wściekłości na widok każdego ślicznego smagłego noworodka, którego prezentowano domownikom. Żaden nie przypominał pulchnej żony Veneria. Choć dziewczęta, które ojciec brał do łóżka, pozostawały niewolnicami, ich potomstwo chowano jako ludzi wolnych, chrzczono i kształcono. Angelo mógł zrozumieć, że ojciec ulega pokusie skorzystania z młodych egzotycznych ciał; sam ich próbował, i to z zadowoleniem. Nie potrafił jednak pojąć, dlaczego Veneno uznaje bękarty, obrażając tym swoich prawowitych potomków. Już dawno postanowił, że gdy on zostanie głową rodziny, to się zmieni. Jeśli rzecz jasna w owym czasie będą jeszcze mieli cokolwiek na własność. Ubiegły rok nastrojał do najgorszych przeczuć. Angelo odsuwał je od siebie; jeśli plan się powiedzie, oznaczać to będzie koniec zmartwień.

Ruszył długim korytarzem ozdobionym białą-błękitną mozaiką. Podwójne drzwi z ciemnego drewna prowadziły do przestronnej, wykwintnie urządzonej komnaty. Kiedy wszedł, obejrzało się na niego czterech mężczyzn siedzących wokół dużego ośmiokątnego stołu.

Angelo znał ich wszystkich. Był tu słynny płatnerz Renaud z Tours, łysiejący mężczyzna w średnim wieku, który dostarczał zbroje królowi Francji i jego najświetniejszym rycerzom podczas obu nieudanych krucjat Ludwika. Obok, ułożywszy na stole ciasno splecione dłonie, siedział smagły, szczupły Michał Pizańczyk specjalizujący się w handlu damasceńskimi

mieczami — jednymi z najlepszych główni, jakie znał świat. On także zaopatrywał możnych Zachodu na każdą wojnę. Miał silny oddział zbrojnych najemników, przy pomocy których siał terror wśród konkurentów, odbierając im lukratywne kontrakty. Trzecim z gości, o opalonej twarzy i włosach barwy piasku, był Konrad z Bremy — miasta należącego do Hanzy, potężnej konfederacji miast niemieckich rządzącej handlem na Bałtyku. Zawarłszy zyskowną umowę z zakonem krzyżackim, Konrad zbił majątek na hodowli i sprzedaży bojowych rumaków. Niewinne błękitne oczy i leniwy uśmiezek Niemca mogły na pozór świadczyć o dobroduszości, szeptano jednak, że kazał zgładzić własnych braci, by zawładnąć rodzinnym majątkiem. Czy były to tylko złośliwe plotki rozpuszczane przez zazdrosnych konkurentów — tego nikt nie wiedział na pewno. Z kolei tęgi spocony mężczyzna odziany mimo upału w ciężką przetykaną złotem szatę nazywał się Guido Soranzo i był zamożnym genueńskim skutnikiem. Ich twarze znane były wszystkim kupcom w Akce, wraz bowiem z głową rodu Vitturich stanowili handlową elitę pośród Europejczyków w Ziemi Świętej.

Z przyległej komnaty wyszedł piąty mężczyzna, a za nim, niby ogon komety, trzy młodziutkie niewolnice w bieli. Niosły srebrne tace, na nich zaś dzbany różowego wina, puchary i cynowe misy pełne ciemnych winogron, purpurowych fig i migdałów oprószonych cukrem.

To mój syn — przedstawił Angela siedzącym wokół stołu mężczyznom. Głos miał niski i chrapliwy. Będąc znacznej tuszy, poruszał się jednak zwinnie, co zawdzięczał lekcjom fechtunku. Pasowany na rycerza przez dożę Wenecji Venerio, ongiś radca republiki, był szlachcicem w czwartym pokoleniu, musiał więc radzić sobie z mieczem. Dziewczęta otoczyły go półkolem, czekając, aż usiądzie, nim zaczną rozstawiać misy i dzbany. — Angelo jest zręcznym kupcem i świetnym szermierzem.

Potrzebny mi nowy nauczyciel — wtrącił Angelo.

Już? Zwolniłeś dwóch w ciągu dwóch dni. Może niepotrzebne ci już lekcje.

Nie takie, jakich mogłyby mi udzielić ofiermy, z którymi walczyłem w tym tygodniu.

Mniejsza z tym. — Venerio rzucił okiem na milczących gości.

Dziś mamy do omówienia sprawę znacznie większej wagi.

Przyglądając się kupcom, Angelo uśmiechnął się pod nosem. Pod maskami wystudiowanej

obojętności dostrzegł zmieszanie, zniecierpliwienie, a w przypadku Soranza ledwie tajoną wrogość. Żaden z nich nie wiedział, po co został tu zaproszony. Wkrótce miało się to okazać.

Guido otarł czoło zmiętą jedwabną chustą wydobytą z rękawa złotolitej szaty i odezwał się pierwszy:

A jakież to sprawy? — Zmierzył gospodarza zaczepnym spojrzeniem. — Po co nas tutaj zebrałeś, Venerio?

Napijmy się wpierw. — Vitturi bez trudu przeszedł na genueński dialekt. Pstryknął palcami i dwie niewolnice zaczęły nalewać wino.

Guido wszakże nie miał ochoty tańczyć, jak mu zagrają. Nie zadając sobie trudu, by przez uprzejmość dla gospodarza mówić dialektem weneckim, ciągnął w rodzimym języku:

Nie mam ochoty na twoje wino, dopóki się nie dowiem, dlaczego tu jestem. — Okrągłym gestem mięsistej dłoni objął bogato urządzoną komnatę. — Chciałeś się przede mną pochwalić?

Zapewniam cię, że nie jestem aż tak małostkowy.

Spokój Wenecjanina podsycił tylko wściekłość Guida.

Siedzisz tu w pałacu mojego rodaka niczym barbarzyńca, który stroi się w ozdoby swej ofiary!

To nie Wenecja rozpoczęła wojnę, w której wyniku Genueńczycy zostali wygnani z Akki.

Klasztor świętego Saby nam się należał! Broniliśmy swoich praw!

Usta Veneria zacisnęły się w wąską linię.

A kiedy już zdobyliście klasztor, czy nadal broniliście tylko swego? Szturmując naszą

dzielnicę, rabując domy, zabijając ludzi i paląc statki w porcie? — Venerio zaczerpnął tchu i twarz znów mu się wygładziła, głos wrócił do normalnego tonu. — Zachowałeś swój pałac,

nieprawdaż? Skorzystałeś na tej wojnie tak samo jak ja, Guido. W przeciwieństwie do większości twoich ziomków wciąż zbijasz majątek w Akce. Zresztą znów wolno się wam tu osiedlać.

Gdzie? Na tym skrawku ruin, który zostawili nam Wenecjanie?

Przyjaciele—wtrącił Konrad rozwlekłą, ciężko akcentowaną włoską mową. — Wojna o

Świętego Sabę skończyła się czternaście lat temu. Pozwólmy umarłym spoczywać w pokoju.

Ja tam chętnie przepłukałbym gardło. — Wskazał napełnione puchary, patrząc w oczy Guida.

— Czy musimy spierać się o stare bitwy trzeźwi i spragnieni?

Dobrze powiedziane! — Michał Pizańczyk uniósł puchar do ust.

Naburmuszony Guido zamilkł, złapał puchar i pociągnął z niego długi

łyk.

Panowie... — Venerio pochylił się do przodu; granatowy jedwabny burnus, długa szata z kapturem noszona przez wielu europejskich osadników, napiął mu się na szerokich plecach.

— Dziękuję wam, że przybyliście na moje zaproszenie. Rozumiem, że musiało was

zaskoczyć. Nie łączą nas więzy przyjaźni. Przeciwnie, w różnych okresach nieraz

znajdowaliśmy się po przeciwnych stronach. Ale teraz, być może po raz pierwszy, wszyscy mamy ze sobą coś wspólnego. — Zawiesił głos, patrząc im kolejno w oczy.

Wszyscy przedziemy coraz cienie.

Zapadła cisza.

Pizańczyk rozplótł długie smukłe dłonie, odchylił się w tył i po chwili znów przybrał poprzednią pozycję. Konrad się uśmiechnął, lecz w jego utkwionych w gospodarzu oczach malowała się powaga.

Po chwili dal się słyszeć dzwięczny niczym sygnaturka głos Renauda.

Mylisz się, Venerio. W moim fachu nie grozi mi głód. — Płatnerz wstał. — Dzięki ci za

gościnność, ale wątpię, abym miał o czym z wami rozmawiać. Życzę dobrego dnia — skłonił

się pozostałym.

A kiedyż to ostatnio królowie Zachodu zamawiali u ciebie zbroje?

Venerio zerwał się z miejsca, górując o dwie głowy nad drobnym Francuzem. — Ile czasu

minęło, odkąd ekwipowałeś armie? A ty, Konradzie? — zwrócił się do Niemca. — Ile koni

kupili od ciebie w tym roku rycerze Maryi Panny? Kiedy zamówił u ciebie stado jakiś król albo książę?

Nie twoja sprawa. — Uśmiech zniknął z warg Niemca.

Venerio zwrócił się do Guida, który patrzył na niego z jawną nienawiścią.

Doniesiono mi, że twoje warsztaty szkutnicze stoją już od wielu miesięcy. Zarówno tu, jak w Tyrze.

Nie do wiary! — warknął Guido. — Mogłeś sobie ukraść genueński pałac, Venerio, ale przysięgam Bogu, że nie będziesz miał moich warsztatów! Nie sprzedam ci ich, choćbym miał żyć w rynsztoku bez koszuli na grzbiecie!

Wcale ich nie chcę. Nikogo z was nie mam zamiaru ograbić. — Venerio powiódł wzrokiem po zgromadzonych. — Sam jestem w ciężkim położeniu.

Guido prychnął z niedowierzaniem.

Ojciec mówi prawdę — odezwał się posepnie Angelo. — Jeśli nasze zyski będą nadal spadać

w tym samym tempie co przez ostatnie dwa lata, nie będzie nas stać na utrzymanie tego

domu, który jest ci taką solą w oku, Guido. Już musieliśmy zwolnić część płatnych sług. W

ciągu ubiegłych dwunastu miesięcy zarobiliśmy tyle co kot napłakał. W przeszłości największy dochód mieliśmy z mameluków, ale odkąd Bajbars rozpoczął kampanię przeciw naszym

siłom w Palestynie i Mongołom w Syrii, ma pod dostatkiem niewolników. Podobno w samej

Antiochii wziął czterdzieści tysięcy jeńców. To, w połączeniu z zawartym rozejmem,

oznacza, że nie musi kupować ludzi, żeby zasilić armię.

Venerio kiwał z powagą głową, przytakując słowom syna.

Na przestrzeni stulecia — wtrącił — domy założone przez naszych ojców i dziadów rosły w bogactwa, aż stały się pięcioma potęgami tu, na Wschodzie. Dziś musimy patrzeć, jak

handlarze cukrem, bławatami i korzeniami zajmują nasze miejsce... — Venerio dziabnął w

stół palcem

i kradną nasze zyski.

Renaud przysiadł na brzegu krzesła, wciąż gotów wyjść.

To był kiepski rok dla nas wszystkich — przyznał Michał Pizańczyk.

Nie taję, że i dla mnie. Ale nie rozumiem, jaki sens ma wyciąganie tu na światło dzienne spraw prywatnych. Nic nie możemy zrobić.

Przeciwnie, możemy. — Venerio usiadł z powrotem. — Jeśli będziemy działać wspólnie, możemy odmienić nasz los. Zapał krucjatowy na Zachodzie słabnie, a na Wschodzie mameluków wiąże rozejm. Oto przyczyna naszych strat: traktat pokojowy zawarty dwa lata temu między sułtanem Bajbarsem a Edwardem, królem Anglii. — Wenecjanin przeciągnął dłonią po schludnie przystrzyżonych szpakowatych włosach. — Zarabiamy na wojnie, panowie, a tej nie ma.

Guido znów prychnął.

I co proponujesz, Venerio? Wszczać wojnę?

Właśnie tak.

Cóż za brednie! — wykrzyknął Genueńczyk. Pozostali również wyglądali na zaskoczonych.

Wojna jest nam niezbędna, Guido — rzekł spokojnie Venerio.

Potrzebujemy jej, żeby przeżyć.

Potrzebujemy zbytu!

Tuczemy się krwią, panowie. Każdy z nas tu obecnych wzbogacił się na jej przelewie. Nie udawajmy, że tak nie jest.

Szkutnik otworzył usta, lecz Pizańczyk nie pozwolił mu dojść do głosu.

Czekaj, Guido. Niech mówi.

Bywały już okresy — ciągnął Venerio — gdy traktaty pokojowe powodowały zastój w

naszych interesach, ale ubiegły rok, chyba się zgodzicie, był wyjątkowo zły. Straciliśmy wiele szlaków i placówek handlowych odebranych nam przez Egipt w minionej dekadzie. Dziś, gdy spośród miast wartych wzmianki Bajbars zostawił nam jedynie Akkę, Tyr i Trypolis,

konkurencja między nami a młodszymi rywalami robi się coraz bardziej zawzięta.

Michał pokiwał głową.

W dodatku wielki mistrz templariuszy otrzymał zgodę na budowę floty

wschodniośródziemnomorskiej. Konkurencja nasili się jeszcze bardziej.

To będzie flota wojenna — wtrącił Renaud. — Tak postanowiono na soborze w Lyonie. Z

tego co wiem, wielki mistrz chce zablokować morskie szlaki handlowe z Egiptu, osłabiając w ten sposób saraceński handel. Papież nie wyraziłby na to zgody, gdyby chodziło o wygodę kupców. Zakony rycerskie są jego ostatnią nadzieją na odzyskanie Jerozolimy i ziem

zajętych przez Saracenów. Wątpię, by pozwolił templariuszom wykorzystywać tak cenną siłę tylko na to, by mogli mościć się w puchach.

Robią to od lat. — Konrad wzruszył ramionami. — Teraz pewnie zechcą te puchy pozłocić.

Na razie jeszcze nie musimy się tym martwić — przerwał im Venerio.

Ty w ogóle nie musisz się tym martwić — sarknął Guido i z brzękiem odstawił puchar. —

Wenecja i Templum zawsze idą ręką w rękę. Ja najbardziej ucierpię na tym kontrakcie.

Jakże to, skoro rycerze Świętego Jana weszli w spółkę z Templum?

ile mi wiadomo, nadal wiąże cię z nimi umowa. W istocie spodziewać się raczej należy, że na tym zarobisz!

Wszyscy znamy potężnych rycerzy Świątyni — prychnął Guido

dolał sobie wina, rozchlapując nieco na stół. — Łykną wszystko, nie zostawiając joannitom choćby wiosła!

Skoro tak, domniemywam, że chętnie znalazłbyś inny sposób na ożywienie swoich warsztatów?

Guido zajrzał do pucharu, nie trudząc się odpowiedzią.

Venerio rozejrzał się wokół.

Chcecie, żeby wasze żony musiały żebrac na ulicy? Chcecie wyzbyć się bogactw, sług i

domów? Wyrzycie przez okna: wielu dawnych bogaczy gnije w rynsztokach Akki pospołu z muchami i trędowatymi. Wiecie, ile dzieci kupiłem od głodujących rodziców, gotowych na wszystko, byle utrzymać przy życiu młodsze potomstwo? Chcecie, żeby waszych synów i córki sprzedano na uciechę bogatym emirom?

Jesteś obrzydliwy, Venerio — skrzywił się Renaud. — To jasne, że żaden z nas tego nie chce.

Jeśli pozostaniemy beczynni, taki właśnie los może ich spotkać. Saraceni dotrzymują rozejmu tylko dlatego, że rzucili wszystkie siły przeciw Mongołom. Kiedy będą gotowi, ruszą na nas i wtedy nas zniszczą. Handluję z nimi dość długo, żeby wiedzieć, jak bardzo nas nienawidzą, jak bardzo chcą się nas stąd pozbyć. Tymczasem w oczekiwaniu na ten dzień, który wierzcie mi, nadejdzie, siedzimy z założonymi rękami, biedniejąc z dnia na dzień.

Musimy sami zapewnić sobie przetrwanie, zanim stracimy wszystko.

Konrad wziął z tacy kiść winogron i wrzucił jedno do ust.

Zaciekawiasz mnie, Venerio. Umyśliłeś sobie zerwać rozejm z sułtanem? A można wiedzieć, jak? — Wydłubał pestki spomiędzy zębów. — Nasze siły są słabe i podzielone. Trwa walka o tron. Żeby zmusić Saracenów do wojny, trzeba zebrać wielką armię i uderzyć na Egipt!

Mój plan wznieci wojnę w Palestynie — odrzekł szybko Venerio.

Co do tego nie mam wątpliwości. Dla muzułmanów będzie to cios boleśniejszy niż atak na którekolwiek z ich miast. Owszem, do jego przeprowadzenia trzeba będzie rycerzy, ale nie wielkiej armii. Wystarczy mała grupka.

Zamierzasz wyhodować ich w ogródku? — wtrącił kąśliwie Guido.

Chcemy uzyskać pomoc Templum — powiedział Angelo. — Nowy wielki mistrz nigdy nie taił, że pragnie odzyskać ziemie zajęte przez Saracenów. W przyszłym roku przybędzie do Akki, by objąć urząd. Jesteśmy niemal pewni, że da się nakłonić do współdziałania. Plan jest ryzykowny, lecz ten człowiek zdoła dojrzeć płynące zeń korzyści.

Guido spuścił oczy pod jego twardym wzrokiem. Michał Pizańczyk zafrasowany zmarszczył brwi.

Chcecie rozpętać wojnę i co potem? Nie zdołamy jej wygrać. Wojna tylko przyśpieszy

koniec.

Jeśli nawet muzułmanie pokonają naszych, to jeszcze nie będzie koniec — sprzeciwił się Venerio. — Co więcej, twierdzą, że na tym skorzystamy. Wypierając stąd chrześcijan, Saraceni pozbawią nas konkurencji. Nie musimy mieć tu własnych posiadłości, by z nimi handlować. Po nas czeka ich jeszcze wiele bitew, choćby z Mongołami. Będą im potrzebne konie, broje, statki... — Venerio zawiesił głos, czekając, aż jego słowa dotrą do słuchaczy. Michał i Konrad mieli zamyślane miny. — W ostatecznym rozrachunku nie ma znaczenia, kto wygra wojnę. My i tak zarobimy.

A co konkretnie mielibyśmy zrobić, Venerio?—spytał Renaud.

Co proponujesz?

Venerio się uśmiechnął. Teraz byli gotowi poświęcić mu swoją uwagę, słyszał to w ich głosach, widział w oczach. Nawet Guido patrzył nań ze skupieniem.

Wzniósł puchar.

Przyjaciele — rzekł — zmienimy świat!

Dzielnica genueńska w Akce Trzynasty dzień stycznia roku Pańskiego 1276

Marco, co chcesz zrobić?

Puść mnie, Luca — rzekł cicho Marco, usiłując oderwać dłonie chłopca od swojej ręki.

Jestem twoim bratem! Muszę wiedzieć!

W przyległej izbie rozległ się stłumiony kaszel i zza cienkiej zasłony w drzwiach dobiegł głos:

Marco? To ty?

Tak, matko!

Gdzie byłeś?

W pracy.

Za zasłoną rozległo się błogie westchnienie.

Dobry z ciebie chłopak... — Drżący głos przeszedł nagle w gwałtowny atak rżężącego kaszlu, na którego dźwięk przez twarze braci przemknął bolesny skurcz. Ciemne, spłoszone oczy

Luki powędrowały w stronę drzwi.

Idź — ponaglił go szeptem Marco — zanieś jej wody. No, już!

Luca ruszył się z ociąganiem, lecz kaszel ucichł, przeszedł w powolny

świszczący oddech. Ośmielony podniósł wzrok na brata.

Powiem ojcu!

Oczy Marca zwężyły się w dwie szparki. Wyszarpnął rękę z uścisku chłopca, omal go nie przewracając.

Powiedz! — syknął. — I tak cię nie wysłucha. Sam wiesz, że znów będzie pijany jak bela!

Spojrzał na przedmiot sporu, zaciśnięty w prawej dłoni. Śmiertelnie ostry czubek sztyletu wymierzony był w twarz braciszka. Marco powoli opuścił ostrze, rozluźnił zbielełe palce.

Sclavio cię wezwał, tak? — pisnął Luca cichym, żalonym głosem.

Znów dla niego pracujesz. A przysiągłeś, że nigdy więcej. Dałeś słowo!

A co innego mogę zrobić? — warknął z wściekłością Marco.

Jesteśmy Genuńczykami. W Akce to oznacza, że jesteśmy niczym. Wenecjanie i Pizańczycy

wydarli nam wszystko. Tylko Sclavio ma jeszcze dla mnie jakąkolwiek robotę.

Ojciec mówił, że pojedziemy do Tyru. Tam znów będzie pracował, my będziemy mu pomagać, a mama wydobrzeje.

Od dawna tak mówi. To mrzonki.

A może tak będzie. Skąd wiesz, że nie?

Nie do wiary, że wciąż mu wierzysz! — Marco z wysiłkiem zniżył głos. — Odkąd stracił piekarnię, nie dba o nic.

To przecież nie jego wina. Była wojna.

Smarkacz z ciebie i nie wiesz, o czym mówisz — rzekł gorzko Marco.

Miałem sześć lat, kiedy wojna o Świętego Sabę dobiegła końca. Pamiętam, jak było. Ojciec mógł zostawić piekarnię i jechać z innymi do Tyru, zacząć od nowa. Ale był zbyt dumny i zbyt uparty, by pozwolić zwyciężyć Wenecjanom, więc został. Patrzyłem, jak nasza dzielnica pustoszeje i coraz mniej ludzi kupuje u nas chleb. — W oczach młodzieńca błysnął gniew. —

W końcu nie stać nas już było nawet na zbiór zboża czy zmielenie ziarna.

Luca patrzył zboląły na starszego brata.

Genueńczycy zaczynają wracać. Teraz się nam polepszy.

Miną lata, zanim odbudujemy to, cośmy tu mieli, a ojcu nie zależy już na pracy. Dba tylko o wino i dziewczki!

Luca zatkał uszy, ale Marco cisnął sztylet, złapał go za nadgarstki i pociągnął w stronę okna, jak najdalej od alkowy, gdzie wysilony oddech matki przeszedł w rytmiczny poświst. Zasnęła.

A jak sądzisz, gdzie się podziewają pieniądze, które płacą ci z dołu?

zapytał. — Ojciec wynajął dom, żeby móc przesiadywać po szynkach! Otwórz oczy, Luca!

Zostaliśmy we troje: matka, ja i ty. Sami musimy

o

siebie zadbać!

Sclavio to zły człowiek — załkał Luca. — Wracasz z krwią na odzieniu, sam widziałem. I

widzę też, jak ludzie na ciebie patrzą. Boją się ciebie. Mówią, że ciężko grzeszysz.

Nie mam wyboru. Kto, jeśli nie ja, zadba, żebyś miał co jeść, i kupi mamie leki? — Marco ujął chłopca za podbródek, zwilżył śliną kciuk i starł smugę brudu rozmazaną na policzku Luki. — To już ostatni raz. Więcej nie będę pracował dla Sclavia, przysięgam.

Już tak mówiłeś.

Tym razem to co innego. Sclavio zapłaci mi dość, żebyśmy nie musieli martwić się o byt aż do końca roku. Rozejrzę się za inną pracą, choćby w porcie albo przy zbieraniu porannych nieczystości dla ogrodników. Mogę robić wszystko.

Luca zerknął na sztylet, który leżał na podłodze, połyskując mętnie.

Chcesz kogoś skrzywdzić — szepnął.

Marco zacisnął usta.

Jeśli tego nie uczynię, matka nie przeżyje zimy. Puść mnie, Luca. I nic nie mów ojcu. Zrobisz to dla mnie? — Kiedy chłopak nie odpowiedział, Marco dodał prosząco: — Dla mamy?

Dziecko niechętnie skinęło głową. Starszy brat uwolnił się z objęć, uśmiechnął z wysiłkiem i podniósłszy sztylet, wepchnął go do wyświechtanej sakwy między szorstki pled a bochenek twardego chleba.

Kiedy wrócisz? — Luca przyglądał się temu ponuro. Przez okno wpadł zimny, wilgotny wiatr, przyprawiając go o dreszcz. — A jeśli mamie się pogorszy?

Idę do portu. Nie wiem, jak długo będę czekał na statek. Może parę dni, może dłużej. — Po raz pierwszy w głosie Marca słychać było zdenerwowanie. — Wrócę najszybciej jak tylko będę mógł.

Jaki statek?

Wiesz, gdzie są leki. Podaj je mamie, jeśli gorzej się poczuje. Powiedz jej, że pracuję. Ojcu też, jeśli spyta. — Marco niezgrabnie uścisnął brata i wyszedł, zrzucając sakwę na ramię.

Chłopczyk na palcach wszedł do alkowy. Matka leżała na sienniku okryta aż po szyję wytartym kocem. Wyglądała krucho jak zraniony ptak. Przykucnął i dotknął jej czoła. Nie było ani za zimne, ani za gorące. Ucałował policzek suchy jak pergamin, a potem wyszedł, cicho zamykając drzwi za sobą.

Templum w Akce Siedemnasty dzień stycznia

Will Campbell wsparł się dłońmi na parapecie i wyjrzał przez wąskie okno. Widok przyprawiał o zawrót głowy. Daleko w dole fale rozbijały się

o

podstawę sąsiedniej wieży skarbniczej, wysuniętej przed fasadę murów preceptorium.

Ich wściekły łomot wprawiał ściany w drżenie. Znad błękitnego morza wiał lodowaty wiatr.

Will otulił się ciasniej płaszczem, na którym czerwony krzyż odcinał się ostro od białej wełny. Pamiętał zimy

w Szkocji, a potem w Londynie i Paryżu, gdzie spędził młode lata; surowsze od palestyńskich. Ale po ośmiu latach w Ziemi Świętej przywykł do łagodniejszego klimatu i mróz

nieprzyjemnie go zaskoczył.

Zima była ciężka, najdotkliwsza od czterdziestu lat, jak mawiali. Północne wichry dmące znad morza ze świstem przenikały kamienny labirynt świątyni, palatiów i kramów stolicy

krzyżowców, unosząc w górę śmiecie, zrywając ludziom z głów kaptury i czapki, wyciskając łzy z oczu. Lód, który możni sprowadzali latem za złoto z Karmelu, teraz zwisał za darmo z futryn i parapetów; dzieci zrywały i ssały przezroczyste sople. Galery w zewnętrznym porcie unosiły się i opadały na grzbietach bałwanów, które rozbijały się o falochrony i plując mgłą rozdrobnionych kropel, uderzały o Wieżę Much, strażnicę wzniesioną u wschodniej główki

portu. Od kilku tygodni żaden statek nie powążył się wyruszyć z portu i żaden doń nie

wpłynął. Rycerze Świątyni trzymali teraz ciągłą straż na murach od strony morza,

zmrużonymi oczyma przepatrywali zaciągnięty burzowymi chmurami widnokrąg i klnąc na

pogodę, wyczekiwali statku, który miał im wreszcie przywieźć wielkiego mistrza, obranego przed niemal dwoma laty. Wśród rycerzy, księży, serwientów i sług pospołu panował ten sam nastrój gorączkowej niecierpliwości.

Drzwi się otwarły; do komnaty wszedł kolejny, dziesiąty już mężczyzna. Will obejrzał się, słysząc znajomy rżący kaszel. Ewerard z Troyes powłócząc nogami, człapał w stronę

wolnego siedziska, które pozostawili mu tuż przy ogniu. Pomarszczona twarz starego księdza, nawet długa blizna szpecąca mu twarz od ust po czoło przy czarnym habicie, były sinobiałe.

Wysoko na nosie, tak że niemal dotykały przekrwionych białek oczu, zatkniętą miał parę

szkieł. Cienkie pasma siwych już zupełnie włosów wymykały mu się spod kaptura.

Przepraszam za spóźnienie — rzekł, a jego głos, choć słaby, miał w sobie rozkazującą nutę, ściągając natychmiast uwagę zgromadzonych.

Idąc tu, omal nie wyzionąłem ducha. — Ciężko opadł na stołek i spojrzał ze złością na

siedzącego naprzeciw mężczyznę o czarnych, lekko szpakowatych włosach. — Nie

rozumiem, dlaczego musimy się zawsze spotykać właśnie w twojej kwaterze, bracie

seneszału. Owszem, w młodości pokonałbym sto schodów rącho niczym górski kozioł, ale te czasy minęły wiele zim temu.

Uzgodniliśmy, bracie Ewerardzie — odparł sztywno seneszał — że to miejsce będzie

najodpowiedniejsze na spotkania całego bractwa. Tu mogę się posłużyć sposobną wymówką,

jakobyśmy omawiali sprawy Templum. Wątpię, czy byłaby ona skuteczna dla zniechęcenia ciekawskich, gdybyśmy się spotykali w twoich komnatach. W grupie jesteśmy nazbyt liczni, aby takie zebranie mogło ujść niezauważone. Nierozsądnie byłoby dawać powód do podejrzeń.

Po marszałku jesteś najwyższym rangą spośród braci tu, w Ziemi Świętej. Nikt nie ośmieli się kwestionować twoich działań. — Na widok zmarszczki przecinającej czoło seneszala

Ewerard westchnął. — Ale zgadzam się z tobą, musimy być ostrożni.

Zwłaszcza gdy przybędzie nowy wielki mistrz — dodał kwaśno seneszal — i położy srogi

kres wolności, którąśmy się cieszyli przez ubiegłe dwa lata. — Spojrzał wymownie na

pozostałych mężczyzn. — Nie wszyscy z was zakosztowali już ciężaru, jakim jest życie i

praca u boku mistrza, któremu przysięgało się wierność, a którego co dnia trzeba oszukiwać, nawet działać wbrew jego intencjom. Kiedy przystępowaliście do bractwa, kazano wam

złożyć nowe śluby, sprzeczne z tymi, które składaliście wcześniej, wstępując do zakonu.

Kiedy mistrz tu przybędzie, pojmiecie to w pełni i będziecie musieli owo brzemię podjąć. —

Zmierzył ich surowym wzrokiem. — Istnienie Duszy Świątyni trzeba za wszelką cenę

zachować w tajemnicy. Przed siedmiu laty omal nie ujawnili go ludzie, którzy z

nieświadomości i złej woli chcieli nas zniszczyć. Najbliższy błąd może nas kosztować życie.

— Mimowolnie zerknął na Ewerarda.

Stary ksiądz nachmurzył się, wiedząc, że seneszal miał na myśli Księgę Graala.

Nie zapominajcie — ciągnął ten, udając, że nie widzi zmieszania kapelana — że choć nasze cele są godne pochwały, Kościół by je potępił. Gdyby zaś nasi bracia zakonnicy i towarzysze broni wiedzieli, na co idą fundusze zakonu, sami pomagiliby rozpalić stosy.

Will przyglądał się towarzyszom zasłuchanym w słowa seneszala, który wielu z nich

dwukrotnie przewyższał wiekiem, a czterokrotnie godnością. Młody ksiądz z Portugalii, który wstąpił do bractwa parę lat po Willu, trzech niedawno przyjętych rycerzy oraz najmłodszy, dwudziestoletni serwiens, wpatrywali się weń jak urzeczeni. Nawet dwaj starsi rycerze,

którzy współpracowali z seneszalem od lat, wydawali się głęboko przejęci. Ewerard był

głową tajnego związku, lecz seneszal — jego kręgosłupem.

Spotkali się w tym gronie po raz pierwszy od dobrych paru miesięcy. Brakowało tylko dwóch rycerzy, którzy dbali o interesy bractwa w Paryżu i Londynie. Razem — dwunastu, podobnie jak dwunastu było uczniów Chrystusa — tworzyli Anima Templi, Duszę Świątyni.

Will nie był równie jak oni przejęty. Z trudem zmuszał się do współpracy z tym despotycznym człowiekiem, który sprawował nadzór nad sprawami templariuszy na

Wschodzie, zwłaszcza zaś sądownictwem i wymiarem sprawiedliwości wobec rycerzy

zakonnych. Seneszał nigdy nie puścił w niepamięć jego wybryku sprzed pięciu lat i jasno dawał do zrozumienia, iż za złamanie wierności ideałom bractwa — a i zakonnego posłuszeństwa — Will powinien resztę życia spędzić w lochu. Trzeba przyznać, że użył funduszy Anima Templi do zorganizowania zamachu, w którym zginął niewłaściwy człowiek, a przy

tym omal nie zniweczył na zawsze szansy na pokój między muzułmanami a chrześcijanami w

Ziemi Świętej. Will jednakowoż uznał, że dość się już pokajał i w następnych latach bardziej niż wystarczająco dowiódł swej lojalności. Gdyby mógł cofnąć czas i odwołać zlecenie dane asasynom, chętnie by to zrobił. Ponieważ było to niemożliwe, miał tylko nadzieję, że bracia kiedyś wreszcie zapomną i nie będzie musiał pokutować za tamten błąd do końca swoich dni.

Rozpocznijmy tedy — zakończył seneszał, spozierając na Ewerarda, który z nieobecną miną wpatrywał się w ogień. — Wiele bowiem mamy do omówienia.

W istocie. — Sędziwy ksiądz nagle ożył; jego wyblakłe oczy zwróciły się na Willa. — Jako że brat Wilhelm dzisiejszego ranka powrócił z Egiptu, proponuję, aby on zaczął.

Will wstał, czując na sobie wzrok wszystkich zebranych. Spojrzał prosto w oczy seneszala, na którego jastrzębim obliczu malowała się jawna wrogość.

Kilka miesięcy temu brat Ewerard polecił mi zorganizować spotkanie z naszym sprzymierzeńcem wśród mameluków, emirem Kalaunem, aby poznać ich plany na nadchodzący rok. Przed dwunastoma dniami widziałem się z wysłańcem Kalauna na Pustyni Synajskiej.

Wybacz, że przerywam, bracie Wilhelmie — rzekł z wahaniem, zerknąwszy wpierw na

seneszala, jeden z młodszych rycerzy — ale jeśli wolno spytać, dlaczego nie rozmawiałeś bezpośrednio z emirem?

Zanim Will zdążył odpowiedzieć, odezwał się Ewerard:

Kalaun nie chce ryzykować bezpośrednich spotkań. Pod tym warunkiem zgodził się z nami

współpracować, kiedy brat Jakub Campbell nawiązał z nim kontakt. — Książdz nie zauważył, że Will stęzał na wzmiankę

o

ojcu. — Zastrzeżenie dość rozsądne i przezorne. Jako najważniejszy z przybocznych

Bajbarsa, Kalaun jest powszechnie znany; chcąc wyruszyć w podróż, musiałby ją wiarogodnie wytłumaczyć. Jego sługa, o którym mówimy, pośredniczy w wymianie informacji od chwili, kiedy emir został naszym sprzymierzeńcem. Gdyby miał zdradzić, zrobiłby to zapewne już dawno. Mów, bracie — zwrócił się do Willa.

Od podpisania rozejmu z królem Edwardem w Egipcie panuje względny spokój. W ubiegłych miesiącach dwór żył głównie przygotowaniem do zaślubin córki Kalauna z synem Bajbarsa.

Ufamy, że to posunięcie

Will powiódł wzrokiem po młodszych braciach — zbliży Kalauna do następcy tronu, którego chce on sobie podporządkować. Z tego co usłyszałem, wynika, iż Bajbars nie zamierza w

najbliższej przyszłości atakować naszych ziem. Skupia się w tej chwili na zagrożeniu ze strony Mongołów. Są doniesienia, że coraz ciaśniej okrażają oni od północy terytoria marne-luckie.

Młodszy rycerze i giermkowie z ulgą kiwali głowami.

To dobra nowina, bracia — rzekł, patrząc na nich, Ewerard — ale nie wolno nam zapominać, jak krucha to równowaga. W minionych latach zawarliśmy z muzułmanami wiele rozejmów.

Wiele z nich zostało zerwanych. Może się nam wydawać błogosławieństwem, że Bajbars

zwrócił oczy w inną stronę, lecz dla naszej sprawy każda wojna jest ciosem i

zgrzeszylibyśmy, radując się, że dotknie ona inny lud. Naszym celem jest pokój między

wszystkimi ludźmi. — Przygwoździł ich twardym spojrzeniem. — Pamiętajcie o tym.

Brat Ewerard ma słuszość — odezwał się Portugalczyk Velasco, drobny, nerwowy

człowieczek, który mówiąc, unosił brwi, jakby zdumiewały go słowa wychodzące z jego

własnych ust. — I nie tylko muzułmanów trzeba się obawiać. Jeśli pokój, który pomogliśmy zawrzeć, się utrzyma, naszych własnych pobratymców także trzeba będzie oświecić.

Will skrzywił się mimo woli. Wierzył bez zastrzeżeń w cele Anima Templi, ale co bardziej

idealistyczne koncepcje, a w każdym razie język, jakim je formułowano, wprawiały go w zakłopotanie, ciążyły na żołądku niczym zbyt tłusty posiłek.

Może dlatego, że przez większość życia uczono go nienawidzić tych samych ludzi, z którymi teraz łączyło go przymierze, a często nawet przyjaźń. Saraceni i Żydzi byli wrogami Boga, należało ich zwalczać, tak nauczał Kościół i reguła zakonna. Nie był już wyznawcą tej

doktryny, nie zamierzał odbijać Jeruzalem ani walczyć z tak zwanymi niewiernymi.

Doświadczył w pełni grozy pola bitwy i patrzył na żalospną, bezsensowną śmierć walczących po obu stronach; w jednej z takich bitew stracił ojca. Wiedział już, że nie przez nie prowadzi droga do lepszego życia. Wiedzieli

o

tym także liczni Europejczycy osiedli w Outremerze, krainie za morzem. W Akce,

gdzie stłoczeni razem żyli i pracowali ludzie najprzeróżniejszych ras, wyznań i języków, pokój nie był tylko ideałem; był koniecznością. Czasem Will miał wrażenie, że otaczający świat porusza się tak zgodnie z Anima Templi, iż powinni się ujawnić, wykrzyczeć na głos swoje posłannictwo. Nie znosił tajemnicy, w której przyszło mu działać. Wiedział jednak, że tylko dzięki niej bractwo przetrwało. Niby świat zmierzał w tym samym kierunku, ale

wystarczyło poskrobać trochę głębiej, a natychmiast wypływały na powierzchnię zastarzałe urazy i nienawiści — i to nawet w Akce, mieście grzechu, jak nazwał ją papież. Tajność była tarczą dla Duszy Świątyni, chroniła ją przed ścierającymi się siłami.

Utkwione w nim przenikliwe spojrzenie Ewerarda wyrwało go nagle z rozmyślań. Twarz

księdza była pozbawiona wyrazu jak maska, mimo to speszony spuścił wzrok. Miał uczucie, że starzec czyta mu w myślach.

Połowę bitwy mamy już wygraną — zabrał głos jeden z młodszych rycerzy. — Dopóki

Kościół nie pogodzi się z koniecznością reform i nie wypłeni zepsucia, które przeniknęło jego własną tkankę, ciężko mu będzie przekonać władców, a co dopiero ludzi, że krucjata jest właściwą drogą do zbawienia. Za długo prowadził wojny, mając na uwadze tylko własne cele.

Jego motywy stały się przejrzyste. Mieszkańcy Zachodu nie zechcą podjąć jakże ryzykownej podróży morskiej, w której mogą stracić życie albo już u celu dać głowę pod miecz, skoro się wydało, że ci, którzy ich do tego zachęcają, nie czynią tego dla chwały Bożej, lecz dla pomnożenia własnego majątku.

Słyszając te porywcze słowa, starszy rycerz z Anglii imieniem Tomasz potrząsnął głową.

Jest jeszcze wielu chrześcijan, którzy z radością pójdą odbierać Jeruzalem. Wierzą, że

muzułmanie i żydzi to bluźniercy, czciciele fałszywych bożków, których obecność kazi

Święte Miasto, oni zaś i tylko oni idą drogą prawdy. Nie bądź taki pewien, że zryw

krucjatowy wygaś, bo tak nie jest.

Ale na soborze w Lyonie — odparował młody rycerz — żaden z władców Zachodu nie wziął

Krzyża, choć apelował o to papież. Ba, niewielu się tam w ogóle pojawiło.

Wojują między sobą i nie mogą sobie pozwolić na udział w krucjacie

rzekł Tomasz. — Ale wystarczy jeden silny przywódca, który zgrupuje pod swym sztandarem zdeteminowaną armię, a Europejczycy runą do Palestyny w nadziei na oswobodzenie

Świętego Miasta. Pragną tego również nasi bracia w zakonie. Ewerard ma rację. Będący

naszym dziełem pokój w tym królestwie zaiste jest chwiejny. Jeden cios z którejkolwiek

strony go pogrzebie.

Obawiam się, że takim przywódcą może się stać nasz wielki mistrz.

Seneszał splótł przed sobą duże dłonie. — Nie czyni tajemnicy z tego, że chce mieczem

odzyskać terytoria zagrabione przez Bajbarsa. W Lyonie orędownął za nową krucjatą i cieszył

się posłuchem. W nim widzę największe zagrożenie dla podpisanego rozejmu.

Tomasz i inni doświadczeni rycerze przytaknęli z powagą.

Musimy zatem czynić co w naszej mocy, żeby nakłonić go do zmiany zdania. — Brwi

Velasca podjechały tuż pod linię włosów. — Nie możemy dać Bajbarsowi pretekstu do

napaści, gdy jesteśmy tacy słabi. Jego armia zgniotłaby nas w mgnieniu oka, Akka zaś... —

zerknął nieśmiało na Ewerarda — ...nasz Kamelot, przepadłaby wraz ze swym całym ludem i wraz z nadzieją na pogodzenie chrześcijan, muzułmanów i żydów; nadzieją, o której

spełnienie my i nasi poprzednicy walczyliśmy już od stu lat. Dopóki Bajbars nie umrze i jego miejsca nie zajmie nowy sułtan, z którym zawrzemy przymierze, nie będziemy bezpieczni.

Ewerard uśmiechnął się pod nosem na wzmiankę o Kamelocie. To on często tak nazywał

Akkę. Uśmiech jednak szybko zgasł.

Nikt nie twierdzi, że będzie nam łatwo — burknął — ale też nigdy nie było. Cel, któremu

przysięgliśmy poświęcić wszystkie siły, jest trudny do osiągnięcia, podobnie jak wszystko na tym świecie, co ma prawdziwą wartość. Posuwamy się naprzód powoli — tu spojrzął na

Willa — ale stale. I mimo trosk powinniśmy być tego świadomi. Mamy teraz w Egipcie

potężnego sprzymierzeńca, który zyskał wpływ na przyszłego sułtana, a w samej Akce

również zawarliśmy sojusze z tymi, którzy wierzą w naszą sprawę. Z pomocą naszego

Opiekuna zaprowadziliśmy pokój w Ziemi Świętej. Dopóki trwa, dopóki dzieci Boże żyją ze sobą w harmonii, możemy być z siebie dumni.

Will oparł się o ścianę, przyglądając się, jak bracia chłoną słowa Ewerarda. Stary ksiądz dawał im wiarę i pewność. Potrafił porywać za sobą innych. Will znał go zbyt długo, aby żywić dla niego przesadną cześć, zaznał od niego batów, obelg, nauk i pociechy; był

świadkiem jego wzlotów i upadków. Ale czasami wystarczył jakiś ton, iskra uniesienia w

zgrzytliwym starczym głosie i znów miał dziewiętnaście lat jak wtedy w Paryżu, kiedy

Ewerard po raz pierwszy opowiedział mu o Anima Templi.

Naówczas przedstawiony mu ideał — aby każdy mógł głosić prawdę swego Boga i nie musiał

naginać się do wiary innych — wydał mu się mrzonką. Nawet pojawił się, że nie chodzi o

upodobnienie poszczególnych wyznań, a raczej o wielostronny rozejm, który pozwoli

ludziom współistnieć w pokoju, wciąż jeszcze nie wierzył, że to jest możliwe. Lecz w ciągu minionych lat na własne oczy widział ludzi różnych wiar, którzy żyli razem, odnosząc

korzyści z handlu, wymiany wiedzy i doświadczeń.

Ewerard tymczasem streszczał traktat o podobieństwach trzech religii, który napisali z

Velaskiem. Will zastanowił się, czy i on by potrafił tak porwać za sobą ludzi. Czy zdołałby ich przekonać, aby oddali życie za sprawę, którą głosi — tak jak zawierzył staremu księdzu jego ojciec, a później on. Często nachodziła go myśl, co zrobi, kiedy Ewerard umrze. Kapelan miał prawie pięćdziesiąt lat i był starszy niż ktokolwiek spomiędzy znanych Willowi ludzi. Zdawać się mogło, że przy życiu trzyma go determinacja, by ujrzeć spełnienie się marzeń bractwa; że to ona porusza zwiędłym, wycieńczonym ciałem. Spojrzenie Willa

przesunęło się na seneszała, który omawiał teraz sposób, w jaki będą rozprowadzać

przepisany traktat. To on najprawdopodobniej zostanie wybrany na następcę Ewerarda. I tego dnia może się okazać, że nie ma dla Willa miejsca w kręgu, który sam pomógł

zbudować.

Spotkanie trwało jeszcze godzinę, a Ewerard coraz wyraźniej się niecierpliwił. Gdy uzgodniwszy, że zbiorą się znów po przybyciu wielkiego mistrza, bracia zaczęli się rozchodzić, kapelan dopędził Willa na schodach.

Muszę z tobą pomówić, Wilhelmie.

Czy coś się stało?

Nie tutaj — rzekł starzec cicho. — Chodź do mojej kwatery.

Cytadela w Kairze Siedemnasty dzień stycznia roku Pańskiego 1276

Zwierzę przechadzało się miarowo, prężąc przygarbiony kark; pod skórą grały potężne

mięśnie. Co jakiś czas unosiło wargi, obnażając dwa rzędy ostrych jak sztylety kłów i

wydawało głuchy przeciągły warkot, który brzmiał jak łoskot kamieni mielonych na pył w

trzewiach ziemi. Połyskliwe, złotawo cętkowane oczy spoglądały złowrogo zza prętów klatki na otaczający ją ruchliwy, rozgadany tłum. Instynkt buntował lwa przeciw uwięzieniu, naglił

do ataku.

Kalaun al-Alfi, dowódca wojsk syryjskich, przyglądał mu się z drugiego końca sali,

podziwiając w nim wcielenie potęgi i dzikiej furii. Niebawem przy dźwięku trąb i bębnow śludzy wywiozą klatkę poza mury miasta i puszczą zwierzę wolno. Potem zaczną się łowy.

Dziś jednak i one były na pokaz; zadanie śmiertelnego ciosu miało być przywilejem pana

młodego, przez co zwykły łowiecki dreszczyk wiele straci. Kalaun lubił w mozole tropić swą ofiarę, zdobywać trofeum w pościgu i walce. Odarte z nich, zbyt łatwe zwycięstwo wydawało mu się mniej szlachetne.

Upił łyk słodkiego sorbetu, mierząc oczyma tłum królewskich urzędników, namiestników i

żołnierzy, którzy wypełniali salę. Ciche tony liry i harfy tonęły w gwarze głosów. Spojrzenie emira wyłowilo z ciżby ciemne głowy Alego i Chalila, zrodzonych z drugiej żony Kalauna.

Obaj odziedziczyli jego ostre rysy. Dwunastoletni Chalil, jego najmłodsze dziecko, skubał

nerwowo sztywny kołnierz błękitnej szaty, w którą śludzy łagodnie, acz stanowczo oblekli go tego ranka. Kalaun uśmiechnął się do siebie i odwrócił wzrok. Jego uwagę przyciągnęła

grupka młodzieży częściowo przysłonięta jedną z czarno-białych marmurowych kolumn biegnących wzdłuż dwóch przeciwległych ścian. Dostrzegł tam swego świeżo upieczonego zięcia i przyszłego sułtana, Barakę. Zaciekawiony wspiął się na podwyższenie, gdzie za jego plecami stał tron o rzeźbionych poręczach zakończonych lwimi łbami ze szczerego złota.

Pod ścianą sali, otoczony ze wszystkich stron przez chłopców, stał nieco tylko od nich starszy, może szesnastoletni niewolnik. Głowę miał obróconą w bok, wzrok utkwiony w jakimś odległym punkcie, twarz jakby z kamienia; tylko nienaturalna pozycja zdradzała jego lęk. Baraka rozprawiał o czymś z ożywieniem, jego okoloną czarnymi lokami twarz rozciął szeroki uśmiech. Kalaun zmarszczył brwi i wyciągnął szyję, usiłując dojrzeć więcej ponad głowami tłumu.

Dowódca jednego z mameluckich pułków, odziany w żółty płaszcz, pozdrowił go z szacunkiem.

To była piękna uroczystość, emirze. Na pewno jesteś szczęśliwy.

Każdy ojciec byłby szczęśliwy na moim miejscu.

Mężczyzna przepchnął się pomiędzy gośćmi i stanął obok niego.

Po weselisku powinniśmy omówić strategię na nadchodzący rok. Ciekaw jestem, czy rozmawiałeś z sułtanem? Wiesz może, co zamierza?

Uwagi emira nie uszedł drapieżny błysk w oku młodego dowódcy.

Nie, Mahmudzie. Ostatnio byłem zajęty głównie...—kolistym gestem objął salę — ...tym.

Rozumiem! — Mahmud z fałszywą szczerością położył dłoń na sercu. — Ale teraz nie będziesz już tak zajęty. Pora zwołać radę...

Wybacz mi na chwilę. — Kalaun zszedł z podwyższenia i ominął Mahmuda, który odprowadził go wściekłym wzrokiem. Dwóch towarzyszy Baraki przesunęło się nieco i w powstałej luce Kalaun dostrzegł, że Baraka zadziera tunikę niewolnika, pokazując innym

blizny po kastracji chłopca. Ktoś wybuchnął głośnym śmiechem, reszta patrzyła na kalectwo z mieszaniną fascynacji i odrazy. Niewolnik zamknął oczy.

Dla ludzi takich jak Kalaun niewolnictwo nosło osobiste treści. Wiele lat temu on sam, podobnie jak Bajbars i inni mamelucy, wpadł w ręce handlarzy ciągnących w ślad za

mongolską inwazją przez tereny Kipczaków nad Morzem Czarnym. Sprzedano go na targu

oficerowi egipskiej armii i w więzach powieszono do Kairu, gdzie tysiące takich jak on

chowano na żarliwych muzułmanów i szkolono na członków elitarnej gwardii sułtanów

Egiptu. Panowanie Ajjubidów skończyło się dwadzieścia sześć lat temu, gdy niewolni

wojownicy obalili swych panów i sami przejęli rządy nad Egiptem.

Z biegiem czasu trudy ostrego szkolenia i krzepiąca żołnierska solidarność zacierały odległe wspomnienia rodziców i rodzeństwa. Uwolnieni, tylko nieliczni zdezerterowali do swych

rodzin. Kalaun miał dwadzieścia lat, kiedy został pojmany; był już za stary na mameluka.

Wciąż pamiętał pierwszą żonę i dziecko, te wspomnienia jakoś nie mogły się zatrzeć. Jeszcze dziś, choć miał pięćdziesiąt cztery lata, trzy inne żony, troje dzieci i czwarte w drodze, zastanawiał się czasem, czy jego pierwsza rodzina przeżyła najazd mongolski i gdzieś tam mieszka, nie wiedząc, że stał się jednym z najpotężniejszych ludzi Wschodu. Baraka,

urodzony już w czasie, gdy ongiś niewolna armia była elitą, otoczony luksusem, nie zaznał

kajdan, z których wyrwał się jego ojciec.

Wyżsi i niżsi rangą dowódcy mijali rozzuchwalonych młodzików, lecz żaden nie ośmielił się ich skarcić. W przeciwieństwie do żołnierzy domowi niewolnicy byli na ogół kastrowani,

zarówno dla bezpieczeństwa haremu, jak i po to, by stłumić w nich agresję. Niektórzy

wznosili się ponad swój pośledni stan i zajmowali odpowiedzialne stanowiska; zdarzało się nawet, że powierzano im zagraniczne poselstwa albo szkolenie świeżych zaciągów w armii.

Większość jednak, choć na ogół traktowana lepiej niż słudzy w domach Franków, stanowiła milczący, niewidzialny lud wypełniający korytarze i komnaty każdej zamożnej kairskiej

rezydencji. Baraka był księciem; eunuch — nikim. Pomimo to Kalaun nie miał zamiaru

tolerować okrucieństwa.

Oddał swój puchar słudze i zaczął się przepychać w tamtą stronę. Ledwie zrobił kilka

kroków, gdy wyrosła przed nim znajoma twarz Nazira, jednego z oficerów w jego własnym pułku — Mansuriji. Wysoki, poważny młody człowiek z szacunkiem skłonił głowę przed dowódcą.

Emirze, to była przepię...

Piękna uroczystość. — Kalaun zmusił się do uśmiechu. — Tak, wiem.

Oliwkowoskóry Syryjczyk spojrział nań pytająco i jego nieładną twarz rozjaśnił figlarny uśmiech.

Wybacz, emirze. Jestem bez wątpienia kolejnym z szeregu gości, który mówi ci dziś słowa pozbawione treści.

Taka to już weselna tradycja. — Kalaun zerknął w stronę chłopców. W tej samej chwili

Baraka wypuścił niewolnika i pochwycił spojrzenie emira. Zarumienił się lekko,

uświadomiwszy sobie, że Kalaun wszystko widział. Potem wstyd zniknął równie prędko jak

się pojawił, wyparty przez wyzywającą butę. Młodzieniec krótko skinął teściowi głową i

odszedł, pozostawiając niewolnika skulonego pod ścianą nieopodal klatki lwa.

Emirze... — Widząc, że twarz dowódcy ściągnęła się z niepokoju, Nazir zerknął na Barakę, który śmiał się teraz z przyjaciółmi. — Będiesz w nim miał dobrego syna — stwierdził.

Ale czy będzie również dobrym mężem dla mojej córki? — spytał cicho Kalaun, patrząc mu

w oczy. — Dobrym władcą? Czasem mam wrażenie, że rozmyślnie odrzuca wszystko, czego

próbowałem go nauczyć.

Dobrze go wychowałeś, emirze. Pouczałeś go tak cierpliwie, jakby był twoim własnym

synem; nieraz byłem tego świadkiem. — Nazir zniżył głos. — Dałeś mu z siebie więcej niż rodzony ojciec.

Sułtan nie miał czasu dbać o jego edukację — rzekł Kalaun.

Obaj wiedzieli, że to niecała prawda.

Na początku Bajbars w ogóle nie zauważał Baraki. Mówił, że miejsce malca jest przy matce, w haremie — do chwili, gdy będzie można zacząć szkolić go na wojownika. Kiedy chłopiec

podrósł, przekazał go pod opiekę nauczyciela i przez krótki czas szczerze, a nawet z zapalem się nim zajmował. Ale potem najbliższy przyjaciel sułtana, Omar, padł ofiarą asasyna, przed którym osłonił Bajbarsa własnym ciałem. Po jego śmierci Bajbars przestał interesować się czymkolwiek.

Nazir potrząsnął głową.

Pomimo to jestem pełen podziwu, jak wiele dałeś z siebie temu chłopcu.

Chciałem, aby kiedyś został dobrym władcą.

I będzie nim. Dzisiaj został uznany za mężczyznę, ale w głębi wciąż jest dzieckiem, a dzieci w jego wieku zawsze uważają się za mądrzejsze od swych wychowawców. Czy nie tak było z

nami?

Kalaun położył mu rękę na ramieniu.

Masz rację. Tyle tylko że czasem mam uczucie, jak gdybym próbował formować glinę, która została już wypalona. Martwię się, Nazirze, że on...

Przerwał mu dziewczęcy głos:

Ojcze!

Kalaun obrócił się i ujrzał Aiszę, swoją czternastoletnią córkę. Czarny, przetykany złotą nicią hidżab omal nie zsunął jej się z głowy, odsłaniając gładkie ciemne włosy. Na ramieniu

dziewczynki, wczepiona pazurkami w czarną szatę, siedziała maleńka żółtooka małpka w

wysadzanej klejnotami obróżce. Do obróżki przywiązany był rzemień, którego drugi koniec Aisza owinęła sobie wokół palca. W wolnej ręce trzymała garść daktyli.

Patrz, ojcze! — Podrzuciła w górę owoc. Małpka poderwała się i schwyciła go w locie, a

następnie wpakowała sobie do ust i zaczęła żuć, rozglądając się wokół nieufnie.

Widzę, że nauczyłaś sw'oją pupilkę nowej sztuczki. — Kalaun ujął twarzyczkę córki w duże stwardniałe dłonie i ucałował ją w czubek głowy.

Potem naciągnął jej hidżab na czoło. Aisza niezadowolona zmarszczyła brwi. — Widzę, że w ogóle się z nią nie rozstajesz.

Uśmiechnął się do Nazira.

Gdybym wiedział, że ten podarek sprawi jej taką radość, kupiłbym małpkę już wiele lat temu.

Tylko nadal nie wiem, jak jej dać na imię — zasępiła się Aisza, puszczając mimo uszu tę ostatnią

uwagę.

Wydawało mi się, że nazwałaś ją Hurysą?

To było w zeszłym tygodniu. Mówiłam ci przecież, że już mi się nie podoba to imię.

Kalaun pogłaskał córkę po policzku.

Nie czas teraz, abys się tym troskała. Masz za sobą dzień pełen przeżyć, a musisz się przygotować do nadchodzącej nocy.

Uśmiech Aiszy zgasł. Odwróciła się zażenowana.

Kalaun poczuł bolesny skurcz w żołądku na myśl, że położył na szali szczęście córki, chcąc umocnić swój wpływ na Barakę. Jakby złożył ją w ofierze. Zapewne wielu ojców, wydając

córki za mąż, tak właśnie się czuło, ale marna to była pociecha. Kupił Aiszy małpkę, by zagłuszyć poczucie winy. Na kilka dni odzyskał spokój, patrząc na jej radość. Ale po

incydencie z kastratem, którego był dzisiaj świadkiem, Kalaun znów poczuł strach.

Jesteś teraz kobietą, Aiszo — oznajmił, starając się, by zabrzmiało to stanowczo. — Musisz zachowywać się i nosić skromnie, być posłuszną mężowi i wspierać go we wszystkim. Nie

możesz już uganiać się po pałacu, bawić ze służbą ani brodzić w sadzawce. Kobięcie, żonie, to nie przystoi, Czy mnie rozumiesz?

Tak, ojczy — szepnęła.

Teraz idź i oczekuj swego męża.

Cząstką duszy — tą, która nie była spętana obowiązkiem i zwyczajem; tą, w której był jedynie ojcem — ucieszył się, widząc w jej oczach przekorny błysk.

Drzwi się otwarły i do sali weszło czterech gwardzistów w złocistych płaszczach, za nimi zaś, przewyższając ich o pół głowy, Bajbars Bunduktari, zwany Kuszą — sułtan Egiptu i Syrii, którego miecz zakończył rządy Ajjubidów. Miał na sobie ciężką, podbitą futrem szatę ze

złotożółtego jedwabiu, wyszywaną wersetami Koranu. Czarne pasy tkaniny naszyte na

ramionach były znakiem jego rangi. Ogorzała twarz wyglądała jak wykuta z kamienia, a oczy, których lewa źrenica naznaczona była skazą w kształcie gwiazdki, przez co każde spojrzenie zdawało się nacechowane groźbą

były tak błękitne i niezgłębione jak sam Nil. U jego boku kroczyło trzech dowódców

wojskowych, wśród nich Mahmud, piąty zaś mężczyzna miał na sobie fioletową suknię

królewskiego posłańca, jednego z tych, którzy rozstawnymi końmi przenosili wieści przez całe imperium. Jego płaszcz był pokryty pyłem, twarz znużona — zapewne miał za sobą

długą podróż. Bajbars rzekł coś do niego; mężczyzna skłonił się i odszedł. Potem prześliznął

się wzrokiem po tłumie gości i zatrzymał spojrzenie na Kalaunie. Skinął nagląco głową.

Kalaun pożegnał Nazira krótkim ukłonem i ruszył za Bajbarsem, który wyszedł z sali.

Schodami dostali się na spokojniejsze, górne piętro pałacu, gdzie nie docierała muzyka ani harmider. Gwardziści otwarli wykładane kością słoniową drzwi prowadzące na szeroki

balkon. Następnie stanęli przy nich na straży, podczas gdy Bajbars i jego świta wyszli na słońce. Dzień był chłodny, silny wiatr targał ich płaszczami. Niebo rozpościerało się nad miastem szeroką płaską połącią bez śladu mgły; w dali na południowym zachodzie widać

było wyraźnie wyrastające wprost z pustyni wielkie piramidy. Zbudowana przez Saladyna

cytadela wznosiła się w najwyższym punkcie miasta, tuż pod granią Mukattamu, i widok z

balkonu zapierał dech w piersiach.

U ich stóp ścielił się Kair, którego nazwa, al-Qahira, znaczyła „Zdobywca”. Spiralne minarety wzbijały się w niebo ponad kopułami meczetów, pałace o ścianach wykładanych szkłem i

macicą perłową w słońcu zdawały się jaśnieć własnym światłem, a przestrzeń pomiędzy nimi utkana była gęstą plecionką wąskich ulic i krytych dachami suków, nieraz tak ciemnych i dusznych, że przypominały jaskinie. W ciasnocie tej walczyły o miejsce targi koni i

wielbłądów, madrasy i mauzolea. Dzielnice Greków, Afrykanów, Turków i innych nacji

otaczały wieńcem północne dzielnice miasta założone przez Fatymidów. Tu od trzystu lat stał

meczet al-Azhar, a towarzysząca mu wszechnica osiągnęła rangę najwspanialszej uczelni w świecie muzułmańskim. Część budynku wciąż zakrywały rusztowania

kilka lat temu Bajbars nakazał jego odnowienie. Gładkie białe wapienne okładziny

pochodziły z piramid i zamków krzyżowców, które sułtan burzył od szesnastu lat. Najstarsza część Kairu, Fustat Misr, rozciągała się na południe od cytadeli, naprzeciw wyspy na Nilu. Na wyspie stał pałac dawnych sułtanów Egiptu. Dziś w jego wieżach mieściły się koszary

dowodzonego przez Kalauna pułku. Dalej zaś, na drugim brzegu, ciągnęła się już wroga,

niezmierzona pustynia, od której dzielił miasto tylko nieznużony, życiodajny Nil.

Bajbars obrócił się do Kalauna z uśmiechem, który wszakże nie sięgał lodowatych oczu.

Przez pół życia byliśmy druhami w boju, bracie — rzekł, całując emira w oba policzki. —

Teraz stanowimy rodzinę.

Wielki to dla mnie zaszczyt, najjaśniejszy panie.

Skoro jednak weselisko dobiegło końca, pora przyjrzeć się temu, co się dzieje na granicach.

— Bajbars w mgnieniu oka skupił się na sprawach państwa. — Goniec przyniósł wieści z północy. Chan zebrał armię. Mongołowie ruszają.

Jak wielką armię? — spytał Kalaun. Słowa sułtana wywołały w nim znajomy dreszcz. Oto koniec pokoju, którym się cieszyli; może już jutro czeka ich bój i śmierć.

Trzydzieści tysięcy. W jej skład wchodzi Mongołowie z anatolijskich garnizonów i oddziały seldzuckie pod dowództwem parwany Sulejmana.

Wiemy, dokąd się kierują? — Kalaun był zaskoczony, że Strażnik Pieczęci zbrojnie wsparł najeźdźców. Muin ad-Din Sulejman, regent małoletniego władcy anatolijskich Turków, nie mógł być rad z tego, że sułtanat stał się mongolskim lennem. Ponoć jego stosunki z Abagą, ilchanem Persji i prawnukiem Czyngis-chana, były mocno napięte.

Jeden z naszych patroli granicznych nad Eufratem schwytał mongolskiego zwiadowcę. Udało się wyciągnąć z niego informacje. Mongołowie planują uderzyć na al-Birę.

Zerkając na pozostałych, Kalaun zorientował się, że wieść nie jest dla nich nowa.

Wiadomo kiedy?

Wkrótce. Tyle tylko wiemy. Pchnąłem gońca do al-Biry, lecz od tej pory minęło prawie pięć tygodni. Możliwe, że stoją już pod murami. Namiestnik Aleppo wysłał do al-Biry posiłki, siedem tysięcy zbrojnych. Zamierzał też przeprowadzić zaciąg wśród Beduinów... ale

najemnikom nie można do końca ufać.

Zatem trzeba się śpieszyć.

Bajbars skinął na jednego z emirów, ciemnoskórego mężczyznę zbliżonego wiekiem do niego i Kalauna.

Emir Iszandijar poprowadzi do al-Biry swój pułk z dwoma innymi. Wyruszają jutro. Jeśli

Mongołowie jeszcze nie uderzyli, pozostaną, by wzmacnić obronę. W przeciwnym razie... —

Bajbars zawiesił głos — Iszandijar się z nimi rozprawi.

Jadąc szybko, możemy dotrzeć do Aleppo w trzydzieści sześć dni

wtrącił Iszandijar. — Tam weźmiemy prowiant. Jeśli namiestnik zdołał

sformować dodatkowe oddziały, pociągną z nami. Do al-Biry jest stamtąd tylko dwa dni.

Miejmy nadzieję, że zdążycie — westchnął Kalaun. — Mury al-Biry nie wytrzymają długo silnego ataku. Mongołom już raz udało się je sforsować.

Inni dostojnicy pokiwali głowami. Al-Bira stanowiła bastion pierwszej linii obrony nad

Eufratem. Zdobywszy ją, Mongołowie zyskaliby bazę wypadową do dalszych ataków w głąb

Syrii. Pięć lat temu pod dowództwem Abagi przeszli Eufrat i zapuścili się aż do Aleppo, ale nie wyrządzili wówczas wdększych szkód. Gdyby byli liczniejsi, źle by się to skończyło.

Świadczyć o tym mogły kości osiemdziesięciu tysięcy mieszkańców zdobytego przez nich Bagdadu.

Liczę na ciebie. — Bajbars spojrział na Iszandijara.

Nie zawiodę cię, mój panie.

Lepiej, byś mnie nie zawiódł. Nie chcę, by Mongołowie uchwycili przyczółek, z którego będą zagrażać moim tyłom, gdy ruszę dalej na północ. Abaga nie jest głupcem. Na pewno się

domyślił, że zeszłoroczny rajd na Cylicję był wstępem do zajęcia Anatolii. Wie, że chcę rozszerzyć swoje władztwo. Tymczasem jego położenie się pogarsza, bo Sel- dzuchy zaczynają mu się buntować. Prędzej czy później musi dać im pokaz siły. Lecz jeśli weźmie al-Birę, praktycznie zagrozi nam drogę do Anatolii.

Najjaśniejszy panie — wtrącił się Mahmud — po raz pierwszy omawiasz z nami te sprawy.

Zanim goniec przyniósł wieść o pochodzie Mongołów, chciałem cię prosić, byś wyjawiał nam swe zamiary na nadchodzący rok. Jak z pewnością zdajesz sobie sprawę, istnieją między nami pewne różnice zdań co do tego, na którego z wrogów winniśmy uderzyć najpierw.

Tak, emirze Mahmudzie, świetnie wiem, o czym mówi się na moim dworze. — Bajbars

uśmiechnął się zimno. — Ale może ty powiesz mi coś nowego? — Podszedł do balustrady i przechylił się przez nią.

Mahmud nie stracił rezonu.

Mój panie, ze wszystkich sułtanów, którzy wojowali z Frankami, tyś odniósł najwięcej

zwycięstw. Chrześcijańskie władztwo, ongiś wielkie, przestało istnieć. Dzierżą jeszcze tylko kilka oderwanych skrawków wybrzeża Palestyny. Zniszczyłeś ich zamki, wygnałeś baronów

z miast należących ongiś do ludzi naszej wiary, zwróciłeś nam meczety, w których czcili swego Boga. Pod twym mieczem padły tysiące... — Mahmud zapalał się coraz bardziej.

Do czego zmierzasz? — przerwał mu sucho Bajbars.

Są na twoim dworze tacy, którzy wierzą, że nadszedł czas dokończyć to, co ślubowałeś przed szesnastu laty, rozpoczynając dżihad przeciw chrześcijanom. Czas wygnać Franków z Akki, Trypolisu i pozostałych twierdz, wpędzić ich do morza i pozbyć się ich raz na zawsze.

I któż tak uważa?

Przyznam, panie, że ja osobiście piastuję taką nadzieję. Ale nie jestem tu jedyny.

Czwarty z emirów, stary mamelucki weteran o imieniu Jusuf, do tej pory milczał, potakując tylko ruchem głowy słowom Mahmuda. Na twarzy Iszandijara malował się namysł.

Zgadza się z nim? — spytał ich Bajbars.

Rozejm, który zawarliśmy z Frankami, był, jak sam mówiłeś, tylko czasowy — rozległ się

zachrypnięty starczy głos Jusufa. — Nasi szpiedzy w Akce donoszą, że papież zwołał

władców Zachodu na radę, by nakłonić ich do krucjaty. Nie dawajmy im czasu na zebranie

wojsk. Ja rzekę: skończyć z nimi już, teraz.

Doradzałbym ostrożność — rzekł powoli Iszandijar. — Nim podejmiemy jakiegokolwiek dalsze

kroki, skończmy najpierw z Mongołami w al-Birze. Możliwe, że zwiążą nam wszystkie siły.

Bajbars w milczeniu pokiwał głową.

Zgoda — rzekł Mahmud szybko. — Trzeba obronić miasto, to oczywiste. Ale jeśli

odniesiemy zwycięstwo, rozważmy przynajmniej kwestię Franków, nim podejmiemy wojnę z

Mongołami w Anatolii.

A co ty powiesz, Kalaunie? — zagadnął Iszandijar.

Ja otwarłem już przed sułtanem swoje serce — odparł Kalaun, udając, że nie widzi urazy

malującej się na twarzy Mahmuda.

Otwórz je i przed nami — wychrypiał Jusuf, zerkając na Bajbarsa, który skinieniem głowy wyraził zgodę.

Podobnie jak Iszandijar uważam, że powinniśmy się skupić na zabezpieczeniu naszej północnej granicy przed atakami Mongołów.

Kalaun spojrział na Jusufa. — Na radzie papieskiej, o której wspomniałeś, stawiała się tylko garstka frankijskich władców. Wątpię, aby Zachód w najbliższej przyszłości stać było na wystawienie liczącej się siły. Z tego co słyszę, za wiele sił pochłaniają im wojny między sobą.

Mongołowie stanowią realne niebezpieczeństwo. Frankowie w tej chwili nie mogą nam zagrozić.

Mahmud kręcił głową, patrząc w dal, na miasto. Usta miał zaciśnięte. Bajbars milczał przez chwilę, przyglądając im się kolejno.

Kadir wróży powodzenie wojny przeciw Frankom — rzekł w końcu. Na wzmiankę o zaklinaczu po twarzach zebranych mężczyzn przebiegł niechętny grymas. — Ja chcę się rozprawić z Mongołami; im szybciej, tym lepiej. Jednakże — dodał przenosząc wzrok na Mahmuda — nie podejmę ostatecznej decyzji, zanim nie wysłucham reszty. Zwołam wielką radę.

Panie! — wykrzyknął Mahmud, widząc, że sułtan zamierza się oddalić. — W łaskowości swojej nie każ swoim sługom zbyt długo na nią czekać. Ludzie zaczynają się burzyć... —

Zająknął się pod twardym wzrokiem Bajbarsa, szybko jednak podjął: — W ciągu czterech lat od zawarcia rozejmu odkryłeś dwa spiski mające na celu zrzucenie cię z tronu i przeżyłeś zamach na swoje życie uknuty przez jednego z twoich własnych emirów. Twoi ludzie nie

chcą pokoju z niewiernymi! — Niemal wypluł ostatnie słowa.

Pokoju, emirze Mahmudzie? — rzekł bardzo cicho Bajbars. — Sądysz zatem, że łaknę

pokoju z tymi wieprzami? Że dążyłem do pokoju, niszcząc ich miasta, burząc zamki i deptając nogami trupy ich wojowników? To jest twoim zdaniem pokój?

Panie, ja tylko...

Tak, musiałem odpierać ataki buntowników i skrytobójców. Ale żaden z nich nie zamierzał

obalić mnie po to, by podjąć szlachetną walkę przeciw Frankom. Chcieli władzy. Tronu. Ci, którzy mnie znają, Mahmudzie; ci, którzy są mi wierni, wiedzą bez pytania, że na całym

Wschodzie nie ma człowieka, który bardziej ode mnie gardzi chrześcijanami. Ale nie rzucę się na nich ślepo i nie narażę całego kraju na zaturę, żeby uczynić zadość życzeniom paru gorącogłowych młodzików. Zniszczę ich, kiedy będę gotowy. Nie wcześniej.

Kogo zniszczysz, ojcze? — W drzwiach stanął Baraka, osłaniając oczy przed słońcem.

Czego chcesz?

Widzę, że omawiacie tu ważne sprawy. Mogę się przyłączyć?

Twoje rady na nic nam się tu nie zdadzą — uciął krótko sułtan. — Nie mam teraz czasu ani ochoty na spełnianie twoich zachcianek. Kiedy postanowię wprowadzić cię w swoje sprawy, wezwę cię, Barako.

W tonie Bajbarsa nie było złości, ale brutalny wydźwięk słów powlekał twarz Baraki krwistym rumieńcem. Chłopak zrobił minę, jakby chciał odszczeknąć, potem odwrócił się i wybiegł.

Pomówimy jeszcze o tym na wielkiej radzie — rzekł Bajbars do emirów, jakby nic się nie stało. — Możecie odejść.

Mężczyźni skłonili się i wyszli — Mahmud wyraźnie urażony, Iszandijar w pośpiechu, czekał go bowiem wymarsz do al-Biry. Kalaun został.

Masz mi coś do powiedzenia? — zapytał sułtan.

Czy to dobrze, że nie dopuszczasz syna do takich rozmów, panie? Powinien brać w nich udział, jeśli ma się nauczyć rządzenia krajem.

Od tego ma nauczycieli. Wiem, że mogę na ciebie liczyć, gdy idzie

o

jego wyszkolenie wojskowe.

Kiedy tak go traktujesz, zaczyna wątpić, czy uważasz go za godnego siebie syna i następcę.

Matka go rozpuściła — uciął szorstko Bajbars. — W haremie stał się miękki. Muszę być teraz wobec niego stanowczy, inaczej w przyszłości nie zdoła nawet objąć tronu, a cóż dopiero się na nim utrzymać. — To rzekłszy, wyszedł.

Kalaun wyrzwał za mury. Z sąsiedniej wieży wzbiło się w niebo stado gołębi używanych przez

wojsko do przenoszenia wiadomości. Ta niezapowiedziana narada go zaskoczyła, nie miał czasu na przygotowanie argumentów. Teraz będzie musiał stawić czoło radzie wojennej. Pokój z Frankami, który prawie osiągnął, wymykał mu się z rąk. Nie wiadomo, jak długo zdoła utrzymać lwa z dala od chrześcijańskich bram.

4

Templum w Akce Siedemnasty dzień stycznia roku Pańskiego 1276

Zbity z tropu Will zszedł za Ewerardem z wieży. Wyszli na dziedziniec zasłany nawianym znad morza piachem. Na Zachodzie preceptoria zakonu bywały często w ogóle nie obwałowane, lecz kwatera główna templariuszy w Akce jawiła się niezdobytą twierdzą. Otoczona ze wszystkich stron wysokimi murami, których grubość dochodziła miejscami do trzydziestu stóp, przysiadła niczym kamienny olbrzym wysoko na morskim brzegu po zachodniej stronie portu. Naroży strzegły potężne wieże; największa wznosiła się nad główną bramą od strony miasta. Wieńczyły ją cztery mniejsze wieżyczki ozdobione naturalnej wielkości złotymi figurami lwów. Z kolei wieża skarbnicza, najstarsza część umocnień, zbudowana została sto lat wcześniej przez egipskiego sułtana Sala- dyna.

W obrębie murów znajdowało się jakby miniaturowe miasto z ogrodami i sadami przy kwaterach służby, dormitoriami rycerzy i giermków, wielką salą, warsztatami, infirmerią, maneżem, stajniami, pięknym kościołem oraz palatium, które zajmował wielki mistrz i jego urzędnicy. W przeciwieństwie do wielu siostrzanych siedzib preceptorium w Akce korzystało z dobrodziejstw miejskiej kanalizacji, dzięki czemu nieczystości splukiwane były do morza.

Omijając ów podziemny labirynt ścieków, prowadził stąd również inny tunel, biegnący pod miastem aż do przystani. Na co dzień przenoszono nim ładunki wprost ze statków; w razie potrzeby jednak mógł posłużyć jako droga ucieczki.

Dla Willa warownia ta była domem: znajomym i zwykłym. Dopiero gdy jakiś przybysz, wchodząc przez bramę, rozdziawiał szeroko usta, i on zauważał nagle jej wspaniałości.

Ewerard stęknął, ciągnąc ku sobie ciężkie drzwi prowadzące do kwater rycerzy. Will skoczył mu na pomoc, ale kapelan odpędził go niecierpliwym gestem i w końcu sam zdołał je

otworzyć. Na schodach z trudem łapał oddech.

Powinieneś poprosić mistrza o komnatę na dole.

Tu mam ładniejszy widok — odwarknął stary.

Will wzruszył ramionami.

O czym chciałeś ze mną mówić? — spytał, uprzątając z siedziska stos oprawnych w welin

ksiąg. Na pulpicie leżała wielka księga zapisana delikatnym, wijącym się arabskim pismem; obok wygładzony pumeksem pergamin, na którym Ewerard spisywał łaciński przekład. Wielu

mieszkańców Palestyny używało już papieru, który był tańszy, ale Ewerard wolał skóry

zwierzęce i zamawiał dla siebie wciąż nowe ryzy u miejscowego dostawcy.

Ksiądz nie od razu odpowiedział na pytanie. Nalał sobie wina. Jego okaleczona dłoń, w której stracił dwa palce, gdy przed trzydziestu z górą laty muzułmanie ponownie zdobyli

Jerozolimę, drżała. Otatnio wiele pił; rycerze żartowali, iż w jego żyłach toczy się już czysty burgundzki trunek. Will odczekał cierpliwie, aż starzec nasyci pragnienie, nim powtórzył

pytanie.

Zamierzałem rozmówić się z tobą dziś rano, zaraz po twoim powrocie — rzekł Ewerard —

ale najpierw chciałem mieć z głowy to zebranie.

Ściskając nóżkę pucharu zdrową dłonią, usiadł pod oknem. — W ciągu trzech minionych lat, odkąd Edward powrócił do Anglii i został koronowanym władcą, pisał do mnie trzy razy,

domagając się funduszy z naszej szkatuły. Jak twierdził, były mu potrzebne, aby wysłać

poselstwa do Mongołów i innych ludów w nadziei na zawarcie przyszłych sojuszy, a także po to, by opłacać szpiegów, którzy będą mu znosić z szerokiego świata wieści mogące mieć dla nas znaczenie. Za pierwszym razem posłałem mu pieniądze. Suma nie była wielka, a nie

miałem powodu wątpić w jego intencje. Ale w zeszłym roku, gdy odwiedził nas brat Mateusz z Londynu, usłyszałem od niego, że Edward spotkał się z papieżem i omawiał z nim wysłanie nowej wyprawy krzyżowej po soborze w Lyonie.

Will kiwnął głową.

Też o tym słyszałem. Papież bardzo naciskał. Dobrze, że tak niewielu stawiało się na jego wezwanie, inaczej w tej chwili brodzilibyśmy po kolana we krwi.

To nie papież dążył do tego spotkania — rzekł poważnie kapelan

tylko Edward.

Will zaniepokojony zmarszczył brwi, ale milczał.

Zdaje się — podjął starzec — że chciał usprawiedliwić swoją nieobecność na soborze i równocześnie dać Ojcu Świętemu do zrozumienia, że uważa przywództwo nowej krucjaty za swe osobiste posłannictwo. Warunkował je tylko umocnieniem własnych granic.

To nie ma sensu. Przecież sam podpisał rozejm z Bajbarsem. Miałby go złamać?

Może od początku nie zamierzał go dotrzymać. — Ewerard wysączył resztkę wina i uczynił ruch, jakby chciał wstać.

Will go uprzedził; wziął od niego puchar i napełnił winem.

Przyznaję, że wybór Edwarda na naszego Opiekuna nigdy mnie nie zachwycał, ale nie chce mi się wierzyć, by tak jawnie łamał dane słowo mruknął.

Miałeś zastrzeżenia? — zdziwił się Ewerard. — Nigdy mi o nich nie mówiłeś.

To nie było coś, co zdołałbym ubrać w słowa. Po prostu mu nie ufam, choć przyznaję, nie dał mi do tego podstaw. Może brat Mateusz został wprowadzony w błąd?

Kiedy wyjeżdżał do Anglii, prosiłem go, żeby zbadał sprawę. Powiedziałem mu też o kolejnej prośbie Edwarda o pieniądze i kazałem sprawdzić, czy król w ogóle wysłał emisariuszy na Wschód. Nim dostałem od niego odpowiedź, Edward zażądał środków po raz kolejny, pytając, czemu nie odpowiedziałem na wcześniejszą prośbę. Tym razem wymienił znacznie wyższą sumę.

Wypłaciłeś mu ją?

Nie. Oto list, który wkrótce potem dostałem od brata Mateusza.

Ewerard wręczył mu zwój, popękany i brudny, najwyraźniej wielokrotnie czytany.

Will przebiegł list oczyma i podniósł wzrok.

Co na to bracia?

Nie pokazywałem tego listu nikomu oprócz ciebie.

Dawno przyszedł?

Kilka miesięcy temu.

Dlaczego trzymasz go w tajemnicy? — spytał z niedowierzaniem młodszy rycerz. — Przecież to dowód, że król Anglii, nasz Opiekun, spiskuje przeciw nam! Moim zdaniem to o wiele ważniejsza sprawa do debaty niż jakiś tam traktat, który napisaliście z Velaskiem!

To nie jest dowód — rzekł cicho Ewerard. — To domysł. Mateusz sam pisze, że nie może tego udowodnić.

Will przeczytał list jeszcze raz.

Pisze, że Edward chce uderzyć na Walię i jego zdaniem zamierza obrócić uzyskane od nas środki na sfinansowanie początkowej fazy kampanii. — Podniósł wzrok. — Sformułował to dość pewnie.

Owszem, jest pewien, że będzie wojna z Walią, ale nie tego, że my za nią zapłacimy.

A czy to w istocie ma znaczenie, na co użyje naszych pieniędzy?

Will pokręcił głową. — Edward chce podbić ościenny kraj. Człowiek, którego uczyniliście...

— sapnął gniewnie — ...Opiekunem działań na rzecz pokoju, lada dzień rozpęta wojnę i

wszystko wskazuje, że nie tylko na swojej wyspie! Mateusz pisze, że Anglicy nazywają go królem krzyżowcem, wierząc, że zdoła odzyskać Jerozolimę.

Niemożliwe, żeby o tym myślał — wtrącił Ewerard — skoro teraz wybiera się na Walię.

Ale skoro już rozmawiał o tym z papieżem, chyba jasne, co zamierza. — Will zwinął

pergamin i wepchnął go do pokrowca. — Właściwie nawet mnie to nie dziwi.

Wielcem rad, żeś to wszystko przewidział! — prychnął gniewnie Ewerard. — Szkoda tylko,

żeś w łaskawości swojej i przed nami prostaczkami nie uchylił rąbka swej nadprzyrodzonej wiedzy!

Cóż on zdziałał w ciągu tych lat, odkąd został wyniesiony do godności Opiekuna,

Ewerardzie? Oprócz podpisania pokoju z Bajbarsem, co naprawdę zrobił, aby pomóc nam utrzymać pokój, pogodzić wiary czy otworzyć szlaki handlowe między Wschodem a Zachodem? O ile mi wiadomo, nic.

To nie należy do jego obowiązków — sprostował kapelan. — Kiedy nasz założyciel, wielki mistrz Robert z Sablé, wybrał na pierwszego Opiekuna Ryszarda Lwie Serce, chciał w nim mieć zaufanego człowieka poza zakonem, który mógłby mediować w sporach między braćmi i służyć im radą albo pomocą finansową lub wojskową.

Jakiegokolwiek byłyby jego obowiązki, z pewnością nie należy do nich wyłudzenie od nas pieniędzy na wojnę.

Ewerard zajął w głąb swego pucharu.

Brat Tomasz mówił, że wystarczy tylko jeden prężny władca, by zjednoczyć i porwać za sobą krzyżowców. Król Edward może się nim stać. Jest młody, lubiany i silny. Umie przewodzić ludziom i naginać ich do swoich celów. Właśnie te jego cechy wywarły na mnie tak dobre

wrażenie. Pomyślałem, że przyda nam się jego autorytet. Na miłość Chrystusa, toż to stryjeczny wnuk Ryszarda! — Starzec potrząsnął głową. — Dlaczego wpuściłem wilka do owczarni? Jak mogłem być tak pochopny? Tak głupi?

Dlaczego nie powiedziałeś braciom... a przynajmniej seneszałowi?

zadając to pytanie, Will mimo woli poczuł jednak dumę, że Ewerard zwierzył się właśnie jemu.

To z mojej winy omal nas nie zniszczono przed siedmiu laty. Nie rnołem się zdobyć na to, by im rzec, że teraz grozi nam jeszcze większe niebezpieczeństwo, znów przeze mnie.

Nie byłeś winny kradzieży Księgi Graala.

Po śmierci Armanda z Perigord powinienem był spalić tę przeklętą księgę, nie zostawiać jej na łup joannitom. Oczywiście, że byłem winny. Gdybyś jej nie odzyskał, upadłoby bractwo, a może i cały zakon. Bracia

o

tym pamiętają. Jeszcze dziś seneszał patrzył na mnie znacząco...

A dlaczego powiedziałeś mnie?

Ewerard uniósł jedną brew.

Ty także popełniłeś w życiu parę błędów, Wilhelmie; pomyślałem, że zrozumiesz.

Ostatecznie kiedy użyłeś pieniędzy bractwa, by opłacić zamach na sułtana, sam omal nie rozpętałeś wojny.

Wstyd i gniew zabarwiły policzki Willa szkarłatem. Wstał.

Zapłaciłem za to, Ewerardzie, i to z lichwą. Wiesz, dlaczego opłaciłem asasyna, dlaczego chciałem śmierci Bajbarsa. To prawda, nie wskrzesiłbym ojca; rzeczywiście postąpiłem źle i głupio. Ale ileż razy mam za to pokutować, nim mi wreszcie wybaczysz? Mdl mi, gdy

wciąż o tym słyszę.

Ewerard gwałtownie zamachał ręką.

Wybacz. Proszę, usiądź. Ufam ci, Wilhelmie, dlatego zwróciłem się najpierw do ciebie.

Will nigdy dotąd nie słyszał tego z jego ust. Chciał, by mu ufano. Po śmierci ojca Ewerard pozostał jedynym człowiekiem mogącym mu okazać, że jest z niego dumny, a tego właśnie

łaknął Will od dziecka — od chwili, gdy niechcący spowodował śmierć siostry. Nieszczęsny wypadek zniszczył jego rodzinę i wbił się klinem między niego a ojca. To dlatego Jakub

Campbell, umieściwszy wprzód żonę i trzy pozostałe córki w klasztorze pod Edynburgiem, przywdział habit i wyjechał do Ziemi Świętej.

Co teraz? — szepnął, siadając.

Musimy działać bardzo delikatnie. Król Edward jest w wielkiej przyjaźni z papieżem. Jeśli go rozwścieczymy, może nas wydać. Nie stać nas na to ryzyko... Chyba nie muszę ci mówić, co oznacza.

Will milczał. Był w pełni świadom konsekwencji ujawnienia celów bractwa. Dlatego mógł zamknąć w sobie tajemnicę i żyć z nią.

Fundamenty całego łacińskiego Zachodu wspierały się na skale, którą był Kościół.

Naruszenie tej podstawy groziło rozpadem zbudowanego na niej społeczeństwa. Dlatego

Kościół tak poważnie traktował herezje. Nie tylko muzułmanie i żydzi doświadczyli miecza krzyżowców. Ewerard opowiadał mu o katarach z Langwedocji, których żołnierze

Chrystusowi wyrzynali tysiącami, albowiem wyznawali oni doktrynę sprzeczną z rzymskim chrześcijaństwem. Pojednanie wyznań, do którego dążyła Anima Templi, również było herezją. Gdyby ich działania wyszły na jaw, Kościół zniszczyłby bractwo, a w razie podejrzenia, że zepsucie przeniknęło w szeregi zakonu — także cały zakon. Sprawa nie dotyczyła wyłącznie wiary, ale i geografii. Kościół i wielu świeckich na Zachodzie chciało uwolnić Jeruzalem z rąk niewiernych. To właśnie pragnienie kazało papieżowi Urbanowi rzucić przed dwustu laty hasło do pierwszej wyprawy krzyżowej. Gdyby zaś muzułmanie i żydzi mieli zostać uznani za sojuszników, chrześcijaństwo musiałoby wyrzec się myśli o władaniu Świętym Miastem. Jak to kiedyś ujął Ewerard: dopóki rzesze ludzi nie przyjmą za swoje ideałów Anima Templi, w Ziemi Świętej jest miejsce dla jednej tylko wiary.

Kapelan przygarbił się, wyczerpany.

Nie do wiary: ledwie zdołałem uzdrowić Duszę Świątyni po schizmie, która omal nas nie rozerwała, gdy już grozi nam kolejne niebezpieczeństwo. Zdaje się, że w każdym pokoleniu wyrasta nam nowy śmiertelny wróg. Armand z Périgord, rycerze Świętego Jana, a teraz przypuszczalnie nasz własny Opiekun.

Może stawianie im czoła jest nam pisane — odezwał się Will po chwili. — Anima Templi zrodziła się z krwi i walki. Dlatego stworzył ją Robert z Sablé, gdy nasz zakon stał się zbyt potężny, zbyt samowolny, stając się współsprawcą klęski pod Hittinem... — Urwał, próbując sobie przypomnieć słowa, w jakich kiedyś przedstawił to sam Ewerard. — Powiedziałeś, że Templum to miecz Niebios, a wielki mistrz jest ręką, która ów miecz dzierży. Robert z Sablé stworzył Duszę Świątyni, by okiełznać tę moc, ująć miecz pewniejszą ręką. Być może Bóg poddaje próbie każde pokolenie, aby się przekonać, czy mamy jeszcze siły, by nim władać zgodnie z Jego wolą.

Ewerard zachichotał, ale w jego śmiechu nie było kpiny.

Rzadko zdarza ci się przemawiać tak podniośle, Wilhelmie.

Will uśmiechnął się i westchnął.

Posłuchaj: nie płąć mu na razie, dopóki się nie upewnimy, czy naprawdę planuje krucjatę, której przecież nie chcemy finansować. Napisz mu, że w tej chwili nie masz środków. Zanim list do niego dotrze i będzie mógł odpowiedzieć, dowiemy się czegoś więcej.

Jak? Przecież Anglia jest na drugim końcu świata! — Ewerard posępnie wzruszył ramionami.

— Może Mateuszowi uda się do niego zbliżyć.

Czemu mielibyśmy polegać tylko na nim, kiedy mamy swojego człowieka w otoczeniu Edwarda?

Kogo... — Kapelan zmarszczył brwi i na jego twarzy odmalowało się zrozumienie. — Nie!

— rzekł porywczo. — Nie pozwolę, by ten zdrajca...

Garen pokutował w lochu przez cztery lata, Ewerardzie. I nie zdradził z własnej woli. Tamten zmusił go do kradzieży księgi. To nie była tylko jego wina.

Zdumiewa mnie, że potrafisz przebaczyć temu nędznikowi. — Ewerard wbił w Willa prowokujące spojrzenie. — Jeszcze nie tak dawno marzyłeś, by ujrzeć go na szubienicy.

Will postanowił nie reagować na zaczepkę, choć uwaga starego obudziła w nim wspomnienia, które starał się pogrzebać. Ewerard miał rację; niewiele lat temu mógłby zabić Garena gołymi rękami. I choć dawny druh odpokutował winy wobec zakonu, krzywda wyrządzona Willowi

bolała znacznie bardziej. Za nią Garen nie zapłacił.

To już przeszłość, powiedział sobie. Przebaczył Garenowi to, co się stało w Paryżu, i nie powinien do tego wracać. Ignorując wymowne spojrzenie Ewerarda, rzekł:

Garen wie o bractwie i o tym, że Edward jest jego Opiekunem. Może nam pomóc. Czyż nie dlatego zwolniliście go z lochu? Żeby był nam użyteczny?

Skoro Edward nie czyni nic, by pomóc Anima Templi, źle to świadczy o użyteczności Garena z Lyonu — sarknął Ewerard.

Pora więc, by wziął się do pracy. Napiszę do niego i wypytam

o

Edwarda. Nie będę wspominał o naszych podejrzaniach. Pozwól tylko, bym się zorientował, co tam słychać.

Ewerard zamyślił się nad tym, a tymczasem posłyszeli dzwon. Kapelan ściągnął brwi.

Czyżby to już nieszpory?

Za wcześnie na nieszpory. — Will wstał i podszedł do drzwi.

Z korytarza dobiegły głosy i prędkie kroki. Otwarli się, ujrzał biegnących rycerzy. Inni jak on zdumieni wyglądali na korytarz.

Co się dzieje? — zawołał do mijającego go zakonnika.

Statek wielkiego mistrza wpływa do zatoki! — odkrzyknął tamten z rozjaśnionym wzrokiem.

— Nareszcie przybył!

Cytadela w Kairze Siedemnasty dzień stycznia

Baraka oparł się o chłodną marmurową ścianę korytarza i otarł nos rękawem paradnej szaty.

Słyszał muzykę i śmiechy rozlegające się wciąż w wielkiej sali, jak gdyby nikt nie zauważył

jego wyjścia. Aisza wkrótce uda się do jego komnat, przygotowanych już na noc poślubną.

Poczuł mdłości na myśl, że i on musi tam pójść. Choć została mu przyrzeczona pięć lat temu, nie przywykł jeszcze do tej myśli — ani do niej. Jako dziecko Aisza naśmiewała się z niego, później udawała, że go nie widzi, ale zawsze w jej obecności czuł się nieswojo. Peszyła go jej dziewczęca zwinność, chichoty i wzgardliwe spojrzenia. Tracił rezon i choć przed druhami zgrywał bohatera, myśl o spędzeniu z nią nocy w istocie go przerażała.

W głowie wciąż krążyły mu słowa ojca, podszyte okrucieństwem, którego w nich nie było, gdy je wypowiadał, ale którym nasyciła je usłużna pamięć. Przez cały dzień Baraka czuł się wszechpotężny. Uwaga wszystkich skupiona była tylko na nim, pławił się w ciepłe

pochlebstw. Po raz pierwszy w życiu czuł się synem władcy. Czuł się jak mężczyzna.

Kilkoma słowami ojciec zniweczył to wszystko, zbeształ go jak dziecko.

Odepchnął się od ściany i ruszył korytarzem, gromiąc spojrzeniem przemykającego obok

slugę z tacą obranych ze skórki owoców. Miał ochotę ze złości wyrzucić pięścią w ścianę, ale bał się bólu, uderzył więc tylko rozwartą płasko dłońią.

Co się stało, książę? — zaszeptał ktoś tuż za nim.

Odwrócił się gwałtownie. Ujrzał zgarbionego, zaszuszonego starca

o

skołtunionych włosach, których długie strąki wiły się na plecach niczym tłuste robaki.

Pomarszczona skóra była niemal czarna od słońca i brudu, a zamglone kataraktą oczy

zdawały się pozbawione źrenic. Starzec odziany był w szary wystrzępiony łachman, stopy

miął bosc.

Gdzie się podziewałeś? — fuknął Baraka, składając z godnością ręce na piersiach. — Miałeś być na ceremonii. Ojciec jest na ciebie zły. Chciał, żebyś odczytał pomyślne wróżby dla mego małżeństwa.

Zaklinacz wyszczerzył w uśmiechu brunatne pieńki w niemal bezzębnych ustach. Wyciągnął przed siebie szmacianą lalkę, którą trzymał zaciśniętą w dłoni.

Patrz! — syknął. — Dałem jej serce.

Pośpiesznie rozsupłał niezdarny szew na plecach lalki. Ze środka buchnął mdlący odór i wśród brudnych gałganków Baraka ujrzał mały, oślizły ochłap wątrobianego koloru, serce królika lub innego małego zwierzęcia. Cofnął się, z trudem hamując torsje.

Kadir zachichotał i na powrót zaciągnął szew.

Musi mieć serce, żeby czuć — zaśpiewał. — A teraz ma. Teraz czuje.

Od zdobycia Antiochii wszędzie nosisz ze sobą to obrzydlistwo

skrzywił się Baraka. — Po co?

To dar od sułtana... — Kadir ze skupieniem zatknął lalkę za pas, którym spięta była jego złachmaniona szata. Przy pasie wisiał sztylet ze złożoną rękojeścią, pochwę zdobił wielki lśniący rubin. — Czy ty odrzucasz jego dary?

Ojciec nic mi nie daje.

To się zmieni. — Zaklinacz skończył gmerać przy pasie i teraz patrzył chłopcu prosto w oczy.

Nie. Chciałem wziąć udział w radzie, tak jak mi mówiłeś... — Baraka zniżył głos, czekając, aż miną ich przechodzący dworzanie — ale on... odprawił mnie, jakbym był nikim! Jak

nierozumne dziecko! — Krew nabiegła mu do twarzy. Z rozmachem stuknął się palcem w pierś.

Mam już piętnaście lat, Kadirze! Jestem żonaty. Nie jestem już dzieckiem!

Nie — powtórzył tamten jak echo. — Nie jesteś.

On nigdy we mnie nie uwierzy!

Usta starego rozciągnęły się w szerokim uśmiechu.

Co cię tak śmieszy? — warknął ksiązę.

Uśmiech znikł, oczy Kadira zmrużyły się w wąskie szparki. Wyglądało to tak, jak gdyby ktoś zdmuchnął świecę.

Nadchodzi zmiana — szepnął. — Widzę ją na horyzoncie, jak zbierające się burzowe chmury. Będzie wojna.

Baraka poczuł mimowolny dreszcz. Potrząsnął głową.

W czym wojna może mi pomóc?

Kadir nagle rozchichotał się jak psotny chłopiec.

Bo to będzie twoja wojna.

O czym ty mówisz? — spytał zimno Baraka, kryjąc podniecenie.

Sułtan nie wypełnił jeszcze swego przeznaczenia, które mu wyjawilem, nim zabił Kutuzę i zasiadł na tronie. Ludy wyginą... królowie upadną... A on będzie górował nad wszystkimi, krocząc po moście z czaszek przez rzekę krwi. Przeznaczeniem twego ojca jest wyplenić

chrześcijan z tej ziemi. Musi je wypełnić. Ale są na dworze tacy, którzy mu to odradzają.

Białe oczy Kadira błysnęły gniewnie. — Od śmierci Omara zagubił

drogę. Musimy pomóc mu ją odnaleźć. — Przysunął się bliżej i pieszczotliwie dotknął

ramienia Baraki. — Uczynimy to razem. A gdy się dowie, co dla niego uczyniłeś, ujrzy w

tobie tego, kim naprawdę jesteś: mężczyznę i przyszłego władcę. Wówczas będziesz siedział

po jego prawicy aż do dnia, w którym sam obejmiesz tron, a Kadir użyje swej mocy dla

ciebie, będzie twymi oczami.

Nie rozumiem.

Zrozumiesz — odparł starzec.

5

Port w Akce

Siedemnasty dzień stycznia roku Pańskiego 1276

Widzisz go? Czy już go widać?

W miarę jak łódź zbliżała się do nabrzeża, tylne szeregi setki zgromadzonych w porcie rycerzy wyciągały szyje, usiłując ponad głowami towarzyszy dojrzeć dostojnego pasażera.

Robert z Paryża przewrócił oczyma w stronę Willa i nachylił się ku dociekliwemu rycerzowi.

Zobaczysz go już niedługo, bracie Albercie — szepnął—choć lepiej byłoby, żeby on cię nie zauważył.

Dlaczego tak mówisz? — Albert łypnął nieufnie na jasnowłosego kpiarza.

Twój strój... — szepnął dyskretnie Robert, oblekając twarz w maskę przekonującej powagi.

Albert spojrzał na siebie i zacmokał z niesmakiem, widząc na tunice kilka brunatnych plam.

Wczorajsza wieczerza? — domyślił się współczująco Robert.

Nie zauważyłem! — Albert poślinił palec i klnąc pod nosem, jął z zapałem trzeć plamę. —

Dziękuję, bracie. Dziękuję.

Robert wyprostował się i zerknął na Willa, który kręcił głową, tłumiąc śmiech.

Myślałby kto, że w tej łodzi płynie do nas sam Jezus Chrystus — rzekł, przezornie ścisząc głos.

Czekaliśmy dwa lata. Sam przyznasz, że przybycie mistrza podniosło nam morale.

Owszem, tylko po co tak się pindrzą? — Robert, zawsze nieskazitelnie schludny, z pogardą przyjrzał się towarzyszom.—Jakby wielki mistrz nigdy nie widział brudu! Spójrz na siebie: nie czesałeś się chyba od miesiąca, płaszcz masz czarny jak wilczy pysk, ale jakie to ma znaczenie, dopóki dzielnie walczysz?

Zmieszany Will wykorzystał chwilę, gdy Robert odwrócił wzrok, i przyglądził czuprynę.

W dzieciństwie wysoki i kościsty, z wiekiem zmężniał i teraz zbliżając się do trzydziestki, pierś miał szeroką, ramiona muskularne, poruszał się zaś zręcznie i z większą pewnością, jakby nareszcie dorósł do swego ciała. Reguła zabraniała mu golić brodę, ale strzygł ją najkrócej jak się dało... tyle że po miesiącu spędzonym w drodze stała się nieco krzaczasta.

Włosy także zapuścił, spadały na oczy i wiły się niechlujnie wokół uszu. No i Robert miał

rację: płaszcz rzeczywiście był brudny. Schylił się, chcąc otrzepać odzienie z kurzu, lecz powstrzymał go psotny chichot przyjaciela. Złożył godnie ramiona na piersi i zaczął się rozglądać po przystani.

Panował tu ruch i gwar, lecz daleki od tego, jaki rozpęta się w porcie około świąt

Wielkiejnocy, gdy statki zimujące w portach Morza Śródziemnego, Adriatyku i na wybrzeżu atlantyckim dotrą na Wschód wyładowane pielgrzymami, wojskiem, wełną i winem. Rycerze

Templum stali w równym szyku wzdłuż portowego muru naprzeciw szerokiej kamiennej

pochylni schodzącej aż nad wodę, gdzie mniejsze barki mogły wyładowywać towary i

pasażerów. Wewnętrzna przystań Akki chroniona była potężnym żelaznym łańcuchem, który

można było napiąć, by zagrozić drogę nieprzyjacielskim statkom. Na co dzień spoczywał w wodzie między wieżą na końcu zachodniego mola a kołowrotem. Tu zawsze tłoczyły się

stateczki miejscowych kupców i rybaków; większe jednostki musiały cumować na zewnątrz,

przy kruszącym się już ze starości molo wschodnim. W dali za Wieżą Much sterczącą na

końcu mola, kołysał się na kędzierzawych falach wojenny statek Templum, od którego jakiś czas temu odbiła barka. Wielki biały żagiel z czerwonym krzyżem został opuszczony, lecz na maszcie łopotała biało-czarna bandera zakonu.

Marszałek Piotr z Sevrey — naczelnny dowódca wojskowy templariuszy i ich zwierzchnik pod nieobecność wielkiego mistrza — skracał sobie czas oczekiwania rozmową z Teobaldem

Gaudinem, wielkim komandorem zakonu, oraz jednym z celników. Nieco dalej górował nad

sąsiadami wyprężony jak struna seneszał. Za budynkami izby celnej ciągnęły się w lewo i prawo mury miejskie, a wielka okuta żelazem brama otwierała się wprost na targ

Pizańczyków. Dochodził stamtąd gwar i przeróżne zapachy, walcząc o prymat z ostrym

odorem smoły z warsztatów skutniczych i nawoływaniem rybaków, którzy wciągali pełne

sieci na mur portowy. Pojawienie się w zatoce wojennego okrętu, w porcie zaś — oddziału zakonnych rycerzy stojących w równym ordynku przywabiło także zwykłą porcję gapiów.

Wzrok Willa wyłowił pośród nich małą dziewczynkę, której najwyraźniej nie obchodziła

zbliżająca się łódź. Bawiła się piłką, podrzucała ją w górę i chwyciła, przesuając się coraz bliżej rycerzy. Will pośpiesznie odwrócił głowę.

Co się stało? — zaciekawiał się Robert.

Nic. — Zerknął przez ramię i wtedy go spostrzegła. Oczy jej zaśniły i z radosnym

uśmiechem podbiegła bliżej, szargając rąbaj żółtej sukienki na mokrym, oślizłym od rybich łusek bruku.

A cóż to za skrzat? — mruknął Robert.

Kryj mnie — szepnął Will i dyskretnie opuściwszy szereg, ruszył naprzeciw małej. Za plecami słyszał wesołe wyjaśnienia:

Pewnie się zgubiła. Bez obaw, Will znajdzie jej rodziców. Nasz Wilhelm to istny samarytanin....

Dziewczynka podskoczyła i kędzierzawe włosy wpadły jej do oczu. Odrzuciła je niecierpliwym ruchem głowy.

Gdzie ty byłeś? Taaak dawno cię nie widziałam!

Przez silny włoski akcent Will ledwie ją rozumiał. Odprowadził ją na bok i obejrzał się z niepokojem, ale marszałek i wielki komandor wciąż rozmawiali z celnikiem. Nie zauważyli jego wyjścia z szyku. Schował się z dzieckiem za stertą skrzyń ładowanych właśnie na

kupiecki statek. Marynarze pośpiesznie krążyli tam i nazad po trapach.

Co tu robisz, Katarino? — spytał. — Przyszłaś sama?

Spojrzała na niego pytająco, powtórzył więc wolniej.

Nie — odparła po chwili. — Ja i siostra. Elizabetta. — Zachichotała i jęła trajkotać po włosku, z czego Will nie zrozumiał prawie nic.

Idź do Elizabetty — powiedział. — Muszę wracać. — Wskazał na rycerzy.

Katarina wydeła usta, podrzuciła piłkę i złapała ją zręcznie.

Przyjdiesz do nas? — spytała. — Elwina dziś nie w składzie.

Will potrząsnął głową.

Nie mogę. Nie dziś. — Pochylił się nad jej uchem. — A jutro? Czy Elwina jutro będzie w domu?

Mała po namyśle skinęła główką.

Na wieczór. — Uśmiechnęła się chytrze i dodała, z mozołem formułując słowo: — Wy obu... oba... obłapiacie?

A cóż to za słów się uczysz? — Will zaśmiał się zmieszany. Widząc, że dziecko go nie

rozumie, mruknął: — Nieważne. Powiesz Elwinie, że przyjdę do niej jutro po nieszpórach.

Nie zapomnisz? Po nieszpórach.

Powiem — zapewniła go z powagą Katarina. — Już idę. — Machnęła rączką w stronę murów miasta.

Will ujrzał smukłą kruczowłosą dziewczynę plotkującą z inną kobietą przy bramie portu.

Poznał Elizabettę, najstarszą córkę weneckiego kupca jedwabnego, Andreasa di Paolo.

Nic nie mów siostrze — upomniał Katarinę. — Ani ojcu. — Stał jeszcze chwilę, patrząc, jak dziewczynka odbiega.

Pozwólcie, panie... — Marynarz z załogi statku najwyraźniej chciał się dostać do skrzynek.

Widząc czerwony krzyż zdobiący płaszcz templariusza, pochylił głowę z respektem.

Przepraszam — rzekł szybko Will, usuwając się z drogi. Marynarz spojrzał na niego

zaskoczony, sięgnął po skrzynię, zarzucił ją na ramię i ruszył w stronę trapu.

Nigdy nie przestawała go zadziwiać — i peszyć — uniżoność, z jaką zwracali się do niego ludzie. Wewnątrz czuł się po prostu sobą, takim jak zawsze. Czasem zapominał, że jest

członkiem elity, rycerzem Chrystusowym, którego nie dosięgają świeckie prawa ani doczesne pokusy, który stoi na straży chrześcijaństwa i odpowiada tylko przed papieżem. Ale też świat nie miał pojęcia, że biały płaszcz symbolizujący niekazitelną czystość okrywa tylko słabego człowieka, który gdy przyjdzie co do czego, może się okazać tchórzem i kłamcą. Powiódł

wzrokiem za niknącą w bramie Katariną. Na przykład w sprawach serca, pomyślał.

Już miał wrócić do szeregu, gdy marszałek obrócił się w jego stronę. Zaklął pod nosem i cofnął się znów za skrzynki. Między nim a oddziałem kręcili się marynarze sztaujący

kupiecką kogę, stało paru rybaków i młody człowiek, który przyglądał się nadpływającym.

Nie zdoła wśród nich przemknąć; w białym płaszczu z krzyżem widać go na milę. Musi

zmyślić jakieś usprawiedliwienie. Robert kiwał nań gorączkowo. Łódź dobiła właśnie do nabrzeża.

Dwóch wioślarzy wyskoczyło na pomost, żeby ją przytrzymać. Niespełna czterdziestoletni mężczyzna zρέcznie wysiadł, nie korzystając z ich pomocy. Pod białym płaszczem odziany

był w zakonną tunikę przeciętą na biodrach pasem, przy którym zwisał miecz w bogato zdobionej pochwie. Włosy, długie i ciemne, miał związane na plecach, a brodę okalał mu czarny zarost. Will stał za daleko, żeby dokładnie widzieć jego twarz, ale bramowany złotem krzyż na płaszczu dowodnie świadczył o jego wysokiej randze. Był to Wilhelm z Beaujeu, wielki mistrz zakonu Świątyni.

Wilhelm, spokrewniony z rodem władców Francji, wstąpił do Templum, mając lat trzynaście. W ciągu minionej dekady piastował stanowisko preceptora Sycylii, gdzie królem był jego krewniak, Karol Andegaweński, brat zmarłego Ludwika IX. Rada miejska Akki oczekiwała go z mieszanymi uczuciami, bo choć cieszył się opinią zdolnego stratega i energicznego wodza, był również znany jako jeden z najwierniejszych sojuszników Karola. Ostatnią zaś rzeczą, jakiej życzyłoby sobie rozdzierane w przeszłości gwałtownymi konfliktami miasto, było dalsze umacnianie wpływów ambitnego króla Sycylii, którego roszczenia do tronu Ziemi Świętej pogłębiały istniejące rozłamy.

Czterej rycerze wynosili z szalupy skrzynie. Will stracił na chwilę wielkiego mistrza z oczu, bo zasłonił mu go oparty wcześniej o mur młody człowiek. Posłyszał, że ktoś staje za nim; jakieś dziecko, wpatrzona w wielkiego mistrza. Rycerz uznał, że może teraz wrócić do szeregu, gdyż zakonny dostojnik przyciąga oczy wszystkich. Zrobił krok i nagle dostrzegł skamieniałą ze zgrozy buzię chłopca — poszarzałą cerę, szeroko rozwarte oczy. Opuszczone wzdłuż boków ręce zaciśnięte miał w pięści i dygotał jak liść na wietrze. Will przystanął zdumiony, co u licha mogło tak przerazić malca. Na nabrzeżu pojawił się tylko wielki mistrz, który energicznym krokiem zbliżał się teraz do Piotra z Sevrey, rybaków i młodzieńca.

Nagle pojął, w czym rzecz.

Prawe ramię młodzieńca przyciśnięte było do ciała, dłoń zakryta rękawem wypłowiałej tuniki.

W rękawie jednak coś było.

Will poczuł, jak skóra napina mu się z wrażenia; instynkt sygnalizował niebezpieczeństwo.

Miejsce, które obrał sobie młody człowiek — tam, gdzie nabrzeże dobiegało do muru przystani, między oczekującymi rycerzami a nadchodzącym mistrzem — to, że wydawał się

tu dziwnie nie na miejscu, przedmiot ukryty w dłoni i przerażenie malca... wszystko to było dziwne, nienaturalne, świadczyło, że za chwilę wydarzy się coś złego. Will wyskoczył zza skrzynek, krzycząc ostrzegawczo. Zagłuszyły go nawoływania żeglarzy z kupieckiej kogi.

Rzucił się do biegu. Dłoń młodego człowieka wysunęła się z rękawa, z niej sztylet. Wielki mistrz dochodził już niemal do muru.

Will wiedział, że nie zdąży. Wszyscy patrzyli na Wilhelma z Beaujeu; wszyscy prócz

Roberta, który osłupiały przyglądał się Willowi. Zrobił więc jedyne, co mógł: wyszarpnął

falcjona z pochwy, przystanął, żeby się zamierzyć, i cisnął tasak w ślad za młodzieńcem, który też już biegł. Posłyszał gdzieś za sobą przenikliwy, cienki krzyk. Krótka broń wyfrunęła mu z dłoni i poszybowała w powietrzu — pięć, dziesięć, piętnaście stóp...

Nie trafił. Głownia z brzękiem uderzyła o mur za plecami młodzieńca, który wznosił już rękę do ciosu. Ale hałas zwrócił uwagę rycerzy, teraz już i oni dostrzegli zagrożenie. Twarz wielkiego mistrza stężała, gdy zobaczył człowieka godzącego weń nożem. Sięgnął po broń.

Jednakże ułamek sekundy wcześniej dopadł napastnika marszałek, który skoczył do przodu, zamachnąwszy się z całej siły mieczem. W połączeniu z pędem nadbiegającego, który

dosłownie nadział się na ostrze, impet uderzenia niemal przepołowił ciało.

Teraz wszyscy już krzyczeli. Rycerze rzucili się przetrząsać port w obawie przed kolejnym atakiem. Marszałek wyszarpnął miecz z ciała młodzieńca, który osunął się na pomost jak

odcięta ze sznurków kukielka. Gdy z potężnej rany buchnęła krew i wnętrzności, krzyki

dobiegały także z murów, na których stali gapie. Przybocznicy wielkiego mistrza porzucili skrzynie i teraz otaczali go ciasnym kręgiem, a wielki komandor wyszcze- kiwał rozkazy.

Nim niedoszły zabójca wydał ostatnie tchnienie, mistrz był już w wejściu podziemnego tunelu wiodącego do preceptorium.

Przesłuchać świadków! — zawołał Piotr z Sevrey, pochylając się nad trupem i przetrząsając poły skrwawionego płaszcza.

W parę chwil na nabrzeżu zapanował kompletny zamęt. Przepytywano gapiów, których część

pchała się bliżej, inni zaś wymykali się chyłkiem, by uniknąć śledztwa. Załoga kupieckiego statku przerwała pracę, z budynku przy nabrzeżu wybiegli celnicy.

Will obejrzał się na chłopca. Ten wciąż wpatrywał się w młodzieńca, ale z jego buzi zniknął

strach. Teraz płynęły po niej łzy, żłobiąc rowki w kurzu. Podniósł głowę, napotkawszy zaś wzrok templariusza, wzdrygnął się i rzucił do ucieczki. Will pobiegł za nim, wołając: „Stój!”, ale chłopczyk

dał nura w kłębiący się, podekscytowany tłum. Rycerz mozolnie przepychał się za nim do bramy portu, gdzie wieść o zamachu ściągnęła rozgorączkowane rzesze. Próbował wy dostać się na plac targowy, ale choć zwykle na widok zakonnego płaszcza tłum rozstępowa! się z szacunkiem, dziś ci, którzy chcieli ustąpić mu drogi, nie mieli gdzie się cofnąć. Zanim pokonał zator, chłopiec zniknął.

6

Templum w Akce Siedemnasty dzień stycznia roku Pańskiego 1276

Zmierzchało już, gdy Will wrócił do preceptorium. Wiatr porozrywał chmury i ukazało się między nimi czyste niebo, bladobłękitne na wschodzie, rdzawe i cynobrowe na zachodzie.

Kiedy wszedł przez bramę na główny dziedziniec, przekonał się, że wszyscy wciąż rozprawiają o napaści. Grono rycerzy stało pod kancelarią, za którą wznosiły się białe wieże palatium. Mówili z ożywieniem, choć stosownie ściszonymi głosami; ci, którzy byli w porcie, relacjonowali wypadki towarzyszą. Młodszy serwienci roili się podnieconą chmarą przed wielkim refektarzem i nawet nie zadawali sobie trudu, by zniżyć głosy. Właśnie w tej chwili podszedł jeden z rycerzy, każąc im wrócić do pracy. Stanowczo wydane komendy rozproszyły grupę, chłopcy rozbiegli się do stajen, kuchni i kaplicy, gdzie trzeba było zapalić świece na nieszpory.

W stojącej przed kancelarią grupie Will dojrzał srebrne włosy i zwalistą sylwetkę Teobalda Gaudina, ruszył więc w tamtą stronę. Wróciwszy na nabrzeże po swój oręż, nie zastał tam już ani marszałka, ani wielkiego komandora i dotąd nie miał okazji powiedzieć im o chłopcu, którego widział na miejscu zajścia.

Wcześniej jednak zastąpił mu drogę Szymon Tanner. Czerstwa, ozdobiona kartoflowatym nosem twarz tęgiego koniuszego tym razem była blada z niepokoju.

Jesteś cały i zdrow? — wysapał. — Co się stało?

Cały i zdrow. — Will spostrzegł, że komandor wchodzi do budynku.

Szymonie, muszę...

Wszyscy o tobie mówią!

Co takiego? — zdziwił się Will.

Szymon przeczesał ręką gniadą czuprynę, wytrząsając z niej parę źdźbeł.

Ponoć zostałeś ranny w obronie wielkiego mistrza. Każdy mówił co innego.

A ty dajesz ucha plotkom stajennych.

Nic na to nie poradzę. Martwiłem się o ciebie.

Niepotrzebnie — uciął Will trochę zbyt szorstko. Szymon był jego najbliższym przyjacielem jeszcze z czasów dzieciństwa w londyńskim pre- ceptorium, ale po osiemnastu latach

macierzyńska troska, którą okazywał mu koniuszy, nadal wprawiała go w zażenowanie. Nie

był pewien dlaczego. Może przez to, że Szymon przypominał mu wówczas Elwinę. Czuła

opiekuńczość, naturalna u niewiasty, nie przystoi jednak postawnemu chłopu zbliżającemu się do trzydziestki. Ale z drugiej strony Szymon był stajennym, nie wojownikiem. Nie został

utwardzony morderczym szkoleniem ani nauczony trzymać emocje na wodzy, by móc stawić

czoło brutalnej rzeczywistości pola bitwy.

Ojej, wiadomo przecież, że jestem głupi jak but. — Szymon wzruszył ramionami i zaśmiał

się, błyskawicznie odzyskując zwykłą pogodę ducha.

Głupszy — uśmiechnął się do niego Will.

Bracie Wilhelmie! — doleciał z tyłu surowy głos Piotra z Sevrey.

Panie... — Will obrócił się i pochylił głowę przed marszałkiem. Szymon także się skłonił.

Dopiero wróciłeś?

Tak. Szedłem właśnie do wielkiego komandora, aby zdać mu sprawę z tego, co widziałem w porcie.

Opowiesz o tym wielkiemu mistrzowi. Chce cię widzieć.

Teraz?

Piotr z Sevrey, wiecznie zasepiony mężczyzna o długiej, woskowobladej twarzy, która nie zmieniała barwy nawet w letnim skwarze, uśmiechnął się lekko.

Ocaliłeś mu życie, bracie. Myślę, że pragnie ci wyrazić swoją wdzięczność.

Will kiwnął Szymonowi głową i udał się za marszałkiem.

Palatium było najwyższym budynkiem w obrębie murów preceptorium: jego wieże o kilka

łokci wygrywały współzawodnictwo ze smukłą dzwonnica kościoła. Will nigdy jeszcze nie

był w środku, choć przechodził tędy co dzień, idąc ze swej kwatery do wielkiego refektarza.

Obite żelaznymi sztabami drzwi otwierały się w głąb ciemnego, chłodnego korytarza. Nie

było w nim okien; światło pochodziło z pozatykanych na ścianach pochodni, których blask nadawał kamiennej ścianie ciepły odcień. Wąskie kręte schody wiodły na piętro, do

przestronnej kancelarii. Część klerków ślęczała nad dokumentami, inni zaaferowani krążyli pomiędzy drzwiami wychodzącymi z pomieszczenia. Jedne, na samym końcu, były większe i

otwarte. Dobiegał zza nich męski głos, głęboki, dźwięczny, brzmiący' pewnością siebie i siłą.

Wdzięczny ci jestem za troskę, bracie, ale zapewniam, że nic mi nie dolega na ciele ani duszy.

Niepotrzebne mi twoje pigułki ani oględziny.

Przeżyłeś wstrząs, panie — odparł cichszy, pokorniejszy głos.

Pozwól chociaż, żebym kazał słudze przynieść ci wina. Rozgrzeje cię i przywróci barwę

licom.

Mam za sobą więcej bitew, niżli przeżyłem lat; byłem więziony przez Saracenów, znosiłem tortury i choroby. Gdyby ostrze napastnika zadało mi ranę, z wdzięcznością skorzystałbym z twoich usług, bracie infirmariuszu, ale żeby zbić mnie z tropu, trzeba czegoś więcej niż widok noża w ręku rozwścieczonego młodzika.

Will stanął w drzwiach wraz z marszałkiem i zobaczył Wilhelma z Beaujeu na środku

obszernej, wygodnie urządzonej świetlicy. Pod wąskim ostrołukowym oknem, przez które

wpadało już niewiele światła, stał pulpit i wyściełane siedzisko. Posadzkę zakrywał jedwabny kobierzec, sięgając niemal do wielkiego paleniska, w którym buzował ogień. Płomienie

umykały zwawo w głąb okopconego komina, a czasem huczały wściekle, gdy przydusił je

powiew wścibskiego wiatru. Po obu stronach komina stały ławy zasłane haftowanymi

narzutami, ściany zaś pokrywała opona z wyszytymi scenami męki Pańskiej, począwszy od

sądu Piłata, a skończywszy na Kalwarii. Przed wielkim mistrzem stał niski siwowłósy

zakonnik, główny infirmariusz Templum.

Marszałek zastukał w otwarte drzwi i wielki mistrz obrócił się żywo.

Witaj, bracie marszałku. Wejdz. To, jak mniemam, jest człowiek, któremu zawdzięczam, że chodzę jeszcze po tym świecie?

Will skłonił się i ujął wyciągniętą do niego rękę. Mistrz zamknął w żołnierskim uścisku jego przegub, który to gest zawsze robił na Willu wrażenie bardziej osobistego niż zwykłe podanie dłoni. Widziany z bliska, Wilhelm z Beaujeu wyglądał młodziej niż na pierwszy rzut oka, wydawał się mieć nie więcej niż trzydzieści parę lat. Will słyszał wszakże od jednego z rycerzy, że przekroczył już czterdziestkę. Wbrew utyskiwaniom infirmariusza nie znać było po nim bladości, przeciwnie, tryskał zdrowiem. Żyłasty i ogorzały, miał szczupłą, mocno rzeźbioną twarz, której ascetyczną urodę łagodził częsty uśmiech. Will uświadomił sobie nagle, że są do siebie podobni. W tej samej chwili dostrzegł to również Wilhelm z Beaujeu.

Wyglądamy jak synowie jednej matki! — zaśmiał się, odstępując

o

krok i patrząc na rycerza. — Imię też mamy to samo. Możesz nas zostawić, bracie —

rzekł do marszałka, gdy zaś ten się skłonił, wielki mistrz obrócił się do infirmariusza: — Jeśli to ma cię uspokoić, napiję się wina do wieczery.

Infirmariusz dosłyszał odprawę w grzecznych słowach.

Jak sobie życzysz, panie — skapitulował i pośpiesznie usunął się w ślad za marszałkiem.

Właściwie powinniście się cieszyć, że przeżyłem zamach — Wilhelm zwrócił się do Willa —

a tymczasem jeszcze nigdy nie widziałem tylu zasępionych twarzy.

Troszczą się o ciebie, panie. — Will nie był pewny, co powinien odpowiedzieć. Z tego człowieka emanowała energia, która zbijała go z tropu. Pod gładką powierzchnią huczał płomień.

Cóż, ja w każdym razie gorąco ci dziękuję. Jestem twoim dłużnikiem.

To nic takiego, panie.

Bzdura. Gdyby nie ty, pewnie bym dziś zginął. — Mistrz przyjrzał mu się uważnie, potem

oparł się o stół, krzyżując ręce na piersi. — Jak to się stało, że ty jeden spośród stu dwudziestu rycerzy dostrzegłeś zagrożenie?

Will uciekł wzrokiem w bok. W całym tym podnieceniu zapomniał, że opuścił szereg bez pozwolenia i bez powodu. Szukał jakiejś wymówki, ale przychodziła mu na myśl tylko

Katarina. Uznał, że odpowiedź możliwie najbliższa prawdy będzie lepsza od jawnego

kłamstwa.

Na nabrzeże zabłąkało się dziecko, panie, dziewczynka. Zgubiła rodziców w tłumie i była przestraszona. Odprowadziłem ją, a kiedy wracałem, zobaczyłem tego człowieka... — urwał.

— Pokornie proszę o wybaczenie za wyjście z szyku.

Rozumiem. — Z twarzy wielkiego mistrza nie dało się nic wyczytać.

I cóż on robił? Co zwróciło na niego twoją uwagę?

Stał spokojnie. Zaalarmował mnie wyraz twarzy chłopca.

Jakiego chłopca?

Will opowiedział o tym, czego był świadkiem, dodając, że później ruszył w pogoń za malcem, ale zgubił go w tłumie.

Wielki mistrz zamyślił się.

Co o tym wszystkim sądzisz? Kim, twoim zdaniem, był ten chłopiec?

Chyba krewnym tamtego. Raczej nie druhem, był znacznie młodszy. Jestem przekonany, że znał zamachowca i prawie na pewno wiedział, co ma się stać. Jak już mówiłem, był przerażony.

Rozpoznałbyś go, gdybyś go znów zobaczył?

Tak.

Dobrze. — Wilhelm wciągnął głęboko powietrze przez nos, opuścił ręce i przysiadł na brzegu stołu, podciągając połą płaszcz. — Opowiedz mi o nastrojach w tutejszym preceptorium, bracie.

To znaczy? — Will był zaskoczony nagłą zmianą tematu.

Muszę was rozumieć, jeśli mam wami dowodzić. Spędziłem w Ziemi Świętej pół życia, ale widok z miejsca, które teraz zajmuję, jest nieco inny od tego, do którego wówczas przywykłem. Ponadto długo mnie tu nie było. Wielki komandor i marszałek w ostatnich dwóch latach wysyłali mi raporty, ale oni także postrzegają wszystko z wysokości swych

stanowisk. Aby wiedzieć więcej, muszę rozmawiać z szeregowymi braćmi, z żołnierzami walczącymi w pierwszej linii. Chcę znać ich odczucia, ich myśli. — Przekrzywił głowę. —

Twoje myśli, bracie Wilhelmie.

Will milczał. Był świadom swoich odczuć, ale nie miał pewności, czy chce je ujawnić.

Przede wszystkim — zaczął powoli — cieszymy się, że jesteś wśród nas, panie. Pod twoją nieobecność byliśmy nieco przygnębieni. Ale na ogół nastroje są dobre. Pokój nie wydaje się zagrożony.

Ach tak — mruknął Wilhelm. — Pokój. — Zmierzył Willa przenikliwym spojrzeniem. — Co

ciekawe, twoja ocena sytuacji jest mniej ponura niż opinie, których miałem już tu możliwość wysłuchać. — Uśmiechnął się lekko. — Nie obawiaj się mówić szczerze. Wiem, jak bardzo

przygnębieni byli bracia. Ujrzałem to w chwili, gdy po przybyciu spojrzałem im w oczy.

Stracili ducha właśnie dlatego, że trwa pokój. Ile twierdz odebrali nam Saraceni w ostatnich dziesięcioleciach? Bez mała trzydzieści. Ile istnień ludzkich? Boże! — westchnął ciszej. —

Tych nikt nie zliczy.

To prawda — przyznał Will. — Wszyscy ucierpieliśmy podczas wojen, ale...

A ty, Wilhelmie? Straciłeś kogo drogiego twemu sercu? Przyjaciela? Mistrza?

Will się zawahał, ale tamten patrzył mu prosto w oczy.

Ojca.

Jak?

W Safedzie.

Surowe rysy mistrza złagodziło współczucie.

Byłem w Akce, kiedy doszło do tamtej rzezi. Podziwiałem wówczas odwagę naszych braci,

którzy woleli śmierć niż odstępowanie od wiary. Słyszałem też o okrucieństwie Bajbarsa i

zbezczeszczeniu ciał. Poruszyło mnie to do głębi. Zdaję sobie jednak sprawę, że ty do dziś nosisz w sobie żalobę. Jakże musisz nienawidzić zabójców ojca!

Will poczuł ból i zdał sobie sprawę, że zacisnął pięści, wbijając paznokcie w ciało.

Kiedyś ich nienawidziłem — rzekł, dokładając starań, żeby jego głos brzmiał spokojnie. —

To minęło. Wybaczyłem sułtanowi w chwili, kiedy pozwolił mi pogrzebać szczątki ojca.

Słowa podziały jak płomień na knot świecy i gdy je wypowiadał, rozjarzyły się wspomnienia.

Wręczywszy Bajbarsowi w Cezarei traktat pokojowy podpisany przez księcia Edwarda, Will

udał się do Safedu w eskorcie dwóch gwardzistów, których przydzielił mu sułtan. Największa warownia Galilei, strzegąca ongiś brodu na Jordanie, wznosiła się strzaskana i okaleczona, w okopconych ogniem greckim i splamionych oliwą murach ziały głębokie rany od pocisków.

Twierdza obsadzona była setką mameluków; na przedmurzu pasły się kury i kozy, bawiły

dzieci żołnierzy i krzątały ich żony. Pomimo to zamek wyglądał jak wymarły. Był za wielki, aby wypełniło go stu ludzi. W pustych korytarzach kroki budziły smętne echo. Całym sobą czuł smutek, który tam pozostał, wsączył się niczym wilgoć w opuszczone dziedzińce

wypatroszone wewnątrz kaplicy Świętego Jerzego, z której wywleczono figurę patrona i

roztrzaskano ją na dziedzińcu. Na murze przy baszcie bramnej spostrzegł łacińskie słowa nabazgrane czymś ciemnym, pewnie sadzą:

Non nobis, Domine, non nobis, sed nomini Tuo da gloñam.

Nie dla siebie, Panie, lecz ku chwale imienia Twego... — pomyślał.

Templariusze mówili to, idąc do bitwy. Will przesunął palcami po czarnych literach,

zastanawiając się, kto je napisał i kiedy. Czy wówczas, gdy załoga opuszczała twierdzę

zwiedziona obietnicą darowania życia

wyprowadzona prosto na stracenie? A może były tu wcześniej; może idąc wtedy, krzepili

ducha widokiem znajomych słów?

Kiedy nierówną, kamienistą ścieżką dostał się do stóp wzgórza, widok osiemdziesięciu paru czaszek zatkniętych na włóczniach wstrząsnął nim, choć starał się na niego przygotować. Padł

na kolana i klęczał przez jakiś czas, zanim zdołał się podnieść i zrobić to, co zamierzył. Po sześciu latach w żarze i wietrze na kościach nie zostało wiele — nic, po czym mógłby poznać, czyje były za życia. Kilka spadło na ziemię, niektóre się obsunęły;

żelazne groty sterczały z odrażająco wielkich oczodołów. Dwóch brakowało w ogóle. Will

dowiedział się ze zgrozą, że ciała rycerzy spalono po egzekucji; jedynym, co zostało z nich na tej ziemi, były głowy. Mimo to czuł, że jeśli powierzy ziemi choćby tę cząstkę ojca, obaj będą mogli zaznać spokoju.

Obszedłszy dwukrotnie upiorny szereg, wrócił do zamku i znalazł łopatę, a potem przez całe skwarne popołudnie kopał wspólny grób dla wszystkich czaszek. Mamelucy przyglądali się

temu w milczeniu, nie próbując mu przeszkodzić — ostatecznie miał glejt od sułtana.

Pragnienie, pot i ból kruszących spieczoną ziemię ramion powoli stawały się torturą.

Wreszcie, gdy słońce zapadło za różowiejące na zachodzie góry, pogrążając w cieniu rzekę i równinę, uklepał ostatnią grudę ziemi na mogile. Usiadł ciężko w wonnej rozgrzanej trawie wypełnionej brzęczeniem owadów tak zmęczony, że nie miał nawet sił się modlić.

Spojrzał na wielkiego mistrza.

Nienawiść do zabójców ojca omal mną nie zawładnęła. Gdybym na to pozwolił, wciągnęłaby mnie w otchłań. Musiałem im przebaczyć.

Rozumiem — rzekł cicho Wilhelm. — Ale to nie zmienia faktu, że pokój nas okalecza. A że jesteśmy Saracenom solą w oku, wojna wydaje się nieunikniona i równie pewna jak to, że

wstaje słońce. Stoimy na skraju zagłady i musimy odzyskać grunt pod nogami. — Jego głos był spokojny

szczyry. — Jeśli zawiedziemy, skończy się chrześcijaństwo w Ziemi Świętej. Śmierć twego ojca i wszystkich tych dzielnych ludzi pójdzie na marne. Wiem, że tego byś nie chciał.

Nie — wymamrotał Will. Cóż innego miał powiedzieć? Wielki mistrz spodziewał się po nim, że będzie nienawidził Saracenów i rwał się do wralki o Grób Święty jak każdy dobry

chrześcijanin, dobry rycerz.

Przez dwieście lat przybywali tu ci, których Arabowie nazywali al-Fińdża, Frankami.

Wydarłszy w krwawym znoju muzułmanom wielkie miasta — Antiochię, Trypolis i

Jerozolimę — osiedlili się na tej ziemi, ustanawiając cztery łacińskie państwa. Płodzili dzieci, które nigdy nie widziały łagodnych wzgórz angielskich ani zielonych lasów Francji i Niemiec; ich horyzont ograniczały bezkresne, stare jak świat pustynie Syrii

Palestyny. Tymczasem z Europy szły wciąż kolejne fale, w bogatych miastach Wschodu

ludzie szukali bogactw i odpuszczenia grzechów. Z czasem jednak było ich coraz mniej;

osłabionych Franków wyczerpała ciągła obrona Jerozolima. Miasto, które swym syrenim śpiewem tak wielu zwabiło pod swe mury, od trzydziestu dwóch lat znajdowało się znów w rękach muzułmanów. Z czterech łacińskich władztw ustanowionych przez pierwszych krzyżowców ostało się tylko hrabstwo Trypolisu i okrojone Królestwo Jerozolimskie, którego stolicą była teraz Akka. Edessa przepadła, z dawnego księstwa Antiochii pozostał jeden port.

Zawijające do Akki statki były w połowie puste, choć z pokładów wciąż schodzili najemnicy i pielgrzymi uciekający od biedy i ciężących na nich zbrodni ku nowemu życiu.

Will wiedział, że mistrz ma rację. Wielu ludzi trawiła gorycz porażki w wojnie z Bajbarssem.

Pomimo wysiłków Anima Templi dla utrzymania pokoju templariusze i inni wciąż

wypatrywali na horyzoncie królewskich statków z armią, która przywróci chrześcijanom

Święte Miasto. Z każdym bowiem mijającym rokiem Frankowie spychani byli coraz silniej ku morzu, mamelucy wyrwali im ziemię kęs po kęsie i nikt nie wiedział, jak długo jeszcze

zdołają się utrzymać uczepli skrawka brzegu tonącego niemal w szmaragdowych

śródziemnomorskich falach.

Wilhelm zaczął mówić o swych planach umocnienia chrześcijan w Ziemi Świętej i Willowi

przypomniały się nabrzmiałe powagą słowa seneszala: „W nim widzę największe zagrożenie dla podpisanego rozejmu”.

Musimy scalić terytorium, które Bajbars pozostawił nam w rękach. Jesteśmy podzieleni,

osłabieni, niezdolni do zebrania sił. Akka to jakby... tłusty robak wijący się na haczyku. —

Mówił, starannie dobierając słowa

tylko czasami skupiając wzrok na Willu, który czuł się trochę tak, jakby nie był sam w

komnacie, jakby wielki mistrz przemawiał do większego, niewidzialnego grona. —

Większość z nas widzi tylko rdzę na haczyku, ale nie dostrzega szczupaka, który czai się pod nami w wodzie, gotów otworzyć paszczę i chaps! — Gwałtownie zamknął dłoń. — Wydrzeć

nam to, co pozostało.

Wstał, wziął świecę i smolną drzazgę i podszedł z nimi do komina.

Musimy działać razem, jeśli mamy przeżyć. Koronacja mego kuzyna powinna w tym dopomóc. Z czasem zdołaliby nas zjednoczyć. — Zapalił świecę.

Will uświadomił sobie, że tymczasem zrobiło się zupełnie ciemno. Niedługo będą dzwonić na nieszpory.

Czy to już pewne, panie? — spytał ostrożnie. — Ze Karol Andegaweński obejmie tron?

Mam taką nadzieję. Na soborze w Lyonie papież Grzegorz nakłoni! Marię Antiocheńską, aby odstąpiła Karolowi swoje prawa do korony jerozolimskiej. Kiedy umowa zostanie zawarta, a spodziewam się tego w ciągu roku, Karol będzie mógł dochodzić swoich roszczeń wobec

króla Hugona. Znow będzie nami rządzić sprawny władca.

Uwadze Willa nie umknęła pogarda w głosie mistrza. Wiele się w Akce mówiło o tych

sprawach, odkąd nadeszły wieści z lyońskiego soboru. Obecnym królem Jerozolimy był Hugo z Lusignan, władający także (Cyprem. Tytuł ów — skądinąd pusty, bo Jerozolimę zagarnęli muzułmanie

dawał jednak Hugonowi władzę nad Akką i tym, co pozostało z dawnego

frankijskiego Outremeru. Zamiast siedzieć na Cyprze, a rządy w Akce przekazać regentowi jak wielu jego poprzedników, Hugo postanowił sam ująć w ręce ster Ziemi Świętej. Will miał

okazję słyszeć liczne utyskiwania na ingerencję młodego króla w tutejsze sprawy; rząd Akki złożony z mistrzów zakonnych, możnego rycerstwa i kupieckiego patrycjatu od dziesięcioleci skutecznie opierał się próbom sterowania z zewnątrz i przywykł do samodzielności.

Panowanie Hugona nie w smak było także jego krewnicz- ce Marii, dziedziczce Antiochii, przekonanej, iż to ona ma prawny tytuł do jerozolimskiego tronu. Podobne konflikty

rozdierały Ziemię Świętą już w przeszłości, toteż juryści z Akki, świadomi

niebezpieczeństwa, jakie niósł ze sobą rozłam, opowiedzieli się za Hugonem. Will rozumiał

motywy ich decyzji: młody król Cypru był znacznie lepszym kandydatem niż starzejąca się niezamężna księżniczka. Maria jednak kilkakrotnie stawiała przed soborem lyońskim,

zanosząc doń petycje, i w końcu papież przekonał ją, by sprzedała swoje prawa

Andegaweńczykowi.

Will słyszał kiedyś uwagę seneszała, że papież nie jest zachwycony Hugonem i optuje za

przekazaniem rządów silniejszemu władcy. Osobiście jednak wątpił, aby potężnemu królowi Sycylii

udało się zjednoczyć Outremer. Hugo nie odda tronu bez walki i linia frontu zarysuje się zgodnie z utrwalonym wzorcem: templariusze i Wenecjanie sprzymierzeni z Karolem,

szpitalnicy i Genua pod sztandarami Hugona. Will miał silne przeczucie, że jeśli wypadki potoczą się zgodnie z wolą mistrza, to jeszcze zanim sytuacja się poprawi, wszyscy wytoczą sobie wzajem morze bratniej krwi.

Cóż — uciął nagle Wilhelm, chyba zdając sobie sprawę, że powiedział więcej, niż zamierzał

— sprawy te trzeba będzie omówić w przytomności innych, którzy powinni o nich słyszeć.

Poprosiłem cię tu, żeby ci podziękować, a zamiast tego zagadałem cię na śmierć. — Wstał, rozłożył przepaszając rękę i dodał z chłopięcym uśmiechem: — Wybacz mi. Podróż była

długa i spędziłem ją sam na sam ze swymi myślami.

To dla mnie honor, panie.

Mam do ciebie jeszcze jedną, ostatnią sprawę. — Wielki mistrz splótł ręce za plecami. —

Chcę cię prosić o wykrycie, kto pragnął mojej śmierci. Zamachowiec nie był doświadczonym zabójcą, tego jestem pewien, a nie widzę powodu, dla którego młody człowiek z ludu sam z siebie pragnąłby mnie zabić. Najprawdopodobniej działał z czyjegoś polecenia. Nasz

marszałek obejrzał ciało i uważa, że chłopak był Italczykiem. To

małec, którego widziałeś na nabrzeżu, to jedyne ślady, jakie posiadamy. Chciałbym, żebyś je zbadał.

Ale panie — bąknął Will — marszałek albo wielki komandor z pewnością sprawniej

przeprowadzą śledztwo.

Tylko ty w porę spostrzegłeś zagrożenie i tylko ty widziałeś tamto dziecko. Nie znam nikogo, kto miałby lepsze kwalifikacje.

Zza okna doleciał głuchy odgłos dzwonu, wzywając zakonników na nieszpory. Wielki mistrz nie spuszczał oczu z Willa. Rycerz poczuł się tak, jakby barki przygniotło mu kolejne

brzemię. Aż nazbyt wiele czasu zajmowała mu praca dla Duszy Świątyni. Ale mistrz czekał

na odpowiedź.

To dla mnie honor — powtórzył.

Wieczorem wielki mistrz templariuszy zasiadł w swojej komnacie przy pulpicie. Położył na nim wyjęty świeżo ze skrzyni podróżnej modlitewnik oprawny w obciążniętą skórą

deszczulki i spięty zdobną złotą klamrą.

Przez chwilę go nie otwierał, powiódł tylko dłonią po oprawie, wyczuwając pęknięcia w skórze czubkami palców. Był zmęczony i głowa go bolała. Rzadko chorował, toteż ból go rozstrajał. Po wieczornej mszy przemówił do braci w kaplicy i spotkał się z życzliwym przyjęciem ludzi, którzy z takim utęsknieniem go wyczekiwali. Potem zjadł z nimi posiłek w wielkim refektarzu. Chciał jeszcze przed spoczynkiem pomówić z dostojnikami zakonu, ale ból głowy mu to uniemożliwił. Cóż, to dopiero pierwszy dzień. Wszelkie narady mogą zaczekać do jutra.

Rozpiął klamrę i przewrócił kilka wytłuszczonych w rogach stron. Nie patrząc na nie, zaczął: Pater noster, qui es in coelis...

Przerwało mu pukanie. Zaraz potem drzwi się otwały i stanął w nich jego przyboczny, Sycylińczyk o krótkich, niemal białych włosach, przy których smągła twarz wydawała się jeszcze ciemniejsza.

O co chodzi?

Wybacz, że zakłócam twój spokój, lecz przy bramie jest mężczyzna, który prosi cię o posłuchanie. Zaklina się, że go znasz.

Podał imię?

Angelo.

Po twarzy Wilhelma przemknął cień, ledwie dostrzegalny, wystarczający jednak, by Zachariasz, który służył mu przez pięć lat na Sycylii, zorientował się, że jest mu to nie w smak.

Co rozkażesz? — spytał.

Wilhelm machnął niecierpliwie ręką.

Przyprowadź go do mnie.

Kiedy rycerz wyszedł, wielki mistrz dokończył modlitwę Pańską, zatrasnął brewiarz i schował go do skrzyni. Po chwili znów rozległo się pukanie i tym razem Zachariasz wprowadził ze sobą gścia. Na dany znak zamknął za sobą drzwi, pozostawiając ich samych w

światlicy.

Dostojny panie — skłonił się Angelo Vitturi. Na jego ciemnej, przystojnej twarzy malowała się obraźliwa wręcz obojętność. — Nie byłem pewien, czy przymujesz po tym niefortunnym powitaniu w porcie.

Zapomniałem, jak prędko rozchodzą się plotki w tym mieście rzeki sucho Wilhelm.

I dobrze, bo uwiadomiły nas o twym przybyciu.

Jestem pewien, że ta rozmowa mogła zaczekać dzień lub dwa. — Wilhelm podszedł do stołu, na którym brat służebny zostawił dzban wina.

Prawdę mówiąc, nie. Wyjeżdżam do Egiptu. — Angelo gestem głowy odmówił wina. —

Mam się spotkać z człowiekiem, o którym mówiłem ci we Francji.

A więc zgodził się pomóc? — Templariusz podniósł do ust puchar.

Muszę przyznać, że jestem zaskoczony. Nie sądziłem, że uda ci się tak prędko przekabacić jednego z nich.

Ten akurat nie dba o własne położenie. Było mu wszystko jedno. Niewiele się natrudziłem.

Po co tu przyszedłeś, Vitturi? — przerwał mu szorstko rycerz.

Angelo urażony ściągnął brwi.

Chcieliśmy się upewnić, że nic się nie zmieniło i jesteś, panie, zdecydowany. — Lekko wzruszył ramionami — Mogłeś się na przykład rozmyślić.

Wilhelm się uśmiechnął, jakby rozmowa zaczynała go bawić.

Lepiej się zastanów, zanim podasz w wątpliwość moje słowo. Jest cenne, więc nie traktuj go lekko.

Angelo wyczuł groźbę czającą się za tym uśmiechem, ale nie dał się zbić z tropu.

Mój ojciec i ja troszczymy się po prostu, żeby wszystko poszło gładko. Drugiej szansy nie będzie. Czy wiesz już, panie, kogo do tego użyjesz?

Tego nie będę wiedział, dopóki nie ustalę swojej władzy tutaj i nie poznam ludzi godnych zaufania. Z tego, co mi mówiłeś, wnioskowałem, że mam na to dość czasu. Czy coś się zmieniło?

Kradzież nie nastąpi tak prędko. Masz dużo czasu.

Wilhelm zajął w czarne, drapieżne oczy Wenecjanina. Dotknął czoła. Ból głowy mącił mu myśli.

Zatem na razie nie ma o czym więcej mówić. Ja dotrzymam swojej części umowy, jeśli wy dotrzycie waszej.

Angelo skłonił się sztywno i wyszedł na korytarz, gdzie czekał Zachariasz, żeby odprowadzić go do bramy.

Wielki mistrz podszedł do okna. Ten człowiek nie wywarł na nim dobrego wrażenia przy

pierwszym spotkaniu, a drugie nic w tej mierze nie zmieniło. Był na siebie zły, że zniża się do koalicji z kupczykami, świadom, że wykorzystują go dla własnych celów. Plan mógł odnieść skutek, ale był ryzykowny i Wilhelm poczuł ciężące na nim brzemienie. Odsunął od siebie

czarne myśli. Miał potężnych sojuszników: króla Edwarda, papieża, króla Karola. Nie

dopuszczą do upadku Ziemi Świętej. Gdy nadejdzie czas, poderwą Zachód. Był tego pewien.

Spojrzał ponad murami na tysiące pochodni rozświetlających, niczym rozsypane gwiazdy,

uśpione już miasto. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, już niebawem będą toczyć

wojnę z muzułmanami.

Człowiek robi to, co musi — szepnął i dodał jeszcze ciszej:

Przebacz mi, Boże.

Al-Bira, północna Syria Dwudziesty szósty dzień lutego roku Pańskiego 1276

Nieruchomą ciszę przedświtów rozdarł wrzask. Stada ptaków poderwały się w niebo z zarośli nad rzeką. Siedemdziesiąt katapult ustawionych szeregiem wokół al-Biry wystrzeliło kolejno swe pociski. Wyrzucone z potężnych proc wielkie gązdy poszybowały w powietrzu, by

roztraskać się na murach miasta. Chińscy bombardierzy natychmiast ściągali w dół pętle, kończące długie ramiona machin, ich pomocnicy zaś pośpiesznie wkładali kolejne gązdy do skórzanych kuleb. Od czasu do czasu miejsce kamienia zajmowała beczułka z płonąca smoła, ciągnąca za sobą czarny ogon dymu. Po chwili niebo rozjaśniało się wybuchem, a płomienie rozlewały się po umocnieniach.

Pod osłoną bombardowania pełzły w stronę miasta trzy wielkie czteropiętrowe wieże

oblężnicze. W każdej czekali, klęcząc, seldżuccy łucznicy ze strzałami na cięciwach, a na samym szczycie, stłoczeni za ciężką drewnianą kłapą, szykowali się do ataku najlepsi

mongolscy wojownicy w bojowych zbrojach misternie powiązanych z małych stalowych

płytek, dzierżąc w pogotowiu miecze i buławy. W ślad za wieżami, niosąc długie drabiny, maszerowali w szyku piechurzy. Ci mieli lżejsze zbroje z utwardzonej wołowej skóry, tarcze zawieszane na plecach, broń u boku. Barwne szaty zawoje Turków odcinały się jaskrawo

pośród burych mongolskich kaftanów. Wychudzeni i bladzi, nie przypominali już tych

krzepkich wojowników, którzy trzy tygodnie wcześniej ruszyli na zachód. Od kilku dni armię nękała choroba trzewi, powodująca biegunkę i gwałtowne wymioty. Zabrała kilkaset ofiar, lecz żywi wciąż zawzięcie parli przed siebie.

Zaraz po pierwszej salwie rozległy się jęki ludzi ranionych ostrymi odłamkami i miażdżonych przez głazy, które przetoczyły się po umocnieniach. Mameluccy łucznicy powitali

napastników chmarą strzał, które

zaćmiły niebo, nim osiągnąwszy najwyższy punkt, przechyliły się ku ziemi

runęły w dół, szpikując tarcze i ciała. Przerażeni mieszkańcy miasta tłoczyli się w meczetach; mężczyźni wzywali pomocy Allaha, kobiety bezskutecznie starały się uspokoić płaczące

dzieci. Garnizon, który Bajbars zostawił w al-Birze po mongolskiej napaści przed jedenastu laty, przeżył już niejedno oblężenie — po tej i po tamtej stronie murów. Bajbars wydarł

miasto okupującym je Mongołom wkrótce po swym wstąpieniu na tron

od tamtej pory trwała o nie wojna. Ale tym razem najeźdźcy znaleźli słabe punkty umocnień i na nich się koncentrowali. Mimo posiłków z Aleppo atak zbierał krwawe żniwo.

Obrońcy zwijali się jak w ukropie, naciągając mandżaniki i arrady

balisty umieszczone na platformach sterczących nad koroną muru. Pięciostopowy oszczep

wystrzelony z arrady trafił w rząd Mongołów niosących drabinę. Pierwszy w rzędzie nie

zdążył go nawet zauważyć. Grot przeszedł przez zbroję i ciało jak przez masło i nie tracąc impetu, nadział jeszcze trzech mężczyzn, tworząc z nich makabryczny szaszłyk. Z szeregów piechoty czekającej poza zasięgiem strzał wybiegło natychmiast czterech wojowników,

chwycili drabinę i podjęli marsz. Wokół padali inni i zastępowali ich kolejni. Posuwali się do przodu, zostawiając za sobą pole zasłane trupami.

Głazy z mameluckich mandżanik, wyrzucane w kierunku wież oblęż- niczych, czyniły mniej

szkody od oszczepów, każda bowiem ruchoma budowla okryta była warstwami skór, płócien

i worów wypełnionych sianem. Pomimo to wieże trzęsły się złowieszczo, gdy biły w nie pociski. Ulewa zmieniła przedpole w grzęzawisko, utrudniając zadanie ludziom ciągnącym liny. Ślizgając się w cuchnącym błocie, zbryzgani niemal do pasa, z zaciśniętymi zębami powoli, lecz stale wlekli wieże ku murom.

Iszandijar patrzył na to z odległości ćwierci mili. W tumanach kurzu dymu, które zawisły nad al-Birą jak całun, kłapa najbliższej wieży opadła na koronę muru. Z wnętrza wysypały się ludzkie postacie, skoczyły na czekających obrońców. Kilka chwil później o mur oparły się dwie pierwsze drabiny. Z dogodnego punktu obserwacyjnego na niewysokim wzniesieniu nad Eufratem widać było nawet pojedynczych wojowników.

Wystrzelona z katapulty beczułka płonącej smoły rozbryznęła się na narożnej baszcie. Ludzie spadali z murów niczym ogniste ptaki. Słychać było ich krzyki; potem litościwie okrył wszystko postrzępiony welon dymu.

Iszandijar odwrócił się do dwóch dowódców, którzy stali za nim.

Każcie ludziom, żeby byli w gotowości.

Czy powinniśmy się tak szybko ujawniać? — spytał jeden z nich z powątpiewaniem.

I tak wkrótce stracilibyśmy osłonę. — Emir machnął ręką wzdłuż biegu rzeki.

Przez ostatnie kilka mil kryły ich przed okiem wroga łagodnie nachylone brzegi Eufratu.

Zwiadowcy mieli za zadanie likwidować wszystkie mongolskie czujki, aby nikt się nie dowiedział o ich pochodzie. Tu jednak brzeg się wypłaszczył i na przestrzeni jakichś dwustu kroków był doskonale widoczny od strony twierdzy. Iszandijar spojrział w dół, na rozciągniętą linię swoich wojsk. Miało się wrażenie, jakby na pustyni wyrósł wielobarwny las najeżony włóczniami i grotami strzał. Żołnierze czekali, uspokajali konie, pili wodę z bukłaków, dociągali rzemienie zbroi. Oprócz pułku Iszandijara liczącego cztery tysiące żołnierzy nad rzeką stały dwa inne oraz oddziały, które udało się zebrać w Aleppo. W sumie było ich

dwadzieścia tysięcy, co równało się zaledwie dwom trzecim sił mongolskich.

Jeśli uderzymy teraz, kiedy są zajęci atakiem na mury, może zdołamy ich zaskoczyć. Tak czy owak, nie możemy dłużej zwlekać.

Zgadzam się — poparł go drugi oficer.

Poprowadzę szarżę pod mury. Wy zajmijcie się wojskiem stojącym poza linią oblężenia i machinami. — Iszandijar skinął im głową. — Niech Allah będzie z wami.

Zawrócili konie. Wznecając kłęby kurzu i wykrzykując po drodze rozkazy, popędzili wzdłuż oczekujących szeregów — piechoty, ciężkozbrojnej kawalerii, lekkiej jazdy beduińskiej oraz saperów niosących garnki z naftą. Spod rozwianych w pędzie płaszczy błyskały kolczugi.

Iszandijar wydał kilka komend i jego pułk sformował się do ataku. Piesi śpiesznie usuwali się na bok, by ich przepuścić. Z oddali dobiegał głuchy łoskot

krzyki; walka na murach toczyła się nadal.

Iszandijar wy dobył szablę z pochwy i wznosił ją nad głową.

Allah akbar

Setnicy podchwycili okrzyk i wyborowe oddziały mameluckiej kawalerii ruszyły

jednocześnie w górę pochyłego piaszczystego brzegu niczym morska fala wdzierająca się na ląd.

W parę chwil od ich pojawienia się na wyniesieniu rozległy się głośnie dźwięki rogu. W

mongolskim obozie, rozłożonym na równinie między rzeką a miastem, wszczęto alarm.

Jeźdźcy, obserwujący z tyłów walkę na murach, rzucili się do swoich koni, porywając w

biegu hełmy i włócznie. Zbliżająca się zbrojna nawała rosła im w oczach, wzbity kurz zdawał się zaciemniać cały horyzont.

Tymczasem dalsze wieże dotarły do murów. Mongołowie wylewali się z nich na platformy,

młócąc naokoło mieczami i buławami. Ustawiono już sześć drabin, a ukryci w wieżach

łucznicy bez wytchnienia szli do obrońców, którzy próbowali je strącić. Kolejni napastnicy wspinali się pośpiesznie, aby wspomóc walczących towarzyszy i przełamać opór. Mężczyźni klęli, pluli i warczeli, zmagając się ze sobą w ścisku; oczy łzawiły im od dymu i potu, stopy więzły w gruzie i potykały się na martwych ciałach.

Beduini jako pierwsi spadli na Mongołów. Posypały się strzały, noże i kamienie z proc;

postrzępiona chmura łopoczących chust i płaszczy przypominała rój śmiercionośnych os.

Kilka katapult znieruchomiało

obsługujący je Chińczycy zostali wycięci w pień. Iszandijar nie do końca ufał Beduinom —

zdarzało się nieraz, że wążpiąc w zwycięstwo, przechodzili na stronę wroga w zamian za udział w łupach. Ale patrząc na ich błyskawiczny rajd, był rad, że ma ich po swojej stronie.

Na swych lekkich koniach byli szybcy jak błyskawice, walczyli zaś zapamiętale i dziś wróg odczuł na sobie pełną moc ich ataku. Nie oszczędzali rannych i nie brali jeńców. Wyjąć

przenikliwie, wrzucali płonące pochodnie do namiotów, które zajmowały się natychmiast i płonęły jak papier. Wielu chorych pozostawionych w obozie było za słabych, aby walczyć.

Część zaczęła uciekać, puszczając mimo uszu gorączkowe rozkazy dowódców.

Iszandijar dostrzegł ciężką jazdę mongolską zbliżającą się z prawej i krzyknawszy na swoich, uderzył na oblegających rozciągniętych u stóp muru, gdy tymczasem prawa flank oddzieliła się, by przyjąć uderzenie jazdy. Mongolska piechota zwarła szyki, najeżyła się włóczniami i okryła tarczami. Jedna z drabin runęła, zepchnięta przez obrońców. Ludzie krzycząc do

końca, kurczowo trzymali się szczebli; inni zeskakiwali na ziemię, by po chwili upaść pod walącym się z góry ciężarem.

Emir wparł konia w tłum, zręcznie wyrąbując sobie drogę szabłą. Kiedy zwarły się za nim szeregi piechoty, ciął już na oślep. Ktoś skoczył na niego z nożem, łapiąc za szyję konia; twarz pod maską kurzu przerażała grymasem bitewnej furii. Iszandijar odrzucił go

kopniakiem i obrócił wierzchowca. Dobrze wyćwiczone zwierzę zbiło napastnika z nóg i przednimi kopytami zgmiotło mu czaszkę.

W ciągu pierwszych paru chwil mamelucka jazda przeszła przez zbity tłum u stóp muru niczym kosa przez łan zboża, ale zaraz uwięzła w nim jak w bagnie. Na śliskim gruncie zasłanym kamieniami i ciałami potykali się i ludzie, i konie. Ściągani z siodeł Arabowie ginęli rozdierani na strzępy przez mongolską tłuszczę, innych kładł grad tureckich strzał.

Krew tryskała w powietrze, okrywała wszystko czerwoną powłoką, a pod murem trwała niezmordowana rzeź.

Iszandijar zdołał się utrzymać w siodle, odpierając wciąż nowych napastników. Twarz miał skrzepłą, skupioną; postękiwał z wysiłku — po długim pochodzie i szaleńczym cwale zaczynały mu drętwieć kończyny. Ściął jakiegoś Mongoła i zaraz zwrócił się ku następnemu.

Od murów odpadły dwie kolejne drabiny i przestały ich zasypywać kamienie. Pod murem

panował kompletny chaos. Iszandijar nie widział, co się dzieje z pozostałymi stronami miasta. Z obozowiska Mongołów bił w niebo gęsty dym, ale wróg zdołał poderwać żołnierzy, którzy nadbiegali na pomoc zaatakowanym. Mamelucy padali — słyszał, jak konają wokół, i ogarnął go strach. Zdusił go bezwzględnie; odzyskana pewność dodała sił ramionom i z odnowioną werwą natarł na przeciwnika. Jeśli ma dziś zginąć, niech tak będzie. Powita śmierć wraz ze swymi ludźmi jako wojownika i wyznawcę Allaha.

W wirze bitwy nie od razu dosłyszał dźwięki rogów, a i później nie potrafiłby określić, skąd dochodzą. Potem kątem oka zobaczył jednego ze swych setników, który triumfalnie wznosił szablę. Zawróciwszy konia, ujrzał setki konnych galopujących przez równinę. Początkowo myślał, że to jego flanki, ale nie rozpoznał żadnego z pułków, które przyprowadził pod al-Birę. Jeszcze później zauważył, że mają na sobie barwy emira Aleppo. A zatem otwarto bramy i wycieczka z miasta ruszyła im na pomoc.

W ciągu paru chwil losy bitwy rozstrzygły się na dobre.

Widząc tę niespodziewaną odsiecz, Mongołowie zaczęli się cofać. Ich obóz płonął, wojska były podzielone. Niektórzy, zwarci w boju lub otoczeni tak, że nie mieli szans się przedrzeć, walczyli aż do śmierci. Większość jednak rzuciła się do ucieczki. Oddział jazdy popędził w stronę brodu, inni przekraczali rzekę w pław. Po dwutygodniowym oblężeniu, będąc o krok od zwycięstwa, zdziśiatkowani Mongołowie i sprzymierzeni z nimi Seldżuci zostali zepchnięci z powrotem za Eufrat. Pozostawili za sobą szlak usiany ciałami zabitych i rannych.

Kilka ostatnich ognisk oporu zostało szybko zduszonych i bitwa wkrótce dobiegła końca.

Iszandijar pociągnął łyk wody z bukłaka, przepłukał usta i wypluł na ziemię kurz i krew. Rana w nodze, naprędcie opatrzona przez medyka, paliła go jak ogień. Skinieniem wezwał do siebie jednego z oficerów.

Zawieź to do Aleppo — rzekł, podając zwinięty w rulon list. — Oddaj emirowi i każ, żeby zaraz pchnął gońca do Kairu. Sułtan niecierpliwie oczekuje wieści o zwycięstwie.

Oficer skłonił się i odszedł.

Iszandijar syknął, przenosząc ciężar ciała na zranioną nogę i pokuśtykał ku bramie, przez którą znoszono już do miasta rannych. Bitwa została wygrana. Odnieśli triumf, teraz czas oszacować straty.

Cytadela w Kairze Pierwszy dzień marca

Podniesione głosy zlały się w uszach Bajbarsa w natrętne brzęczenie. Spojrzał z

podwyższenia na zebranych dostojników siedzących na poduszkach u jego stóp. Tłumiąc chęć ziewnięcia, wyprostował się i silniej zacisnął dłonie na lwich łbach zdobiących poręczę tronu.

Twardy metal rzeźwiąco chłodził skórę.

Dość, Mahmudzie. Wszyscy już wiemy, jakie jest twoje zdanie w tej materii.

Mahmud skłonił się, urażony tak szorstką odprawą.

Emirze Kalaunie — rzekł Bajbars. — A co ty o tym myślisz?

Kalaun poczuł na sobie uważne spojrzenia piętnastu mężczyzn zgromadzonych w sali

tronowej. Upił łyk kordiału z pucharu, który trzymał w ręku, żeby dać sobie czas na zebranie myśli. Młodszy, jak Mahmud, wiercili się niecierpliwie. Rada wojenna od samego początku

była pełna napięcia i ząbionych dyskusji. Już ponad godzinę przerzucali się argumentami i jak dotąd problem pozostał nierozstrzygnięty.

Odstawił puchar na niski stolik i spojrzał sułtanowi w oczy.

Tak jak już mówiłem, panie: wykrwawianie się w walce z ludźmi, którzy w tej chwili nie są dla nas groźni, wydaje mi się pozbawione sensu.

Nie są groźni? — powtórzył kpiąco młody oficer, przyjaciel Mahmuda. — Dopóki na nas nie uderzą! Każdy dzień pokoju, którego od nas zaznają, działa na ich korzyść, pozwala budować statki i zbierać siły do ataku. Nie możemy im na to pozwalać!

Bogacimy się na handlu z nimi — odparł Kalaun. — Nic nie wskazuje na to, by szykowali się do wojny. Przeciwnie, Zachód nie ma już ochoty na kolejną krucjatę.

Zniszczenie łacińskich twierdz nie przeszkodzi kupcom. I tak do nas trafią. Nie musimy im pozwalać na okupowanie kraju, żeby na nich zarobić. Po co narażać się na atak, jutro czy choćby za dziesięć lat? — Mówca rozejrzał się po zebranych, szukając poparcia. Kilku

mężczyzn pokiwało głowami na znak zgody. — Każdy dzień, w którym Frankowie depczą naszą ziemię, jest dla nas obelgą!

Tylko głupiec pozwala obelgą wciągnąć się w wojnę — odparł chłodno Kalaun.

Rozwścieczony oficer zaśmiał się krótko.

Mienisz się synem islamu, Kalaunie, ale w duszy bardziej przypominasz chrześcijanina!

Na sali zerwały się gniewne okrzyki.

Cisza! —warknął Bajbars. Oczy mu błysnęły. — Przepraszasz emira Kalauna. Jest zasłużonym dowódcą i nie mniej gorliwym muzułmaninem ode mnie. Obrażając jego, obrażasz mnie.

Wybacz mi, emirze — mruknął niechętnie młody namiestnik.

Nie zapanowałem nad językiem.

Aby działania wojenne były skuteczne, muszą się skoncentrować na jednym przeciwniku — poparł Kalauna starszy mamelucki dowódca.

Mongołowie przez cały czas na nas napierają. Dlatego zgadzam się z emirem Kalaunem.

Następny ruch wydaje się oczywisty.

Pod al-Birę poszły już posiłki—wyrwał się znowu Mahmud. — Nie po raz pierwszy

Mongołowie atakują którąś z naszych twierdz i z pewnością nie po raz ostatni. — Podniósł

zuchwale głos, widząc, że Bajbars nie reaguje. — Niech wojska syryjskie zajmą się

utrzymaniem Mongołów za Eufratem, gdy tymczasem my tutaj skupimy się na Frankach. A

kiedy zawładniemy całą Palestyną i zmiażdżymy ostatnie gniazda niewiernych, ruszemy

razem, jedną wielką armią, do Anatolii. Dopiero wówczas, gdy naprawdę będziemy mogli

skoncentrować siły, pokonamy Mongołów raz na zawsze bez trwogi, że Frankowie wbiją nam

nóż w plecy. Dlatego powiadam: najpierw wygnajmy chrześcijan i oddajmy Palestynę prawo-

wiernym! Mongołowie to drobna zaiste przeszkoda, która nie powinna nas zawrócić z tej

drogi.

Słuchając tych namiętnych słów, Kalaun stwierdził z niepokojem, że młody dowódca jest

doskonałym mówcą i mógłby porwać za sobą tłumy.

Drobna? — wtrącił. — Tak nazywasz potęgę, która podbiła państwa i starła z powierzchni

ziemi całe ludy? Kto dzierży dziś pół świata, kto ma w rękach wszystkie szlaki handlowe ze Wschodem?

Pomruki części zebranych świadczyły, że są tej samej myśli, ale liczniejsi patrzyli na niego krzywo. Twarz emira stwardniała.

Nie po to przed dziesięciu laty powiodłem pułki do Cylicji — rzekł ostro — nie po to

włokłem swoich ludzi przez góry i pustynie wprost na ormiańskie miecze, abyśmy teraz
ziemie zdobyte w ciężkiej walce oddali darmo Mongołom. Wzięliśmy Cylicję, żeby móc
opanować Anatolię. Nie możemy się cofnąć. Dziś Mongołowie atakują poszczególne miasta,
ale jeśli oddamy im choć piędź ziemi, runą na nas całą swoją siłą i wszystko, co zdobyliśmy od czasu
Ajn Dżalud, pójdzie na marne.

Na wspomnienie bitwy Bajbars poruszył się na tronie.

Nad Źródłami Goliata Mongołowie ponieśli pierwszą klęskę, o jakiej słyszał świat. To on im ją
zadał. Och, jakże słodki był wówczas triumf! Dzień pomsty na tych, którzy wyrznęli jego plemię, a
jego samego sprzedali w niewolę, był zarazem końcem życia w kajdanach i

początkiem drogi ku władzy. Na samo wspomnienie odmłodniał. Czuł, jak buzuje w nim
oczekiwanie, jak jego pewność rośnie. Zbyt długo Frankowie byli mu popiołem w ustach.

Dziś jeszcze nie mógł nasycić się ich krwią. Tkwili zamknięci w niezdobytach miastach,

podczas gdy Mongołowie czekali na granicy, wyzywając go, by się z nimi zmierzył. I on tego pragnął;
serce rwało się do boju. Miał ochotę znów ścisnąć w dłoni miecz, poczuć na twarzy suchy oddech
pustyni.

Podjąłem decyzję — rzekł i wszyscy umilkli.

Twarz Kalauna przypominała maskę, lecz serce biło mu szybko, boleśnie.

Ruszymy do Anatolii.

Na twarzach Mahmuda i jego kompanów odmalowała się wściekłość. Kalaun poczuł
przyływ ulgi, lecz w ślad za nią zaraz pojawił się niedosyt. Tak czy owak, będzie wojna.

Bajbars rozpęta nową zawieruchę. Tej jednak Kalaun nie mógłby zapobiec. Mongołowie nie
chcą pokoju. Trzeba się przed nimi bronić.

Rozejm, który zawarłem z Frankami, pozwoli mi rzucić wszystkie siły przeciw Mongołom —
mówił Bajbars. — Nie wierzę, że zechcą go złamać. Boją się stracić resztki ziem w

beznadziejnej walce. Kiedy zajmiemy Anatolię i wyprzemy z niej Mongołów, przyjdzie kolej na
Franków. — Sułtan wstał. — Po otrzymaniu wieści spod al-Biry zawezwę was znowu.

Ustalimy wtedy dalszą strategię.

Dostojnicy zaczęli wychodzić z sali, tocząc ciche rozmowy. Kalaun przemknął obok nich, modląc się, by nikt go nie zaczepił. Miał dość dyskusji jak na jeden dzień. Ruszył sklepionym kruzgankiem, gdzie wpadający pod arkadę wiatr szeleścił liśćmi ozdobnych roślin i szeptał o nadchodzącym lecie. Tuż przed końcem korytarza dołączył do niego szary, przygarbiony cień. Brwi Kalauna ściągnęły się z nietajonym obrzydzeniem.

Kadir wesoło wyszczerzył resztki zębów.

Bądź pozdrowiony, emirze! — wykrzyknął, gnąc się przed nim w przesadzonych pokłonach.

Czego chcesz?

Zapytać cię o wynik rady wojennej.

Spytaj swego pana — warknął Kalaun i ruszył dalej.

Białe oczy zaklinacza zwężyły się. Podbiegł truchtem, żeby nadążyć za długimi krokami emira.

Dokąd to, Kalaunie, wiedziesz mego pana?

Ja jego?

Kadir zastąpił mu drogę. Kiedy Kalaun chciał go ominąć, zaklinacz jednym skokiem znów stanął przed nim.

Widzisz, jak tańczymy? — zachichotał i obrócił się na palcach.

Tak ty tańczyłaś podczas rady. Tańczyłaś wokół mego pana, upajając go swym głosem, aż zapomniał, w którą stronę zmierza.

Znów szpiegowałaś? — Kalaun postanowił w duchu, że każe zamurować tajne przejście biegnące wokół sali tronowej, w którym już raz kiedyś przydybał Kadira. — Skoro tak, nie musisz mnie o nic pytać. — Ruszył dalej. Kadir zwinnie uskoczył mu z drogi.

Chcę pojąć, dlaczego odwracasz jego wzrok od Franków?

To sułtan postanowił, że uderzymy na Anatolię.

Nie on! — parsknął wściekle Kadir. — Nie on. Od wielu miesięcy sączysz mu do uszu: „Nie uderzaj na Franków! Nie atakuj Franków!”.

Nie muszę się przed tobą tłumaczyć.

Każdy rozejm można zerwać, emirze. Na Zachodzie są ludzie dla nas groźni: król Sycylii, a także Edward z Anglii. Templariusze mają nowego mistrza; to silny człowiek. Jeśli

którykolwiek z nich powstanie przeciw nam, ruszą za nim tysiące. Obaj wiemy, jak bardzo zmienił się nasz pan po śmierci Omara. Wystarczyła chwila: Omar przepadł, a wraz z nim

wielkość mego pana. Widzę to, Kalaunie. Widzę, jak traci swój kraj.

Kalaun przystanął. Oczy starca były rozszerzone, dzikie.

Taaak — mruknął zaklinacz, widząc zmianę na twarzy emira.

Musimy go ratować, ty i ja.

Nie zmienię zdania, Kadirze. — Kalaun potrząsnął głową. — Nie będę namawiał sułtana do ataku na Franków, bo nie wierzę, że wyszłoby nam to na dobre.

Nie o to mi chodzi — sarknął ze zniecierpliwieniem starzec. — Nie

o

to.

Aby nasz pan znów chodził w chwale, musi zemścić się krwawo na tych, którzy zawrócili go z drogi. — Twarz Kadira skurczyła się ze złości.

Asasyni, o tak, ci już zapłacili! — Palce zaklinacza machinalnie ścisnęły złocistą rękojeść sztyletu u pasa. — Ale nie ten, kto ich najął. Nasi szpiedzy wskazują na Franków.

Widząc niewzruszoną minę Kalauna, starzec zasyczał wściekle jak wąż:

Trzeba znaleźć człowieka, którzy nasłali morderców! Dopiero kiedy zemsta się dokona, nasz pan zdoła wrócić na właściwą drogę i pokonać chrześcijan.

Kalaun pokręcił głową.

Przeszłość jest martwa i niech tak zostanie, Kadirze. To co proponujesz, jest głupie. Możemy go szukać przez wiele miesięcy, a i to na próżno.

W asasyńskich warowniach siedzą teraz nasi namiestnicy — odparował Kadir. — Łatwo

będzie przeprowadzić śledztwo. Poślij Nazira. To Syryjczyk, zna tamte okolice.

Nie. — Kalaun znów ruszył z miejsca. Zatrzymało go wołanie:

Widzę, co robisz z Baraką!

Emir obrócił się, zważając, by nie zdradzić niepokoju.

O czym znów pleciesz?

Co dzień masz silniejszy wpływ na chłopca. Wydałeś za niego córkę. Tylko ślepiec lub nader ufny głupiec by się nie domyślił, że z jakiegoś powodu chcesz zdobyć jego zaufanie. — Kadir postąpił o krok bliżej.

Nie lubisz go przecież. Wiem, że go nie lubisz. A jednak poświęcasz swój czas, by go uczyć, choć od tego ma nauczycieli.

Czy to źle, że się interesuję swoim zięciem?

Zaklinacz skrzywił się pogardliwie.

Czynisz więcej, niż winien ojciec lub przyjaciel. Chcesz się zbliżyć do tronu. To także widzę.

Ależ oczywiście! — zaśmiał się Kalaun.

Zaskoczony starzec podejrzliwie zmrużył oczy.

Im bliżej tronu znajdzie się poddany, tym większy sływa na niego splendor. Pragnie go

każdy emir, namiestnik, ba! każda żona władcy. Nie przeczę, że i ja. Ale nie chcę władzy dla siebie. Umacniając przy niej swoich panów, zapewniam im pozycję, z której oni z kolei mogą obsypywać mnie łaskami. — Twarz Kalauna stwardniała. — Zanim znów zaczniesz swoje

gierki ze mną, Kadirze, zajrzyj lepiej we własną przyszłość, bo nie będzie ona ani radosna, ani długa, jeśli nadużyjesz mojej cierpliwości. — To rzekłszy, odszedł, czując wzrok zaklinacza wbijający mu się w plecy niczym szylet.

Nad Kairem zapadał wieczór. Między budynkami, powleczonymi przez zachodzące słońce

barwą dojrzałych pomarańczy, zbierały się już cienie. Drzewa w sadzie pod murem cytadeli kołysały się sennie w podmuchach wiatru pachnącego dymem, gnojem i setkami wieczerzy

gotowanych w stłoczonym u stóp warowni mieście. Za murami, na tle aksamitnej pustyni, Nil wydawał się czarny jak atrament. Angelo, który zostawił konia w gospodzie, ciaśniej owinął

się płaszczem.

W minionych latach bywał w Kairze wielokrotnie. Handlował z mame- lukami, przywoził im

klatki pełne chłopców w zamian za sakwy błyszczącego saraceńskiego złota. Dzisiejszy

interes był jednak delikatniejszy, toteż nie wyściubiał nosa ze swej kwatery, dopóki nie nadszedł czas. Po przyjeździe wysłał wiadomość do cytadeli, posługując się ulicznym

dzieckiem. Odpowiedziano mu, że ma czekać właśnie tutaj.

Przystanął. W cieniu poskręcanych drzew na końcu sadu ciemniała stara cysterna z

obkruszonym brzegiem. Ktoś na niej siedział. Ruszył w tamtym kierunku.

Masz? — spytał po arabsku.

Mężczyzna był odziany w długi czarny płaszcz i zawój okrywający głowę i twarz. Kiedy

wstał na powitanie, błysnęły tylko oczy. Sięgnął za pazuchę, wyjął srebrną tuleję zdobioną filigranowym ornamentem z kwiatów lotosu.

Angelo wziął tubę, wyjął z niej zatyczkę i wytrząsnął zwinięty list. Zerknął na papier, potem na mężczyznę.

Napisano tu dokładnie to, co mówiłem?

Tak.

Jak rozumiem, tylko Kajsan będzie umiał odczytać list? — Wene-

cjjanin schował zwój i wetknął tubę do sakwy, którą miał u pasa. Gdyby wpadł w niepowołane ręce...

A ty potrafisz? — spytał krótko mężczyzna.

Angelo udał, że nie zwrócił uwagi na ton, jakim zostały wypowiedziane te słowa.

Twój brat zaprowadzi naszych do Mekki, gdy przyjdzie pora?

Tak.

Pamiętaj, jaka jest stawka. Jeśli mnie zdradzisz, jeśli w tym liście znajduje się choć jedno słowo, które zniweczy mój plan, ty i twój brat drogo za to zapłacicie. Jesteś moim dłużnikiem.

Nie zapominaj o tym.

Jakżebyś mógł? — mruknął tamten. Widząc, że Wenecjanin zbiera się do odejścia, dodał: —

Myślę, że i ty wywiązesz się z umowy?

Angelo obrócił się przez ramię.

Kiedy zabierzemy Kamień, będziesz miał wszystko, czego pragniesz.

Mężczyzna patrzył za nim długo.

Od dawna na to czekam — szepnął.

Dzielnica wenecka w Akce Dwunasty dzień marca roku Pańskiego 1276

Otwierane drzwi skrzypnęły głośno, drażniąco. Will wyrzwał przez poręcz do opustoszałej sieni. Słysząc tylko stłumione głosy z kuchni. Elwina otworzyła drzwi świetlicy i gestem ponagliła go, by wszedł.

Wnętrze było wyzłocone słońcem. Bielone ściany i kilka zwierciadeł z polerowanego srebra rozpraszały światło po wszystkich kątach. Na środku stał stół na krzyżakach i ława. Stół

zasłany był dokumentami, a obok z drążka zwieszała się niebieska jedwabna szata i czapka.

Mogło się wydawać, że ktoś jest w środku, i żołądek Willa ścisnął się ze strachu. Kolejne drzwi prowadziły do sypialnej alkowy, zajętej w większości przez obszerne łoże, nakryte wytwornym fioletowym adamaszkiem przetykanym złotą nicią. Inne tkaniny zdobiące

wnętrze — zasłony u okien, poduszki na ławie, zasłona przed kominem — były nie mniej

cenne. Wszystko to nadawało majestatyczną, a zarazem zmysłową aurę izbie, która bez nich byłaby bardzo skromna. Poczul lekki zapach kwiatów i zauważył stojącą na skrzyni misę

wypełnioną ususzonymi płatkami. Z pewnością postawiła ją tu żona Andreasa. Jeśli nie liczyć papierów na stole, atmosfera była tu bardzo kobieca, panował ład, lecz inny, miększy od ascetycznego porządku koszar, do którego Will przywykł. Mimo zażenowania uśmiechnął się do swoich myśli. Przypomniało mu się, jak matka z nieodłączną Isendą opartą na biodrze

stawiała zawsze kwiaty w domu jego dzieciństwa.

Elwina podeszła do okna i usiadła w wykuszu. Obejrzała się na Willa, który wciąż stał w progu.

Dlaczego nie wchodzisz?

Nie możemy iść do ciebie?

Nie, chyba że chcesz mieć towarzystwo chorej dziewczki służebnej.

Zdjęta welon kryjący włosy i potrząsnęła głową. Masa wijących się miedzianozłotych pasem spłynęła jej na ramiona. Kiedy się pochyliła, żeby zdjąć ciżmy, dekolt płóciennej koszuli rozchylił się, ukazując Willowi kuszące zagłębienie między bladymi piersiami. W lecie

Elwina łatwo się opalała i dostawała piegów, lecz zimą była biała jak alabaster.

Nie bój się — uśmiechnęła się do niego, podwijając pod siebie długie nogi.

Andreas jest w składzie?

Wniosła tylko oczy ku niebu i zapraszająco poklepała leżącą obok poduszkę.

A Besina i dzieci na targu?

Wiesz, że tak. — Przyjrzała mu się badawczo. — Czemu jesteś taki spięty? Chodzi o ten pokój? Przecież byłeś tu już.

I wtedy też czułem się spięty — mruknął. Podszedł do niej, rozpinając czarny płaszcz kryjący białą zakonną szatę. Rzucił go na siedzisko i usiadł, mimochodem zauważając, jak przejrzysta wydaje się w słońcu jej suknia. — To ryzykowne.

Ryzykujemy od szesnastego roku życia. — Elwina zmarszczyła brwi. — O co ci chodzi?

O nic. Naprawdę! — zapewnił, widząc jej podejrzliwą minę i zmrużone badawczo oczy. Z

kącików rozbiegły się delikatne kurze łapki, znaczące upływ czasu. Miał ochotę sięgnąć i wygładzić je palcem. — Od przyjazdu wielkiego mistrza wszyscy rygorystycznie

przestrzegamy reguły. Wyłazimy ze skóry, żeby zrobić na nim dobre wrażenie. — Zaśmiał się.

Żałuj, że nie wieszasz z nami w preceptorium. Brat kucharz przechodzi sam siebie. Dzik pieczony z jabłkami, ryż z szafranem, karmelki z cukru i miodu...

Zauważyłam, że przybyło ci nieco ciała — skwitowała sucho, ale zaraz się uśmiechnęła. —

Mistrz daje wam zajęcie?

I to sporo. Dlatego tak długo mnie nie było. Nie miałem czasu.

Prawdę mówiąc, ja też nie. — Elwina, nagle speszona, wygładziła suknię. — Zostałam... kancelistką.

Jak to?

Odkąd doża wenecki zaopatruje się u Andreasa, popyt na jego jedwabie znacznie wzrósł.

Teraz Tusco przez większość czasu siedzi w Wenecji i rozsyła dostawy. Andreas wdraża

Nicola do przejęcia wszystkich spraw związanych z frachtem.

Will nie poznał osobiście synów Andreasa ani innych członków rodziny, którą doskonale znał

ze słyszenia. Tylko na Katarinę natknął się raz przez przypadek. Wiedział jednak, że Nicolo zaleca się do Elwiny. Opowiedziała mu kiedyś ze śmiechem, że młody Wenecjanin w

tajemnicy przyszedł do jej izby z kwiatami i poprosił ją o rękę. Od razu pojął, dlaczego mu o tym mówi: żeby przypomnieć, że jest wciąż powabna — i wolna, nie uczynił jej bowiem

swoją żoną. Podziałało. Teraz ilekroć wspominała

tamtym, czuł użądlenia zazdrości, które czasem piekły go jeszcze długo.

W związku z tym Andreas ma mniej rąk do pracy w składzie — ciągnęła. — Potrzebuje

kogoś do pomocy przy rachunkach, a Elizabetta ani Donata nie interesują się handlem.

Zresztą znalazł już narzeczonego dla Elizabetty, a Donata też wkrótce skończy czternaście lat.

— Uśmiechnęła się. — Andreas mówi, że traktuje mnie jak córkę, a ponieważ już nieraz mu pomagałam, siłą rzeczy wybór padł na mnie.

Cieszę się przez wzgląd na ciebie — rzekł ciepło, wiedząc, jak ciężko zapracowała na ten awans.

W Paryżu, będąc dworką królowej, Elwina, choć niezamężna, nie musiała się troszczyć o

swoje miejsce w świecie: miała dach nad głową i przyzwoitą pensję. Tu nie chronił jej już klosz; była niezależna, ale to oznaczało także większe ryzyko. Bardzo niewiele rzemiosł

zatrudniało kobiety — tkactwo, piwrowarstwo i pranie wyczerpywały większość możliwości

zarobku. Nowe obowiązki świadczyły o zaufaniu, jakim obdarzył ją kupiec, i czyniły jej

pozycję o wiele mocniejszą. Bez Andreasa ciężko byłoby jej wyżyć w Akce. Zważywszy, ile kobiet przybywało na Wschód, uciekając od niechcianych mężów, trudno się było dziwić, że w Akce na pięciu mężczyzn przypadła jedna ladacznica.

Dziękuję — bąknęła, mnąc złożony na kolanach welon. — To wszakże oznacza, że będę

miała teraz więcej pracy... — zerknęła na niego

i mniej czasu dla ciebie.

Nie będę się skarżył, jeśli tylko ty będziesz zadowolona.

Spochmurniała i odwróciła wzrok.

Will zagryzł usta. Ciekawe, czym ją teraz uraził. Odetchnął głęboko

rzekł:

Ja też awansowałem. Wielki mistrz mianował mnie komandorem.

Komandorem? — Spojrzała na niego zdumiona.

Też byłem zaskoczony. Dwa tygodnie temu wezwał mnie, żebym złożył mu raport ze śledztwa w sprawie zamachu. Potem mi to powiedział.

Widać spodobał mu się raport — mruknęła Elwina z lekkim przekąsem. — Wiesz już, kto chciał go zabić?

Jeszcze nie. Wiemy, że zamachowiec był Italczykiem. Na razie zdołałem się tylko rozmówić z konsulami Wenecji, Pizy i Genui, prosząc,

żeby każdy z nich zbadał sprawę także we własnym zakresie. Wenecki był bardziej pomocny niż inni, lecz nie zdołał ustalić tożsamości zabitego.

Will ze znużeniem wzruszył ramionami. — Problem polega na tym, że warczą na każdego, kto nie jest ich ziomkiem. Niby mieszkamy w jednym mieście, ale odgradzamy się tak wysokimi murami, że równie dobrze mogliśmy żyć w różnych krajach. Doradziłem mistrzowi, żeby obiecał nagrodę za informacje, które doprowadzą nas do organizatora zamachu. Zgodził się. Wysłaliśmy już obwoływaczy.

Słyszałam. Nicolo mówił o tym przedwczoraj.

Dobrze — rzekł Will z ulgą. — Niech ludzie wiedzą. — Potarł brodę, jak przywykł ostatnio robić, kiedy był czymś zaaferowany. — Mam nadzieję, że wkrótce czegoś się dowiemy. Nie mam innych pomysłów, a nie chciałbym, żeby mistrz doszedł do wniosku, że awansując mnie, popełnił błąd.

Elwina wzięła go za rękę, odsuwając ją od brody.

Wyrwiesz sobie cały zarost — powiedziała miękko. — Robiłeś co w twojej mocy i za to cię nagrodił. — Pokręciła głową. — Nic się nie zmieniłeś, Will. Ilekroć spotka cię coś dobrego, natychmiast zaczynasz wietrzyć zbliżające się nieszczęście.

Spojrzał na nią. Wiedziała, o czym pomyślał: w dniu, w którym został pasowany na rycerza, stracił zarówno ojca, jak i ją. Nie chciała mu o tym przypominać. Zła na siebie, podjęła: Nie możesz wiecznie być chodzącym ideałem. Starasz się wszystkich zadowolić i jest to

godne pochwały, ale musisz też wiedzieć, kiedy sobie odpuścić.

Daj spokój — rzekł ze znużeniem, ściskając jej rękę. — Przyszedłem cię zobaczyć, a nie wyzalać się ze swych rozterek. — Splótł palce z jej palcami, dłonie zwały się ciasno. —

Możemy zacząć od początku?

Przysunęła się bliżej.

W ogóle nic nie mówmy.

Kiedy się nad nim pochyliła, zamknął oczy. Poczł muśnięcie jej warg na swoich, tak lekkie, że było niemal torturą. Dopiero po chwili pozwoliła, by ich usta stopiły się ze sobą. Ujął ją w pasie, podniósł i posadził sobie na kolanach, tak że objęła go udami. Boże, ileż to czasu minęło, odkąd byli ze sobą.

Elwina oderwała się od niego i zajrzała mu w oczy. Jej palce rozgarnęły mu włosy, wywołując rozkoszny dreszcz, i obsunęły się na kark, na którym pulsowała niebieska żyłka.

Stęskniłam się za tobą — szepnęła i zaraz znów się nad nim schyliła, żeby ukryć blask w oczach.

Will powiódł dłońmi po zewnętrznej stronie jej ud, potem cofnął ręce, znów ją objąć. Ale Elwina zawróciła je stanowczo, powiodła wyżej, pod fałdy sukni. Ich serca przyśpieszyły.

Przycisnął ją do siebie, a ona pochyliła się, żeby pocałować go w szyję. Skórę miała gorącą.

Półprzytomny z rozkoszy, rozchylił powieki i ponad ramieniem Elwiny ujrzał w progu drobną postać. Widok podziałał nań jak kubeł zimnej wody.

Jezu!

Co? — Elwina wyprostowała się gwałtownie. Obejrzała się i zobaczyła Katarinę. Zeskoczyła mu z kolan, obciągnęła suknię i bosy podbiegła do dziewczynki. Powiedziała coś po włosku, czego Will nie rozumiał, a potem wyprowadziła ją z izby.

Wstał i wygładził zmiętą tunikę. Zza drzwi dobiegł go chichot i coś, co brzmiało jak „obłapka”.

Chwilę później Elwina wróciła do świetlicy.

Co ty robisz? — spytała, widząc, że Will sięga po płaszcz.

Opuszczam alkowę twego chlebobdawcy, zanim znajdzie mnie tu jego żona, ty stracisz pracę, a mnie wykluczą z zakonu — mruknął, zarzucając płaszcz na ramiona.

Will, uspokój się. Besiny nie ma. Katarina nie poszła z nimi dzisiaj na targ. Kazałam jej bawić się na

górze, ale widocznie zobaczyła cię, kiedy wchodziłeś.

A jeśli powie ojcu? — Lekki ton Elwiny wcale go nie uspokoił. — Wszystko było inaczej, póki o mnie nie wiedziała. Ale teraz... Jeśli to dojdzie do Templum...

Nie dojdzie. Zresztą nie tylko Katarina o nas wie.

Jeszcze Robert i Szymon. Ale oni wiedzą od dawna i żaden na mnie nie doniesie.

I Ewerard.

Ewerard nie zwróciłby uwagi, gdybyś przeszła nago przez klasztorny dziedziniec. Obchodzi go tylko praca.

Bądź pewien, że t o by zauważył. — Zachichotała łobuzersko.

Elwino, to nie jest śmieszne. Jeśli Katarina będzie się za nami snuła, nigdy nie będziemy już sami.

Gdybyś wziął mnie za żonę i wprowadził do własnego domu, byłoby inaczej — odparowała.

— Nie musielibyśmy czekać, aż wszyscy wyjdą. Nie musiałabym przekupywać służek

podarunkami, wywieszać chustki z okna, żeby cię ostrzec, ani zastanawiać się, co się stało, kiedy całkiem znikasz.

Wiesz, że to niemożliwe — westchnął.

Patrzyli na siebie w milczeniu. Elwina zacisnęła usta, a po chwili potrząsnęła głową.

Nie tak wyobrażałam sobie dzisiejszy dzień. — Podeszła do stołu i wzięła zeń mały skórzany worek. — Nadstaw rękę.

Elwino...

Zrób, o co proszę.

Wytrząsnęła mu na dłoń cienki srebrny łańcuszek z okrągłym medalionem. Will obrócił go czubkiem palca. Na awersie widniała postać mężczyzny deptającego węża.

To święty Jerzy — powiedziała, kiedy podszedł do światła, żeby mu się lepiej przyjrzeć.

Piękny. — Spojrzał na nią. — Czymże sobie na to zasłużyłem?

Zobaczyłam go i zapragnęłam ci go podarować. — Wzruszyła ramionami. — Żeby uczcić mój awans.

Nie mam czym ci się odwdziżyć.

Nie po to daje się prezenty. — Wzięła od niego wisior i stanęła na palcach, żeby mu go założyć. Poczul na piersi chłód metalu. — Niech ten drobiazg ci przypomina, że święty Jerzy czuwa nad tobą.

W sercu Willa wzruszenie mieszało się z poczuciem winy. To nie był zwykły drobiazg i Elwina to wiedziała. Opowiedział jej kiedyś, jak w zamkowej kaplicy w Safedzie znalazł strzaskany posąg świętego, patrona Templum; jak sprzął się on nierozzerwalnie w jego pamięci z symbolicznym pochówkiem ojca. Symbolizował koniec. Bardzo pragnął dać jej coś w zamian; coś więcej niż gorączkowe, kradzione chwile miłości — ale bał się, że każdy podarunek nazbyt będzie przypominał zapłatę.

Dziękuję — szepnął.

Pocałowała go przelotnie w usta. Namiętność wyparowała, zastąpiła ją czułość. Uścisnął ją krótko.

Następnym razem będzie lepiej — powiedział. — Przyrzekam.

Opuściwszy dom kupca, ruszył ulicą Winiarzy prowadzącą do bram

dzielnicy. Zatłoczona straganami, powolnymi osłami i ręcznymi wózkami pełnymi towaru nie pozostawiała wiele miejsca na ruch pieszy. Bezzębne staruchy i brudne dzieci wyciągały ręce po jałmużnę. Tworzące się w ścisku grupki wycofywały się do bram i sieni, żeby pogadać o interesach. W górze niczym świąteczne proporce łopotało pranie rozwieszzone na sznurach

przeciągniętych nad ulicą. Świnie ryły w odpadkach na środku drogi. Kojący zapach

świeżego chleba ze wspólnej piekarni mieszał się z mdlącym aromatem haszyszu i cierpkim odorem winiarni. Człowiek miał wrażenie, że przebija się przez wał dźwięków i woni,

równocześnie kuszących i odrażających.

Idąc, Will układał w myśli plan dzisiejszych zajęć. Może to i lepiej, że spotkanie z Elwiną zostało tak nagle przerwane. Musiał jeszcze pogadać z obwoływaczami, złożyć raport ze

swych poczynań marszałkowi i wielkiemu komandorowi, a potem spróbować rozmówić się z

Ewerardem. Nie miał do tego okazji przez ubiegłe kilka dni, bo zadanie zleczone przez

wielkiego mistrza wypełniło mu cały wolny czas. Kiedy ostatnio się widzieli, Ewerard wciąż trapił się podejrzeniami co do króla Edwarda. Will nie miał dla niego żadnych krzepiących wieści;

zapewnił go tylko, że napisał do Garena. Niewiele więcej mógł zrobić. Miną miesiąc, nim list dotrze do Anglii.

Doszedł prawie do końca ulicy, gdy poczuł, że ktoś ciągnie go za płaszcz. Odwrócił się

gwałtownie, pewien, że chcą go okraść, i złapał biegnącego za nim malca. Ten pisnął, gdy szarpnięcie omal nie uniosło go w powietrze. Will już miał zamiar go odepchnąć, lecz nagle go poznał.

To ty byłeś w porcie! — krzyknął zaskoczony, zacieśniając chwyt.

Wokół rozległy się sarkania i klątwy przechodniów, którym zatarasował drogę. Ktoś zażądał, żeby puścił dziecko, ale popłynął dalej, niesiony przez tłum.

Puść mnie! — chlipnął malec łamaną łaciną. — To boli!

Nie ma mowy. Znów dasz nogę.

Nie ucieknę! Sam chciałem z tobą mówić. Chodzę za tobą przez pół dnia!

Will spojrzał nieufnie, ujął go za ramię i poprowadził przed sobą, rozgarniając cizbę. W pobliżu bramy skręcił w wąski zaułek. Było tu pusto, tłum przewalał się, mijając wylot.

Co robiłeś tamtego dnia w porcie? — spytał srogo, obróciwszy dziecko twarzą do siebie.

Malec żałośnie zwiesił głowę.

Will przyjrzał mu się bacznie. Był chudy, miał ciemne kręgi pod oczami i wyglądał jak

zagłodzony. Koszulina rozłaziła mu się w szwach; odnosiło się wrażenie, że byle silniejszy podmuch zedrze mu ją z pleców.

Jak ci na imię? — spytał łagodniej.

Luca — smarknął chłopiec i otarł nos rękawem.

Dlaczego szedłeś za mną?

Byłem rano pod twoim klasztorem. Chciałem wejść, ale wtedy ty wyszedłeś, więc ruszyłem za tobą. Czekałem pod tamtym domem, bo... bo chcę ci coś powiedzieć.

O człowieku, który targnął się na życie wielkiego mistrza?

To nie była jego wina. — Chłopczyk podniósł na niego oczy, w których błysnęły łzy. — Nie miał innego wyjścia.

Kto?

Mój brat Marco. Starał się nas wyżywić, mnie i matkę. A teraz on nie żyje, Sclavio nie zapłacił, a mamie jeszcze bardziej się pogorszyło. Powiedziałem jej, że wyjechał za pracą. Nie potrafię jej powiedzieć, że zginął.

Kto to jest Sclavio?

Zły człowiek. — Luca fuknął gniewnie. — Jego trzeba było zabić.

To Sclavio najął twego brata, żeby napadł na mistrza?

Malec kiwnął twierdząco.

A dlaczego dopiero teraz zdecydowałeś się przyjść do preceptorium? — spytał Will, domyślając się już odpowiedzi.

Usłyszałem o nagrodzie. — Luca hardo uniósł głowę mimo łez.

Muszę kupić zioła dla matki.

Rozumiem... — Will zawahał się i chcąc zyskać czas do namysłu, spytał: — Skąd znasz łacinę?

Marco mnie uczył — mruknął Luca. — Kazał mi się uczyć, żebym nie musiał zarabiać na życie tak jak on, został księdzem albo kimś ważnym.

Will uśmiechnął się pod nosem.

Dostaniesz nagrodę, jeśli powiesz mi, gdzie znajdę Sclavia.

Tylko tyle? — Chłopczyk wytrzeszczył oczy ze zdumienia. — Mieszka w starej części genueńskiej dzielnicy. Ma tam karczmę, nazywają ją „U Saracenów”.

9

Cytadela w Kairze Dwunasty dzień marca roku Pańskiego 1276

Trzęsienie ziemi, jakie poprzedniego dnia nawiedziło Kair, pochłonęło co najmniej

kilkadziesiąt ofiar — głównie w starej dzielnicy Fustat Misr, gdzie runęła część domów. W

samej cytadeli nie doszło do większych zniszczeń, choć zwała się naruszona wcześniej górna część narożnej wieży. Murarze dokonali już oględzin i wkrótce mieli zacząć odbudowę. Na razie gruz, który stoczył się po schodach, zaścielał przyziemie i częściowo blokował przejście do wąskiego, oświetlonego tylko strzelnicami korytarza biegnącego w zewnętrznym murze. Akurat tę drogę wybrał sobie Baraka. Nim przedostał się przez rumowisko, już był pokryty unoszącym się wszędzie, świerzbącym w nosie kurzem. Rozejrzał się po pustym pomieszczeniu, a słysząc dobiegające z zewnątrz krzyki, ostrożnie podszedł do wyjścia i zerknął na zewnątrz, mrużąc oczy przed słońcem.

Za linią drzew, nieopodal przeciwległej wieży, dwóch gwardzistów ciągnęło wrywającego się mężczyznę. Uspokoić go zdołał dopiero cios pięścią, po którym zwisał bezwładnie w rękach żołnierzy. Powlekli go do dużej drewnianej kratownicy osadzonej w ziemi. Jeden z pilnujących jej wartowników schylił się i pociągnął przymocowany do kraty łańcuch. Otworzyła się niczym upiorna paszcza, odsłaniając kwadrat nieprzeniknionej czerni. Więzień zaszamotał się gwałtownie i krzyknął:

Jestem niewinny! Niewinny!

Gwardziści bez ceremonii wrzucili go do dziury. Krzyk zamarł w głębi, łańcuch został puszczonej i krata z hukiem opadła na miejsce.

W chłodnym cieniu wieży Baraka zadygotał. Miewał koszmarne sny

lochu cytadeli. Krata otwierała się pod jego stopami, spadał coraz niżej

niżej, nie mogąc znaleźć oparcia. Jeden z przyjaciół księcia, dowiedziawszy się o jego lękach, z upodobaniem raczył go opowieściami o warunkach panujących w lochu — przepastnej,

głębokiej na trzydzieści stóp i niewyobrażalnie zagnojonej pieczarze w litej skale, pod której stropem niczym czarne grona zwieszały się nietoperze. Wtrącano tam szaleńców, morderców i gwałcicieli. Ci, którzy przeżyli, czaili się w ciemnościach, czyhajac na słabsze ofiary.

Przyjaciel Baraki opowiadał o chłopcu skazanym za kradzież chleba, który został żywcem pożarty przez wygłodniałych więźniów.

Z makabrycznych myśli wyrwał go szmer za plecami. Do wieży wśliznął się Kadir,

umiejętnie przestępując zwalone kamienie. Baraka splótł ręce na piersi, z zadowoleniem

czując, jak szmaragdowo-czarna tunika z tej samej tkaniny co turban napina mu się na ramionach.

Myślałem, że już nie przyjdiesz.

Wybacz mi, książę — rzekł unieżenie Kadir. — Nogi nie noszą mnie już tak żwawo jak dawniej.

Czekam nazbyt długo.

Ależ, panie, ledwie kilka chwil!

Nie o tym mówię — warknął Baraka. — Już prawie dwa miesiące czekam, aż wyjawisz mi swój plan. Masz sprawić, by ojciec mnie docenił. Ponoć w tym celu muszę wywołać wojnę.

Ach tak... — Kadir z powagą pokiwał głową. — Ale musimy trochę poczekać, bo potrzebny nam będzie jeszcze ktoś.

Uśmiechnął się pod nosem, patrząc, jak naburmuszony książę niecierpliwie krąży po komnacie. W końcu potknął się na kawałku gruzu i zaklął. Chwilę później w wejściu pojawił się mężczyzna. Baraka spłoszony poderwał głowę, okrywając się ciemnym rumieńcem.

Gorączkowo szukał w myśli jakiegoś pretekstu, którym mógłby wyjaśnić, dlaczego siedzi z zaklinaczem w zrujnowanej wieży.

Emirze Mahmudzie... — wyjąkał.

Teraz możemy zacząć — wpadł mu w słowo Kadir i książę uświadomił sobie, iż to Mahmud jest człowiekiem, na którego czekają.

Nie mogę tu długo zostać — zastrzegł się młody emir, ostrożnie wyglądając na dziedziniec.

O co tu chodzi? — spytał Baraka, speszony w obecności wpływowego dowódcy.

Mahmud spojrział na Kadira.

Jeszcze mu nie mówiłeś?

Był prawie dwie stopy wyższy od zaklinacza, lecz kiedy starzec nagle obrócił się ku niemu, Mahmud instynktownie zrobił krok w tył.

Chciałem być pewien, że mogę na ciebie liczyć, zanim wtajemniczę chłopca.

Baraka był wściekły, że mówią o nim, jak gdyby go tam nie było. Zmilczał jednak, ciekaw, co będzie dalej.

Emir Mahmud zgodził się nam pomóc — wyjaśnił Kadir. — On także dostrzega, że nasz pan zblądził.

Pomogę wam — rzekł Mahmud — ale mój udział w tej sprawie musi pozostać tajemnicą. Czy to rozumiesz?

Oczywiście, że rozumie! — prychnął Kadir. — Nie jest przecież dzieckiem. Pewnego dnia będzie twoim sułtanem!

Policzki Baraki znów poczerwieniały, tym razem z dumy. Ośmielony spojrzał Mahmudowi prosto w oczy.

Kadir próbuje ci powiedzieć, emirze, że winieneś mi nieco więcej szacunku.

Z całego serca przepraszam, mój panie — mruknął Mahmud, rzucając staremu mordercze spojrzenie.

Twoja czelność zostaje ci wybaczona — rzekł wyniośle Baraka. Poczucie, a właściwie przecucie władzy przyprawiło go o rozkoszny dreszczyk. Chciał powiedzieć coś jeszcze, może zmusić emira, żeby przed nim ukląkł, ale Kadir nie dopuścił go do słowa.

W Palestynie, niedaleko Akki, jest wioska, której mieszkańcy szpiegują dla Franków.

Obserwują nasze wojska i donoszą o ich ruchach dowódcom niewiernych w Akce.

Baraka lekceważąco wzruszył ramionami.

I co z tego? My też mamy w Akce szpiegów, którzy donoszą nam

o ich działaniach, nieprawdaż?

Mamy. — Kadir gorliwie pokiwał głową. — Zaiste, mamy.

Twój ojciec nieraz już o tym słyszał — przerwał mu Mahmud — ale odmawia podjęcia

jakichkolwiek kroków w tej sprawie, chcąc się skupić na wyprawie anatolijskiej. Podpisując z Frankami traktat pokojowy, pozwoliliśmy im zatrzymać posiadane ziemie, w tym i tę wioskę.

Napaść na nią poczytana będzie za akt wojny. — Na widok roztargnionej miny chłopca przez twarz emira przebiegł niecierpliwy grymas. — Jeśli ją zajmiemy, Frankowie będą zmuszeni do odwetu.

Nie tylko zajmiemy — poprawił go Kadir. — To musi być coś, co wprawi ich w furję.

Masakra — rzekł czule, jak gdyby wymawiał imię ukochanej. — Mężczyzn wyciąć w pień, kobiety zhańbić, dzieci pognać w niewolę. Trzeba ich sprowokować.

Na twarzy Baraki zaświtało zrozumienie, ale pokręcił głową.

Chrześcijanie nie zaatakują, cokolwiek byśmy im uczynili. Nie mogą. Ich siły są niczym w porównaniu z naszymi. Nawet jeśli zdołacie skłonić mego ojca, aby stał tę wioskę z powierzchni ziemi, wojny nie będzie.

Bystry chłopak — rozpromienił się Kadir. — Masz słuszość. Nie oczekujemy, że Frankowie na nas ruszą. Z pewnością jednak doczekamy się jakiejś reakcji. Oko za oko! — zachichotał.

— Tego będą chcieli.

Najprawdopodobniej wezmą zakładników — wyjaśnił cierpliwie Mahmud. — Naszych

emisariuszy w Akce, za której murami są dla nas niedosiężni. Zażądają od sułtana

zadośćuczynienia, uwolnienia jeńców, może nawet zwrotu części terytorium. Sułtan odmówi, a wtedy chrześcijanie z wściekłości wymordują zakładników.

Skąd pewność, że ojciec odmówi?

Stąd — powiedział Mahmud, zanim Kadir zdążył się odezwać

że w przeszłości nader rzadko spełniał takie żądania. A będzie do tego jeszcze mniej skory, czując się niewinny. Bo to nie on wyda rozkaz do ataku. Powiedział już jasno, że tego nie robi. Musimy go wyręczyć.

Ale tylko ojciec albo któryś z emirów.... — Baraka zmarszczył brwi.

Ty wydasz rozkaz?

Nie! — zaprzeczył szybko Mahmud. — Tak jak mówiłem, o moim udziale nikt nie może się dowiedzieć.

Żołnierze będą myśleć, że to rozkaz sułtana. Zostanie im przesłany w jego imieniu, opatrzony jego

pieczęcią. — Białe oczy zwróciły się na Mahmuda. — Zajmiesz się tym?

Jeszcze dzisiaj.

Starzec z ukontentowaniem klasnął w dłoń.

Zatem Kusza wystrzeli. — Obrócił się do Baraki. — A ty wycelujesz bełt.

Co masz na myśli?

Kiedy sułtan się dowie, zarządzi śledztwo — rzekł spokojnie Mahmud. — Ani Kadir, ani ja nie możemy być w to zamieszani. W najlepszym razie zgnilibyśmy w lochu.

Będziesz musiał wziąć to na siebie. — Zaklinacz utkwiał wzrok w Barace.

Sama myśl wprowadziła chłopca w panikę.

To niemożliwe! Ojciec mnie zabije!

Wyjaśnisz mu motywy, które tobą kierowały. — Kadir mówił łagodnie, lecz stanowczo. —

Powiesz, że gorąco czcisz pamięć jego zwycięstw nad niewiernymi. Że dotarły do ciebie raporty o szpiegach, a wiedząc, ile ciąży na nim pilnych spraw, chciałeś mu pomóc jako syn i mężczyzna.

To niemożliwe — powtórzy! Baraka. Jego wzrok powędrował ku wyjściu z wieży, gdzie za linią drzew znajdowała się krata prowadząca do lochów. — Nie zrobię tego.

A zatem nie jesteś jeszcze mężczyzną! — syknął Kadir takim tonem, że Baraka się wzdrygnął. — Jakże nasz pan ma położyć swoją ufność w dziecku? Gdy zaś sam zostaniesz sułtanem, lud nie będzie cię szanował i nie pójdzie za tobą. O, jakże wyraźnie to widzę.

Baraka przełknął, usiłując zwilżyć wyschnięte gardło. Słowa Kadira szyderczo współbrzmiały z tymi, którymi prześladował go własny umysł.

Jesteś jego dziedzicem — rzekł twardo Mahmud. — Jedynym człowiekiem, na którym w

gniewie nie wyrze pomsty. Nie ma innego wyjścia. Na razie Frankowie zdają się niegroźni; dotrzymują rozejmu, chcąc uspić nasz gniew. Kiedy jednak w odwecie przeleją naszą krew, wówczas sułtan będzie zmuszony wystąpić przeciwko nim. Moi stronnicy tego dopilnują.

Chyba rozumiesz, o co toczy się gra? — Głos Mahmuda ciał jak bicz.

Kadir zapewniał mnie, że pragniesz, byśmy przegnali niewiernych z naszej ziemi.

Baraka patrzył na przemian w dwie pary oczu, jedno zamglone, drugie czarne, i pod ich spojrzeniem czuł się coraz mniejszy; czuł, jak wymyka mu się świeżo nabyty autorytet.

Mówiły: „Wiedzieliśmy, że stchórzysz. Jesteś wciąż dzieckiem”.

Rozumiem — rzekł pośpiesznie, desperacko pragnąc zachować resztki ich uznania. — Zrobię to.

Mahmud przyjrzał mu się uważnie i z zadowoleniem skinął głową.

Przygotuję rozkaz — rzucił do Kadira.

Kiedy wyszedł, zaklinacz uśmiechnął się do księcia.

Zdobyłeś dziś potężnego sojusznika, panie. Ale musisz dochować mu wierności i milczeć, dopóki nie nadejdzie czas.

Skąd będę wiedział, że czas nadszedł?

Wojnę trudno przeoczyć — zachichotał Kadir, lecz po chwili spoważniał. — Będę twoim przewodnikiem. Na razie musimy czekać. Przekonamy się, jakie owoce zrodzą nam wszystkie drzewka.

Baraka spojrzał nań z powątpiewaniem, ale zaklinacz przyłożył palec do ust.

Wszystko w swoim czasie.

Aisza przemykała korytarzem jak cień. Mijając gwardzistów w kolorowych płaszczach, urzędników', dworzan i niewolników, pochylała głowę tak nisko, że szorstka czarna szata drapała ją w podbródek. Ścisnęła w ramionach cebrzyk, na którym ukradkiem kładła rękę, ilekroć wetknięte doń zawiniątko zaczynało się poruszać. Czasem ktoś odprowadził ją wzrokiem, ale nikt nie zatrzymał, nie spytał, co tu robi, i bez przeszkód dotarła do niezamieszkanego części cytadeli.

Panująca tu cisza była dla niej balsamem po nieustannym gwarze haremu. Długi korytarz w zewnętrznym murze doprowadził ją do niewielkiego pomieszczenia, dawnej strażnicy lub składziku. Przychodziła tu czasem, kiedy chciała być sama. Postawiła cebrzyk i ostrożnie rozsypała zawiniątko. Pomarszczona brązowa mordka spojrzała na nią z wyrzutem.

Wybacz — szepnęła, wyciągając rękę. Zwierzątko wdrapało się jej na ramię, gdzie wierciło się przez chwilę, poskrzekując z cicha, dopóki nie dostało figi.

Usiadła, opierając się plecami o ścianę, i z uśmiechem patrzyła, jak małpka je. Wciąż nie miała dla niej imienia. Aisza dość długo zmagала się z tym problemem; trapiło ją uczucie, że bezimienna małpka jakby nie w pełni do niej należy, że jej tak naprawdę nie zna. Potem

jednak uznała, że tak jest lepiej. Imię byłoby piętnem, bez niego zwierzę jawiło się wolną, samodzielną istotą.

Pogłaskała ją po łebku. Małpka zagruchała cicho, doceniając pieszczotę. Trzęsienie ziemi śmiertelnie ją przeraziło i ubiegłej nocy Aisza pozwoliła jej spać ze sobą w łóżku, ku

wielkiemu oburzeniu swojej teściowej.

Masz dzielić łożę z moim synem — warknęła Nizam, widząc małpę gramolącą się spod przykrycia — a ty zmieniasz je w menażerię!

Opuściwszy po ślubie matkę i nieliczny cichy harem należący do ojca, Aisza miała powody być wdzięczna Nizam. Rodzicielka Baraki, władczą i postawną kobietą o gładkich czarnych włosach i surowych oczach, sprawowała w haremie niepodzielne rządy i wzięła synową pod

swoje skrzydła. W pałacu mieszkało razem ponad sto kobiet, żon, konkubin i — w większości

— niewolnic. Bajbars nie był zbyt oddany rozkoszom łoża, toteż wiele dziewcząt

podarowanych mu przez różnych dostojników, którzy chcieli zaskarbić sobie jego łaski,

więdło w dziewictwie. Rojły się tu plotki i złośliwe intrygi, tworzyły stronnictwa, szeptano nawet, że dochodziło do mordów. Cztery żony sułtana miały własnych niewolników, którzy

kosztowali każdy podawany im kęs jedzenia. Czyhało wrszak wiele ambitnych konkurentek,

gotowych na wszystko, by zyskać wysoki status.

Aisza jako żona następcy tronu, który był jeszcze za młody, aby mieć własny harem, budziła w młodszych kobietach zawiść i wrogość. Nosila najpiękniejsze suknie szyte specjalnie dla niej według wskazówek Nizam. Otrzymała na własność dwóch czarnych eunuchów, którzy

spełniali wszyst

kie jej rozkazy, eskortowali ją do wspólnej łaźni, przynosili jadło, napoje i łakocie, ilekroć miała ochotę. Na polecenie Nizam niewolnice co dzień kąpały ją i masowały, tarły skórę

pumeksem, a także szczypczykami usuwały jej z ciała wszystkie włoski, które zresztą dopiero niedawno wyrosły, przyprawiając Aiszę o niemałą konsternację. Masaż ją łaskotał, a depilacja była bolesna i bardzo krępująca. Z czasem jednak przywykła traktować te zabiegi jako coś, co po prostu musi znieść.

Nizam wiele uwagi poświęcała jej włosom. Kazała niewolnicom szorować jej mydłem, które

piekło w oczy, i ciągle szczotkować. Czasem Aisza bała się, że zedrą jej skórę z głowy. Od dnia wesela była w łożu Baraki tylko raz. Nizam nie kryła, że winą za ten brak

zainteresowania obciąża Aiszę. Na szczęście niełaska u teściowej zyskała jej sympatię innych dziewcząt. Rodzące się przyjaźnie, zabawy z małą i niektóre lekcje — zwłaszcza poezji i tańca, bo wyszywać nie cierpiała — chroniły ją przed rozpaczą. Przede wszystkim zaś

ukradkowe spacerunki, na które się wymykała przez obluzowaną kratę w łaźni, ilekroć Nizam była zajęta.

Czasem miała ochotę wypuścić się dalej, wyjść z cytadeli i obejrzeć miasto. Ale gdyby ją przyłapano, wybuchłby wielki skandal i okryłaby ojca niesławą. Poza tym bała się naczelnego eunucha, obrzymiego Nubijczyka

hebanowej skórze, który karał kobiety chłostą lub nawet egzekucją, zależnie od wagi

występku. Większość kastratów była powolna i tępa; głosy mieli piskliwe, bezwłose brody, ciała nalane i słabe. Dla Aiszy byli zarazem intrygujący i obrzydliwi. Nie zasługując na miano mężczyzn ani kobiet, a w pewnym sensie nawet ludzi, przypominali lalki z masła lub ciasta, miękkie i bezwolne. Naczelnik eunuch bardzo się od nich różnił. Może piastowane stanowisko dawało mu więcej okazji do ćwiczenia umysłu albo może poddano go innego rodzaju

kastracji, tego nie wiedziała. Był szybki

niebezpieczny niczym wąż i biada dziewczynie, która by go rozgniewała lub obraziła.

Aisza oparła głowę o mur, napawając się poczuciem wolności, jakie dawała jej panująca

wokół cisza. Z początku czuła ulgę, że Baraka nie w ezwał jej już do siebie, ale ostatnio zaczęła się zastanawiać nad przyczyną. To prawda, noc poślubna okazała się katastrofą i żadne z nowożeńców nie miało ochoty przeżyć jej ponownie, ale była prawie pewna, że to nie jej wina.

Poszła do niego ubrana w szatę z najcieńszego jedwabiu, obwieszona klejnotami, z

pomalowaną twarzą, ciągnąc za sobą woń pachnidła. Nizam i inne kobiety pouczyły ją, co ma robić, toteż choć serce jej waliło, a spocone dłonie drżały, dołożyła wszelkich starań. Kiedy weszła, Baraka ledwie na

nią spojrział. Nie odezwał się ani słowem, blady i ponury. Przycupnęła obok niego na brzeżku łoża zasłanego płatkami kwiatów i siedzieli w milczeniu przez całą wieczność, a kiedy cisza stała się nie do zniesienia, zdesperowana sama go pocałowała. Zderzyli się zębami i z trudem opanowała śmiech. Poczwała w ustach jego język, śliski i niemity jak mokra, wijąca się ryba.

Obmacywał ją niezdarnie, aż w końcu zniecierpliwiona położyła się na wznak i przyciągnęła go do

siebie. Przez kilka długich minut leżał na niej jak trup, potem wstał i wyszedł,

trzaskając drzwiami.

Aisza westchnęła i otworzyła oczy, zastanawiając się, czy powinna posłać Barace liścik.

Mogliby ograniczyć się do rozmowy; Nizam wcale nie musi o tym wiedzieć i wreszcie

przestanie ją naciskać. Może Barace potrzebny jest przyjaciel, nie żona? Jeśli miałyby to oznaczać, że będzie mogła regularnie opuszczać harem bez strachu przed karą, była gotowa go polubić.

Nagle zeszywniała, słysząc zbliżające się kroki. Kurczowo ścisnęła smycz małpki i wsunęła się głębiej w kąt, podciągając kolana pod brodę. Kroki były coraz głośniejsze. Zamarła, usiłując roztopić się w cieniu. Korytarzem przeszedł wysoki mężczyzna w wojskowym

płaszczu. Pamiętała go, był na jej weselu. Kiedy się oddalił, odłożyła smycz i już miała wstać, kiedy znów posłyszała szmer, tym razem ciche człap, człap, i niemal natychmiast obok jej kryjówki przeszedł następny człowiek. Tego znała i z imienia, i z reputacji. Wstrzymała oddech, odprowadzając wzrokiem zaklinacza.

Odczekała kilka chwil, po czym zerwała się na nogi i złapała cebrzyk. Nigdy nikogo tu nie zastała i nie miała pojęcia, dlaczego dziś aż dwóch mężczyzn wybrało się tutaj na

przechadzkę, ale nie mogła dłużej ryzykować. Właśnie miała się wymknąć, kiedy usłyszała następne kroki, tym razem głośnie i o ciężałe. Cofnęła się do spiżarni, lecz na nieszczęście nadepnęła przy tym małpie na ogon. Zwierzę pisnęło cienko i wczepiło się w jej suknię. Kroki się zatrzymały. Aisza miała ochotę rzucić się do ucieczki, ale przerażenie odebrało jej zdolność ruchu. Kroki podeszły bliżej, powoli, czujnie. Spodziewając się raczej głównego eunucha, Bajbarsa albo Nizam, Aisza odetchnęła z ulgą, widząc Barakę. Był jeszcze bardziej przerażony od niej. Spod gęstej kędzierzawej grzywki błysnęły rozszerzone ze strachu oczy.

Patrzyli na siebie przez długą chwilę. W końcu Aisza zdołała zmusić się do uśmiechu.

Witaj — bąknęła.

Co tu robisz? — Zmrużył podejrzliwie oczy.

Spaceruję. Twoja matka wie, że tu jestem — odparła pośpiesznie i natychmiast skłęła w

duchu własną głupotę: wystarczy, że spyta Nizam, a przekona się, że kłamała. Patrząc na jego spochmurniałą twarz, poczuła, jak wzbiera w niej irytacja. Rzuciła zaczepnie: — A co ty tu robisz?

Nie twoja sprawa.

Posłyszała w jego głosie nutkę paniki.

Spotkałeś się z Kadirem? — spytała zaintrygowana.

Podśluchiwałaś? — Doskoczył do niej i złapał ją za ramię.

Co ty wyprawiasz? Puść!

Co słyszałaś?

Nic! — Zaszamotała się w brutalnym uścisku. Małpka skrzeknęła i czmychnęła korytarzem, wlokąc za sobą smycz. — Puść mnie!

Przytrzymał ją jeszcze chwilę, bezlitośnie wbijając palce w ciało. Potem ruszył do wyjścia.

Wściekła roztarła ramię, na którym już zaczęły występować sińce.

Głupi smarkacz! — syknęła.

Zawrócił i z całej siły uderzył ją twarzą.

Zatoczyła się na ścianę osłupiała, niezdolna nawet powstrzymać płynących łez. Uśmiech,

który wygiął wargi Baraki na ich widok, zabolął ją bardziej niż uderzenie, zabolął aż do głębi jak obracany w ranie nóż. Potem księżę wyszedł, zostawiając ją samą.

Kalaun szedł korytarzem pałacu, wertując trzymane w ręku dokumenty.

Emirze Kemal — zaczepił mijanego mężczyznę. — Czy widziałeś sułtana dziś po południu?

Jest w meczecie al-Azar — odparł zapytany. — Niepokoił się, że wczorajsze trzęsienie ziemi mogło naruszyć mury.

Zatem poszukam go, kiedy wróci. Dzięki. — Kalaun przystanął i zerknął w papiery. Otrzymał

świeży raport od zwiadowców w Cylicji, który chciał jak najprędzej omówić z sułtanem.

Doniesienia z granicy nastrajały krzepiąco. W samą porę te wieści; równowaga sił na dworze wciąż była zachwiana po burzliwej radzie wojennej. Im szybciej zacznie się kampania w

Anatolii, tym rychlej uda się zdyscyplinować krnąbrnych oficerów. Ale jeśli Bajbars jest w meczecie, zapewne nieprędko wróci.

Ostatnimi czasy sułtan zdawał się opętany manią odbudowy. Kalaun miał wrażenie, że

pojmuje przyczynę. Budowa meczetu była prosta. Kładło się cegłę po cegle, aż tworzyła się z nich całość. Państwo nie było czymś tak namacalnym. Stanowiły je punkty na mapie, granice, które wciąż przemieszczały się i zmieniały. Meczet stawał się i był; co dzień rano sułtan mógł

KUHYN young

na niego spojrzeć z okna, rad, iż pomógł go wznieść. Jego częste wizyty w świątyni

przyciągały jednak niepożądaną uwagę. Ledwie w zeszłym tygodniu jakiś szyita,

wykrzykując imię Alego, zaczął ciskać w sultana kamieniami. Żaden nie trafił, a napastnika niebawem ujęto i ukrzyżowano. Mimo to napaść zaniepokoiła Bajbarsa. Nie zdradzał się z

tym, lecz Kalaun znał go dostatecznie długo, by to dostrzec. Był to jeden z wielu ataków na jego osobę w ubiegłych miesiącach, i z pewnością nie ostatni.

Właśnie miał zawrócić, kiedy okutana w ciemną szatę postać rzuciła mu się w ramiona..

Stęknął zaskoczony. Aisza szlochała histerycznie, dygocząc na całym ciele. Zaskoczenie

Kalauna natychmiast przerodziło się w niepokój. Złapał córkę za ramiona i lekko odsunął, żeby jej się przyjrzeć. Oczy miała czerwone i zapuchnięte, pasma włosów wymknęły się spod chusty i przywarły do mokrej od łez twarzy. Odgarnął je, spostrzegając szkarłatny ślad na policzku córki.

Co się stało?—spytał.—Opanuj się, Aiszo, proszę. Mów, co się stało.

Jego stanowczy ton trochę ją uspokoił.

Zgu... zgubiła mi się, ojciec — wyjąkała.

Co?

Małpka. Uciekła.

Czy Nizam wie, że wyszłaś z haremu?

Dziewczyna spuściła wzrok. Kalaun westchnął z rozpaczą.

Nie wolno ci wychodzić bez jej zezwolenia! Córeczko, ile razy mam ci to powtarzać?

Wprowadził ją do pustej komnaty i już miał złać, ale serce mu zmiękło na widok kolejnej łązy toczącej się po zaczerwienionym policzku. Dotknął go delikatnie.

Co się stało? — powtórzył.

Baraka mnie uderzył!

Co? — Kalaun zeszywniał. Miał wrażenie, że przeszywa go lodowate ostrze.

Był w korytarzu, który biegnie w północnym murze. Koło tej zwałonej wieży.

Z tobą?

Aisza potrząsnęła głową.

Chyba z Kadirem. I jeszcze jednym z emirów. Nikt tam nigdy nie chodzi. — Żałośnie spojrzała na ojca. — Chciałam się tylko pobawić.

Kalaun nie odpowiedział. Gorączkowo próbował dociec, dlaczego Baraka miałyby się spotykać z Kadirem. O ile wiedział, prawie ze sobą nie rozmawiali. Nagle ożyły mu w pamięci pogrożki i insynuacje zaklinacza.

A ten emir... Znasz go?

Miał na sobie żółty płaszcz. Rozmawiałeś z nim na weselu, zanim do was podeszłam.

Mahmud... — Zmarszczki na czole Kalauna pogłębiły się. — Chodź. Odprowadzę cię do haremu, gdzie przeprosisz Nizam. A potem — dodał prędko, nim zdążyła zaprotestować — roześlę swoje sługi na poszukiwanie Hurysy.

Dziękuję, ojcze... — W załzawionych oczach odmalowała się wdzięczność; nie wytknęła mu nawet, że małpka nie wabi się już Hurysa.

Jak się okazało, nie trzeba było organizować poszukiwań, małpka bowiem, ku żywemu oburzeniu Nizam, siedziała już na łóżku Aiszy.

Pozostawiwszy córkę w haremie, Kalaun zawrócił do głównego budynku, nie mogąc pozbyć się sprzed oczu purpurowego śladu po uderzeniu. Nakazując sobie spokój, zastanowił się nad powodem, dla którego Baraka, Kadir i Mahmud mieliby się znaleźć w opuszczonej części cytadeli, razem lub oddzielnie. Nie znalazł zadowalającej odpowiedzi, co jeszcze wzmogło dręczące go podejrzenia.

Emirze Kalaunie.

Podniósł głowę. Przez dziedziniec kroczył Bajbars w eskorcie dwóch gwardzistów.

Zastanowił się, czyby nie donieść sułtanowi, o czym właśnie usłyszał, ale zmilczał. Nie miał jeszcze w ręku żadnych konkretów.

Szukałem cię, panie. — Skłonił się. — Otrzymałem z Cylicji wieści, z którymi chciałbym cię zapoznać.

Bajbars skinął głową.

Możemy to zrobić choćby zaraz. — Zdjął safianowe rękawice.

Ale najpierw jeszcze jedna rzecz, Kalaunie. Zamierzałem mówić o tym z tobą wczoraj, tylko że przez to trzęsienie ziemi... Asasyni są teraz pod moją kontrolą. Kadir podsunął mi myśl, żeby ich przepytać i wykryć, kto ich wówczas wynajął.

Mój panie... — zaczął ostrożnie Kalaun, wściekły, że Kadirowi udało się to przeprowadzić za jego plecami — czy to rozropne? Mamy teraz dość ważnych zadań, by tracić ludzi i środki na śledztwo, które równie dobrze może okazać się bezowocne.

Kadir uważa, że Nazir świetnie się do tego nada.—W głosie sułtana dało się słyszeć, że decyzja zapadła i jest ostateczna. — Chyba możesz się na jakiś czas z nim rozstać?

Co tylko rozkażesz. — Kalaun pochylił głowę.

Bajbars przyglądał mu się przez chwilę.

Nie prosiłbym cię o to, gdybym nie uważał, że to konieczne. — Chrząknął i odwrócił wzrok.

— Śmierć Omara była dla mnie zbyt bolesna, nie chciałem tego drażnić. Zemściłem się,

podbijając asasynów i zajmując ich twierdze. Myślałem, że to wystarczy. — Niebieskie oczy spojrzały znów na Kalauna, płaskie i bezlitosne jak niebo nad pustynią. — Ale słowa Kadira obudziły we mnie pragnienie, które piastowałem w sercu już od pewnego czasu. Chcę

wiedzieć, kto jest za to odpowiedzialny, Kalaunie. Chcę wiedzieć, kto zabił Omara. Powiedz Nazirowi, że chcę znać jego imię.

Bajbars uśmiechnął się zimno. — A teraz mów, co donoszą z Cylicji.

Przez chwilę Kalaun szedł w milczeniu, borykając się z myślami wyostrzonymi przez gniew.

Kadir to zmija. Nigdy mu nie ufał, ale zaklinacz okazał się groźniejszy, niż przypuszczał. I do czego pragnął wykorzystać Barakę?

Już pod wieczór wrócił na wyspę na Nilu, gdzie mieszkał wraz z rodziną i swoim pułkiem.

Podczas rozmowy z Bajbarsem zanadto był zaprzątnięty szczegółami planowanej kampanii, by myśleć o czymkolwiek innym. Lecz gdy jechał do domu, znów napadły go wspomnienia obitej twarzy córki i chytrego uśmiešku zaklinacza.

Wody Nilu pod mostem zdawały się czarne jak smoła i powolne jak ona. Popędził konia wzdłuż obsadzonej drzewami alei do pałacu. Wielka budowla odcinała się czernią od gasnącej

purpury nieba; wieże, w których skoszarowano żołnierzy, sterczały niczym dwa rogi z

kamienego łba. Strażnicy wyprężyli się na jego widok. Emir wjechał na dziedziniec i zsiadł

z konia. Natychmiast podbiegł sługa, aby odprowadzić zwierzę do stajni.

Jeszcze zanim przeszedł na podwórzec koszar, posłyszał szcęk żelaza, niosący się echem w sklepionej bramie. Walczyło dwóch młodzików, wokół stali inni nastoletni chłopcy, wszyscy w krótkich wełnianych tunikach, skórzanych kurtach i gładkich okrągłych turbanach. Ich

twarze przedstawiały bogatą gamę barw, choć najwięcej było miedzianoskórych Turków.

Pośród nich dostrzegł smukłą postać Nazira w błękitnej szacie Mansuriji z wyszytym na

ramionach imieniem i stanowiskiem. Nawet młodszy spośród otaczających go rekrutów szkolili się już od dwóch lat. Po zdobyciu wielu chrześcijańskich zamków armia miała wręcz nadmiar niewolników, a trwający pokój zachował przy życiu większość mameluckich żołnierzy. Im

młodszych jednak brano, tym lepiej. Dzieci łatwiej było szkolić niż zrozpaczonych mężczyzn oderwanych od rodzin po udanym oblężeniu. Dały się kształtować, szybciej wdrażały do

wojskowego drylu, całym sercem przyjmowały islam. Można je było przekuć w stal.

W cieniu między ścianami dziedzińca było chłodno; okna i otwory wejściowe niby sto

ciemnych oczu patrzyły na krąg chłopców i walczącą w' środku parę. Rozległ się głośny

trzask, ostrze trafiło w wypolerowaną drewnianą tarczę, dużą i okrągłą, tarczę piechoty.

Stać.

Dyszący z wysiłku chłopcy odstepili w dwie strony. Nazir wszedł do środka kręgu.

Dobra zasłona, Sziban — rzekł do tego, którego tarcza nosiła świeżą szramę.

Obejrzał się i skłonił przed Kalaunem. Na krótki rozkaz rekruci zrobili to samo, wszystkie głowy pochylili się jednocześnie.

Porozciągajcie się trochę. — Nazir podszedł do emira, który zatrzymał się w pewnej odległości.

Kalaun zmusił się do uśmiechu.

Jak idzie szkolenie? Wydają się silniejsi.

Młodszy robią postępy. — Oficer zniżył głos. — Ale starsi zaczynają się niecierpliwić. Jeden ma już prawie siedemnaście lat. Chyba dobrze byłoby przyjąć go do pułku. Myślę, że jest gotów.

Oczywiście. — Kalaun skinął głową. — Dopatrzę tego.

Zawahał się. Ciszę przerywało tylko posapywanie chłopców rozgrzewających się przed walką. W końcu rzekł:

Mam dla ciebie zadanie.

Kiedy skończył mówić, Nazir milczał przez chwilę

Czy mogę spytać, dlaczego to właśnie mnie wyznaczono? Dlaczego nie kogoś z gwardii? —
ściągnął brwi.

Sułtan wymienił cię z imienia. Znasz tamte tereny.

Nazir odwrócił wzrok. Jego spojrzenie stwardniało, pojawiło się w nim coś, czego Kalaun nie widział już od dawna.

A oni? — spytał. — Sam ich kupowałem, sam uczyłem. Przywykli do mnie i moich metod.

Zastąpi cię inny oficer. Przykro mi, Nazirze. Gdybym tylko mógł, posłałbym kogoś innego.

Wiem, jak ciężko ci będzie tam wrócić.

Nazir spojrzał mu w oczy.

To już przeszłość, emirze — uśmiechnął się, lecz jego spojrzenie pozostało kamienne. —

Wypełnię swój obowiązek.

Wiem, że tak, przyjacielu. — Kalaun położył mu dłoń na ramieniu.

Dzielnica genueńska w Akce Dwunasty dzień marca roku Pańskiego 1276

Słońce chyliło się ku zachodowi. Will i towarzyszący mu rycerze mozolnie lawirowali konno przez ruchliwe ulice genueńskiej dzielnicy. Nad częścią dworów, składów i warsztatów wciąż powiewały proporce świętego Marka, patrona Wenecji. Co prawda Genueńczycy zaczęli

ponownie zasiedlać swój kwartał, ale Wenecja najwyraźniej nie była zbyt skora, aby oddać to, co zagarnęła. Obok Willa jechał Robert, a za nimi jeszcze czterej rycerze.

Czy mam mówić do ciebie „panie”? — Robert zachichotał, gdy Will odciął mu się grubym słowem.—Jeśli Sclavio okaże się tym, kogo szukamy, pewnie znów awansujesz. W tym tempie do przyszłej wiosny zostaniesz wielkim mistrzem!

Była to pienwsza akcja od jego nominacji i Will czuł się trochę nieswojo, obejmując komendę.

Pozostali, starsi rycerze, których znał od paru lat, podporządkowali mu się bez słowa i nim dojechali do starej dzielnicy, poczuł się nieco pewniej.

Jak znajdziemy karczmę Sclavia w tej królikarni?

Chłopak mówił, że jest za warsztatem mydlarza.

„U Saracenów”....? — zadumał się Robert. — To chyba żart?

Will nie odpowiedział. Zmrużył oczy, starając się określić właściwy

kierunek. Rzadko tu bywał, a wśród krętych uliczek można się było łatwo zgubić.

Wypatrzywszy wieżę Świętego Wawrzyńca, wznoszącą się dumnie nad gmatwaniną dachów,

wskazał wąską ulicę odchodzącą od głównej pomiędzy licznymi sklepikami.

Tędy powinniśmy dojechać do kościoła. Obok jest plac targowy, a tuż za placem mydlarz.

Im dalej, tym ciaśniejsze stawały się ulice. Początkowo dominował wokół dialekt wenecki, ale gdy minęli sporą, ongiś genueńską mydlarnię,

język zaczął się zmieniać. W starej części dzielnicy, zubożałej i zrujnowanej, mieszkali ci Genueńczycy, których nie stać było, by wraz ze swymi ziomkami przenieść ąię do Tyru w

wielkim exodusie przed szesnastu laty. Tu dzieci biegały bose i półnagie, rodziny gnieździły się w ciasnych izdebkach, ulice pokrywał gnój, w stertach śmieci roiły się muchy i szczury. Z

ciemnych sieni patrzyły na nich nieufne twarze. Królowała tu nędza i rozpacz i Will odetchnął

z ulgą, gdy po krótkim błędzeniu znaleźli wreszcie karczmę.

Nie miała szyldu, wskazał im ją zagadnięty przechodzień. Duży budynek, przywodzący raczej na myśl spichlerz, nie gospodę, rozsiadł się okrakiem na końcu ulicy, zamykając przejście.

Will skręcił w zaułek, odchodzący nieco wyżej.

Lepiej, jeśli wieść nas nie wyprzedzi — rzekł, zeskakując z konia i wręczył wodze

najbliższemu z towarzyszy. — Zaczekajcie tu na mnie.

Wyjął z sakwy przy siodle czarny płaszcz, ten sam, którym się okrywał, odwiedzając Elwinę.

Był dostatecznie obszerny, by ukryć zakonną tunikę i miecz, ale i tak porządna wełna

wydawała się tu nie na miejscu.

Robert chwycił go za ramię.

Idziesz sam?

Idę tylko na zwiad. Łatwiej wypatrzę Sclavia sam, niż jeśli wejdziemy tam hurmem z obnażoną bronią. Potem wrócę i wspólnie go pochwycimy.

Ruszył uliczką, zostawiając braci schowanych wraz z końmi w zaułku.

Zmierzch pograżył już miasto w szarawym półmroku. Will posłyszał głośny chóralny okrzyk dochodzący jak gdyby spoza budynku karczmy. Zerknął w górę, ale kamienna szczytowa

ściana była ciemna i nie pozwalała się domyślić, skąd dobiega hałas.

Drzwi opadły w zawiasach i musiał mocno naprzeć na nie ramieniem. Uchyliły się nieco, trąc o krzywą podłogę. Owionął go ciepły zaduch. Wewnątrz było ciemno, na kominie dymił

dogasający ogień. Coś dużego otarło się o nogę Willa, zobaczył wyleniałego ogara, który pobiegł w głąb izby. Pomieszczenie było długie i niskie, strop dźwigały poczerńiałe belki, wygięte niczym żebra. Światelka olejnych lampek wyłuskiwały z mroku na wpół przytłumne

twarze. Ruszył pomiędzy biegnącymi wzdłuż dwoma rzędami ław i stołów na krzyżakach.

Podłoga była lepka, w nozdrza bił odór skwaśniałego piwa. Zza podwójnych drzwi w

przeciwległej ścianie dobiegł stłumiony hałas. Otworzyły się tuż przed nim, buchnęło z nich światło i gwar i wytoczyli się dwaj mężczyźni z kuflami w rękach. Will ominął ich, przekroczył próg i natknął się na zwartą ścianę ludzi.

Na tyłach gospody było spore podwórze, otoczone paroma walącymi się przybudówkami, olbrzymią stodołą oraz murem szpitala Świętego Jana.

Wokół zatknięto płonące pochodnie, które oświetlały sterty skrzyń i beczek oraz twarze tłumu tworzącego zbity krąg. Will zamknął za sobą drzwi do izby i podsunął się bliżej,

przytrzymując poły płaszcza. Ten i ów zerknął na niego przelotnie, lecz uwaga większości skupiona była na pustej przestrzeni pośrodku kręgu, która jak się Will po chwili przekonał, wcale nie była pusta.

Stało tam dwóch mężczyzn. Obaj, sądząc po twarzach, musieli być Arabami, aczkolwiek

odziani byli w krótkie zgrzebne tuniki i nogawice jak europejscy chłopcy; głowy mieli gołe, włosy skudłone. Jeden, wyższy i mocniej zbudowany, trzymał w lewej ręce wyszczerbioną

szablę; prawa zwisała mu bezwładnie wzdłuż boku. Kiedy się obrócił, Will zauważył szeroką węzło-

watą białawą bliznę biegnącą od łokcia aż do dłoni. Arab bez wątpienia nie miał władzy w prawicy, lecz swobodnie posługiwał się drugą ręką i poruszał się czujnym, sprężystym krokiem. Jego niższy przeciwnik wyraźnie się bał: miecz trzymał niezgrabnie przed sobą, był spięty, sztywny jak kukła. Kiedy człowiek z blizną ruszył w jego kierunku, tamten się cofnął. W świetle pochodni widać było pot roszący mu twarz. Will, który widział już ludzi walczących dla sławy lub nagrody, zastanawiał się, po co tamten w ogóle wszedł do kręgu. Nagle niższy mężczyzna rzucił się pomiędzy widzów. Mur z ludzkich ciał ugiął się nieco, ale zaraz dwóch krzepkich uzbrojonych pacholków zmusiło zawodnika do powrotu na środek kręgu. W tym momencie Will zrozumiał, co tu się dzieje, i nazwa gospody nagle nabrała złowieszczonego sensu.

Mężczyzna wykrzyczał coś po arabsku, chyba modlitwę, na ile Will mógł go zrozumieć, i rzucił się na drugiego, trzymając miecz przed sobą niczym włócznię. Można było przewidzieć, jak się to skończy. Wyższy Arab zszedł z linii niezdarnego ataku i zawinął szablą, która z mdlącym chrupnięciem utkwiała w tyle głowy przeciwnika. Zwycięzca wyszarpnął ostrze, trup osunął się na ziemię. W okrzykach widzów słyhać było rozczarowanie.

Zniesmaczony tym widowiskiem Will patrzył, jak trzej zbrojni, z wyglądu Italczyki, wchodzą do kręgu, nakazując Arabowi odłożyć broń. Uczynił to z bierną uległością niewolnika. Jeden ze zbrojnych odprowadził go do stodoły, dwaj inni odciągnęli martwe ciało, zostawiając za sobą w kurzu szeroki szkarłatny ślad. Wśród widzów wyplacano wygrane zakłady. Will

wykorzystał okazję, by podsunąć się bliżej. Stodoły strzegło jeszcze czterech dodatkowych zbrojnych. Boksy, ongiś przeznaczone dla koni, teraz wyposażone w solidne drewniane drzwi, mieściły więźniów. Byli tam Arabowie, kilku Mongołów i inni, chyba Czerkiesi.

Strażnik otworzył jeden z boksów i wywlekl na zewnątrz chudego wyrostka, nie więcej niż szesnastoletniego. Will uznał, że dość już widział.

Odwrócił się do stojącego obok mężczyzny. Sądząc po stroju, był to kupiec, ale niezbyt zamożny; w jednej ręce trzymał dzban z piwem, w drugiej mieszek.

Znasz Sclavia? — zagadnął go po łacinie.

Mocno już podchmielony mężczyzna zmrużył oczy, usiłując skupić wzrok na rozmówcy, i

niepewnie kiwnął dzbanem w stronę stodoły.

Tam — mruknął.

Will dostrzegł grupkę mężczyzn siedzących z boku na ławach. Jeden odziany był lepiej od pozostałych — w zmiętą szatę z zielonego jedwabiu, najwyraźniej nie na niego szytą. Miał płowe przerzedzone włosy, kozią bródkę i twarz usianą dziobami. U jego nóg leżały dwa wielkie molosy. Kiedy jeden ze zbrojnych podszedł, mówiąc coś do Sclavia, psy jak na komendę uniosły łby i warknęły ostrzegawczo.

Ten w zielonym? — upewnił się Will.

Mhm — mruknął sąsiad i zatoczył się na niego.

Torując sobie drogę do wyjścia, Will widział jeszcze, jak chudego chłopaczka wyprowadzają na arenę.

— Co takiego? — oburzył się Robert, kiedy Will zdał rycerzom sprawę z tego, co widział. —

Łajdaki!

To nie nasza sprawa — upomniał go flegmatyczny rycerz w średnim wieku imieniem Paweł.

— Jeśli chcesz znać moją opinię, komandorze, myślę, że powinniśmy się skupić na tym, po co nas tu wysłano.

Słusznie — odparł Will i nie bacząc na protesty Roberta, ciągnął:

Wewnątrz jest ponad setka ludzi i co najmniej dziewięciu uzbrojonych strażników. Zrobi się tumult, a pomijając wszystko inne, dzielnica nie podlega naszej jurysdykcji. Kiedy ujmemy Sclavia, złożę doniesienie do genueńskiego konsula. Będzie musiał zamknąć tę budę.

To nie jest powiedziane — odezwał się brat Wawrzyniec. — Jeśli Sclavio kupił tych ludzi na własność, może z nimi robić, co zechce. Nie ma na to rady.

Zamknie, jeśli Templum będzie go naciskać. Sam tego dopilnuję

rzekł Will stanowczo. — To obraza boska, a jeśli dowie się o tym sułtan, zażąda retrybucji.

Rozejm i tak jest wystarczająco chwiejny, żeby jeszcze targały go takie psy jak Sclavio.

Co robimy?

O ile zdołałem się zorientować, są stamtąd tylko dwa wyjścia. Jedno przez karczmę, drugie trochę dalej w zaułku biegnącym między stodołą a murem. Robercie, ty i Wawrzyniec

obstawicie to wyjście na wypadek, gdyby Sclavio próbował uciec. — Will opisał karczmarza.

Zielona szata, pryszczata gęba. — Robert kiwnął głową. — Na pewno go poznamy.

Ja poprowadzę resztę przez gospodę.

Idziemy w przebraniu?

Nie. — Will zdjął czarny płaszcz i wepchnął go do sakwy przy siodle.

Chcę, żeby widzieli, kim jesteśmy.

To powinno ich natchnąć bojaźnią Bożą. — Robert wyszczerzył zęby w drapieźnym uśmiechu.

Otóż to. Większość z tych ludzi to drobni kupcy i najemni pracownicy. Wątpię, by chcieli stawać nam na drodze.

A strażnicy? — zapytał Paweł.

Mają miecze i pałki, ale wyglądają raczej na opryszków niż żołnierzy. Każdego, kto choćby zrani templariusza, czeka kara śmierci. Wiedzą

o

tym tak samo dobrze jak my. Powinniśmy dać sobie z nimi radę.

Odczekali chwilę, aż Robert i Wawrzyniec zajmą pozycję w zaułku, a następnie we czterech ruszyli do karczmy. Will obawiał się nieco, czy po powrocie zastaną swoje konie, ale

potrzebował każdego miecza. Najważniejsze było pojmanie Sclavia.

Pchnął drzwi i weszli do ciemnej, dusznej izby. Z podwórza znów dobiegał wrzask dopingujących widzów.

Ma psy — przypomniał sobie Will.

Paweł kiwnął głową i sięgnął po miecz.

Nieliczni siedzący w izbie byli zbyt pijani albo zbyt zaskoczeni, żeby zareagować na widok czterech templariuszy zmierzających przez karczmę na podwórze.

Początkowo widzowie, skupieni na kolejnej walce, w ogóle nie zauważyli, co się święci.

Dopiero gdy rycerze jęli torować sobie drogę przez tłum, poruszenie rozeszło się jak fala na wodzie; spojrzenia utkwione dotąd w arenie odwracały się ze zdumieniem, a zagrzewające

niewolników do walki głosi cichy jak zdmuchnięte. Z pierwszego rzędu widzów, zwartych

w krąg, w którym chudy młodzik walczył rozpaczliwie z rówieśnikiem o mongolskich rysach, podniosło się parę oburzonych okrzyków, gdy ci za plecami zaczęli spychać ich na arenę.

Ktoś krzyknął „Templariusze!” i ludzka fala ruszyła w stronę drzwi, choć walka jeszcze trwała.

Hej! — przepchnął się do nich zaniepokojony strażnik. — Co się tu wyprawia?

Urwał na widok czwórki templariuszy wyłaniającej się ze spłoszonego tłumu. Starając się odzyskać kontenans, warknął hardo:

Czego chcecie?

Ostatnie słowo rozpląnęło się w jęku pod pancerną rękawicą Pawła. Drugi strażnik rozsądnie wyhamował, widząc swego kompana na miękkich nogach, broczącego krwią ze złamanego nosa.

Poruszenie przukoło uwagę Sclavia; wstał i ruszył ku nim w obstawie swoich ludzi z dwoma warczącymi psami wrywającymi się na smyczach. Walka ustała, chłopcy odskoczyli od siebie, rozglądając się wokół ze strachem i zmieszaniem.

Co to ma znaczyć? — zapytał karczmarz. Głos miał szorstki jak piach z suszki przesypujący się po papierze. W jego oczach odmalowała się czujność, ale nie stracił rezonu. — To

prywatny dom. Templum nie ma tu żadnej władzy.

Dziś jest inaczej, Sclavio — odparł Will zimno. — Pójdiesz z nami.

Tłum wypełniający podwórze szybko się rozrzedził, mężczyźni wymykali się bocznym wyjściem do zaułka.

Odsuńcie się. — Twarde spojrzenie Willa przebiegło po twarzach pacholków Sclavia. —

Chyba że chcecie z nami walczyć?

Ugięli się, czując w nim człowieka nawykłego do zabijania, zresztą biały habit z krzyżem mówił sam za siebie. Dwóch opuściło broń i zaczęło się cofać.

Stać, tchórze! — warknął na nich Sclavio. Psy desperacko rwały się z uwięzi; Will zastanowił

się przelotnie, skąd karczmarz ma dość sił, żeby je utrzymać. — A to niby za co? Macie do mnie jakieś pretensje? Ten dom i wszystko, co w nim się znajduje, jest moją własnością. Oni też. —

Skinieniem głowy karczmarz wskazał chłopców.

Nic nam do twojej własności — warknął Will. — Zostaniesz uwięziony za próbę zamordowania wielkiego mistrza Templum. Oto zarzut, jaki na tobie ciąży.

Oczy Sclavia rozszerzyły się; w ułamku sekundy puścił obie smycze i rzucił się do ucieczki.

Był to sygnał dla widzów, że pora się zwijać, i natychmiast zapanował ogólny popłoch. Will sieknął falcjonem psa, który skoczył na niego. Zwierzę, skowycząc, spadło na ziemię z rozrąbanym bokiem.

Bierzcie Sclavia! — wrzasnął do swoich, przekrzykując tumult.

Trzech pachołków uciekło, czwartym zajął się Paweł; po chwili jego

przeciwnik cisnął pałkę i czmychnął. Will spodziewał się, że piąty zrobi to samo, ale olbrzymi Italczyk uzbrojony w ciężki tasak bez wahania zaszarżował na niego.

Ledwie zdążył się zasłonić przed potężnym ciosem. Ten człowiek był nieźle wyszkolony i mimo swej masy poruszał się błyskawicznie. Will także był szybki, ale ciężka kolczuga spowalniała mu ruchy. Tamten miał na sobie tylko kubrak z grubej skóry i wełniane nogawice. Jego śmiałość zaskakiwała

wszak w gruncie rzeczy nie musiał walczyć. Być może nie powodował nim mus, lecz chęć; w istocie sądząc po wyrazie płonących oczu, niczego bardziej nie pragnął. Will skupił się całkowicie na przeciwniku, wyłączając umysł na inne bodźce. Nie był w najlepszej kondycji

— prowadząc śledztwo, zaniedbał codzienny trening. Ale miecz w jego dłoni szybko odnalazł znany rytm, kreśląc łuki szybkich cięć nad splamionym krwią piaskiem.

Dwaj niewolnicy zniknęli wraz z ciżbą widzów, a zamknięci w stodole więźniowie trzęśli klatkami, krzycząc w różnych językach, żeby ich wypuścić. Will pośliznął się w kurzu i ostrze przeciwnika przejechało mu przez pierś. Kolczuga wytrzymała, cios rozdarł tylko tunikę, a strach dodał mu sił, przyspieszył atak. Teraz tamten się cofał, przez zawzięty grymas zaczął przezierać niepokój. Głównie zderzyły się, odskoczyły i znów zwarły, krzesząc iskry.

Will bezlitośnie spychał napastnika w stronę sterty skrzyń, żeby ograniczyć mu pole manewru. Olbrzym usiłował go odepchnąć, nie dał rady. Teraz widać już było wyraźnie, że się boi.

Ostrze Willa śmigło w powietrzu, na twarz wypełził mu uśmiech, serce biło, zielone oczy płonęły jak pochodnie.

Pax — krzyknął nagle mężczyzna. Zrobił unik i cisnął miecz na ziemię, unosząc rękę. — Pax Will wyhamował cios o cal od jego boku. Oddychał ciężko, na czole perlił mu się pot.

Will!

Obejrzał się. Na podwórzu pojawił się Robert z Wawrzyńcem. Wlekli zakrwawionego

Sclavia. Na posiniaczonym obliczu Roberta malował się morderczy wyraz. Otworzył usta,

żeby coś powiedzieć, lecz krzyknął tylko ostrzegawczo.

Równocześnie Will poczuł za sobą ruch. Okręcił się błyskawicznie i ledwie zdążył zasłonić przed ciosem dopiero co pokonanego wroga. Jego ostrze zgrzytnęło na głównej tasaka. Will dobył wszystkich sił i odepchnął je na bok, przez chwilę pozbawiając tamtego osłony.

Zawinał i trafił napastnika w ramię, rozrąbując je aż do kości. Italczyk zawył, wypuścił broń z bezwładnej ręki. Will kopnął ją na bok i cofnął się chwiejnie ku nadbiegającym towarzyszom.

Dobry Boże — rzekł z wysiłkiem Robert. — Zginałbyś przeze mnie.

Jestem zdrow i cały — wydyszał Will i zerknął na Sclavia, który z otwartymi ustami

wpatrywał się w pokonanego olbrzyma. — Cieszę się, że udało się wam go schwytać.

Nie bez walki. — Robert z ponurą miną dotknął spuchniętego policzka i ostrożnie wsadził

palec do ust — Drań wybił mi ząb.

Sclavio patrzył teraz na Willa.

Złapaliście niewłaściwego człowieka — syknął.

O tym rozstrzygniemy w Templum. — Will kiwnął na Pawła.

Otwórzcie te klatki i powiedzcie więźniom, że są wolni. Robert, Wawrzyniec i ja odstawimy Sclavia do preceptorium. Wy w tym czasie idźcie do konsula Genui i powiedzcie mu, co tu zaszło. Ja sam pomówię z wielkim mistrzem. Może uda się jeszcze dziś zlikwidować tę

mordownię.

To nie powinno być trudne — rzekł Robert, spozierając na Sclavia.

Wynająłem zamachowca z czyjś poruczenia — jęknął Genuńczyk. — Jeśli darujecie mi

życie, powiem kto to.

Zabierzcie go.

To moja jedyna oferta! — krzyknął Sclavio. Na twarzy wypisany miał strach, ale w głosie pobrzmiwał upór. — Powiem wam tu i teraz, kto chciał jego śmierci, jeśli mnie oszczędzicie.

Will się zawahał. Nie czuł się uprawniony do takiej decyzji, leżała ona w gestii mistrza lub seneszała. Ale miał za zadanie odnaleźć człowieka, który zlecił zabójstwo, a jeśli nie był nim Sclavio, to zadanie wciąż pozostawało niewykonane.

Kto? — spytał.

Przysięgnij, że zachowam życie.

Przysięgam. Kto?

Genueński kupiec—odparł natychmiast Sclavio—imieniem Guido Soranzo.

Templum w Akce Dwunasty dzień marca

Angelo z trudem opanował niechęć, kiedy drzwi świetlicy się otworzyły, ukazując władcą postać Wilhelma z Beaujeu. Jako najstarszy syn, faworyzowany przez ojca, rzadko znajdował się na podrzędnej pozycji i pokora nie przychodziła mu łatwo, zwłaszcza kiedy był wściekły.

Opanował się jednak i pokłonił przed wielkim mistrzem.

KUUYN young

Dziękuję, Zachariaszu. — Wilhelm kiwnął głową Sycylijczykowi, całkowicie ignorując

Angela.

Zachariasz skłonił się lekko i stanął na straży w taktownej odległości od drzwi. Wilhelm zostawił je otwarte i wrócił do komnaty.

Zgrzytając zębami, Angelo wszedł za nim do nagrzanej, dusznej świetlicy, rozjaśnionej ogniem na palenisku i pełgającymi płomykami świec.

Panie — rzekł, starannie zamykając za sobą drzwi — jestem zdumiony twoim wezwaniem, zważywszy, że nasza umowa stwierdza ściśle, iż to ja cię odwiedzam tylko w razie

konieczności. Zamierzałem to uczynić pod koniec tygodnia. Mam list z Kairu. — Jego głos stwardniał, tracąc co nieco z wymuszonej uprzejmości. — Ale nie pozwolono mi go nawet

zabrać, rozkazując, bym stawił się tu natychmiast. Będę musiał przyjść jeszcze raz, a każda taka wizyta grozi nam ujawnieniem.

Wilhelm bez słowa podszedł do stołu i nalał sobie wina.

Czyżbyś się tym nie troskał? — naciskał Angelo.

Dlaczego Guido Soranzo chciał mnie zabić? — spytał spokojnie Wilhelm, obracając się do niego z pucharem w dłoni.

Angelo zaniemówił. Patrzył przez chwilę na templariusza, w końcu wykrztusił:

Gdzieś to usłyszał, panie?

Tutaj, godzinę temu, od człowieka, którego Guido wynajął. Sam go przesłuchałem i wiem, że mówi prawdę. — Wilhelm utkwiał wzrok w Wenecjaninie. — Czyżbyś nic o tym nie wiedział?

Gość po raz pierwszy poczuł ukłucie niepokoju.

Nie, panie — odparł szybko. — Nie mam pojęcia. — Potrząsnął głową, gorączkowo zbierając myśli. — Soranzo od początku krzywił się na współpracę z nami, ale pomagał wcale chętnie.

Jego interesy zyskałyby na tym tak samo jak nasze. — Angelo rozłożył ręce. — Nie rozumiem, dlaczego chciał zniweczyć taką szansę.

Jego interesy! — Tym razem Wilhelm nie zdołał zapanować nad głosem. — Zapamiętaj, Vitturi, że moim celem nie jest nabijanie wam trzosów. — Wzburzony wychylił resztkę wina.

Ależ oczywiście, wasza miłość, oczywiście! — Angelo skłonił się przesadnie, czując, że odzyskuje stracony grunt. — Staralem się tylko dociec, co nim mogło kierować.

Przez chwilę przyglądał się, jak wielki mistrz krąży po komnacie.

Teraz najważniejsze to oszacować straty. Musimy wiedzieć, czy Soranzo nas zdradził. Czy wyjawiał komuś, jaki mamy plan.

Co proponujesz?

Zaraz do niego pójde i się z nim rozmówię.

Wilhelm zatrzymał się i spojrzał na Wenecjanina z ironią. Znów nad sobą panował.

I spodziewasz się, że powie ci całą prawdę ot tak, z przyjaźni? Śmiem wątpić. Ponadto nie sądzę, żeby obywatel się bez ochrony. Jeśli zorganizował zamach, wie, że karą będzie śmierć.

Nie zdołasz go przepłacać, mając miecz w' brzuchu.

Zatem daj mi, panie, oddział swych rycerzy, to ujmę go siłą.

Miałbym ich oddać pod komendę kupca? — Wilhelm ruszył do drzwi. — Sam ich wyślę.

Znam Guida, wasza miłość! —zawołał za nim Angelo. — Nie powie im ani słowa. Nie

jesteśmy tacy jak wy. Nasze rzemiosło to pieniądz i towar, nie miecze i szyki bitewne. Ja zdołam się z nim porozumieć... i zmusić go do mówienia.

Wilhelm zatrzymał się.

Soranzo nie tylko ciebie zdradził, panie — ciągnął Angelo.

W istocie, jeśli rzecz wyjdzie na jaw, tobie grozi najmniej. To my przyszliśmy do ciebie z tym planem, mój ojciec i ja. Pozwól mi to załatwić.

Żaden templariusz nie zgodzi się słuchać twoich poleceń.

Będzie musiał, jeśli ty mu rozkażesz — odparował Italczyk. — Powiedz im, że znam interesy Soranza, żeś wezwał mnie specjalnie, bym go przesłuchał. Wiesz, panie, iż to ja mam rację.

W oczach wielkiego mistrza błysnął gniew i Angelo się przestraszył, że posunął się za daleko.

Zamierzał właśnie zręcznie wycofać się z tych słów, kiedy Wilhelm otworzył drzwi.

Zachariasz!

Rozległ się odgłos kroków.

Tak, panie?

Zbierz ludzi. I znajdź komandora Campbella. Będzie eskortował Angela Vitturi do domu

Soranza.

Angelo poczuł słodki smak zwycięstwa. Chwilę później jednak przyćmiła go wściekłość. Od miesięcy musiał znosić bezczelne uwagi i złe humory Guida, a teraz się okazało, że przez cały czas ta genueńska gnida spiskowała przeciw nim. Nie wiadomo było jeszcze, jakie szkody

wyurzędził, czy udało mu się zniweczyć plan rozpętania wojny, a zatem i postawienia na nogi domu Vitturich. Jedno było wszakże pewne: Genueńczyk drogo za to zapłaci.

Dzielnica genuetiska w Akce Dwunasty dzień marca roku Pańskiego 1276

Zaprzycie bramę. Nie wpuszczajcie nikogo.

Tak jest, panie. — Pacholek pobiegł korytarzem, ściskając w ręku obnażony miecz.

Guido wcale nie czuł się uspokojony. Drgnął, kiedy stanęła przy nim żona. Na jej twarzy zmartwienie mieszało się z oszołomieniem. Narzucona w pośpiechu na jedwabne gieżło

wyszywana szata opięła się na mocno już sterczącym brzuchu.

Co się dzieje, Guido? Służebna właśnie mnie obudziła, mówiąc, że kazałeś jej pakować rzeczy.

Kupiec złapał ją za rękę tak mocno, że aż jęknęła.

Zbudź dzieci i spakuj tyle, ile zdołasz. I tylko to, co damy radę znieść do przystani. —

Spojrzał na zdobiące komnatę piękne gobeliny, rzeźbione sprzęty. — Resztę będziemy musieli zostawić.

Nie strasz mnie!

Ufasz mi? — spytał gorączkowo.

Kobieta z wahaniem skinęła głową.

Więc zrób to dla mnie. Wyjaśnię ci wszystko później, teraz jak najszybciej musimy się dostać na statek. Chcę jeszcze dziś w nocy wypłynąć do Genui.

Oszołomiona kobieta dała się wyprowadzić do alkowy, w której spały dzieci.

Kiedy odeszła, Guido pośpieszył do kantoru. W rześkim nocnym powietrzu czuł przenikliwy zapach własnego potu. Zmierzając do skrzyni stojącej przy pulpicie, kątem oka dostrzegł

leżącą na podłodze skórzaną piłkę. Poczuł złość: ileż razy powtarzał synowi, że nie wolno mu się tu bawić? Nagle zdał sobie sprawę z sytuacji i z trudem pohamował

szloch. Naraził całą rodzinę. I dlaczego? Dla złota? Nie, powiedział sobie gwałtownie, nie dla złota. Zrobił to, bo takich ludzi jak wielki mistrz templariuszy i jemu podobni należało powstrzymać, zanim zniszczą wszystko. Ale cichy smutny głosik w głębi serca szeptał mu, że nie taka jest prawda.

Był u Świętego Wawrzyńca na nieszpiorach i tam posłyszał, że templariusze uwięzili

karczmarza i wypuścili jego saraceńskich niewolników. Nie ufając plotkom, wymknął się z kościoła i pobiegł do oberży, ślizgając się w błocie i ekskrementach, ścigany przez gromadę obdartej genueńskiej dzieciarni hałaśliwie zebrzącej o jałmużnę, a po trosze też dla zabawy.

Nim dotarł do „Saracenów”, był zgrzany jak ruda mysz i ledwie łapał oddech. Widząc jednak

wychodzącego z karczmy templariusza w asyście kilku zbrojnych w barwach konsula,

zdecydował się nie podchodzić bliżej. Niewiele czasu zajęło mu znalezienie gapia, który z zapalem opowiedział mu, co się stało; cała dzielnica huczała od wieści. Za parę drobnych monet naoczni świadkowie jeden przez drugiego opowiadali mu, jak templariusze uwięzili

Sclavia za zamach na wielkiego mistrza.

Słyszac to, pognal z powrotem, jakby sam diabel deptal mu po pietach. Ostrożnie podkradł się do pałacu, bojąc się, że już są w nim templariusze. Przez chwilę go korciło, żeby machnąć ręką na rodzinę i natychmiast biec do portu. Potem zgorszony własną słabością i nekany

wyrzutami sumienia postanowil ich broniec do ostatniej kropli krwi i śmiało wkroczył do

pałacu, gotów walczyć z każdym, kto się tu pojawi.

Teraz, gdy wyjmował ze skrzyni sztylet o zdobionej srebrnej rękojeści, nagle zdał sobie sprawę, że drży jak osika. Świadomość, że jest uzbrojony, powinna mu być pomoc, ale...

Przez okno doleciał odgłos końskich kopyt, który w nocnej ciszy zdał się ogłuszający. Guido zacisnął pulchną dłoń na rękojeści sztyletu. Posłyszał krzyki swoich pacholków, potem pełen bólu wrzask. Wyważona z ościeży brama pałacu runęła z łoskotem.

Templum w Ak.ce Dwunasty dzień marca

Hugo, trzeci tego imienia król Cypru, siedział dumnie w siodle i lekkimi ruchami wodzy

prowadził białego jak mleko ogiera ulicą Świętej Anny, mijając spowity mrokiem żeński

klasztor pod tymże wezwaniem. Wokół panowała cisza, większość mieszkańców dzielnicy

udała się już na nocny spoczynek. Hugo i jego świta złożona z kilku zbrojnych oraz

niezmiennie poważnego doradcy poruszała się w bańce bursztynowego światła pochodni

trzymanych przez trzech gwardzistów. Odblaski płomieni zatańczyły na ciągnącym się po

prawej stronie zewnętrznym murze Templum, oplecionym zielonymi gałkami pnączy, gdzie

czmychały przed światłem maleńkie czarne jaszczurki. Jeszcze kilka kroków i ujrzeli potężną wieżę bramną z czterema złotymi lwami zdobiącymi cztery jej iglice. Brama była zamknięta.

Hugo poczuł na sobie spojrzenie doradcy.

O co chodzi, Gwidonie?

Ten zawahał się na chwilę, lecz w końcu spytał:

Czy nie lepiej byłoby zaczekać do rana?

Jeśli przyjadę rano, mistrz będzie na mszy, na śniadaniu albo na zebraniu kapituły lub będzie zajęty jeszcze czymś innym, w czym n i e- s t e t y nie będzie można mu przeszkodzić. — W

głosie Hugona zabrzmiał sarkazm. — O tej porze nocy trudno będzie mu wymyślić

wiarogodną wymówkę.

Gwido pokiwał głową, ale nie wyglądał na przekonanego.

Pójdę sam — dodał Hugo.

Mój panie...

Król uciszył go gestem.

Chcę z nim porozmawiać prywatnie, w cztery oczy. Może wówczas odniesie się do mnie z szacunkiem, którego mi dotąd skąpił.

Orszak zatrzymał się pod bramą. Hugo zręcznie zeskoczył z siodła i obciągnął na smukłym ciele złotolitą szatę. Jeden z gwardzistów przytrzymał jego wierzchowca, drugi zsiadł,

podszedł do furty wyciętej w gęsto nabitych żelazem wielkich drewnianych wrotach i uderzył

w nie pięścią w pancernej rękawicy. Tymczasem Hugo zdjął rękawice i przecesał dłonią

ciemne kędzierzawe włosy. Jego smagława twarz zdradzała napięcie.

Po drugiej stronie wrót odsunięto zasuwę. Zza uchylonej furty buchnęło światło pochodni i ukazał się człowiek w czarnej tunice serwiensa Templum, hełmie na głowie i z mieczem u

pasa.

Kto tu? — spytał.

Mój pan, Hugo, król Cypru i Jerozolimy, chce rozmawiać z wielkim mistrzem Wilhelmem — oznajmił gwardzista donośnie, jakby słuchało go liczne grono.

Na twarzy strażnika odmalowało się zaskoczenie.

Niestety, wielki mistrz o tej porze nie przyjmuje gości...

Niech sam mi to powie. — Hugo wysunął się do przodu, żeby wartownik mógł go zobaczyć.

Wasza wysokość... — Speszony mężczyzna skłonił się przed nim nisko. — Naprawdę surowo

zakazano mi...

Jestem królem — wyjaśnił Hugo cierpliwie, jakby strażnik go nie dosłyszał. — Królem tej ziemi — wykonał kolisty ruch szczupłą upierścienioną dłonią. — I jako jej władca mogę

chodzić, gdzie chcę i kiedy mi się podoba. Wasz mistrz dobrze wie, że pragnę z nim mówić. I to od dawna.

Z coraz większym trudem zachowywał spokój. — Trzykrotnie zapraszałem go do siebie i trzykrotnie mi odmówił. Albo mnie teraz wpuścisz, albo przysięgam, że mistrz z Beaujeu odczuje mój gniew! — Ostatnie słowa wymówił tak gwałtownie, że serwiens cofnął się krok.

Powtórzę mu to, wasza wysokość, ale... — ugryzł się w język.

Proszę, wprowadź swoich ludzi. Mogą zaczekać w wartowni, jeśli taka twoja wola, tam cieplej.

Hugo zdążył się już opanować.

Dziękuję — rzekł kordialnie i wszedł w bramę, a za nim jego orszak, prowadząc konie.

Odźwierny uprzedził szybko swych towarzyszy w wartowni i pobiegł przez dziedziniec do palatium. Gwardziści królewscy stłoczyli się w dusznej wartowni, mierzeni spojrzeniami zdziwionych serwientów Templum. Hugo zasępiony stanął w drzwiach, lustrując wzrokiem wielki dziedziniec i otaczające go imponujące budowle. Widok potężnych murów

preceptorium, odgraniczających własną uświęconą przestrzeń zakonu, w której obrębie

templariusze byli nietykalni, stanowił dlań niemal obrazę. Całe miasto podzielone było na takie odrębne światy, ale w innych dzielnicach przynajmniej wiedział, że jest królem. Ich mieszkańcy oddawali mu posłuch i cześć. Tu czuł się samozwańcem, niepożądanym intruzem

— i wprawiało go to we wściekłość. Wyprostował się dumnie. Nieważne, że ci rycerze

uważają się za Bóg wie kogo, a papież obsypuje ich łaskami. Tu nie jest w stanie im zagrozić, lecz na Cyprze posiadłości zakonu nie są tak obwałowane. Tam ma nad nimi władzę — i jeśli posuną się za daleko, na Boga, skorzysta z niej! Podbudowawszy się tą myślą, był niemal pewien, że dziś osiągnie to, czego pragnie.

Kilka chwil później wprowadzono go do świetlicy wielkiego mistrza. Wilhelm z Beaujeu stał

w cieniu przy oknie i nie sposób było odgadnąć wyraz jego twarzy. Mierzyli się spojrzeniami przez

długość komnaty. Hugo, niższy, szczuplejszy i o czternaście lat młodszy, nie dał się jednak onieśmielić. Wysoko uniósł głowę. Przez chwilę stali obaj nieruchomo; każdy oczekiwał, że ten drugi skłoni się pierwszy.

W końcu Hugo splótł ręce za plecami.

Cieszę się, że przystałeś na spotkanie, mistrzu Wilhelmie.

Zdaje się, że nie miałem wyboru — odparł templariusz.

Jest późno, panie. Jakaż to ważna sprawa sprowadza cię o tej porze?

Nie minęła nawet pora komplety — odparował Hugo ze złością.

Uznałem, że to najlepszy czas na widzenie z tobą, skoro o każdej innej porze zajmują cię liczne obowiązki. — Spojrzał twardo w oczy zakonnika. — Chętnie bym się dowiedział, jakie to ważne sprawy przeszkodziły ci stawić się przede mną, choć minęło wiele dni, odkąd jesteś gościem na mojej ziemi. Zwyczaj nakazuje dostojnikom, by złożyli hołd królowi. A może po prostu nie byłeś go świadom?

Oczy Wilhelma zwęziły się nieco, lecz głos pozostał cichy i bez wyrazu.

Złożyłem już hołd swemu królowi. Na Sycylii.

Hugo omal nie wybuchnął, ale nadludzkim wysiłkiem zdołał pohamować wzbierającą furję.

W uszach dźwięczały mu przestrogi doradcy: „Musisz przeciągnąć wielkiego mistrza na swoją stronę. Tylko tak uchronisz swój tron przed zakusami Karola”.

Karol może być twoim suzerenem na Sycylii — rzekł przez zaciśnięte zęby — ale w Ziemi

Świętej jestem nim ja. To ja, nie Maria, jestem prawowitym spadkobiercą korony jerozolimskiej. Tak orzekła Wysoka Rada.

Papież nie jest o tym przekonany. Ani ja.

Dlaczego akurat ty podważasz moje prawa? Bo Karol jest twoim krewniakiem? Nie podejrzewałem cię o nepotyzm.

To nie ma nic wspólnego z więzami krwi, a za to bardzo wiele z potęgą — odparł Wilhelm.

— Karol ma dość sił, by zebrać armię i poprowadzić krucjatę. Może odepchnąć falę, która nas zalewa. Ty, panie, takiej siły nie masz i jak dotąd nie wykazywałeś chęci odzyskania utraczonych terytoriów. Przeciwnie, w Bejrucie uległeś żądaniom Bajbarsa, nie chcąc ryzykować

osłabienia swej pozycji. Podobno płacisz mu teraz trybut. Dwadzieścia tysięcy dinarów rocznie, czy tak? — Zanim Hugo zdążył odpowiedzieć, Wilhelm mówił dalej: — Papież też jest tego świadom, dlatego doradził Marii, aby odsprzedała swoje roszczenia Karolowi. Powinieneś ustąpić, panie, pozwolić, by Karol zrobił to, do czego ty się nie kwapisz. — W rzeczowym tonie zakonnika nie było złośliwości, tylko stwierdzenie faktu.

Chyba oszalałeś! — syknął Hugo. — Czy ty ustąpiłbyś ze stanowiska, gdybym cię o to poprosił?

Dla dobra Ziemi Świętej? Tak. Zrobiłbym wszystko, by odzyskać dla nas ojczyznę Jezusa.

Sądysz, że Karola ona obchodzi? — Hugo gwałtownie potrząsnął głową. — Wysłał na śmierć własnego brata, kierując go wraz z armią do Tunisu, nie tu, gdzie był potrzebny.

Król Ludwik zmarł na zakaźną gorączkę.

Karol nigdy nie brudzi sobie rąk. Bardziej go interesuje Bizancjum niż Palestyna. Polegając na nim, zostaniesz sam. Ja — Hugo położył dłoń na sercu — będę walczył u twojego boku, jeśli zaprzysięgniesz mi wierność.

Jego ton złagodniał. — Przemów za mną do papieża, niech odwoła tę sprzedaż; któż broni Karolowi ruszyć nam na pomoc? Stań po mojej stronie, Wilhelmie, a razem odzyskamy Ziemię Świętą. — Wyciągnął do templariusza dłoń, by ten mógł ją ucałować.

Wilhelm patrzył na niego przez długą chwilę.

Chodzi ci o koronę — rzekł w końcu. — Nie o Ziemię Świętą. Ręka Hugona opadła. Tym razem nie owijał gniewu w dyplomatyczne słowa.

Jak śmiesz! — syknął. — Jesteś głupcem, człowiecze! Nabożnym głupcem! Utrzymam się na tronie z twoją pomocą lub bez niej, a gdy Karol czmychnie z powrotem na Sycylię z ogonem między nogami, wówczas nie szukaj u mnie przyjaźni ni opieki. — Wycelował w templariusza palec.

Odtąd jesteś mi wrogiem, Wilhelmie z Beaujeu.

Wściekły pomaszerował wprost do furty, odsuwając na bok serwiensa, który biegł ją otworzyć. Guy pośpiesznie rozkazał gwardzistom, by wyprowadzili konie, i wybiegł za nim.

Mój panie!

Hugo zatrzymał się gwałtownie i odwrócił. Widok jego zmienionej twarzy przeraził doradcę.

Panie... — powtórzył ciszej.

Napiszesz do Anglii, do króla Edwarda.

Już dawno to zrobiłem.

Więc napiszesz jeszcze raz! — warknął Hugo. — Dlaczego nie odpowiedział, na litość boską!

Jak rozumiem, spotkanie się nie udało?

Edward jest krewniakiem Andegawęńczyka i przyjacielem papieża.

Hugo puścił pytanie mimo uszu. — Może z nim bardziej nam się poszczęści. — Obrócił się plecami, lecz po chwili dodał, zaciskając pięści:

Musimy coś zrobić, Gwidonie. Nie oddam tronu temu bękartowi i jego psom w białych płaszczach!

Dzielnica genueńska Dwunasty dzień marca

Mężczyzna runął na ziemię, trzymając się za pierś. Will złapał Angela za ramię.

Co ty u diabła robisz? Przyszliśmy tu pojmać Soranza, a nie wszystkich wymordować!

Angelo wyszarpnął rękę.

Rzucił się na mnie z mieczem. Co miałem czynić, jaśnie panie rycerzu? — wycedził z przekąsem.

Will pochylił się nad leżącym. Rana nie była głęboka.

Będzie żył. — Przywołał gestem jednego z pachołków, rozbrojonych i otoczonych przez rycerzy Templum. — Pomóż mu wstać.

Angelo ruszył w stronę drzwi pałacu. Z okien na piętrze sączyło się migotliwe światło. Na jego tle Will dojrzał przemieszczający się szybko cień.

Pójdę pierwszy.

Angelo zawahał się, potem wskazał ręką drzwi z nieprzyjaznym uśmiechem.

Wolna droga.

Z piętra dobiegł płacz niemowlęcia. Willowi coraz mniej się to wszystko podobało.

Spodziewano się tu ich przybycia: brama była zaparta, domownicy uzbrojeni.

Kiedy wrócił do preceptorium ze Sclaviem, zdziwił go niezwykle brak zdecydowania

wielkiego mistrza, który zwlekał, zamiast wysłać go od razu po Soranza. Przesłuchawszy

Sclavia, zwolnił Willa do zwykłych zajęć. Ten zagadnął go jeszcze o nagrodę, nie ujawniając, że denuncjator był rodzonym bratem zamachowca. Mistrz odparł z roztargnieniem, że

pieniądze zostaną odliczone nazajutrz. Will zamierzał posłać z nimi Szymona. Wrócił do swej kwatery i właśnie czytał przekład, o którego przejrzenie Ewerard prosił go od paru tygodni, gdy ponownie wezwano go na dziedziniec. Zastał tam czterech rycerzy z osobistej świty

wielkiego mistrza oraz mężczyznę mniej więcej w swoim wieku. Konie były już osiodłane.

Zachariasz przedstawił mu nieznanego, dodając, że mają mu towarzyszyć do pałacu

Soranza, gdzie Weneejanin, jako biegły w jego sprawach, przesłucha podejrzanego.

Will nie wierzył własnym uszom. Po pierwsze, oznaczało to, że wielki mistrz musiał wiedzieć o Soranzu, choć ani słowem nie dał tego po sobie poznać, gdy Will składał mu raport. Po wtóre, jeśli nawet istniał jakikolwiek powód, dla którego przesłuchanie miał prowadzić

wenecki kupiec, to można go było wezwać, gdy obwiniony będzie już bezpiecznie zamknięty w lochu pod preceptorium. Nie ufał Vitturiemu. Jego obecność w tej sprawie rodziła

podejrzenia; czuł, że coś przed nim zatajono. Teraz nękało go poczucie zagrożenia — nie tylko z pałacu, lecz i ze strony odzianego w czarną szatę mężczyzny za plecami. Will dobrze pamiętał, że tamten ciął strażnika, zanim on sam zdążył sięgnąć po miecz.

Za drzwiami ciągnęła się długa ciemna sień. Jedyne światło docierało tu z góry, kamiennymi schodami biegnącymi po prawej. Ścisnąwszy mocniej rękojeść falcjona, Will ruszył ku nim, słysząc własne kroki na kamiennych płytach. U góry zastrzeszczały deski stropu.

Komandorze... — W półmroku łysnęły ku niemu białka oczu Zachariasza. — Co robimy z

jeńcami?

Obejrzał się. Franciszek i Armand szachowali mieczami zбитych w grupkę pachołków, podtrzymujących rannego druha. Głupotą byłoby ciągnięcie ich ze sobą do pałacu. Zaklął pod nosem, wściekły na siebie, że

o

tym nie pomyślał. Czuł na sobie spokojny wzrok Zachariasza, który bynajmniej nie poprawiał mu samopoczucia. Sycylijszyk, starszy od niego

co najmniej dziesięć lat, był niższy rangą, lecz jako prawa ręka wielkiego mistrza miał spore doświadczenie i z pewnością po powrocie zda mu szczegółowy raport. Dotąd Will przywykł myśleć tylko za siebie. Nie zdawał sobie sprawy, jak skomplikowane bywa dowodzenie ludźmi.

Zostańcie z nimi tutaj — szepnął do dwóch rycerzy. — I dawajcie baczenie na wypadek, gdyby Soranzo próbował uciec.

Kiedy tamci cofnęli się na dziedziniec, wszedł na schody, a za nim Zachariasz, Armand i Roger, czwarty z Sycylijszyków.

Na piętrze ciągnął się długi korytarz oświetlony pochodniami. Po prawej stronie odchodziło zeń troje drzwi, po lewej czworo i jedno w samym końcu. Wszystkie były zamknięte. Will podszedł ostrożnie do pierwszych

zatrzymał się. Stłumiony płacz dziecka dobiegał z którejś z dalszych komnat, chyba drugiej po prawej. Kiwnął na Zachariasza. Sycylijszyk odpowiedział ruchem głowy i podkradli się razem, trzymając broń w pogotowiu. Will pchnął drzwi. Rozległ się chóralny wrzask tuzina osób zбитych w gromadę za plecami dwóch przerażonych pachołków. Było tam trzech

podstarzałych służących, cztery niewiasty, z których jedna ścisnęła w ramionach niemowlę, i sześcioro dzieci. Mężczyźni byli uzbrojeni, ale nie zdecydowali się zaatakować pierwsi.

Odłóżcie broń — powiedział Will. — Nikomu nie stanie się krzywda.

Czego chcecie? — spytała piskliwym ze strachu głosem kobieta w haftowanej domowej sukni.

Mówić z Guidem. — Will obniżył nieco miecz, nie spuszczając z oka spiętych w bezruchu

mężczyzn.

Nie ma go — odparła prędko kobieta, ale jej spojrzenie uciekło w bok.

Już miał spytać ponownie, kiedy stojący za nim Angelo warknął po włosku:

Gdzie Guido? Gadaj, bo wyrwę ci ten kłamliwy język!

Kobieta cofnęła się gwałtownie, jedno z wczepionych w jej spódnicę

dzieci zaczęło płakać. Will chciał przywołać Wenecjanina do porządku, lecz w tej samej

chwili posłyszeli rumor i krzyk z końca korytarza. Angelo puścił się pędem do ostatnich drzwi.

Pilnujcie ich! — rozkazał Will i pobiegł za nim.

Pomocy! — dobiegł ich głos.

Otwieraj, Guido! — Angelo cofnął się i z całej siły kopnął drzwi. Skobel puścił, otwarły się na oścież. Vitturi dobył swego długiego miecza i wszedł pierwszy, dla pewności czyszcząc przed sobą drogę koszącym ruchem głowni.

Komnata jednak wydawała się pusta. Dopiero po chwili, gdy wołanie rozległo się ponownie, zdali sobie sprawę, że dobiega zza okna. Pod parapetem leżało rozbite puzdro i kilka

błyskotek, na samym zaś parapecie ujrzeli dwie pulchne dłonie, wczepione rozpaczliwie w gładki kamień. Will cisnął miecz, podbiegł do okna i zdążył chwycić jedną, nim się

ześliznęła.

Na litość boską, ratujcie — dobiegł go z dołu jęk.

Pomóż mi! — zawołał szybko do Angela, czując, że spocona dłoń zaczyna mu się wymykać.

Razem zdołali wciągnąć do komnaty dyszącego, spoconego mężczyznę, który osunął się ciężko na podłogę.

Angelo wyrztał przez okno na znajdujący się dwa piętra niżej dziedziniec.

Nagle wydało ci się, że umiesz latać? — prychnął z pogardą. — Wstawaj. — Kopnął leżącego kupca.

Błagam cię, Angelo! — Guido wznosił złożone błagalnie ręce.

Nie krzywdź mojej rodziny!

Nikomu nie stanie się krzywda, jeśli powiesz nam to, co chcemy wiedzieć — rzekł Will, unosząc miecz.

Angelo obrócił się do niego gwałtownie.

Ja go będę przesłuchiwał, komandorze.

Ja tu dowodzę. — Arogancki Italczyk drażnił Willa coraz bardziej.

Twój mistrz rozkazał ci doprowadzić mnie tutaj, żebym mógł go przesłuchać — warknął

Angelo. — Wykonałeś swoje zadanie, teraz daj mi wykonać moje.

Z otwartych drzwi dobiegło dyskretne chrząknięcie Zachariasza.

Można na słówko, komandorze?

Kiedy Will wyszedł, Sycylijsyk zamknął za nim drzwi komnaty.

Wielki mistrz powiedział, że Vitturi ma pełną władzę w obrębie tego domu. Spodziewa się, że jego rozkazy zostaną wypełnione co do joty.

W słowach nie było przygany, raczej rezygnacja.

Ten człowiek jest nam tylko przeszkodą — sarknął Will.

Równocześnie z wnętrza dobiegł podniesiony głos Angela:

Odpowiadaj, gnido!

Zachariasz zerknął na drzwi.

Zapewne — przyznał — ale nie nam to osądzać. Złożyliśmy ślub posłuszeństwa, czyż nie?

Po chwili wahania Will skinął głową.

Rodzina jest bezpieczna? — Widział stąd Rogera przed drzwiami komnaty, do której spędzono kobiety i dzieci.

Rozbroiliśmy pachołków i uspokoili ich na tyle, na ile się dało.

Idź tam i czekaj.

Zachariasz miał taką minę, jakby chciał jeszcze coś powiedzieć, ale najwyraźniej się rozmyślił.

Tak jest — rzekł tylko.

Will stanął pod drzwiami alkowy i czekał. Czas mijał. Ciszę mącił tylko płacz niemowlęcia i stłumiony głos Angela. Wenecjanin mówił cicho, w dodatku po włosku; Will niewiele zdołał zrozumieć.

Komu o tym mówiłeś? — To pytanie powtórzyło się kilkakrotnie. W końcu Will usłyszał głos Guida: Chodziło o statki! Przysięgam!

Will chętnie przyłożyłby ucho do drzwi, ale Zachariasz go obserwował, a choć to on był dowódcą, tamten z pewnością miał dopilnować, by nikt nie sprzeniewierzył się rozkazom wielkiego mistrza. Nie uśmiechała mu się ponowna degradacja tuż po świeżym awansie. Znow posłyszał podniesiony głos, potem ochrypły okrzyk i ostry wrzask.

Drzwi otwarły się gwałtownie, stanął w nich Angelo z ręką przytkniętą do policzka, na którym znaczyła się krwawa szrama. W ręku trzymał zboczony miecz. Guido leżał na podłodze z twarzą ściągniętą bólem, ściskając rozrąbaną dłoń.

Łajdak miał sztylet. — Angelo odtrąci! Willa i ruszył wprost do komnaty, w której zamknięto rodzinę Guida. Z wnętrza rozległy się krzyki i po chwili wyszedł, ciągnąc za sobą małego chłopca.

Co ty wyprawiasz? — oburzył się Will.

Powiedziałem mu, co się stanie, jeśli nie zechce gadać.

Nie. — Will zastąpił mu drogę. — Nie pozwolę ci skrzywdzić dziecka, żeby zmusić go do mówienia. Nie taki był rozkaz mistrza.

Odsuń się, komandorze.

W tejże chwili na korytarz zdołało się wydostać dwóch nieuzbrojonych domowników. Reszta napierała na drzwi. Klnąc, Will ruszył na pomoc swoim ludziom. Wraz z Rogerem obezwładnił jednego z pachołków, drugim zajął się Zachariasz. Wrócił do alkowy tylko po to, by ujrzeć, jak Angelo przeszywa Guida mieczem. W powietrzu wibrował przenikliwy, świdrujący krzyk. W pierwszej chwili Will myślał, że krzyczy Guido, dopiero potem

zauważył odepchniętego na podłogę chłopca z otwartymi spazmatycznie ustami.

Gotowe. Mam to, po co przyszedłem — mruknął Angelo, idąc mu na spotkanie. Will go ominął, ale Wenecjanin chwycił jego rękę. — Już po wszystkim, komandorze.

W korytarzu znów podniósł się rumor. Słyszac krzyk dziecka, żona Guida rzuciła się na Zachariasza. Była postawną kobietą i rycerz, trzymając równocześnie unieruchomionego sługę, nie zdołał jej zatrzymać. Wpadła do komnaty, wołając:

Boże, co wyście zrobili!

Angelo złapał ją za nadgarstki i wprawnie wykręcił rękę.

Will przykucnął nad kupcem. W jego piersi widniał mały krwawy otwór. Już miał wstać,

kiedy Guido otworzył oczy. Wyrzęził coś i krew spłynęła mu po brodzie. Jęknął. Nie, to nie był jęk, próbował coś powiedzieć. Jego słowa tonęły wśród szlochów żony i przekleństw

Angela. Will nachylił się niżej.

Sploniecie wraz ze swoim mistrzem... — posłyszał wysilone słowa.

Czarny Kamień będzie waszą zgubą, nie wybawieniem. Bądźcie przeklęci... — Ranny wciągnął świszczący oddech, jego ciało zwiotczało i znieruchomiało.

Angelo puścił kobietę, która osunęła się na podłogę i zanosła głośnym płaczem.

Wracamy do Templum, komandorze. Wiem już to, co trzeba. Nie patrząc na niego, Will podszedł do żony Guida i pomógł jej wstać.

Twarz kobiety zmarszczyła się żałośnie.

Wybacz — powiedział cicho. — Nie powinno było do tego dojść. Splunęła mu w twarz.

Otarł policzek, czując na sobie spojrzenie czarnych oczu Wenecjanina. Wyszli, pozostawiając domowników z trupem i żałobą. Kiedy jak zacadzony wciągnął głęboko w płuca rzeźwy

chłód wieczoru, niczym echo napłynęły do niego słowa Guida:

„Czarny Kamień będzie waszą zgubą, nie wybawieniem”.

Dzielnica wenecka w Akce Szesnasty dzień marca roku Pańskiego 1276

Skład przy ulicy Jedwabnej był ciemny i chłodny nawet w lecie; okiennice trzymano zamknięte, żeby bele tkanin nie spęzły w słońcu. Elwina wciągnęła w nozdrza znajomy słodkawy zapach. Na półkach leżały setki zwojów, gotowe na podróż do Wenecji, a stamtąd do innych miast w całej Europie. Przeliczyła je raz jeszcze, a potem pieszczotliwie pogłaskała piękny samit, ulubioną materię królowej Francji, będącej od wielu lat jedną z najlepszych klientek Andreasa. Obejrzała się, słysząc, że ten coś mruczy. Przerzucił stos rejestrów, który dopiero co ułożyła.

Gdzie jest rejestr magazynowy?

Podeszła do półki, wspięła się na palce i zdjęła grubą, oprawną w skórę księgę.

Kupiec uśmiechnął się, gdy mu ją wręczyła. Był to postawny mężczyzna, niezbyt tęgi, ale szeroki w ramionach, o dużych dłoniach i pociągłej twarzy obramionej włosami barwy

opiłków metalu.

Nie wiem, jak dawałem sobie radę bez ciebie — rzekł, poślinił palec

jął wertować księgę. Początkowe strony wypełnione były jego gryzmołami, dalsze rzędami

schludnych liczb wpisanych przez Elwinę. Przebiegł kolumnę na ostatniej stronie. —

Sprawdziłaś, czy wszystkie bele są wpisane?

Dwa razy.

Pokiwał z zadowoleniem głową.

Biorę rejestr. Dam synowi, żeby mógł jutro dopilnować załadunku.

Wsadził go do sakwy, pogwizdując. — Nieźle zarobimy na tej dostawie.

Elwina patrzyła na to z uśmiechem. Powodzenie Andreasa i jej sprawiało radość.

Andreas był kupcem w pierwszym pokoleniu; zaczął się parać tym fachem przed dwudziestu

pięciu laty. Opowiadał jej, jak ciężko mu było

rozkrećć własny interes na przekór zamożnym i wpływowym weneckim rodom. Ojciec

wyuczył go rachunków i prowadzenia ksiąg, spodziewając się, że jak on znajdzie posadę w cudzym kantorze, lecz krnąbrnego młodzieńca urzekły opowieści o dalekich ziemiach i

błękitnych morzach, z których niewolnicy wyławiali perły zamknięte w szorstkich szarych muszlach, żeby kupić sobie za nie wolność. Chłonał każde słowo, gdy patroni ojca mówili o dziwacznych

zwierzętach i osnutych mgłami górach,
czerwonym księżycu wschodzącym nad pustynią; gdy szeptem opisywali wdzięki
skropionych wonnościami hebanowych kobiet. Słuchając jego wspomnień, Elwina rozpoznała
znajomą tęsknotę.

Przez wiele lat i ona marzyła o podróżach. Nigdzie nie mogła sobie znaleźć miejsca — ani w ciasnej
dwuizbowej chacie w Powys, gdzie mieszkała z wiecznie milczącą matką, ani w
wysokich kamiennych salach paryskiej siedziby króla Francji. Kiedyś zapytała Andreasa, czy
rzeczywistość dotrzymała kroku marzeniom.

Prześcignęła je — odparł. — Nawet nie marzyłem, że będę miał taką piękną żonę i dzieci.

Pokiwała wtedy głową i zamilkła. Jej własna rzeczywistość była nieco inna, niż to sobie ongiś
wymarzyła.

Andreas położył sakwę na stole.

Ostatnio wszyscy byliśmy zabiegani i nie nauczyłem cię rachunku strat i zysków, jak

obiecałem. — Uciszył ją ruchem dłoni. — Tymczasem jednak mam do ciebie prośbę. Chcę

cię wysłać na wiosenny targ do Kabulu. [Nicolo](#) płynie do Wenecji, a tu jarmark wielkanocny za
pasem; zresztą Besina wkrótce będzie rodzić i nie chcę jej zostawiać. — Uśmiechnął się, widząc
minę Elwiny. — Jesteś zdziwiona?

Nigdy dotąd nie kupowałam dla ciebie tkanin.

Oczywiście, że tak.

Ale pod twoim okiem.

Andreas potrząsnął głową.

Masz dar, choć może o tym nie wiesz. Obserwowałem cię. — Po- stukał się lekko palcem w
kącik oka. — Wiem, co potrafisz.

Patrzył, jak dziewczyna w skupieniu ściąga brwi. Długo się zastanawiał, nim jej to
zapropozował. Najwyraźniej i ona traktowała to poważnie.

Elwina była bystra i chętnie się uczyła, lecz nie to czyni kupca bogatym. Trzeba umieć się targować,
czarować, zachwalać, a do tego miała wrodzony talent. Miejscowi przekupnie ją uwielbiali. Kiedy
po raz pierwszy zabrał

Oczywiście chodzi tu o inny Kabul, nie ten w Afganistanie (przyp. tłum.).

ją na jarmark, żeby ją nauczyć oceniać jakość tkanin, był zdumiony, widząc, jak ceny spadają, gdy wdzięcznie spłoniona zadaje pytania swoją mocno łamaną arabszczyzną. Wyznała mu

potem, że w Paryżu wysyłano ją na targi po różne drobne cacka dla królowej. Wówczas

Andreas postanowił wykorzystać nadarzącą się okazję.

Na drogach jest bezpiecznie? — spytała.

Nie wysyłałbym cię, gdyby było inaczej. Rozejm podpisany z sułtanem gwarantuje

bezpieczeństwo na traktach pielgrzymich w całej Palestynie. Kabul jest niecały dzień drogi stąd. Pojadą z tobą Giorgio

Taqsu.

Giorgio był emerytowanym żołnierzem weneckim gwardii miejskiej, Taqsu Beduinem,

którego Andreas kupił przed piętnastu laty na targu niewolników, a nazajutrz uwolnił i

zapropozował płatną pracę. Obaj zwykle jeździli z Andreasem po jedwabie w charakterze

woźniców i zarazem ochrony, a Taqsu dodatkowo jako przewodnik i tłumacz. Elwina знаła

obu

lubiła.

Możesz wziąć ze sobą Katarinę — dodał Andreas, widząc już, że się zgodzi. — Besinie

potrzebny jest spokój. Poza tym mała jeździ ze mną co roku i byłaby niepokieszona, gdyby tym razem ją to ominęło.

Dobrze — uśmiechnęła się Elwina. — Dziękuję.

Gestem objęła pólki.

Wszystko jest przygotowane. Czy chcesz, żebym zrobiła coś jeszcze?

Na dziś to już koniec, ale mam jeszcze do ciebie parę słów. — Andreas oparł się o pulpit. —

Kim jest ten mężczyzna, z którym się spotykasz?

Cofnęła się gwałtownie, jak gdyby ją uderzył. Nie zdołała pokryć wstydu ani strachu, były wryte na jej twarzy, zaczerwienionych policzkach, otwartych ustach, spłoszonych zielonych oczach.

Katarina mi powiedziała — wyjaśnił.

Zwiesiła głowę.

Przepraszam. Ja...

Nie zamierzam cię łąać. Przeciwnie, cieszę się.

Eee... cieszysz się?

Jesteś piękną kobietą, ale zbliżasz się już do trzydziestki. To wbrew naturze. Besina została moją żoną w czternastej wiosnie życia i dała mi bardzo wiele szczęścia. — Andreas pokręcił

głową. — Przynajmniej teraz wiem, dlaczego odrzuciłaś zaloty mego syna.

Policzki Elwiny pokraśniały jeszcze bardziej.

To nie to, że nie... — urwała, z wysiłkiem szukając włoskich słów. Czasem potrafiła paplać w tym języku jak nakręcona, innym razem, zwłaszcza kiedy się spieszyła, dukąła z trudem. —

Bardzo mi pochlebił. Tylko że...

Nie musisz mi się tłumaczyć. Chcę tylko wiedzieć, czy po zamąż- pójściu nadal będziesz u mnie pracować. Czy twój przyszły mąż na to zezwoli?

On jest templariuszem, rycerzem zakonym — wyjąkała, spuszczać w7zrok.

Kupiec szeroko otworzył oczy.

Templariusz? Tego Katarina mi nie powiedziała. — Ze świstem wypuścił powietrze. — Teraz mnie zmartwiłaś, dziewczyno. Co to za życie? W tajemnicy, w grzechu... Chcesz się wyrzec macierzyństwa, rodziny...?

Głos mu złagodniał. — Jesteś dla mnie jak córka, Elwino. Chciałbym, żebyś zaznała

szczęścia. A jeśli ten mężczyzna nie może ci go dać, modlę się, żebyś spotkała kogoś innego.

Nie mogę przestać go kochać. — W oczach Elwiny zabłyśły łzy. — Bardzo bym tego chciała, ale nie potrafię. Kocham go od dziecka. Dorastaliśmy razem we Francji. Kiedyś byliśmy

nawet zaręczeni.

Zanim przyjął śluby?

Niedługo przedtem. — Umknęła oczyma przed jego spojrzeniem.

I co się stało?

Westchnęła ciężko.

To długa historia. Dość powiedzieć, że przez zdradę swego druha zrobił coś, co bardzo mnie dotknęło. On sam nie był temu winny, ale rozstaliśmy się wówczas, on przyjechał do Akki, a ja zostałam w Paryżu.

I po tylu latach jesteś wciąż w punkcie wyjścia?

Tak, tyle że mam więcej zmarszczek. — Zaśmiała się niewesoło.

Nie wystąpi z zakonu?

Elwina milczała przez chwilę.

Nie — powiedziała w końcu. — Kiedyś myślałam, że to zrobi, ale teraz wiem, że nie. Jest już komandorem. Tak długo czekał na biały płaszcz. Chyba tego zawsze pragnął najbardziej...

Bardziej niż mnie. — Ściągnęła brwi i wzruszyła ramionami. — Gdyby mu to odebrać, nie byłby już sobą. A skoro go miłuję, to przecie takim, jakim jest. Powinnam pragnąć jego szczęścia, czyż nie?

Ale co z tobą?

Wzruszyła ramionami i zsunęła z głowy welon, żeby przeczesać palcami włosy.

Andreas przyglądał jej się z namysłem.

Słyszałem, że byli tacy, którzy wstępowali do zakonu, mając żony.

To prawda — potwierdziła Elwina. — Wolno im wstąpić do zakonu ale jako półbraciom, a jeśliby złożyli śluby, nie mogą już obcować ze swymi małżonkami. Gdyby którykolwiek z mistrzów dowiedział się, że Will mnie odwiedza, zostałby wychłostany i przegnany z Templum. Zresztą — dodała rezolutnie — to nie dla mnie. Nie czuję w sobie powołania do zakonnego życia.

A on do świeckiego. I co z tym zrobicie?

Elwina owinęła sobie rąbek welonu wokół palca.

Nie wiem. — Z westchnieniem przymknęła oczy. — Naprawdę nie wiem.

Templum w Akce Szesnasty dzień marca

Widziałeś się ostatnio z Elwiną?

Mówże ciszej! — Will podskoczył, zrywając się z ławki.

Przepraszam. — Głowa Szymona wyjrzała zza konia, którego bok szcztkował, i po chwili zniknęła z powrotem. — Nie ma tu nikogo. Nikt nas nie usłyszy.

Will rozejrzał się po kamiennych stajniach. Tu trzymano konie bojowe; ciężkie ogiery do bitwy opancerzane na podobieństwo jeźdźców. Juczne podjezdki używane na co dzień mieściły się w przyległej stajni.

Mimo to nie chcę o tym rozmawiać. — Zmusił się do uśmiechu.

Przyszedłem do ciebie. Nie mam teraz wiele czasu dla przyjaciół, a skoro już wyrwałem chwilę, nie będę jej poświęcał na własne sprawy.

Ja tam bym wolał — skrzywił się Szymon. — Ode mnie wiele ciekawego nie usłyszysz.

Tkwię tu całymi dniami, świata nie widząc.

Wyprostował się i otarł czoło przedramieniem, rozmazując na nim smugę kurzu. — Chociaż wczoraj rozmawiałem z Ewerardem.

Ach tak?

Był wściekły. To znaczy bardziej niż zwykle.

Co mówił?

Niewiele. Pytał, czy się z tobą widziałem. Chciał wiedzieć, gdzie jesteś.

Will zmarszczył brwi.

Do mnie nie przyszedł.

Znasz Ewerarda. Myślę, że chciał, żebym ci to powtórzył i żeby nie inusiał sam po ciebie posyłać. Powinieneś go odwiedzić.

Will z roztargnieniem podrapał się po podbródku, rozgarniając szorstki zarost.

Nie miałem wiele czasu od tego zamachu.

Nie masz czasu — Szymon przekrzywił głowę — ale siedzisz tu jak struty, choć nie chcesz nawet gadać.

Will nie odpowiedział. Szymon miał rację; celowo unikał spotkania z księdzem. Ewerard będzie chciał wiedzieć, co zaszło w domu Soranza. Na pewno słyszał plotki, może nawet wiedział od seneszała, że w lochu siedzi człowiek imieniem Sclavio, powiązany z zamachem na wielkiego mistrza. Will nigdy nie był w stanie go oszukać. Ewerard się domyśli, że coś przed nim ukrywa.

Kilkakrotnie nosił się z myślą, żeby iść do Ewerarda i wszystko mu opowiedzieć — o Sclaviu, o decyzji wielkiego mistrza, aby przesłuchanie powierzyć obcemu; o ostatnich słowach Guida. Po części powstrzymywała go obawa o zdrowie starca. Ewerard był już bardzo słaby, przytłoczony troską, że król Edward może się okazać wrogiem bractwa. Wieść, że i wielki mistrz może mieć na sumieniu jakieś ciemne sprawy, gotowa by go dobić.

w? imię czego? Wszystkim, czym Will na razie dysponował, były niezrozumiałe słowa konającego. Zanim stanie przed Ewerardem, musi dowiedzieć się więcej.

Wyteżał umysł, próbując odgadnąć znaczenie dziwnej klątwy Guida, lecz na próżno. Nigdy nie słyszał o żadnym „czarnym kamieniu” i nie pojmował, dlaczego wielki mistrz miałby z jego powodu spłonąć. Poza Ewerardem był tylko jeden człowiek, którego mógł zapytać:

Eliasz, stary rabin, który handlował księgami w żydowskiej dzielnicy. On i Ewerard przyjaźnili się od wielu lat. Eliasz wiedział o Duszy Świątyni, pomagał im wynajdywać rzadkie teksty, czasem rozpuszcza! w swoim kramie wieści, na których rozpowszechnieniu zależało bractwu. Miał księgi o wszystkim, począwszy od historii, poprzez medycynę, a skończywszy na astrologii magii uprawianej przez tatuowanych mieszkańców pustyni. Po trosze też na wszystkim się znał. Musiał go tylko dyskretnie wypytać, tak żeby nie doszło to do Ewerarda.

Pewnie zobaczę go przy wieczery — powiedział.

Szymon wzruszył ramionami.

Bracie Wilhelmie — doleciał ich głos od wrót. Zachariasz kiwał nań nagląco. — Wielki

mistrz prosi cię do swoich komnat.

Kiedy Will wszedł do świetlicy, wielki mistrz siedział przy pulpicie Słońce wlewało się przez okno, kładąc się jasną prostokątną plamą na rozpostartych papierach.

Witam, komandorze — rzekł mistrz, nie podnosząc głowy.

Zamknij za sobą drzwi. — Zanurzył pióro w kałamarzu i pisał dalej, posykując na rozlewający się inkaust. Kiedy skończył, odłożył pióro

wyprostował się w krześle. — Dobrze się wczoraj spisałeś. Nie miałem ci jeszcze okazji podziękować. Znow jestem twoim dłużnikiem. Dzięki tobie człowieka, który pragnął mojej śmierci, dosięgła sprawiedliwość.

Will zacisnął usta, po czym wypalił:

Wolałbym, żeby dosięgła go w naszych lochach, nie w domu na oczach dzieci.

Wilhelm z Beaujeu przyglądał mu się przez chwilę. Twarz miał nieprzeniknioną.

Rzeczywiście, było to dość nietypowe przesłuchanie. Ale Vitturi zabił go w samoobronie.

Można było tego uniknąć, gdybyśmy pojмали Soranzę i przesłuchali go tutaj.

Zanimby do tego doszło, miałby czas obmyśleć sobie obronę. Vitturi wziął go przez zaskoczenie — odpowiedział cierpliwie wielki mistrz, ale coś w jego tonie zdawało się sugerować, że Will przeciąga strunę.

Zatem dowiedziałeś się wszystkiego, panie? — Will sam czuł, że posuwa się za daleko, ale nie mógł się powstrzymać. Uświadomił sobie, że jest wściekły na mistrza: za to, że posłał go na ważną akcję z nieprzewidywalnym Wenecjaninem; za to, że postępował w sposób, który

budził w nim instynktowną nieufność.

Wilhelm jednak oparł się wygodniej i nagle jakby się odprężył.

Wygląda na to, że moja śmierć była dla Soranza ceną kontraktu skutniczego.

Skutniczego...?

Na soborze w Lyonie papież dał mi zgodę na wybudowanie floty, która będzie obsługiwać wschodnią część Śródziemnomorza. We Francji roboty już się zaczęły. Guido był

szkutnikiem i marnie mu się wiodło.

Gdybym zginął, budowę przejęliby rycerze Świętego Jana, z którymi miał umowę.

Niemożliwe... — Will zmarszczył brwi.

Wielki mistrz wybuchnął śmiechem. Jego twarz nagle odmłodziła, zniknęły z niej bruzdy trosk.

Wydajesz się zawiedziony! Spodziewałeś się po nim jakiegoś szczytniejszego motywu, przyznaj się, bracie! Prawdę mówiąc, sam byłem rozczarowany. — Uśmiech zgasł. —

Przekonałem się, jak nisko można upaść, byle zarobić na czyjejś śmierci.

Will nie odpowiedział. Czyżby się mylił? Czy wielki mistrz rzeczywiście wiedział tylko tyle?

Wydawał się szczery. Will nagle zapragnął w to uwierzyć. Chciał ufać Wilhelmowi. Była w' nim jakaś krzepiąca bezpośredniość, stałość; coś, na czym można by się oprzeć.

Sprawa zakończona. — Mistrz wstał i podszedł do rzeźbionej szafy.

Możemy nareszcie wrócić do zwykłych obowiązków.

Otworzył drzwiczki i wyjął cienką srebrną tubę zdobioną delikatnym filigranem. Podał ją Willowi.

Mam dla ciebie nowe zadanie. Zawieziesz to mężczyźnie imieniem Kajsan, jednemu z naszych szpiegów. List zawiera ściśle tajne informacje, które Kajsan ma dla nas sprawdzić.

— Usiadł z powrotem. — To szyicki najemnik; on i jemu podobni strzegą dróg pielgrzymkowych wiodących do Mekki z Syrii i dalszych krain. Otrzymują zapłatę za ochronę pątników przed dzikimi plemionami, które napadają na karawany i wymuszają na nich haracz. Kajsan ma dom w wiosce Ula, leżącej trzy dni drogi na północ od Medyny, świętego miasta muzułmanów, w którym spoczywają kości ich proroka. Weźmiesz ze sobą

Zachariasza, Rogera i Armanda. Franciszek jest chory. Jak się nazywa ten twój druh? Ten, który pomógł ci pojmać Sclavia?

Robert z Paryża?

Wilhelm kiwnął głową.

Jego też węz. Jako rzekłem, Kajsan przeważnie jest na szlaku, toteż możliwe, że będziecie musieli zaczekać na jego powrót. Na tych drogach spotyka się syryjskich chrześcijan, sprzedających żywność pielgrzymom, pojedziecie więc przebrani za handlarzy. Poprowadzi was jeden z naszych przewodników. Uła to ostatnia wieś w Arabii, do której wolno nam wjechać. Dalej szlak do Mekki i Medyny zastrzeżony jest dla muzułmanów. Kiedy tam dotrzecie, pytajcie o Kajsana. Ludzie go znają. Wyruszyście jutro.

Will czuł, jak srebrna tuba nagrzewa mu się w dłoni.

To tajne, panie?

W najwyższym stopniu — podkreślił Wilhelm. — Bądź czujny, bracie. Tamte szlaki nie są dla nas bezpieczne. List nie może wpaść w niepowołane ręce.

Tak jest.

Wielki mistrz z powrotem ujął pióro. Widząc, że komandor wciąż stoi w miejscu, uniósł głowę.

Coś jeszcze?

Nie, panie.

Nurtowało Willa wiele pytań, ale nie miał nadziei, że odpowiedź uzyska w tej komnacie.

Port w Akce

Piętnasty dzień kwietnia roku Pańskiego 1276

Nad morzem kołowały z wrzaskiem ptaki, ich ciemne sylwetki kreśliły spirale na tle jaśniejącego nieba. Zza widnokręgu na wschodzie wybiły się pierwsze promienie słońca, barwiąc złotawo iglice, kopuły i wieże stłoczone w pierścieniu murów. Garen oparł się o burtę i przysłonił oczy. Słońce musnęło go po twarzy.

Akka.

Przeżył tu kilka lat, a jednak była mu równie obca jak każde cudzoziemskie miasto.

Stacjonował w Jaffie, później w Antiochii; po ich upadku przyjechał do Akki, gdzie niemal natychmiast wtrącono go na cztery lata do klasztornej lochy. Związane z nią wspomnienia ograniczały się więc do dźwięków i woni, na pół tylko rzeczywistych dowodów, że poza

murami więzienia istnieje świat — drżenia chłostanej falami skały, odoru soli i wilgoci, ptasich krzyków. Odkąd pół roku temu wszedł na statek w Londynie, oczekiwał spotkania z Akką niczym człowiek, który ma oto stawić czoło dawnemu wrogowi. Widząc, jak rośnie

teraz na horyzoncie, odczuł przypływ podniecenia, który jego samego zdziwił. Może spędziwszy tyle czasu na morzu, cieszył się, że widzi ląd, a może ekscytowała go perspektywa swobody, którą mogło mu dać to miasto. Tak czy owak, w miarę jak statek zbliżał się do portowych umocnień, Garen z coraz większym trudem zachowywał spokój.

Złapał sakwę leżącą w kącie pokładu, który był mu domem na czas podróży. Dziwaczny z niego poseł — bez orszaku, bez fanfar, na zwykłej kupieckiej krypie przewożącej wełnę i pełnej nieokrzesanych londyńczyków. Edward orzekł, iż tym razem konieczna jest dyskrecja, toteż Garen zamiast aksamitów miał na sobie prostą płócienną koszulę i wytartą tunikę z szorstkiej wełny. Z początku był wściekły, chociaż oczywiście nie dał tego poznać królowi. Ale już w połowie francuskiego wybrzeża odkrył, że niewytworna kompania może mu zaoferować rozrywki, dzięki którym czas będzie płynął różnie — picie i kości.

Gdy tylko zamocowano cumy, załoga wzięła się do opróżniania ładowni, a szyper zszedł na ląd i udał się do izby celnej. Garen obejrzał się na żeglarzy, ale byli zajęci rozładunkiem, a zresztą i tak nie miał im nic do powiedzenia. Mrużąc oczy przed słońcem, zszedł po trapie na rojne, hałaśliwe nabrzeże. Nieruchome podłoże było dla niego szokiem; zachwiał się, z trudem opanowując mdlące uczucie zatrzymania w biegu. Po kilku zygzakowatych krokach przekonał się jednak, że zdoła iść prosto, jeśli obierze sobie za cel jakiś stały punkt. Wbił więc wzrok w potężną kutą bramę miejską, zarzucił sakwę na ramię i ruszył naprzód.

Minąwszy okrągłą wieżę cukrowni i rzędy składów oraz tawern, które oblepiły port dokoła, wszedł do właściwego miasta. Przekupnie rozstawiali już kramy na pizańskim targu, ocienionym gigantycznym niebiesko-zielonym płóciennym baldachimem, który chronił przed słońcem głowy sprzedających. Tuż obok ciemnoskóry mężczyzna postawił na straganie wielki kosz granatów i drugi, pełen żółtozielonkawych owoców, które jak Garen jeszcze pamiętał, nazywano tu rajskimi jabłkami. Zaburczało mu w brzuchu. Sięgnął do sakwy, wydobyl z niej ciężki od monet mieszek i wskazał granaty, rozczapierzając palce na znak, że chce dwa.

Mężczyzna wyszczerzył w uśmiechu poczerwiałe zęby i podał mu owoce.

Świeżo przybyły? — spytał obco akcentowaną francuszczyzną, ruchem głowy wskazując przystań.

Garen przytaknął, wręczając mu pieniądze.

Witaj w raju! — zachichotał kramarz.

Garen schował trzos i jeden granat, wyjął z pochwy wąski ostry sztylet i obrał drugi owoc, odsłaniając ciemne granulowane wnętrze. Rozejrzał się wokół, próbując sobie uprzytomnić, w jakim kierunku powinien iść. Poprzednim razem nie zdążył dobrze poznać miasta. Do

Templum musiałby skrócić w lewo, widział w oddali mury preceptorium. Na razie jednak się tam nie wybierał. Miał do załatwienia inne sprawy.

Ruszył na północ uliczką wybiegającą z targu. Nie uszedł daleko, gdy usłyszał, że ktoś go woła po imieniu. Szło za nim dwóch osiłków; jeden był łysy, skóra łuszczyła mu się na

opalonej głowie, drugi dla odmiany miał gęste szorstkie włosy porastające czerep i większość twarzy.

Zabrałeś ze sobą cudzą własność.—Łysy był spocony i dyszał ciężko jak po długim biegu.

Garen westchnął ze znużeniem.

Wygrałem uczciwie, Walterze.

Oszukałeś nas! — Walter wycelował w niego palec. — Przez cały czas przegrywałeś i teraz nagle, na sam koniec rejsu, odkułeś się z nawiązką? Z góry to zaplanowałeś!

Dzięki temu gra była ciekawsza — oznajmił Garen wciąż tym samym znudzonym tonem.

Odrzucił jednak niedojedzony granat i wsunął kciuk za pas obok pochwy ze sztyletem.

Oddaj pieniądze, psi synu! —warknął włochaty towarzysz Waltera.

Wszystkie!

Na policzkach Garena pojawił się leciutki rumieniec, pierwsza oznaka gniewu.

Psi synu? — zaśmiał się, ale w jego śmiechu nie było wesołości.

Sądysz, że obelgami zdołasz mnie wystraszyć, Jasiu? — Cisnął sakwę i ruszył im na spotkanie. — Był taki czas, kiedy kazałbym was kołem łamać tylko za to, że śmieliście

przemówić do mnie tym tonem. Cóż, nie noszę już zakonnego płaszcza, ale nie zapomniałem, czego mnie nauczono.

On jest mój. — Walter odsunął Jana na bok.

Garen szedł ku niemu wolno, jak na przechadzkę, jakby nie widział wzniesionych pięści.

Kiedy potężny żeglarz wyprowadził pierwszy cios, zrobił zręczny unik i łokciem wyrzwał go od dołu w szczękę. Głowa Waltera odskoczyła, zatoczył się z okrzykiem bólu, krztusząc się krwią z przegryzionego języka.

Bękart — wybełkotał i runął naprzód.

Garen uskoczył w lewo i znów udało mu się zwieść przeciwnika. Jego pięść trafiła marynarza w oko, a ostry ból w knykciach świadczył, że cios był mocny. Walter cofnął się, trzymając za twarz, a zamiast niego wkroczył do walki kosmaty Jan.

Garen miał się na baczności, ale po zbudowanym jak niedźwiedź mężczyźnie nie spodziewał

się tak błyskawicznej szarży. Odkrył nagle, że się cofa, usiłując się osłonić przed serią szybkich ciosów. Jeden dotarł do celu i pod pięścią Jana jego nos chrupnął groźnie. Gęsta, gorzka krew spłynęła mu do gardła, oczy zaćmiły się łzami, a całą głowę przeszył gwałtowny ból. Poczul wściekłość. Odplunawszy krew, ruszył do ataku. Nie zważając na sypiące się na niego ciosy, złapał Jana za włosy i szarpnął jego głowę w dół, równocześnie podnosząc

kolano. Udało się; złamał mu nos i rozkwasił usta. Mocno odepchnięty mężczyzna zwałił się jak kłoda, z trzaskiem waląc głową o próg najbliższego domu, i znieruchomiał.

Garen otarł krew z twarzy, przestąpił bezwładne ciało i podszedł do Waltera, który z

niedowierzaniem wpatrywał się w powalonego druha. Kiedy Garen sięgnął po sztylet, Walter uciekł.

Garen patrzył za nim przez chwilę, po czym schował sztylet na powrót do pochwy i pochylił

się nad nieprzytomnym przeciwnikiem. Zerwał mu trzos i schował do sakwy. Potem odwiązał

mu od pasa bukłak. Tanie wino zapiekło go w przełyku. Krzywiąc się, wypłukał usta, żeby pozbyć się smaku krwi, i rzucił bukłak na rozciągnięte ciało.

Łatwo było zwieść takich jak oni. Patrząc na Garena, widzieli spokojnego mężczyznę

zblizającego się do trzydziestki, nieokreślonego stanu i fachu, wygadanego, urodziwego, lecz miękkiego, z którego mogli sobie pokpić i bez trudu wydoić trochę grosza. Wyglądał na

pisarczyka, nie kogoś, kto oszuka cię w kości, uwiedzie ci kobietę albo poderżnie gardło w ciemną noc. Nie dostrzegli blizn starannie ukrytych pod długimi włosami i ciemnoziółtą

brodą. Nie zwrócili uwagi, jak się porusza — płynnie, lekko, jak ktoś wdrożony do miecza.

Umknęło im też to, że starannie wybierał miejsce do spania i nigdy nie odwracał się do nich plecami. Zaiste o niczym nie mieli pojęcia.

Zarzucił sakwę na plecy i wyszedł z zaułka w ulicę Trzech Króli, kierując się do królewskiej rezydencji w Akce.

Kabul, Królestwo Jerozolimskie Piętnasty dzień kwietnia

Elwina naciągnęła w palcach materiał, badając splot.

Piękny. — Zerknęła na sprzedawcę.

I tani — uśmiechnął się Arab.

Obok niej mężczyzna w średnim wieku pytał o cenę połyskliwego samitu; sprzedawca

pośpieszył go obsłużyć. Ktoś potrącił ją z tyłu; kobieta uśmiechnęła się do niej

przepraszająco, usiłując przejść dalej w ścisku. Choć targ trwał od świtu, wciąż było tłoczno.

Ludzie przepychali się jeden przez drugiego, handlarze wykrzykiwali ceny, kupujący oglądali towar wystawiony na straganach. Wiosenny targ w Kabulu zdominowany był przez tkaczy,

ale kilku kupców sprzedawało przyprawy, barwniki i kadzidło. W powietrzu snuł się ciepły żółtawy dym z ognisk i zapach pieprznego mięsiwa, a ponad gwarem tłumu słychać było

piękną rzewną melodię. Lirnik stojący w cieniu kamiennego kościoła, najwyższego budynku w wiosce, zgromadził liczny krąg słuchaczy, którzy śpiewali z nim pieśni w nieznanym

Elwinie języku.

To już wszystko?

Obróciła się i ujrzała zmachanego, zaczerwienionego z pośpiechu Giorgia. Słońce stało

wysoko, robiło się coraz goręcej.

Taqsu prawie skończył ładować wóz — dodał.

Chyba kupię jeszcze trochę tego. — Elwina przepuściła tkaninę przez palce. — Powinna się spodobać Andreasowi, jak myślisz?

Wenecjanin wyrzucił ramiona w górę.

To co ja wiem o materiałach, moja panno, da się spisać na łebku szpilki. Mogę powiedzieć

jedno: Andreas ci ufa, skoro dał ci wolną rękę, a jeśli tak, to i ty zaufaj sobie. Rób, jak uważasz.

Masz rację. — Uśmiechęła się do niego. Stanęła na palcach, wyglądając ponad głowami ludzi w stronę stłoczonych obok targu wozów. — Katarina jest z Taąsu?

Tak, pomaga mu układać zwoje.

Pachołkowie i woźnice wszelkich nacji pakowali towar do wozów i juków. Byli tu sprzedawcy z Damaszku, Mosulu, nawet z głębi Arabii. Dwunastoletnia wojna Bajbarsa z

Frankami zniszczyła niemal wszystkie chrześcijańskie osiedla w Palestynie i Syrii,

pozostawiając tylko kilka miast na wybrzeżu i garść wiosek w Galilei, zamieszkanych w

większości przez tubylczych chrześcijan. Kupcy mieli znacznie mniej okazji, by sprzedawać swój towar ludziom Zachodu. Jarmarki takie jak ten czy znane od dawna targi w Akce, Tyrze i Trypolisie ściągały więc co roku nieprzeliczone tłumy.

To już ostatni, zaraz tam do was przyjdę. — Elwina odesłała Giorgia do wozu i zwróciła się do kupca: — A ile za to?

Kiedy po nocnej podróży z Akki przybyli do Kabulu tuż przed świtem, paraliżował ją strach, że zawiedzie zaufanie, którym obdarzył ją Andreas. Po pierwszym zakupie nabrała pewności siebie i targowanie się zaczęło jej sprawiać przyjemność. Czasami tylko musiała prosić Taąsu, żeby tłumaczył.

Właśnie dogadała się co do ceny, kiedy ktoś pociągnął ją za rękaw. Obok podskakiwała niecierpliwie Katarina.

Nudzę się. Kiedy jedziemy?

Zaraz. — Elwina odgarnęła jej z czoła ciemną grzywkę. — Już kończę. Poczekaj z Taąsu w wozie.

Pójdę posłuchać grajka.

Elwina podniosła głowę. Lirnik stał pod kościołem, dość daleko, a tłum wciąż był gęsty.

To już lepiej zostań tu ze mną.

Masz pieniądze? — wtrącił się sprzedawca.

Ojciec by mi pozwolił! — fuknęła z wyrzutem Katarina.

Dobrze. — Elwina z roztargnieniem sięgnęła do mieszka. — Zaczekaj przed kościołem,

przyjdę tam po ciebie.

Dziewczynka pisnęła z uciechy i już jej nie było.

Masz piękną córkę — zauważył Arab, zwijając tkaninę.

Nie jest moja — zaśmiała się Elwina, lecz śmiech uwiązał jej w gardle. Te trzy słowa niosły w sobie taki bagaż emocji, że zachciało jej się płakać. Szybko zamrugła oczyma, strząsając łzy.

Już od kilku tygodni dręczył ją smutek. Złapała się nawet na tym, że myśli o rodzicach.

Rzadko ich wspominała. Ojciec zmarł wkrótce po jej urodzeniu, z matką rozstała się wiele lat temu. Jeszcze z Paryża pisywała do niej co roku, ale nigdy nie dostała odpowiedzi. Nie wiedziała nawet, czy matka żyje. Jej ból nie był bólem utraty, lecz tęsknotą za czymś, czego nigdy nie miała: rodziną. To wszystko przez Andreasa; odkąd przyznała mu się do związku z Willem, już dwukrotnie radził, żeby znalazła sobie męża, który się nią zaopiekuje. Wiedziała, że chce tylko jej dobra, ale przypomnienia, że marnuje sobie życie, podsycaly jej gorycz.

Sprzedawca wręczył jej ciężki zwój materii.

Dziękuję — powiedziała i nagle poczuła lekkie drżenie pod stopami. Na rynku ucichło.

Ludzie podnosili głowy, rozglądali się dokoła. Ktoś spytał po francusku:

Czy to trzęsienie ziemi?

Nikt nie odpowiedział. Stragan zaczął się trząść; porcelanowa czarka, z której bławatnik pił wonną herbatę, brzęknęła cienko; po ciemnym płynie przebiegły zmarszczki.

Katarina! — wrzasnęła Elwina w stronę kościoła, gdzie zaniepokojony lirnik także umilkł.

Ujrzała przez moment czarną główkę dziewczynki i wtedy na targ z przeraźliwym krzykiem

wbiegła jakaś kobieta. Trudno było ją zrozumieć, ale ton, wyraz rozszerzonych zgrozą oczu, wieścił nieszczęście. Inni też zaczęli krzyczeć i na targu rozpętało się pandemonium. Ludzie zrywali się do biegu, wpadali na siebie, potracali stragany.

Katarina!!! — Elwina wspięła się na palce, usiłując dojrzeć coś ponad tumultem, ale wpadł na nią jakiś grubas i pchnął na stragan. Bolesnie obita sobie biodro. Bławatnik gorączkowo zbierał towar, chwytając w objęcia zwoje tkanin. — Katarina!!!

Od kościoła dzieliło ją falujące morze ludzi łapiących w pośpiechu dzieci oraz własne i cudze mieszki. Jakaś starsza kobieta upadła i nakrył ją biegnący tłum. Grzmot narastał.

Co się dzieje? — wołał ktoś po łacinie.

Elwina upuściła świeżo kupioną tkaninę i zaczęła się przepychać w stronę kościoła. Ktoś chwycił ją za ramię.

Mamelucy! — krzyczał jej do ucha Giorgio. — Musimy uciekać! Szybko!

Patrzyła na niego tępo. Słowa ześlizgiwały się po powierzchni, nie chcąc, nie mogąc przedrzeć się głębiej.

Taqsu już zaprzął! Prędeż! — Giorgio ciągnął ją ku wozom.

Nagle dotarło do niej wszystko.

Muszę iść po Katarinę! — krzyknęła, usiłując mu się wyrwać. Wrzask przybrał na sile.

Szeroką ulicą przy kościele wpadła na targ grupa ludzi, tuż za nimi koni. Elwina nagle straciła zdolność ruchu.

Szarżujący jeźdźcy wyli przeraźliwie, wzniesione szable błyszczały w słońcu. Tumult powiększały jeszcze: tętent kopyt, szczęk uprzęży i zbroi. Ułowiła dwa słowa: Allah akbar!

Potem jej napięte do ostateczności ciało eksplodowało krzykiem, gdy krzywa mamelucka szabla skosiła głowę uciekającego mężczyzny, zbryzgując biegnących obok fontanną krwi.

Tuż obok upadł, wyciągając ręce, zabity chłopczyk. A potem już biegła wraz z innymi wleczona przez Giorgia.

Wydawało jej się, że tonie w morzu twarzy zastygłych w grymasie zgrozy. Wykrzykiwała imię Katariny, aż obolałe gardło przestało jej słuchać, wiedziona płonną nadzieją, że

dziewczynka usłyszy i przybiegnie do niej. Tłum odpychał ich coraz dalej od wozów i koni, które więzły w cizbie. Przed sobą mieli rząd domków z suszonej na słońcu cegły i otwartą stodołę. Ludzki wir kłębił się pomiędzy nimi, starając się wydostać na otwartą przestrzeń.

Posłyszała okropny gulgoczący jęk i runęła na ziemię, pociągnięta przez Giorgia. Ktoś potknął się o jej nogi, zwałił na nią całym ciężarem, lecz zaraz się zerwał i pobiegł dalej.

Przez chwilę nie mogła złapać tchu, potem dźwignęła się na łokciach.

Giorgio! — Złapała go za ramię i dopiero wtedy zobaczyła, że coś sterczy mu z pleców.

Strzała wbiła się głęboko prawie bez rozlewu krwi. Inna świsnęła jej tuż obok twarzy i z głuchym odgłosem utkwiała we wrotach stodoły. Elwina rzuciła się do przodu na czworakach, nie zważając na

ból zdieranej skóry i łamanych paznokci. Całe ciało miała napięte w oczekiwaniu na kolejną strzałę, tę, która wbije jej się w plecy. Wpełzła do stodoły, krztusząc się wzbijającym kurzem, aż znalazła się w ciemności, a przed sobą zobaczyła drabinę. Ledwie

dyszając, łapczywie chwytając szczeble, wspięła się na wyżkę. Zgubiła ciżmę i rozdarła suknię, ale schowała się w ciepłym wonnym sianie. Na dole posłysziała krzyk i tętent kopyt.

Rozpłaszczyła się, przyciskając oko do szpary w deskach. Do stodoły wbiegł młody mężczyzna, za nim wjechał mamelucki jeździec. Jedno cięcie szabli, mężczyzna padł z ochryplym okrzykiem i znieruchomiał. Elwina zacisnęła oczy.

Żałowała, że nie może zamknąć uszu na dobiegające zewsząd krzyki. Po pewnym czasie — nie wiedziała, jak długim — przycichły, słysząc głównie konie i nawoływania Arabów.

Naraz posłysziała głosy tuż pod sobą; ktoś był w stodole, ale po chwili wyszedł.

W końcu otworzyła oczy i bardzo powoli uniosła głowę. Czuła się bezwładna, zupełnie

wyzuta z sił. Skórę miała pokrytą lepkiem potem, a równocześnie targały nią dreszcze. Uniosła się na dłoniach i zerknęła w dół. Odruchowo umknęła wzrokiem od zwłok leżących w kałuży krwi rozlanej niczym lśniący szkarłatny wachlarz. Z zewnątrz dobiegło wołanie. Schowała czym prędzej głowę, ale nikt więcej nie wszedł do stodoły. Odczekawszy chwilę, podczołgała się do drabiny i zaczęła schodzić. Ręce jej się trzęsły; z trudem zaciskała je na szczeblach. W

połowie ześliznęły jej się stopy, przez chwilę wisiała oszołomiona, nim zdołała wziąć się w garść.

Ostrożnie podkrađła się do wyjścia. W powietrzu wisiał ciężki odór krwi, nad zwłokami już roiły się muchy. Zamknęła oczy i wzięła kilka głębokich wdechów, z trudem powstrzymując torsje. Z pobliskiego domu mamelucy wywlekli dwie kobiety i chłopca. Jeden wziął dziecko pod pachę i poniósł je w stronę placu targowego, pozostali ciągnęli zawodzące niewiasty.

Wysuwając nieco głowę, Elwina widziała fragment targowiska, resztę zasłaniały wozy —

niektóre przewrócone, inne przyprzężone do martwych koni. Spędzone w jedno miejsce

kobiety i dzieci siedziały na ziemi, otoczone kordonem zbrojnych. Inni żołnierze krążyli wokół konno. To stamtąd dobiegał lament. Elwina uświadomiła sobie z przerażeniem, że

wszyscy trafią do niewoli.

Posłysziała cienki dziewczęcy krzyk. Musiała się prędko schować, bo uliczką przeszedł

żołnierz, ciągnąc rannego mężczyznę, w którym rozpoznała lirnika. Próbował się opierać, ale doskoczył drugi Arab i uderzył go w głowę. Grajek osunął się bezwładnie, powlekli go,

zostawiając w piachu ślady ciągnących się stóp nieprzytomnego mężczyzny. Krzyk rozległ się ponownie i przez szparę ujrzała innego mameluka szamoczącego się z rozwrzeszczaną dziewczynką. Kiedy mała odrzuciła głowę i włosy zsunęły jej się z twarzy, Elwina ze zgrozą rozpoznała Katarinę i zamarła, słysząc własne imię. Po chwili uświadomiła sobie, że Katarina jej nie widzi; po prostu wzywała pomocy. Strach o siebie nagłe ją opuścił; wyparło go

przemienne poczucie odpowiedzialności. Ku własnemu zdumieniu zaczęła jasno myśleć.

Przypomniała sobie, że zabity w stodole mężczyzna miał przy pasku nóż. Skuliła się i popęzła po broń, słysząc łomot własnego serca.

Ula, Arabia Piętnasty dzień kwietnia

Will wszedł między palmy, opędzając się od natrętnego trzmiela, który krążył mu nad głową.

Przez liście przeświecały ostre smugi palącego słońca. Obejrzał się i ruszył dalej, aż zyskał

pewność, że nikt go nie zobaczy. Powiedział towarzyszom, że idzie po wodę. Tak po części było; w każdym razie zabrał ze sobą bukłaki, ale nie o wodzie teraz myślał. Za pasem pod koszulą na plecach parzyła go srebrna tuba z listem, którą dał mu wielki mistrz. Korciła go, odkąd wyjechali z Akki, a teraz nie miał już czasu do stracenia, bo Kajsan, jak im

powiedziano, miał wrócić lada dzień. Znalazłszy płaski kamień, położył bukłaki, usiadł, wydobyl tubę i w zadumie obrócił ją w dłoniach. Wielki mistrz nie zakazał mu jej otwierać —

nie musiał; to wszak było oczywiste. Powierzono mu dostarczenie pisma, którego treść nie była jego sprawą. Gdyby wyszło na jaw, że ją poznał, zapewne wydalono by go z zakonu lub nawet wtrącono do lochu.

Nad głową szeleściły mu palmowe liście o ząbkowanych, ostrych jak miecze brzegach.

Wszystko w tym kraju było szorstkie: kamieniste pustkowia omiatane drobnym piaskiem,

gdzie za wodą trzeba było kopać głęboko w twardej ziemi; bezlitosne słońce, oślepiające i parzące w południe; lodowate noce oświetlone gwiazdami twardymi i ostrymi jak pokruszone diamenty. Will przemierzał Arabię od dwudziestu sześciu dni i w porównaniu z nią zapyłone równiny Palestyny wydawały mu się zielonym rajem. Kiedy pozostawili za sobą ostatnie

syryjskie miasto, przewodnik — małomówny Arab, który służył Świątyni od dziewiętnastu lat mruknął, iż wkracząc do Hidżazu, człowiek zatracca siebie, a wyjeżdżając, rodzi się od nowa. Niebawem Will przyznał mu w duchu rację. Była to najsmutniejsza kraina, jaką

widział w życiu, a podróż mocno dała się we znaki jemu i towarzyszom. Wiatr wysuszał im ciała, lecz także słowa na ustach; całymi dniami jechali w posępnym milczeniu.

Po wyjeździe z Akki ruszyli przez Galileę, mijając z bliska Safed, pełen bolesnych wspomnień. Brodem Jakubowym przekroczyli Jordan i w Hauranie weszli na pątniczy szlak wiodący z Damaszku do Arabii. Podróżnych było więcej, niż się spodziewali. Nie nadeszła jeszcze pora hadżdżu, wielkiej dorocznej pielgrzymki do Mekki, ale wielu muzułmanów, jak wyjaśnił im przewodnik, ślubowało osobistą pielgrzymkę, nazywaną umrą, której można było dopełnić w dowolnej porze. Oprócz pątników, zwykle w dużych karawanach zaopatrzonych

w żywność i wodę, krążyli też handlarze sprzedający spragnionym wiernym mleko i owoce.

Mistrz miał rację: w prostej kupieckiej odzieży, z bronią ukrytą w jukach, Will i jego rycerze nie zwracali niczyjej uwagi. Na trakcie grasowali jednak także konni zbóje z rywalizujących ze sobą plemion, napadając bez różnicy szyitów, sunnitów i chrześcijan w nadziei na sowite łupy. Wkrótce stało się jasne, dlaczego ludziom takim jak Kajsan płacono za ochronę.

Kilkakrotnie zatrzymywały ich na drodze grupy mężczyzn uzbrojonych w łuki i noże,

żądając, by im się opłacili. Na widok wymierzonych w siebie kusz prędko się wycofywali, ale ciągła czujność męczyła podróżnych, zwłaszcza gdy musieli jechać wolno przez skaliste

przełęcz, nie wiedząc, czy za następnym gładem nie czają się łucznicy, którzy zamiast

zacząć od żądania okupu, najpierw będą strzelać.

W końcu, pokonawszy niemal osiemset mil, dotarli do Uli. Mała zielona wioska z

palmowymi gajami i chłodnymi źródłami wydała im się rajem. Domy stawiano tu z kamieni

zlepionych gliną; były nawet gospody dla podróżnych. Wybrali największą. Na widok obcych twarzy oberżysta podejrzliwie kręcił nosem, zapytany zaś o Kajsana, wyraźnie nabrał wody w usta, w końcu jednak burknął, że Kajsan wróci za kilka dni.

Nie najmiecie go — przestrzegł. — Kajsan prowadzi tylko sunnitów. Z innymi nie wdaje się w interesy.

Zaprowadził ich do szałas z palmowych liści stojącego na płaskim dachu gospody. Za

posłanie służyły im maty z sitowia. Było to cztery dni temu.

Will powiódł czubkami palców po srebrnym ornamencie zdobiącym tubę. Śmiało mógł

zajrzeć do środka; wielki mistrz nigdy się o tym nie dowie. Powstrzymywało go chyba tylko zaprzysiężone ongiś posłuszeństwo. W drodze zagadnął Roberta, czy misja wydaje mu się

niezwykła. Rycerz był zdumiony, nie rozumiał, co Will ma na myśli. Pozostali też nie

zadawali sobie takich pytań. A po co? Wielki mistrz wydał rozkaz, oni mieli go wykonać. Ale też

żaden nie miał powodu wątpić w pobudki kierujące mistrzem; żaden nie słyszał ostatnich słów Guida.

Sięgnął do tuby i zdecydowanym ruchem wyjął zrolowany pergamin. Rozwinął go w ciepłej smudze słońca, lecz gdy spojrział na wypisany czar

nym inkaustem tekst, wyrwał mu się jęk zawodu. List nie był w żadnym ze znanych mu języków — ani po łacinie, ani po francusku, ani po grecku, pismo przypominało trochę arabskie, ale szybko zdał sobie sprawę, że to nie ten język. Patrzył na nie bezradnie jeszcze przez chwilę, potem zwinął pergamin i wepchnął go do tuby.

Naczerpał wody. Wracając z nią do wioski, posłyszał krzyki; rozpoznał alarmujący głos

Roberta. Cisnął bukłaki i zerwał się do biegu. Pomiędzy ostatnimi drzewami wyhamował:

jego towarzyszy wyprowadzano właśnie z gospody. Otaczał ich tuzin mężczyzn w czarnych

szatach i kefijach zakrywających twarze. Ośmiu trzymało napięte kusze, pozostali miecze. Na końcu pochodu kroczył karczmarz, wyraźnie z siebie zadowolony. Will przykucnął w

zaroślach.

To frankijscy szpiedzy — mówił karczmarz do wysokiego i szczupłego mężczyzny w

burnusie przewiązanym na ramieniu szkarłatną wstęgą.

Przejrzałem ich manatki, kiedy spali. Nie mają żadnego towaru, tylko broń. Nie wiem, czego od ciebie chcą, ale pomyślałem, że warto by cię ostrzec.

Słusznie uczyniłeś — dał się słyszeć zimny, pozbawiony emocji głos.

Bierzcie ich. — Mężczyzna w czerni skinął na swych towarzyszy.

Popchnięty do przodu Robert zaczął protestować, ale umilkł, czując

chłodny sztych miecza dźgający go w plecy. Will przyglądał się, jak ich prowadzą. Za późno posłyszał chrzęst zeschniętych liści. Odwrócił się i pierwszym, co zobaczył, był połyskujący grot nałożonego na kuszę bełtu. Mężczyzna trzymający kuszę też był odziany w czarną szatę i

chustę, spod której widać było tylko ciemne oczy. Ruchem głowy kazał mu wstać.

Kabul, Królestwo Jerozolimskie Piętnasty dzień kwietnia roku Pańskiego 1276

Palce Elwiny zacisnęły się na krótkim koziku. Wyjrzała z ciemnej stodoły, mrużąc oczy w słońcu. Dwóch żołnierzy ciągnących lirnika minęło wozy i weszło na plac targowy. Trzeci, zwrócony do niej

plecami, wciąż szarpał się z Katariną. Poza nimi uliczka była pusta. Elwina przyłgnęła do ziemi, serce biło jej pośpiesznie z trwogi, instynkt nakazywał wycofać się do stodoły, skryć w ciemności. Jakże ciężko było zrobić pierwszy krok... Nagle drgnęła.

Mameluk jęknął głośno i oderwał zakrwawioną dłoń od ust dziewczynki; najwidoczniej go ugryzła. Klnąc przez zęby, uderzył Katarinę w twarz i wtedy Elwina zerwała się do biegu.

Nie zdołała powstrzymać krzyku, który wyrwał jej się z ust, gdy wbijała nóż w szyję mężczyzny, pchając ze wszystkich sił. Był to krzyk odrazy, strachu i wściekłości. Trysnęła krew; ostrze weszło w głęb i uwięzło w mięśniu. Arab krzyknął zaskoczony, obrócił się gwałtownie i złapał ją za gardło. Próbowwała oderwać jego rękę, ale był silniejszy. Panika zaćmiewała jej myśli nie mniej niż brak powietrza. Po chwili jednak żołnierz nagle zakaszał, krew pociekła mu z ust, oddech zarzęził mokro w krtani. Uścisk zelżał. Elwinie wróciła

przytomność i kopniakiem w podbrzusze odrzuciła od siebie napastnika. Osunął się na ziemię. Podniosła półprzytomną Katarinę i pociągnęła ją za sobą. Ubiegły ledwie kawałek, kiedy za mijanym domem rozległ się tętent kopyt. Elwina rzuciła się wraz z dzieckiem w głębię ciemnej sieni. W samą porę; obok domu przemknęli dwaj jeźdźcy.

Mrok przesycony był gorzkim, metalicznym zapachem krwi. Na polepie obok stołu leżał mężczyzna z poderżniętym gardłem. Elwina przytuliła do siebie dygoczącą dziewczynkę.

Usta małej splamione były krwią mame- luka, sukienka wilgotna — najwidoczniej zmoczyła się ze strachu. Ostrożnie podeszły do ściany z oknem przysłoniętym płócienną zasłoną kołyszącą

się w podmuchach wiatru. Z zewnątrz dobiegały rozpaczliwe szlochy, jęki, gniewne pokrzykiwania i wydawane ostrym tonem rozkazy. Oddech Elwiny przybrał nagle normalne tempo. Mając coś poza własnym strachem, na czym mogła się skupić, poczuła dziwny spokój.

Musiała ratować dziecko, za które była odpowiedzialna.

Leciuteńko uchyliła zasłonę. Z zewnątrz dobiegł wrzask i ramionka Katariny zacisnęły się wokół niej spazmatycznie.

Niewielkie okno wychodziło na kabulski targ, gdzie spędzono chyba wszystkich ocalałych z masakry. Siedzieli, klęczeli, ranni leżeli na ziemi. Po chwili Elwina zdała sobie sprawę, że są tam wyłącznie kobiety i dzieci. Dopiero gdy przeniosła wzrok w stronę kościoła, zobaczyła, że w przybliżeniu setkę

mężczyzn zebrano w oddzielną grupę. Klęczeli w równych rzędach,

zwróceniem plecami do kobiet. Byli wśród nich Frankowie, którzy przyjechali na targ, kupcy i wielu miejscowych. Otaczał ich ścisły kordon pieszych i konnych mameluków z obnażonymi

szablami i łukami wycelowanymi w tłum. Rozległ się kolejny krzyk. Dwóch wojowników

wyciągało z grupy kobiet dziesięcioletniego może chłopca. Kobieta, pewnie matka, ścisnęła go kurczowo, zanosząc się przenikliwym łkaniem. Jeden z żołnierzy uderzył ją w twarz

głowicą miecza. Elwina odwróciła wzrok. Kiedy znów spojrzała, kobieta leżała na ziemi, a szamoczącego się chłopca niesiono na drugą stronę placu.

Wytężyła oczy, ale w grupie mężczyzn nie dojrzała Taqsu. Wokół leżało wiele martwych ciał

ludzi poległych w pierwszych minutach ataku. Może Taqsu już nie żył, a może udało mu się uciec. Tak czy owak, nie mogła mu pomóc. Jeden z siedzących na koniu mameluków

podniósł rękę. Był to chyba dowódca, ubrany lepiej od pozostałych. Spod jedwabnej tuniki o

barwie jadeitu wystawała mu długa lśniąca kolczuga, a hełm z maską zakrywającą

twarz zdobił barwny pióropuszczyk. Na dany znak szereg żołnierzy zbliżył się do jeńców. Przez moment panowała cisza, przerywana tylko szlochami i cichymi jękami. Potem, nim

ktokolwiek z przerażonego tłumu zdążył się zorientować, co się święci, pierwszy żołnierz złapał za włosy klęczącego przed nim młodego mężczyznę, odgiął mu głowę i mieczem

poderżnął gardło. Elwina zacisnęła oczy i prędko opuściła płótno. Rów' - nocześnie ciszę rozdarł chóralny krzyk i zaczęła się rzeź.

Co się dzieje? — szepnęła wtulona w nią Katarina.

Musimy uciekać — odszepnęła Elwina, przestępując nad leżącym na środku izby trupem.

Postawiła dziewczynkę obok drzwi. — Stój tu przez chwilę i nie ruszaj się. Znajdę coś do jedzenia.

Nie jestem głodna. — Oczy dziecka były szkliste, półprzytomne.

Później będziesz. Bądź grzeczna i nie ruszaj się. — Elwina obróciła ją twarzą do ściany.

Rozejrzała się po izbie, usiłując nie dopuszczać do siebie dolatujących zza okna wrzasków, które wpędzały w obłęd, groziły atakiem paniki. Na stole leżał kawałek chleba i cztery

zmarszczone pomarańcze w misce. Porwała je szybko. Nie mogła znaleźć wody, ale do Akki

był tylko dzień lub dwa marszu, miała nadzieję, że owoce wystarczą, dopóki nie natrafią na jakąś

studnię. Uświadomiła sobie, że jedną stopę wciąż ma bosą. Przemógłszy się, zdjęła cizmy z nóg zabitego. Były za duże, oderwała więc z koszuli kawał płótna i wypchała je w środku. Kolejnym kawałkiem owiązała chleb i owoce i wzięła Katarinę za rączkę.

Dziewczynka dała się podprowadzić do drzwi, lecz tam stanęła jak wryta.

Chodź — ponagliła ją szeptem Elwina.

Katarina niemo potrząsnęła głową.

Musimy iść teraz, dopóki żołnierze... — Elwina przełknęła ślinę, w gardle jej nagle zaschło.

— Dopóki żołnierze są zajęci.

Pociągnęła uczezione swej ręki dziecko. Trzymając się pod ścianami, przemknęły w stronę drogi wychodzącej z wioski. Za nimi niczym krzyk oszalałych z lęku ptaków biły w niebo

odgłosy rzezi.

Dowódca oddziału, niemłody już mężczyzna imieniem Usama, posępnie przyglądał się egzekucji. Nieomal był rad, że wizura hełmu ogranicza mu pole widzenia. To była jatka.

Niektórzy próbowali uciekać, ale trafiali wprost na ostrza mieczy albo dosięgały ich strzały czujnych łuczników. Inni, zdając sobie sprawę, że nie umkną śmierci, po prostu klękali bez słowa lub z modlitwą na ustach, a szable mameluków wznosiły się i opadały, rąbały i siekły krwawe żniwo. Kobiety rzucały się na żołnierzy, próbując ratować mężów i synów, ale było ich za mało, by rozerwać silny kordon uzbrojonych mężczyzn.

Usama patrolował pobliski region od sześciu lat i nigdy nie dostał podobnego zadania.

Widział wiele bitew, lecz czym innym jest prowadzić ludzi na orężne szeregi wroga, a czymś zupełnie innym — posyłać ich przeciwko nieuzbrojonym mężczyznom, kobietom i dzieciom.

Już widział, jak jeden z młodszych wojowników odwraca się od masakry i wymiotuje. Inni mieli twarze stężałe w kamienne maski i trzymając uczucia na wodzy, zabijali na jego rozkaz.

Otrzymane przed dwoma tygodniami pismo zaskoczyło Usamę. Traktat pokojowy oddawał

Kabul Frankom. Owszem, krążyły wieści, że mieszkańcy szpiegują na rzecz chrześcijan, ale mimo to rozkazy z Kairu były wyjątkowo agresywne: kazano mu wymordować wszystkich

mężczyzn i chłopców. Miał też przeprowadzić atak w czasie wiosennego jarmarku, zapewne

dlatego, że wówczas zjeżdżało tu mnóstwo ludzi. Usama domyślał się, że chodzi o przykład.

Nie podobało mu się to, ale kimże był, aby kwestionować rozkaz wydany przez samego sułtana?

Ula

Piętnasty dzień kwietnia

Myślałem, że ten Kajsan jest naszym sprzymierzeńcem? — szepnął Robert, podchodząc do drzwi ich więzienia, aby sprawdzić wytrzymałość cienkich drewnianych tyk związanych w kratownicę. Wygięły się, kiedy nimi szarpnął, ale w żadnym razie nie dały się złamać.

Will podniósł głowę i poprawił się na wiązce siana, na której siedział od paru godzin, to jest od chwili, gdy ludzie w czarnych szatach zamknęli ich w klatce będącej najwyraźniej zagrodą dla zwierząt, śmierdziało tu bowiem mierzwą.

To, że dla nas szpieguje — rzekł półgłosem — nie czyni zeń jeszcze przyjaciela.

Ale zdawać się mogło, że będzie nas oczekiwał, a przynajmniej nie zdziwią go nasze odwiedziny?

Will zerknął na Zachariasza, który stał przy tylnej ścianie wraz z Armandem, Rogerem i wystraszonym przewodnikiem. Sycylijczyk jak zawsze zachowywał niezmacony spokój.

Nie wiem — rzekł, napotkawszy pytające spojrzenie Willa. — Jeszcze nigdy nie kontaktowałem się z tym człowiekiem ani z żadnym szpiegiem z tego rejonu.

W jego tonie było coś, co pozwalało przypuszczać, że i dla niego ta wyprawa odbiega od normy. Podczas gdy Will się zastanawiał, jak go o to zagadnąć, nie budząc podejrzeń, z zewnątrz doleciały podniesione głosy.

Robert odsunął się od wejścia. Po chwili za kratą ukazał się człowiek z szarfą na ramieniu.

Zdjął kefiję, odsłaniając twarz. Był już po czterdzieście, mocno ogorzały, z czarną brodą i czujnymi, przenikliwymi oczyma. Wzdłuż policzka biegła mu cienką białawą linią stara

blizna.

Skąd to masz? — spytał po arabsku, pokazując Willowi tubę z listem.

Will zrozumiał jego słowa, lecz coś powstrzymało go przed odpowiedzią. Z podsłuchanych

słów karczmarza wnioskował, iż to właśnie jest

Kajsan, ale chciał być pewien, nim cokolwiek ujawni. Wstał i podszedł do drzwi zagrody.

Szukamy Kajsana — rzekł powoli i wyraźnie po łacinie. — To jest list do niego.

Mężczyzna przyjrzał mu się spod zmrużonych powiek.

Tak mi doniesiono — odpowiedział po chwili niezbyt wprawną łaciną. — Ja jestem Kajsan.

— Znów podniósł tubę. — Skąd to masz?

Od wielkiego mistrza zakonu Świątyni. Rozkazano mi oddać go tobie.

Templariusze? — Kajsan wskazał uwięzionych.

Will skinął głową. Do zagrody podszedł spieszenie inny mężczyzna.

Co jest? — spytał go Kajsan po arabsku.

Towarzysze się niepokoją. Chcą wiedzieć, co to za ludzie.

Właśnie ich przepytuję — zbył go szorstko Kajsan. — To templariusze.

Zatem nasz przyjaciel z gospody miał rację. — Mężczyzna zmierzył spojrzeniem Willa, który stał z marsem na czole, udając, że nie rozumie,

czym mowa. — To szpiedzy Franków!

Nie.

Skąd pewność?

Stąd. — Kajsan pokazał mu list. — Wiem, kto to napisał. — Rzucił okiem na Willa i odszedł

niedaleko na zalane słońcem podwórze. Jego towarzysz postąpił za nim i zaczęli przyciszoną rozmowę. Will odwrócił się bokiem, ale oparł o drzwi, chcąc dosłyszeć, co mówią.

Co się dzieje? Rozumiesz ich? — spytał go Robert.

Will przytaknął nieznacznym skinieniem głowy. Robert zawahał się, ale chyba zrozumiał, bo odszedł bez słowa. Will wychwycił spomiędzy szeptów dwa arabskie słowa wypowiedziane

głośniej, z niedowierzaniem:

Al-Hadżar al-Aswad?

Mimo woli poderwał głowę. Na szczęście tamci byli zajęci rozmową

żaden nie patrzył w jego kierunku.

To szaleńcy — rzekł drugi mężczyzna i znów zniżył głos. Will nastawił uszu, lecz zdołał wyłowić tylko „śmierć”, „piekło” i „zniszczenie”.

Kajsan powiedział na to coś o nagrodzie i obejrzał się na uwięzionych. Wyraz jego twarzy zmienił się nieznacznie, zimna zawziętość ustąpiła miejsca czemuś, w czym można by się dopatrywać nadziei. Po chwili odszedł, a za nim jego druh.

I co teraz? — spytał Robert. — Co mówili?

Nie wiem. Wyłapałem tylko kilka słów, z których nie da się niczego sklecić.

A ty? — zwrócił się do przewodnika. — Zrozumiałeś cokolwiek?

Wybacz, panie. — Przewodnik poderwał się z ziemi. — Byli za daleko.

Robert zaklął ze złością.

Moglibyśmy wyłamać kratę, gdybyśmy przyparli się do niej wszyscy, komandorze — odezwał się Armand.

Will zauważył, że mówiąc do niego, rycerz zerka na Zachariasza, jakby od tamtego oczekiwał zgody.

Nie — uciął. — Nie wierzę, żeby zamierzali nas skrzywdzić.

To bez sensu. Powiedziano nam, że list zawiera wiadomości, które Kajsan ma potwierdzić.

Czemu tego po prostu nie zrobi i nie pozwoli nam odjechać?

Wielki mistrz wiedział, co robi, kiedy nas wysyłał — odparł sucho Will. — Zaczekamy, aż wszystko będzie jasne.

Albo przerobią nas na karmę dla wielbłądów — mruknął Armand.

Zachariasz obrócił się nieśpiesznie, przesywając rycerza spojrzeniem niebieskich oczu.

Komandor ma słuszość, bracie. Musimy czekać. — Mówił cicho, lecz w sposób nie podlegający dyskusji. Skarcony Armand potulnie spuścił głowę.

Czekali. Słońce powoli kreśliło swoją drogę po nieboskłonie. Wszyscy byli zmęczeni, spragnieni i coraz bardziej niespokojni. Nareszcie wrócił Kajsan, a z nim pięciu jego towarzyszy uzbrojonych w kusze. Zakonnicy zerwali się na nogi.

Kajsan zdjął rygiel i odsunął kratę.

Wyjść.

Rzędem opuścili zagrodę pod czujnymi spojrzeniami kuszników. Kajsan podał Willowi srebrną tubę.

To dla waszego mistrza.

Arabowie przeprowadzili ich przez podwórze, na którym grzebały w piachu chude dzieci. Za domem ze zlepionych gliną kamieni czekały na nich konie. Czerwone słońce chyliło się już ku zachodowi, a w rozgrzanym powietrzu brzęczały owady. Will wepchnął tubę do sakwy przy siodle, wsadził nogę w strzemień i wskoczył na grzbiet wierzchowca.

Jedźcie tamtędy. — Kajsan wskazał trakt obsadzony palmami.

Will szarpnął lekko wodze i ruszył, za nim pozostali. Słońce zapadało się miękko za skaliste wzgórza, pogrążając rozległą pustynną równinę

i ścielącą się przed nimi drogę w różowawych cieniach. Po chwili wczuł się w znajomy rytm końskiego biegu. Po zmroku zatrzymają się na nocleg i wtedy zajrzy do tuby. Jadąc, usiłował

poskładać w całość podsłuchane urywki zdań, lecz wyrwane z kontekstu nie miały żadnego

sensu. Jedyne te dwa słowa, wypowiedziane tonem najwyższego zdumienia przez towarzysza Kajsana, wciąż nie dawały mu spokoju.

Al-Hadżar al-Aswad. Czarny kamień.

Zamek królewski w Akce Piętnasty dzień kwietnia

W komnacie unosiła się dusząca, lepka woń kadzidła, przywodząc mu na myśl matkę. Kiedy był dzieckiem, bawiła się z nim w rzadkich chwilach dobrego humoru, każąc zgadywać nazwy przypraw, które trzymała w zamkniętej szkatułce. Zamknął oczy.

Drzewo sandałowe — szepnął i otworzył je z powrotem, bo ktoś szarpnął drzwiami.

Gdy odsunął rygiel, zobaczył za nimi sługę w haftowanej szacie, prezentującego się o wiele dostojniej niż on wciąż w wymiętej, zakrwawionej tunice.

Jego królewska wysokość, pan Cypru i Jerozolimy, udzieli ci posłuchania.

Czas najwyższy — mruknął kwaśno Garen. Jego głos zabrzmiał ciut nosowo; opuchlizna po bójce jeszcze nie zeszła. — Czekam cały dzień.

Sługa nie odpowiedział. Wycofał się, ponagliwszy go gestem. Garen przełknął złość i ruszył za nim.

Rano, gdy list z pieczęcią Edwarda otworzył przed nim pilnie strzeżone odrzwia, nie zdążył się dobrze przyjrzeć królewskiej rezydencji. Z zewnątrz zamek wyglądał tak samo jak europejskie: wysoki mur obronny z narożnymi basztami otaczał przestrzeń zdominowaną przez potężny donżon. Wewnątrz jednak różnica była wielka. Garen pamiętał warownię Templum w Akce, tam wszakże pierwszorzędną wagę miały względy obronne; przy jej urządzaniu nie dbano o luksusy. Tu rządził przepych Wschodu. Sklepione korytarze wykładane były misternymi mozaikami, wiele okien było oszklonych, a na wygładzonych białym gipsem ścianach wisały przebogate kobierce. Garen wspomniał z odrazą zimną klitkę w londyńskim zamku, prostą prycę z siennikiem i niewiele szersze od strzelnicy okno, za którym szarobura Tamiza toczyła cuchnące ścieki.

Edward po części dotrzymał obietnicy, to znaczy dał Garenowi dwór dla matki. Nie był on wiele większy od tego w Rochesterze, ale znajdował się bliżej Londynu i nie było w nim aż tak wilgotno. Reszta nagród, które mu przyrzeczono we wczesnym okresie służby — tytuł, złoto, wielka majątność — utonęła w zapomnieniu; Edward zawsze miał na podorędziu wymówkę, że wyciągnął go z lochu, choć Garen go zdradził, pozwalając zniszczyć księgę, dzięki której król angielski mógłby wydoić od templariuszy' dość złota, by bez przeszkód zawładnąć połową Europy.

Wkrótce po powrocie do Anglii zdał sobie sprawę, że zamienił jedno więzienie na inne. Tu nie było żelaznych kajdan ani krat; Edward był na to o wiele za mądry. A Garen chcąc prędko zadowolić schorowaną, zgorzkniałą matkę, nie pomyślał, w jak niepewnej sytuacji stawia ich oboje, pozwalając ją ulokować w majątku należącym do korony, skąd Edward mógł ją w

każdej chwili wyrzucić. Teraz wystarczyło, by król uniósł brew, a Garen pokornie słuchał.

Jego obowiązki nie były skomplikowane. Był oczyma Edwarda — i jego pięścią. Zastraszał krnąbrnych baronów, ilekroć Edward chciał przepchnąć przez parlament kontrowersyjny dekret, wymuszał daniny od bogatych magnatów, prznosił tajne informacje z jednego krańca królestwa na drugi i szpiegował dwuznan. Zabiwszy Kruka, przywdział jego skórę; stał się lustrzanym odbiciem swego najgorszego wroga. Czasem w szarych, grobowych godzinach tuż przed świtem, kiedy zapijał się, nie mogąc zasnąć, odraza do samego siebie wzbierała mu w gardle jak żółć, odbierając chęć do życia i pokrywając całe ciało zimnym potem.

Sługa wprowadził go do przestronnej sali, której malowany strop podpierały marmurowe kolumny. Na wprost wejścia wysłane kobiercem stopnie prowadziły na podwyższenie, gdzie stał tron oparty na wygiętych lwich łapach zakończonych ostrymi pazurami. Zabarwione miedzią światło zachodzącego słońca wpadało przez łukowate okna. Na tronie siedział z wyniosłą miną młody mężczyzna odziany w złotolity burnus. Towarzyszył mu starszy, o krótko przystrzyżonych siwych włosach, z powagą malującą się na obliczu. Pod ścianami stali pokojowi słudzy gotowi na każde skinienie władcy.

Oto Garen z Lyonu! — oznajmił głośno sługa.

Wasza królewska mość... — Garen skłonił głowę. — Mój pan, król Anglii Edward, przesyła ci swe najlepsze życzenia.

Hugo przyglądał mu się przez chwilę, oparłszy podbródek na upierścienionej dłoni.

Doceniam to, że twój król dobrze mi życzy — rzekł w końcu — ale prócz jego dobrej woli miałem nadzieję na coś konkretniejszego. — Podniósł opatrzony pieczęciami Edwarda rulon, który Garen przekazał gwardzistom. — Może ty mi wyjaśnisz, co chciał wyrazić w tym liście, w którym oprócz pozdrowień zaiste nie ma nic. Nie wspomina ani słowem, czy udzieli mi wsparcia, o które go prosiłem, ani o jakiegokolwiek pomocy w moim obecnym położeniu. A jednak śle posła przez pół świata z nic niewartym kawałkiem pergaminu? — Hugo upuścił list na kolana. — Muszę przyznać, że jestem zdumiony.

Mój pan chciał, abym przekazał ci jego warunki w bezpośredniej rozmowie, nie przez suchą literę.

Warunki? — spojrzenie Hugona wbiło się w twarz Garena.

Król Edward wyraża głęboki żal z powodu kłopotu, w jakim się znalazłeś, panie, i wierzy, że zdoła

być ci pomocny. Jak zapewne wiesz, jest on serdecznym przyjacielem i powiernikiem papieża Grzegorza, a także krewniakiem króla Sycylii, Karola.

Oczywiście, że jestem tego świadom! — warknął Hugo. — Dlatego właśnie prosiłem go o pomoc! Musi iść do papieża i skłonić go do odwołania cesji tych śmiechu wartych praw do tronu, z jakimi się obnosi moja kuzynka Maria.

To jest w jego mocy — odparł ostrożnie Garen — lecz w tej chwili mój pan boryka się z własnymi problemami. Musi poskromić wichrzycieli na granicach królestwa. Aby mógł się poświęcić bez zwłoki twojej sprawie, prosi cię w zamian o przysługę.

Jaką przysługę? — odezwał się siwowłosy mężczyzna stojący obok tronu.

Spokojnie, Gwidonie. — Hugo zerknął nań karcąco. — Jestem pewien, że zdołamy spełnić życzenie króla Edwarda, jeśli jego pomoc zapewni nam tron. Czego konkretnie się spodziewa?

Darowizny pieniężnej i twojej obietnicy, panie, że będzie mógł skorzystać z bazy wypadowej na Cyprze, gdy podejmiemy nową krucjatę.

Edward zamierza wziąć Krzyż?

W swoim czasie.

Hugo oparł się głębiej.

A mówimy o darowiznie w jakiej wysokości?

Przedstawię ci rzecz szczegółowo, panie, lecz wolałbym się najpierw umyć i posilić.

Istotnie — prychnął król z pogardą — wyglądasz, jakbyś brał udział w ulicznej burdzie.

Zwykłe nieporozumienie.

Hugo spojrział na swego doradcę i znów na Garena.

Jeśli zgodzę się na donację, czy Edward spełni moją prośbę?

Gdy tylko dojdziemy do porozumienia i załatwię pozostałe sprawy, jakie mam tu w Akce,

natychmiast wsiądę na statek i wrócę do króla Edwarda, który uczyni dla ciebie wszystko, co w jego mocy. Tymczasem zaś, wasza miłość, mogę mniemać, że udzielisz mi gościny?

Masz wysokie mniemania — odparował Hugo. Widząc, że Garen otwiera usta, z irytacją machnął ręką. — Tak, tak, dostaniesz tu komnatę. Ale jutro zaraz z rana masz się przede mną stawić, by omówić rzecz całą.

Pstryknął palcami i z boku wysunął się sługa, ten sam, który przyprowadził tu Garena. —

Odprowadź naszego gościa na komnaty.

Gwido milczał, dopóki poseł nie wyszedł z sali.

Nie podoba mi się to, najjaśniejszy panie.

Hugo delikatnie potarł zmarszczone czoło.

Mamy moc wolnych komnat, Gwidonie. Ulokowanie posła nie sprawi nam kłopotu.

Nie myślę o jego lokum, panie, ale o żądaniach, które stawia nam Edward, zanim jeszcze zgodził się nam pomóc lub dowiódł, iż może to uczynić. — Dworzanin wskazał ręką drzwi.

— Przysyła tu jakiegoś plebejusza, aby pertraktował z królem Jerozolimy? Toż to obraza!

Hugo potrząsnął głową, patrząc w zadumie na drzwi.

Kimkolwiek jest ten człowiek, nie pochodzi z gminu. Mówi jak uczonego, a zachowuje się jak rycerz. Osobiście gotów jestem spełnić żądania Edwarda, o ile tylko okażą się do przyjęcia.

Tylko w nim mogę pokładać nadzieję na ocalenie tronu przed zakusami tego andegaweńskiego sępa. Nikt inny mi nie pomoże.

Jest jeszcze ktoś — mruknął Gwido.

Nie — uciął Hugo.

Być może będziemy zmuszeni rozważyć i tę możliwość, panie.

Nie będę szukał pomocy u Saracena — warknął Hugo. — Nie i już!

Bywało, że niewierni interweniowali w sprawach chrześcijan, nawet w sprawach stanu. Jestem tego świadom. — Hugo wstał. — Gdyby Bajbars nie wmieszał się w moje sprawy, wciąż miałbym Bejrut! — Założył ręce za plecy i zapatrzył się w okno, wysoką ramę obejmującą prążkowaną złotem i purpurą połąć nieba.

Tamta sprawa wciąż jątrzyła się w pamięci. Trzy lata temu lenno Bejrutu przeszło na owdowiałą córkę poprzedniego pana. Wstąpiła ona w nowe stadło, ofiarowując siebie i lenno, którym zgodnie z prawem feudalnym winien był rozporządzić Hugo, pewnemu angielskiemu ryce-

rzowi. Ów niewiele później również zszedł z tego świata, czując zaś zbliżającą się śmierć, oddał żonę i Bejrut pod protekcję Bajbarsa. Sułtan jednoznacznie udaremnił próbę sprowadzenia wdowy na Cypr, gdzie Hugo mógłby ją wydać za któregoś ze swoich wasali.

Sąd w Akce opowiedział się za Bajbarsem, umowa zawarta z nim przez szlachcica była wiążąca, a bez poparcia sądu Hugo był bezsilny; musiał odesłać wdowę z powrotem do Bejrutu. Teraz jej i miasta bronili przed nim mamelucy. Hugo nie mógł się oprzeć wrażeniu, że uczeni juryści przedkładają literę prawa nad wolę samego Boga.

Obrócił się do doradcy.

Nie ufam Bajbarsowi ani trochę bardziej niż Karolowi i obu równie nie znoszę. Nie zgadzam się żebrać u niego o pomoc.

Ale on jest w dobrych stosunkach z Karolem, panie. Rokowali już ze sobą. W zawarciu rozejmu między Edwardem a Bajbarsem pośredniczył właśnie Andegaweńczyk. Bajbars mógłby wyrzucić na niego nacisk, by odstąpił od swoich roszczeń. Płacisz sułtanowi trybut, panie. Wątpię, by chciał go stracić.

Usta Hugona zacisnęły się w wąską linię.

Dość tego. Jestem zmęczony. Zobaczymy, co wysłannik Edwarda powie jutro. Mam nadzieję, że nie będziemy musieli już szukać pomocy gdzie indziej.

Garen uśmiechnął się mimo woli, gdy sługa wprowadził go do komnaty. Pod dużym oknem, z którego rozciągał się widok na całe miasto, mieściło się przytulne wyściełane siedzisko.

Naprzeciw wejścia stało największe i najwykwintniejsze łoże, jakie w życiu oglądał. Cztery pięknie rzeźbione drewniane kolumnienki podtrzymywały baldachim, z którego zwieszały się lekkie jak mgła zasłony. Zamiast siennika ujrzał puchowy piernat zasłany jedwabnymi

poduszkami, miękkimi i krągłymi jak obłoczki. Były tu adamaszkowe zasłony na ścianach,

kobierzec na posadzce i dwa żelazne kosze napełnione żarem.

Tu możesz się umyć, panie. — Sługa wskazał porcelanową misę i dzban z wodą. — Jeśli

zechcesz, jutro przygotują ci łaźnię. Zaraz każę podać posiłek.

Czekaj... — Garen zatrzymał go w drzwiach. — Najpierw przynieś mi wina.

Mężczyzna, który był najwyraźniej jednym z osobistych służących króla, wydał się urażony, ale zmusił się do ukłonu.

Oczywiście.

Kiedy wyszedł, Garen rzucił sakwę na łoże i podszedł do okna. Tysiące mil dzieliły go teraz od Edwarda, od zimnych nocy i kwaśnego piwa. Miał do wykonania dwa proste zadania, z

których żadne nie zajmie mu wiele czasu. Z uśmiechem pokręcił głową, patrząc z góry na

miasto. Będzie mógł do woli korzystać z rozkoszy, jakich wcześniej nie miał okazji

zakosztować. To nie była ta sama Akka, której nienawidził przez tyle lat. Dziś szeptała mu o swych urokach, przyrzekała spełnić długo żywiczne marzenie o wolności.

Targ wenecki w Akce Czternasty dzień maja roku Pańskiego 1276

Powinienem być tam z tobą być.

Elwina zobaczyła udrękę na twarzy Willa. W głębi duszy poczuła drobną satysfakcję:

uświadomił sobie, jak mało brakowało, aby ją stracił, i nareszcie zrozumiał, jak bardzo mu na niej zależy. Lecz to niskie uczucie przetrwało tylko chwilę. Nie chciała powiększać

brzemienia, które dźwigał,

o

poczucie winy.

Jak widzisz, dałam sobie radę. — Wzruszyła ramionami. — To już przeszłość, prawie o

wszystkim zapomniałam.

Odwróciła się i zaczęła uważnie oglądać rzędy chlebów wyłożone na straganie. Nie zdołała go oszukać. Była blada i twarz miała ściągniętą, jakby od wielu tygodni skąpiono jej jadła i snu. Wokół nich wenecki rynek buzował codziennym gwarem, handlarze nawoływali,

pieniądz brzęczał, w kramach pyszniły się wypieki, broń, klejnoty i wyroby skórnice,

osłonięte przed słońcem wielkim płóciennym baldachimem. Trudno było rozmawiać w tym

harmidrze, a choć czarny płaszcz zasłaniał jego habit, Will zdawał sobie sprawę, że prędzej czy później ktoś zobaczy go z kobietą. Wziął ją za rękę i wyprowadził z targu.

Will — zaprotestowała — muszę kupić chleb!

Kupisz później. — Torując drogę w tłumie, skręcił w boczną uliczkę, gdzie pomiędzy dwoma rzędami piętrowych domów ciągnął się sad. Przekwitające drzewa sypały w krąg różowawym

kwieciami, wirującym w powietrzu niczym płatki śniegu. Odeszli nieco dalej i usiedli na trawie.

Elwina podciągnęła kolana pod brodę, szmaragdowozielona suknia przewiązana plecionym paskiem rozłożyła się wachlarzowato wokół niej. Objęła łydki ramionami i westchnęła głośno.

Prawdę mówiąc, cieszę się, że wyszłam z domu. — Oparła głowę na ramionach i spojrzała bokiem na Willa. — Wszyscy mają nerwy napięte jak postronki. Andreas wini siebie,

Katarina nie sypia po nocach, a ilekroć się zdrzemnie, budzą ją koszmary. Krzykiem stawia na nogi cały dom. Besina też ledwie co sypia przy dziecku, toteż nikt nie ma spokoju. A ja nie mogę opędzić się od myśli, że to wszystko przeze mnie.

Jak możesz tak myśleć? Przecież nie byłabyś w stanie powstrzymać ataku.

Will odwrócił wzrok i zapatrzył się na sad, mrużąc oczy w słońcu. Jeśli ktokolwiek ponosił winę za masakrę w Kabulu, to prędzej on. Atak zupełnie go zaskoczył. Gdyby poświęcał

więcej uwagi zbieraniu informacji dla Anima Templi, a mniej sprawie zamachu na wielkiego mistrza, może zdołałby pochwycić ostrzegawczy sygnał, ostrzec wioskę albo pchnąć gońca do Kalauna, by zapobiegł napaści. Mógłby chociaż spróbować. Wrócił ledwie wczoraj i do dziś czuł zamęt w głowie. Dziękował Bogu, że Elwina miała tyle szczęścia. Mogła teraz leżeć

martwa we wspólnym grobie, tkwić w lochu albo w jakimś haremie. Zamknął oczy, odsuwając od siebie tę myśl.

Nic nie mogłaś zrobić — powtórzył.

Gdybym nie zwlekała tak długo... Albo lepiej pilnowała Katariny...

Ocaliłaś jej życie. Nie zapominaj o tym.

Tylko jej jednej! Czy wiesz, ile dzieci, dziewcząt, wzięto w niewolę? Nie mogę się z tym pogodzić.

Ilekróć o tym myślę, czuję się taka....

Winna — dokończył cicho.

Spojrzała na niego szybko.

Dziwne, że to powiedziałeś. Ale... — zawahała się — masz rację. Tak się właśnie czuję.

I ja się tak czułem — wyjaśnił — po Antiochii. W obronie miasta poległy setki ludzi, a

tysiące wzięto do niewoli. Przez wiele miesięcy zastanawiałem się, dlaczego Bóg mnie

oszczędził, a- ich nie. Czułem, że nie zasługuję na życie i wolność, że w jakiś sposób

oszukałem śmierć, podczas gdy tamci z godnością przyjęli przygotowany dla nich los. Ale to nieprawda. Oni wcale się z tym nie pogodzili. Po prostu mieli mniej szczęścia niż ja.

Oprócz mnie i Katariny tylko pięciorgu ludziom udało się wydostać z Kabulu. A musiały ich tam być setki. — Po policzku Elwiny stoczyła się łza.

Will nakrył jej dłoń swoją.

Z czasem spojrzysz na to inaczej. Wierz mi.

Otarła mokry policzek.

Po powrocie musiałam opowiedzieć wszystko przed Wysoką Radą. To było tak, jakbym

przeżywała to jeszcze raz od nowa na użytek prawników i nobili, którzy przejmowali się

wyłącznie tym, że został złamany ich wypieszczony rozejm, a w ogóle nie dbali o tych, którzy stracili tam życie i rodziny. Na szczęście Andreas poszedł ze mną, inaczej chyba nie dałabym rady.

I co postanowili? — spytał Will, starając się, by pytanie zabrzmiało niedbale. Sytuacja była bardzo niebezpieczna. Nie zdziwiłby się, gdyby rząd Akki domagał się krwawej pomsty za

niesprowokowany niczym atak. Wówczas trzeba byłoby podjąć wszelkie środki, aby przemoc nie wymknęła się spod kontroli.

Wysłali rycerzy do Kabulu, by pogrzebali zmarłych i sprawdzili, czy jeszcze ktoś nie ocalał.

Z tego co słyszałam, mieli wypytać muzułmanów, którzy mogą wiedzieć, dlaczego do tego

doszło. Przesłuchać szpiegów, tak się wyrazili. Andreas twierdzi, że wyślą posłów do

Bajbarsa z żądaniem zadośćuczynienia. — Elwina spojrzała niewidzącym wzrokiem na

pracujących w sadzie ogrodników. — On o nas wie.

Kto? — nie zrozumiał Will, zaprzątnięty myślą o krokach podjętych przez radę miasta.

Andreas. Katarina mu powiedziała.

Boże! — Omal nie zerwał się na równe nogi.

Nie bój się — ucięła cierpko. — Nie doniesie na ciebie.

Nie o tym myślałem. Chodziło mi o twoją sytuację w jego domu.

Andreas nie ma nic przeciwko temu. Chętnie wydałby mnie za męża, bylebym dalej u niego pracowała.

Za męża...?

Tak, Will — odszczeknęła Elwina, której uwagi nie uszedł ton niepokoju w jego głosie. —

Normalni ludzie, kiedy się kochają, biorą ślub. Po to, aby wspierać się wzajemnie i móc razem wychowywać dzieci.

Złożyłem inne śluby — szepnął.

Moglibyśmy się pobrać w sekrecie — ciągnęła, gardząc sobą za błagalną nutkę, która wkradła się do jej głosu. — Kiedyś prosiłeś, bym została twoją żoną, i powiedziałam „tak”.

Will poczuł, jak ogarnia go rozpacz. Tak, kiedyś był gotów zrzucić habit i ożenić się z Elwiną. Ale dziś miał wrażenie, że minęły wieki od chwili, gdy stali razem w ciemnym

korytarzu paryskiego zamku. Trawiła go wówczas gorączka i boleść po śmierci ojca. Tego

samego dnia trafił do paryskiego lupanaru i jego życie przybrało zupełnie inny obrót. Miłość odeszła na bok, ustępując przed żądzą zemsty, a wszystkie plany, jej i jego, pochłonął

trawiący go ogień. Tamta chwila minęła, odeszła bezpowrotnie. Dziś nie ofiarowałby się tak pochopnie. Ślubował nie tylko Bogu, także zakonowi, którego poprzysiągł bronić przed

nieprzyjaciółmi, a jeszcze ponadto działającemu w jego łonie tajnemu bractwu, które za cel postawiło sobie szerzyć pokój. Jeśli były zagrożone, jeśli nękały go wątpliwości co do dobrej woli wielkiego mistrza, nie mógł z czystym sumieniem poświęcić się własnym sprawom. Na

razie pierwsze miejsce miał obowiązek, pragnienia musiały zejść na dalszy plan.

Nachylił się do Elwiny i przemówił łagodnie, lecz stanowczo, chcąc, by

wysłuchiwała.

Taki ślub byłby już nie grzechem, a świętokradztwem...

Byłby zobowiązaniem. — Elwina była bliska łez. — Dowodem, że kochasz mnie tak samo jak ten twój zakon. — Odwróciła wzrok. — I może wówczas nie czułabym się tak nędznie, gdy opuszczasz moje łóżko, jak gdybyś brał mnie tylko dla ulżenia żądzom, jak byle... — urwała.

Nie jesteś byle kim, Elwino — rzekł głucho. — Przecież o tym wiesz. Musisz o tym wiedzieć.

Nigdy nie było żadnej oprócz ciebie.

Elwina oparła obie dłonie na ziemi, podniosła się i wstała.

To niezupełnie prawda — syknęła.

Will także wstał. Gniew zmienił jego głos w krzyk.

Nie ja zawiniłem tam, w Paryżu.

Odwróciła się do niego plecami. Westchnął ciężko.

Elwino, kocham cię. Ale nie mogę w tej chwili odejść z zakonu i nie mogę ci poświęcić więcej czasu niż dotąd, bo ciążą na mnie powinności, bardzo ważne zadania. Ewerard przemyka oko na nasz związek, bo wie, że je wykonam. Może później...

Może gdybyś mi wyjaśnił, na czym polegają twoje ważne zadania, zrozumiałabym. Ale ty nigdy o nich nie mówisz. Nie ufasz mi?

Nie o to chodzi.

Wiem, że twoja praca dla Ewerarda wykracza poza zwykłe powinności zakonne. — Widząc, jak twarz Willa zmierzcha, uniosła jedną brew.

Zapominasz, że to ja wykradłam dla niego Księgę Graala. Nie wiem, po co mu była, nie powiedział mi tego. Ale nie co dzień zakonny kapelan prosi niewiastę o zdobycie dla niego heretyckiej księgi pod nosem inkwizytorów. A ty wiesz, że wyjeżdżasz w jakichś tajemniczych sprawach. Nie wiesz, jak to jest — podjęła z wysiłkiem — kiedy całymi

tygodniami nie ma się wieści o najbliższej osobie; nawet czy jeszcze żyje...

Nie mogę ci powiedzieć, co robię.

Potrafię dochować tajemnicy.

To nie tylko moja tajemnica.

Przez długą chwilę milczeli oboje, walcząc z uczuciami, starając się opanować zmagające się fale miłości, gniewu, rozgoryczenia i lęku.

W końcu Elwina kiwnęła głową, jak gdyby właśnie otrzymała odpowiedź na pytanie.

Muszę iść — powiedziała cicho, ze znużeniem.

Odprawdzą cię.

Nie trzeba.

Chcę się z tobą przejść. — Chwycił ją za rękę.

Spojrzała mu głęboko w oczy.

Dobrze.

Przeszli przez sad otoczeni kurzawą opadających płatków.

Pod domem Andreasa zastali Szymona, który z napięciem wpatrywał się w okna. Twarz miał purpurową, spocone włosy przyklepione do czaszki, a w dłoni garść drobnych kamyczków, którymi właśnie zamierzał rzucić w okno na piętrze.

Szymon! — zawołał ostro Will.

Dzięki Bogu! — Koniuszy wypuścił żwir i podbiegł.

Po co tu przyszedłeś? Prosiłem cię, żebyś tego nie robił, chyba że w razie bezwzględnej konieczności.

No właśnie jest konieczność — wysapał Szymon. — Musisz iść do preceptorium. Zaraz.

Co się stało? — zagadnęła Elwina, patrząc nań pytająco. Szymon kiwnął jej głową,

odpowiedziała półuśmiechem. Powściągliwe przywitanie kryło sięgającą grubo wstecz znajomość, a także rywalizację, której istnienia Will nawet się nie domyślał.

Ewerard... — Szymon z wysiłkiem zaczerpnął tchu — ...umiera.

Biegnij! — powiedziała szybko.

Nie trzeba było go namawiać, pognał jak strzała; Szymon, sapiąc, tupał za nim, ledwie mogąc nadążyć. Wbiegłszy na targ, Will zrzucił płaszcz, aby widząc tunikę z czerwonym krzyżem templariuszy, ludzie usuwali mu się z drogi. Mimo to przedarcie się przez plac zajęło mu nieznośnie wiele czasu. Rozgarniał tłum rękami, puszczając mimo uszu wypowiedane pół-

głosem złorzeczenia. Dotarł prawie na przeciwległy kraniec, gdy zastąpił mu drogę jasnowłosa mężczyzna.

Wilhelm Campbell? — zaśmiał się z niedowierzaniem.

Will z trudem skupił się na tyle, by rozpoznać twarz.

Garen! — wykrztusił zdumiony.

Na Boga! — Garen złapał go za ramiona. — Jakże się miewasz?

Ja... — Will potrząsnął głową otumaniony. — Ale co ty robisz w Akce? Dostałeś mój list?

Jaki list?

Proszę, proszę...! — rozległ się za nimi kwaśny głos.

Garen uśmiechnął się, widząc Szymona, lecz mina koniuszego starła mu uśmiech z twarzy.

Obrócił się znów do Willa.

Nie dostałem listu. Kiedy go wysłałeś?

Kilka miesięcy temu. Posłuchaj, ja...

To wszystko wyjaśnia. Nie było mnie już w Londynie. O czym pisałeś?

Muszę... Chcę z tobą porozmawiać. Ale teraz muszę iść do pre- ceptorium.

Ja też mam z tobą do pogadania. To jedna z przyczyn, dla których tu jestem.

Porozmawiasz sobie zkomandorem Campbellem, kiedy załatwi ważniejsze sprawy — wtrącił się wyzywająco Szymon.

Komandor? — Przez oblicze Garena przemknęła zawiść, ale Will, który właśnie gromił

Szymona wzrokiem, jej nie zauważył.

Gdzie się zatrzymałeś?

W zamku. Przyjechałem właściwie w imieniu króla Anglii.

Dam ci znać, jak tylko będę wolny.

Garen położył mu rękę na ramieniu.

Cieszę się, że znów cię widzę.

Ja też — odpowiedział Will po chwili wahania.

Garen patrzył za nimi, póki nie zniknęli w tłumie. Pierwsze spotkanie nie przebiegło tak, jak sobie zamierzył, ale przynajmniej nawiązał z Willem kontakt.

Dowiedziawszy się od jednego ze sług Templum, że Campbell wyjechał, Garen prawie przez miesiąc grał na zwłokę. Król Hugo i jego nieufny doradca stawali się coraz bardziej niemili; ponadto Hugo stwierdził wprost, że nie stać go na tak wielką darowiznę. Mimo to wciąż gościł Garena w zamku, jak gdyby nie chciał palić za sobą mostów.

Sługa zakonny zgodnie z daną obietnicą powiadomił go wczoraj, że rycerz wrócił.

Spędziwszy cały ranek w karczmie naprzeciw preceptorium, doczekał się w końcu i wkrótce po nonie zobaczył Willa wychodzącego z preceptorium. Był rad, liczył się bowiem z tym, że będzie musiał czekać znacznie dłużej. Powód, dla którego rycerz opuścił warownię tak

szybko po powrocie z dalekiej podróży, stał się dla Garena jasny, gdy zobaczył, że drzwi domu w weneckiej dzielnicy otwiera mu Elwina.

Szedł za nimi, trzymając się w bezpiecznej odległości. Obserwował ich w sadzie i dało mu to swoistą przewrotną satysfakcję, jakby wiedza

o

grzeszkach Willa stawiała go wyżej od tamtego. Lecz zarazem widok ich zażyłości pogłębił jego własne uczucie osamotnienia.

A więc Will jest już komandorem? Tym łatwiej umożliwi mu wstęp do preceptorium, z

którego ongiś został wygnany. Musi dotrzeć do Ewerarda i wydusić z niego złoto, a potem będzie mógł wracać do Anglii. Akka zaczynała go już trochę nudzić.

Templum w Akce Czternasty dzień maja

Will wpadł jak burza do ciemnej komnaty, nie zadając sobie trudu, by zapukać. Płuca go

palily, z trudem chwytal oddech. Kiedy wzrok przyzwyczail mu sie do polmroku, ujrzal

Ewerarda zgarbionego za pulpitem. Oprócz starego księdza w komnacie nie było nikogo. Will spodziewał się medyków, zapewne i spowiednika.

Co się dzieje? — wydyszał.

Twarz Ewerarda była blada, pobrużdżona głębokimi zmarszczkami. Skóra na wpadniętych

policzkach obwisła, uwydatniając skrzyconą szramę znaczącą obrys twarzy. Wyglądał źle, ale niewiele gorzej niż zwykle. Trzymając pióro w zdrowej ręce, pochylał się nad dużą obitą księgą. Will rozpoznał kronikę, którą ksiądz przed rokiem zaczął spisywać. Powiedział mu wówczas: „Muszę coś po sobie pozostawić, zanim odejdę. Inni mają dzieci; ja tylko słowa”.

Co jest...? — wyjąkał Will.

Co jest co? — spytał swoim papierowym głosem Ewerard.

Will milczał przez chwilę, nim wyrównał oddech.

Szymon powiedział mi, że umierasz.

Wszyscy umieramy — odparł cierpko kapelan, odkładając pióro.

Co dzień po trochu.

Podniósł się z trudem i powłócząc nogami, odniósł kronikę do szafy.

Oklamałeś go — mruknął Will — i wystrychnąłeś mnie na dudka.

Ewerard zerknął na niego przelotnie.

Dzięki temu nie zwlekałeś z przybyciem. — Usiadł, krzywiąc się z bólu. — Co więcej, zyskałem miłą pewność, że zaszczycasz mnie uwagą, może nawet troską.

Jak mogłeś to zrobić?

Ja naprawdę wkrótce umrę — rzekł szorstko Ewerard. — Czy jesteś na to gotowy? Muszę przyznać, że od paru miesięcy mam co do tego wątpliwości. Nie wolno nam zatracić spuścizny Roberta z Sablé. To święty obowiązek wszystkich członków bractwa. A ty, powiedzmy to sobie jasno, jesteś jednym z nich.

I będę. Jeśli seneszał mi pozwoli.

Słowa oczu Ewerarda zwięzły się.

Jeszcze nie postanowiono, kto weźmie przywództwo po mojej śmierci. Nie wyciągaj więc pochopnych wniosków.

O co chodzi, Ewerardzie? Nie mam wiele czasu.

Ach, tak! Naturalnie, masz przecież wiele ważnych spraw. Cały twój cenny czas zajmuje wielki mistrz — głos Ewerarda stwardniał — i ona.

Will spuścił oczy.

Przysięga złożona bractwu nie zwolniła mnie od posłuszeństwa władzom zakonu. Jeśli dostaję zadanie, muszę je wykonać.

Czym innym jest wykonywanie rozkazów, a czym innym ich celebrowanie. Odkąd wielki mistrz mianował cię komandorem, wyraźnie straciłeś zapał do swych innych obowiązków.

Nawet kiedy jesteś w Akce, unikasz spotkań z braćmi. Seneszał uważa, że nie można ci już ufać. Część braci też jest tego zdania.

Obmawialiście mnie za plecami?

Trudno cię ostatnio zdybać. Nie możesz ich zresztą winić, że są nieufni. Raz już zdradziłeś.

Will popatrzył na księdza i odwrócił wzrok.

Długo jeszcze będziesz mi to wypominać? Miałem powód, o którym dobrze wiesz, bo to ty wysłałeś mego ojca na śmierć!

Ewerard podniósł się, celując w niego palcem.

Twój ojciec zginął jako rycerz zakonu. Lecz istotnie, wiernie służył Anima Templi. Jeśli chcesz kontynuować jego dzieło, jak zawsze twierdziłeś, bierz z niego przykład!

A więc chcesz mojej krwi? Ile jeszcze ofiar pochłonie ten twój pokój?

Zapadła cisza.

Mój pokój? — rzekł w końcu Ewerard.

Nie to chciałem powiedzieć — mruknął Will przepaszająco, rozejrzał się za stołkiem i usiadł

naprzeciw księdza. — Jestem wam wierny, Ewerardzie. Zdaję sobie sprawę, że powinienem

częściej się z tobą widywać, i przykro mi, że tak nie jest, ale nie masz pojęcia, ile czasu zajmuje mi wielki mistrz.

I Elwina. To, że cieszysz się znacznie większą swobodą, niż jest przyjęte w zakonie, nie oznacza jeszcze, że tak będzie stale — rzekł ostrzegawczo Ewerard. — Powinieneś był

przyjść do mnie zaraz po powrocie

z Arabii. To, że musiałeś najpierw złożyć raport mistrzowi, jest oczywiste, ale potem, kompletnie mnie lekceważąc, poszedłeś się zobaczyć ze swoją kochanicą. To po prostu nieprzyzwoite!

Była w Kabulu — powiedział cicho Will.

Ewerard milczał przez chwilę.

Nie wiedziałem. Nic jej się nie stało?

Nie. — Will był zaskoczony i wdzięczny, że Ewerard o to spytał.

Czy bractwo podejmie jakieś działania w tej sprawie? Z tego co słyszałem od Elwiny, nie wynika, że Wysoka Rada zrezygnuje z odwetu.

Na razie się naradzamy, jak ich od tego odwieść. — Ewerard zrobił głęboki wdech. — Ale zanim zacznę o tym z tobą mówić, Wilhelmie, muszę wiedzieć, czy jesteś ze mną, z nami, szczerym sercem. Bo jeśli nie...

urwał.

Jestem. Szczerze. — Na starej, pomarszczonej twarzy księdza Will czytał pragnienie, by uwierzyć, i zmagającą się z nim nieufność. Zawahał się przez chwilę, potem sięgnął do sakiewki i wyjął z niej kawałek papieru.

Masz.

Co to jest? — Ewerard wziął od niego arkusik.

Nie jestem pewien.

Skopiował list, który dał mu Kajsan, kiedy otwarłszy go na pustyni, stwierdził, że nie zdoła go

odczytać. Oryginał przekazał wczoraj po powrocie wielkiemu mistrzowi. Kopię miał przy sobie. Po spotkaniu z Elwiną zamierzał ją pokazać staremu rabinowi Eliaszowi, który mógł

znać ten

język.

Ewerard podsunął szkła na nosie i zbliżył pismo do oczu.

Potrafisz to przełożyć? — zapytał Will, pochylając się nad nim.

Co to za tekst?

Tajemnica, którą usiłuję rozwiązać, niestety bez rezultatu. Myślisz, że uda ci się to rozszyfrować?

Ewerard przyjrzał się baczniej pismu.

Być może. Ale...

Ufasz mi? — wpadł mu w słowo Will. — Szczerze?

Ewerard westchnął ciężko.

Jesteś dla mnie ciężką codzienną pokutą, Wilhelmie. — Pokiwał głową. — Tak, ufam ci.

Lecz nie zawsze ufam trzeźwości twych sądów.

Więc pomóż mi to odczytać i być może obaj poznamy odpowiedź na dręczące nas pytania.

Cytadela w Kairze Dwudziesty piąty dzień maja roku Pańskiego 1276

Aisza zanurzyła się w wodzie po czubek głowy. Palce miała już rozmiękłe i pomarszczone jak skórka przejrzałego owocu. Łaźnia, niedawno skąpana w złocistym świetle popołudnia

wpadającym przez wysokie okna, poszarzała i zrobiło się w niej chłodno. Większość kobiet wyszła; ostatnie wycierały się perfumowanymi lnianymi ręcznikami.

Lepiej już chodź, bo spóźnisz się na sałat — ostrzegła ją jedna, zaglądając do basenu.

Aisza uśmiechnęła się nonszalancko.

Jeszcze cała godzina do modłów. Zdażę.

Po chwili łaźnia opustoszała, została tylko Aisza i jej dwie niewolnice. Kazała im odejść, potem wyskoczyła z wody i złapała ręcznik. Musiała się pośpieszyć, jeśli rzeczywiście

chciała zdążyć, choć w tej chwili w ogóle nie myślała o modłach.

W łaźni panowała niesamowita cisza. Prawie granatową w mierzchną- cym świetle wodę marszczyły tu i ówdzie krople spadające z malowanego sufitu. W powietrzu wisiał zapach

dymu i pachnidła, nadjedzonych owoców i przebrzmiałych plotek. Aisza naciągnęła suknię, byle jak przeczesala mokre włosy grzebieniem z kości słoniowej i okryła je bladozłotą

zasłoną. Pośpiesznie przyciągnęła pod okno otomanę. Mebel był ciężki, rzeźbione nogi

zaskrzypiały głośno na płytkach posadzki. Przystanęła na chwilę, żeby złapać oddech, i cisza spowiła ją całą niby ciężkim całunem. Potem wdrapała się na poręcz otomany, a z niej na parapet.

Kiedyś wspięła się tu po małąkę i odkryła, że zardzewiałe gwoździe mocujące żelazną kratę siedzą zupełnie luźno.

Dwa miesiące temu, tuż przed wieczornymi modłami, zobaczyła z tego okna Barakę w

ogrodzie na tyłach zabudowań haremu. Szedł prędko, przy-

garbiony, trzymając się w cieniu krzewów hibiskusa, którymi obsadzone były ścieżki przy sztucznych strumyczkach, zbiegających się do ciemnej sadzawki w samym środku ogrodu.

Była zdumiona. Jako dziecko Baraka mieszkał w haremie z matką, ale teraz był już

mężczyzną; nie wolno mu było wchodzić tu potajemnie. Wstęp do haremu mieli poza

sułtanem tylko rzezańcy. Jeśli chciał się widzieć z nią albo z Nizam, powinien był wejść główną bramą i zażądać, by je przywołano. Obserwowała go, dopóki nie zniknął za szpalerem owocowych drzew odgradzających ogród kwiatowy od warzywnika.

Myślała o mężu znacznie częściej od chwili, gdy natknęła się nań w korytarzu zwałonej

wieży. Zaintrygowała ją też reakcją ojca. Dowiedziawszy się, że Baraka był tam wraz z

Kadirem i Mahmudem, Kalaun się zaniepokoił — znacznie bardziej, niżby na to zasługiwał

ów błahy incydent. Aisza kilkakrotnie posyłała do męża z prośbą o rozmowę. Początkowo

Nizam była rada, widząc jej starania, ale kiedy Baraka je zignorował, stała się jeszcze przykrzejsza niż dotąd, jakby jego obojętność była winą Aiszy.

Przez kilka tygodni znosiła jej docinki, roniąc po cichu łzy. Potem, prawie miesiąc później, znów zobaczyła Barakę w tym samym miejscu. Zaciekawilo ją to jeszcze bardziej, zwłaszcza gdy zdała sobie sprawę, że było to w tym samym dniu tygodnia o tej samej porze, tuż przed salatem. Przez cały następny tydzień trzymała straż w oknie łaźni i rzeczywiście

siódmego dnia, gdy słońce zapadało za mur cytadeli, Baraka ponownie zakradł się do ogrodu.

Dziś była na to przygotowana.

Nadstawiając uszu, czy drzwi łaźni nie skrzypną, wyciągnęła długie gwoździe z otworów u dołu kraty. Górne pozostawiła, wysunęła je tylko trochę, tak by kratę dało się uchylić. Teraz czekało ją najtrudniejsze zadanie. Tęższej kobiecie by się to nie udało, ale Aisza była szczupła i zwinna. Napiąwszy mięśnie, uniosła nieco kratę i przełożyła nogi na zewnątrz. Jej bose stopy zwisały teraz nad rosnącym pod oknem krzakiem hibiskusa. Przekreśliła się na

brzuch, cal po calu przepchnęła wraz z głową na zewnątrz i zeskoczyła w zarośla. Ciężka krata zapadła z powrotem na miejsce. Kropelki potu zrosiły Aiszy czoło i górną wargę,

wilgotna ziemia ziębiła stopy, zapach kwiatów przyprawiał o zawrót głowy.

Zdążyła w porę. Ogrody otoczone były z jednej strony przez wysoki porośnięty bluszczem

mur, z drugiej zaś przez ścianę łaźni. Można było do nich wejść albo przez kuchnię i

warzywnik, albo przez drzwi głównego budynku haremu, te jednak były zawsze strzeżone.

Pojęła, jak dostał się tu Baraka, kiedy kilka chwil później ujrzała go na szczycie muru obok górującej nad nim palmy. Zsunąwszy się po bluszczu, ruszył prosto do drzwi kuchennych.

Pobiegła na palcach równoległą ścieżką i przypadła do ziemi u sranicy sadu. Baraka

rozejrzał się i zapukał — dwa krótkie puknięcia. Otworzył mu eunuch o skórze czarniejszej niż ciemny prostokąt drzwi. Baraka powiedział coś, czego Aisza nie dosłyszała, sięgnął w zanadrze i dał coś tamtemu. Eunuch zniknął. Baraka znów zlustrował wzrokiem ogród. Minę miał spłoszoną, lecz mimo to wyzywającą. Minęło kilka nieznośnie długich minut, aż

wreszcie drzwi otwarły się ponownie. Tym razem eunuch prowadził dziewczynę. Aisza

poznała jedną z haremowych niewolnic, pojmaną w napaści na jakąś chrześcijańską osadę.

Miała śnieżnobiałą skórę, bladożółte włosy i twarz nacechowaną smutkiem. Baraka rozkazu-jącym gestem wskazał jej kierunek; pobiegła truchcikiem w głąb ogrodu.

Aisza z bijącym głucho sercem skradała się za nimi w bezpiecznej odległości. Baraka

otworzył szopę, w której składowano zebrane owoce. Dziewczyna ociągała się z wejściem;

złapał ją za ramię i wepchnął do środka. Potem wszedł sam, zamykając za sobą drzwi.

Wiedziona mdlącym przecuciem, Aisza podkradła się do szopy, zarazem pragnąc i bojąc się zobaczyć, co się dzieje w środku. Wycięte w deskach małe kwadratowe okienka były dla niej za wysoko, lecz pod ścianą znalazła cebrzyk, który obrócony do góry dnem posłużył jej za stopień.

Zajrzała do środka. W szopie było ciemno, z sufitu zwisały festony pajęczyn.

Posłyszała głos Baraki, wspięła się na palce i w ciemności rozpoznała jego postać. Dziewczyna stała przed nim.

Prędzej — powiedział.

Cichutkie chlipnięcie uświadomiło Aiszy, że dziewczyna płacze.

No już! — w stłumionym głosie Baraki mieszały się podniecenie, strach i wściekłość. — Bo każę cię wychłostać!

Dziewczyna powoli uklękła przed nim i uniosła mu tunikę. Ramiona jej drgały od tłumionego płaczu. Baraka oparł się plecami o ścianę, przymknął oczy. Głowa i barki dziewczyny

zasłaniały Aiszy widok, ale było oczywiste, czego jest świadkiem.

Nogi się pod nią ugięły i na pół zeskoczyła, na pół spadła z cebra na rozgrzany bruk.

Dygocząc z obrzydzenia i gniewu, uciekła.

Cytadela w Kairze Dwudziesty szósty dzień maja

Gęstniejąca krew kapiała z paszczy lwa, uwiązane na drągu ciężkie cielsko kołysało się w rytm kroków tragarzy. Muchy, przyciągane krwawą raną na boku zwierza, zlatywały się z

brzęczeniem. Słudzy odganiaли je co chwila, lecz owady wracały, krążyły wokół ciała

leniwymi, zwężającymi się kręgami.

Kalaun odprężył się w siodle. Trzymał wodze jedną ręką, czując pod sobą grające mięśnie wierzchowca, który posuwał się teraz stępą piaszczystą ścieżką wiodącą do cytadeli. Za

plecami miał orszak dworzan, w którym byli również jego dwaj synowie, Ali i Chalil. Pochód zamykali słudzy niosący lwa.

W drodze powrotnej nie wyrzekłeś ani słowa, książę. — Kalaun zerknął na Barakę, który

jechał obok niego na karym ogierze. — Czy coś się stało?

Nie. — Młodzieniec miał wzrok wbity w dal, przed siebie.

Powaliłeś lwa pięknym ciosem.

Oczy Baraki zwęziły się ze złością.

Nieprawda. Ty dopadłeś go przede mną i do ciebie należał pierwszy cios. Odstąpiłeś go mnie.

Nie potrzebuję, żebyś mnie niańczył, Kalaunie, sam potrafię dać sobie radę.

Emir milczał przez chwilę.

Masz słuszość, panie. Przepraszam.

Zapadła cisza, przerywana od czasu do czasu rozmowami dworzan i śmiechem Alego,

któremu młodszy brat opowiadał zabawne historyjki. Uśmiech Kalauna spelzł, krótkotrwała przyjemność, jaką sprawiły mu łowy, pierzchła. Próbując pochlebić Barace, jeszcze bardziej go do siebie zraził. Nie tak to sobie zamierzył.

Przez ubiegłe dwa miesiące był zajęty organizacją zbliżającej się kampanii anatolijskiej.

Sułtan pociągnął w tym czasie na Karak, którego załoga zbuntowała się przeciw niemu.

Wrócił z Synaju przed kilkoma dniami. Gwardziści wlekli za koźmi zmasakrowane ciała przywódców buntu; pozostałych wygnano z kraju, a w twierdzy osadzono nową załogę.

Pomimo to Bajbars był wściekły. Jedyłą dobrą wieścią w ostatnim miesiącu był zwycięski

powrót Iszandijara spod al-Biry. Bajbars uczcił go biesiadą i turniejem gry w polo. Słuchając relacji Iszandijara z wyprawy syryjskiej, Kalaun zastanawiał się, jak powiodło się Nazirowi śledztwo wśród asasy- nów. Przywykł mieć go przy sobie; brakowało mu jego wyważonych sądów.

Odkąd Aisza go ostrzegła, że Baraka może się zmawiać z Kadirem i Mahmudem, Kalaun

zmał się własną bezsilnością i zarazem serdeczną troską o młodzieńca, który stawał się coraz bardziej zamknięty w sobie i nerwowy. Dzisiejsze polowanie było pierwszą realną

okazją do rozmowy z młodym księciem, ale Baraka trwał w posępnym milczeniu i wszelkie

wysiłki Kalauna, aby wyrwać go z tego nastroju, spelzły na niczym.

Przed nimi z zarośli wypełzł wąż; gładkie, czarne, jakby naoliwione ciało prześliznęło się ścieżką, zostawiając za sobą meandrujący ślad. Koń Kalauna parsknął niepewnie; emir

powstrzymał go, czekając, aż wąż zniknie im z oczu.

Widziałeś się ostatnio z Aiszą? — spytał, siląc się na lekki ton. Wjechali na główny trakt do cytadeli,znaczony licznymi odciskami kopyt i koleinami pozostawionymi przez ciężkie

wozy.

Baraka zerknął na niego przelotnie.

Nie chcę o niej mówić.

Czy moja córka cię nie zadowala, książę?

Baraka odmruknął coś, czego Kalaun nie dosłyszał.

Mężczyzna ma obowiązki wobec swoich żon — rzekł łagodnie emir

i musi mieć na względzie swoje stanowisko. Będiesz kiedyś sułtanem, panie, musisz mieć potomka. Wiem, że twoja matka się o to martwi. Czy chcesz, abym...

Nie.

Dobrze, wiedz tylko, że zawsze gotów jestem służyć ci radą. Mam doświadczenie, którego brakuje twoim młodym przyjaciółom. Oczywiście możesz się zwrócić do ojca... lub Kadira.

Baraka poderwał głowę i zerknął na niego podejrzliwie.

Kadir? Jest sługą ojca. Skąd myśl, że miałbym mu się zwierzać?

Wiem, że cię lubi — rzeki ostrożnie Kalaun.

Baraka patrzy! na niego przez chwilę chmurnie, potem znów wbił wzrok w drogę przed koniem. Widać już było mury cytadeli, białe na tle ciemnobłękitnego nieba. Gromadka

obdartych dzieci bawiących się na poboczu pobiegła za orszakiem, nawołując o bakszysz.

Kalaun sięgnął do trzosa i wydobyl garść srebrnych monet. Rzucił je dzieciom, które z radosnym piskiem rzuciły się do zbierania.

Dlaczego to zrobiłeś? — spytał kwaśno Baraka, gdy się oddalili.

Są biedne, a ja bogaty. Czyż nie zrobiłbyś tego samego dla swych poddanych?

Nie są moimi poddanymi.

Pewnego dnia nimi będą. Gdy obejmiesz władzę, te dzieci będą dorosłe. Niechże pamiętają twoją szczodrość i miłosierdzie.

Ojciec nie rzuca srebra nędzaczkom, a jednak budzi respekt i podziw. Ludzie cenią siłę, nie miłosierdzie.

Nie jesteś swoim ojcem, Barako.

Nie — powtórzył cicho książę. — Nie jestem.

Ponadto — ciągnął Kalaun, starając się podtrzymać rozmowę

sułtan pomaga ludowi na inne sposoby. Buduje madrasy i szpitale, meczety, zbiorniki na słodką wodę... — Urwał, słysząc dobiegające z przodu krzyki. Minąwszy zakręt drogi al-

Mudarradz, znaleźli się nieomal pod bramą cytadeli. Brona była podniesiona, w bramie

ugrzęzła liczna karawana, której czoło znalazło się już wewnątrz murów. To stamtąd

dobiegały krzyki, towarzyszył im żałosny płacz dzieci. Kalaun zmarszczył brwi, widząc mię-

dzy wozami rzędy kobiet i dziewcząt, obdartych, wyczerpanych, półprzytomnych. Pilnowali ich konni i piesi mamelucy.

Co się tam dzieje, ojcze? — Ali i Chalil zrównali się z nim, wyciągając szyje, by lepiej widzieć. Ruchem dłoni nakazał im wrócić na miejsce.

Poczekaj tu, panie — rzekł do Baraki.

Mameluccy wartownicy rozstąpili się przed nim skwapliwie. Na dziedzińcu cytadeli zobaczył

Bajbarsa stojącego nad kornie schylonym żołnierzem w jadeitowej tunice, trzymającym pod pachą zakurzony hełm. Kalaun poznał w nim dowódcę imieniem Usama.

Na twarzy Bajbarsa malowała się żądza mordu. Widząc Kalauna, ruszył w jego stronę,

zostawiając za sobą zgnębnego wojaka.

Wiesz coś o tym? — warknął.

Kalaun przełożył nogę przez lęk i zeskoczył z siodła.

O czym, panie?

Sułtan nie odpowiedział. Krążył w miejscu jak przyparty do skały lew. Kalaun spojrzał pytająco na Usamę.

Emirze, wróciliśmy właśnie z Palestyny, by odprowadzić brańców zdobytych w rajdzie na Kabul.

Na czyj rozkaz? — spytał ostro Kalaun.

Bajbars odwrócił się gwałtownie do żołnierza.

Jeśli jeszcze raz ośmielisz się powiedzieć, że mój, wypruję ci flaki!

Twarz Usatny przybladła pod opalenizną. Podjął z wahaniem:

Jak się okazuje, rozkaz, który otrzymaliśmy, nie pochodził od naj- miłościwszego sułtana, ale była na nim jego pieczęć. — Sięgnął za pazuchę i wyciągnął zwój.

Kalaun przebiegł wzrokiem dokument.

On mówi prawdę — rzekł, spoglądając na władcę.

Nie wydałem takiego rozkazu, Kalaunie. — W głosie Bajbarsa dźwięczała zimna stal.

Kalaun zerknął na przerażone kobiety i dzieci. Nie sądził, by wiele z nich, jeśli w ogóle, znało arabski. Pewnie sądzą, że Bajbars spiera się z Usamą, jak je uśmiercić.

Wygląda na to, że ktoś posłużył się twoim imieniem dla własnych celów, panie — rzekł ciszej.

To ja.

Wszyscy trzej obrócili się zaskoczeni. Baraka wjechał na dziedziniec i zsiadał właśnie z konia.

Co powiedziałaś? — zapytał bardzo cicho sułtan.

Baraka chciał odpowiedzieć, ale głos go zawiódł. Odchrząknął, wyprostował się i spojrzał ojcu w oczy.

Chciałem ci pomóc. Dotarły do mnie wieści, że Kabul jest gniazdem szpiegów, a wiem przecież, że jesteś zajęty planowaną kampanią. Postanowiłem sam się z nimi rozprawić i wysłałem rozkaz w twoim imieniu.

Usama zdumiony otworzył niemo usta. Na kamiennej twarzy Kalauna odmalował się głęboki namysł. Bajbars cofnął się o krok.

Myślałem, że będziesz rad. — Baraka z wahaniem postąpił ku niemu. — Chciałem pomóc. —

W jego głosie pojawiły się błagalne nutki.

Zrobiłem to dla ciebie, ojcze.

Błyskawicznie jak dzimn Bajbars przyskoczył do niego, złapał za szatę pod szyją i uderzył

zwiniętą pięścią raz, potem drugi. Baraka krzyknął, brocząc krwią z nosa, zaszamotał się bezradnie w żelaznym uścisku. Kolejny cios zostawił mu otwartą ranę nad okiem, gdzie

pierścienie sułtana rozorały miękką skórę.

Panie! — Kalaun chwycił rękę uniesioną do następnego ciosu.

Puść mnie! — syknął Bajbars, przesywając go wściekłym wzrokiem.

Nie wierzę, że sam to wymyślił — rzekł szybko emir.

Baraka zwiśł bezwładnie w rękę ojca jak wiotki łachman.

Jestem pewien, że ktoś mu to podpowiedział. — Kalaun zerknął na twarz chłopca, umazaną krwią i smarkami. — Tak było?

Panie! — Z drzwi pałacu wystrzelił szary cień, rzucił się do stóp sułtana. — To twój syn!

Twój spadkobierca!

Nie mieszaj się do tego — warknął na zaklinacza Bajbars.

Kalaun pochwycił błagalne spojrzenie, jakie rzucił staremu Baraka.

Wiedział już wszystko.

To twoja robota, prawda?

Udając, że go nie słyszy, Kadir gładził wychudłą płamistą dłonią buty sułtana.

Ulituj się nad synem, panie — prosił. — Cóż takiego uczynił, by cię tak rozgniewać?

Bajbars go nie słuchał.

Co takiego powiedziałaś, Kałaunie? — spytał tonem, w którym czuć było groźbę.

Ty to obmyśliłaś, prawda, Kadirze? — Emir spojrzał z góry na skulonego zaklinacza. — I skłoniłaś Barakę do pomocy.

Kadir wydał z siebie tylko wściekły syk. Bajbars szarpnął syna, unosząc go na wysokość swojej twarzy.

Czy to prawda?

Baraka chlipnął niezrozumiale.

Tak czy nie?!

Tak! — rozkrzyczał się chłopak. Jego głos przeciął śmiertelną ciszę, jaka przez chwilę panowała na dziedzińcu.—To Kadir, ojcze! On i Mahmud! Ja nie chciałem! Zmusili mnie do tego!

Bajbars puścił go raptownie, jakby nagle zdał sobie sprawę, że trzyma w ręku coś obrzydliwego. Zalany łzami, ubroczony krwią książę osunął się na ziemię. Spojrzał na ojca, potem na szereg przyglądających mu się mameluków, pozbierał się na nogi i uciekł.

Krzywa klinga świsnęła, wysuwając się z pochwy. Kadir rzucił się na ziemię, wrzeszcząc: Nie zabijaj bożego posłańca!

Szabla znieruchomiała w górze.

Zabijając mnie, zabijesz siebie, panie — wyszeptał Kadir. — Nasze losy są związane, twój i mój.

Bajbars oddychał ciężko przez chwilę, potem kopniakiem odepchnął starca.

Zejdź mi z oczu. Później się z tobą rozprawię. Przyprawdźcie do mnie emira Mahmuda — warknął do gwardzistów i odwrócił się ku pozostałym. — Czy ktoś jeszcze ma chęć mnie zdradzić? — Jego głos ciał jak bicz. — No, kto?

Mężczyźni cofali się przed jego wzrokiem.

Nagle Bajbars jakby osłabł, uzbrojona dłoń opadła.

Wszyscy są przeciw mnie, Kalaunie. Wszyscy.

Nie wszyscy — rzekł emir, podchodząc. — To tylko parę zgniłych jabłek, które trzeba usunąć.

Co teraz? Rozejm został złamany. Frankowie będą chcieli odwetu za tę napaść. — Bajbars

spojrzał na niego. — Wszystkie moje anatolijskie plany legną w gruzach, jeśli teraz będę musiał z nimi walczyć. Druga taka okazja może mi się nie trafić. Abaga wróci, a ja muszę być gotowy, Kalaunie, muszę!

Będiesz gotowy, panie — rzekł spokojnie Kalaun. — Nie wszystko przepadło. Przepróż chrześcijan. Wyślij jeszcze dziś posła z wyjaśnieniem,

co zaszio. Powiedz, że surowo ukarałeś zdrajców. Daj odszkodowanie, dinara za każdego

człowieka zabitego w Kabulu. Zwolnij z lochów ze dwudziestu frankijskich rycerzy;
odprowadzą do Akki te kobiety i dzieci.

Kalaun wskazał grupę branek. — Sytuację da się jeszcze załagodzić, nim
dojdzie do starcia.

Po namyśle Bajbars skinął głową.

Dopilnuj tego — rzekł sztywno.

Kalaun ruszył w stronę wozów, wydając polecenie, by przyniesiono jeńcom wodę i owoce.

Odprowadzał go nienawistny wzrok skulonego w' cieniu zaklinacza.

Baraka biegł przez pałacowe korytarze, znacząc swój ślad kropelkami krwi. Twarz miał
dziwnie nieczułą, choć mrowienie skóry zapowiadało, że już w'krótce ból da mu się we znaki.

Z początku chciał biec do matki, lecz powstrzymał go wstyd, iż zobaczą go w tym stanie

haremowi strażnicy. Łkając z upokorzenia, zawrócił do swych komnat; przez całą drogę
bezsukutecznie próbował wymazać z pamięci wpatrzone w niego twarze żołnierzy, Kalauna i ojca.

Na spotkanie wyszła mu postać w czerni, z osłoniętą twarzą. Uniosła welon i Baraka stanął
jak wryty, ujrzawszy Aiszę.

Widziałam cię — powiedziała głosem zimnym i ciężkim jak marmur.

Baraka w ogóle jej nie słuchał.

To ty doniosłaś ojcu, że widziałas mnie w zwalonej wieży, tak? — wybełkotał przez
opuchnięty nos. — Dlatego zadawał mi te pytania. Od ciebie dowiedział się o Kadirze!

Tak! Widziałam cię! — wrzasnęła tak głośno, że aż się wdrygnął.

Widziałam cię wczoraj z tą niewolnicą!

Patrzył na nią przerażony, trzęsącymi się rękami usiłując odemknąć rygiel. Aisza niczym furia
skoczyła mu do oczu.

Wszystkim powiem! Niech wiedzą, że nie jesteś w stanie posiadać własnej żony! Że musisz
kraść niewolnice z haremu ojca! — Przejechała mu paznokciami po twarzy. Krzyknął, gdy

zahaczyła o rozkwaszoną wargę.

A matce opowiadasz, że to moja wina! Że to ja nie jestem dla ciebie dość dobra! To ty jesteś do niczego! Ty!!!

W końcu zdołał ją odepchnąć i wpadł do komnaty. Nogi mu zmiękły, usiadł, opierając się plecami o drzwi, za którymi Aisza wciąż rzucała na niego klątwy.

Dzielnica pizańska w Akce Dwudziesty szósty dzień maja roku Pańskiego 1276

W karczmie panował nieznośny zaduch. Muchy niestrudzenie krążyły nad lepкими stołami, przy których robotnicy chronili się przed południowym skwarem. Dwóch wyszło,

wpuszczając lekki podmuch rozgrzanego powietrza, i Will uniósł głowę, rozkoszując się jego tchnieniem. Zawsze zimą zapominał, jak męczące jest lato w Akce, i co roku przypomnienie nie było miłe. Smród ludzkich i zwierzęcych odchodów już przed południem stawał się nie do zniesienia, nawet najcieńsze płótno lepilo się do pleców jak ciężki wełniany płaszcz, z zatłoczonych targowisk bił odór potu, gnoju i psującego się mięsa.

Na zdrowie. — Garen postawił przed nim wyszczerbiony kubek. Usiadł, pociągnął wina i skrzywił się z niesmakiem. Włosy wyjaśniały mu w słońcu, twarz miał opaloną i wyglądał jak okaz zdrowia, jeśli nie liczyć lekkich cieni pod oczyma.

Will zazdrościł mu stroju. Luźna płócienna koszula wydawała się cudownie lekka i przewiewna w porównaniu z trzema warstwami, w które templariusza odziewała reguła.

Zastanawiał się, czy Garen żałuje, że nie pozostał w zakonie. Napotkawszy jego wzrok, sięgnął po kubek. Wino było niemiłosiernie kwaśne.

A więc — rzekł z półuśmiechem Garen — wreszcie się spotykamy.

Wybacz, że wcześniej nie znalazłem dla ciebie czasu.

Cóż, jako komandor jesteś pewnie bardzo zajęty.

Will z roztargnieniem kiwnął głową. Nie miał ochoty na puste pogaduszki. Gdy niespodzianie spotkali się na targu, jakąś część jego serca ucieszył widok starego towarzysza.

Oczyma wyobraźni widział już, jak rozprawiają o dawnych czasach i dawnych druhach w londyńskim

Templum. Ale siedząc naprzeciw Garena w dusznej karczmie, uświadomił sobie, że nie łączy ich już nic prócz zadawnionych uraz.

Kiedy Garen tkwił uwięziony w lochu, a on nosił mu jedzenie i wieści, było inaczej.

Wówczas umiał przebaczyć, widząc, jak okrutnie tamten płaci za zdradę. Teraz, gdy sącył

wino, silny, ogorzały i pewny siebie, Will czuł, jak wzbiera w nim dawny gniew. W pamięci malował się obraz innej karczmy, w której zбитy jak pies i przywiązany do łoża patrzył

bezsilnie, jak Garen przemocą rozwiera mu zęby i wlewa do gardła gęsty, żrący dekokt. Za tym wspomnieniem przyszły inne: nachylona nad nim dziewczyna

o

wijących się złotych włosach, krzyk Elwiny...

Jak się miewa Elwina? — pytał właśnie Garen. — Rozumiem, że wciąż jest z tobą w Akce?

Will zacisnął usta.

Dobrze — burknął. — A co słyhać w Anglii? Twoja matka żyje jeszcze?

Garen wydawał się zaskoczony i po trosze wdzięczny.

Trochę już słabuje, ale język ma ostry jak zawsze. — Wydłubał z kubka jakiś paproch. —

Rzadko ją teraz widuję. Król Edward zajmuje mi większość czasu.

Co dla niego robisz?

Garen uniósł głowę, dosłyszawszy ostrą nutę w pytaniu Willa.

Biegam na posyłki. — Wzruszył ramionami. — Przewożę listy. Nic ciekawego. A, właśnie.

Co było w tym liście, o którym mi mówiłeś?

Ewerarda niepokoją żądania, które stawia mu Edward. Chciałem się ciebie poradzić.

Garen nachylił się ku niemu.

To się dobrze składa, bo i ja chciałem o tym z tobą pomówić. — Wykonał ręką dworny gest.

— Ty pierwszy.

Ewerard chciałby mieć pewność, że pieniądze zostaną użyte tak, jak twierdzi król. Słyszał, że planuje wojnę z Walią, obawiamy się więc, iż roztrwoni fundusze Anima Templi na

poszerzenie własnego królestwa.

Jesteście dobrze poinformowani — zdziwił się Garen. — Niewielu ludzi wie o tych planach.

Mamy w Londynie sojuszników.

Garen zastanawiał się chwilę, nim odpowiedział. Mówił powoli, z namysłem.

Nie mylisz się...

Will się wyprostował, po twarzy przeniknął mu wyraz triumfu.

Edward planuje zbrojną wyprawę do Walii. Ale nie potrzeba mu na to pieniędzy Anima

Templi. Ma inne źródła. Po części dlatego wysłał mnie tutaj, do króla Hugona.

Więc na co ich potrzebuje?

Na nowe poselstwo pokojowe do Abagi... i rozesłanie szpiegów do mongolskich posterunków w Anatolii. Chce się upewnić, że sojusz zawarty z chanem przed czterema laty jest i będzie respektowany. Wspólnie z Mongołami równoważymy potęgę sultana. Edward uważa, że przy

równowadze sił nastąpi pat; żadna ze stron nie wystąpi przeciwko innej. To najlepszy sposób, aby wymusić pokój podpisany z Bajbarsem.

Ale na co mu wojna z Walią?

Jest do niej zmuszony. Llewelyn, książę północnego Gwyneddu, od lat jest nam cierniem w boku. Jego ziomkowie najeżdżają angielskie ziemie, kradną bydło, porywają dzieci i gwałcą kobiety, a Llewelyn nie robi nic, by ich powstrzymać, ba, czynnie ich zachęca. Przebrała się jednak miarka. Trzeba rozgromić tych barbarzyńców raz na zawsze.

Will słuchał w milczeniu. Garen mówił jak królewski herold; głos brzmiał szczerze, ale w oczach nie było krzty emocji. To były tylko słowa, których go wyuczył Edward. Czy miały cokolwiek wspólnego z prawdą, to całkiem inna sprawa. Po latach spędzonych w Ziemi

Świętej Will wiedział doskonale, że każdy władca planując inwazję, najpierw głosi w

wielkich i szumnych słowach, iż jest do niej zmuszony. Jeśli wrogi kraj bądź lud budzi strach, poddani nie szemrają przeciwko wojnie. To część starej jak świat strategii, równie przydatnej jak włócznie i miecze.

Na spotkaniu z papieżem — podjął — Edward mówił o nowej wyprawie krzyżowej.

Jeśli Garena zaskoczyła jego wiedza, nie okazał tego.

To oczywiste. Papież jest jego przyjacielem, lecz zarazem wytrwałym orędownikiem

krucjaty. Kiedy Edward nie przybył na sobór w Lyonie, był bardzo nierad. Król musiał go przekonać, że zamierza wziąć Krzyż, chcąc go ugłaskać.

Will nie był o tym przekonany, ale czując, że nie wyciągnie od Garena całej prawdy, zmienił temat.

O czym chciałeś rozmawiać? — spytał.

Edward pragnie, żebym osobiście przedstawił Ewerardowi jego prośbę. Jeśli ma pchnąć posłów do chana, pieniądze wkrótce będą mu potrzebne. Wiadomo przecież, że ani ty, ani inni członkowie Anima Templi nie wyrwiecie się chyłkiem na taką misję; zresztą Edward nawiązał już stosunki z Abagą. — Garen lekko wzruszył ramionami. — W końcu po to mianowaliście go Opiekunem: żeby wspomógł wasze działania pokojowe.

Wszystko to brzmiało dość wiarogodnie, a jednak Will nie mógł się pozbyć podejrzeń.

Pomówię z Ewerardem. Nie mogę ci jednak obiecać, że się zgodzi. Anima Templi działa na różnych polach, nie stać nas na finansowanie wszystkiego. Dochody z darowizn są ograniczone, a nie możemy przecież opróżnić skarbca zakonu.

Rozumiem. — Garen skinął głową. — Byłbym ci wszakże wdzięczny, gdybyś mi umożliwił spotkanie z Ewerardem, a przynajmniej możliwie jak najszybciej dał odpowiedź. Nie mogę siedzieć tu wiecznie; król nie jest aż tak gościnnie.

Porozmawiam z nim dzisiaj i jutro będę tu o tej samej porze. Dostaniesz odpowiedź, jakakolwiek będzie. — Will wstał, pozostawiając prawie pełny kubek. — Niestety, muszę iść.

Mam jeszcze parę spraw do załatwienia.

Zatem do jutra.

Garen patrzył za odchodzącym. Nie on jeden; kilku mężczyzn odprowadziło templariusza wzrokiem pełnym szacunku. Kiedyś i na niego tak spoglądano, dziś był tylko niewyróżniającą się twarzą w tłumie. Sięgnął po kubek Willa i osuszył go jednym haustem. Potem wyszedł na rozpaloną ulicę.

Idąc w stronę targu w powolnym nurcie przekupniów, mułów i wózków, miał uczucie, że

pokryte mialkim pyłem ściany domów i kościołów napierają na niego. Przepchnawszy się przez plac targowy, wszedł w podcienie, sklepiony kamienny pasaż, w którego arkadach kupcy wystawiali towar. Niskie drzwi wiodły do zagraconych sklepików, w których można było nabyć wszystko — począwszy od porcelany, a na truciznach skończywszy. Trzymając dłoń na trzosie i blisko sztyletu, Garen wszedł głębiej, mijając mężczyzn krzepiących się korzenną aromatyczną herbatą przy grze w szachy oraz kobietę, która kiwała na niego z za jedwabnej zasłony prowadzącej do mrocznego dymnego wnętrza pachnącego grzechem i cynamonem.

Prędko się oswoił z egzotyką miasta. Trafił tu zaledwie przed dwoma tygodniami, a już pięciokrotnie zdążył wrócić. Za każdym razem ci sami mężczyźni grali w szachy i ta sama kobieta wabiła go z cienia. Stragan z owocami rozsiewał ten sam zapach cytryn i pomarańcz, a ze znajomego sklepu uśmiechał się ten sam stojący na progu Arab.

Garen skinął mu głową bez uśmiechu.

Quannob.

Ale tamten już zniknął w środku, wiedząc z góry, czego zażąda. Po chwili wynurzył się z za zasłony i wręczył mu niewielki zwitek owiązanych sznurkiem zielonych liści.

Dobrze teraz sypiasz? — spytał, biorąc od Garena zapłatę.

Lepiej.

Do zobaczenia wkrótce! — zawołał za nim.

W zamku poszedł prosto do swojej komnaty. Okna były zaciągnięte, letni upał nie dotarł do chłodnego wnętrza. Zakazał sługom tu wchodzić; pościel była zmięta i przepocona po

niespokojnej nocy, poduszki zrzucone na podłogę. Na niskim stoliku leżały żelazne szczypce i gliniana kadzielnica poczerniała od kopcia. Obok łóża bezładną ciżbą stały puste kamionki po winie.

Zamknawszy drzwi na skobel, zrzucił buty i boso podszedł do stolika. Wyjął z kaletki ziele.

Rozłupał smolną szczapę, w którą się zaopatrzył,

skrzesał ogień. Kiedy dREW no zmieniło się w tłący węgielek, przeniósł go do kadzielnicy, a potem krzyżując nogi, usiadł na poduszce i rozwiązał zwitek. Ostry, lepki zapach uderzył w nozdrza, rodząc dreszczyk oczekiwania. Wziął w dwa palce szczyptę wysuszonych

bladzielonych główek kwiatowych z twardymi brązowymi nasionami, roztarł je w palcach, wsypał do kadzielnicy i pochylił się nad nią.

Konopie uprawiano na Wschodzie i na Zachodzie; z włókien robiono sznury, przędzę i papier.

Ale liście, kwiaty i nasiona wykorzystywano do innych celów: jako lek, kadzidło, wreszcie narkotyk. Dawna paryska kochanka Garena — ladacznica, lecz także uzdrawiaczka —

opowiadała mu, że ludzie jedzą liście konopi i mają potem piękne sny, wizje kojące skołatane dusze. Garen nigdy tego nie próbował, aż w końcu przed siedemnastu dniami, kiedy na

pizańskim rynku szukał naparu, który pomógłby mu zasnąć w gorące, duszne noce, ktoś

polecił mu ten arabski sklepik. Sułtan Bajbars zakazał wiernym odurzania się konopiami, choć używali ich wciąż suficy mistycy w czasie swoich obrzędów. Największy zbył jednak handlarze mieli wśród niewiernych.

Za pierwszym razem Arab dał mu kilka bladobrazowych piguł pachnących słodko miodem,

muszkatelem i jeszcze czymś, czego nie rozpoznał. Wieczorem zjadł jedną i czekał, aż

zgodnie z zapowiedzią ogarnie go sen. Kiedy nie podziało, rozczarowany połknął

wszystkie. Po godzinie leżał twarzą w dół na podłodze, trzęsąc się z nieokiełznanego śmiechu tak gwałtownie, że omal się nie udusił. Był pewien, że kona i przez jakiś czas wydawało mu się to nader zabawne, a potem stracił przytomność i zasnął głęboko jak jeszcze nigdy. Cztery dni później wrócił do tamtego sklepu. Powiedział Arabowi, że słodkie pigułki są za mocne i potrzeba mu czegoś, co miałoby ten sam skutek, lecz działało łagodniej. Arab sprzedał mu kadzielnicę i mieszankę suszonych kwiatów i nauczył, co robić.

W zetknięciu z żarem kwiatowa mieszanka zajęła się natychmiast; nasiona pękały, trzeszcząc, z kadzielnicy wysnuła się smużka błękitnawego dymu. Garen wciągnął go w usta, a następnie do płuc. Początkowo strasznie kaszlał, ale wkrótce się nauczył, ile wdychać. Dozował sobie długie hausty, a tymczasem komnata wypełniła się dymem, widział wszystko jak przez mgłę.

Jeszcze trochę proszku i wkrótce dozna spokoju, jakiego nigdy nie zdołał znaleźć w trunku.

Ten spokój był niczym pieszczota. A potem jeszcze odrobina — i zaśnie.

Kiedy resztki ziół obróciła się w popiół, położył się na poduszkach

przymknął oczy. Dwa dni temu zabrakło mu konopi; okazało się, że bez nich w ogóle nie

może spać. Spotkanie z Willem rozstroiło go do reszty. Wyniosły spokój tamtego budził w nim mdłości — i ochotę, by zmiażdżyć mu twarz pięścią. Wiele sił go kosztował głupkowaty uśmiech, kiedy Will go wypytywał.

Pamiętał chłopca w londyńskim preceptorium, który chlipał po kątach, bo ojciec winił go za śmierć siostry. To wspomnienie przyniosło mu pewną mierną satysfakcję. Will był dobrym

szermierzem, ale nie nadawał się na templariusza. Prawie co dzień łamał regułę i co dziwne, niemal zawsze uchodziło mu to na sucho. Często to on, Garen, zbierał za niego baty. Tak było i wówczas, gdy odzyskał dla Ewerarda Księgę Graala i w nagrodę spędził cztery lata w lochu.

Willowi, który zdradził Anima Templi, planując skrytobójstwo, wszystko jakoś wybaczone.

Przelotna satysfakcja utonęła w goryczy. Teraz to nie on, lecz Will był poważanym członkiem bractwa

to Will jako komandor dowodził innymi. Nawet z błędów potrafił odnieść korzyść. A jeszcze, jakby na urągowisko, ledwie parę pokoleń dzieliło go od dzikich półnagich górali. Faktu tego nie mógł przysłonić biały zakonny płaszcz. Owszem, jego ojciec był rycerzem, lecz matka zwykłą chłopką, a dziad handlował winem! Za każdym razem kiedy o tym pomyślał, Garen

trząsał się z wściekłości. Jego chlubny rodowód sięgał czasów Karola Wielkiego, ojciec i brat zginęli, walcząc u boku króla Francji Ludwika, a wuj był jednym z Braci. On sam tymczasem stał się nikim. Mniej niż nikim

psem, którym wszyscy, od Edwarda po Willa i tego starego klechę, chcieli pomiatać.

Tymczasem wszystkim umknął pewien drobiazg: Garen był jedynym pośrednikiem między

Duszą Świątyni a jej Opiekunem; tylko on znał sekrety i słabości obu stron. To dawało mu potężny atut, musiał tylko przemyśleć, jak go wykorzystać. Najważniejsze, że Will zdawał się wierzyć w to, co usłyszał. Głupiec. Powieki Garena opadły, dłoń bezwładnie zsunęła się na kolana.

Obudziło go uporczywe dobijanie się do drzwi. Poderwał się gwałtownie i wstał z trudem, zeszywniały i obolały. Kiedy odsunął rygiel, zdumiał się, widząc w progu króla Hugona.

Wasza wysokość... — skłonił się, ukrywając zdziwienie.

Hugo wkroczył do komnaty, odsuwając go z drogi. Rozejrzał się i oczy zwęziły mu się ze złości.

Brudniej tu niż w chlewie — zauważył, przestępując rozrzucone buty Garena. — Powiedz,

czy król Edward pozwala tak traktować swój zamek? — Nie czekając na odpowiedź, ciągnął:

— Miałeś stawić się dziś przede mną, Garenie z Lyonu. Śmiesz mnie lekceważyć?

Wybacz, wasza wysokość. Zasnąłem.

Zapewne wskutek wina. — Hugo wymownie zerknął na wyzierające spod łóżka puste

dzbany. Pociągnął nosem. — Palisz kadzidło, żeby zagłuszyć smród? Czuć je w całym zamku.

O czym chciałeś ze mną mówić, najjaśniejszy panie? — spytał szybko Garen. — Jeśli dasz mi chwilę na ogarnięcie się, stawię się niebawem w jakimś miejscu godniejszym, by rozmawiać w nim o twoich sprawach.

Sam decyduję, gdzie będę rozmawiał o moich sprawach — warknął Hugo. — Załatwimy je tutaj. Nie będę dłużej czekał. Musisz wrócić do Anglii na czas, by Edward zdążył zainterweniować, zanim Andegawczyk wykupi roszczenia tej starej wiedźmy, mojej krewniaczki Marii.

Pozostałe sprawy w Akce niemal już zamknąłem. Ale nim wyjadę, muszę poznać twą decyzję. Podpisałeś dokument?

Nie! Edward żąda za wiele. Użyczę mu cypryjskich portów, ale nie zapłacę sumy, której żąda.

Tylko za to, że porozmawia z papieżem? — Hugo gwałtownie potrząsnął głową. — To oburzające! Skąd mam wiedzieć, czy papież w ogóle go wysłucha?

Jeśli nie jego, wasza miłość, to nikogo. Jestem jednak pewien, że zdoła pomóc.

Nie — rzekł twardo Hugo. — To za wiele.

Garen skłonił się lekko.

Zatem dziś jeszcze opuszczę pałac. Powtórzę królowi wiernie, co mi powiedziałaś, ale jako się rzekło, ma on własne kłopoty. Jeśli miałby poświęcić czas i starania twej osobie, panie, winien otrzymać stosowne zadośćuczynienie.

Zapłaciłbym — rzekł sztywno Hugo — gdybym wiedział, że to poskutkuje.

Garen wzruszył ramionami i rzekł współczująco:

Istotnie ryzykujesz, panie. Ale czy możesz inaczej? Ile wart jest dla ciebie tron? Co zgodzisz się poświęcić, by go uratować przed zakusami wrogów?

Hugo zmierzył go wściekłym wzrokiem. Milczał. Po chwili syknął przez zaciśnięte zęby:

Tą ziemią będą kiedyś władać moi dziedzice, nie Andegawczyka. Zgoda. Podpiszę dokument.

A zatem mogę wracać. — Uśmiech Garena utonął w mroku zadymionej komnaty.

Dzielnica żydowska w Akce Dwudziesty szósty dzień maja

Wiszący po wewnętrznej stronie drzwi sznur połączonych dzwoneczków rozdzwonił się

delikatnie, kiedy Will wszedł do środka. Było tu znacznie przyjemniej niż na rozpalonych do białości ulicach. Z traktu pizańskiego do żydowskiej dzielnicy był kawał drogi i Will czuł, jak pot ścieka mu po plecach pod warstwami odzieży.

Na dźwięk dzwoneczków z głębi zagraconego sklepienia wyszedł właściciel. Pełno tu było ksiąg; leżały na półkach, skrzyniach, wyłożonej kamiennymi płytkami podłodze, całe ich stosy

sterczały niczym koślawe wieże. Księgarz był mężczyzną w podeszłym wieku, niskim,

przygarbionym, o falistych szpakowatych czarnych włosach i długiej brodzie. Skórę miał

oliwkową, ogorzałą od słońca. Zmrużonymi oczyma zerknął bystro na Willa.

Witaj, dostojny bracie Wilhelmie. Oczekiwałem cię.

Jak zdrowie, Eliaszu?

Starzec zachichotał i machnął ręką.

Uprzejme pogaduszki są dla młodych, Wilhelmie, i dla tych, którym się nie śpieszy. Wiem, po co przyszedłeś. — Otworzył jedną ze skrzyń, wyjął z niej niewielką księgę oprawioną w spleśniałą czerwoną skórę i wyprostował się z bolesnym stęknieniem. — Oto ona.

Will wziął od niego księgę. Wyglądała na starą, szwy zaczynały puszczać, a większość stron zapełniało zblakłe łacińskie pismo.

Eliasz zajrzał mu przez ramię.

Napisał ją wiele lat temu pewien podróżny pochodzący z Rzymu. Nie jest to dzieło wybitne, raczej dość pobieżny traktacik opisujący zwyczaje ludu Syrii. Niemniej znalazłem w nim coś, co może się wam przydać. Pozwolisz? — wyciągnął rękę.

Will oddał mu książkę. Eliasz przewertował ją, mrużąc oczy, by odczytać tekst w ciemnym pomieszczeniu.

O, tutaj. Spójrz, proszę.

Na otwartej stronie widniały dwie kolumny tekstu, jedna po łacinie, a druga w języku, który przypominał nieco arabski, ale nim nie był. Will rozpoznał go natychmiast. To samo pismo widniało w liście do wielkiego mistrza.

O to chodziło! — rzekł z podnieceniem.

Eliasz kiwnął głową.

Ewerard miał po części rację. To język syryjski, lecz jego jakobicka odmiana, inna od używanej przez nestorianów. Są bardzo podobne i łatwo je pomylić.

Język syryjskich chrześcijan?

Tak, choć wywodzi się z aramejskiego, pradawnego języka moich przodków. Odrębne

dialekty wytworzyły się skutkiem rozłamu w chrześcijańskim Kościele. Wyznawcy podzielili się na dwie sekty, jednej przewodził Nestoriusz, a drugiej Jakub z Edessy.

Stąd ich nazwy?

Właśnie. Wyszukanie tego zajęło mi trochę czasu, ale jak widzisz, autor przełożył tu na łacinę dość prostą zresztą pieśń w jakobickim dialekcie.

Eliasz pochylił się nad księgą i odwrócił stronę. — Zapisał także litery jakobickiego pisma i odpowiadające im litery łacińskie. Nie ma znaków oznaczających cyfry, zapisuje się je za pomocą liter, podobnie jak w łacinie.

Dziękuję. — Will spojrzał nań z wdzięcznością.

Księgarz uśmiechnął się tylko.

A, prawda! — wykrzyknął nagle i pośpieszył do stołu, gdzie spod sterty ksiąg wyjął skrawek pergaminu, skopiowane dwie linijki, które przesłał mu Ewerard z prośbą o wyszukanie źródeł, gdy domyślił się, w jakim języku napisano list. Will włożył go między strony księgi, by zaznaczyć miejsce. Przyglądając mu się, Eliasz spytał z zaciekawieniem: — Co was tak

podnieca w tym tekście, ciebie i Ewerarda?

Will zawahał się.

Nie powinienem pytać, co? — zaśmiał się starzec. — To nie będę. Dzięki temu ty nie

zdradzisz mi żadnych sekretów, a ja będę spał spokojniej. — Uśmiechnął się. — Powiedz

temu staremu zrzędzie, żeby wpadł mnie odwiedzić. Mam mnóstwo nowych ksiąg, które go

zainteresują, a mogą się przydać dla waszej... — zawahał się i dodał ciszej: — naszej sprawy.

Powiedz mu, Wilhelmie, że mam jeszcze w piwniczce gąsiorek gaskońskiego wina i chętnie

bym go osuszył w dobrym towarzystwie.

Will uśmiechnął się lekko.

Powiem.

Templum w Akce Dwudziesty szósty dzień maja

Gotowe?

Ewerard nie podniósł wzroku, zmarszczył tylko czoło i podsunął szkła na nosie.

Wkrótce, jeśli wreszcie przestaniesz mi przeszkadzać. Mów lepiej, co ci powiedział Garen. —

Pochylił się, kopiując kolejny wers tekstu, zaglądając na przemian do wiersza i do alfabetu, a potem mozolnie przełożył go na łacinę.

Już ci mówiłem — fuknął niecierpliwie Will, tak podniecony, że nie mógł usiedzieć. Ewerard nie wiedział, skąd pochodzi list, a on nie był pewien, jak mu to wyjaśni, kiedy zawartość tekstu, jakakolwiek by była, zostanie objawiona.

To powtórz.

Will siłą zmusił się do spokoju. Przysiadł na brzegu łóżka i w skrócie powtórzył staremu swoją rozmowę z Garenem.

Ale ty mu nie wierzysz? — mruknął ksiądz.

Nie ufam Edwardowi. Nie jestem też pewien, czy Garen powtarza królewskie słowa w dobrej wierze, czy świadomie uczestniczy w jego grze.

Ewerard westchnął ciężko.

Zatem jesteśmy z powrotem w punkcie wyjścia. — Zerknął na Willa zza szkieł. — Chyba że

Garen mówi prawdę i nasze podejrzenia nie mają podstaw.

Will wzruszył ramionami.

Oczywiście istnieje taka możliwość. Ale jakoś nie jestem do niej przekonany.

Czemu podałeś mu tak krótki termin? — prychnął z irytacją Ewerard. — Muszę wszystko dokładnie przemyśleć, zanim podejmę decyzję.

Will wstydził się przyznać, że chciał jak najszybciej pozbyć się Garena.

Mówiąc szczerze — odparł — uznałem, że odpowiedź będzie taka jak zwykle. Nie stać nas w tej chwili, aby posłać Edwardowi sumę, której żąda. Koniec, kropka.

A jeśli Edward z zemsty pójdzie do papieża i wyjawia mu nasze sekrety? Co wtedy?

Musiałby wyzbyć się rozumu. Wraz z nami pogrążyłby i siebie.

Ewerard potrząsnął głową.

Powie, że zgodził się na udział wyłącznie po to, by poznać nasze sprawy i dopomóc do zniszczenia herezji.

Will ze świstem wypuścił powietrze.

Wówczas na pewno nie dostanie tych pieniędzy. — Wstał. — Nie możesz mu ich dać,

Ewerardzie. Jeśli ulegniesz, przez najbliższe dziesięciolecie będziemy płacić za jego wojny.

Po namyśle kapelan skinął głową.

Tak, wiem. Masz rację. Żałuję tylko, że wpędziłem nas w to położenie. Powiedz Garenowi, że bardzo żałujemy, lecz w tej chwili jest to niemożliwe, i że wrócimy do sprawy, gdy tylko sytuacja ulegnie zmianie.

Wyprostował się i uniósł jeszcze wilgotny arkusz. — Ten list nie ma sensu, Wilhelmie.

Co? — Will podbiegł i ostrożnie, żeby nie rozmazać inkaustu, wziął pergamin do ręki.

Przebiegł oczyma łaciński tekst. Ewerard mówił prawdę. Był to jedynie ciąg liter i pomieszanych słów, w których trudno by się doszukiwać czytelnego znaczenia. — Eliasz mówił, że w syryjskim piśmie nie ma cyfr. Może wstawiłeś litery tam, gdzie powinny być liczby?

Ewerard potrząsnął głową.

Jeśli nawet, pozostałe słowa powinny coś oznaczać. Nie widzę tu żadnego wzorca, ani

liczbowego, ani jakiegokolwiek. Przyznaję, że miejscami pismo było trudne do odczytania i niektórych słów nie da się dosłownie przełożyć na łacinę. Ale i tak powinniśmy byli zyskać przynajmniej ogólną treść. Jedyne co przychodzi mi na myśl, to że list został zaszyfrowany.

Jak?

Bez dodatkowych informacji, na przykład takiej, skąd pochodzi, trudno mi nawet zgadywać.

Chyba mogę ci pomóc. — Will spojrzał mu prosto w oczy.

Usiadł i zaczął mówić. Opowiedział Ewerardowi o dziwacznej decyzji

wielkiego mistrza, żeby posłać Angela do domu Soranza, i o tym, że Venecjanin zabił genueńskiego kupca. Powtórzył również ostatnie słowa konającego.

Czarny Kamień? — powtórzył ostro Ewerard.

Tak powiedział. „Czarny kamień będzie waszą zgubą, nie wybawieniem”.

Mów — ponaglił go kapelan. — Mów dalej.

Kiedy Will skończył opowieść o Kajsanie i szyickich najemnikach w Arabii, twarz Ewerarda zastygła w posępną maskę. Nic nie mówiąc, nachylił się z powrotem nad pergaminem i chwycił pióro. Zaczął od nowa wypełniać tekstem dolną część pergaminu.

Co robisz?

Spotkałem się już z tym raz czy dwa. Wiadomość w jakimś języku zapisana zostaje przy

użyciu liter innego języka. Komuś, kto na to spojrzy, wyda się, że list napisano po syryjsku, ale tak nie jest.

A jak? — spytał Will, obserwojąc śmigające pióro.

Jeśli Kajsan jest szyitą, oczywiście nasuwa się język arabski. — Ewerard skończył

przepisywać pierwszy wiersz, podstawiając litery arabskie w miejsce syryjskich, i pokiwał głową. — Tak — rzekł z podnieceniem.

Popatrz. Nasz szyita użył jakobickiego pisma do swojej mowy. Każdą arabską literę zastąpił odpowiadającą jej literą syryjską. Po syryjsku wychodzi bełkot, ale jeśli napisze się to po arabsku...

Jakie to proste — mruknął Will, patrząc, jak kolejne słowa pojawiają się na pergaminie, biegnąc od prawej do lewej.

Wcale nie — skontrował Ewerard, wyraźnie z siebie zadowolony.

W gruncie rzeczy jest to dość przebiegły podstęp. A żeby złamać szyfr, trzeba wiedzieć, kim jest nadawca i odbiorca listu albo przynajmniej jakimi językami się posługują. Przypadkowy człowiek nie mógłby wiedzieć, w jakim języku należy list odczytać. Skądinąd powierzenie tej tajnej informacji grupie analfabetów dodatkowo zmniejszyło ryzyko. Ostatecznie należysz do mniejszości, Wilhelmie; większość naszych braci w zakonie nie umie się nawet podpisać, a zresztą wielki mistrz z pewnością nie podejrzewał, że którykolwiek z was poważy się zajrzeć do listu. Twoja podejrzliwość to

prawdziwy skarb! Nie wierz ludziom, którzy uważają ją za wadę. — Pochylił się znów nad arkuszem. — Nie wszystkie litery dadzą się dokładnie do

siebie odnieść, ale powinniśmy otrzymać dostatecznie czytelny tekst.

Will podszedł do okna i spojrzał na dziedziniec, oświetlony słońcem

pełen codziennej krzątaniny. Starał się powściągnąć rozbudzoną od nowa niecierpliwość.

Tymczasem Ewerard pośpiesznie skrobał piórem po pergaminie. Chwilę później skrobanie ustało.

Dobry Boże...

Co się stało? — Will błyskawicznie odwrócił się od okna. — Ewerardzie?

Kiedy ksiądz nie odpowiedział, wyrwał mu pergamin i zaczął czytać, tłumacząc w myśli

arabski tekst. Istotnie, niektóre litery nie znalazły odpowiedników, ale łatwo było wypełnić puste miejsca.

Dawno już nie miałem od Ciebie wieści, bracie, i strach mnie już zdjął, czy Twoja droga nie zaprowadziła Cię w zaświaty. Synaj, który nas dzieli, zda się ciągnąć od krańca do krańca ziemi, bo choć jesteś tak blisko, bracie mój, to zarazem daleko, uwięziony przez babilońską nierządnicę. Widok Twych słów rozradował i ukoił złężnione serce. Ale dość o tym. Muszę bezzwłocznie odesłać stąd rycerzy, którzy przywieźli mi list od Ciebie. Moi ludzie się burzą; wielu jest przeciwnych temu zamysłowi. Są mi wierni i pójdą, gdzie ich poprowadzę, ale

żądać od nich bardzo wiele, bo i Ty, bracie, wiele ode mnie żadasz. Boję się, czy nie nazbyt wiele. Ale uczynię to, byś mógł zerwać więzy

powrócić do mnie.

W przyszłym roku, na tydzień przed pierwszym dniem muharramu, będziemy czekać w Uli

na rycerzy z Zachodu. Powiedz im, żeby przyszl do meczetu i tam o mnie pytali.

Zaprowadzimy ich zakazaną drogą do Świętego Miasta. Pomożemy im wejść do przybytku.

Ale żaden z moich ludzi nie tknie Kamienia. Ja też nie. Rycerze będą musieli zrobić to sami.

Ufam, bracie, że nagroda dorówna obietnicom, jakie Ci złożono, albowiem gdy się to stanie, nikt z naszych ziomeków, sprawiedliwy czy łotr, nie poda nam już ręki. I nie będzie dla nas schronienia w tej krainie. Modlę się tylko, aby Bóg nam wybaczył, wiedząc, że nie kieruje nami złość przeciw Jego świątyni, a z miłości to czynimy.

Nie rozumiem. — Will spojrzął na Ewerarda.

Zamierzają skraść Czarny Kamień.

Widząc, że rycerz nadal nie rozumie, ksiądz westchnął ze zniecierpliwieniem.

Kamień, mniej więcej taki duży. — Rozstawił dłonie na jakieś dwanaście cali. — Rzekomo zniesiony z nieba przez archanioła Gabriela. Słyszałeś o Kaabie?

Świątyni muzułmańskiej w Mekce?

Ewerard kiwnął głową.

Kaaba, co oznacza po prostu sześcian, wedle wierzeń muzułmańskich została zbudowana przez Abrahama przy pomocy jego syna Izmaela.

Wzniesli ją cegła po cegle i poświęcili Bogu. Inni twierdzą, że było to miejsce kultu pogańskich plemion arabskich przed nadejściem Mahometa, ponoć kiedy przybył, by

zjednoczyć plemiona w swojej wierze, zniszczył bożki, które różne plemiona pomieściły w Kaabie i oddał tę świątynię Allahowi. Jedyńm przedmiotem, którego nie tknął, był Czarny Kamień, pamiątka po Abrahamie. Ucałował go i umieścił na ścianie Kaaby, przytwierdzony

srebrną opaską na znak jedności i niepodzielności islamu. Następnie ogłosił, że świętym obowiązkiem każdego muzułmanina będzie pielgrzymka do Mekki, zwana „hadżdż”. Do dziś

co roku szyici i sunnici pospołu zdążają z wszystkich stron do Mekki, gdzie idąc śladami Proroka, okrążają Kaabę i całują święty kamień. Niektórzy powiadają, że był on dawniej biały jak śnieg, lecz poczerniał od ludzkich grzechów i w dniu Sądu Ostatecznego będzie świadczył

przed Allahem na korzyść wiernych, którzy oddali mu cześć. — Ewerard podniósł na Willa

przekrwione oczy. — To najważniejszy przedmiot kultu muzułmanów. Niewiernym nie

wolno się doń nawet zbliżyć. Wdarcie się do Mekki i kradzież kamienia z miejsca, gdzie spoczywa, to obraza, jakiej nie puszczą płazem.

Will słuchał w skupieniu, posępniejąc z każdym wypowiedzanym przez Ewerarda słowem.

Co chcesz powiedzieć?

To, że jeśli rycerze z Zachodu dopuszczą się takiego czynu, każdy muzułmanin na świecie stanie zbrojnie przeciwko nam. Będzie wojna na skalę, jakiej nie widziano od pierwszej

krucjaty. Pewnie nawet większa.

Ale dlaczego Kajsan miałby brać w tym udział? Jest muzułmaninem.

Podobnie jak jego brat, na co zdaje się wskazywać list. Ale historia zna takie przypadki.

Istnieje spisana opowieść o izmailickich szyitach, którzy poważyli się na to paręset lat temu.

Zdobyli Mekkę i unieśli ze sobą Kamień, który pozostawał w ich posiadaniu przez

dwadzieścia kilka lat. Oddając go, zastrzegli sobie w zamian część dochodów z pielgrzymek przybywających do Mekki. Bywało i później, że różni muzułmańscy władcy walczyli o

Mekkę, mając na uwadze własne cele. — Ewerard wstał, podszedł do stołu i nalał sobie pełen kubek wina. — Zresztą i nasi tego próbowali. Reginald z Chatillon zamierzał najechać

Arabię, zniszczyć grób Mahometa w Medynie, a następnie zająć Mekkę i zburzyć Kaabę.

Zebrał trzystu rycerzy i podobną liczbę muzułmańskich odstępców. Nie udało im się wdrzeć do żadnego ze świętych miast, ale wyrznęli wiele pielgrzymich karawan, wśród nich i tę, w której podróżowała krewna Saladyna. Srogo za to zapłacił, ale wszystko wskazuje na to, że nauka poszła w las.

Ewerard napił się wina. Na jego pobrużdżonej twarzy odbiły się wyczerpanie i strach. —

Muszę to przemyśleć — dodał cicho. — Zastanowić się, co teraz, co możemy zrobić. Trzeba zwołać braci.

Dlaczego wielki mistrz dąży do takiej wojny?

Nie wiem. Nęka mnie wiele pytań, na które nie znam odpowiedzi. Kim jest brat Kajsana?

Najbliższym krewnym czy członkiem jakiegoś bractwa? List z pewnością nie jest skierowany do wielkiego mistrza, kreśli bowiem wyraźną granicę między Kajsanem i jego bratem a

„rycerzami z Zachodu”. Dlaczego zatem to mistrz wysłał was z listem do Kajsana, na który ten jest odpowiedzią? Czy wiedział, co zawiera? Jaką rolę odgrywał w tym wszystkim

Soranzo? — Ewerard odebrał Willowi pergamin i przeczytał go jeszcze raz. — Synaj... —

mruknął. — Babilońska nierządnicą. Przynajmniej wiemy, gdzie przebywa brat Kajsana. —

W dawnych czasach, gdy Kair był rzymską twierdzą, nazywano go Babilonem.

Lecz dlaczego „nierządnicą”?

Kair jest w rękach sunnitów. Kajsan jest szyitą, a zatem jego brat pewnie też. Gardzą

sunnitami. Pisze o miesiącu muharram... — Ewerard z namysłem zmarszczył brwi. —

Musiałbym dokładnie zliczyć fazy księżyca, ale zdaje mi się, że przyszłoroczny muharram wypadnie w kwietniu.

A więc wielki mistrz współpracuje z kimś w Kairze?

Ewerard odetchnął ciężko.

Niczego nie możemy być na razie pewni, za mało wiemy. Wątpliwości nie ulega tylko jedno: jeśli do tego dojdzie, wszelka szansa na pokój między chrześcijaństwem a islamem zostanie zniweczona raz na zawsze, a chrześcijaństwo w Ziemi Świętej starte na proch. Akka spłonie, a wraz z nią nasze marzenia. Nie może do tego dojść, Wilhelmie. — Głos Ewerarda nabrał

mocy, stał się ciężki jak kamień. — Nie może.

18

Cytadela w Kairze Dwudziesty szósty dzień maja roku Pańskiego 1276

Czterech milczących gwardzistów prowadziło przez pałacowe korytarze zdenerwowanego

Mahmuda. Turban miał wilgotny i trochę przekrzywiony; nałożył go w pośpiechu na mokre

jeszcze włosy, wezwanie zastało go bowiem w łaźni. Żołnierze nie odpowiadali na pytania, nie zdradzili nawet, dokąd go prowadzą. Ale w głębi serca wiedział. Czuł, jak w brzuchu pełza mu zimny robak strachu.

Wyszli na dziedziniec pod północnym murem, w niemiłosierny skwar popołudnia. Na środku

stał Bajbars z dwiema szablami u wysadzanego srebrem pasa. Przy nim dwóch gwardzistów i piętnastu mameluckich dowódców, wśród nich Iszandijar, Jusuf i Kalaun, a także kilku

przyjaciół Mahmuda. Tylko nieliczni, wliczając w to Kalauna, patrzyli mu w oczy. Twarz

Bajbarsa przypominała maskę. Uczucia malowały się tylko w spojrzeniu i emanująca zeń

furia była przerażająca. Biała gwiazdka w lewej źrenicy zdawała się ją skupiać w oślepiająco jasny promień.

Mahmud uciekł wzrokiem za plecy sułtana, w stronę granitowego głazu, sterczącego niczym kamień nagrobny. Z bliska widać było na nim brunatne plamy, ślady krwi z licznych karków.

Strach przeszył mu wnętrzności i prześliznął się do gardła, omal go nie dusząc. Chciał

przemówić, pokryć lęk udawanym zaskoczeniem i oburzeniem, ale nie mógł wydobyć z

siebie głosu. Dopiero gdy prowadzący go żołnierze usunęli się na bok i pozostał sam przed Bajbarsiem i milczącymi dowódcami, wyjąkał:

Wezwałś mnie, panie...

Nie nazywaj mnie tak. — Głos sułtana chlasnął go jak bicz. — Nie jestem twoim panem.

Ależ...

Nie mogę wszak być człowiekiem, któremu przed Bogiem przysięgłeś wierność. Kim więc dla ciebie jestem? Głupcem? Dzieckiem? Kimś, kogo można bez trudu oszukać, okpić, i nawet się nie pozna?

Nie, panie! Ja...

Dlaczego mnie zdradziłeś, Mahmudzie? Słyszałem to z własnych ust mego syna, teraz chcę usłyszeć z twoich. Dlaczego w moim imieniu wydałeś rozkaz ataku na Kabul? Dlaczego zamąciłeś w głowie memu synowi?

Nie... nie rozumiem — rzekł z wahaniem Mahmud.

Bajbars skinął na dwóch gwardzistów.

Bierzcie go — warknął.

Żołnierze złapali emira za ramiona i powlekli w stronę kamienia. Kiedy pchnięto go na kolana, a głowę przyciśnięto do chłodnego granitu, zawołał:

Nie tylko ja pragnę, abyś zwrócił wzrok na chrześcijan! Wielu jest takich, co płaszcą się przed tobą i prawią ci pochlebstwa, ale za plecami wytykają błędy!

Zebrani dostojnicy pospuszczali głowy, gdy spoczął na nich gniewny wzrok Bajbarsa.

Ja nigdy nie tałem przed tobą swoich myśli! Zawsze byłem z tobą szczery! — Mahmud przekreślił przyciśniętą do kamienia głowę i błagalnie spojrział na sułtana. — Czyż nie zasługuję na litość?

Widzę węża — szepnął Bajbars — węża, który wśliznął się do mojego domu i porwał w swoje sploty ludzi mi bliskich, a mniej od niego chytrych!

To nie tak było!

Widzę gada — ciągnął Bajbars, jakby go nie słyszał — którego jad zatrzał moją rodzinę, którego rozdwojony język sący kłamstwa. Widzę zdrajcę. Jesteś węzem, Mahmudzie, i jak wąż będziesz odtąd pełzał na brzuchu!

Na dany znak gwardzista w złocistym płaszczu mocno ujął emira za barki, a drugi złapał go za rękę i rozciągnął ją na kamieniu.

Panie, błagam! — krzyknął Mahmud, dostrzegając kątem oka trzeciego, uzbrojonego w topór.

Czekajcie — warknął Bajbars.

Iskra nadziei w oku skazańca zgasła, gdy spoczęło na nim bezlitosne lodowate spojrzenie, a sułtan sam ujął topór.

Ja to zrobię.

Zamachnął się wściekle; topór zatoczył łuk w powietrzu, ostrze przecięło ciało i kości

nadgarstka i brzęknęło na kamieniu niczym pęknięty dzwon. Trysnęła krew, plamiąc złociste płaszcze, Mahmud ze zduszonym krzykiem wygiął ciało w łuk. Odcięta dłoń leżała na

kamieniu, blada

odrażająca jak rozdęty pająk.

Ale kaźń dopiero się zaczęła. Po odrąbaniu drugiej ręki Mahmud był już półprzytomny.

Teraz stopy — rozkazał posepnie sułtan, zaciskając na toporze zbryzgane krwią dłonie o

zbielałych kostkach.

Gwardziści opuścili na ziemię okaleczone ciało i niezgrabnie ułożyli na kamieniu jedną nogę, przytrzymując stopę. Bajbars oddychał ciężko, na czoło wystąpiły mu krople potu. Zerknął na swą świtę. Większość mężczyzn odwróciła oczy; patrzyli na ziemię, w niebo, gdziekolwiek, byle tylko nie widzieć krwawego ochłapu, który kiedyś był ich towarzyszem.

Nie ważcie się odwracać wzroku — rozkazał. — Za długo już fałszywi poddani szemrali

przeciw mnie, moim rządóm i moim decyzjom. Zobaczycie teraz na własne oczy cenę zdrady.

— Odczekał, aż wszyscy posłusznie zwrócili na niego wzrok, i podniósł topór. — Albo

natychmiast porzucicie myśl o buncie, albo w imię AJlaha, wszystkich was spotka taki los!

Topór opadł ponownie.

Baraka siedział skulony pod drzwiami swej komnaty, gdy posłyszał krzyki, stłumione, lecz na tyle przeszywające, że wyrwały go z otępienia. Podniósł się ociężale i podszedł do okna. Miał

wrażenie, że dochodzą spod północnego muru. Zastanowił się nad ich przyczyną i zadrżał na myśl

o

morderczej furii ojca. Twarz wciąż mu pulsowała, nad okiem krew zaschła w lepki

jeszcze strup. Ze zwierciadła patrzyła nań obca, zniekształcona twarz. Pod pięścią sułtana przestał być sobą. Nie jesteś już jego synem... — pomyślał.

Wyciągnął niemrawo ręce do stojącej obok miski z wodą, ale zrezygnował. Nie będzie mył

ani opatrywał zranień. Opuścił dłonie. Czuł w tym geście coś satysfakcjonującego,

oskarżycielskiego, wręcz wyzywającego. Ból wyrwał go w końcu z apatii, popchnął do

działania. Przez chwilę nasłuchiwał przy drzwiach, potem je otworzył. Aiszy nigdzie nie było widać. Jej słowa zapiekły go w pamięci. Delikatnie dotknął rozoranej wargi. Ona także piekła i nagle przelewający mu się w trzewiach płynny strach stężał w grudę nienawiści jak wosk, gdy zetknie się z powietrzem. Jak śmiała go szpiegować! Grozić mu! Jest jego żoną, winną mu posłuszeństwo! Tymczasem doniosła na niego Kalaunowi, inaczej skąd by wiedział, że

spotkał się z Mahmudem i Kadirem? To nie miało już znaczenia; przyznał się do

wydania rozkazu, tak jak przewidywał plan, i zniósł swoje. Teraz niech tamci się o siebie martwią. Ale zdrada Aiszy kłuła go jak cierń, a na myśl że widziała go z niewolnicą,

podpatrywała w najintymniejszych chwilach wstyd palił niczym otwarta rana.

Od miesięcy matka błagała go, żeby odwiedził Aiszę, by przymknął oko na jej

niedoskonałości. Musi spłodzić następcę, powtarzała. Ale nie mógł się do tego zmusić. Bał się Aiszy nawet wówczas, gdy byli dziećmi; małżeństwo spotęgowało lęk. Czuł się przy niej jak głupiec, nieudacznik. Lecz choć odstręczała go jej osoba, to ciało, wonne i gładkie, które widział raz jeden w noc poślubną, nawiedzało go w snach i na jawie. Znał od dzieciństwa kilku eunuchów w haremie; nietrudno było przekupić jednego z nich. Naprzeciw niewolnicy to on był panem, on miał władzę, a jej lęk przywracał mu męską moc. Ale teraz, gdy Aisza go odkryła, ta władza wymknęła mu się z rąk. Jeśli ojciec się dowie, że skałał jego harem... w porównaniu z tym, co wówczas robi, dzisiejsze razy będą się wydawać rozkoszną pieszczotą.

Zamknął za sobą drzwi i ruszył marmurowymi schodami w dół, na niższe piętra, gdzie

powietrze było nagrzane od kuchni, a pomieszczenia, głównie kwatery służby i składy —

ciaśniejsze i ciemniejsze. Nikt go nie zatrzymywał, nie pytał, dokąd idzie. Jakżeby inaczej?

Był następcą tronu, przewyższał ich wszystkich. W przeszłości zbyt często o tym zapominał, zahukany szorstkimi słowami ojca i narzuconą przez niego twardą dyscypliną. Pozwolił się przygiąć, zdusić — ale dość już tego.

Znalazł Kadira w pełnej pajęczyn komórce nieopodal kuchni. Zaklinacz wymościł tu sobie

norę za stertą worów z ziarnem. Na umeblowanie składała się kupa brudnych derek, obite

miski, kubek uwalany nieczystościami i poustawiany na spróchniałej belce zbiór dziwnych przedmiotów. Zeschłe sitowie splecione na kształt gniazda sąsiadowało z kolekcją nie-wielkich czaszek. Leżały tam również gładkie okrągłe kamienie z dziurkami w środku,

garnuszki pełne barwnych proszków, czerwonych, brunatnych, czarnych i żółtawych, które

wyglądały jak zmielone przyprawy; kilka arabskich i frankijskich monet, parę wystrzępionych pergaminów i wiotka skóra jakiegoś cętkowanego węża. Dymiąca lampka oliwna oświetlała

tę kryjówkę, choć raczej dawała, niż rozpraszała cienie. Cuchnęło myszami i potem.

Kadir siedział na kocach ze skrzyżowanymi nogami. Wyszarzała koszula zadarta powyżej

kolan odsłaniała wychudzone golenie pokryte ciekącymi wrzodami od ukąszeń lub jakiejś

choroby skóry. Kiwał się w przód i w tył, przypominając raczej wystraszone dziecko, nie sędziwego asasyna.

Baraka przecisnął się między workami.

Kadirze — odezwał się, kiedy zaklinacz nawet nie drgnął. Bajbars podarował mu ongiś

piękny dwór, ale Kadir prawie nigdy w nim nie bywał. Najczęściej można go było znaleźć w ciemnym zakamarku za salą tronową.

Kadirze!

Spojrzenie zaklinacza spoczęło na Barace, ale ruch nie ustał. Księżę przykucnął przed nim.

Widząc starego w takim stanie, poczuł się dorosły.

Co się dzieje? — spytał.

Słyszysz te krzyki? — wybełkotał Kadir.

Krzyki? — Baraka zmarszczył brwi, potem sobie przypomniał i skinął głową. — Słyszałem

wcześniej.

Twój ojciec bierze pomstę własnymi rękami. Mahmuda już nie ma. Posiekał go jak melon i kazał wrzucić do lochu. Pewnie już się wykrwawił na śmierć.

Baraka zbladł, kiedy jego umysł przekuł te słowa w obrazy. Nie żałował Mahmuda, ale zrobiło mu się słabo na myśl, że taki los mógłby spotkać i jego, gdyby Kalaun nie zainterweniował.

To twoja wina — postłyszał.

Co? — Baraka zerwał się na równe nogi. — Jak to: moja?

„To Kadir, ojcze! On i Mahmud! Ja nie chciałem! Zmusili mnie do tego!”

Baraka wzdrygnął się, słysząc szyderczą imitację własnego głosu.

I bez tego wiedział — rzekł szybko, unikając oskarżycielskiego wzroku starca. — Aisza powiedziała ojcu.

Oczy Kadira się zwęziły. Wstał pośpiesznie.

A skąd ona wiedziała? — spytał, dźgając księcia pod brodą haczykowatym palcem. — Ty jej powiedziałaś, tak?

Baraka odepchnął jego dłoń.

Nie — rzekł zimno, zaskakując starca wyzywającym tonem. — Widziała nas razem tego dnia, kiedy spotkaliśmy się w zwalonej wieży. Ukaralem ją, ale i tak doniosła. Stąd Kalaun

wiedział o twoim udziale. Gdyby nie to, milczałbym, zniósłbym razy przez wzgląd na was.

Ale zaprzeczanie na nic by się zdało.

Kalaun! — wysyczał wściekle stary. — O, jak chytrze ten pajak snuje swoją sieć! Nie

doceniłem względów, jakimi się cieszy u sułtana. A byliśmy tak blisko celu! — Opadł znów na derkę i podciągnął kolana pod brodę.

Wszystkie znaki wróżyły powodzenie. Powinno się było udać. Wybacz mi, panie, wybacz swemu słudze! — szepnął, zakrywając twarz brudnymi rękoma.

Tłumiąc obrzydzenie, Baraka chwycił go za rękę i oderwał ją od twarzy starca tak gwałtownie, że ten skrzeknął z bólu.

Zapominasz — syknął — żemój ojciec nie jest wieczny. Jestem jego następcą i pewnego dnia zajmę jego miejsce. Mam równą mu władzę albo zdobędę ją już wkrótce. Wówczas twoje miejsce będzie przy mnie, jak sam mówiłeś.

Rozszerzone źrenice Kadira wpiły się w posiniaczoną twarz młodzieńca.

Niebawem — ciągnął Baraka — ojciec ochłonie z gniewu. Musimy tylko na razie zejść mu z oczu. Potem wszystko będzie jak przedtem.

Kadir wyciągnął rękę i dotknął jego policzka.

Jesteś ranny, panie.

Dlatego przyszedłem. Zrób mi okład.

Będę potrzebował płótna i gorącej wody. — Kadir odwrócił się, zaczął przestawiać swoje czarki i garnuszki.

Zaraz każę sługom przynieść. — Baraka urwał, nagle zaschło mu w gardle. Zwilżył wargi językiem, poczuł krew i spróbował jeszcze raz:

Przyszedłem jednak także po coś innego. — Patrzył, jak Kadir ustawia garnki na podłodze.

Mój panie? — spytał z roztargnieniem.

Po truciznę dla Aiszy.

Co? — Zaklinacz odwrócił się gwałtownie.

To przez nią Kalaun dowiedział się o tobie i Mahmudzie. Nie chcesz się zemścić? — Baraka mówił cicho, lecz pewnie. Najtrudniej było wypowiedzieć tamto, teraz tamy puściły.

Jest twoją żoną.

Tylko z nazwy. Nawet jej nie lubię.

Cóż takiego ci uczyniła, że pragniesz jej śmierci? Wszak nie z powodu losu, jaki zgotowała Mahmudowi; ciebie to nie dotknęło. Zresztą nie ona zasługuje na karę, a jej przebiegły ojciec.

— Kadir zacisnął pięści.

To on powinien umrzeć!

Nie sądzisz, że w pewnym sensie tak się właśnie stanie, gdy wraz z córką umrze jego serce?

— Baraka potrząsnął głową. — Nie musisz znać powodów, a ja nie muszę ci o nich mówić.

Potrzeba mi tylko twojej pomocy, jakiej wiemy sługa winien z radością udzielić swemu panu.

Kadir przysiadł na piętach, po jego pomarszczonej twarzy przemknął dziwny wyraz, jakby

półuśmiech. Po chwili wahania sięgnął pod koce i wydobyl szmacianą lalkę, którą kiedyś

pokazywał Barace; tę, którą Bajbars dał mu w Antiochii. Cuchnęła zgniłym mięsem i

przyprawami. Przytulił ją, głaszcząc lepka od brudu główkę.

Słyszałeś, co mówię? — spytał niecierpliwie Baraka. — Co odpowiesz?

Pst! — Kadir przytknął palec do ust księcia. Baraka szarpnął się w tył, lecz i Kadir się odsunął. Delikatnie podniósł spłowiałą sukienkę lalki, odsłaniając szary, pękaty brzuch, zeszyty grubymi nićmi. Ułożywszy czule lalkę na kolanach, jął rozsnuwać szwy. Potem

rozgrzebał placami siano, którym była wypchana. W otworze ukazała się mała czarna fiolka.

Co to? — Baraka zmarszczył brwi.

Kadir wyjął fiolkę, nie spuszczać z niego wzroku.

Jak szybko kocię staje się lwem — szepnął.

A cóż to ma znaczyć! — fuknął urażony książę.

Zaklinacz potrząsnął fiolką; zachlupotał w niej jakiś płyn.

To znaczy, że masz rację — rzekł.

Późnym popołudniem, tuż przed salatem, eunuch z haremowej kuchni przyniósł Aiszy posiłek i czarke ciepłej czarnej herbaty. Obróciła się twarzą do ściany, kiedy stawiał tacę obok łoża.

Pewnie Fatima go przysłała. Kiedy nieco wcześniej wymówiła się od towarzystwa złym

samopoczuciem, Fatima, druga żona Bajbarsa, chciała wezwać medyków, lecz Aisza zdołała

ją przekonać, że nie trzeba. Chciała tylko zostać sama i spać.

Od rozmowy z Baraką targały nią sprzeczne myśli, co robić. Miała ochotę od razu biec do Nizam i opowiedzieć jej o niewolnicy. Ale Nizam, to pewne, będzie chronić syna. Najlepiej byłoby zwierzyć się ojcu, lecz trochę się krępowała. Teraz chciała już tylko o wszystkim zapomnieć. Jeden z tego pożytek: skoro jej mąż korzysta z haremowych niewolnic, nie będzie jej odwiedzał w łożu. Czuła do niego tak silną odrazę, że nawet gniew Nizam w porównaniu z nią zdawał się niczym. Nie. Nie

podejmie żadnych kroków.

Kiedy drzwi zamknęły się za eunuchem, obróciła się i usiadła. Małpka wypełzła spod kapy, gdzie spała zwinięta w kłębek. Jadło pachniało zachęcająco. Aisza zsunęła się z łoża na podłogę, przyciągnęła sobie tacę i włożyła do ust garść żółtego, mocno przyprawionego ryżu zmieszanego z rodzynkami i morelami. W brzuchu burczało jej z głodu. Uśmiechnęła się, gdy małpka wspięła się jej na ramię, omiatając ogonem jej policzek. Aisza podała jej kilka ziarn ryżu i zwierzątko zaczęło żuć z namaszczeniem. Aisza też zjadła jeszcze trochę i sięgnęła po napój; ryż był słony i zachciało jej się pić. Pociągnęła łyk, potem drugi. Herbata była mocna, z dodatkiem korzeni, smak miała nieco zbyt ostry, lecz gasiła pragnienie. Wypiła resztę duszkiem.

Odstawiła pucharek i oparła się o brzeg łoża, leniwie głaszcząc małpkę po grzbiecie.

Zachciało jej się spać. Powieki stały się ciężkie, dłonie także. Ciężko jej było poruszyć choćby palcem; zdawały się sztywne i odporne. Opuściła rękę. Kończyny miała jak z ołowiu, w gardle ją ścisnęło. Komnata nagle jakby się naciągnęła, a może coś było nie w porządku z jej oczyma. Spróbowała się podnieść, ale ręce i nogi nie chciały jej słuchać. Zdołała uklęknąć, przewracając pucharek, który potoczył się po posadzce. Poczowała nagły strach. Małpka

porwała garść ryżu i przysiadła na łóżku, przyglądając się Aiszy żółtawymi oczkami. Gardło dziewczyny coraz mocniej ścisnęła dusząca obręcz, tłumiąc krzyk. Upadła do przodu, na

zesztywniałe ręce. Walczyła o każdy łyk powietrza, czując, jak ogarniają zimna niemoc.

Drzwi zdawały się oddalone o wiele mil.

19

Twierdza asasynów w północnej Syrii Dwudziesty szósty dzień maja roku Pańskiego 1276

Nazir skulił się, przywarł plecami do skały. Odczepił od pasa bukłak i zgniótł komara, który usiadł mu na szyi. W porównaniu z rozżarzoną suchą równiną w górach było cudownie

chłodno, ale zbocza roiły się od owadów. Za głazem biegła ścieżka prowadząca trawersem

nieco w dół zbocza i zaraz potem zakosami w górę, do fortecy o starych, wyszczerbionych murach.

Napił się wody z bukłaka. Pomiedzy rzadko rosnącymi drzewami widział rozciągającą się u stóp góry pustynię — niekończące się pofalowane morze żółtej pustki, jałowe, a jednak

piękne w swej martwocie, przygniecione brzemieniem ogromnego nieba, po którym ścigały

się niestrudzone chmury. W tym miejscu czas nie istniał. Wyglądało tak samo, gdy był

chłopcem i mieszkał w jednej z osad rozsianych na pogórzach. Im bardziej zbliżał się do Dżebel Bahra, tym wyraźniej stawały mu przed oczyma dawne wspomnienia. W końcu przyglęły do

niego ciasno niczym kokon, widział je w każdym zarośniętym zboczach, wyczuwał w każdym podmuchu wiatru, pachnącego upałem i dzikim kwieciem. Później przejeżdżał tędy wiele razy, ale zawsze w drodze na wojnę, zawsze w szyku, gdzie marszowy krok żołnierzy zagłuszał jego myśli. Teraz, w ciszy, wystarczyło, by przymknął powieki, a już słyszał szczęk mieczy i czuł swąd dymu; w ciemności umysłu jawili mu się mężczyźni o szalonych oczach i twarzach czerwonych w świetle pochodni. I płonąca wioska, i krzyki kobiet...

Coś zaszeleściło i Nazir natychmiast otworzył oczy. Sięgnął po miecz, lecz odprężył się, widząc znajomą twarz. Był to jeden z czterech żołnierzy, których przydzielił mu Kalaun.

Czaił się w zaroślach zasłaniających szlak.

Ktoś nadjeżdża, panie — szepnął, podkradając się bliżej Nazira.

Trzy konie.

Nazir ściągnął brwi.

Pokaż.

Żołnierz zaprowadził go pod niezalesioną zerwę zbocza, skąd był lepszy widok na zniszczoną fortecę. Po chwili Nazir dostrzegł w górze na grani trzech jadących gęsiego konnych.

To on? — spytał żołnierz.

Stąd nie widzę. Czy reszta jest na swoich miejscach?

Tak. Co mamy robić? Ich jest trzech.

Jeśli się przekonam, że to ten, kogo szukamy, dam wam znak i działamy według planu.

A tamtych dwóch?

Będziemy ich musieli zabić — rzekł posępnie Nazir. — Nie upilnujemy wszystkich trzech.

Na twarzy żołnierza odmalował się niepokój. Przez wieki fanatyczni szyiccy izmailicy siali postrach w sercach ludzkich, zarówno wśród sunni- tów, jak chrześcijan i Mongołów.

Zadawali śmierć, pojawiając się znikąd, a o ich przebiegłości i odwadze krążyły legendy.

Wielu władców walczących z nimi lub z ich wiarą poczuło asasyński sztylet między żebrami.

Jeszcze pięć lat temu władali całym regionem z sieci warowni wzniesionych w czasach

Saladyna przez najsłynniejszego przywódcę sekty, Sinana, zwanego Starcem z Gór. I dziś, choć

większość członków potężnego ongiś bractwa została zdegradowana do roli płatnych zabójców całkowicie podległych sułtanowi, samo ich imię wciąż budziło grozę.

Będziemy mieli przewagę zaskoczenia — odezwał się Nazir, widząc minę żołnierza.

Ludzie mówią, że nie da się ich zwyczajnie zabić — wymamrotał tamten.

Da się, skoro są z ciała i krwi jako i my. Ostrzeż pozostałych i czekajcie na mój znak. —

Nazir wycofał się na poprzednie miejsce za głazem, skąd mógł obserwować szlak. Jeźdźcy zniknęli mu z oczu, lecz posłyszał wysoki ostrzegawczy krzyk orła i grzechot kamieni

osuwających się po ścieżce. Byli więc blisko. Zacisnął dłoń na rękojeści miecza. Miał ochotę go dobyć, ale zdołał się pohamować. Powinien wyglądać jak ktoś, kto przychodzi w pokoju.

Warownia na Dżebel Bahra była ostatnią znajdującą się wciąż w rękach asasynów, choć i ona, jak wszystkie, została przed pięciu laty poddana władzy sułtana. Mameluckie garnizony ujęły bractwo twardą ręką. Ale zeszłej zimy asasyni z Dżebel Bahra podnieśli bunt i wyrznęli

swoich nowych panów, odzyskując władzę w twierdzy. W Kadamus, innej asasyń- skiej

warowni, Nazir dowiedział się, że wojska sułtana kilkakrotnie już oblegały Dżebel Bahra i czekają teraz na posiłki z Aleppo, nim spróbują jeszcze raz. To tam usłyszał o Idrisie al-Raszydzie. Prowadził tam przesłuchania, szukając tropów ludzi powiązanych z zamachem,

ale wierni milczeli. choć czekała ich natychmiastowa egzekucja; nielojalność wobec nowej władzy karana była surowo. Wyłamał się tylko jeden; zdradził Nazirowi imię i to, że znajdzie Idrisa w zbuntowanej twierdzy.

Odgłos kopyt rozległ się bliżej. Nazir przypadł do ziemi, zerknął na zarośla po drugiej stronie ścieżki. Kołysząca się gałązka dała mu znać, że jego ludzie są już na swoich miejscach. Kilka chwil później zza obłego grzbietu wyjechało trzech konnych. Rozglądali się czujnie; dwaj mieli w rękach łuki. Ten, który jechał na przedzie, był smagły jak jego towarzysze, ale starszy i mocniej zbudowany. Nazir odczekał, aż go miną, i dopiero wówczas wyszedł na ścieżkę.

Idrisie! — zawołał.

Trójka wr jednej chwili zawróciła konie. Znajdujący się najbliżej puścił wodze, wyrwał strzałę z kołczana, który miał na plecach, i błyskawicznie napiął cięciwę.

Nazir lekko uniósł obie ręce.

Chcę mówić z Idrisem. Nie mam złych zamiarów.

Najstarszy jeździec lekko zeskoczył z siodła i podszedł bliżej.

Ja jestem Idris — rzekł spokojnie.

Posłałem ci wiadomość. Wiem o planowanej napaści mameluków z Kadamus na waszą twierdzę.

To ty jesteś tym zbiegiem?

Nazir zerknął na młodych wojowników.

Prosiłem cię, żebyś przyszedł sam.

Powiedziałeś też, że spotkasz się ze mną w wiosce — odparł Idris beznamiętnie. — Obaj więc złamaliśmy słowo.

W wiosce trudno się ukryć. Nie chcę, żeby ktoś nas razem zobaczył. Jeśli znajdą mnie mamelucy, umrę na krzyżu. Powiem ci, co wiem, ty dasz mi pieniądze i więcej mnie nie zobaczysz.

Kto podał ci moje imię?

Przyjaciel.

Nie mam przyjaciół.

Nazir nie odpowiedział. Podniósł rękę. Z zarośli świsnęły dwie strzały, strącając z siodeł łuczników; jednemu wbiła się w pierś, drugiemu w plecy

ten zwałił się ciężko na końską szyję, nim upadł na ziemię. Koń Idrisa stanął dęba i puścił się w dół ścieżką, za nim pozostałe dwa, wlokąc za sobą

ciało zaczepione nogą w strzemieniu. Idris wyszarpnął z pochwy złożony sztylet, ale Nazir miał już w ręku miecz, a ukryci dotąd w krzakach żołnierze biegli mu na pomoc. Idris okręcił

się i dźgnął jednego w udo, nim zarzucili mu wór na głowę i wszyscy trzej przygnietli do ziemi. Szarpał się, omal ich nie zrzucił; w końcu Nazir walnął go głowicą miecza w podstawę czaszki i asasyn zwiotczał im w uścisku.

Jak noga? — spytał Nazir przez ramię rannego żołnierza. Młodzieniec oddychał ciężko, po nogawce ciekła mu struzka krwi, ale pokręcił głową.

To nic poważnego, panie.

Nazir kiwnął na pozostałych, którzy wyszli z lasu z łukami w dłoniach.

Złapcie konie i znieście ciała do jaskini. Musimy je ukryć. Szybko. A wy pomóżcie mi go przenieść.
— Złapał Idrisa pod ramiona.

Pośpiesznie zeszli w zarośnięte, głębokie koryto potoku. Droga była stroma, musieli uważać na osypujące się kamienie i ziejące pod nogami szczeliny. W końcu dotarli do pieczary, w której cztery dni temu założyli biwak. Czekali w niej dwaj słudzy z końmi.

Dajcie linę — sapnął Nazir, wciągając nieprzytomnego jeńca do jaskini.

Wtótce Idris siedział oparty o solidny filar skalny, przywiązany do niego przez pierś i szyję.

Ręce miał spętane za plecami, nogi w kostkach. Nazir zdjął mu z głowy poplamioną krwią

płachtę i zbadał ranę; była powierzchowna. Spryskał pojmanemu twarz wodą z bukłaka. Idris jęknął i po chwili spojrzał na niego przytomnie.

Wysłał mnie sułtan Bajbars — rzekł Nazir, pochyliwszy się nad nim

abym znalazł tych, których przed czterema laty wynajęto, aby go zabili.

Tracisz czas. Oni już nie żyją.

Tamtego dnia zabito tylko dwóch. Wiem, że w spisku brali udział także inni. Słyszałem jeszcze, że to ty wysłałeś zabójców. Chcę wiedzieć, kto cię wynajął. Sułtan podejrzewa

Franków. Życzy sobie poznać ich imiona.

Ja ci tego nie powiem. Powtarzam, tracisz tylko czas. — Idris spojrzał Nazirowi w oczy. —

Możesz mnie zabić. Nie złamię przysięgi złożonej bractwu ani nie zdradzę tych, z którymi zawarłem umowę.

Są gorsze rzeczy niż śmierć, Idrisie. — Nazir wstał. — W dzieciństwie mieszkałem tu

nieopodal, ale na moją wioskę napadnięto i musiałem uciekać. Osiem lat później znalazłem się w Bagdadzie, kiedy Mongołowie obiegli miasto. Ocalałem z rzezi, lecz sprzedano mnie w niewolę. Kupił mnie mamelucki oficer. Zabrał do Egiptu i tam najpierw zrobiono ze mnie

dobrego muzułmanina...

Sunnite! — Idris splunął z pogardą.

Potem zaś nauczono zabijać — ciągnął Nazir. — A na końcu, kiedy już sam dowodziłem

innymi, pokazano mi, jak zadawać ból. Wiem, przez które rany uchodzi dusza, a przez które tylko

wola. Potrafię utrzymać człowieka przy życiu przez wiele tygodni, zadając mu

nieustanne męki. Wiem, że jesteś silny, Idrisie, i wytrwały w wierze. Ale dowiem się od ciebie tego, czego chcę.

Kościół Świętego Marka w dzielnicy weneckiej w Akce Dwudziesty szósty dzień maja

Ksiądz zamknął brewiarz i zaintonował psalm kończący mszę nie- szporną. Głosy wiernych przyłączyły się do chóru. Besina zakołysała w ramionach niemowlę, które wyrwane ze snu zaczęło płakać. Obok Andreas objął ramieniem ziewającą Katarinę. Kiedy stojący z tyłu ludzie zaczęli wychodzić, kupiec nachylił się do Elwiny.

Wrzuć to do puszki. — Wręczył jej niewielki trzosik. — Ja tymczasem wyprowadzę niewiasty.

Elwina wzięła mieszek i odczekawszy, aż część wiernych przesunie się w stronę wyjścia, podeszła do prezbiterium, gdzie ksiądz rozmawiał z paroma mężczyznami. Obok stał ministrant dzierżący drewnianą szkatułę z dziurą wyciętą w wieczku i cicho dziękował ludziom wrzucającym po kilka miedziaków na pomoc biednym. Elwina wytrząsnęła na dłoń trzy sztuki złota, zaskoczona szczodrością Andreasa.

Ministrant także wytrzeszczył oczy, kiedy wrzuciła je do puszki.

Dzięki!

To od mojego pana, Andreasa di Paolo.

Będziemy o nim pamiętać w modlitwach.

Przeszła do bocznej nawy, gdzie tłum nie był tak gęsty. Przy drzwiach przystanęła, czekając, aż poprzedzająca ją liczna rodzina wyjdzie na ulicę skąpaną w bursztynowym

przedwieczornym świetle. Ktoś chwycił ją za ramię; okręciła się przestraszona i ujrzała Willa.

Owinięty był czarnym płaszczem, a jego twarz niknęła w cieniu pod kapturem.

Co ty tu robisz? — szepnęła.

Musiałem się z tobą zobaczyć. — Rozejrzał się nerwowo.

Co się stało? Ewerard?

Istotnie, gdy przed dwoma tygodniami rozstali się w pośpiechu, pobiegł do umierającego.

Potrząsnął głową.

Ewerard żyje. Oszukał mnie wtedy. To teraz nieważne, wytłumaczę ci innym razem.

Posłuchaj... muszę na pewien czas wyjechać z Akki.

Dokąd?

Mniejsza z tym. Chciałem tylko, żebyś wiedziała.

Elwina patrzyła na niego przez dłuższą chwilę, potem wyswobodziła rękę.

Nie, Will, to nie wystarczy. Czego się spodziewałeś? Że pożegnam cię z uśmiechem, nie wiedząc, dokąd jedziesz, po co ani na jak długo?

Nie wiem.

Nie wiesz, dokąd jedziesz? — spytała kąśliwie.

Nie wiem, na jak długo. Może kilka tygodni, może dłużej.

Nie — powtórzyła z naciskiem. Ministrant spojrział na nią z przyganą. — Dłużej na to nie pozwolę! — Obróciła się gwałtownie i ruszyła do wyjścia.

Nie zdążył jej zatrzymać. Rozgarniając ostatnich wiernych, wyszedł na chłodniejszą o tej porze na ulicę.

Elwino!

Zawróciła. Poraził go gniew w jej zielonych oczach.

Dość tego, Will. Mam tego dosyć.

Ludzie oglądali się na nich z zaciekawieniem.

Elwino — dobiegł ich czyjś głos.

Na stopniach kościoła stał Andreas z rodziną. Katarina pomachała do Willa, który pod surowym spojrzeniem Wenecjanina spuścił oczy.

Czekamy na ciebie w domu — rzekł półgłosem kupiec i ujął żonę pod ramię. Wyraźnie

zgorziona Besina spojrzała na męża pytająco, ale odeszła bez słowa.

Elwina patrzyła za nimi sploniona ze wstydu. Przygarbiła się i jakby okłapała.

Dlaczego mi to robisz? — spytała ze znużeniem, podnosząc wzrok na Willa.

Widząc ból malujący się na jej twarzy, Will miał ochotę zamknąć ją w ramionach i tulić, dopóki wszystkie smutki nie pierzchną. Opanował się. Miał zobowiązania wobec Anima

Templi. Podjął dzieło swego ojca i nie mógł teraz zawieść, wiedząc, jaka jest stawka. Odkrył spisek, musiał go jeszcze udaremnić.

Nie chciałem wyjeżdżać bez słowa — powiedział cicho. — Musiałem cię uprzedzić. Ale zrozum, że nie mogę ci powiedzieć niczego więcej.

A ty zrozum, że dla mnie to za mato! — Elwina gwałtownie wciągnęła oddech, a potem wypuściła powoli powietrze. — To koniec, Will. Nie będziemy się już więcej spotykać.

Oszołomiony patrzył, jak odchodzi. Potem nagle poczuł, że nogi same niosą. Dogonił ją i zmusił, by się odwróciła.

Robię to dla ciebie! Dla nas, żebyśmy mieli przed sobą przyszłość! Jeślibym nie pojechał... — zniżył głos. — Akka jest w niebezpieczeństwie, Elwino, w wielkim niebezpieczeństwie.

Muszę jechać, żebyśmy mieli szansę przeżyć.

Spojrzała mu w oczy, szukając w nich kłamstwa, ale znalazła tylko żarliwą szczerłość.

Dlaczego? — spytała. — I dlaczego właśnie ty, a nie ktokolwiek inny? Daj mi powód, żebym z tobą została, Will. Jak dotąd, wszystkie twoje czyny budzą we mnie tylko strach. —

Ściągnęła brwi. — Mów!

Patrzył na nią z rozpaczą. Potem zacisnął usta i pociągnął ją za sobą w pobliski zaułek.

Nie możesz nikomu o tym powiedzieć. Nie żartuję, Elwino. Jeśli ktokolwiek się dowie, narazisz mnie i cały plan.

Zachowam to w tajemnicy. Daję ci na to słowo.

Milczała, gdy opowiedział jej o spisku mającym na celu wykradzenie Czarnego Kamienia i

rozpętanie wojny. Nie wymieniając imienia Kalauna, przyznał, że nawiązał kontakt z wysoko postawionym dowódcą egipskiej armii i musi go teraz ostrzec.

Elwina spoważniała.

Jedziesz do Kairu? — szepnęła. — Sam?

Ruszam dziś w nocy. Tych ludzi trzeba powstrzymać, Elwino, inaczej wszystko runie.

Elwina ze zdumieniem poczuła w sobie iskrę straceńczej nadziei, że tak się właśnie stanie.

Jeśli wojska sultana ruszą na Akkę, chrześcijanie nie zdołają się im przeciwstawić. Będą musieli wrócić do Europy i Will nie będzie już miał o co walczyć. Wraz z Ziemią Świętą

skończy się ich męka.

Rozum podpowiadał jednak, że nadaremnie się ludzi. Akka nigdy się nie podda, rycerze będą jej bronić zębami i pazurami, do ostatniej kropli krwi. Zginą ich tysiące.

Boję się o ciebie — szepnęła.

Przyciągnął ją bliżej. Przez chwilę się opierała, lecz zmiękła w jego objęciach. Uniósł jej twarz ku sobie, szukając ust. Delikatny wpierw pocałunek stawał się coraz bardziej namiętny.

Elwina rozchyliła wargi, poczuła w ustach język Willa i wsunęła mu dłonie pod kaptur,

rozgarniając skręcone, wilgotne od potu włosy na karku. Zacisnęła dłonie, paznokcie wbiły mu się w ciało i posłyszała głuchy, prawie zwierzęcy jęk, jaki wydobył się z krtani

mężczyzny. Chwycił ją wpół i oparł o ścianę domu, jego czarny płaszcz opadł i legł mu u stóp niczym kałuża mroku. Kurczowo oplotła go nogami w pasie.

Kochasz mnie? — spytała gorączkowo.

Zerwał jej z głowy zawicie, wtulił twarz we włosy.

Kocham.

Miłowali się rozpaczliwie przy wtórze dzwonów od Świętego Marka i popiskiwania szcurków buszujących pośród śmieci, otuleni zasłoną gęstniejącego zmroku.

Cytadela w Kairze Dwudziesty szósty dzień maja

Gdzie ona jest?! Gdzie?

Kalaun odepchnął gwardzistów i pobiegł korytarzem haremu, płosząc sługi. Pod otwartymi drzwiami jednej z komnat stało już zbiegowisko; roztrącił gapiów i wpadł do środka. Nad łóżem

stały żony Bajbarsa, Nizam i Fatima, oraz jeden z pałacowych medyków. Nizam

odwróciła się ku niemu z twarzą kamienną jak zawsze.

Emirze... — zaczęła.

Kalaun jej nie słuchał. Podbiegł do łoża, na którym leżało ciało. Spojrzał na twarz córki i rozpacz zacisnęła lodowate palce wokół jego serca. Oczy Aiszy, szeroko otwarte, wpatrywały się w sufit; skóra, woskowobiała w świetle olejnych lampek, miała błękitnawy odcień. Wzrok emira prześliznął się wzdłuż ciała, notując sztywność kończyn, dłonie stężałe niczym szpony.

Potem znów spojrział na wykrzywioną twarz, otwarte usta, z których wystawał siny,

spuchnięty język. Pierwszą myślą, dziwnie beznamiętą po wstrząsie, jakiego doznał, było, że ktoś ją udusił. Ale na szyi nie było żadnych śladów. Wyciągnął rękę i cofnął ją gwałtownie, kiedy końce palców dotknęły zimnej skóry.

Odmówiliście szahadę? — spytał, nie oglądając się.

Znaleziono ją dopiero przed chwilą — odparła Nizam.

Medyk postąpił krok naprzód.

Wedle mojej oceny, szlachetny emirze, twoja córka nie żyje od paru godzin. Wygląda na to, że zadławiła się jadłem.

Kalaun nie zwracał na niego uwagi. Pochylił się nad ciałem i szepnął do ucha Aiszy:

Aszhadu an la ilaha illa Allah. Wa aszhadu anne Muhammadan rasul Allah.

Gdzie mój syn? — dopytywała się Nizam za jego plecami. — Szukajcież go! Powinien tu być.

W tle kobiecych głosów Kalaun słyszał skrzek, ale jego umysł zapadał się teraz w sobie, pograżał w cierpieniu, odsuwając w dal wszystko inne. Porwał w ramiona swoje martwe

dziecko i kołysał je miarowo, bardziej czując niż słysząc szloch, który rwał mu się boleśnie z gardła. Łzy zaćmiły mu wzrok.

Zabierzcie stąd to zwierzę! — wołała Nizam.

Kalaun podniósł głowę. Zobaczył przerażoną małą przycupniętą na parapecie okna. Jeden z eunuchów podbiegł, chcąc ją złapać, ale zwierzątko skrzecząc przeraźliwie, wspięło się po kracie i zawisło uczepione pod sufitem. Kalaun odwrócił wzrok. Kątem oka zauważył stojącą u wezgowia tacę z rozpoczętym posiłkiem. Wyglądała, jakby ktoś odepchnął ją w pośpiechu.

Przewrócony puchar leżał na talerzu z sypkim żółtym ryżem. Coś przemknęło mu przez myśl i zaczęło z wolna przybierać mroczną postać. Położył Aiszę i zerwał się na nogi.

Kto przyniósł to jadło? — spytał. Słaby schrypnięty głos nie zdołał się przedrzeć przez wrzaski małpy i głośnie rozkazy Nizam. — Kto? — krzyknął.

W komnacie ucichło. Obrócił się do nich.

Kto przyniósł jej jadło? — powtórzył.

Sługa — odpowiedziała Nizam. — Przed salatem. Chciała być sama. Potem jedna z niewolnic przysłała po tacę i znalazła ją martwą.

Położyła się wcześniej — dodała Fatima, spuszczaćc oczy pod świdrującym spojrzeniem

Kalauna. — Mówiła, że nie czuje się dobrze.

Przed posiłkiem czy potem?

Nizam zmarszczyła brwi.

Nie rozumiem, do czego...

Przed czy po?!

Przed posiłkiem — bąknęła spłoszona Fatima.

Kalaun zawahał się, ale pokręcił głową.

Znajdźcie mi tego sługę, chcę go przesłuchać. Ty zbadaj jedzenie

zwrócił się do medyka. — Może być zatrute.

Niemożliwe — wtrąciła się Nizam, odzyskując kontenans. — Kiedy tu weszłam, to bydlę

opychało się ryżem. — Wskazała małpkę, której eunuch tymczasem dał spokój. — Gdyby był zatruty, dawno by padło.

A napój? — Kalaun podniósł przewrócony puchar, powąchał go i podał medykowi. — Zbadaj to. Natychmiast!

Emirze, z całym szacunkiem, skoro puchar jest pusty, jakże mam go zbadać?

Ale Kalaun już był w drzwiach. Stłoczone w wejściu wystraszone kobiety uskoczyły mu z drogi. Na twarzy miał żądę mordy. Wielkimi krokami wypadł z haremu i ruszył przez

dziejnieniec do głównego budynku. Podejrzenie zmieniło się w pewność, a ból piętrzył się coraz wyżej niczym ściana wody za tamą wściekłości. Szedł coraz prędzej, a gdy dotarł do piwnic, zaczął biec.

Kadir chrapał zwinięty na brudnym kocu w swojej norze. Obudził go kopniakiem. Zaklinacz zerwał się z wrzaskiem, a Kalaun złapał go za szyję i wyrzwał nim o ścinę.

Co jej zrobiłeś?!

Kadir skrzeczał, jego białe oczy rozszerzyły się ze strachu, wyschniętymi ramionami na próżno usiłował się obronić przed potężnie zbudowanym emirem. Jakiś sługa, słysząc hałas, zajrzał do spiżarni i prędko wybiegł. Wzrok Kalauna padł na półkę zastawioną garnuszkami i dziwnymi przedmiotami. Rzuciwszy zaklinacza na ziemię, padł na kolana i jął chwycić każde naczynie po kolei, zrywając płótna, którymi były okryte. Podnosił je do nosa i ciskał na ziemię. W powietrzu zmieszał się zapach cynamonu, goździków, kardamonu i imbiru.

Skończywszy, jednym ruchem zmiotł z półki resztę — kruche czaszki i szklane paciorki.

Kadir rzucił się na niego, lecz Kalaun przygwoździł go do posłania, zaciskając dłonie na chudej szyi starca.

Nie słyszał krzyków i tupotu biegnących stóp na korytarzu, a tylko słabnące rżenie Kadira.

Dopiero po chwili poczuł, że ktoś chwycił go za ramiona i odciąga od starca. Twarz

zaklinacza była purpurowa, oczy wyszły z orbit. Kalaun ścisnął mocniej. Dopiero gdy czyjeś ramię objęło go za szyję, tamując dopływ powietrza, odruchowo wypuścił starca, który opadł

na derki, spazmatycznie rżąc. Emir zdołał odwrócić głowę na tyle, by dojrzeć, że tym, kto go trzyma, jest Bajbars.

Dość, Kalaunie — powiedział sułtan.

On ją zabił! Moja córka nie żyje za jego sprawą!

Byłem w haremie zaraz po tobie. Nizam powiedziała mi, że Aisza zadławiła się jedzeniem.

Kalaun potrząsnął głową.

To on. Zmusiłem twego syna, by ujawnił jego udział w spisku. Odkryłem w nim zdrajcę.

Kadir był asasynem, panie, zna się na truciznach. To on.

Kadir wił się po podłodze, krztusząc się i plując.

Poniesie karę za swoje winy — rzekł twardo Bajbars — ale nie za coś, czego nie zrobił.

Chcę, żeby zbadano każde ziarnko ryżu. Mają je zbadać.

I tak będzie. Ale nawet jeśli znajdą truciznę, w co wątpię, jest bardziej prawdopodobne, że przysłał ją ktoś z haremu. Aisza była pierwszą żoną mego syna, dziedzica tronu. Wiem z

doświadczenia, że kobiety równie jak mężczyźni łakną władzy, a nieraz dążąc do niej, są

bardziej od nas bezwzględne. Nie byłoby to pierwsze morderstwo w tych murach.

Kalaun dygotał na całym ciele. Z gardła zrywał mu się wysoki, przenikliwy jęk. Bajbars mocno objął go ramieniem.

Boleję wraz z tobą, przyjacielu — rzekł cicho. — Obaj straciliśmy dziś córkę. Cały kraj okryje się żałobą.

Na te ostatnie słowa tama w duszy Kalauna pękła i żal zalał go gwałtowną, niepowstrzymaną falą. Kadir odpełził pod ścianę i usiadł, napawając się jego bólem.

Baraka jak odurzony minął strażników u drzwi haremu i chwiejnym krokiem wyszedł na

ciemny dziedziniec. Wiatr przybrał na sile, osadzał na skórze drobinki pyłu, ciepłym

powiewem suszył sperlony na twarzy pot. W pamięci Baraki ożył obraz Aiszy leżącej

szttywno na łożu, jej wykrzywionej skurczem twarzy i języka wystającego obrzydliwie

spomiędzy zębów. Zatrzymał się pod palmą, oparł dłoń o twardy szorstki pień. Targnęły nim torsje; pochylił się i zwymiotował. Potem, czując się oczyszczony, poszedł dalej.

Ulica Świętej Anny w Akce Dwudziesty siódmy dzień maja roku Pańskiego 1276

To znajdź kogoś, kto wie, gdzie on jest! Nie płacę ci dla twoich pięknych oczu!

Młody serwiens czmychnął przez ulicę i zniknął w bramie preceptorium.

Garen zgrzytnął zębami i oparł się o ścianę domu naprzeciwko, usiłując powściągnąć gniew.

Will miał się z nim spotkać w karczmie ponad dwie godziny temu.

Król Hugo podpisał już zobowiązanie, że pozwoli Edwardowi grupować na Cyprze wojska

krucjaty, a ponadto przekaże mu znaczną sumę w złocie — połowę teraz, a połowę później, gdy Edward przekona papieża do jego sprawy; taki postawił warunek. Garen musiał jeszcze tylko wydobyć pieniądze od Ewerarda, i mógł wracać do Anglii.

Furta w potężnej bramie otwarła się ponownie. Garen syknął z irytacją, widząc znajomą

baryłkową postać. Szeroka twarz Szymona była czerwona z gniewu.

Czego tu szukasz? — warknął.

Witaj, Szymonie. — Garen nie bez trudu zmusił się do uśmiechu.

Daruj sobie uprzejmości. I zostaw sługi w spokoju. Nie są twoi, żebyś nimi komenderował, i nie wolno im przyjmować pieniędzy. Ten chłopak dostałby chłostę, gdyby rzecz się wdała.

Przepraszam, zapomniałem — mruknął kwaśno Garen. — Wobec tego może ty mi

pomożesz? Miałem się dziś spotkać z Willem, ale się nie pojawił, chociaż dobrze wiedział, że sprawa jest ważna. Domyślam się więc, że zatrzymało go coś równie ważnego. Wiesz, gdzie mogę go znaleźć?

Szymon postąpił krok w jego stronę.

Może Will już zapomniał, co mu uczyniłeś w Paryżu, ale ja nie. Jesteś parszywym psem; ja na ich miejscu powiesiłbym cię dawno temu. Nie

ma w tobie dobra i nie zwiodą mnie twoje fałszywe uśmieški. Nie wiem, czego chcesz od

Willa, ale już ja dopilnuję, żebyś tego nie dostał.

Uśmiech spełził z warg Garena.

Ono tym zdecyduje — wycodził. — Nie jesteś jego mamką ani jego dowódcą, a tylko nisko

urodzonym stajennym. Zostaw ważne decyzje lepszym od siebie, a sam trzymaj się tego, na czym się znasz. Siana i gnoju.

Ty zatem winienesz poprzestać na piwie i sprzedajnych dziewczkach!

Szymon okręcił się na pięcie i ruszył z powrotem.

Nie jesteś tu jedyny! — zawołał za nim Garen. — Przeplącę tuzin sług, jeśli będę musiał. Nie odejdę, dopóki nie zobaczę się z Willem!

To długo poczekaasz. — Szymon obejrzał się przez ramię. — Komandor wyjechał. Na kilka

tygodni, a może miesięcy. — Położył dłoń na klamce. — Zapomnij o nim. Wracaj do Anglii, nikt tu nie cieszy się z twojej obecności. — To rzekłszy, wszedł do preceptorium i zamknął za sobą furkę.

Garen został na ulicy, trzęsąc się z wściekłości. Odwrócił się gwałtownie, potrącając młodą kobietę niosącą kosz; owoce potoczyły się po ulicy. Jakiś mężczyzna krzyknął na niego i podskoczył, żeby jej pomóc, ale Garen szedł już przed siebie, nie oglądając się. Dopiero znacznie dalej skręcił nagle w wąski zaułek między dwiema piekarniami i z gardłowym

okrzykiem walnął pięścią w mur. Rozkwasił sobie knykcie, ale nie zważając na to, uderzył jeszcze raz, nieomal rozkoszując się bólem. Potem przycisnął dłonie płasko do ściany i oparł na nich głowę. Po dłuższej chwili wyprostował się. Jeśli Szymon nie chce z nim mówić, znajdzie się ktoś inny, kto zechce.

Templum w Akce Dwudziesty siódmy dzień maja

Wejść! — zawołał ze znużeniem Ewerard, słysząc pukanie do drzwi. Odłożył pióro. Pamięć zaczynała mu szwankować i bał się, że wiele rzeczy może mu umknąć, jeśli od razu nie spisze ich w kronice. Nie chciał, by inni podawali w wątpliwość jego osąd. Dość już popełnił w życiu błędów.

Do komnaty wszedł seneszał.

Coś ty zrobił, Ewerardzie!

Starzec zerknął na niego, marszcząc brwi.

Brat Tomasz właśnie wszystko mi opowiedział. — Na czole seneszala widniał groźny mars.

— Dlaczego nie zczekałeś na mnie? Powinienem być mieć w tej sprawie coś do powiedzenia.

Nie było cię tu, bracie — odparł rzeczowo Ewerard. — Musiałem podjąć decyzję. Czas nagił.

Więc wysłałeś Campbella w pojedynek do Kairu? Wprost do jaskini lwa, gdzie może wpaść w Bóg wie jakie kłopoty? Ponadto zapominasz, że już raz nas zdradził. Nigdy bym się na to nie zgodził.

Campbell prowadził już w przeszłości rokowania z Kalaunem; spotkali się twarzą w twarz, kiedy zawiózł Bajbarsowi traktat pokojowy. Wielki mistrz wie, że wysłałem go do Syrii po pewien cenny zwój, który bardzo się nam przyda, tak więc jego nieobecność nie wzbudzi

podejrzeń. Gdyby nie on, nie wiedzielibyśmy nawet, co nam grozi.

Brat Tomasz jest zdania, że wcale by nas nie powiadomił, gdyby potrafił sam odczytać szyfr.

Potrzebna mu była twoja pomoc.

Ale powiadomił i wiemy — rzekł ze znużeniem Ewerard. — Doprawdy w obliczu takiego

zagrożenia powinniśmy się wyzbyć wzajemnych animozji. Teraz liczy się tylko to, abyśmy zdołali zapobiec najgorszemu.

Seneszał milczał przez chwilę, potem przysunął sobie stołek i usiadł.

Sclavio nie żyje — mruknął. — Zmarł wkrótce po zamknięciu w lochu.

Jak to? Dlaczego nikt z nas o tym nie wiedział?

Bo i w sumie nie było o czym. Uwaga wszystkich była w owym czasie zwrócona na Soranza i nikt nie przejmował się byle rzezimieszkiem.

Jak umarł?

Nie wiadomo. Pewnego ranka zasłabł po śniadaniu. Medyk stwierdził, że serce przestało bić.

Trucizna? — rzucił szybko Ewerard.

W owym czasie nie było powodu do podejrzeń, ale z tego co mówił mi brat Tomasz, wnoszę, że jego śmierć mogła być komuś na rękę. Może ktoś chciał zamknąć mu usta. A, właśnie:

dłaczego chciałeś z nim mówić?

Był związany z Soranzem, który wiedział o udziale wielkiego mistrza w planowanej

kradzieży Czarnego Kamienia. Możliwe, że wiedział coś i o samym spisku. Miałem nadzieję, że to z niego wyciągnę.

Myślę, że powinniśmy się skupić na wielkim mistrzu — rzekł po chwili milczenia seneszał.

— Najwyraźniej wszystko kręci się wokół niego.

Tego nie jestem pewien. List Kajsana nie był skierowany do niego.

Soranzo miotał klątwy pod jego adresem. To on dał Campbellowi pismo i wysłał go na spotkanie z Kajsanem, a w piśmie wyraźnie jest mowa

o

frankijskich rycerzach, którzy udadzą się po kamień do Mekki. Prawdę mówiąc,

byłbym wielce zdumiony, gdyby nic o tym nie wiedział.

Ja także, ale musimy znać więcej faktów, zanim podejmiemy jakiegokolwiek kroki.

A ten Wenecjanin? Jaką pełni rolę? Bardzo to niezwykajne: wielki mistrz zakonu posyła

kupca, by ten działał w jego imieniu. Może warto by się bliżej przyjrzeć jego interesom i związkom z mistrzem?

Nie teraz. Jeśli bierze w tym udział, nie chcę go spłoszyć, ostrzegając, że o nim wiemy.

Przynajmniej czas nam sprzyja. Z listu wynika, że do kradzieży ma dojść w miesiącu muharram, czyli około kwietnia przyszłego roku. — Ewerard splótł dłonie na pulpicie. —

Mamy dość czasu. Zdążymy się przygotować.

Seneszał pokręcił głową.

Miejmy nadzieję, bracie Ewerardzie. Inaczej niech Bóg się nad nami zlituje!

Targ wenecki w Akce Dwudniesty siódmy dzień maja

Elwina zamknęła za sobą niebieskie drzwi i w zamyśleniu ruszyła ulicą. W torbie na ramieniu miała księgi rachunkowe, które Andreas kazał jej zanieść do składu. Minęła ją para młodych ludzi; szli, trzymając się za ręce, mężczyzna pochylił się i szepnął coś do ucha dziewczynie, a ona się roześmiała. Napotkawszy jej wzrok, Elwina spuściła oczy, uświadamiając sobie, że się na nich gapi. Ze zwieszoną głową ruszyła dalej.

Krótkotrwała euforia, jakiej doświadczyła wczoraj z Willem, prędko wyparowała. Było tak jak zawsze: brał ją, a potem znikał. Nie dane jej były długie czułe chwile, wspólne milczenie albo wspólny śmiech — tylko pośpieszna, gorączkowa namiętność, a po niej nic, długa

bolesna pustka. Tym razem przynajmniej był z nią szczery; odsłonił przed nią swoje sprawy, ale i tak nic się nie zmieniło. Czuła się oszukana.

Z zamyślenia wyrwał ją czyjś głos wołający jej imię. Przez chwilę serce zakołatało jej

radośnie; myślała, że to Will. Ale zobaczyła tylko wysokiego jasnowłosego mężczyznę, który zbliżał się do niej z uśmiechem.

Elwino — powtórzył.

Dopiero po chwili go poznała.

Garen?

Witaj. Dawno... ile to już lat?

Co tu robisz? — spytała nieprzyjaźnie. Garen spojrzał na nią zdziwiony.

Will ci nie mówił, że jestem w Akce?

Nie. Czego chcesz?

Prawdę mówiąc, szedłem właśnie do ciebie.

Rozejrzała się niepewnie.

Skąd wiedziałeś, gdzie mnie szukać?

Will mi mówił — odparł lekko Garen. — Zobaczyłem, że wychodzisz.

Spieszę się — burknęła, wściekła na kochanka.

Nie chcę cię zatrzymywać. — Garen ruszył za nią. — Szukam Willa. Obiecał się ze mną spotkać, ale nie przyszedł.

Will składa wiele obietnic — w głosie kobiety zabrzmiała gorycz.

Wiesz, gdzie on jest?

Nie.

Poczuł, że kłamie.

Elwino, to bardzo ważne. Fakt, nigdy nie byliśmy przyjaciółmi, ale znasz mnie przecież.

Chyba możesz mi powiedzieć?

Zatrzymała się gwałtownie.

O tak, znam cię — wycodziła. — To ty zwabiłeś go oszustwem do zamtuza. Ty patrzyłeś, jak go katują, i wykorzystałeś jego strach o mnie, żeby wyciągnąć z niego informacje. A potem odurzyłeś go jakimś jadem i wsadziłeś do łóżka z ladacznicą! — Popatrzyła na niego zimno.

— Nie mam ci nic do powiedzenia.

A czy powiedział ci, dlaczego? — Garen chwycił ją za rękę. — Ze nie mogłem pozwolić,

żeby pewien zbrodniarz zgwałcił i zabił moją matkę? — Odczekał chwilę, wiedząc, że to nią wstrząśnie. Istotnie, przez twarz Elwiny przemknęła zgroza. — Ta dziewczka... — podjął ciszej

— znalazła się tam przypadkiem. Myślałem, że ratuję mu życie, przysięgam. Gdybym mógł

cofnąć czas... — W zakłopotaniu rozgarnął dłonią włosy.

Elwina skrzywiła się, widząc zakrwawione kostki dłoni.

Co ci się stało?

Garen zerknął na dłoń i schował ją za plecy.

Nic — zaśmiał się zmieszany. — Uderzyłem pięścią w mur.

Elwina otworzyła usta, zamknęła je i pokręciła głową.

Muszę iść.

Miałem zamiar się czegoś napić... Zapraszam. — Machnął ręką w dół ulicy. — Tu niedaleko jest karczma.

Teraz z kolei ona zaśmiała się sucho.

Nawet gdybym chciała się z tobą napić, a nie chcę, sądzisz, że wypada niewieście siedzieć nad kuflem w karczmie?

I to mówi niewiasta, która kiedyś zakradła się na statek templariuszy? — odparował.

Uśmiechnęła się lekko na to wspomnienie, potem odwróciła wzrok.

To było dawno — mruknęła i ruszyła dalej.

Poszedł za nią, desperacko obracając w myślach ostatni już pomysł. Musiał się dowiedzieć, czy Will rzeczywiście wyjechał, czy też Szymon go okłamał.

Powiedz mi tylko jedno — rzekł błagalnie. — Czy wyjazd Willa ma coś wspólnego z

Ewerardem i Anima Templi?

Twarcz Elwiny przecięła zmarszczka, a Garen z trudem pohamował chęć, by parsknąć śmiechem.

Z czym?

Ach, nic—wycofał się szybko. — Proszę, kiedy Will wróci, powiedz mu, że chcę się z nim spotkać.

Czekaj — zatrzymała go. — Wytlumacz mi, o czym mówisz.

Dobrze — rzekł z wahaniem. — Ale nie tutaj. I pamiętaj, ja ci o tym nie mówiłem.

Otworzył przed nią drzwi karczmy. Przystanąła niepewnie, zerkając w górę i w dół ulicy, jakby bała się, że ją ktoś zobaczy, a potem szybko, nerwowo przestąpiła próg. Ze spuszczoną głową dała się poprowadzić do stołu w kącie.

Po chwili usiadł obok z dwoma kubkami wina.

Na zdrowie — rzekł, stawiając przed nią jeden.

Pociągnęła łyk.

Mów.

Milczała, gdy szeptem opowiadał jej o tajnej organizacji w łonie Templum, działającej na rzecz pojednania wrogich wyznań — wbrew ślubom złożonym w macierzystym zakonie.

Należeli do niej Ewerard i Will, a ongiś także ojciec Willa i jego własny wuj zabity we Francji. Mimochodem napomknął, że Will już raz sprzeniewierzył się celom bractwa, gdy po śmierci ojca wynajął asasynów do zamachu na Bajbarsa, sułtana Egiptu.

Kiedy skończył, Elwina była bardzo blada. Wyprostowała się gwałtownie, przewracając

kubek z winem, ale nawet tego nie zauważyła. Obraz Willa, który nosiła w sercu, stał się nagle mroczny i niewyraźny. Wiedziała, że ma jakieś konszachty z Ewerardem, ale coś

takiego? Wprost nie mieściło jej się to w głowie. Miała wrażenie, że mowa o całkiem obcym człowieku. Wynajął morderców... Jak mógł to przed nią zataić? A skoro tak łatwo okłamywał

na co dzień swych zwierzchników i braci w zakonie, równie łatwo mu było okłamywać ją.

Wszystkie te wyznania miłosne... Były szczere

czy traktował ją jak tanią dziewczkę, którą można kupić za garść słów? Nie znasz go, szepnął

jakiś głos w jej wnętrzu. Nigdy go nie znałaś.

Nie do wiary, że nigdy ci o tym nie mówił — powiedział Garen.

Te wszystkie kłamstwa... — szepnęła głucho. — Pewnie to, co mówił

o

kamieniu i wojnie, też zmyślił i rzucił mi jak ochłap, żeby nadal mieć mnie na każde skinienie.

Jakim kamieniu?

Czarnym Kamieniu z Mekki — odparła niecierpliwie. — Jakiejś muzułmańskiej świętości.

Ponoć wielki mistrz planuje jego kradzież i rozpęta się straszna wojna. Wiesz coś o tym?

Nie...

Oczywiście tylko Will może temu zapobiec — zaśmiała się z przekąsem. — Ma się spotkać z jakimś

mamelukiem w Kairze, żeby go ostrzec. Dałam się omamić, czy tak? Muszę wiedzieć.

— Wrstała. — Czy mówił te wszystkie rzeczy tylko po to...

Nie wiem — odparł z roztargnieniem Garen. Spojrzał na nią. — Na pewno nieraz musiał kłamać, ale w tym wypadku nie potrafię ci dać odpowiedzi. Może właśnie dlatego nie przyszedł na spotkanie.

Elwina już chciała coś powiedzieć, lecz tylko potrząsnęła głową i wyszła pośpiesznie, strącając torbą przewrócony kubek.

Patrzył za nią z namysłem, sącząc resztkę wina. Dziewka służebna przyszła zebrać potłuczone skorupy. Umysł Garena chciwie skubał każde słowo Elwiny niczym kruk uczujący na trupie.

Zamek królewski w Akce Dwudziesty siódmy dzień maja roku Pańskiego 1276

Do zamku Garen wrócił dopiero pod wieczór. Po wyjściu Elwiny długo siedział w karczmie, a potem chodził dotąd, aż wytrzeźwiał i jego myśli, krążące niczym jastrząb powolnymi

czujnymi kręgami, skupiły się wreszcie na celu. Król był sam w sali tronowej, przeglądał

stertę pism piętrzącą się na pulpicie, przy którym zwykle siedział jego sekretarz. Wartownik pod drzwiami wpuścił Garena bez oporów.

No i? — Król rzucił nań okiem znad papierów. — Załatwiłeś już wszystko? Guy znalazł ci miejsce na statku, który odpływa za dwa dni.

Niestety. Nie zastałem człowieka, z którym miałem się spotkać.

Oczy Hugona zwęziły się niebezpiecznie. Odłożył trzymany w ręku dokument.

Mam już dość twoich wymówek. Podpisałem to przekłete zobowiązanie i żądam, byś

natychmiast zawiózł je Edwardowi. Wielki mistrz templariuszy podżega przeciw mnie, tracę szacunek u poddanych! — Głos Hugona przybrał na sile. — Andegaweńczyk nie kupił

jeszcze mego tronu, a jego sługusy wszędzie szukają mu poparcia. Mam niewiele czasu! —

Cisnął papiery na podłogę i usiadł, obejmując głowę rękami. — Na Boga, cóż zdziałam sam jak palec? Dlaczego ci zdrajcy są przeciwko mnie?

Może będę mógł pomóc waszej wysokości.

Hugo spojrział na niego, jakby już zapomniał o jego istnieniu. Ze znużeniem machnął ręką.

Odejdź.

Odkryłem, że jeden z twoich wrogów, panie, zamieszany jest w spisek, który możesz obrócić na swoją korzyść.

Powiedziałem: precz.

Garen postąpił bliżej.

Wilhelm z Beaujeu zamierza wykraść Czarny Kamień z Mekki.

Król opuścił ręce na poręcze tronu.

Co powiedziałaś?

Czarny Kamień z Mekki. To saraceńska świętość, którą...

Wiem, co to jest — przerwał mu Hugo. — Gdzie o tym słyszałaś?

Człowiek, z którym miałem się dziś spotkać, pojechał do Kairu, żeby ostrzec mameluków.

Dlatego do spotkania nie doszło.

Ten człowiek to Saracen?

Nie, templariusz. Jego tożsamość jest w tej chwili nieistotna

dodał Garen, widząc zaskoczenie Hugona. — Ważne, że ma sojuszników w mameluckiej armii. Sądzę, że będzie się starał zapobiec kradzieży.

I powinien — Hugo wstał — bo taki czyn zniszczy Królestwo Jerozolimskie. Jakiż cel może mieć w tym wielki mistrz? Niepojęte! Przecież musi sobie zdawać sprawę, że nie oprzemy się Saracenom, jeśli uderzą na nas całą mocą?

Nie wiem. Ale widzę w tym korzyść dla ciebie, panie.

Hugo go nie słuchał. Kręcił z niedowierzaniem głową.

Kogo mam poprowadzić do boju? Nawet jeśli wszyscy moi lennicy z Cypru staną u mego

boku, będzie nas garstka. Bajbars przyprowadzi tysiące... setki tysięcy! W obronie Kamienia pójda jak jeden mąż. Nie mamy szans. Saraceni zetrą nas z powierzchni ziemi.

Niekoniecznie — mruknął Garen. Myślał nad tym przez całe popołudnie, rozpatrując w

gorączcze wszystkie możliwości. — A gdyby tak templariusze skradli Kamień, ty zaś,

najjaśniejszy panie, odebrał im łup i zaoferował sułtanowi jego zwrot?

Hugo zmarszczył brwi, ale nie odrywał od niego wzroku. Tymczasem Garen zaczął krążyć po pokoju i zapalając się coraz bardziej, mówił:

Trzeba dowiedzieć się więcej: kiedy ma dojść do kradzieży i kto ma to uczynić. Przejąwszy kamień, powiesz Bajbarsowi, że ocaliłeś największą muzułmańską świętość i chętnie ją

zwrócisz w zamian za drobną przysługę.

Jaką przysługę?

Jakąkolwiek zechcesz. Na przykład zapewnienie ci władzy w Ziemi Świętej.

Hugo usiadł z powrotem i milczał przez chwilę.

Bajbars mógłby interweniować w tej sprawie — rzekł z namysłem.

Ale to nie znaczy, że Andegaweńczyk się ugnie.

Ugnie się, jeśli sułtan zagrozi wycięciem chrześcijan w pień, do czego jak sam przyznajesz, może dojść. Karol nie zechce władać na cmentarzu. Ponadto — ciągnął Garen, nie

doczekawszy się odpowiedzi — nie chodzi tu tylko o niego. Czy nie pragniesz być tym

królem, który odzyska Jerozolimę?

Dłonie Hugona zacisnęły się na oparciach tronu. Garen pokiwał głową.

Możesz zażądać w zamian Świętego Miasta. Wówczas twój tron stanąłby nareszcie we

właściwym miejscu. Spodziewam się, że twoi poddani umieliby to docenić... i wątpię, czy nawet Andegaweńczyk ośmieliłby się rzucić wyzwanie wybawcy Jeruzalem. A papież? —

Garen uśmiechnął się szeroko. — Papież klęczałby przed tobą, całując cię po rękach!

W oczach Hugona płonęło podniecenie, ale pokręcił głową.

Bajbars nie musi z nami pertraktować. Równie dobrze może sam odebrać Kamień i zgnieść

nas wszystkich. Ma na to dość sił.

Bajbars nie jest głupcem. Zdobycie Akki będzie go kosztować sporo złota, ludzi i czasu.

Czasu, w którym moglibyśmy przecież zniszczyć Kamień. Znacznie prościej i bezpieczniej

będzie przystać na nasze żądania. Oczywiście po pewnym czasie Saraceni zechcą odbić Jerozolimę, ale mamy znacznie większe szanse utrzymać miasto, niż je zdobyć. Wówczas mój król Edward przybędzie tu na czele armii i z twoją pomocą poprowadzi nową wyprawę przeciw niewiernym, a wywiedzie ją z bram Świętego Miasta. Zapłał dorówna temu, który towarzyszył pierwszej krucjacie. Ludzie będą setkami ściągać pod twe sztandary. Nie będziesz już płacił trybutu Saracenom, panie. Nie będziesz się godził pokornie z butą pogan. Spojrzał na króla, który jak zaczarowany chłonał jego słowa. Musi go przekonać do tego śmiałego planu. A wówczas niech się schowa komandor Campbell! To on, Garen, ocali Jerozolimę. Trubadurzy będą śpiewać o nim pieśni. Jego imię będą sławić przyszłe pokolenia. Edward też wreszcie go doceni. Nie będzie już złamanych obietnic, wilgotnych nor, ledwie zamaskowanych gróźb. Zostanie jednym z najważniejszych ludzi w Anglii. Tego był pewien.

Z zamyślenia wyrwał go głos Hugona:

Myślisz, że to możliwe?

Najpierw musimy poznać szczegóły ich planu.

Jak?

Chyba znalazłem osobę, która może nam pomóc. Muszę tylko zdobyć jej zaufanie.

Drzwi otwarły się nagle i wbiegł Gwido.

Panie — pokłonił się zdyszany.

Nie wzywałem cię — sarknął Hugo.

To ważne, panie... — Kanclerz rzucił Garenowi podejrzliwe spojrzenie.

Mów.

Mam... — Zająknął się i wreszcie skupił. — Mam wieści od człowieka, któremu kazaliśmy pilnować wielkiego mistrza templariuszy. Otóż spotkał się on wczoraj z kilkoma twoimi wasalami. Nasz człowiek dowiedział się o spotkaniu i wyciągnął informacje od jednego z usługujących im pachołków. Wilhelm z Beaujeu odkupił La Fauconnerie; wczoraj dobito

targu i wieś jest teraz własnością Templum.

Co?!

Kiedy rycerz spytał mistrza, czy uzyskał twoją zgodę na zakup ziemi znajdującej się przecież w twojej domenie, panie, Wilhelm odparł, że ma na to zgodę prawdziwego króla, Karola z

Andegawenii. — Głos doradcy załamał się z oburzenia. — Oni kpią sobie z ciebie, panie!

Musisz natychmiast zażądać unieważnienia tej umowy i przedłożenia ci jej do akceptacji. A jeśli odmówią, surowo ukarać nieposłusznego wasala. — Gwido zaczerpnął tchu i z

niemałym wysiłkiem zdołał się uspokoić. — Błagam cię, panie, zrób to zaraz, inaczej stracisz szacunek tych, którzy jeszcze cię popierają. Chcą mieć silnego władcę. Muszą ujrzeć, że jesteś twardszy od Andegaweńczyka, jeśli mają cię nadal wspierać mimo jadu, który sączy im w uszy Wilhelm z Beaujeu.

Hugo podszedł do zawalonego papierami pulpitu.

Robię co w mojej mocy — szepnął, opierając dłonie na blacie.

Czytam ich prośby, skargi i petycje i załatwiam je od ręki. Sądzę sprawiedliwie, dbam o dobro tego miasta i kraju. — Podniósł kilka arkuszy. — Czego chcą więcej? Żeby rządził

nimi tyran? — Kurczowo zacisnął dłonie, mnąc pisma. — Niech więc mają tyrana! — ryknął, przewracając pulpit wraz z kałamarzami, piórami i dokumentami.

Obciągnął na sobie szatę i ruszył do drzwi. Jego głos opadł do szeptu:

Nie zostanę tu, gdzie mnie nie chcą. Niech słudzy spakują moje rzeczy, wracamy na Cypr.

Mój lud czeka na mnie już zbyt długo. — Przystanął. — Ale odtąd koniec z gościnnością dla Templum. Wilhem z Beaujeu kradnie moje wioski? — Zaśmiał się krótko, gardłowo. —

Zobaczymy, co powie, kiedy wygnam templariuszy z Cypru, zagarnę ich ziemie, a budowle obrócę w ruinę. Koniec z tym.

Kanclerz stał z ustami otwartymi ze zdziwienia. Garen opamiętał się szybciej.

Panie! — zawołał, czując, jak misternie zarzucona sieć wymyka mu się z rąk. Podszedł bliżej i rzekł półgłosem: — Nie rób tego. Nie rezygnuj teraz, kiedy zaświtała dla ciebie nadzieja.

Hugo potrząsnął głową.

Nie. Działaj dalej, masz moje błogosławieństwo. Jeśli ci się uda, wrócę, żeby pertraktować z sułtanem. Ale nie wcześniej.

Nie zdołam zrobić tego sam, bez ludzi, pieniędzy ani dachu nad głową.

Ten pałac wciąż należy do mnie. Możesz tu zostać. Zostawię ci kilku ludzi. Ja natomiast chętnie pożegnam Akkę. — Ruszył do drzwi.

Gwido ocknął się z osłupienia i pobiegł za nim, wołając:

Panie, bądź rozsądny!

Nie, Gwidonie. Mam już dość tego kraju. Chcę wracać do domu.

Musisz przynajmniej mianować bajlifa, aby rządził w twym imieniu. W przeciwnym razie

Italczyki, zakony, rycerze i rajcy miejscy natychmiast zaczną walczyć między sobą o władzę.

Zapanuje chaos!

Może wówczas pojmą, że źle postępowali — rzekł zimno Hugo i wyszedł.

Garen został sam w sali tronowej.

Fustat Misr, Kair Szesnasty dzień czerwca roku Pańskiego 1276

Uwiązawszy konia na ciasnym placu w starej części Kairu, Will podszedł do małego

koptyjskiego kościółka. Wcześniej tłoczno tu było od straganów; teraz plac opustoszał, tylko kilkoro dzieci goniło się wokół studni. Zapadał wieczór i większość ludzi siedziała w domach, przygotowując się do wieczornych modłów. Will usiadł na stopniach kościoła, zastanawiając się, jak to jest: być chrześcijaninem w samym sercu muzułmańskiego imperium. Jego

współwyznawcy żyli tu wszak od pokoleń

lecz czy jako równoprawni członkowie społeczności, czy poza jej nawiasem, odtrąceni i

pogardzani?

Kościół niknął w cieniu pięciopiętrowych domów malowanych w błękitne, żółte i różowe

pasy. W barwnych polach wiły się arabskie inskrypcje bez wyjątku sławiące imię Allaha. Will słyszał już o Kairze, czytał opisy miasta sporządzone przez podróżników, ale nie spodziewał

się, że jest aż tak wielkie i piękne. Podziwiał cytadelę wznoszącą się na wzgórzu, rozlany szeroko błękitny Nil, meczety zwieńczone srebrzystymi i błękitnymi kopułami, strzelające w niebo spiralne minarety. Zjeżdżając z gór, widział w dali sterczące z piasków pustyni

olbrzymie stożki piramid, dziwne i tajemnicze niczym uszione pogańskie bóstwa.

Z trudem rozprostował nogi. Spędził w siodle dwadzieścia dni i wszystko go bolało.

Końcówka podróży, na przełaj przez Synaj, okazała się najcięższa. Mimo białej szaty i zawoju nabawił się oparzeń od słońca. Sięgnął do sakwy, leżącej obok na stopniach, i wyjął z niej lnianą koszulę, w którą były zawinięte dwie ćwiartki arbuza. Kupił go wczoraj od chłopca, stojącego przy drodze ze stertą lśniących zielonych, napęczniałych sokiem owoców. Zjadł arbuza i właśnie z powrotem zakrywał twarz, gdy na plac przed kościołem wszedł barczysty mężczyzna w niebieskiej szacie. Podobnie jak on, dolną część twarzy osłoniętą miał przypiętą do turbanu chustą. Kiedy się zbliżył, Will na wszelki wypadek wstał. Mężczyzna trzymał dłoń na rękojeści miecza.

Kim jesteś? — spytał po arabsku.

Minęły cztery lata, ale rozpoznał ten mocny, tchnący pewnością siebie głos.

Bądź pozdrowiony, emirze — rzekł, zdejmując zasłonę.

Źrenice Kalauna rozszerzyły się na ułamek sekundy. Zdjął rękę

z miecza i podszedł bliżej. W ściszym głosie dało się usłyszeć złość:

Nie powinieneś się tu pokazywać, Twój pan dał mi słowo, że ani on, ani jego następcy nie będą mnie szukać, Jeśli ktoś zobaczy nas razem, zginiemy obaj.

Zaszła wyższa konieczność.

Powinieneś być trzymać się umowy. Powiadomić mego sługę i z nim się spotkać.

Nie było czasu. — Will wskazał wejście do kościoła. — Porozmawiajmy w środku, proszę.

Zrozumiesz, gdy mnie wysłuchasz. — Podniósł swoją sakwę i wszedł na stopnie.

Muzułmanin zawahał się, spojrzął na krzyż przybity nad drzwiami, potem omiół spojrzeniem placyk i wszedł za Willem.

Dlaczego tutaj? — spytał, gdy Will zamknął za nim drzwi.

Bo tu nas nikt nie usłyszy. — Will usiadł na chwiejnej ławie pod ścianą.

Kalaun rozejrzył się po kościele. Byli sami. Usiadł obok i zdjął zasłonę z twarzy.

Will był zaskoczony, widząc, jak bardzo tamten się postarzał. Twarz miał szarą, zapadniętą, spowijała go aura smutku i zubożenia. Ciemne oczy emira były puste.

Chodzi o napaść na Kabul? — spytał. — Frankowie powinni już byli dostać okup.

Will milczał przez chwilę, patrząc w te zgasłe oczy, potem zniżył głos do szeptu i zaczął mówić,

Kalaun słuchał, nie przerywając. Nim Will skończył, zaszła w nim potężna zmiana. Policzki odzyskały barwę, a oczy blask. Wyglądał jak człowiek obudzony z głębokiego snu. Potrząsnął głową i spojrzał w stronę ołtarza. Milczał.

Will czuł jego gniew, czuł napięcie widoczne w usztywnieniu ciała i grze mięśni twarzy, gdy emir starał się zapanować nad wściekłością. Kiedy w końcu przemówił, głos miał równy, choć ostry:

Powiadasz, że list skierowany był do kogoś w Kairze? Szyity?

Tak sądzi Ewerard.

Lecz nie znacie imienia?

Nie było go w liście.

I kradzieży mają dokonać templariusze? — Kalaun spojrzał mu prosto w oczy.

Kajsan pisze tylko „rycerze z Zachodu”, ale wiele wskazuje, że nasz wielki mistrz zamieszany jest w tę sprawę. Wniosek zdaje się oczywisty. Rycerze mają się spotkać z Kajsanem w wiosce zwanej Ula przed świętem muharramu. Stamtąd zaprowadzi ich do Mekki.

Nie można do tego dopuścić. Nie zdajecie sobie sprawy, czym to grozi!

Wiemy — rzekł poważnie Will.

Nie wiecie. Samo dotknięcie Czarnego Kamienia przez chrześcijanina byłoby potwornym świętokradztwem. Nasi ludzie was unicestwią. Nie tylko rycerzy czy Franków w ogóle.

Wszystkich chrześcijan. — Kalaun objął gestem wnętrze kościoła. — Zginą niewinni i nigdy już nie będzie między nami pokoju. W tej chwili sułtan nie ma powodu was zaczepiać. Ale gdyby doszło do czegoś takiego... odwet będzie natychmiastowy. Bajbars zetrze was z

powierzchni ziemi. A ja mu pomogę. — Bez zmrużenia wytrzymał spojrzenie Willa i skinął głową. — Jeśli wasi podniosą rękę na Czarny Kamień z Mekki, pierwszy sięgnę po miecz.

Will pokiwał głową.

Rozumiem. Dlatego musimy temu zapobiec.

Co zamierzacie?

Na razie wszyscy członkowie Anima Templi prowadzą gorączkowe śledztwo. Musimy

poznać szczegóły, dowiedzieć się, kto jest w to zamieszany. Mając więcej danych,

postanowimy, jak działać. Z pewnością uda nam się powstrzymać spiskowców. Ale Ewerard i ja chcieliśmy, żebyś wiedział, iż spisek obejmuje nieliczne grono. Nie nasz zakon jako całość i nie radę Akki.

Domyślam się — rzekł Kalaun. — Jednakże pomsta spadnie na wszystkich. Ci ludzie z siebie tylko znanych powodów chcą rozpętać wojnę i będą ją mieli. Ja jej nie powstrzymam.

Zapewne. Ale być może zdołasz pomóc nam teraz, nim sprawy zajdą za daleko. Jak

mówiłem, mają poplecznika tu, w Kairze. Może uda ci się trafić na ślad kogoś, kto ma

powiązania z Kajsanem. — Will wzruszył ramionami. — Wiem, że trop jest wątki, ale warto spróbować.

Mam już pewne podejrzenia — rzekł sucho Kalaun.

Tak? — Will był zaskoczony. Kiedy emir milczał, dodał: — Zatem ty, panie, skup się na

znalezieniu łącznika po waszej stronie, a ja zajmę się udaremnieniem tej wyprawy.

Będę musiał dopuścić do tajemnicy jednego z moich oficerów. — mruknął z roztargnieniem

Kalaun. — Ta sprawa ma pierwszorzędą wagę, a sam nie zdołam przeprowadzić śledztwa.

Znam tego człowieka, będzie milczał. Ale teraz jest w Syrii, ma odnaleźć asasynów

zamieszanych w zamach na sułtana. Minie jeszcze trochę czasu, zanim wróci.

Asasynów? — Will gwałtownie poderwał głowę. — Myślałem... Słyszeliśmy, że zginęli przy próbie zamachu?

Tak. Ale ich zleceniodawcy wciąż chodzą po świecie, w każdym razie mamy powody tak

sądzić. Bajbars chce znać ich imiona. Minęło wiele czasu, lecz nie wyrzekł się zemsty. —

Zapatrzony w ołtarz Kalaun nie zauważył, że Will nagle ucichł. — Czy to już wszystko?

Szkoda czasu. Mam sprawy do załatwienia i do przemyślenia w świetle tego, czego się dziś dowiedziałem.

Tak — rzekł ochryple Will. — To wszystko.

Kalaun wstał i zasłonił twarz rąbkiem zawoju. Wyciągnął rękę.

Dziękuję, że mnie ostrzegłeś. — Zamknął dłoń Willa w mocnym uścisku. — Jeśli będziesz miał nowe wieści, pošlij po mego sługę. On przekaże mi wiadomość. — Po krótkiej przerwie emir dodał: — Pokój z tobą.

Will patrzył za nim, a potem ciężko opadł na ławkę.

Dzielnica wenecka w Akce Siedemnasty dzień czerwca

Elwina zносиła z piętra stos pościeli do prania. Była w połowie schodów, kiedy ktoś zakołatał do drzwi.

Ja otworzę! — zabrzmiał dzwięczny głosik i w sieni rozległy się drobne, szybkie kroki

Katariny.

Czekaj! — zawołała Elwina, zbiegając na dół. — Słyszałaś, co mówił ojciec. Musimy być ostrożne.

Dziewczynka przewróciła oczami, ale zatrzymała się posłusznie.

Nie do wiary, jak prędko wróciła do siebie po strasznych przeżyciach. Od napaści na Kabul minęły ledwie dwa miesiące. Elwina wciąż miewała koszmarne sny; prześladowała ją twarz

mameluka, któremu poderznęła gardło. Tymczasem beztroskie dziecko zdążyło już

zapomnieć, jak blisko

było śmierci lub niewoli. Zresztą, nie tylko ono. Mieszkańcy Akki także zapomnieli o rzezi.

Dwa dni temu wróciły do miasta niewiasty i dzieci pojmane w Kabulu, a wraz z nimi

dwudziestu chrześcijańskich rycerzy wypuszczonych z kair- skich lochów. Przywieźli

przeprosiny spisane własną ręką sułtana i kilka worów złota. Andreas obwieścił wczoraj tę nowinę, którą przyniósł mu jakiś klient. Ale choć rodziny ocalonych szalały ze szczęścia, ich powrót przeszedł niezauważony. Uwagę rady odciągnęły świeższe wydarzenia, nieoczekiwany wyjazd króla Hugona, który zostawił pusty tron Ziemi Świętej. Spowodowało to zamieszanie i zmiany układu sił w dostatecznie już chwiejnym rządzie Akki. Wedle tego co mówił Andreas, templariusze i Wene- cjanie próbowali przejąć władzę, zaś Genuńczycy,

joannici i Krzyżacy starali się im przeszkodzić. Rozmaite stronnictwa — panowie ziemscy, gildie i zakony — szukały sojuszników, chcąc zająć jak najkorzystniejszą pozycję. Posłano na Cypr listy,

blagając Hugona, by wrócił, a przynajmniej wyznaczył namiestnika. Król nie odpowiedział. W mieście dochodziło do zamieszek. Zeszłej nocy młody Wenecjanin, syn sekretarza weneckiego konsula, został brutalnie zamordowany na ulicy przez trzech Genuńczyków. Rada miasta miała wydać zakaz opuszczania domów po zmroku.

Zaniepokojony wciąż nabrzmiewającą sytuacją i wciąż boleśnie świadom straty Giorgia i Taqsu, Andreas zebrał domowników i zakazał im wyściubiać nosa poza obręb dzielnicy, dopóki zamieszki nie ucichną. Niewiastom w ogóle nie zezwolił samym wychodzić z domu.

Dlatego też Elwina, ścisnąwszy pranie pod pachą, podeszła do drzwi z bijącym sercem. Nie spodziewali się gości.

W progu stał Garen. Na jego widok poczuła, jak krew napływa jej do policzków. Zaskoczenie zmieszało się z irytacją i wstydem.

Co ty tu robisz?

Kto to? — Katarina próbowała przecisnąć się obok niej.

Wracaj do środka. — Elwina wręczyła jej stos prześcieradeł.

I zanieś to do kuchni.

Ale ja chcę...

Natychmiast!

Dziewczynka uległa i zawróciła do kuchni. Elwina wyszła za próg, zamykając za sobą drzwi.

Na ulicy było gorąco i gwarno.

Nie powinieneś tu przychodzić. Mój pan nie spogląda łaskawie na obcych, którzy nagabują jego domownicy.

Zatem i na Willa?

Nie twoja sprawa. — W oczach Elwiny mignął wściekły błysk.

Przepraszam. To było głupie — wycofał się Garen. — Ale chodzi nii właśnie o niego.

Widziałeś go?

Z początku na wieść o tym, że Will ją oszukiwał, gniew Elwiny rozszalał się jak pożoga i omal nie

unicestwił miłości. Lecz nie mając paliwa w' minionych tygodniach, zaczął

przygasać, zmieniając się w żal, niepewność, a wreszcie pragnienie, by znów go zobaczyć i usłyszeć prawdę z jego własnych ust. Wkradła się też szczypta podejrzania, że Garen ubarwił

lub całkiem zmyśli! tę historię, choć nie mogła dociec, jaki mógłby mieć ku temu powód.

Garena zaskoczył jej gorączkowy, nagły ton. Pokręcił głową.

Przyszedłem, żeby cię spytać o to samo.

Nie. — Podniecenie Elwiny zgasło. — Nie widziałam się z nim.

Mówiąc szczerze, tego się spodziewałem. Jeżeli pojechał do Kairu, wróci najwcześniej za dwie niedziele. Ale wolałem sprawdzić na wypadek, gdyby zmienił plany.

Zdaje się, że wiesz o jego planach więcej ode mnie.

Przykro mi. Nie powinienem był ci mówić. Prywatnie uważam, że Will głupio robi, tając to przed tobą, lecz istotnie to nie moja rzecz.

Elwina znów się zaczerwieniła.

Nie tylko ty zdradziłeś jego zaufanie — bąknęła, spuszcżając wzrok.

Ja także. Miałam nikomu nie mówić, gdzie jedzie i dlaczego. Ale poczułam się tak, jakbyś ty, Will, Ewerard i całe Templum naśmiewali się ze mnie, bo tylko ja nic nie wiem. Byłam

wściekła. Miałam wrażenie, że wszystko, co Will kiedykolwiek mi powiedział, było

kłamstwem. — Podniosła oczy. — I może było. Może wcale nie jest w Kairze. Ale i tak nie powinnam była ci tego mówić.

Garen nagle się uśmiechnął jak mały chłopiec.

Wobec tego oboje zachowajmy w tajemnicy jego sekret.

Odpowiedziała mu uśmiechem, lecz szybko spoważniała.

Będę ci wdzięczna. — Mrużąc oczy, spojrzała na niebo. — Muszę wracać do pracy.

Pokiwał głową i wyciągnął do niej rękę.

Roześmiała się ciut kpiąco na ten męski gest, ale ujęła jego szczupłą, chłodną dłoń. Czuć od niego było winem i jeszcze czymś, słodkim i dymnym.

Kiedy Will wróci, powiedz mu, proszę, żeby do mnie przyszedł. Mieszkam w zamku.

Przecież król wyjechał?

Pozwoli! mi tam zostać pod swoją nieobecność. — Cofną się i dodał: — Pamiętaj, ja się z ciebie nie śmieję.

Stała w drzwiach i patrzyła za nim, póki nie zniknął jej z oczu.

Dżebel Bahra w północnej Syrii Osiemnasty dzień czerwca

Nazir przykucnął nad strumieniem. Nurt toczył się wartko, pienił biało na skałach, które sterczały z dna jak połamane zęby. Zanurzył ręce. Woda była tak zimna, że zdawała się

parzyć. Zawirowała wokół jego dłoni, splukując krew i barwiąc się czerwienią. Czując, jak drętwieją mu palce, zamknął oczy.

Panie?

Obejrzał się. Stał za nim jeden z jego ludzi. Zatopiony w myślach nawet nie słyszał, jak się zbliża. Dwóch innych wysłał na zwiad. Przez ubiegłe trzy tygodnie nie spuszczała z oka

twierdzy. Kiedy Idris nie wrócił, asasyni zaczęli przeszukiwać góry, ale żaden nie dotarł do kryjówki. Pomimo to lepiej mieć się na baczności.

Był jednak zmęczony. Wspomnienia osaczały go zewsząd, mdlił zapach krwi, którą miał zbrukane ręce.

Co jest?

Chyba będzie mówić. — Żołnierz ruchem głowy wskazał jaskinię.

Nazir otrząsnął z rąk krople wody. Skostniałe palce mrowiły. Nie

śpieszył się. Idris już parokrotnie miał mówić i za każdym razem milczał. Siła woli tego człowieka była niewiarygodna.

Zdawali sobie sprawę, że nie pójdzie łatwo. O odporności asasynów na ból krążyły legendy.

Lecz Nazir pracował nad nim już tak długo i nie wydarł zeń nic oprócz krwi. To było

przerażające, nieludzkie. Dwukrotnie jeniec był na skraju śmierci. Raz sam usiłował

pozbawić się życia, próbując rozbić sobie głowę o kamienny filar. Na szczęście tylko się poranił, lecz wystraszył Nazira, który kazał przywiązać mu do głowy złożoną derkę, by na przyszłość zapobiec podobnym próbom. Po tygodniu bicia i ranienia nożem przerzucił się na inny sposób: głodził Idrisa, żeby go osłabić, a potem wmuszał weń trujące zioła, powodując gwałtowne torsje. Miał nadzieję, że półprzytomny jeniec powie coś w malignie. Ale ten,

wycieńczony i na skraju utraty zmysłów, nadal zawzięcie milczał. Musiał go zostawić na kilka dni w spokoju, żeby nabrał sił. Dziś rano wepchnął mu do ust brudny knebel i zaczął obcinać palce.

Przedzierając się przez zarośla, wrócił do jaskini. Idris zwisał bezwładnie w więzach. Opatrzono mu dłonie, lecz krew wciąż sączyła się przez płótno. Skórę — tam, gdzie nie pokrywały jej rany i sińce — miał szarą.

Nazir pochylił się nad jeńcem.

Idrisie.

Asasyn oddychał płytko, z wysiłkiem. Na dźwięk swego imienia otworzył jedno oko, starając się skupić wzrok na prześladowcy.

Będiesz mówił?

Twarz jeńca pozostała nieruchoma, martwa.

Musisz mi powiedzieć — podjął cicho Nazir. — Kończy się nam czas, i tobie, i mnie. Muszę wracać do mego pana. On chce poznać imiona, a ja muszę mu je przywieźć. — Westchnął

zniecierpliwiony. — Nie chcę zadawać ci bólu, Idrisie. Twoje cierpienie... — zatoczył ręką wokół — wszystko to przyprawia mnie o mdłości.

Idris kaszlnął.

Podaj mi imię, a odejdę. Daruję ci życie. — Głos Nazira stwardniał.

Albo zmienię je w jeszcze gorsze piekło. — Chwycił zranioną dłoń jeńca i mocno ścisnął.

Z gardła asasyna wydobył się wysoki, bezbarwny krzyk. Wolną ręką Nazir złapał go pod brodę.

Nie mam więcej czasu. Muszę wracać do Kairu.

Wargi Idrisa poruszyły się powoli. Nazir pochylił się nad nim. Posłyszał chrapliwy szept.

Wypuścił jeńca i zerwał się na nogi.

Nareszcie! — zawołał widząc kątem oka, że ktoś wchodzi do jaskini.

Odsuń się od niego — rozkazał nieznajomy głos.

Odwrócił się gwałtownie i zobaczył przed sobą mężczyznę w czerni. Za nim weszli dwaj inni, w dłoniach mieli sztylety, splamione już krwią. Sięgnął po miecz, nim jednak chwycił za rękojeść, bełt z kuszy wbił mu się w ramię, a impet uderzenia i ból powaliły go na ziemię.

Stuknął przy tym głową w skaliste podłoże. Jak przez mgłę widział, że tamci rozwiązują

Idrisa i podnoszą go z ziemi. Do jaskini weszło jeszcze dwóch. Ciągnęli martwe ciała

wartowników. Czyjaś stopa przygniotła mu pierś, wyciskając dech. Przed sobą widział nowy bełt w łożu kuszy, a za nim twarz mężczyzny, który go postrzelił.

Sunnicka gnida! — splunął tamten.

Czekaj — rozległ się chrapliwy głos. To Idris. Zakaszłał i dodał głośniejsze: — Nie zabijaj go.

A na cóż nam on, bracie? — zdziwił się asasyn. — Patrz, co ci zrobił. Te psy nie mają dość odwagi, by zaatakować otwarcie, więc schwyтали cię żeby się do nas dobrać.

Nie — rzekł z wysiłkiem Idris. — Nie chodzi o nas ani o warownię. On przybył tu z Kairu.

Wysłał go Bajbars, żeby poznać imię Franka, który zlecił zabójstwo. Teraz my możemy go wykorzystać. Jeśli mamy przetrwać, potrzebna nam żywność. Dostaniemy za niego suty okup.

Asasyn cofnął nogę i ucisk zelżał, bełt pozostał jednak wycelowany w pierś Nazira.

Podniesiono go z ziemi, odebrano mu broń i związane ręce. a przy każdym ruchu tkwiący w ranie pocisk przeszywał mu ciało mdlącą falą bólu. Twarz miał pokrytą kropelkami potu.

Oczy zapiekły, gdy wywlekli go z jaskini na jaskrawe słońce. Wyszepcane przez Idrisa obce imię krążyło mu po głowie zrazu mgliście, potem jednak ryjąc się ostro w pamięci:

Wilhelm Campbell...

Templum w Akce Ósmy dzień lipca roku Pańskiego 1276

Miasto płonęło. Nad wenecką dzielnicą wisiała czapa dymu; palił się rząd kupieckich domostw. W kłębach duszących oparów szalał ogień, pożerając drewno i czerniąc kamień.

Dzieci krzyczały w ramionach matek, a zrozpaczeni mężczyźni podawali sobie z rąk do rąk kubły wody z cysterny, bezskutecznie lejąc je w płomienie. Wokół targowiska w dzielnicy muzułmańskiej wybuchło kilka mniejszych pożarów, niszcząc kramy i wozy. Ziemia była

zasłana skorupami i gruzem. Ulicami przebiegały grupy mężczyzn w kapturach, dzierżących pochodnie. Niektórzy szli w szyku, z pieśnią na ustach i nienawiścią w oczach. Ludzie

patrzyli trwożnie z okien, jak z zasadzki za przewróconym w poprzek ulicy wozem zrywa się inna grupa i z wrzaskiem naciera na tamtą. Kiedy się zetknęły, popłynęła krew.

W całej Akce wznoszono prowizoryczne barykady. Działo się tak od dwóch tygodni, gdy napięcie i wrogość, wzrastające stopniowo od wyjazdu króla, przerodziły się wreszcie w otwartą wojnę. Bramy dzielnic trzymano teraz zamknięte przez całą dobę, wprowadzono zakaz wychodzenia po zmroku, po ulicach krążyły straże, lecz w tak wielkim mieście, mozaice tylu sprzecznych interesów, podpalenia, rabunki i napaści zdarzały się nagminnie. Iskrą zapalną okazała się awantura pomiędzy nestorianami z Mosulu i muzułmanami z Betlejem, która wybuchła na jednym z placów targowych. Templariusze, mający kupców z Betlejem pod opieką, wkroczyli na targ i usiłując przywrócić spokój, zabili kilku nestorianów. Za tymi z kolei ujęli się rycerze Świętego Jana i jeden z templariuszy został ciężko ranny. Wynikła stąd gwałtowna kłótnia między wielkim mistrzem szpitalników a Wilhelmem z Beaujeu, która omal nie doprowadziła do rozpadu rady rządzącej miastem. Runął kruchy pokój między zamieszkującymi je społecznościami. Templariusze występowali przeciw joannitom, Wenecjanie przeciw Genuńczykom i Pizańczykom, chrześcijanie przeciw żydom, szyici przeciw sunnitom. Nawet gdy cichły walki, stosunki między przywódcami poszczególnych grup były tak napięte, że nie mogło być mowy o pojednaniu.

Po powrocie przywitały więc Willa smugi dymu i wszechobecny chaos. Brama preceptorium była zamknięta i zaparta; długo musiał się dobijać, nim go wreszcie wpuszczono.

Co tu się dzieje? — spytał wartownika.

Tak jest od wyjazdu króla, komandorze. — Serwiens kiwnął na młodszego giermka, który podskoczył, by odprowadzić konia.

Wyjechał? — Will odwiązał sakwę i podał mu wodze. — Dokąd?

Na Cypr. Rada prosiła go, by mianował bajlifa, lecz na próżno.

Co się stało? Dlaczego wyjechał?

Wartownik zerknął w bok i zniżył głos:

Chodzą słuchy, że w przeddzień pokłócił się z naszym mistrzem.

Twarz Willa spochmurniała.

Dziękuję ci, bracie — rzekł z roztargnieniem.

Panie — rzekł pośpiesznie wartownik, nim Will zebrał się do odejścia — kazano mi cię wyglądać, a gdy wrócisz, prowadzić cię natychmiast do wielkiego mistrza.

Dobrze. — Will zmarszczył brwi. — Umyję się tylko i zaraz przed nim stawię.

Wybacz, ale kazał to uczynić bez żadnej zwłoki, niezależnie od pory' dnia i nocy.

Kryjąc rosnący niepokój, Will poszedł za nim przez dziedziniec do palatium. Mistrz naradzał się właśnie z seneszalem i wielkim komandorem Teobaldem Gaudinem; zatroskany sekretarz kazał mu zaczekać. Will siadł na ławie w korytarzu. Po głowie krążyły mu niespokojne myśli.

Pilne żądanie mistrza, by się natychmiast stawił, dym wiszący nad miastem, opustoszałe

ulice, wieść, że król opuścił Akkę... W głębi czaił się jednak czarniejszy od nich strach, który nękał go od spotkania z Kalaunem, towarzyszył niczym cień w podróży przez pustynię.

Szukają cię. Co będzie, gdy cię znajdą?

To pytanie nie dawało mu spokoju. Pochylił się i objął głowę rękami.

Bracie Wilhelmie?

Podskoczył, gdy ktoś dotknął jego ramienia, i zdał sobie sprawę, że byłby zasnął. Stał nad nim poważny sekretarz; seneszal i wielki komandor właśnie wychodzili. Will podniósł się z ławy. Zdążył jeszcze pochwycić chmurne spojrzenie seneszala, zarzucił na ramię sakwę i

wszedł do świetlicy.

Wilhelm z Beaujeu siedział przy pulpicie. Wskazał mu stojący obok stołek.

Usiądź.

Sekretarz zamknął za nim drzwi i zostali sami. Podchodząc, Will rzucił okiem za okno. Niebo na

południu, nad wenecką dzielnicą, zasnuwał szary dym.

Mistrz zauważył jego spojrzenie.

Wróciłeś do nas w zły czas, bracie Wilhelmie.

Co się tu dzieje, panie? Słyszałem, że król Hugo wrócił na Cypr, nie wyznaczysz nawet namiestnika.

To prawda. Gdy na pustym dziś tronie zasiądzie Karol z Andegawenii, zapanuje spokój. Na razie jednak są inne sprawy, które chcę z tobą omówić. Zamierzałem to zrobić już dawno, lecz nie było cię w Akce. Jak w'noszę, znalazłeś w Syrii ów traktat dla brata Ewerarda z Troyes? Zatem podróż okazała się owocna?

Will bez zmrużenia oka skinął głową.

Ewerard miał szczęście, zyskawszy w tobie pomocnika — rzekł po chwili Wilhelm. — Jego praca jest bardzo ważna; dzięki niej nasz zakon gromadzi cenną wiedzę. Powiedz mi,

Wilhelmie, jak długo go znasz?

Will myślał gorączkowo: do czego on zmierza? Czy wie, że wcale nie był w Syrii? Czy to pułapka?

Szesnaście lat, panie—rzekł, siląc się na lekki ton. — Ewerard wziął mnie pod opiekę, kiedy przybyłem z Anglii do Paryża.

Dlaczego?

Mój pan, Owen, poległ wówczas w Honfleur. Eskortowaliśmy klejnoty koronne Anglii do preceptorium w Paryżu; próbowano je zrabować. Ewerard potrzebował skryby. Byłem piśmienny, a że właśnie straciłem opiekuna... — Will wzruszył ramionami — wybór zdawał się prosty.

Znasz go zatem dość dobrze?

Tak.

Ufasz mu?

Pytanie wytrąciło Willa z równowagi.

Tak... — bąknął i powtórzył stanowczo: — Tak. Zawierzyłbym mu życie.

Mistrz podniósł z pulpitu zwój pergaminu i podał go Willowi. Rzut oka wystarczył, aby go rozpoznać.

To list, który przywiozłeś z Arabii. Potrzebny mi ktoś, kto go przetłumaczy.

Will nieomal słyszał głośnie bicie swego serca.

Sądziłem — rzekł, z rozwagą dobierając słowa — że Kajsan jest naszym szpiegiem...

Zgadza się.

Wybacz, panie, że spytam: czemu zatem posyła nam wieści, których nie jesteśmy w stanie odczytać?

Człowiek, który miał je przełożyć, jest w tej chwili nieobecny, a ja nie mogę czekać. O

zdolnościach Ewerarda krążą w tym zakonie legendy. Jeśli ktokolwiek zdoła odczytać ten list, to właśnie on. — Wilhelm wstał i wyjrzał przez okno. — Mam jednak kłopot...

Milczał dość długo, potem odwrócił się i podjął:

W ubiegłych miesiącach okazałeś się nieoceniony dla zakonu. Bardzo wiele zawdzięczam ci też osobiście. Gdyby nie twa spostrzegawczość i szybkość działania, zginąłbym już w porcie z ręki człowieka najętego przez Soranza. Odkryłeś tożsamość mego wroga i pomogłeś

wymierzyć mu sprawiedliwość, choć wiem, że nie w smak ci były wówczas moje metody.

Wykonałeś dla mnie ważną misję w Arabii, sprawnie dowodząc moimi ludźmi. Od kilku tygodni zastanawiam się, czy wtajemniczyć cię w plan powzięty nieomal przed dwoma laty.

Dziś podjąłem decyzję.

Znów spojrzał w okno i rzekł cicho:

Wilhelmie, zbliża się nasz koniec. Chrześcijaństwo w Ziemi Świętej upada z dnia na dzień.

Walczymy między sobą, nie widząc zagrożeń, które tymczasem zewsząd nas osaczają. Dziś,

jutro albo za parę lat sułtan znów na nas uderzy. A gdy się to stanie, nie będziemy mieli sił, by go odeprzeć. Europa nie myśli już o krucjacie, Mamy coraz mniej sprzymierzeńców. Ale istnieje szansa, by to zmienić. Jedna, jedyna szansa. — Zacisnął pięści, jego głos nabrał

mocy. — Wyobraź sobie tysiące ludzi, którzy biorą Krzyż i płyną przez morze wspomóc nas, swoich braci, którzyśmy przez tyle lat walczyli, by ocalić królestwo Boże na tej ziemi... Jakże możemy dziś zawieść wszystkich, którzy byli tu przed nami, oddali życie jak twój ojciec.

Will przyglądał mu się w milczeniu.

Bajbars walczy ponoć, by odzyskać swe ziemie. Ale ziemie te nie należą do Egiptu!

Odebraliśmy im łup zagarnięty przemocą. A skoro nie przynależy on z prawa do nich, to na Boga, nam winien przypaść w udziale, bo dla nas ta ziemia najświętszą! Tyle chrześcijańskiej krwi w nią wsiąkło...

Czy na próżno? Nie, powiadam! Nie! W bitwie pod Hittinem Saraceni zrabowali nam

największą świętość: część Krzyża, na którym skonał Jezus Chrystus. Od stu lat całe

chrześcijaństwo opłakuje jego stratę. Czyż się nie rozraduje, jeśli w zamian odbierzemy im coś, co należy do nich?

Co? — spytał chrapliwie Will.

Czarny Kamień z Mekki. Ich świętą pamiątkę. Będzie to słuszny odwet; triumf, który tchnie nową wiarę w nasze wojska, tu i na Zachodzie. Ludzie zapragną dokończyć dzieło,

któregośmy się podjęli przed dwustu laty. Rozmawiałem o tym z Edwardem Angielskim,

rozmawiałem też z Karolem. Od miesięcy po cichu szukam poparcia dla nowej krucjaty,

obiecując władcom, że nadejdzie zmiana, tylko muszą być na nią gotowi. Wysłałem nawet

poselstwo do Mongołów.

Egipt nas zniszczy.

Nie — odparł stanowczo Wilhelm. — Nie od razu. Gniew nie zamknie Bajbarsowi oczu na

fakt, że do walki z nami musi się wpierw przygotować. Nim przegrupuje wojska, zdążymy

zwołać nową wyprawę krzyżową, wykorzystując Kamień jako symbol Bożej woli. To jest

nasza szansa, jedyna realna szansa na podjęcie walki z islamem. Jeśli tego nie zrobimy, Saraceni będą nas spychać krok po kroku, aż zabraknie nam miejsca na tej ziemi. Tylko tak możemy przekonać Zachód, że wciąż jest nadzieja, że możemy jeszcze pokonać wroga i

odebrać, co nasze. — Wilhelm usiadł. Oczy mu błyszczały, ale było w nich więcej smutku niż zapału.

Po chwili podjął równym, spokojnym już głosem: — Potrzebuję twojej pomocy,

bracie. Po pierwsze, chcę, byś pokazał list Ewerardowi i poprosił, by go odszyfrował.

Niezależnie od zawartych w nich treści, nie wolno mu ich zdradzić nigdy i nikomu. Upewnij się, że rozumie wagę tajemnicy. Nie angażowałbym go, ale nie mam innego wyjścia.

Plan, o którym mówisz, panie... Czy masz ludzi, którzy ci w nim pomogą?

Tak, ale teraz to nieważne. Jeśli Ewerard odczyta list, powiem ci więcej. Kamień trzeba wykraść i stanie się to najbliższej wiosny. Wybrałem już kilku ludzi, którzy tego dokonają.

Chcę, żebyś stanął na ich czele,

Teraz możemy go powstrzymać!

Ewerard podniósł wzrok znad pergaminu i spojrzał na Willa, który jak w gorączce krążył po izbie.

Gdybyś go słyszał! Jest zupełnie pewny, że czyni dzieło Boże. Powtarza: nasza ziemia! Idea pokoju jest mu całkiem obca!

A tobie nie była? — spytał spokojnie ksiądz. — Zanim pokazano ci odmienną drogę? Zanim wstąpiłeś do Anima Templi?

Will zatrzymał się i wlepił w niego wzrok.

Przyznaj szczerze — ciągnął Ewerard. — Nawet wiedząc, że pokój jest możliwy, że ludzie odmiennych wyznań i obyczajów mogą się sprzymierzyć dla jego osiągnięcia, nawet wówczas zbuntowałeś się i próbowałeś skrycie zamordować wroga. Czy taki czyn był pokojowy?

Will zwilżył językiem wyschłe wargi; poczuł nagłe ukłucie strachu. Miał ochotę zwierzyć się Ewerardowi z tego, co usłyszał od Kalauna w Kairze. Otworzył usta, ale ksiądz nie dopuścił go do głosu.

Nie osądzaj go tak surowo. Zrozumienie jest niezbędne, by mogła zajść przemiana. Musisz sobie uświadomić, że Wilhelm z Beaujeu, jak wielu innych, został wychowany w

przekonaniu, że przez sam chrzest jest lepszy od wszystkich innowierców. Wpajają nam tę wiarę ojcowie, księża i suwereni; ludzie równi nam i stojący od nas wyżej. Czy można się dziwić, że jest powszechna? Zmiana, jak często ci mówiłem, dojrzewa powoli, w ciągu wielu lat. Może dziś ktoś przeczyta jeden z naszych traktatów i znajdzie w nim coś, co go

zastanowi, co każe pomyśleć i z czasem doprowadzi do wniosku, że wszyscy jesteśmy

dziećmi Boga, choć nadaliśmy mu różne imiona. Powie o tym swoim synom i córkom, a ci

może dorosną z mniejszą nienawiścią w sercach. My w Anima Templi jesteśmy medykami,

leczymy z trucizny kolejne pokolenia. Ale leczyć trzeba ostrożnie, delikatnie, inaczej chory może

umrzeć. Gdyby twoim ojcem nie był Jakub Campbell, zapewne inaczej byś ze mną

rozmawiał. Zgodziłbyś się bez zastrzeżeń z wielkim mistrzem.

Nie rozumiem tego. — Will przysiadł pod oknem naprzeciw starego. — Mistrz zatrudnia

arabskich skrybów i wiem, że traktuje ich nie gorzej niż chrześcijan. Gdy pojмалиśmy Sclavia, dopilnował, by szynk zamknięto, a używanych w nim do walki niewolników otoczono opieką.

Tak, odkąd przybył, wielu mu zarzucało zbyt łagodne traktowanie muzułmanów i żydów. Ten człowiek nie jest potworem, Wilhelmie, ani głupcem. Nie żywi nienawiści do ludzi. Chodzi mu o miejsce. Ziemię Świętą, Bożą, jak ją nazywa. Podobnie jak wielu chrześcijan chce

odzyskać Jeruzalem, sądząc, że to właśnie wyznawcy Jezusa są jej prawowitymi dziedzicami.

Nie rozumie, że wszyscy mają do niej prawa, że to miasto należy do ludów różnych Ksiąg, Starej i Nowej, a także Koranu. Żydzi widzą tu miejsce, gdzie Bóg mówił do Abrahama,

nakazując mu złożyć swego syna w ofierze, i gdzie król Salomon pomieścił Arkę Przymierza, w niej zaś prawa, które Bóg dał Mojżeszowi na górze Synaj. Dla nas jest to miejsce śmierci i zmartwychwstania naszego Pana, Jezusa Chrystusa. Dla muzułmanów miejsce, z którego

wstąpił do nieba Mahomet. — Ewerard smutnym wzrokiem zapatrzył się w dal. — Ta

ziemia jest święta dla nas wszystkich. Nie umiemy jednak cieszyć się nią wspólnie; zamiast tego zakrywamy oczy i uszy, tupiąc jak rozzłoszczone dzieci i krzyżąc: „To moje, tylko moje!”.

Teraz mamy szansę położyć temu kres. — Will wskazał trzymany przez księdza pergamin. —

Wystarczy, jeśli powiesz mistrzowi, że nie umiesz go odczytać.

Nie. To byłby błąd. — Głos Ewerarda stwardniał. — Zaniesiesz mu przekład i wypełnisz jego rozkazy co do joty.

Ależ... — Will urwał z niedowierzaniem.

Co twoim zdaniem będzie, jeśli nie przełożę listu? — Ewerard wstał i spojrzał z góry na Willa. — Człowiek, który miał to zrobić, zapewne adresat listu, może w każdej chwili wrócić.

A jeśli nawet nie, znajdą kogoś innego. Nie jestem jedynym, który to potrafi.

Ale opóźnimy, może nawet zniweczymy ich plan.

Wilhelm z Beaujeu przygotowuje go od dwóch lat i zadał sobie wiele trudu, żeby wszystko się udało. Taki drobiazg mu nie przeszkodzi. Znajdzie inny sposób na przeprowadzenie tego, co zamierzył. Jeśli zaś skutek opóźnienia szczegóły, które znamy z listu, miejsce i czas, ulegną zmianie, znajdziemy się w sytuacji gorszej niż do tej pory.

Nie możemy tak ryzykować... — Will potrząsnął głową. — Musimy ukręcić tej sprawie łeb, nim wymknie się nam z rąk.

I ukręcimy — rzekł stanowczo Ewerard. — Wielki mistrz dopuścił cię do swoich spraw; masz lepszą niż ktokolwiek inny szansę interwencji. Nie przedsięwziął tego sam. Mielibyśmy

wykrawać zgniliznę z jabłka, zostawiając w nim robaka? Musimy się dowiedzieć, kim jest ten człowiek w Kairze i kto pomaga mistrzowi tu, na miejscu. Soranzo wiedział o spisku, a dam głowę, że wie o nim także Angelo Vitturi. — Ksiądz spojrział poważnie w oczy młodemu

rycerzowi. — To twoje zadanie.

Prócz niepokoju i zdumienia Will poczuł coś jeszcze: dumę. Od dziecka pragnął ponad

wszystko, aby jego ojciec, a później Ewerard i bracia — do pewnego stopnia nawet wielki mistrz — byli z niego dumni. Teraz miał okazję dokonać wielkich czynów. W rosnącym

podnieceniu próbował odsunąć od siebie tę myśl, ganiąc się, że tak trzeba, tak nakazuje obowiązek. Ale cichy, słodki i kuszący głos śpiewał mu w duchu, że oto sam, własnymi

rękoma ocali chrześcijan w Ziemi Świętej.

Dzielnica wenecka Osmy dzień lipca

Elwina przyspieszyła kroku. Czowała zapach dymu i słyszała pobliskie nawoływania ludzi

usiłujących zagasić pożar, który wybuchł ledwie parę ulic dalej. Na nieszpiorach ksiądz modlił

się za pogorzalców, na co część wiernych zaczęła się domagać odwetu, krzycheć, że znają podpalaczy i że pora wyżenąć Genuńczyków z Akki, tym razem na dobre. Kapłan dokonał

zaiste cudu, powstrzymując ich od natychmiastowego samosądu.

Pasek skórzanej sakwy wpijał jej się w ramię. Niosła w niej próbki tkanin do składu przy ulicy Bławatnej. Wiecznie ostatnio zatroskany Andreas zostawił sakwę na kuchennym stole, a miał się dziś spotkać z ważnym kupcem. Besina odradzała jej wyjście na ulicę, tłumacząc, że Andreas po nie wróci, ale byłoby to marnotrawieniem jego czasu. Wieczór się zbliżał i ulice pustoszały w szybkim tempie. Nadal jednak panował niemiłosierny skwar i duchota.

Gdy skręciła w Bławatną, z pobliskiego zaułka wytoczyło się dwóch mężczyzn. Jeden

spozregł ją i szturchnął kompana w ramię, mówiąc coś, czego nie dosłyszała; ten drugi ryknął śmiechem. Zboczyła na drugą stronę, chcąc ominąć ich z dala.

Witaj, piękna pani! — zawołał do niej pijak po łacinie, w dodatku tak bełkotliwie, że ledwie zrozumiała. Przyspieszyła kroku, lecz mężczyzna ruszył ku niej, powtarzając po francusku:

— Witaj, śliczna!

Ominęła go zręcznie, rzuciwszy mu chłodny uśmiech.

Uśmiechnęła się do mnie! — wybełkotał radośnie.

Pewnie się jej spodobałeś — odparł drugi i zastąpił jej drogę.

A co dla mnie, gołąbko?

Spieszę się. — Serce Elwiny zakołatało ze strachu. — Pozwólcie mi przejść.

A dokądże ci tak śpieszno? — zapytał pierwszy. Prócz czerwonej gęby miał szerokie bary i długą czarną brodę. — Niedługo otrąbią ciszę nocną.

Wiem i właśnie dlatego się śpieszę — ucięła, w tej chwili raczej zła niż wystraszona.

Próbowała ominąć tego drugiego, który był wyższy i cięższy od kompana, brzuch zwisał mu

nad paskiem, a koszulę pstrzyły plamy po piwie. Miał rzadkie czarne włosy i tłustą twarz o dwóch podbródkach, która zdawała się rozplywać, kiedy mówił.

Nie tak szybko — wycedził, zastępując jej drogę.

Elwina uświadomiła sobie, że poza nimi na całej ulicy nie ma nikogo. Kiedy grubas

szyderczo wyciągnął do niej rękę, cała jej buta zniknęła i zaczęła wrzeszczeć na całe gardło.

Zdążyła jeszcze zobaczyć, jak z twarzy napastnika znika pijacki stupor, a pojawia się na niej skupiona czujność. On wcale nie jest pijany, zdążyła pomyśleć, nim pierwszy złapał ją z tyłu, zatykając jej usta. Przyciśnięta do jego szerokiej piersi została wciągnięta w zaułek między dwoma magazynami. Ogarnął ją strach niczym ciemna dusząca płachta.

Gruby zerwał jej sakwę z ramienia.

Co tam ma? — zainteresował się brodaty.

Elwina zaszamotała się gwałtownie, lecz z rękami przyciśniętymi do ciała niewiele mogła zdziałać. Dusiła się w uścisku i każda próba uwolnienia się wyczerpywała jej siły. Udało jej się przekręcić głowę i krzyknąć jeszcze raz, ale brodaty szybko znów zakrył jej usta.

Jedwabie! — Gruby w tym czasie otworzył sakwę. Wrócił pijacki bełkot. — Dostaniemy za nie trochę grosza. Chyba jednak mamy jej za co być wdzięczni.

No, nie wiem — bąknął sceptycznie drugi. — Mogłaby być miłsza.

Na usta grubego wypełził obleśny uśmiech. Ku swemu przerażeniu Elwina poczuła, że ręka

brodatego pełnie jej po piersiach. Całe jej jestestwo krzychało przeciwko takiemu gwałtowi.

Gruby postąpił bliżej i podciągnął jej suknię.

Zostawcie ją w spokoju — rozległ się zimny głos. Elwinie wydało się, że już go słyszała, lecz otępiały ze strachu umysł nie zdołał go przypisać żadnej znanej osobie. Nie dała rady obrócić głowy, widziała tylko lekceważącą wzdargę na obliczu grubasa.

Nie wtrącaj się, chłoptasiu.

Powiedziałem: zostawcie ją.

Zaraz wracam, kochana — zaśmiał się grubas i zniknął jej z oczu. Usłyszała odgłos ciosu i jęk.

Suczy syn! — warknął brodaty i odepchnął ją na bok. Upadła, wyciągając przed siebie ręce. Z

boku dobiegł kolejny jęk i trzask. Ktoś złapał ją pod pachy i pociągnął w górę. Na oślep wymierzyła cios i posłyszała głuche stęknienie, kiedy jej pięść zetknęła się z ciałem.

Elwino, to ja!

Obróciła się gwałtownie i ujrzała Garena, a za nim napastników rozciągniętych na ziemi.

Nie żyją? — zapytała nieswoim, piskliwym głosem.

Chodźmy stąd — pociągnął ją za rękę.

Kilka ulic dalej zatrzymała się nagle.

Czekaj — wyszeptała. — Zaczekaj.

Spojrzała na swoje dłonie, poranione przy upadku, i dopiero teraz zaczęła płakać.

Już dobrze. — Garen delikatnie dotknął jej ramienia. — Nic ci już nie grozi.

To lekkie muśnięcie rozkleiło ją do reszty. Przywarła do niego, kryjąc twarz na jego piersi.

Garen znieruchomiał. Słyszała, jak szybko bije jego serce. Potem niezgrabnie pogłaskał ją po plecach.

Już dobrze — powtórzył zmieszany.

Odsunęła się i spojrzała mu w oczy.

Skąd wiedziałeś?

Słucham?

Skąd wiedziałeś, że tu jestem? Skąd się tu wzięłeś?

Bałem się o ciebie. Ten pożar, tak blisko... Poszedłem do domu kupca i tam mi powiedziano, że poszłaś do składu. Jakaś dziewczynka wytłumaczyła mi, gdzie to jest.

Katarina?

Garen trochę się zmieszał.

Powiedziałem jej, że jestem z Templum i Will mnie przysłał z wiadomością dla ciebie. Po drodze usłyszałem krzyk z zaułka i zobaczyłem cię z tymi ludźmi. Chodź. — Wziął ją pod ramię. — Odprowadzę cię do domu.

W drzwiach domu Andreasa odwróciła się do niego. Oczy miała czerwone, potargane pasma włosów wymknęły się z zawicia.

Dziękuję — powiedziała i weszła do środka.

Garen stał przez chwilę, potem ruszył z powrotem. Za rogiem przyśpieszył. Napastnicy czekali na niego w zaułku. Brodaty siedział na stercie drewna, przyciskając do nosa zakrwawiony gałgan. Spojrzenie miał trzeźwe i twarde.

Nie musiałeś bić tak mocno — rzekł głosem wyzutym z wszelkich śladów' pijaństwa.

Musiałem być przekonujący.

To teraz nas przekonaj złotem, które obiecałeś. — Mężczyzna wyciągnął rękę.

Garen sięgnął do trzosa i odliczył mu na dłoń garść monet.

Sądziłem, że mi pomagacie, bo tak wam kazał wasz król — zauważył kąśliwie.

Król kazał nam zdobyć Kamień, nie uganiać się za służebnymi po zaułkach. — Bertrand

uśmiechnął się szeroko. — Nie powiem, nawet mi się to podoba. Co nie zmienia faktu, że za takie przysługi trzeba płacić.

I to hojnie — dodał gruby, obmacując podbite oko.—A jeśli babsko złoży na nas skargę?

Nie złoży — warknął Garen. Ci Cypryjczycy zaczynali go irytować. Umieli robić mieczem,

ale nie mieli pojęcia o polityce. — Po prostu przez jakiś czas nie pokazujcie się w tej dzielnicy. — Wskazał sakwę, którą gruby ścisnął pod pachą. — To jej?

Mężczyzna zerknął na swego towarzysza. Ten zawahał się chwilę, lecz rzekł:

Daj mu sakwę.

Garen złapał ją w powietrzu i zajrzał do środka. Było w niej kilka zwojów jedwabiu. Wyjął dwa i podał je Bertrandowi.

Macie. Za fatygę.

Uwierzyła ci?

Garen kiwnął głową, związując zerwany pasek. Katarina potwierdzi jego słowa.

No i co teraz? — sarknął Bertrand, gdy ruszyli. — Naprawdę myślisz, że kiedy jej kochaś wróci, zaraz przybiegnie do ciebie i powie ci wszystko, co od niego słyszała?

Nie — rzekł spokojnie Garen, zarzucając sakwę na ramię. — Ale teraz mi ufa.

Cytadela w Kairze Dwudziesty pierwszy dzień sierpnia

Kalaun stłumił ziewnięcie. W sali tronowej było duszno, a narada ciągnęła się od rana.

Emirowie wciąż od nowa przeglądali mapy Anatolii i jej pogranicza.

Tu jest słaby punkt — powiedział Bajbars do Iszandijara, wskazując naniesiony czarnym

tuszem znak nieco na północ od Aleppo. — Możemy zostawić ciężki sprzęt w Aleppo i zrobić szybki rajd samą jazdą. Kiedy zdobędziemy i umocnimy przyczółek na terytorium chana,

piechota podąży za nami, ciągnąc tabory. Musimy posuwać się etapami, żebyśmy nie zostali odcięci.

Iszandijar pokiwał głową, podobnie kilku innych.

Kalaun sięgnął po puchar z kordialem i podniósł go do ust. Słodki napój nieco go ożywił.

Przysłuchiwał się wymienianym uwagom. Po brutalnej egzekucji Mahmuda sytuacja na

dworze znacznie się zmieniła. Nikt już nie śmiał wystąpić przeciw sułtanowi, a ci, którzy wcześniej go krytykowali, teraz pogodzili się bez szemrania z decyzją ataku na Mongołów.

Usunawszy z drogi przeszkody i rozpoczynając kampanię, Bajbars jakby się uspokoił; gładko wszedł w rolę stratega, w której zawsze celował.

Odstawiając puchar, Kalaun spostrzegł jakby ruch na ścianie za tronem. Przeoczyłby go,

gdyby nie patrzył właśnie w tamtym kierunku. Wytężywszy wzrok, dojrzał ciemną kreskę —

cienką, rozszerzającą się w jednym miejscu szparę w wybielonej wapnem ścianie. Po chwili znów coś niej mignęło. Kalaun nieomal czuł utkwione w sobie oczy Kadira.

Po ujawnieniu spisku Mahmuda zaklinacz stracił łaskę sułtana. Większość czasu spędzał teraz, czając się po kątach i podsłuchując. Próbował udobruchać swego pana, znosząc mu informacje, których znajomość wydawała się graniczyć z jasnowidzeniem, Bajbars jednak nie dał się zwieść.

Podczas gdy Kadir mozolnie usiłował odzyskać swą pozycję, Kalaun prowadził własne dochodzenie. Kiedy Wilhelm Campbell powiedział mu

o

roli kairskiego szyity w planowanym świętokradztwie, był nieomal pewny, że zna imię zdrajcy. Kadir był ongiś asasynem — i szyitą. Nie wiadomo było nic o jego pochodzeniu i rodzinie, ale już raz maczał palce w intrydze mającej rozpętać wojnę z chrześcijanami.

No i była jeszcze sprawa Aiszy.

Po śmierci córki Kalaun czuł się tak, jakby wraz z sercem wydarto mu z piersi kawał ciała.

Jedynym, co wypełniało tę ziejącą w nim pustkę, była żądza zemsty. Truciciela nie znaleziono i dla wszystkich poza nim życie potoczyło się dalej utartym trybem. Nizam już naciskała sułtana, żeby znalazł nową żonę dla swego następcy. Bajbars — czym zaskarbił sobie wdzięczność emira — odmówił jakichkolwiek działań w tej sprawie, nim upłynie stosowny okres żałoby, a wojsko wróci z Anatolii. Już nazajutrz po spotkaniu z Campbellem Kalaun zaczął badać przeszłość Kadira, lecz na razie niewiele się dowiedział. Krążyły

pogłoski, że po wygnaniu z bractwa przez parę lat żył jak pustelnik w jaskini na Synaju. Nie wiadomo było, czy ma jakichkolwiek krewnych. Jego życie spowijał mrok tajemnicy. Kalaun jednak nie zamierzał się pogodzić z porażką. Gdzieś, ktoś musiał znać prawdę.

Najjaśniejszy panie... — w drzwiach stanął setnik gwardii.

Mówiłem, żeby nam nie przeszkadzano! — warknął sułtan.

Wybacz, panie, ale zdaje się to ważne. Przybył wysłannik od asasynów z Dżebel Bahra.

Bajbars zmarszczył brwi.

Wprowadź go — rzekł po chwili.

Panie... — ośmielił się zauważyć jeden z namiestników — asasyn? Czy to aby roztropne?

Sułtan nie zaszczycił go odpowiedzią. Do sali wprowadzono mężczyznę w zakurzonej płaszczu. Kilku spośród zgromadzonych wstało, sięgając po broń. Czterech gwardzistów, czuwających pod ścianą z kuszami w pogotowiu, wysunęło się naprzód.

Posel zerknął na nich, powiódł wzrokiem po komnacie i skłonił się przed Bajbarsem. Potem wyjął z zanadrza zwój.

Wasza wysokość — rzekł — przynoszę wiadomość od asasynów.

Dlaczego nie przekazałeś jej oficerowi gwardii? — spytał ostro Bajbars.

Pochodzi z warowni za Kadamus, która nie poddała się twojej władzy.

W oczach sułtana przemknęła chmura.

Czytaj — rzekł.

Wysłaniec złamał pieczęć.

„Sultanie egipski Bajbarsie! — zaczął. — Zabijałeś naszych, teraz jednak my mamy w ręku twego człowieka. Nazir, którego wysłałeś do nas na przespługi, został pojmany, a pozostali zabici. Uwolnimy go w zamian za dziesięć tysięcy bizantów. Połowę dasz naszemu bratu,

który przyniesie ci tę wiadomość. Drugą połowę przekażesz w chwili powrotu jeńca. Jeśli nie zgodzisz się na te warunki, twój człowiek zginie”.

Dziesięć tysięcy! — wychrypiął z oburzeniem sędziwy Jusuf. — To śmieszne! Panie, chyba nie zamierzasz zapłacić im takiej sumy? Cóż tam robił ten człowiek?

Wykonywał mój rozkaz — uciął twardo Bajbars. Zerknął na Kalau- na, potem na posłańca i rzekł: — Przyjmuję warunki.

W sali zerwał się lekki szmer, w którym utonęło triumfalne westchnienie dobiegające z zakamarka za tronem.

grubą tkaniną okna nie wpuszczały światła ani powietrza. W komnacie było duszno, przenikał ją zapach konopi zmieszany z aromatem ambry i aloesu, którymi starał się zagłuszyć woń narkotyku.

Siedział z matką na trawie przed domem w Rochesterze. Było lato, wyschnięta w spiekocie ziemia rodziła brunatne żdźbła. W krzewach grały koniki polne, a jemu ciężki, lepki skwar krępował ruchy, więził jak owada w bursztynie. Matka trzymała na kolanach otwartą księgę.

Srebrnozłote włosy jak woda spływały jej po plecach, okrywając jedwabistym płaszczem łuk wąskich, szczupłych ramion. Poruszała ustami, ale nie słyszał słów. Przejrzysta kropla potu spłynęła jej powoli po białej szyi i zniknęła za wycięciem gieźła. Garen jęknął i szarpnął prze poczone nakrycie.

Słońce nagle zmierzchnęło, na ziemię padł cień. Odwrócił się; nad wschodnim horyzontem wznosiły się wysokie ciemne wieże chmur. Żywopłot zniknął, płaska równina ciągnęła się aż po widnokrąg. Nigdzie schronienia przed nadciągającą szybko burzą. W naładowanym powietrzu wzbierała niszczycielska moc, czuł metaliczny zapach błyskawic. Odwrócił się, wołając matkę. Nie było jej przy nim. Na jej miejscu stała Elwina. Utkwione w nim zielone oczy pociemniały, kiedy nawałnica dopadła ich i pochłonęła.

Ze snu wyrwało go uparte, głośnie walenie. Zdezorientowany dźwignął się do pozycji siedzącej. Jego wzrok powoli nabierał ostrości. W głowie mu dudniło, w ustach miał gorzki posmak. Ktoś dobijał się do drzwi. Garen opuścił bose nogi na lodowatą posadzkę, wstał

chwajnie i powlókł się otworzyć. W progu stało dwóch ludzi. Jednym był pałacowy strażnik, na którego ledwie

spojrzał, bowiem widok drugiego w okamgnieniu rozproszył narkotyczną mgiełkę. Z nieprzyjemnym zdziwieniem rozpoznał błękitno-rdzawe barwy gońców króla Edwarda.

Mężczyzna trzymał w ręku tubę z listem.

Do ciebie, panie — rzekł niechętnie strażnik, obrzucając posłańca kwaśnym spojrzeniem, które bez zmiany przeniósł na Garena. — Mówi, że ma pilną wiadomość z Anglii, którą musi ci oddać do rąk własnych, i nie odejdzie, póki tego nie uczyni.

Posłaniec, niewiele sobie robiąc z jego dąsów, postąpił krok naprzód i wręczył Garenowi zwój, po czym obrócił się bez słowa i ruszył do wyjścia. Garen zamknął drzwi, oparł się o nie, czując, jak bije mu serce. Z narastającym niepokojem złamał woskową pieczęć. Jego wzrok prześliznął się

niecierpliwie po cierpkim pozdrowieniu i spoczął na pierwszej linii tekstu.

Z wielkimi nadziejami otwierałem Twój list dostarczony mi w Londynie w październiku, lecz gdy zaczął go czytać, nadzieje okazały się przedwczesne, a za wód — srogi.

Garen podszedł do stołu i podniósł do ust napoczęty kubek wina. Zwietrzały trunek nie uśmierzył mdłości. Zmusił się, by czytać dalej.

Byłem pewien, że wysyłając Cię do Akki, wydałem Ci jasne i jednoznaczne polecenia. Jak się wszakże zdaje, moja wiara w Ciebie również była pochopna. Kilkakrotnie wspominasz, iż

dzięki Twym staraniom będę mógł wykorzystać Cypr na potrzeby przyszłej krucjaty. Chcesz w ten sposób, jak sądzę, odwrócić mą uwagę od porażki w osiągnięciu głównego celu swej

podróży

tym zaś nie było zdobycie bazy dla przyszłej wojny, lecz złota na bitwy, które przyjdzie mi stoczyć już niebawem. Wyżebrałeś ledwie połowę z tego, co Hugo obiecał; by zobaczyć

resztę, musiałbym wpierw ubłagać Ojca Świętego, aby odwołał planowaną sprzedaż korony

jerozolimskiej. Nie spodziewałem się, że przyjdzie mi tak ciężko pracować na sumę, z której nie ujrzałem jeszcze ani miedziaka. Teraz muszę wyprawić posła do Rzymu, a wszystko

dlatego, że straciłeś zdolność przekonywania. Król Hugo potrzebuje mojego poparcia, błagał

wszak o nie. Trochę więcej zaangażowania z Twojej strony z pewnością wzmogłoby jego

hojność. Co się zaś tyczy Twych przyjaciół z Templum — ich nieuzasadnione skąpstwo

zasmuca mnie jeszcze bardziej.

Otrzymawszy ten list, powiadomisz króla Hugona, że wysłałem już zaufanego emisariusza do Papieża, a następnie go przekonasz, by dostarczył mi resztę obiecanych środków. Później zajmiesz się Ewerardem i jego zbłąkanymi owieczkami. Jeśli nadal będą się wykręcać od

spełnienia moich żądań, przypomnisz im, że herezja karana jest śmiercią i gdyby

niefortunnym zbiegiem okoliczności ich świętokradcze tajemnice ujrzały światło dzienne, z rozkoszą będę przyglądał się egzekucji. Czas na subtelności minął. Nie pozwolę, by moje plany legły w gruzach przez głupców i obłąkańców.

Gdy zdobędziesz pieniądze, zaraz wracaj. Zostaniesz przykładowie nagrodzony za wierną

służbę. Opieszałość ukarzę równie przykładowie.

Garen z trudem przełknął gorzką ślinę i podszedł do łóżka. Rzucił rozmazany, zmięty list na posłanie, schylił się, oparł obiema rękami i zamknął oczy. Targały nim na przemian strach, furia i bezsilność. Nieomal słyszał zimny, pogardliwy głos Edwarda, przy którym zawsze czuł

się głupi i nic niewart. Zatopiony w ponurych myślach nie słyszał otwieranych drzwi dopiero gdy ciężka dłoń spoczęła mu na ramieniu, wzdrygnął się i oprzytomniał. Ujrzał brodatą, zasepioną twarz Bertranda.

Co tu robisz? — warknął. Złość, że dał się zaskoczyć, wyrwała go z apatii. — To moja komnata!

Ta komnata należy do króla Hugona — sprostował zgryźliwie Bertrand. Zatknął kciuki za pas; w tej pozycji wydawał się jeszcze większy i masywniejszy. — Musimy porozmawiać.

O czym?

Minęło wiele niedziel, odkąd dostaliśmy wieść, a ty nie przedsięwziąłeś żadnych kroków.

Garen westchnął i przymknął oczy.

Dałeś memu panu słowo. — Zmarszczka na czole Bertranda zarysowała się głębiej. —

Zamierzasz je złamać?

Groźba w jego głosie zaskoczyła Garena.

Nie. Dałem królowi słowo, że przejmę Kamień, aby mógł zaofiarować jego zwrot Saracenom, i do tego dążę. Nic się nie zmieniło.

Nic? — Bertrand zaśmiał się ochryple. — Te zioła, którymi się odurzasz, zaćmiły ci rozum.

Transakcji dokonano. Chyba zdajesz sobie sprawę, co to oznacza?

Garen znów zamknął oczy. Aż nazbyt dotkliwie czuł brzemień ciężących na nim oczekiwań.

Wiadomość, że Karol wykupił roszczenia do tronu jerozolimskiego, nadeszła istotnie już

ponad miesiąc temu. Król Hugo przesłał ją Balianowi z Ibelinu, którego, acz z ociąganiem, mianował bajlifem w Akce po zesłorocznych rozruchach. Ten ogłosił niewesołą nowinę na swoim dworze. Ten sam posłaniec przywiózł skierowany do Garena list Hugona, w którym

król wyrażał ufność, iż pomoże mu odzyskać koronę, warunkując tym wywiązanie się z

obietnic złożonych Edwardowi.

Widząc, że Bertrand zerka na leżący na łóżku list Edwarda, Garen podniósł pismo i zmiął je w dłoni. Najwyraźniej emisariusz nie zdołał przekonać papieża albo przybył za późno, by zapobiec sprzedaży. Jeśli plan przechwycenia Czarnego Kamienia się powiedzie, będzie mógł

wręczyć Edwardowi coś znacznie cenniejszego od worów złota — samo Święte Miasto.

To nie ja mam dokonać kradzieży — rzekł, odwracając się do Bertranda. — Póki do niej nie dojdzie, mamy związane ręce i musimy czekać. Jesteśmy gotowi. Cóż jeszcze mam ci

powiedzieć? Znasz plan równie dobrze jak ja.

Wiem tylko, że od ośmiu miesięcy uganasz się za tą niewiastą. Po co?

Powtarzałem nie raz — odparł Garen z cierpliwym znużeniem, jakby mówił do dziecka — że jest dla nas najlepszym źródłem informacji.

Podszedł do kosza z węglem i wrzucił do niego list. Pergamin zajął się natychmiast.

Coś niewiele tych informacji jak na tyle spotkań — sarknął Bertrand, bynajmniej nie

udobruchany. — Kiedy napadliśmy ją w zaułku, mówiłeś, że masz ją w garści. To było ponad pół roku temu. Tracimy czas.

Mam jej przypiekać pięty? Nie mogę jej wypytywać zbyt nachalnie; ostatnie, co chciałbym zrobić, to obudzić czujność Campbella. — Garen sapnął ciężko, widząc, że Bertrand nadal przygląda mu się sceptycznie. Ten człowiek był na wskroś żołnierzem. W bitwie byłby

niezawodny, ale próżno od niego oczekiwać przebiegłości. Garena drażnił jego brak

wyobraźni, toteż informował go tylko o podstawowych faktach. Resztę: złożone, dalekosiężne plany, a nawet ustalenie trasy i zdobycie przewodnika brał na siebie. Jak dotąd wszystko toczyło się zgodnie z zamierzeniami.

Gdy zeszłego lata Will wrócił z Kairu, on i Elwina w końcu się pogodzili. Garen nieco w tym dopomógł, delikatnie tłumacząc Elwinie, że rycerz taił przed nią prawdę w trosce o jej

bezpieczeństwo. Jego starania zostały nagrodzone: stosunki tych dwojga wróciły do normy —

z tą różnicą, że Will rozmawiał teraz z Elwiną znacznie szczerzej.

Ponowne spotkanie Willa z Garenem przebiegło nieco mniej przyjaźnie. Kilka dni po

powrocie do Akki i konfrontacji z rozszaloną Elwiną wściekły templariusz sam go odszukał i zażądał wyjaśnień. Garen obrał taktykę skruchy z domieszką urażonej niewinności. Wcale nie miał zamiaru rozmawiać z Elwiną o Anima Templi. Gdyby Will spotkał się z nim, jak

obiecał, nigdy by do tego nie doszło. Ponieważ nikt nie kwapił się mu wyjawić miejsca pobytu Willa, nie miał wyboru — sam zaczął dociekać przyczyn jego zniknięcia. A skądże miał wiedzieć, że Will nigdy nie zdradził

Elwinie, czym się zajmuje? Konwersacja urwała się dość nagle, gdy Will zimno oznajmił, że Edward nie dostanie więcej złota i Garen najlepiej zrobi, wracając bez zwłoki do Londynu.

Bez obaw — powiedział Garen do Bertranda. — Gdy nadejdzie pora, dowiemy się od Elwiny wszystkiego, czego trzeba. Już wiemy, kiedy ma dojść do kradzieży i kiedy templariusze mają opuścić Akkę.

Dowiedzieliśmy się też, że będzie wśród nich twój były druh i jak sam stwierdziłeś, może działać wbrew rozkazom — wtrącił kwaśno Bertrand. — Wzięłeś to pod uwagę? Ponadto nie znamy szczegółów, liczebności grupy ani jej konkretnych planów.

Zachowania Campbella nie możemy być pewni. — Garen zaczął się denerwować. Czuł się osaczony ze wszystkich stron, przez Edwarda, przez Hugona i Bertranda. — Mówiąc szczerze, nie wiem, jak zamierza skłonić towarzyszy do zignorowania jednoznacznego rozkazu wielkiego mistrza. Jak go znam, najprawdopodobniej już po wszystkim sam spróbuje oddać Kamień Saracenom. — Usta Garena wykrzywiły się cierpko. — Lubi zgrywać się na bohatera. Ale my się postaramy, żeby nie miał takiej szansy. Co do szczegółów... musimy być cierpliwi. — Wsunął nogę pod łóżko i wydobył spod niego nocnik. — A teraz mnie zostaw, chcę się ubrać.

W oczach Bertranda błysnął gniew.

Mam już powyżej uszu twoich fochów — warknął. — Barłożysz tu jak wieprz w chlewie, a zdaje ci się, że jesteś panem zamku. Masz wykonać robotę, jak my wszyscy. I na Boga,

dopilnuję, żebyś jej nie schrzanił! — Wyciągnął rękę, chcąc odwrócić go twarzą do siebie, ale nie zdążył. Garen okręcił się błyskawicznie, złapał go za nadgarstek, drugą ręką za gardło wyrzwał nim o ścianę. Żołnierz stęknął boleśnie.

Nie dotykaj mnie — powiedział Garen martwym głosem. — Nigdy.

Bertrand spojrział w jego ciemnoniebieskie oczy i zobaczył w nich dziką, śmiertcioną wściekłość bitego zwierzęcia.

Dobrze — wycharczał, dusząc się w uścisku. — Nie będę.

Garen puścił go i odstąpił o krok, wciąż spięty do ataku, gdyby zaszła
potrzeba.

W głuchej ciszy rozległ się głos dzwonu, pośpieszny i nagły. Bertrand oderwał wzrok od twarzy Garena, w jego oczach odmalował się niepokój. Podeszedł do okna, przewracając nogą pusty kubek, i odgarnął zasłonę.

Do komnaty wdarło się jaskrawe światło. Garen przysłonił oczy.

Co jest? — spytał.

Dzwon na barbakanie — mruknął Bertrand i wychylił się, spoglądając w stronę bramy
zamkowej.

Teraz oprócz dzwonu Garen posłyszał też krzyki i szczęk broni.

Nie zwracając już na niego uwagi, Bertrand wyszedł, dobywając p0 drodze miecza.

Garen wyjrzał przez okno. Mur obronny opadał pionowo do fosy otaczającej zamek; blanki
przesłaniały widok na basztę bramną i zwodzony most, ale odgłosy starcia wyraźnie

przybierały na sile. Narzucił wymiętą tunikę, pośpiesznie wzuł ciżmy i pochwycił leżący obok łóżka
miecz, a następnie pobiegł za Bertrandem. Kto śmiałyby uderzyć na królewską

siedzibę? Kimkolwiek wszakże byli napastnicy, nie zamierzał siedzieć
czekać, aż go tu dopadną.

Korytarze wypełniały się zbrojnymi, którzy słysząc dzwon, biegli do bramy. Dworzanie i
słudzy pojedynczo i grupkami czmychali w przeciwnym kierunku. W głębi korytarza Garen

dosłyszał niski głos Bertranda i skierował się ku niemu. Zastał go w otoczeniu Emeryka i pięciu
innych podkomendnych.

Biegnij po pana Baliana — rozkazał jednemu z nich. — Reszta za mną. — Ruszył pędem,
skrzykując do siebie rozproszonych żołnierzy). Garen poszedł za nimi w pewnej odległości.

Nie miał zamiaru toczyć wojny za króla Hugona, ale chciał wiedzieć, co się dzieje.

Kamienne przejście, dostatecznie szerokie, by mógł nim przejechać wóz, wiodło z dziedzińca do
głównej bramy. Była otwarta, a most łączący z zamkiem zwieńczony dwiema wieżami

barbakan — spuszczone jak zwykle. Bertrand i jego ludzie zderzyli się nieomal z uciekającymi strażnikami. Dwóch było rannych, podtrzymywali ich towarzysze.

Podnieść most! — krzyczał dowódca straży, siwowłosa Cypryjczyk. Trzech mężczyzn podbiegło do kołowrotu.

Co się dzieje? — zawołał Bertrand.

Zdobyli barbakan! — odkrzyknął tamten. — Próbowaliśmy ich odeprzeć, ale przegraliśmy.

Schwytali ośmiu naszych. — Zerknął ku bramie i na jego twarzy odbiła się trwoga. — Cofnąć się! Cofnąć! — krzyknął.

Zamknąć bramę!

Jeśli ją zamkniecie, wasi ludzie zginą — rozległ się donośny, wyraźny głos z zewnątrz. —

Złóżcie broń!

Dowódca straży zawahał się, potem wolno cofnął, trzymając przed sobą miecz wymierzony w kogoś, kogo nie było widać. W ślad za nim cofała się straż i ludzie Bertranda, także ci od kołowrotu.

Spychany do tyłu przez ciżbę, Garen dał nura na wąskie schody i stanął wyżej, żeby

cokolwiek widzieć. Za cofającym się kapitanem straży weszło kilkunastu zbrojnych w

barwach, jakich nie rozpoznał. Prowadzili pod bronią strażników ujętych w barbakanie. Dalej postępowało siedmiu mężczyzn w paradnych szatach. Idący w środku wyróżniał się nie tylko szczególnie bogatym strojem — złotolitą suknią okrytą szkarłatnym płaszczem — lecz także pewną siebie, wyprostowaną postawą. Głowę zdobił mu aksamitny biret z łabędzim piórem.

Miał miękką, krótko przystrzyżoną brodę i młodzieńczą twarz, która byłaby przystojna, gdyby nie szpeciła jej pycha.

Garen patrzył na to wszystko osłupiały. Kolejnych dziesięciu mężczyzn należało do

weneckiej straży miejskiej. Pozostałych pięciu, również wyróżniających się jednolitym

strojem, było templariuszami. Pochód zamykali chorąży ze sztandarem, jakiego Garen jeszcze nie widział. A raczej widział już obie jego części, lecz oddzielnie. W jednym polu widniał

złoty krzyż jerozolimski, w drugim złote lilie Francji na lazurowym tle,

Rzućcie broń — powtórzył człowiek w szkarłatnym płaszczu.

Słyszając kroki w głównym korytarzu, Garen wyrwał ze schodów. Zobaczył tęgiego mężczyznę o myszoburzych włosach, z wydatnym brzuchem, w asyście kilku doradców i strażników zamkowych. Był to Balian, namiestnik Hugona w Akce.

Na widok intruzów zatrzymał się nagle. Spojrzał na sztandar i stojącego pod nim mężczyznę w szkarłacie.

Co to ma znaczyć? — W zwykle spokojnym głosie bajlifa zabrzmiała wściekłość. Wzrok prześliznął się po stojących z kamiennymi twarzami templariuszach.

Ty, panie, jesteś baronem Ibelinu?

Ja. Zamek i miasto są pod moimi rozkazami. Kim jesteś, że śmiesz się tu wdzierać i dobywać broń przeciw moim ludziom?

Jestem Roger z San Severino, hrabia Marsiki. Przybyłem tu na polecenie jego wysokości

Karola, z Bożej łaski króla Sycylii, Jeruzalem, Albanii et cetera. Mam zająć twoje miejsce jako bajlif tego miasta i kraju, dopóki król sam nie obejmie tronu.

W otoczeniu Baliana podniósł się szmer oburzenia. Bertand miał twarz posępną niczym chmura gradowa. Roger z San Severino skinął na jednego z towarzyszących mu ludzi, który sięgnął do sakwy i wydobył z niej zwój pergaminu.

Mam tu oświadczenie podpisane przez króla Karola, a także papieża Jana oraz Marię Antiocheńską, która ceduje na mego pana swoje prawa do tronu.

Balian potrząsnął głową.

Maria z Antiochii nigdy nie była uznaną dziedziczką tego królestwa. Wysoka Rada Akki zgodziła się co do tego, że korona przynależy memu panu, królowi Hugonowi. Rzekome prawa, za które wasz król zapłacił złotem, są nic niewarte.

To decyzja rady jest bezprawna — odparował Roger; jego butny głos poniósł się echem wśród murów. — Uchylił ją sam papież. Ustąp

oddaj mi władzę albo poniesiesz przykre konsekwencje. — Ruchem ręki wskazał Wenecjan i templariuszy. — Konsul wenecki poparł decyzję papieża, podobnie zakon Świątyni.

Ślubowali wierność królowi Karolowi, którego osobę tu reprezentuję, i pomogą mi objąć należne miejsce takimi środkami, jakie będą konieczne.

Balian spojrzął na templariuszy.

Wielki mistrz z Beaujeau podniesie broń przeciw mnie? Przeciwno bajlifowi Akki?

Tak uczyni — wyręczył ich w odpowiedzi Roger.

Kilku dworzan ze świty Baliana kręciło głowami. Żołnierze wpatrywali się weń z naciskiem, ale bajlif przesunął po nich niewidzącym spojrzeniem

znów zawiesił wzrok na wysłanniku Andegaweńczyka.

Wygląda na to, że nie mam wyboru — rzekł cicho i obejrzał się na wstrząśniętych

Cypryjczyków. — Cóż mam począć? — Nikt nie znalazł na to odpowiedzi. — Złóżcie broń, jak każe wam wasz nowy pan.

Hrabia wszedł do zamku i jego ludzie zaczęli rozbierać straż. Wściekły wzrok Bertranda

odszukał w tłumie Garena. Żołnierz patrzył nań przez chwilę, potem z ociąganiem opuścił

miecz i ruszył do wyjścia, Emeryk za nim. Garen wbiegł na schody i zniknął, zanim ludziom Rogera wpadłoby do głowy i jego rozbroić.

Niewiele później chorąży Rogera zeszli z wieży, ciągnąc za sobą wiotki sztandar Hugona

niczym strugę krwi. Nad Akką łopotą teraz dumnie

wyzywająco chorągiew ze złotym krzyżem i kwiatami lilii. Karol, największy

sprzymierzeniec Templum, miał miasto w swojej mocy. Układ sił znów się zmienił.

Templum w Akce Dwudziesty dzień lutego

Wilhelm z Beaujeu rozpostarł mapę na stole. Stojący po jego lewicy Zachariasz przycisnął pucharem zwijający się brzeg pergaminu.

To jedyna mapa ukazująca Hidżaz i miasto Mekkę, jaką udało nam się zdobyć. — Wilhelm

wskazał punkt przy prawym skraju mapy. — Tu jest wioska Ula, gdzie spotkacie się z

Kajsanem w meczecie, jak ustalono. Zostawicie tam przewodnika i udacie się z szyitami do Mekki.

Słuchając go, Will rozejrzał się wokół stołu. Twarze Zachariasza, Franciszka, Armanda i Rogera były poważne, wszyscy czterej wzrok mieli skupiony na mapie. Jediną osobą, która najwyraźniej czuła się nieswojo, był Robert z Paryża. Napotkawszy jego spłoszony wzrok, Will odwrócił głowę.

Z tego co udało się ustalić — mówił dalej mistrz — podróż z Uli do Mekki potrwa dwie niedziele, może dłużej. Nie wiem, jak Kajsan wprowadzi was do miasta ani w jakim przebraniu tam wejdziecie, ale musimy mieć nadzieję, że będzie ono wystarczająco dobre, by zmylić mame- luckie oddziały, które patrolują tę trasę. Na czas kradzieży wybrano miesiąc poprzedzający wielką saraceńską pielgrzymkę, albowiem w tym czasie drogi i samo miasto będzie mniej ludne, większość pątników czeka bowiem na hadżdż. Ponadto wstrząs będzie silniejszy, gdy wielka pielgrzymka przestanie mieć rację bytu. — Wilhelm zachrypiął, odchrząknął sięgnął po puchar, żeby zwilżyć gardło. — Ale oznacza to również, że grupa podróżnych przyciągnie większą uwagę.

Will pomyślał o liście, wiezionym teraz wzdłuż wybrzeża. Za parę dni powinien dotrzeć do Kairu. W zaw'olowanych słowach pisał w nim Kalau- nowi, że plan wszedł w życie, lecz do kradzieży nie dojdzie. Słuchając wszakże teraz wielkiego mistrza, czuł, jak opadają go wątpliwości, znika dawna pewność, że zdoła zapobiec katastrofie.

Mistrz zdawał się w'olny od złych przeczuć. Skończywszy mówić, spojrzał na Zachariasza i Willa.

Wierzę jednak głęboko, że zdołacie pokonać wszelkie przeciwności, jakie napotkacie po drodze. — Puknął palcem w duże kółko w lewym dolnym rogu mapy, otoczone wiankiem arabskich liter, modlitwą na cześć Allaha. W jego środku mniejsze kółko z czarną kropką wewnątrz oznaczało wielki meczet z Kaabą. — Czarny Kamień umieszczony jest w ścianie

świątyni. O ile wiemy, przytrzymuje go tylko srebrna obręcz, tak że łatwo go będzie wyjąć.

Musimy wnieść do meczetu kosz lub dużą sakwę — zauważył Will.

W drodze do Uli będziecie udawać chrześcijańskich kupców. Powieziecie przyprawy w koszach przytroczonych do koni. Będą na tyle duże, że któryś z nich pomieści Kamień. —

Wilhelm przyjrzał im się kolejno, najdłużej zatrzymując wzrok na Willu. Oczy miał zmęczone, przygaszone.

Macie jakieś pytania?

Kiedy nikt się nie odezwał, mistrz skinął głową.

Dobrze więc. Wyruszycie za pięć dni. Do tego czasu wypocznijcie, na ile zdołacie. Macie przed sobą wyczerpującą podróż.

Rycerze skłonili się i ruszyli do drzwi.

Bracia! — zawołał za nimi Wilhelm. — Czy macie świadomość, dlaczego musicie to zrobić?

Zachariasz zerknął na komandora, czekając, aż odpowie w imieniu wszystkich.

Will wytrzymał pytający wzrok wielkiego mistrza.

By ocalić chrześcijaństwo, panie — rzeki cicho.

By ocalić chrześcijaństwo... — powtórzył jak echo Wilhelm. — Pamiętajcie o tym w drodze, cokolwiek was na niej czeka. Pamiętajcie

o

przysiędze złożonej mnie i Templum. — Zmarszczki na jego czole pogłębiły się. —

Niech Bóg was strzeże.

Will wyszedł ostatni. Zamykając za sobą drzwi, zobaczył Roberta, który czekał na niego w korytarzu.

Musimy pomówić — rzekł rycerz.

Will skinął głową.

Chodźmy do dormitorium. Zaraz wieczera, powinno być puste.

Przeszli razem do kwatery, którą Will dzielił z czterema innymi komandorami. Znajdowała się na górnym piętrze i była większa od innych komnat w budynku mieszkalnym. Zgodnie z

przewidywaniami nie było w niej nikogo.

Robert wszedł do środka i złapał się za głowę.

Nie do wiary — szepnął. — Jak to w ogóle możliwe?

Podszedł do okna i oparł dłonie na parapecie. Jego nieustająco dobry

humor pierzchł, wyparty przez niepokój i powagę, o jaką nikt by go nie podejrzewał. Will poczuł nagle brzemię odpowiedzialności. Nie był już pewien, czy aby postąpił słusznie,

wciągając w to przyjaciela.

Pomysł był jego, a Ewerard mu przyklasnął. Plan zdawał się dosyć trudny do przeprowadzenia pod okiem Sycylijczyków, zwłaszcza gdyby Will miał go wykonać sam.

Ostatecznie po długim namyśle postanowili wtajemniczyć Roberta. Kiedy już wyjaśnili osłupiałemu rycerzowi, co zamierza wielki mistrz i co muszą udaremnić, Will podjął się przekonania Wilhelma z Beaujeu, aby włączył Roberta do akcji. Nie napotkał sprzeciwu.

Robert był już do pewnego stopnia wprowadzony w sprawę, brał przecież udział w pojmaniu Sclavia i doręczeniu listu Kajsanowi. Will powiedział jasno, że zna Roberta od czternastego roku życia i nikomu nie ufa bardziej od niego, gdy trzeba pilnować pleców.

Wciąż nie rozumiem, dlaczego wielki mistrz chce to zrobić

wyrzucił z siebie Robert. — Właściwie podpisał na nas wyrok śmierci. Na nas wszystkich, każdego chrześcijanina w Ziemi Świętej.

Wierzy, że tylko w ten sposób może nas ocalić. — Will stanął obok niego. — Wie, że Zachód nie poprze nowej krucjaty, jeśli nie da mu się naprawdę dobrego powodu. Stare hasła nie budzą już odzewu. Ludziom trzeba konkretów, żeby się ruszyli z domu. Wilhelm z Beaujeu

postrzega zabór Kamienia jako odwet za kradzież Świętego Krzyża. Liczy na to, że Zachód też tak to odbierze.

Naprawdę myślisz, że królowie zwołają krucjatę, jeśli to zrobimy?

Nie wiem. — Will westchnął głośno. — Może. Dzięki swemu stanowisku i związkom z francuskim domem panującym nasz mistrz cieszy się dużym poparciem. Wiem, że rozmawiał z królem Edwardem, no i oczywiście jest jeszcze Andegaweńczyk. Teraz, kiedy przejął władzę w Ziemi Świętej, może zechce ją wyzwolić spod jarzma mameluków.

Robert zwiesił głowę i potrząsnął nią w desperacji.

Wybacz. — Will położył mu rękę na ramieniu. — Nie powinienem był cię w to angażować.

Po prostu kręci mi się w głowie. Miałeś parę miesięcy na oswojenie się z tym pomysłem, ja tylko trzy dni. — Zaśmiał się krótko. — Żyję sobie spokojnie, robiąc co do mnie należy, i jedyna rozterka, jaka może mnie trapić, to wybór mięsiwa przy wieczerzy, a nazajutrz

wysyłają mnie tysiąc mil przez okrutną pustynię, abym skradł najświętszą saraceńską relikwię pod

nosem wroga w mieście, do którego chrześcijanin nie może nawet wejść. Dylemat:

„koźlę czy dziczyzna?” się do tego nie umywa

prychnął.

Powiedziałbym ci wcześniej, ale do końca mieliśmy z Ewerardem nadzieję, że sprawa rozejdzie się po kościach bez rozgłaszania. Im mniej ludzi o niej wie, tym lepiej.

Rozumiem was, ale teraz nie pora na trzymanie wody w ustach. Tkw ię w tym po uszy, a żeby było śmieszniej, to na rozkaz samego wielkiego mistrza. Muszę wiedzieć wszystko. Zaczniј od tego, jak u licha ty i Ewerard zostaliście... — zawahał się — ...zdrajcami. Bo to jest zdrada, Will. I jeśli ktoś się dowie, zostaniemy przykładnie ukarani. Na Boga, sam nie jestem święty, zdarza mi się nagiąć regułę, zgrzeszyć obżarstwem czy zaniedbać modlitwę albo w czasie kazania myśleć o ślicznotce widzianej na targu... Ale nigdy nie złamałem rozkazu przełożonego, choćbym się i z nim nie zgadzał. A ty występujesz przeciw wielkiemu

mistrzowi, ba! przeciw zakonowi! I prosisz mnie, żebym cię w tym wspomógł.

Wiesz, co się stanie, jeśli wykonamy rozkaz. Sam to powiedziałaś. Zginą wszyscy chrześcijanie w Ziemi Świętej. Nie mogę ci powiedzieć wszystkiego, a w każdym razie o spisku, w którym bierzemy z Ewerardem udział. Za wcześnie, a zresztą nie to jest najważniejsze. Powiem ci za to, jak zapobiegniemy kradzieży.

Jak?

Za pomocą fałszerstwa.

Robert pytająco uniósł brwi.

Odkąd się dowiedzieliśmy o planowanej kradzieży, Ewerard przestudiował każdy tekst i rysunek, każdy dostępny opis Kaaby i samego Kamienia. Rozmawiał z muzułmanami, którzy go widzieli, będąc na pielgrzymce, pod pretekstem że pisze traktat o świętych zabytkach. — Will wzruszył ramionami. — Reszta była prosta, wystarczyło znaleźć kamień pasujący rozmiarem i kształtem do oryginału. Nie jest duży, łatwo go więc będzie ukryć w czasie drogi. Został umazany sadzą i polakowany, żeby dać pożądaný efekt. Z tego co wiemy, prawdziwy przypomina raczej czarne szkło niż kamień.

Cheecie go podmienić? — Robert patrzył nań z niedowierzaniem.

Wejdziemy do wielkiego meczetu — ciągnął Will — tak jak zaplanował mistrz. Każę Zachariaszowi i tamtym nas osłaniać, podczas gdy my sami podejmiemy do sanktuarium.

Tam udamy, że wypełniamy rytualne modły, które Ewerard dokładnie mi opisał. Plan przewiduje, że w tym czasie mamy dokonać kradzieży. Kiedy wrócimy, bracia będą myśleć, że się nam udało. Tymczasem jednak kamień, który przywieziemy mistrzowi, nie będzie świętszy od rzecznego otoczaka.

A więc Czarny Kamień w ogóle nie opuści meczetu?

Nawet go nie dotkniemy.

Robert milczał przez chwilę.

Kiedy wojna nie wybuchnie, wielki mistrz domyśli się, że został oszukany.

Skąd? Będzie przecież miał kamień w ręku.

I zwoła wojska.

Skończy się na paru granicznych potyczkach. Choćby głosił wszem wobec, że ma Czarny Kamień, muzułmanie temu zaprzeczą. Wyjdzie na głupca.

I wtedy dobierze się do nas.

Will potrząsnął głową.

Wykonaliśmy rozkaz. Przywieźliśmy mu kamień. Widać imamowie z Mekki ze strachu przed konsekwencjami ukryli fakt, że stracili relikwię.

Westchnął. — To najlepszy pomysł, jaki przyszedł nam do głowy, i taki, który ma największe szanse powodzenia.

Ciarki mnie przechodzą na myśl o tych gorszych.

Możemy jeszcze zabić Zachariasza, Rogera, Armanda i Franciszka, a potem wrócić z pustymi rękami, mówiąc, że nakryto nas na kradzieży.

Słyszając z ust druha te słowa wypowiedziane zimno, rzeczowo i poważnie, Robert

zesztywniał. Patrzył na Willa w milczeniu, widząc w jego oczach coś, co go zaskoczyło — twardą, niemal gorączkową determinację. Will był w to osobiście zaangażowany, o wiele głębiej, niż Robert z początku podejrzewał. To go otrzeźwiło.

To nie jest dobry plan — stwierdził gorzko.

Nie. — Will odwrócił wzrok. — Uwierz mi, przemyśleliśmy z Ewerardem każdą ewentualność. Jedyne sposoby, byśmy nie splamili sobie rąk zabójstwem, a zarazem nie narazili życia i bytu w zakonie, to udanie, że wypełniliśmy rozkaz.

To nie będzie łatwe. — Robert spojrzął przez okno na ciemniejący dziedziniec.

Nie. Ale musimy spróbować.

Wilhelm z Beaujeu bez pośpiechu zwinął mapę, wygładzając zagięcia na pergaminie. Dzień już zmierzchał, w kątach komnaty gromadziły się cienie. Nie zapalał świec, oczy przywykły do zmroku, wystarczał mu poblask ognia na kominie. Jego uwagę przykuło wymalowane blisko brzegu mapy kółko oznaczające Mekkę. Patrzył przez chwilę na zamkniętą w nim czarną kropkę, walcząc z ogarniającym go złym przeczuciem.

Nękało go od kilku miesięcy, ale był zbyt zaferowany, by je sobie uświadomić. Zmęczenie i niepewność przypisywał trudnościom po wyjeździe króla Hugona zeszłego lata: najpierw zamieszkom, potem wieści, że Hugo w odwecie skonfiskował kilka posiadłości zakonu na Cyprze. Teraz władzę w mieście sprawował bajlif Karola i jak dotąd nikt z popleczników Hugona nie podał głośno w wątpliwość praw Andegaweńczyka do Ziemi Świętej. Zatem Wilhelm nie miał już powodu do zmartwień, a jednak martwił się coraz bardziej i mając już przed sobą tylko planowaną kradzież Czarnego Kamienia, nagle zdał sobie sprawę ze źródła swego niepokoju.

Była nim właśnie kradzież.

Na początku był święcie przekonany, że czyni słusznie. Chciał dobra chrześcijaństwa, nie tak jak Yitturi i inni kupcy pragnący tylko napęścić

sobie trzosi. Wciąż w to wierzył, ale coś się jednak zmieniło. Zwątpienie, wcześniej głęboko pogrzebane, zaczynało kiełkować coraz śmieiej. Wynurzało się niczym zatopiony statek

pociągnięty falą przyływu. Z każdym miesiącem rosło i teraz stało przed nim jak mur, twarde i brzydkie. Oczekiwał wieści, że król Edward wyposaży liczne statki, papież posłał legatów, by głosili świętą wojnę na ludnych jarmarkach, Karol zbiera mocną armię i również w warsztatach skutniczych templariuszy w La Rochelle powstaje flota wojenna. Ale wieści nie było. Była tylko cisza i dręczące go myśli. Bez krucjaty nie mógł mieć nadziei na odparcie zjednoczonych sił muzułmańskich. Bez krucjaty Ziemia Święta skazana była na zagładę.

Oderwał wzrok od mapy, zwinął ją do końca i owiązał sznurkiem. Potem podszedł do okna.

Zacisnął dłonie na futrynie, czując, jak owiewa go chłodna i kojąca wieczorna bryza. Cztery dni temu był u niego Vitturi z pytaniem, czy wszystko gotowe. Wilhelm ukrył przed nim

swoje wątpliwości. Teraz musiał ukryć je przed sobą, trzymać się obranej drogi; zaufać

sobie... i Bogu. Wiedział, że plan jest ryzykowny, ba! szalony! Ale nie czynić nic byłoby jeszcze gorzej. Tak mieli przynajmniej szansę. Brak wieści niekoniecznie oznaczał, że ci, którzy przyrzekli pomoc, złamali słowo. Musiał w to wierzyć.

Odwrócił się od okna i spojrzał na dużą haftowaną oponę zdobiącą ścianę komnaty. Wbił spojrzenie wbiałego jedwabnego Chrystusa na Krzyżu.

Ty też zwątpieś — szepnął. — Zwątpieś, lecz Twój Ojciec cię ocalił.

Opadł na kolana i splótł ręce mocno, kurczowo, jakby mógł w ten sposób przydać siły modlitwie. Klęczał długo, aż ogień wygasł, a nad Akką zapadła noc.

Port w Akce

Dwudziesty piąty dzień lutego roku Pańskiego 1277

Już chciałbyś być gdzie indziej, prawda?

Zaskoczony Will spojrzał na Elwinę. Oczy miała znużone, zrezygnowane, puste.

Nieprawda! — zaprotestował, biorąc ją za rękę. — Po prostu się zamyśliłem.

Siedzieli razem na kamiennej ławie przed izbą celną, mrużąc oczy w jaskrawym porannym

słońcu. Woda w porcie miała szmaragdową barwę, łamiące się na falochronie bryzgi skrzyły się złociście. Wokół krzatali się przy swoich pracach robotnicy portowi i rybacy. Will, skupiony na własnych myślach, w ogóle ich nie widział.

Myślisz o Arabii? — w głosie Elwiny zabrzmiał niepokój, ale tego też nie zauważył.

Sama podróż będzie dostatecznie ciężka, nie mówiąc o tym, co nas czeka u jej kresu. — Jego wzrok znów utkwiał w dali, czoło przecięła zmarszczka. — Tyle może się zdarzyć...

Nie mów tak, Will — wtrąciła cicho — proszę cię.

Chyba w ogóle nie powinienem o tym mówić — powiedział trochę ostrzej, niż zamierzał.

Nie możesz mnie winić za to, że się martwię. — Elwina cofnęła dłoń.

Zresztą nie powiedziałaś mi prawie nic. W każdym razie ostatnio.

Bo zawsze się martwisz, a ja nie chcę cię w to mieszać. — Poszukał wzrokiem jej oczu. Nie patrzyła na niego. Delikatnie dotknął palcem jej brody, obracając ku sobie jej twarz. —

Wiesz, dokąd jadę i dlaczego. Nie musisz znać szczegółów.

Uciekła spojrzeniem; patrzyła teraz na rząd statków kołyszących się na wodzie jak starzy pijacy. W rzeczywistości niekompletna wiedza była znacznie gorsza od całkowitej niewiedzy. Czowała się tak, jakby chciała coś zobaczyć przez rybi pęcherz, zawiedziona i wściekła, że obraz jest niewyraźny. Ale nie miała sił tłumaczyć tego Willowi.

Will zagryzł usta i wyciągnął przed siebie nogi.

A zatem — rzekł, siląc się na lekki ton — co planujesz robić w najbliższych tygodniach?

Zbliża się wielkanocny jarmark, pewnie Andreas nie da ci chwili wytchnienia.

Kiwnęła głową bez słowa. Zawahał się, lecz przemógł niechęć.

Spotkasz się z Garenem?

Poczuła, jak gorąca krew napływa jej do policzków. Starając się ukryć rumieniec, znów odwróciła głowę — tym razem ku rybakom targającym z łodzi sieć pełną srebrzystych ryb.

Skąd mi to wiedzieć? — odparła nonszalancko. — Jeśli zobaczę go na ulicy...

Albo przyjdzie do domu?

Odwróciła się gwałtownie.

Katarina mi mówiła — wyjaśnił, z niepokojem obserwując grę kolorów na jej twarzy. —

Pytała, kto to jest.

Serce tłukło się jej w piersi; była pewna, że Will je słyszy. Z nieczystym sumieniem przypomniawszy sobie wszystkie odwiedziny Garena. Ot, choćby w zeszłym tygodniu przyniósł

jej romans, którego nie znała. Napomknęła

o

nim w rozmowie i fakt, że Garen o nim pamiętał, mile ją zaskoczył. Stali na progu, w chłodnym cieniu domu, Garen czytał jej urywki, bawił rozmową. Ku własnemu zdziwieniu

rozmawiała z nim tak szczerze, jak chyba z nikim. Może dlatego, że wiedział o Anima

Templi, mogła mu się zwierzać ze swoich obaw. Rozumiał je i współczuł, dzięki czemu nie czuła się tak bardzo samotna. W każdym razie tak to sobie tłumaczyła.

Will wciąż na nią patrzył.

Nie mówiłam ci, bo nie chciałam, żebyś się złościł. — Wzruszyła ramionami. — Nie zachęcam go. Co mam poradzić na to, że przychodzi?

Powiedzieć, żeby zostawił cię w spokoju.

Nie. — Elwina wstała. — Nie będziesz decydował, kogo mam widywać, a kogo nie. Ja nie mam nic do powiedzenia w twoich sprawach. Będę rozmawiać z kim zechcę, choćby i z Garenem z Lyonu.

Will także się podniósł i stanął przed nią.

To nie jest dobry człowiek, Elwino. Nie ufam mu.

A ja tak.

Dlaczego? Myślałem, że po tym co zrobił nam w Paryżu... Co się zmieniło?

On. — Elwina spojrzała na niego gniewnie. — Wytłumaczył mi przyczyny i nie winię go za tanto. Dotrzymywał mi towarzystwa ostatnio, kiedy ty... — urwała.

Kiedy ja cię zaniedbywałem — dokończył gorzko.

Nie kłóćmy się — szepnęła. — Nie dzisiaj. Jutro wyjeżdżasz.

Też tego nie chcę — rzekł cicho i znów ujął ją za rękę. — Wracajmy.

Apatycznie ruszyła za nim przez nabrzeże. Oboje milczeli. Nastrój pojednania pierzchł.

Kiedy Will zeszłego lata wrócił z Kairu, ugiął się przed jej furią i przyznał, że taił prawdę.

Opowiadał jej długo o swoich działaniach w zakonie i powodach, dla których ukrywał je

również przed nią — tak jak przypuszczał Garen, żeby jej nie narażać. Tłumaczył, dlaczego po śmierci ojca próbował zabić sułtana, i w końcu, wzruszona i nieco zbita z tropu tą

ekspiacją, dała się udobruchać.

W następnych miesiącach ich wzajemne stosunki były najlepsze od lat, może nawet lepsze niż kiedykolwiek. Will odwiedzał ją częściej, słuchał jej uważniej, przynosił podarki — kwiaty z klasztornego wirydarza albo gęsty miód ze spiżarni, który zlizywali sobie potem z palców, aż robiło im się mdło od nadmiaru słodyczy. W tych ostatnich dniach lata Elwina czuła z nim silniejszą niż dotąd więź, ciepły kokon miłości, który nadal ją otulał, gdy się rozstawali. Ale przyszła jesień, potem zima, i uczucie zaczęło blednąć.

Jego odwiedziny znów stały się krótsze i rzadsze; widziała, że myśli

czym innym. Powtarzała sobie, że Will ma ważniejsze zadania, którym musi poświęcić

wszystkie siły, chcąc zapobiec rzezi, a gdy już to osiągnie, wróci do niej. Czuła jednak, że sama się okłamuje. Nie mogła zamykać oczu na to, że się od siebie oddalają. W końcu

uświadomiła sobie, brutalnie

boleśnie, że zawsze będzie zajmować w jego myślach drugie miejsce za obowiązkiem, że gdy minie jedno niebezpieczeństwo, pojawi się inne, które znów go od niej odciągnie. Oddała mu serce, ale on oddał swoje czemuś większemu. Był stworzony na przywódcę. Musiał ratować

świat, by czuć, że zasłużył sobie na własne w nim miejsce. Dopóki Elwina była bezpieczna przy nim, w Akce, więcej się o nią nie troskał. Nie dostrzegał, że ona też woła o ratunek. A może — ciężko było to pomyśleć — nie chciał tego widzieć. Ratowanie świata przynosiło mu chwałę. Ocalenie Elwiny uczyniłoby go wyrzutkiem.

Ku swemu zaskoczeniu nie czuła złości ani żalu. Ona też zaczynała się od niego oddalać.

Pierwszy symptom był dla niej szokiem. Zdarzyło się to tuż po Bożym Narodzeniu; Andreasa nie było, pojechał po jedwab do Damaszku, i Will przyszedł do niej do składu. Pokłócili się o coś, już nie pamiętała o co, a potem się pogodzili i namiętność wzięła górę. Leżąc na zimnej posadzce, Elwina nagle wyobraziła sobie twarz Garena. Było to tak nieoczekiwane, że

otwarła oczy. Zaskoczenie musiało się odmalować na jej twarzy, bo Will zawahał się i

spojrzał na nią pytająco. Uśmiechnęła się i przyciągnęła go do siebie, całując, aż znów odnalazł rytm. Ale potem długo nie mogła się uspokoić.

Kiedy następnym razem spotkała Garena, spłonęła się i poczuła coś dziwnego w dole brzucha.

To był jej sekret, schowała go jak perłę lub monetę w szkatułce, do której tylko ona miała klucz. Od czasu do czasu otwierała swój skarbcezyk i napawała oczy. Nie sądziła, by

ktokolwiek wyczuł jej tajemne myśli, a już zwłaszcza Will.

Zerknęła na niego. Patrzył przed siebie. Czy się domyślił? A może tylko, jak sam powiedział, nie ufał Garenowi? Dotąd się rozgrzeszała, uznając tamten pociąg za przelotne zaciekawienie, ale teraz, gdy sekret mógł wyjść na jaw, gotowa była go bronić i nagle uświadomiła sobie, jak bardzo nią zawładnął. Czuła się rozdarta na dwoje. Jedna część kochała bez pamięci

mężczyznę, który szedł teraz obok niej, ciepłą i mocną dłońią trzymając ją za rękę. Ta połowa cierpiała na myśl, że grozi mu niebezpieczeństwo, że z własnej woli naraża życie; chciała go błagać, aby nie jechał. Druga, zimna i obrażona, mówiła, że Will dokonał wyboru. Ona zaś nie znajdzie przy nim tego, czego pragnie, a tylko nowe cierpienie. Ta połowa coraz częściej zaglądała do szkatułki.

I oto — zbyt szybko — stali już pod domem Andreasa. Will cmoknął ją na pożegnanie, mówiąc, żeby się nie martwiła. Kiedy odszedł, oddalając się od niej długim miarowym

krokiem, wypełniło ją nagłe dojmujące przeczucie, że więcej go nie zobaczy. Ból zmieszał się w niej z ulgą. I to było nie do zniesienia.

Cytadela w Kairze Dwudziesty piąty dzień lutego

Zgarbiona postać obserwowała przygotowania armii do wymarszu z krytej przewiązki

łączącej dwie wieże bramne cytadeli. W skład przedniej straży, prócz gwardii sułtańskiej, wchodził też pułk Kalauna i dwa inne. Główne siły i straż tylna, mające wymaszerować

później tegoż dnia, wraz z ciurami i niewolnikami towarzyszącymi armii w długim marszu na północ, liczyły w sumie osiem tysięcy ludzi. Lecz na twarzy Kadira gorycz mieszała się z wściekłością, iż to nie chrześcijanom przyjdzie posmakować ich mieczy.

Od siedemnastu lat patrzył, jak Bajbars wypiera niewiernych z Palestyny. Był o krok od zmiżdżenia Franków raz na zawsze. I wtedy zdarzyła się rzecz niepojęta: osiągnąwszy

prawie cel, zwrócił wzrok gdzie indziej. Kadir nie był w stanie tego zrozumieć. Wiedział

jedno: to nie sułtan jest winny. Zawinili ludzie, którzy zwiedli go z prostej drogi na manowce.

Po śmierci Omara zgnilizna rozprzestrzeniła się jak rak wraz ze wzrostem wpływów Kalauna.

Ale Bajbars miał jeszcze czas, by wypełnić swe przeznaczenie. Trzeba go było tylko uleczyć z choroby, a Kadir wierzył, że znalazł lek.

Nazir żył. Kiedy asasyni otrzymają okup, wróci i wyjawy Bajbarsowi imię zamachowca, jeśli zdołał

je poznać. Wówczas Bajbars się zemści. A gdy będzie miał na rękach świeżą krew chrześcijan i poczuje jej zapach, obudzi się w nim dawny myśliwski zew i dla Franków rozpoczną się dni ostatnie.

Drugi medykament — który Kadir przygotował dla Kalauna — działał znacznie prościej. Od śmierci córki emir nie spuszczał go z oka, jego szpiedzy śledzili Kadira wszędzie, przeszukali nawet jego dom w mieście. Kadir nie przejmował się podejrzeniem o otrucie Aiszy; przeciwnie, cieszył się, że emir wie, ale niczego nie może mu udowodnić. Czerpał rozkosz z jego cichej rozpacz. Nie podobało mu się jednak, że Kalaun grzebie w jego przeszłości. Nie był pewien, co spodziewa się w niej znaleźć, ale to go niepokoiło.

Zamglone oczy starca przesuwają się po głowach stojących niżej żołnierzy. Wypatrzył dwóch synów Kalauna. Starszy miał piętnaście lat, młodszy trzynaście. Siedzieli już w siodłach, odziani w nowe ciemnoniebieskie płaszcze. Mieli towarzyszyć armii tylko do Aleppo i tam pozostać. Później jazda pod wodzą Bajbarsa ruszała na północ, do Anatolii, by tam stawić czoło Mongołom. Uwagę zaklinacza przykuł ruch w wejściu do pałacu. Przy dźwiękach

rogów, w otoczeniu gwardii, wyszedł z nich sułtan. Głowę okrywał mu czarny, bramowany

złotem turban, a długa kolczuga zaśniła w słońcu, kiedy podszedł do karego bojowego ogiera w złotym rzędzie. O krok za nim szedł Baraka z nieprzeniknioną twarzą. Dobrze, że Bajbars zgodził się zabrać go na wyprawę, był to znak, że stosunki między nimi wreszcie zaczynają się układać. Uśmiešek dumy wypełził na wargi Kadira, gdy patrzył, jak książę dosiada konia wśród wojowników Bahri. W ciągu ubiegłego roku chłopiec zaiste stał się mężczyzną. Kadir nie miał wątpliwości, że wszystkie jego starania zostaną hojnie nagrodzone, kiedy obejmie tron.

Widząc, że wojska są gotowe do wymarszu, zaklinacz śpiesznie zszedł z wieży i pomknął do wyjścia. Posłyszał przyciszone głosy. Zza załomu korytarza zobaczył Kalauna z Iszandijarem.

Kalaun był przyodziany do bitwy, Iszandijar, który miał pozostać w Kairze, nosił luźną szatę.

Stali blisko siebie, zwrócenii do niego tyłem. Cofnął się, żeby go przypadkiem nie spostrzegli.

Mówiłeś, emirze, że ten człowiek przyrzekł do tego nie dopuścić

szeptał Iszandijar.

To zbyt ważna sprawa, by polegać na obietnicy — odparł Kalaun.

Ufam mu, ale on nie jest jednym z nas.

Na zewnątrz odezwały się rogi, dając sygnał do wymarszu i przerywając rozmowę. Kadir postyszał odgłos oddalających się kroków. Kiedy znów wyjrzał, Iszandijara już nie było, a Kalaun wychodził właśnie na zalany słońcem dziedziniec. Marszcząc czoło w zadumie, zaklinacz pośpieszył za nim, by zająć swoje miejsce w szeregu. Giermek podsadził go na gniadą klacz. Starzec ścisnął wychudłymi nogami boki zwierzęcia i skłonił się nisko z siodła sułtanowi, a potem rozejrzał za Kalaunem, zastanawiając się, co ten szczur knuje. Cokolwiek to było, nie miało teraz znaczenia. Brama al-Mudarradz rozwarła się dostojnie i czoło ruszyło.

Kadir wsunął dłoń do spłowiałej jedwabnej sakiewki wiszącej mu u pasa. Spoczywało w niej kilka monet, parę czaszek, suszone zioła oraz szmaciana lalka skrywająca tajemną fiołkę.

Nawet jeśli Kalaun uniesie życie z pola bitwy, Kadir dopilnuje, by już wkrótce trafił na dno piekieł w ślad za córką.

Zamek królewski w Akce Dwudziesty szósty dzień lutego roku Pańskiego 1277

Spędziwszy młode lata w paryskiej rezydencji króla Francji, Elwina wiedziała, jak stać się niewidzialną. Służby nikt nigdy nie dostrzega. I tu, choć bała się, że jej nie wpuszczą, posepni strażnicy nawet na nią nie spojrzeli, gdy ze spuszczoną głową przemknęła jak cień w ślad za dwiema strojnie odzianymi damami. Korytarz był ciemny, unosił się w nim lekki zapach

kadzidła. Zdenerwowana liczyła kolejne drzwi. Czowała, że ma wypieki; w głębi duszy

strofował ją oburzony głos sumienia, domagając się wyjaśnień. Ale nie potrafiła już zawrócić, nie chciała. Jej bunt zrodził się z gniewu i rozpaczy, a przede wszystkim — z potrzeby.

Stanąwszy przed dziewiątymi z kolei drzwiami, wyciągnęła rękę, by zastukać, lecz zamarła, słysząc z wnętrza zbliżające się głosy. Czmychnęła w głąb korytarza. Rozległo się

skrzypnięcie i doleciała do niej fala kadzidlanej woni.

Lepiej, żeby się udało — mówił niski matowy głos, który wydał jej się nie całkiem obcy, choć nie potrafiła połączyć go z nikim znajomym.

Król na nas liczy. Jeśli mu nie pomożemy, nie będzie miał po co wracać.

Uda się — odpowiedział inny głos. Ten na pewno należał do Garena.

Elwina ostrożnie obejrzała się przez ramię. Zobaczyła krępego barczystego mężczyznę

odzianego w barwy króla Hugona; szedł korytarzem w przeciwną stronę. Garen patrzył za

nim z progu komnaty. Kiedy się odwrócił, jego wzrok padł na Elwinę i na zasepionej twarzy odmalował się szok.

Boże! — syknął, zerkając za rozmówcą, który tymczasem zniknął.

Elwina jakby wrosła w ziemię. Podszedł do niej, złapał ją za ramię

i pośpiesznie wprowadził do komnaty.

Co ty tutaj robisz?

Głos miał ostry, rozkazujący, uścisk sprawiał jej ból.

Przepraszam — wyjąkała, kiedy zamknął drzwi. Spojrzała na niego z rozpaczą. — Ja... nie chciałam być sama.

W oczach miał zdumienie, wręcz strach. Dopiero widząc jej zmieszanie, nagle zmiękł.

Co się stało? — spytał, delikatnie kładąc jej dłonie na ramionach.

Ten serdeczny gest przeppełnił czarę. Rozszłochała się w głos.

Will pojechał...

Do Mekki?

Kiwnęła głową, chowając twarz w dłoniach i bezskutecznie starając się ukryć łzy. Garen objął ją i przytulił. Poczuła, jak bardzo napięte ma mięśnie. Ciemna lniana tunika, w którą był

ubrany, pachniała mocno kadzidłem. Przebijał przez nie lekki zapach potu, słodkawy, nie ostry.

Kiedy wyjechał?

Wczoraj — szepnęła wtulona w jego pierś.

Przez głowę Garena przebiegł tuzin myśli naraz. Will ma przewagę zaledwie jednego dnia; bez trudu go dogoni. Jeszcze wcześniej. Mogą wyjechać dziś o zmroku, najdalej jutro o

świecie. Przewodnik jest umówiony, Bertrand i jego ludzie gotowi od dwóch tygodni; zapasy, konie i broń także

zadbał o to. W zamku panował chaos, nietrudno było zdobyć wszystko, co potrzebne, Czekali tylko na sygnał do rozpoczęcia akcji. Zamierza! w najbliższych dniach wypytać Elwinę; nie spodziewał się, że sama do niego przyjdzie. Powoli wypuścił wstrzymywany oddech. Mało

brakowało, a plan ległby w gruzach. Elwina o włos minęła się z Bertrandem, najwyraźniej jednak go nie rozpoznała.

Zrezygnował z dobijania się o fundusze u Ewerarda, nie chcąc zbyt często wchodzić Willowi w drogę. Czarny Kamień był znacznie cenniejszym łupem. Zdobywszy go, nie musiałby się

przejmować konsekwencjami niesubordynacji. Teraz wszakże, gdy minął pierwszy szok na

widok Elwiny, zaczęły go dręczyć wątpliwości. A jeśli plan się nie powiedzie i stanie przed Edwardem z pustymi rękami ?

Wszystko będzie dobrze — powiedział w równej mierze do siebie, jak do niej, z roztargnieniem gładząc ją po głowie i jeszcze raz przebiegając myślą kolejne etapy planu. —

Will niedługo wróci.

Nie wiadomo — uniosła głowę. — Sam wiesz, po co pojechał. Pewnie go zabiją.

Ale wiem też, co potrafi. — Zmusił się do uśmiechu i otarł kciukiem łzę z jej policzka. — To stary praktyk. Nie da sobie zrobić krzywdy.

Mówisz tak, żeby mnie uspokoić.

Uwolniła się z jego objęć i cofnęła o krok, oplatając tors rękoma, szczupła i wysoka w jasnej sukni przepasanej czerwono-złocistą krajką. Smuga światła, wpadając przez szparę w

zasłonie, wyostrzyła jej kości policzkowe i zarys gładkich, bliźniaczych łuków warg.

Przebiegła wzrokiem po niechlujnej komnacie, omiatając sceptycznym spojrzeniem puste kubki, rozrzuconą odzież, poczerniałą kadzielniczkę na stole, zmiętą pościel. Wydawała się zarazem zbuntowana i zagubiona.

Nie powinnam była tu przychodzić — powiedziała.

Dobrze, że przyszedłeś — rzekł cicho. — Chodź, napij się wina.

Boso, bezszelestnie podszedł do stołu, złapał puchar i napełnił go,

ulewając nieco w pośpiechu.

Biorąc puchar z jego dłoni, dotknęła jej czubkami palców. Fizyczny kontakt z jego ciałem przyprawił ją o dreszcz. Skórę miał miękką, ciepłą... grzeszną. Ośmielona powiodła

pieszczotliwie dłonią po jego dłoni i wspiąwszy się na palce, sięgnęła rozchylonymi wargami do jego ust.

Garen stał nieruchomo jak głaz.

Cofnęła się gwałtownie, jak gdyby ją uderzył. Wstyd gorącą falą oblał jej policzki. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, usprawiedliwić się, lecz wtedy Garen nagle ożył, cisnął puchar, rozlewając szkarłatną strugę na chodnik, i ujął jej twarz w obie ręce. Gorączkowo szukał

wagami jej ust, a gdy je znalazł, całował chciwie — chciwie i gwałtownie, zupełnie inaczej niż Will. Pożądanie Elwiny rozpało się od nowa ze zdwojoną siłą.

Nie przerywając pocałunku, popchnął ją lekko. Szli spleceni w stronę łoża, potykając się o rozrzucone szaty i przewracając puste dzbany po winie, aż w końcu niecierpliwie pchnął ją na posłanie i opadł na nią, podpierając się ręką. Drugą zerwał jej z głowy zawicie, uwolnione włosy niby potok płynnego złota rozpostarły się na białym płótnie. Garen na moment oderwał

się od jej ust i napawając się tym widokiem, ujrzał nie tylko złoto, a cały skarbiec skrzący się barwami miedzi, bursztynu i polerowanego brązu. Zdumiony, że wcześniej tego nie zauważył, uświadomił sobie, że nigdy dotąd nie widział jej bez nakrycia głowy. Ona też mu się

przyglądała. Wargi miała czerwone od zbyt mocnych pocałunków, oczy jej pałały, piers

unosila się gwałtownie. Oparty na łokciu położył jej palec na brodzie i powiódł nim w dół, po szyi do wycięcia sukni. Uśmiechnął się na myśl

o

ukrytych pod nią rozkoszach. Dłoń jakby sama niecierpliwie zsunęła się do pasa,

szarpnęła ciasny węzeł sznurówki.

Elwina zamknęła oczy. Zamajaczyła jej twarz Willa, blada i oskarży- cielska. Gniewnie

przepędziła ją przed oczu. Willa tu nie było; zbawiał

świat. Co za ironia — sama dała mu medalion ze świętym Jerzym. Aż nazbyt gorliwie się w niego wcielił. Wobec tego ona odegra swoją rolę, rolę grzesznicy. Will dążył do ideału; ona pragnęła rzeczy ziemskich i doczesnych, namacalnych. Podziwiała go, ale słaba to pożywka dla miłości. Nie chciała być mniej ważna niż świat, zawsze na drugim miejscu, zawsze tylko kochanką, nie żoną. Miłość była dla niej zaborczym ogniem, całkowitym oddaniem; takiej

właśnie szukała dziś u Garena.

Wyłuskał ją z sukni jak owoc i uklęknął na łożu, czując suchość i ucisk w gardle. Delikatnie podsunął w górę cienkie giezło. Gdy powietrze musnęło jej nagą skórę, zadrżała. Uniosła ręce nad głowę, pomagając mu zdjąć z siebie koszulę. Przez chwilę patrzył na jej nagość: ramiona pokryte gęsią skórką od chłodu, wianuszek bladych piegów na udzie; miękkie półkule piersi o różowych, sterczących sutkach. Pochylił się, chwycił jeden w usta. Wplotła mu palce we

włosy i westchnęła przeciągle, gdy lekko zacisnął zęby.

W'eż mnie — powiedziała zduszonym z napięcia głosem.

Oderwał usta od jej piersi, pozostawiając lśniący wilgotny ślad. Pośpiesznie zdarł z siebie tunikę wraz z koszulą i szarpnął wiązanie saczka. Potem znów był na niej, a chwilę później —

w niej. Jej ciało objęło go, uwięziło. Zarzuciła mu nogi na biodra i wszedł jeszcze głębiej, jakby z oddali słysząc jej krzyk. Poddał się, zamknął oczy i nagle porwał go rwący nurt wspomnień.

Widział trzynastoletnią Elwinę klęczącą nad ciałem Owena na przystani w Honfleur.

Krzyczała rozdzierająco, a gdy uniosła ręce do twarzy, była na nich krew. Lecz krew ta

plamiła jego, bo to on zdradził. Twarze zabitych patrzyły nań oskarżycielsko, białe niczym czaszki. Potem ujrzał ją już jako kobietę z Willem w sadzie, smutną i bladą w słońcu, które paliło bezlitośnie jej delikatną cerę. Widział ją w zaułku, gdy malujący się w jej oczach strach na jego widok zmienił się w radosną ulgę. Na koniec otworzył oczy i zobaczył ją tuż przy sobie, z odrzuconą głową, rozchyłonymi ustami i wypiekami na policzkach. Jej paznokcie

wpiły mu się w plecy. Patrzył na nią dotąd, aż wreszcie sam zadrżał i znieruchomiał.

Opadł na nią bezwładnie, czując, jak ogarnia go znajoma błoga senność. Po chwili pierś

Elwiny uniosła się gwałtownie. Dźwignął się na łokciu. Posłyszał stłumione, urwane

westchnienie. Myślał, że się śmieje. Głowę miała odwróconą na bok, twarz nakrytą włosami.

Słyszając znów ten sam odgłos, uśmiechnął się z wahaniem i odgarnął jej włosy z twarzy. Nie poruszyła się. Oczy miała otwarte i płynęły z nich łzy.

Droga do Mekki, Arabia Czternasty dzień kwietnia

W dali ujrzeli wątlą smużkę dymu, nieomylny znak, że zbliżają się znów do ludzkich siedzib

— i do kolejnego zagrożenia. Urywane, ciche rozmowy natychmiast umilkły, słyhać było

tylko chrzęst stóp i wielbłądzich kopyt oraz nieustanne szuranie długich kijów, którymi dwaj idący na przędzie płoszyli węże i skorpiony. Powietrze zdawało się rozżarzone do czerwoności, każdy oddech palił usta i gardło, jak gdyby pustynia chciała wedrzeć się do ludzkich ciał, uczynić je sobie podobnymi.

Will, kołysany z boku na bok w drewnianym palankinie na grzbiecie wielbłąda, stężał z

napięcia. Był to już dziesiąty posterunek mijany w ciągu ostatnich piętnastu dni, ale za każdym razem denerwował się tak samo. Świeży strumyczek potu ściekł mu po plecach i

wsiałł w koszulę, którą miał pod przepastną czarną burką, szatą muzułmańskich kobiet

okrywającą całe ciało i twarz z wyjątkiem oczu. Napotkał wzrok Roberta. Druh, podobnie

odziany, siedział po drugiej stronie garbu pod rozpiętą na drążkach płócienną plandeką

ocieniającą im głowy. Nieznacznie skinął i opuścił wzrok.

Podróż była ciężka, zwłaszcza dla Zachariasza i Armanda, którzy jako jedyni spośród templariuszy szli pieszo. Dotarli bez większych przeszkód do Uli, rycerze zgodnie z instrukcją udali się do tamtejszego meczetu. Tu powołali się na Kajsana i zaprowadzono ich do tego samego domu, w którym byli więzieni przed rokiem. Dano im jedną noc na odpoczynek, a następnie zmieniwszy konie na wielbłądy i kupiecki ubiór na arabski przyodziewek, znów ruszyli w drogę. Tamci dwaj, czarnowłosi i smagli, dostali męski ubiór i musieli iść wraz z szyitami, prowadząc wielbłądy wiozące prowiant, towar i pozostałych rycerzy udających ich żony. Mamelucy, pochodzący z różnych części świata, nie przykładali większej wagi do odcieni skóry. Will z początku wątpił, czy maskarada okaże się skuteczna, ale jak dotąd nie napotkali problemów.

Zapach dymu było już czuć. Zobaczyli kilka chat i krzątających się między nimi ludzi; ich sylwetki drżały zniekształcone w rozgrzanym powietrzu. Kiedy karawana zbliżyła się do posterunku, wyszło im na spotkanie czterech mameluckich żołnierzy; pozostali przyglądali się z cienia pod dachem. Will skromnie — i przezornie — spuścił oczy. Dwóch podeszło do wielbłąda idącego tuż przed nim i dłoń Willa instynktownie wyciągnęła się w stronę lewego biodra, szukając broni. Jeden z żołnierzy zdjął wieko z kosza, płytko rozgarnął ręką krągłe gałki muszkatu, a potem przeszedł dalej. Will bardzo powoli opuścił rękę. Tylko on i Robert znali prawdziwą zawartość kosza, owiniętą w płótno, przysypaną grubą warstwą wonnych orzeszków.

Zadowolony z wyniku inspekcji żołnierz dał im znak, by ruszali. Kilka godzin później, gdy cienie wieczoru splezały już w dolinę, dotarli do ostatniej osady, w której mieli zostawić bagaże, by rano ruszyć do Mekki.

Tłoczno tu — zauważył szeptem Robert, gdy wjechali w labirynt domów, meczetów i straganów wyrastający z dna doliny. Zapadającą ciemność rozpraszały pochodnie, syjące pomarańczowe iskry. Słysząc było śmiechy i dźwięki muzyki.

Will był zaniepokojony tą ciszą na, zdawałoby się, bezludziu. Przyzwyczał się do samotności, czuł w niej sojusznika. Mijali po drodze pielgrzymów, lecz Kajsan zapewniał, że to kropla w morzu, jakie runie tym szlakiem za miesiąc, gdy zaczną się hadżdż i przez pustynię ruszą mozolnie karawany z Damaszku, Kairu i Bagdadu.

Kajsan obejrzał się, słysząc głos Roberta.

Mamy tu przyjaciół — rzekł łamaną łaciną. — Będziecie bezpieczni. Ale siedźcie cicho. Zamilkli. Karawana dotarła do osady i zaczęła się przedzierać przez ruchliwy bazar. Za kramami, ledwie widoczny w świetle pochodni, stał szpaler drewnianych słupów niczym bezlistne drzewa. Do każdego przywiązane były liczne wstążki, setki powiewających kolorowych taśm. Potem słupy zniknęły w mroku, z boku wyrósł meczet, a z przodu rząd domów. Wprowadziwszy ich na zamknięte podwórze, Kajsan wskazał kamienną ławę pod ścianą budynku.

Zaczekajcie tu — powiedział. — Wrócimy za kilka godzin.

Will stał przez chwilę samotnie. Za jego plecami rycerze przeciągali zeszywniałe kończyny i rozmawiali bez krępującego towarzystwa Arabów. Gwiazdy wyglądały jak pyłki na czarnym aksamicie nieba. Chyba nigdy się nie czuł tak daleki od domu. Przygnębiała go świadomość, że jest tu intruzem, świętokradcą. Miał wrażenie, że jałowa, wroga pustynia wypaliła mu duszę. Zamknął oczy i odmówił cicho Modlitwę Pańską. Jej znajome słowa podniosły go na duchu.

Hidżaz, Arabia Czternasty dzień kwietnia

Było późne popołudnie, kiedy ośmiu jeźdźców zatrzymało się, spoglądając z grzbietu wzgórza na osadę odległą o dwie mile od Mekki.

Powinniśmy wysłać kogoś, żeby sprawdził, czy już dotarli — odezwał się chrapliwie Bertrand za plecami Garena.

Poślij Emeryka — rzekł ten, nie odwracając głowy. — Tylko niech będzie ostrożny.

Patrzył jeszcze przez chwilę na drogę wijącą się pośród gór. Potem się odwrócił. Dopiero teraz, gdy Cypryczyk zdjął chustę, którą osłaniał twarz w czasie podróży, widać było, jak wiele go kosztowała. Wychudł, policzki mu obwisły, miał skołtunioną brodę i twarde

spojrzenie desperata. Garen wiedział, że on sam wygląda podobnie, tak samo jak reszta — ci, którzy przeżyli.

Wyruszyli z Akki w dziesięciu, jedenasty był przewodnik. Poganiając konie, szybko nadrobili dwa dni opóźnienia. Elwina nie wiedziała, jak liczna będzie grupa, toteż Garen poczuł ulgę, gdy wysłany przodem zwiadowca doniósł, że stosunek sił wynosi prawie dwa do jednego.

Cypryjczycy byli doświadczeniymi żołnierzami, ale przeciw templariuszom przydać im się

mogła każda przewaga. W Uli nietrudno było wysledzić rycerzy. Garen, ubrany w luźną szatę i kefiję, szedł za nimi do meczetu. Krzepiącym szacunkom zadało kłam pojawienie się grupy Arabów, których było ponad dwa razy więcej. Ale to zmartwienie okazało się niczym w

obliczu innego problemu.

W Akce ich przewodnik — bardziej niż chętny, żeby za sowitą opłatę zaprowadzić ich do Uli

— zbywał gładko pytania, jak dostaną się z Uli do Mekki strzeżoną drogą, twierdząc, iż

znajdą tam mnóstwo ludzi gotowych ich zabrać. To, jak się okazało, nie było prawdą. Patrząc nazajutrz rano na odjeżdżających w przebraniu templariuszy, mieli gorzką świadomość, że ich wyprawa może się skończyć tu i teraz. Ostatecznie przyciśnięty dość mocno przez Bertranda przewodnik odesłał ich do Beduinów. Pustynni nomadzi początkowo nie chcieli nawet mówić z Garenem. Po południu jednak jakiś żyłasty młody człowiek sam do nich przyszedł i

oznajmił, że będzie ich chafirem.

Beduini mieli w Hidżazie ziemie, na których wypasali swoje stada. W ich granice nikomu nie wolno było wejść bez pozwolenia. Słowo chafir oznaczało stróża, nazywano tak członka

plemienia, który zgodził się pełnić rolę opiekuna podróżnych. Na granicy terytorium

sąsiedniego szczepu wzywano następnego, aby przejął ich pod swe skrzydła. Beduini nie

korzystali z dróg, toteż nie zatrzymywały ich mameluckie patrole. I tak Garen i Cypryjczycy, zostawiwszy ze sobą zamieszkane okolice, ruszyli na pustkowia w ślad za swym bosonogim, milczącym przewodnikiem. Każdego kolejnego chafira Garen opłacał złotem, jakby sypał za sobą szlak z okruszków, mając nadzieję, że zdołają wrócić dzięki tym samym ludziom.

Niektóre plemiona

Hidżazu napadały pielgrzymów, rabowały im złoto, a nawet odzież i żywność, zostawiając na pastwę bezlitosnej pustyni, ludzi tych cechowało jednak swoiste poczucie honoru, które nie pozwalało okradać gości. Ludzie byli więc względnie przyjaźni, lecz nie dało się tego

powiedzieć o ich ziemi.

Po kilku dniach jeden z Cypryjczyków, przewracając się we śnie, przygniótł jadowitego węża.

Ukąszony zmarł w konwulsjach, tocząc pianę z ust. Drugi zginął cztery dni później, gdy szli wysoką granią, mając słońce w oczy. Spadł z pokrytego rumoszem urwiska, zdzierając sobie skórę z pleców i łamiąc obie nogi. Spierali się, co z nim zrobić, przy wtórze jego jęków. W

końcu Bertrand zakończył cierpienia towarzysza, podrzynając mu gardło.

Biegący w dolinie trakt był prawie pusty, gdy więc szli górami, dość łatwo im było śledzić grupę templariuszy. Czasem tracili ich z oczu na parę dni i wtedy Garen robił się milczący i drażliwy. Chafirowie nie wiedzieli, dlaczego mu tak zależy, by nie zgubić ludzi

podróżujących szlakiem, ale też zbytnio ich to nie obchodziło. Póki brzęczało złoto, gotowi byli iść.

Gdzie chcesz się zaciąć? — spytał Bertrand. — W wiosce nie będzie dobrze.

Garen przyznał mu rację. W osadzie ścigani mogli się rozproszyć, co zwiększało ryzyko, że się przedrą.

Tam. — Wskazał odcinek, gdzie dolina mocno się zwężała i droga biegła między dwoma stromymi stokami. — Będziemy obserwować szlak z góry, pozostając w ukryciu.

Nie zapominaj o Arabach — mruknął Bertrand.

Mamy łuki — uciął Garen. — Wystrzelamy ich, a potem weźmiemy się za templariuszy.

Cypryjczyk zadowolony kiwnął głową.

A więc postanowione? Nie pieścimy się z nimi?

Garen spojrział na drogę. Bertrand zadawał mu to pytanie od tygodni, a on przez cały czas unikał odpowiedzi. W pamięci zamajaczyła mu twarz Elwiny, nagły przeskok od rozkoszy do rozpacz i te ciche łzy, które wciąż płynęły, gdy wychodziła z komnaty.

Tak — rzekł zimno. — Nie będziemy się z nimi pieścić.

Mekka, Arabia Piętnasty dzień kwietnia

Mekka do ostatniej chwili pozostała ukryta za pasmem gór. Zobaczyli ją z nagłą, niemal tuż przed sobą, rozpostartą na piaszczystej równinie wewnątrz olbrzymiego skalnego pierścienia.

Z nadejściem świtu niebo zmieniło barwę z czarnej na niebieską, prążkowaną blado smukłymi kolumnami minaretów. Na południe od miasta zasłaniało widok kopulaste wzgórze, od

wschodu rozciągał się olbrzymi bazar. Ulice, oblepione rzędami przysadzistych domów,

publicznych łaźni, balwierni i aptek, wyglądały jak nici gigantycznej pajęczyny, w której środku znajdował się wielki meczet.

Zbliżając się doń od południa, ujrzeni masywną budowlę jaśniejącą na tle nieba. Pałace się jeszcze pochodnie rozświetlały zdobiące mury wersety wijącego się arabskiego pisma. Wrota w sklepionej bramie były otwarte, lecz stała przy nich straż. Kajsan zatrzymał się i zzuł buty przed wejściem do świętego przybytku. Will odszukał spojrzeniem Zachariasza. Sycylijczyk odwiązał rzemień mocujący kosze, a potem wszyscy poszli za przykładem Kajsana. Dwaj

szyjci zebrali obuwie i odprowadzili wielbłądy.

Będą na nas czekać przy bramie — wyjaśnił Kajsan.

Zachariasz i Armand zarzucili kosze na plecy. Kajsan wszedł pierwszy,

kłaniając się z uszanowaniem strażnikom. Serce Willa biło jak oszalałe. Nachylił się do Roberta.

To tu — mruknął. — Jesteś gotowy?

Robert skłonił głowę i nie podnosząc jej, wszedł w cień pod bramą. Uszli za Kajsanem może parę kroków, kiedy posłyszeli za sobą krzyki. Strażnik zatrzymał dwóch Sycylijczyków.

Kajsan zawrócił i począł mu coś tłumaczyć szybką, gardłową arabszczyzną. Otworzył wieko kosza, pokazując, co zawiera. Po chwili strażnik machnął ręką, a Will każdym nerwem swego ciała odczuł ulgę.

Brama prowadziła w arkadę wychodzącą na ogromny dziedziniec. Widać było na nim

rozstawione namioty, a w samym środku wznosiła się krępa sześcienne budowla, osłonięta z zewnątrz — tak jak wyczytał Ewerard — czarno-złotą zasłoną, zwaną kiswa, którą co roku w czasie hadżdżu zmieniano na nową. W świetle pozatykanych dookoła pochodni wyszyte

złotą nicią słowa szahady zdawały się jaśnieć własnym blaskiem. Nie było tu ani tak ciemno, ani tak pusto, jak Will się spodziewał. Tu i ówdzie leżeli nakryci derkami ludzie, którzy najwyraźniej nocowali na dziedzińcu; żarzyło się nawet kilka ognisk. Inni — strażnicy, lecz także zwykli pielgrzymi

przechadzali się kruzgankiem.

Tak jak się umówili, Kajsan ze swymi ludźmi wycofał się w cień pod arkadą, skąd mieli ich ubezpieczać. Will i Robert wzięli kosz od Zachariasza i omijając śpiących pielgrzymów,

ponieśli go w stronę świątyni. Długie burki zamiatały piach na dziedzińcu; dopiero wokół

Kaaby wyło

żony on był czarnymi płytkami, które boleśnie ziębiły bosc stopy. Kiedy się zbliżyli, Will zobaczył Kamień.

Był to gładki czarny krążek przytwierdzony srebrną obręczą na wysokości piersi. Miał

dziwny połysk, nieco podobny do szkła, ale ciemniejszy i głębszy, jakby krył w sobie

mroczny sekret. Will poczuł dreszcz, przypomniawszy sobie, że według muzułmanów w

Kamieniu zapisują się grzechy ludzkości, które zostaną odczytane w Dniu Sądu. Miał

uczucie, że to czarne nieruchome oko w srebrnej obwódce uważnie go obserwuje. Odwrócił wzrok.

Robert miał zaczekać z koszem, a Will siedmiokrotnie obejść świątynię dookoła. Za każdym razem należało ucałować kamień. Przy ostatnim okrążeniu zatrzyma się dłużej; dla strażników będzie to wyglądać na modlitewną zadumę, Sycylijczycy zaś będą pewni, że kradnie Kamień. Potem wróci do Roberta i nachyli się nad koszem, kończąc w ten sposób przedstawienie. Reszta grupy znajdowała się w pobliżu zachodniej bramy, za daleko, by dojrzeć, że Kamień pozostał na swoim miejscu.

Postawili kosz jakieś dziesięć kroków od ściany. Will ruszył w stronę Kaaby i w tej samej chwili rozległa się głośnie komenda. Śpiący pielgrzymi zerwali się jak jeden mąż; odrzucane derki odsłoniły lśniące kolczugi i szkarłatne tuniki z czarnymi pasami na ramionach. Ten, który wydał rozkaz, był potężnie zbudowanym smagłym mężczyzną, a naramienniki haftowane miał złotem. Jego ludzie już biegli, osaczając ich półkolem, on sam zaś dobył miecza i ruszył prosto na Willa.

Równina Elbistann w Anatolii Piętnasty dzień kwietnia roku Pańskiego 1277

Na wysokich szczytach Taurusu leżał jeszcze śnieg, czepiał się postrzępionych turni, wypełniał zmarzliną głębokie urwiste jary. Rysujące się ostro w niebieskawym świetle wierzchołki górskie ciągnęły się rzędami na wschód i na zachód niczym nieprzeliczone szeregi zakutej w zbroje armii. Patrząc na nie, Kalaun czuł się mały i nieważny. Powietrze było mroźne, oddech uciekał mu z ust białawą mgiełką. Otulił się ciasniej podbitą króliczym futrem szubą i ruszył przez budzące się obozowisko.

Rozbito je na płaskowyżu. Na obrzeżach upstrzonego czerwonymi punktami ognisk wielkiego kręgu namiotów na szczeciniastej trawie pasły się konie. Budzeni przez setników i dziesiętników ludzie podnosili się ze snu; szmer rozmów zmącił przedranną ciszę. Kalaun skinął głową żołnierzom Mansuriji, którzy witali go pełnymi szacunku pokłonami. Rozmówił się krótko z oficerami i ruszył dalej, mijając lazaret. Nieopodal widniało kilka świeżych grobów. Jak dotąd stracili w tej wyprawie dwudziestu ośmiu ludzi, z czego pięciu zginęło w górach.

Po postoju w Damaszku, gdzie Kalaun włączył do swej chorągwi wojska syryjskie, ruszyli

dalej do Aleppo. Tam Bajbars, dotąd ożywiony i pewny siebie, wyraźnie przygasł. Zaraz po przybyciu odwiedził grób Omara, a potem (jak dowiedział się Kalaun od jednego z

towarzyszających sułtanowi emirów) z niewiadomej przyczyny dość długo stał przed wypaloną ruiną na obrzeżach miasta. Kalaun wiedział, że Bajbars pierwszy rok niewoli spędził właśnie w Aleppo. Podejrzewał w głębi duszy, że upiory przeszłości wciąż jeszcze nękają potężnego władcę. Widać jednak poza murami miasta demony te nie miały do niego przystępu,

albowiem gdy tylko nazajutrz je opuścili, nastrój sułtana wyraźnie się polepszył i odtąd szedł w górę podobnie jak teren wznoszący się ku podnóżom Taurusu.

Bajbars wysłał jeden pułk nad graniczną rzekę Eufrat, aby zabezpieczyć się przed atakiem z tyłu, a następnie poprowadził kawalerię na północ, w głąb Anatolii. Piechota, ciężki sprzęt i maszyny oblężnicze pozostały w Aleppo wraz z Baraką, Kadirem i synami Kalauna.

Zwiadowcy przynieśli wieść, że Abaga, chan perski, dowiedziawszy się od swoich szpiegów o pochodzie Bajbarsa, zebrał olbrzymie siły, które oddał pod rozkazy sławnego

Tawatana i wzmocnił oddziałami seldzuckimi. Spodziewano się ich na równinie elbistańskiej, za szeroką rzeką, którą cylicyjscy Ormianie nazywali Pyramosem, Seldzuchy zaś nadali jej miano Dżajhan. Bajbars chciał najpierw rozprawić się z wielką armią, nim spróbuje

zdobywać miasta lub twierdze. Zresztą droga, którą obrał, okazała się trudna nawet dla nieobciążonych jeźdźców i nie było mowy, aby transportować nią maszyny.

Taurus pochłonał wiele ofiar, odkąd pierwsi krzyżowcy, którzy nadeszli tu z nad Bosforu, stanęli przed tą niebotyczną zaporą dzielącą ich od Syrii. Szlak ku przełęczy biegł zrazu ciemnym sosnowym lasem, prędko jednak zmienił się w kruche i śliskie wapienne percie,

omijając przepaście głębokie na wieleset stóp. Któregoś ranka w zimnej mgle, po

niewygodnym biwaku, koń jednego z mameluków spadł w taką przepaść wraz z jeźdźcem i jeszcze jednym wojownikiem. Trzech innych zginęło, gdy obsunęła się pod nimi ziemia.

Krzyki długo cichły w otchłani.

Nim jeszcze armia wydostała się z gór, zwiadowcy donieśli, że u wrót przełęczy czeka na nią zasadzka w sile dwóch tysięcy ludzi. Bajbars posłał im na spotkanie jeden pułk ciężkiej jazdy oraz Beduinów. Kiedy reszta wojsk zeszła na płaskowyż, nad ciałami wysieczonych

Mongołów kłębiły się już muchy.

Kalaun zastał sułtana na skraju obozowiska w otoczeniu kilku gwardzistów. Patrzył w dal, w stronę

Elbistanu.

Chciałeś mnie widzieć, panie?

Ludzie gotowi? — spytał Bajbars, nie odwracając się.

Za godzinę możemy ruszać.

Dobrze.

Kalaun powiódł wzrokiem za spojrzeniem sułtana. Przed nimi ciągnęła się równina, pofałdowana niczym zmięty płaszcz. Przecinał ją szeroki bledszy pas rzeki Dżajhan na podobieństwo jedwabnej krajki. Za nią, widoczny w świetle ognisk, leżał mongolski obóz.

Kalaun dojrzał poruszające się sylwetki, pewnie i tam oficerowie budzili swych żołnierzy. Od lat zadziwiało go zwierciadlane podobieństwo różnych armii. Z tej odległości, nie widząc twarzy i nie słysząc głosów, miał wrażenie, że patrzy na własnych podkomendnych. Potem

jednak przypomniał sobie, kim są tamci, i niecierpliwy błysk, który widział w niebieskich oczach Bajbarsa, zapłonął i w jego własnych. Albowiem to Mongołowie wybili im rodziny.

Najeżdżając Kip- czaków, Rusinów i inne ludy, wycinali w pień całe osady, a jeśli kogo oszczędzili, to po to, by sprzedać w niewolę. Minęło wiele lat, lecz wspomnienia niczym suche trzaski rozpały się od lada iskry. Siedemnaście lat temu nad Ajn Dżalud wróg zapłacił im krwią. Teraz zapłaci znowu.

Zdajesz się przygaszony, emirze. Co cię trapi? — Bajbars przyjrzał mu się z uwagą.

Kalaun oderwał wzrok od mongolskiego obozu. Istotnie, w pochodzie był raczej milczący, lecz nie mógł wyznać przyczyny. Odsuwając z myśli nękający go obraz Kaaby w Mekce, odpowiedział:

Martwię się o Nazira, panie. Powinien był już wrócić. Minęło wiele miesięcy, odkąd przekazałeś okup.

Po powrocie zastaniesz go w Kairze. Chodź. Czeka nas bitwa.

Zawrócili razem do obozu — dwaj starzy wojownicy o brodach srebrzących się siwizną w świetle brzasku.

Mekka

Piętnasty dzień kwietnia

Zaskoczony o parę kroków przed celem Will zaledwie miał czas dobyć ukrytego pod burką

falcjona. „Zdrada!” — błysnęło mu w myśli, a już w następnej chwili odpierał wściekły atak człowieka w szkarłatnej szacie. Ostrza zderzyły się z impetem, który mógł być przerąbać stal na dwoje. Will zacisnął zęby, tyle wysiłku kosztowało go utrzymanie zasłony. Słyszał, jak Robert tuż za nim walczy z innym mężczyzną, który zerwał się z kręgu zamaskowanych

zbrojnych. Wyprowadzając cios, ujrzał kątem oka wyszyty złotem na tunice tytuł napastnika.

Taki sam widział tylko raz, na szacie Kalauna. Ten człowiek był emirem. Miast zwykłego

żołnierza lub strażnika meczetu Kamienia pilnował mamelucki oficer.

W parę chwil dziedziniec wypełnił się szczękami stali i krzykami walczących. Templariusze i szyici rzucili się na pomoc zaatakowanym, atakujący rozproszyli się, podejmując z nimi

walkę. Jeden z szyitów padł pod ciosem mameluckiego miecza; niemal równocześnie zawył z bólu Roger

ostrze przeszło mu bok i wyszarpięte w kaskadzie krwi zanurzyło się ponownie, zadając ostateczne, śmiertelne pchnięcie. Kilka chwil później padł Franciszek z rozrąbanym gardłem.

Zachariasz położył jednego przeciwnika, ale teraz okrążali go dwaj następni i rosły

Sycylijczyk, znużony podróżą, zaczynał czuć niezwykcyjne ukłucia lęku.

Will posłyszał za sobą jęk Roberta. Przemknęło mu przez głowę, że mógłby się wytłumaczyć, przekonać nacierającego nań emira, że nie są złodziejami, ale rozpaczliwie walcząc o życie, nie znajdował słów, tylko urywany oddech wyrywał mu się z krtani.

Naraz coś twardego podcięło mu nogi. Upadł, upuszczając miecz, który potoczył się z

brzękiem po czarnych płytach. Potrącony kosz przewrócił się, wieko odskoczyło i po

dziedzińcu potoczyła się rzeka gałki muszkatołowej, odsłaniając rozwinięty z płótna czarny kształt. Triumf, który płonął już w oczach mameluckiego dowódcy, nagle zgasł. Zawahał się, patrząc zaskoczony na owalny kamień, i jego wzrok pobiegł ku prawdziwej świętości,

tkwiącej w srebrnej obręczy na ścianie Kaaby. Na twarzy emira odmalowała się rozterka, a chwila zwłoki ocaliła Willowi życie. Złapał oręż i zamierzył się na przeciwnika. Ten

dostrzegł to w porę, zdążył sparować cios, ale ciężkie ostrze ześliznęło się po głównej i rozcięło nogę tuż pod kolczugą. Krzyknął, potknął się i runął na kolana. Will już stał; mameluk podniósł głowę,

szykując się na ostateczny cios, ale Will go nie zadał. Zamiast tego odwrócił się i pobięł.

Robert walczył rozpaczliwie tuż pod ścianą Kaaby. Widać było, że opada z sił. Po rozciętej burce rozlewała się krwawa plama, widać było paskudnie rozrąbane ramię. Mrużąc z bólu

oczy, nie zauważył nadbiegającego druha, lecz co ważniejsze, nie spostrzegł go również jego przeciwnik. Will z zamachu przejechał mu ostrzem pod kolanami. Żołnierz zawył i upadł.

Will złapał Roberta i pociągnął go w stronę zachodniej bramy. Zachariasz i Armand także przesuwali się w tym kierunku. Na dziedzińcu leżało nieruchomo czterech mameluków i

dwóch strażników meczetu, a także Roger, Franciszek i trzech szyitów. Will dostrzegł

Kajsana walczącego zawzięcie z dwoma wojownikami; twarz wykrzywiał mu grymas, pot ściekał z czoła. Dwaj szyici, którzy mieli pilnować zwierząt, walczyli w bramie ze strażnikami, usiłując wyrąbać im przejście.

Zabierajcie się stąd! — krzyknął do Zachariasza. Ciągnąc za sobą Roberta, sparował przypadkowy cios i zniknął w cieniu arkady.

Wytoczyli się na pustą ulicę. Odgłosy walki ucichły, odgródzone wysokim murem.

Już nie mogę — jęknął Robert i opadł na kolana, wypuszczając miecz.

Owszem, możesz. — Will dźwignął go bez ceregieli. — Bierz broń, do diabła!

Równocześnie rozglądał się gorączkowo, aż wypatrzył to, czego szukał. Wielbłąd był przywiązany do palika nieco w głębi ulicy. Objął w pasie Roberta i powłókł go w stronę wierzchowca. Tymczasem zaczęło świtać; niebo przybrało kolor krwi.

Równina Elbistanu Piętnasty dzień kwietnia

Świt przecierał ziemię jasnymi palcami, polerując na złotawy połysk rzeczne wiry i barwiąc szkarłatem wiechy wysokich stepowych traw. W strzępach mgły leżącej jeszcze w

zagłębieniach gruntu poruszały się niczym widma tysiące ludzi. Mongołowie przeprawiali się przez rzekę.

Z wysokiego płaskowzgórza schodziła im na spotkanie armia sułtana Egiptu. Dobosze

wybijali równy monotony rytm poddawany przez oficerów zwanych Panami Bębnów. Niski,

złowieszczy dźwięk toczył się ponad stepem jak bicie serca, silniejsze niż bezładny tętent koni i

wielbłądów.

Znalazłszy się o niecałą milę od siebie, wojska przystanęły. Na dzielącym je pustym polu szumiał tylko wiatr i brzęczały owady. Obie armie rozwinęły się z wprawą w szyki bojowe.

Widziane z góry, poruszające się równocześnie setki ludzi wyglądały jak jedno ciało: z potężnego tułowia wyciągały się skrzydła, każde zakończone pazurami włóczy, gotowymi zagłębić się w ciało wroga i wyrywać zeń krwawe strzępy.

Bajbars na czarnym bojowym ogierze ustawił się na płaskim pagórku, nieco z tyłu za lewym skrzydłem, wraz z odwozem w sile tysiąca Bahridów. Patrzył, jak Kalaun i dowódca jego

własnej chorągwi jeżdżą wzdłuż czoła armii, poprawiając złoto-niebieski szyk połączonych sił Bahri i Mansuriji, najlepszych w całej armii. Lewe i prawe skrzydło tworzyły pozostałe pułki mameluckie, Syryjczycy i żołnierze księcia Hamy, których powołał pod broń na

anatolijską wyprawę, oraz lekka jazda beduińska. Zadowolony z widocznej rutyny swoich wojsk, Bajbars przyjrzał się teraz wrogom.

Było ich znacznie więcej niż ongiś nad Ajn Dżalud. Ponadto wówczas miał przewagę zaskoczenia; wciągnął Mongołów w idealną pułapkę, z której nie mieli szans ujść cało. Teraz dwóch olbrzymów stało naprzeciw siebie w otwartym polu nie dającym żadnemu z nich

przewagi. Mongolscy wojownicy, zrodzeni we krwi podbojów synowie Czyngis-chana — postrach narodów, lawina, która zmiotła cały Wschód — naprzeciw niewolnych żołnierzy

Egiptu, którzy wzrosli w potęgę na trupach swoich panów i pod rozkazami Bajbarsa władali dziś od Aleksandrii do Aleppo, od Nilu do Eufratu. Ale choć teren bitwy nie zapewniał dziś mamelukom przewagi, dawało ją co innego. Bajbars widział to w oczach swoich ludzi, czuł w stanowczym rytmie bębnow.

Przed Ajn Dżalud Mongołowie byli niezwyciężeni. Dziś ich pogromca stał przed nimi butnie w ich własnej dziedzinie, z pieśnią bojową w sercu i żądzą zwycięstwa w starzejących się niebieskich oczach. Co więcej, krążyły wieści o niesnaskach między Mongołami i

Seldżukami, którzy stali teraz w pewnej od siebie odległości. Szpiedzy Bajbarsa donieśli, że chan nie ufa już swemu lennikowi; być może Seldżycy nawet nie zechcą walczyć. Sułtan

czuł, jak wicher targa jego płaszczem. Koń stąpał niecierpliwie, czując napięcie jeźdźca. Ale jeździec zmusił się do spokoju. Nie dawał rozkazu do ataku. Niechże Mongołowie sami do

niego przyjdą.

I wkrótce ciszę rozdarł ryk rogów. Kiedy ucichł, dał się słyszeć tętent kopyt i lewe skrzydło Mongołów ruszyło naprzód pięcioma szeregami, z których dwa stanowiła ciężka jazda

uzbrojona we włócznie i miecze, a trzy lekkobrojni z lukami i oszczepami. Słońce dźwignęło się ocieżale nad widnokrąg, krzesząc ogniste błyski na żelaznych hełmach w kształcie cebul i rozświetlając równinę Elbistanu od rzeki aż po góry. Łucznicy mongolscy wyprzedzili

ciężkobrajnych i zasypali przeciwnika gradem strzał i oszczepów. Niczym rój komarów kłuli i pierzchali, ich ukąszenia były jednak śmiertelne; wpijały się w odsłonięte części ciał koni i ludzi. Wielu padło.

Bajbars, czując w brzuchu twardy supeł napięcia, chwycił wodze i patrzył, jak jego szeregi zwierają się ciaśniej, tarcze zachodzą jedna na drugą, tworząc twardą skorupę chroniącą przed śmiertelnościami deszczem. W ciągu krótkiej chwili przed mamelukami jakby wyrósł z ziemi sterczący gąszcz strzał i oszczepów. Spełniwszy swe zadanie, łucznicy zostali odwołani na tyły i znikli za plecami pancernych, którzy pędzili na wroga niczym szarżujące tygrysy. Głosy Kalauna i dowódcy gwardii uniosły się ponad bitewną wrzawę. Na odtrąbiony sygnał dwie

chorągwie mame- luckie, najlepsze z najlepszych, ruszyły naprzód, a pod kopytami ich wierzchowców zadrżała ziemia. Z obu stron nastawiono mocne długie włócznie, oczy znalazły cel i już go nie porzuciły, a w umysłach pięciu tysięcy ludzi rozbrzmiała modlitwa. I oto lewe skrzydło mongolskie uderzyło w środek armii Egiptu, wbijając się głęboko ze szczękiem

żelaza, wyciem i zgrzytem obnażonych zębów.

W jednej chwili powietrze wokół walczących zabarwiło się czerwienią. Ranione włóczniami konie rżały przeraźliwie, ludzie cięli się i rąbali wzajem z całej siły, a zrzućeni z siodeł ginęli pod kopytami na zdeptanej ziemi. Liczba zabitych prędko rosła; odepchnięte prawe skrzydło wojsk sultana-

skich zaczęło się cofać pod naporem, łamiąc szyk, a mongolska szpica wdzierwała się coraz głębiej w krwawym kołowrocie wirujących kling i dżga- jących włóczni.

Na wzgórzu Bajbars uniósł się w siodle; jego bystre oko dostrzegło już kierunek ataku wroga.

Dobył jednej ze swych szabel i uniósł ją wysoko.

Do mnie! — ryknął i runął w dół ze wzgórza, a za nim wybrane mameluckie oddziały.

Równocześnie zagrały rogi na mongolskim prawym skrzydle, które przesunęło się do przodu.

Bahridzi niczym kosa cięli Mongołów, odcinając ludzi zwartych już w boju i tchnąc w nich nowego ducha. Bajbars i Kalaun spotkali się na polu bitwy, gdy oddziały Bahri i Mansurija zbliżyły się, zwierając szyki. Sultana i jego emir, ściśnięci w tłoku, zbryzgani krwią, walczyli ramię w ramię. W boju były już wszystkie oddziały obu stron prócz Seldżuków, stojących na tyłach armii mongolskiej i chroniących ją przed oskrzydleniem.

Bitwa była zacięta i brutalna. Środek linii mameluckiej ugiął się, grożąc rozsypką, potem znów wyrównał szyk. Stopniowo, z trudem, krok po kroku zaczęli odpierać wroga.

Wyróżniający się spośród swoich ludzi wysokim wzrostem Tawatan, z rękami ubroczonymi powyżej łokci i z twarzą zalaną krwią z rany na czole, uniósł się w strzemionach i wykrzyczał nową komendę. Rozproszona jazda mongolska zaczęła zsiadać z koni i skupiać się w ciasne kręgi, zmuszając mameluków, by czynili to samo i łuskali ich pojedynczo.

Włócznie odrzucono, w ruch poszły szable i wkrótce grupy żywych otoczył wał trupów.

Ale mamelucy nie dawali pardonu i stopniowo determinację Mongołów' zaczęła przyćmiewać rozpacz.

Nim minęła trzecia godzina boju, było już po wszystkim. Tawatan, pokonany i wzięty w powrozy, dał rozkaz poddania się. Na całym polu bitwy żywi jeszcze wojownicy rzucali broń, po raz kolejny zwyciężeni przez potęgę Bajbarsa. Seldżycy nie usłuchali rozkazu i uciekli z pola, nim mamelucy zdążyli ich otoczyć.

Na równinie Elbistanu leżało dziewięć tysięcy trupów, z czego siedem mongolskich. Rozrzucone bezładnie krwawe ochłapy, będące ongiś mężczyznami; mężami, synami i braćmi. I kiedy Bajbars patrzył na ów pogrom, głód wojny zniknął mu z oczu, a ciasny węzeł niepokoju, który dławił mu gardło i wypełniał trzewia, zniknął, pozostawiając po sobie pustkę. Otchłanną szarą pustkę, której odniesione zwycięstwo nie było w stanie wypełnić.

Arabia, droga do Mekki Piętnasty dzień kwietnia roku Pańskiego 1277

Słyszac gwizd, Garen zadarł głowę. Ukryty za skalnym grzebieniem Cypryjczyk wskazywał na wschód, w stronę Mekki.

Ktoś jedzie — rzekł półgłosem Emeryk.

Garen podczołgał się do przodu, przylepiony do skały, która w tym miejscu wcinała się w dolinę, przewężając trakt. Istotnie w oddali, ledwie widoczny na tle wschodzącego słońca, poruszał się jakiś punkt. Po chwili Garen rozpoznał w nim galopującego wielbłąda.

To oni? — Z przeciwnej strony doleciał głos Bertranda. Obok niego czaił się jeszcze jeden żołnierz, trzech pozostałych z napiętymi łukami czekało wyżej, na skałach. W poprzek drogi, niczym zdechły wąż, przysypana piaskiem dla niepoznaki leżała gruba konopna lina

wytargowana zeszłego wieczoru w beduińskim obozie, do którego zabrał ich przewodnik.

Garen przysłonił oczy.

Widzę tylko jednego jeźdźca.... Nie, czekaj. Dwóch.

Ale czy to oni?

Wątpię. Za mało ich. — Garen wytężył wzrok.

Wielbłąd zbliżał się szybko, bardzo szybko, poganiany bezlitośnie sadyż wielkimi susami, podrzucając uczepionych go kurczowo jeźdźców. Odziani byli w bezkształtne czarne szaty, ale jeden miał odkrytą głowę. Po chwili dało się rozróżnić rysy.

To Will. — Garen schował się za skałę.

A gdzie reszta? — spytał Emeryk.

Nie wiem. — Garen zakłopotany pokręcił głową. — Coś się musiało stać.

To nie ma znaczenia — uciął ostro Bertrand. — Wchodzimy. Wszystkiego dowiemy się od nich.

Zaparty nogami o głaz, trzymał okręcony wokół skalnej iglicy koniec liny. Garen kiwnął mu głową i Bertrand odszukał spojrzeniem Emeryka. Ten złapał drugi koniec.

Odgłos kopyt był coraz bliższy, jego echo dudniło wśród ścian wąwozu. W piasek obok

Garena wbiła się strzała — znak od czujki na górze,

Teraz! — syknął.

Bertrand i Emeryk pociągnęli linę, która wyskoczyła z piasku i napięła się mocno piędz nad ziemią. Sekundę później w gardzieli wąwozu ukazał się wielbłąd i rozpedzone kopyta wpadły prosto w matnię. Zwierzę runęło w przód, wyrzucając z siodła obu jeźdźców.

Will spad! pierwszy, wylądował twardo na obu rękach i zwałił się w piach. Kątem oka

dostrzegł toczącego się po ziemi Roberta. Oszołomiony wielbłąd próbował się podnieść, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Robert leżał nieruchomo, chyba był nieprzytomny.

Will też leżał przez chwilę, ogłuszony upadkiem, którego impet wibrował mu w całym ciele.

Każdy ruch rozpalał ogniska bólu. Nie zdołał powstrzymać jęku, kiedy ktoś brutalnie postawił go na nogi. W końcu wzrok mu się przejaśnił; zobaczył wokół siebie czterech mężczyzn;

trzymał go piąty. Wszyscy mieli na sobie beduińskie kefije. Nie spodziewał się, że usłyszy pytanie wypowiedziane płynną bezbłędną łaciną:

Gdzie jest Kamień?

Will zamrugał oczyma. Milczał. Pytanie zostało powtórzone. Ostrożnie pokręcił głową.

Nie wiem, o czym mówisz — wychrypiał. W ustach miał piach i krew.

Stojący naprzeciw niego krępy mężczyzna podszedł i wyrznął go pięścią w brzuch. Zgięło go z bólu, ale ten, kto go trzymał, nie pozwolił mu upaść. Will wykrztusił krew i na chwilę zwiśł

bezwładnie, usiłując na powrót wtłoczyć powietrze do płuc.

Gdzie? — powtórzył mężczyzna.

Will zaczerpnął tchu, nie odrywając wzroku od połyskujących groźnie źrenic tamtego.

Nie... wiem — rzekł z wysiłkiem.

Następny cios był silniejszy i więcej czasu zajęło mu dojście do siebie. Przez łzy zobaczył, że jeden z przyglądających się temu mężczyzn nachyla się do innego, tęższego, i mówi mu coś do ucha.

Czekaj! — zawołał gruby, gdy oprawca Willa zamierzył się do kolejnego ciosu. — Tam masz drugiego! — Wskazał leżącego bez ruchu Roberta.

Will zaszamotał się bezradnie, gdy mężczyzna kopniakiem obrócił bezwładne ciało na wznak.

Rana Roberta wciąż krwawiła, plamiąc piasek wokół. Kaptur zsunął się z głowy rycerza,

ukazując zapadniętą, szarą twarz. Will poczuł ukłucie zgrozy, a zaraz potem ulgę, gdy pierś ranego uniósł oddech. Ulga okazała się krótkotrwała. Jego rozmówca wyjął miecz i oparł

sztylek o pierś Roberta.

Mów, gdzie jest Kamień, albo go zabiję. — Powiedziane to było rzeczowo, bez emocji ani fałszu. Will zrozumiał, że przegrał.

Wpadliśmy w zasadzkę — wydusił przez zaciśnięte zęby. — Nie zdołaliśmy się nawet do niego zbliżyć.

Gdzie reszta? — spytał gruby.

Nie żyją — rzekł głucho Will — albo wkrótce umrą.

Zatem sami musimy po niego iść. — Mężczyzna zwrócił się do towarzyszy. — Dotarliśmy aż

tutaj, szkoda byłoby odejść z niczym.

Z góry doleciał głos świstawki. Po zboczu szybko zsunęły się trzy kolejne postacie.

Co jest? — spytał gruby.

Konni. Jadą tu z miasta. — Zwiadowca zeskoczył na drogę.

I bardzo im się śpieszy.

Mężczyzna zaklął i spojrzał na Willa.

To wasi?

Mamelucy. Ścigają nas. Skoro wiesz o Kamieniu, to wiesz też, dlaczego. I wiesz także, co zrobiamy i wam, jeśli nas złapią.

Zbierajmy się — wtrącił grubas. — Trudno.

Tamten zaklął ponownie i utkwiał w Willu wzrok pełen bezsilnej złości. Zamierzył się mieczem.

Nie! — rozległ się stłumiony okrzyk. — Zostaw.

Jeden z mężczyzn powoli kręcił głową. Krępy syknął coś ze złością i schował miecz.

Wypuszczony Will osunął się na kolana. Mężczyźni odbiegli kawałek szlakiem i wspięli na zbocze w miejscu, gdzie wąwóz zaczynał się rozszerzać. Wystające głązy kryły ledwie widoczną ścieżkę i po chwili napastnicy zniknęli mu z oczu.

Na czworakach podpełzł do Roberta.

Żyjesz?

Ranny z wolna otworzył oczy i jęknął głucho. Nieopodal chrapał z bólu wielbłąd. Will

dźwignął się z wysiłkiem i na miękkich nogach podszedł do wylotu wąwozu. Słyszał tętent szybko zbliżających się koni. Nie mieli się gdzie ukryć. Dwóch jeźdźców było tuż-tuż, za nimi pędzili inni, w większej grupie, wzbijając tuman kurzu. Will dobył falcjona i zacisnął na nim dłonie.

Boże, daj mi siłę — szepnął.

Kiedy pierwszy koń wpadł do wąwozu, Will wytrzeszczył z niedowierzaniem oczy. Siedział na nim Zachariasz, od stóp do głów zbryzgany krwią. Za nim jechał jeden z szycitów.

Na jego widok Sycylijczyk gwałtownie osadził wierzchowca.

Wsiadaj! — krzyknął.

Will pośpiesznie schował broń i dźwignął z ziemi półprzytomnego Roberta. Zachariasz złapał go za odzież i przerzucił przez siodło, tymczasem Will wskoczył na drugiego konia za Arabem.

Gdzie Kajsan? — zawołał, łapiąc się tylnego łęku.

Nie żyje — odparł gorzko Arab, wbijając pięty w końskie boki.

Wszyscy zginęli.

Mekka

Piętnasty dzień kwietnia

Iszandijar skrzywił się i syknął. Piekło go świeże cięcie tuż obok wygojonej rany odniesionej pod al-Birą.

I co? — zawołał, widząc zbliżających się jeźdźców.

Starszy z dwójki pokręcił głową.

Wybacz, emirze. Nie zdołaliśmy ich doścignąć. Posłałem ludzi, żeby przeszukali okoliczne wioski, ale wszystko wskazuje, że uciekli w góry.

A zatem i tak są martwa — rzekł półgłosem Iszandijar. — Jeśli nie zabije ich pustynia, zrobią to Beduini. Odwołaj ludzi. Dzisiejszą noc spędzimy tutaj. Sądzę jednak, że niebezpieczeństwo już minęło.

Wojownicy skłonili się i zawrócili. Na ulicy zaczął się już poranny ruch, kramarze i przechodnie zerkali ciekawie na grupę mameluków pod wielkim meczetem. Iszandijar pokuśtykał z powrotem do środka, czując na plecach ich pytające spojrzenia.

Dziedziniec meczetu skąpany był w słońcu. Szarif Mekki z zasepioną miną indagował

jakiegoś mężczyznę. Zwłoki trzech strażników meczetu i pięciu mameluków leżały rzędem w cienistej arkadzie. Nieco dalej zwalono bez pardonu na stos ciała intruzów. Krążyły już nad nimi natrętne muchy. Słudzy na kolanach zmywali krew z posadzki. Iszandijar spojrział na Kaabę i zdobiący ją niezwruszony ciemny owal. Ulga rozplynęła mu się w żyłach jak słodki miód. Dotrzymał obietnicy danej Kalaunowi... i Bogu.

Kamień pozostał na swoim miejscu. Gnali tu na złamanie karku, a potem czekali w napięciu kilka dni, w ciągu których zatrzymali i ciężko obrazili kilka grup pielgrzymów. Ale dziś, gdy ujrzał dwie zakutane postacie z koszem, za wysokie na niewiasty, od razu wiedział, że to oni.

Podszedł do kosza. Wyjęty z niego kamień oglądało badawczo dwóch świątynnych mułłów.

Co to jest? — spytał. — Czy już wiecie?

Jeden z mułłów podniósł na niego wzrok.

Podobizna al-Hadżar, emirze. Może chcieli je zamienić i uciec, nim ktokolwiek się zorientuje?

Iszandijar milczał. Słyszał od Kalauna, że chrześcijański rycerz, który go ostrzegł, miał jakiś plan zapobieżenia kradzieży. Przeszło mu przez myśl, iż zabijał dziś sojuszników, ale nie roztrząsał tego. Kalaun miał rację: ochrona Kamienia była najważniejsza. Wykonali to

zadanie.

Zostawił mułłów i podszedł do szarifa. Ciała wynoszono, by je pochować, i godzinę później zniknął ostatni ślad zajścia. Z minaretu doleciał śpiewny głos muezina, a brama wielkiego meczetu rozwarła się na oścież, wpuszczając zdumionych, czekających cierpliwie

pielgrzymów.

Damaszek, Syria Dziewiąty dzień czerwca roku Pańskiego 1277

Narastający grzmot bębnow słyhać było w Damaszku na długo przed pojawieniem się wojsk.

Fala dźwięku toczyła się przez gorące piaski niczym pustynna burza.

Na czele jechał Bajbars, a Bahridzi krzyczeli: „Al-Malik al-Zahir” Krwistoczerwony sztandar ze złotym lwem dumnie powiewał nad przednią strażą.

Kalaun, jadąc za sułtanem z głową pełną tupotu żołnierskich stóp, myślał: „Przynajmniej oni są szczęśliwi”.

Kilka dni po zwycięstwie na równinie Elbistanu armia wkroczyła jako oswobodzicielka do

Kayseri, stolicy seldżuckich Turków, i rozgromiła tamtejszy mongolski garnizon. Seldżycy sławili Bajbarsa pod niebiosa, wybili nową monetę z jego podobizną i obwołali go następcą tronu. Mamelucy przez kilka tygodni pławili się w luksusach, po czym Bajbars zarządził

powrót do Syrii. Dla żołnierzy była to pomyślna wiadomość. Pokonali Mongołów ze

stosunkowo niewielkimi stratami, za co w Damaszku sułtan z pewnością ich nagrodzi

udziałem w łupach i niewolnikach zdobytych na polu bitwy. Niektórzy z dowódców mieli jednak w tej materii inne zdanie.

Dlaczego, pytali (na tyle stanowczo, na ile starczało im odwagi przed groźnym obliczem sułtana), opuszczają dopiero co zajęte terytorium? Powinni zostać, umocnić posterunki, sprowadzić więcej wojsk. Czyż nie tego chciał? Pokonać Mongołów i zająć Anatolię?

Bajbars twardo odpierał ich argumenty. Zwiadowcy donieśli, że rozjątrzony Abaga prowadzi z Persji ponad trzydzieści tysięcy zbrojnych, aby pomścić klęskę i odzyskać ziemie. Bajbars nie miał przy sobie dość ludzi ani też wystarczająco wiele czasu, by ściągnąć posiłki.

Pozostając, ryzykowałby, iż zostanie odcięty od reszty armii, którą zostawił w Aleppo.

Kalaun, który skądinąd zgadzał się z tą decyzją, zauważył jednak, że po zajęciu Kayseri Bajbarsowi jakby ubyło sił. Zwycięstwo zdawało się go nie cieszyć; przeciwnie, gdyby to nie brzmiało nieprawdopodobnie, Kalaun wysunąłby tezę, że sułtan go żałuje. Wyglądał tak,

jakby coś, co konało w nim przez dłuższy czas, w końcu umarło. Przez całą drogę z Kayseri do Aleppo prawie w ogóle się nie odzywał.

Emir zerknął na władcę, którego wzrok utkwiony był w coraz bliższych murach Damaszku, otoczonych wieńcem dojrzewających sadów. Zza pleców sułtana wybiegł mu na spotkanie wzrok Kadira. Zaklinacz, choć wyznaczono mu miejsce w kolumnie o kilka szeregów za

Baraką, zdołał jakoś przepchnąć się do przodu i jechał teraz po lewicy sułtana. W ciągu minionych tygodni udało mu się wkraść z powrotem w jego łaski, a to dzięki zbliżającemu się zaćmieniu księżyca, mającemu zwiastować śmierć wielkiego władcy. Kadir korzystał z tego, by na każdym kroku manifestować swoją troskę o życie i zdrowie sułtana, ten zaś słuchał

ostrzeżeń z powagą, lecz bez paniki. Ilekroć jednak starzec patrzył na Kalauna, z oczu biła mu nienawiść. Emir czuł na sobie ten złowieszczy wzrok podczas całej wyprawy. Był zmęczony i nerwy odmawiały mu posłuszeństwa. Miał wrażenie, jakby Kadir próbował rzucić na niego

zły urok. Zaprzątnięty innymi sprawami, usiłował zapomnieć na czas kampanii o swej osobistej waśni z zaklinaczem. Ale od powrotu do Aleppo, gdzie wychudzona postać wciąż czaiła się w pobliżu, przychodziło mu to z coraz większym trudem.

Wysłano przodem heroldów, aby uprzedzili o przybyciu wojsk i dopilnowali przygotowania w zamku komnat dla sułtana i emirów. Główne ulice oczyszczono, by kolumna mogła nimi

przejść. Mieszkańcy Damaszku ustawili się wzdłuż trasy, entuzjastycznie witając zwycięskiego władcę. Kwiaty rzucane pod kopyta mameluckich koni pokryły drogę wielobarwnym dywanem; ogłuszający ryk bębnow sprawiał, że dzieci płakały, a psy wyły w całym mieście. Większa część armii rozbiła obóz za murami; Bajbars i przednia straż przejechali do cytadeli, gdzie wyszedł im na powitanie namiestnik Damaszku.

Kalaun oddawał właśnie konia giermkowi, gdy zbliżył się do niego mężczyzna w fioletowych barwach królewskiego gońca.

Emir Kalaun?

To ja. — Kalaun obejrzał się przez ramię.

Posłaniec skłonił się i wręczył mu list.

Pięć dni temu doręczono to na mój posterunek. Posłyszawszy, że armia zmierza do

Damaszku, przyjechałem prosto tutaj.

Kalaun wziął zwój i złamał pieczęć. Poznał pismo Iszandijara. Na papierze napisane były tylko dwa słowa: „Jest bezpieczny”.

Zalała go gwałtowna fala ulgi, porywając ze sobą zmartwienie, które leżało mu na sercu od wyjazdu z Kairu. Po chwili jednak poczuł ukłucie niepokoju. Środki, które podjął, mogły kosztować życie Campbella i jego ludzi. Czy postąpił pochopnie, wysyłając Iszandijara do Mekki? Nie, rzekł stanowczo w duchu. Campbell nie ujawnił mu swoich zamiarów, a same

zapewnienia niewiele znaczyły, gdy szło o taką świętość. Nie mógł ryzykować, że islam ją utraci. Po wtóre, wa)jna, jaka by się wówczas rozpętała, stanowiła dlań wystarczający bodziec do działania. Mimo to przykrą mu była myśl, że w trosce o pokój splamił ręce krwią

sojusznika.

Cytadela w Damaszku Jedenasty dzień lipca

Po dwóch ledwie dniach odpoczynku sułtan zwołał radę, by omówić dalsze plany w obliczu

nowych wieści. Abaga wkroczył na ziemie Seldżuków z trzema tumenami wojowników i od

razu jął się mścić na anatolijskich muzułmanach, którzy witali Bajbarsa jak zbawcę. Krążyły mrozące krew w żyłach plotki o gniewie chana — na przykład ta, iż Sulejman, schwytany i zabity, posłużył jako główne danie podczas wystawnej uczy (Abaga jakoby z wyjątkowym

smakiem spożywał gulasz z seldzuckiego regenta). Wojska perskie pozostały w Anatolii, przyczajone nad granicą Syrii, za Taurusem. Ponoć jednak chan zamierzał na tym poprzestać.

Dwa lwy, podkuliwszy nieco ogony, spozierały na siebie z oddali, boleśnie świadome tego, że żaden nie ma w tej chwili dość sił, by ostatecznie pokonać wroga.

Debatę skoncentrowaną głównie na tym, jaki będzie następny ruch sułtana, zakłócił gwardzista, który dyskretnie podszedł do Bajbarsa.

Kalaun zerknął nań ciekawie, widząc, że sułtan z pochyloną głową uważnie słucha przekazywanej szeptem wiadomości.

Wprowadź go — prostując się, rzekł głośno Bajbars.

Rozmowy emirów natychmiast ucichły. Podekscytowani wyglądali tego, kto miał śmiałość przerwać im naradę.

Kilka chwil później gwardzista powrócił, a za nim dwóch innych, prowadząc młodego mężczyznę w wyświechtanej czarnej szacie. Głowę trzymał wysoko, duma była też z jego przenikliwych oczu, którymi bez lęku zmierzył sułtana.

Panie — oznajmił, nie zadając sobie trudu, by się skłonić — przyszedłem po resztę złota, które obiecałeś braciom jako okup za twojego wojownika, Nazira. Oddalibyśmy ci go wcześniej, ale opuściłeś Kair. Trochę trwało, nim żeśmy cię dogonili.

Słyszając rozemocjonowane westchnienie, Kalaun zerknął w bok. Kadir siedział w plamie słońca pod ścianą komnaty. Wychylił się do przodu niczym wielki krab, wpijając białawe oczy w młodego asasyna.

Gdzie on jest? — spytał Bajbars.

W pobliżu — rzekł wymijająco asasyn. — Są z nim dwaj bracia. Kiedy dostanę resztę okupu, natychmiast do nich wrócę i rozkażę, by go uwolnili.

Nie zapłacę okupu, dopóki nie zyskam pewności, że Nazir żyje.

A zatem już go nie zobaczysz — odparł bez wahania asasyn. — Moi bracia go zabiją, jeśli nie wrócę do południa.

Bajbars zacisnął zęby. Milczał przez chwilę, potem skinął na jednego z gwardzistów.

Wezwij skarbnika — rzekł, nie spuszczać oczu z posła.

Kiedy asasyn wyszedł, niosąc worek złota, Bajbars przywołał do siebie czterech wojowników.

Ruszajcie za nim — rzekł — i nie zgubcie go z oczu. Tamci nie mogą być daleko, skoro miał obrócić w godzinę. Dopilnujcie, żeby Nazirowi, jeśli jest z nimi, nie spadł włos z głowy.

Asasynów zabijcie i przynieście mi z powrotem złoto.

Gwardziści skłonili się i odeszli. Bajbars zwrócił się do Kalauna:

Chcę, by reszta tych buntowników zniknęła z powierzchni ziemi. Wyślij pułk syryjski do

Kadamus, niech wesprą tamtejszy garnizon i obiegną fortecę. Mają z nimi skończyć raz na zawsze.

Ty rzekłeś, panie. — Kalaun znów ujrzał w oczach sułtana dawną iskrę wściekłości, która w ostatnich miesiącach migotała i zdawała się gasnąć. Tę samą wściekłość słychać było w

szorstkim głosie. Kadir też ją chyba zauważył, bo wpatrywał się w Bajbarsa z triumfem.

Widząc to spojrzenie, Kalaun przypomniał sobie o roli zaklinacza w ataku na Kabul. Zależało mu na tym, aby pchnąć Bajbarsa do wojny z chrześcijanami. To Kadir wpadł na pomysł, żeby przeprowadzić śledztwo wśród asasynów. Mógł być także zamieszany w planowaną kradzież

Czarnego Kamienia. Emir poczuł niepokój. Jeśli Nazir ma dowód, iż to Frankowie opłacili zabójców, skutki mogą być nieobliczalne. Wojna z Mongołami utknęła w martwym punkcie;

armia Bajbarsa, zwycięska i wypoczęta, stacjonowała w Damaszku — tylko trzy dni marszu od Akki.

Port w Akce Jedenasty dzień czerwca

Garen rzucił sakwę na rufę i oparł dłonie o burtę statku, obserwując zielonkawe przybrzeżne wiry. Słońce paliło go w kark, drażniąc spieczoną skórę, na której tle jego spłowiałe włosy zdawały się srebrzystobiałe. Za plecami słyszał grubiańskie pokrzykiwania załogi,

przygotowującej się do wyjścia z portu. Płynęli z ładunkiem cukru do Francji. Garen nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie odbiją.

Wrócili do Akki trzy dni temu. Wyczerpani i rozgoryczeni dowiedzieli się w bramie zamku, że nie mają już do niego wstępu. Pod ich nieobecność hrabia Roger pozbył się reszty dworu i służby

Hugona. Wpuszczono ich tylko na chwilę, aby mogli zabrać swoje rzeczy. Bertrand i jego ludzie pokonani jak ich król, już nazajutrz odpłynęli na Cypr. Garen został sam w

portowej gospodzie, pełen czarnych myśli. Jego zamysł skończył się porażką. Co gorsza, powrotna droga przez pustynię kosztowała go resztę złota, które Hugo dał mu na poczet

umowy z Edwardem — dziś wartiej mniej niż arkusz, na którym ją spisano, bo tymczasem

Karol umocnił się u władzy. Zmarnował rok na konopie i dziewczki oraz plan, który okazał się mrzonką. Nie zdołał nawet wycisnąć z Ewerarda pieniędzy, których żądał Edward.

Miał tylko nadzieję, że załoga grywa w kości. Jeśli tak, może zdoła odbić straty. W

przeciwnym razie powinien sam rzucić się za burtę i zaoszczędzić królowi fłaty.

Nic nie masz i jesteś niczym — szeptały mu do ucha głosy wuja Jakuba, matki i Edwarda.

Próbował je ignorować, zaciskał mocno oczy, lecz nękały go tym usilniej, wytykając porażki, szydząc, że nie dorasta do pięt ojcu, braciom, nawet Willowi.

Will...

To imię kłuło go do krwi. Najbardziej chyba doskwierała mu świadomość, że nie wyrwał

ciernia, który tkwił mu w duszy od dzieciństwa, chociaż miał okazję. Wystarczyło pozwolić, by miecz Bertranda opadł; sam nie splamiłby sobie nawet ręk. Dlaczego wtedy krzyknął,

dla czego go powstrzymał? Przez całą drogę powrotną rozpamiętywał tę chwilę i nie zdołał

dociec, dla czego ocalił Willowi życie, kiedy mógł tak łatwo pozwolić, żeby zgasło. Nie czuł

do niego nic prócz zawiści. Tamten miał wszystko, co wymknęło się Garenowi — stanowisko w zakonie, udział w Anima Templi, szacunek i przyjaźń braci oraz zakochaną w nim kobietę.

Choć tamtego dnia w zamku Elwina sama mu się oddała, wiedział, że to nie on był

przedmiotem jej pragnień. Nie płakałaby potem tak gorzko. Pozostała mu tylko plugawa

satisfakcja, że zdołał coś odebrać Willowi, przynajmniej na krótki czas. Coś cennego, czego tamten nie zdoła już odzyskać.

Zdjęto cumy i załoga wparła wiosła w wodę. Garen ukrył twarz w dłoniach. Dokuczliwa

słona wilgoć spływała mu po palcach. Nie oglądał się za siebie. Statek wyszedł z portu; Akka powoli oddaliła się za rufą, a przed dziobem rozpostarło się puste, rozkołysane morze,

Cytadela w Damaszku Jedenasty dzień czerwca

Obrady zawieszono. W komnacie prócz sułtana pozostał tylko Kalaun, którego Bajbars poprosił, by nie odchodził. I oczywiście Kadir, skulony w kącie, prawie niewidzialny.

Czas dłużył się niemiłosiernie. W końcu po trzech długich godzinach rozległo się pukanie i weszło czterech mężczyzn — trzech gwardzistów posłanych śladem asasyna oraz Nazir. Na jego widok Kalaun zerwał się z miejsca. Wynędzniały, brudny i posiniaczony był cieniem człowieka, którego znał. Emir poczuł ukłucie winy. To on wysłał Nazira na tę misję, on był przyczyną jego cierpienia i poniżenia. Ruszył mu naprzeciw.

Bajbars powstrzymał go uniesioną dłonią.

Rozkaz został wykonany? — spytał.

Bahrida podszedł i podał mu ciężką sakwę ze złotem. Znaczyły ją ciemne plamy. Krew, pomyślał Kalaun. Sporo było jej także na płaszczach gwardzistów, z których jeden był ranny.

Tak, panie. Jedn z naszych padł.

Unosząc sakwę w rękę, sułtan kiwnął głową, jak gdyby równoważyła ona stratę. Potem zwrócił się do Nazira, który ledwie trzymał się na nogach.

Masz to, po co cię posłałem?

Nazir z wysiłkiem pokiwał głową i otworzył usta, ale jego głos był ledwie słyszalny.

Zakaształ słabo i spróbował jeszcze raz. Bajbars podał mu puchar kordiału.

Napij się.

Oficer podniósł naczynie do żółtych, spękanych warg. Po chwili oddał go sułtanowi.

Tak — szepnął chrapliwie.

Kto to był? — Głos Bajbarsa zadrżał. — Kto wynajął asasynów, żeby mnie zgładzili?

Frankijski rycerz, tak jak podejrzewałeś, panie. Wilhelm Campbell, templariusz.

Na zduszony okrzyk Kalauna Bajbars się obejrzał.

O co chodzi, emirze?

Kalaun nie wiedział, jak pokryć zaskoczenie. Słowa uwięzły mu w gardle. Nieoczekiwanie

uratował go Kadir, który zerwał się na nogi.

Ty go znasz, panie! — wybełkotał. — Znasz go!

Bajbars pokręcił głową.

Tak nazywał się człowiek, który przywiózł traktat! — Z podniecenia głos zaklinacza

przeszedł w pisk. — Pięć lat temu przywiózł ci traktat pokojowy podpisany przez Franków!

Bajbars nagle ujrzał ruiny Cezarei, swój tron ustawiony w zniszczonej katedrze. I młodego rycerza w tunice z czerwonym krzyżem, który wręczył mu pismo króla Anglii Edwarda.

Rycerz miał ciemne włosy i znał arabski. Prosił, by pozwolono mu jechać do Safedu. Bajbars w końcu przypomniał sobie jego imię. Kadir miał rację.

Pozwoliłeś mu pochować ojca — skrzeknął Kadir.

Milcz. — Sułtan zacisnął dłoń na nóżce pucharu, wyginając miękki metal.

Wpuściłeś go na swoje ziemie, dałeś nawet eskortę!

Kazałem ci milczeć! — ryknął Bajbars. Puchar śmignął w powietrzu i z głośnym brzękiem wyrznął o ścianę, rozchlapując na białej zaprawie szkarłatną ciecz.

Zaklinacz pokornie przypadł do podłogi. Żołnierze i Nazir milczeli, spuściwszy wzrok.

Najjaśniejszy panie... — zaczął Kalaun.

Znajdźcie go — przerwał mu Bajbars. — Znajdźcie i postawcie przede mną.

Gdzie go szukać, panie? — spytał jeden z gwardzistów, nie podnosząc głowy.

W siedzibie zakonu, w Akce. Jeśli tam go nie będzie, dowiedcie się, gdzie jest.

Panie... — odezwał się głośniejsz Kalaun.

Bajbars spojrział na niego.

Czy masz pewność, że to ten sam rycerz, który przywiózł ci traktat? Wilhelm jest częstym imieniem pośród Franków. Przydomek także może się powtarzać.

Więc zabiję wszystkich, którzy go noszą — w twardym głosie Bajbarsa zadźwięczała stal.

— Wówczas będę pewien, że nie pozostawiłem przy życiu człowieka, który podczas zaręczyn mego syna i dziedzica nasłał na mnie zabójców. Zbirów, co nie dosięgnąwszy mnie,

zamordowali człowieka, który kochał mnie jak brata, bez lęku i zwątpienia... — Głos sułtana zadrżał. Patrzył na Kalauna jeszcze przez chwilę, z potem obrócił się gwałtownie i wyszedł, rzucając: — Wykonać rozkaz!

Kadir wybiegł w ślad za nim, a zmęczeni gwardziści posłusznie zawrócili po konie do stajen.

Kalaun został sam z Nazirem.

Byłem pewien, że już cię nie zobaczę — rzekł, obejmując go serdecznie.

Ja też. — Nazir uśmiechnął się blado.

Wstyd mi... — zająknął się Kalaun, kładąc mu dłoń na ramieniu.

Niepotrzebnie, emirze. Robiłem, co do mnie należało.

Kalaun potrząsnął głową. Milczał przez chwilę. Jeśli to zrobi, spali za

sobą mosty. Ale świadomość zdrady, jakiej się dopuścił wobec Wilhelma w Mekce, pchała go do działania, silniejsza niż rozwaga.

Nie, Nazirze. Wstydzę się tego, o co jeszcze cię poproszę. — Westchnął z rozpaczą. — Nie

wiem, co robić. Pojechałbym sam, ale mój wyjazd zwróci uwagę, a jedyny człowiek, któremu mógłbym powierzyć to zadanie, jest teraz w Kairze.

O co chodzi, panie?

Kalaun podszedł do drzwi i sprawdził, czy są szczelnie zamknięte. Następnie zawrócił do przeciwległej ściany i zajrzał za misternie tkaną w kwiaty zasłonę. Sprawdził rygiel na ukrytych za nią drzwiach. Cytadela w Damaszku, podobnie jak ta w Kairze, przeorana była mnóstwem korytarzy dla służby. Upewniwszy się, że nikt ich nie podsłucha, odwrócił się do Nazira.

Znam człowieka, którego imię podałeś sułtanowi.

Zwięźle nakreślił sytuację. Nazir milczał. Dopiero gdy Kalaun skończył, spytał:

Uratowaliście Kamień?

Rycerz przysiągł, że nie dopuści do kradzieży, ale choć wierzyłem w jego szczerą intencję, nie mogłem na tym poprzestać. Wysłałem do Mekki emira Iszandijara. Właśnie otrzymałem

od niego wieść, że Czarny Kamień jest bezpieczny.

To dobrze — szepnął Nazir.

Nie wiem, czy ten rycerz był w Mekce, a jeśli tak, czy z niej uszedł. Ale jeśli żyje, trzeba go ostrzec.

Proszę, znajdź go, zanim zrobią to Bahridzi.

Nazir patrzył na niego bez słowa.

Wiem, że wiele od ciebie żądam — rzekł głucho Kalaun. — Za wiele. Ale jestem mu to

winien. Wszyscy jesteśmy jego dłużnikami. Gdyby nie on, stanęlibyśmy dziś do niszczącej wojny, pewnie ostatecznej. Wierz mi, przyjacielu, nie prosiłbym cię o to, gdyby nie

wchodziło w grę wyższe dobro. Zaufaj mi. Wy tłumaczę ci wszystko, kiedy wrócisz, ale teraz czas nagli. Znajdź go i ostrzeż. Powiedz mu, żeby opuścił Palestynę i nigdy tu nie wracał.

Templum w Ak.ce Czternasty dzień czerwca roku Pańskiego 1277

Will wzdrygnął się, gdy ktoś złapał go za ramię.

Dzięki Bogu, wróciłeś! — Szymon z szerokim uśmiechem obejrzał go od stóp do głów. —

Ogorzałeś jak Saracen! Szukałem cię wcześniej, ale byłeś u wielkiego mistrza

Składałem mu raport.

Jak podróż?

Will rozejrzał się po dziedzińcu, unikając jego wzroku.

Nudnie — skłamał. — Pojechaliśmy potwierdzić przymierze z Mongołami, podjęto nas ucztą

i to już właściwie wszystko.

Szymon spojrzał nań z ukosa.

Nie żartuj — rzekł poważnie. — Słyszałem wieści. Część z was poległa, a Robert podobno

jest ciężko ranny. — Zniżył głos. — Czy to Mongołowie was napadli? Podobno robią swoim

wrogom... straszne rzeczy.

Will był zdumiony. Wrócili ledwie wczoraj. Nie sądził, że wieść się już rozniosła.

Wyobraźnię masz żywą jak zawsze! — zaśmiał się z przymusem, lecz po chwili sposepniał.

— Nie, to nie Mongołowie. Napadnięto nas w drodze powrotnej... przypadkiem. Straciliśmy trzech ludzi, a Robert cudem uniknął śmierci.

Jak to?

Wolałbym o tym nie mówić.

Jasne. — Szymon pokiwał głową. — Wybacz.

Will uśmiechnął się blado, czując się jak zdrajca.

Słuchaj, porozmawiamy jeszcze. Ale teraz idę do infirmerii, do Roberta.

Czekaj. Musisz wiedzieć, że Elwina była tu kilka razy...

Tutaj? — Will spochmurniał.

Nie bój się, rozmawiała tylko ze mną. Chciała wiedzieć, czy już wróciłeś.

Will westchnął cicho. Będzie musiał wynagrodzić jej strapienie.

Odwiedzę ją później.

Na twoim miejscu poszedłbym do niej zaraz. Źle wyglądała.

Co jej dolega? — zaniepokoił się Will.

Bała się o ciebie. — Szymon z zakłopotaniem wzuszył ramionami.

Wciąż tylko płakała. Nie wiedziałem, jak z nią rozmawiać.

Will zerknął w stronę infirmerii. Musiał jak najszybciej spotkać się z Robertem, żeby mu przekazać ustaloną z wielkim mistrzem oficjalną wersję zdarzeń wyjaśniającą śmierć Rogera, Franciszka i Armanda. Ale jeśli Elwina go potrzebuje...

Pójdę zaraz — skapitulował.

Osiodłam ci konia. — Szymon zniknął w stajni.

Will został na dziedzińcu. Martwił się. Elwina nie miała w zwyczaju wypłakiwać się

publicznie, nie ryzykowałyaby też bez powodu wizyt w pre- ceptorium. Z zamyślenia wyrwał

go widok Ewerarda, który kuśtykał ku niemu przez dziedziniec. Był zgarbiony, blady, każdy krok zdawał się sprawiać mu ból.

Witaj, Wilhelmie — wychrypiał. — Nadal nie masz dla mnie czasu?

Will otworzył usta, ale starzec powstrzymał go ruchem ręki.

Musimy porozmawiać.

Wybierałem się do ciebie — wyjaśnił Will. — Wróciłem późno w nocy i nie chciałem cię budzić.

A teraz dokąd zmierzasz? Na spacer?

Chciałem... — Will zerknął ku stajniom, lecz napotkał twarde spojrzenie księdza. Zaciśnął usta. — Nieważne, Tamto może poczekać.

Począł za Ewerardem do jego izby.

Planowałem zwołać braci zaraz po twoim powrocie — rzekł kapelan, starannie zamykając drzwi. — Najpierw jednak chciałem porozmawiać z tobą. Jak rozumiem, wyprawa się powiodła? — Oczy mu błyszczały, ale widać w nich było troskę.

Will wziął od niego kubek z winem.

To zależy, co rozumiesz przez powodzenie. Jeśli zapobieżenie kradzieży, to owszem.

Ewerard kiwnął głową i usiadł naprzeciw niego.

Jeśli zaś dokonanie tego bez strat w ludziach — ciągnął Will — i bez hałasu, to wręcz przeciwnie.

Słyszałem, że poległo trzech przybocznych mistrza. — Ewerard napił się wina. —

Opowiadaj.

Wysłuchał go w skupieniu i wstał, żeby dolać wina. Potknął się, omal nie upadł. Will zerwał się na nogi, żeby go podtrzymać, ale starzec odpędził go gniewnym machnięciem ręki.

Jesteś chory?

Po prostu stary, Wilhelmie — syknął ksiądz z irytacją. — Zwyczajnie stary.

Dotarłszy do stołu, podniósł dzban i zadumał się na chwilę.

Ci ludzie, którzy napadli na was pod Mekką... Powiadasz, że znali łacinę?

Nie tylko znali. Posługiwali się nią płynnie i z europejskim akcentem.

Francuskim? Włoskim?

Nie jestem pewien. Szumiało mi w głowie po upadku. — Will wyteżył pamięć, lecz po chwili się poddał. — Nie potrafię określić.

A w wielkim meczecie zaatakowali was mamelucy?

Za to mogę ręczyć. Myślę, że wysłał ich Kalaun.

Nie uprzedziwszy nas?

Może nie dotarła do niego wiadomość, że jesteśmy gotowi zapobiec świętokradztwu.

Albo dotarła, lecz mimo to bał się nam zaufać.

To możliwe. — Will posępnie skinął głową.

Najważniejsze, że nie doszło do kradzieży. — Ewerard spojrzał Willowi w oczy. — I że ty jesteś cały. Na szczęście udało wam się wrócić. Bałem się, że szyjci pozostawią was na

pastwę pustyni.

Przeżył tylko jeden, ścigany tak samo jak my. Z nami miał większą szansę na powrót do Uli niż samotnie.

Tak czy owak mieliście sporo szczęścia. Słyszałem, że Robert z Paryża został ranny?

W parę niedziel dojdzie do siebie. — Will zaciął usta i spuścił wzrok w głąb pucharu.

Ewerard domyślił się, co go gryzie.

Nie musisz czuć się winny. Robert sam podjął decyzję i uczynił to świadomie.

Will w milczeniu dopił wino.

No cóż — rzekł w końcu. — Tę sprawę mamy już za sobą.

Niezupełnie, Pozostaje wyjaśnienie roli, jaką odegrał w niej wielki mistrz, oraz tożsamości ludzi, którzy mu pomagali. Jak wiesz, jeszcze w zeszłym roku poprosiłem dwóch naszych

braci, by się baczniej przyjrzeni Angelo Vitturiemu. Wiemy, że jest dziedzicem bogatego handlarza niewolników, Veneria, który w ostatnich latach poniósł znaczne straty. W podobnej sytuacji był Soranzo, szkutnik, ongiś zamożny, lecz znacznie zubożały.

Pamiętam.

W czasie gdy cię nie było, ustaliliśmy, że rodzina Vitturich miała umowę z mamelukami, dostarczali im chłopców do armii. Stąd mogła się wziąć znajomość z tym człowiekiem w Kairze, bratem Kajsana.

To możliwe... — Will się zamyślił. — Ale nie mamy dowodu, że Angelo Vitturi choćby

wiedział o planach wielkiego mistrza. Jedyнным pewnym łącznikiem był Soranzo.

W tym kłopot. Wielki mistrz przyznał ci, że w spisek zamieszani są inni, ale nie wyjawiał kto.

Czy to takie ważne? Zapobiegliśmy wojnie.

Na razie. Jednakowoż ci ludzie zadali sobie wiele trudu. Sądysz, że się poddadzą? Osobiście wątpię, by na tym sprawa miała się zakończyć. Naradzaliśmy się z braćmi. Myślę, Wilhelmie, że powinieneś spróbować wydobyć tę informację od wielkiego mistrza.

Skryba kończył właśnie ostatni wiersz listu, pióro śmigало zręcznie po papierze, gęsia lotka drygała za każdym pociągnięciem.

Wilhelm z Beaujeu odwrócił się od okna.

Napisz, że wkrótce znów prześlę wieści, i dodaj wyrazy szacunku. Na tym skończymy.

Skryba uniósł głowę znad pulpitu.

Mówiłeś, panie, że...

Później — przerwał mu Wilhelm. — Nie teraz. Idź już.

Tak jest. — Mężczyzna dokończył list, pozbierał przybory, skłonił się i wyszedł z komnaty.

Kiedy drzwi się za nim zamknęły, Wilhelm zacisnął powieki. Słońce wpadające przez okno prześwietliło je na czerwono. Pod habitem zlany był potem, głowa go bolała i czuł ssanie w żołądku. Chwycił się parapetu, zaciskając palce na zimnym kamieniu.

Wysłuchawszy sprawozdania Campbella, natychmiast posłał po skrybę. Od miesięcy

przynaglał Karola, Edwarda i papieża, by się gotowali do nowej krucjaty. Teraz musiał

wszystko odwołać. Ale dopiero gdy zaczął dyktować pierwszy list, sytuacja objawiła mu się w całej jasności. Rzec można, uderzyła go między oczy.

Ponieśli klęskę.

Nie udało się zdobyć cennego łupu, karty przetargowej i zarazem ościenia na wyznawców

islam. Nie będzie nowej wojny, a więc i nie będzie nowych zaciągów w Europie. Sułtan

będzie nadal wojował z Mongołami, a kiedy się z nimi upora, po prostu zmiecie kilka

odosobnionych frankijskich twierdz i marzenie o Ziemi Bożej zgaśnie raz na zawsze.

Wilhelm przyjechał tu z żarliwym pragnieniem, by odzyskać utracone Królestwo

Jerozolimskie i spełniając Bożą wolę, ocalić Święte Miasto. Wszystko co czynił, miało go

doprowadzić do tego celu: poparcie dla Karola, prywatna wojna ze słabym królem Hugonem, udział w kupieckim spisku. Nadaremnie.

Mimo jednak goryczy porażki czuł ulgę w strapieniu, które go dręczyło od kilku miesięcy.

Choćby plan się powiódł, także mogli przegrać. Wizytator paryski, Hugo z Pairaud, donosił mu, że budowa okrętów dla zakonu znacznie się opóźnia. Mogło wszak być i tak, że królowie Zachodu nie przyszliby z pomocą. Karol, choć zapewnił sobie tron Ziemi Świętej, nie dawał znaku, iżby w najbliższym czasie chciał osobiście na nim zasiąść. Wilhelm zacisnął szczęki.

Mimo wszystko... może byłoby lepiej paść z honorem w boju, w miejscu i czasie przez siebie wybranym, niż kulić się tu trwożnie, czekając, kiedy spadnie cios.

Ktoś zapukał do drzwi. Odwrócił się wściekły, że go nachodzą. Zobaczył wychudzoną, spaloną słońcem twarz Zachariasza.

Panie, masz gościa.

Mówiłem, żeby mi... — Wilhelm urwał, widząc za plecami rycerza odzianą na czarno postać.

Przełknął rozdrażnienie. Ongiś kazał Zachariaszowi prowadzić Vitturiego prosto do swej świetlicy, kiedykolwiek ten pojawi się w Templum. Sycylijczyk po prostu wypełniał rozkaz.

Dobrego dnia życzę ci, mój panie — powiedział Angelo, gdy drzwi się zamknęły i zostali sami.

Z gładkiej twarzy nie dało się nic wyczytać, ale Wilhelm uchwycił nutkę jawnej wrogości w jego pozdrowieniu. Słowa „mój panie” tchnęły ironią, jakby miały być zniewagą, nie ukłonem.

Co tu robisz? — spytał szorstko.

Przecież wiesz — odparował Angelo, jakby wystrzeliwał słowa z katapulty.

Wilhelm od razu pojął.

Już słyszałeś.

Że plan się nie powiódł? Tak, słyszałem.

Od kogo?

Co się stało? — Wenecjanin puścił jego pytanie mimo uszu. — Mój ojciec żąda wyjaśnień.

Grzeczniej, Yitturi! — Głos Wilhelma chlasnął go jak bicz. — Nie zapominaj, z kim rozmawiasz.

Angelo zaczerpnął tchu. Wzrok miał lodowaty, widać było, że walczy ze sobą, lecz podjął pokorniej:

Wybacz, panie. Lecz ojciec i jego wspólnicy głęboko zasmucili się nowiną. Chcieliby poznać z twoich ust przyczynę niepowodzenia.

Siadaj. — Wilhelm wskazał zydel stojący obok stołu.

Po chwili ociągania Angelo usiadł. Wilhelm nie zasiadł naprzeciw; stojąc nad kupcem, streścił mu raport Campbella. Kiedy skończył, Wenecjanin milczał przez długą chwilę. Potem wstał. Po twarzy przemknęła mu triumfalna wzgarda.

My wiemy, że to kłamstwo — warknął, zapominając o uprzejmości.

Twoi ludzie nie wpadli w zasadzkę, sami zadbali o niepowodzenie misji.

Wilhelm byłby się roześmiał z tak absurdalnego oskarżenia, lecz nim otworzył usta, Angelo już mówił dalej:

Otrzymaliśmy wiadomość, że jeden z twoich ludzi spotkał się w sekrecie z emirem Kalaunem al-Alfim, głównym doradcą wojskowym Bajbarsa. Ostrzegł go już wiele miesięcy temu i razem uknuli podstęp.

Kto? — spytał z niedowierzaniem Wilhelm.

Ten, któremu sam powierzyłeś dowództwo. Komandor Wilhelm Campbell.

Tym razem wielki mistrz się roześmiał.

To niedorzeczne! Skąd macie tę wiadomość? — Spojrzał w oczy Angela, lecz nie dotrzegł w nich kłamstwa. Spoważniał. Kiełkujące podejrzenie zmąciło jego dotychczasową pewność siebie.

Bardzo nas interesuje — ciągnął zimno Wenecjanin — jak zwykły rycerz zakonny nawiązał znajomość z najpotężniejszym emirem w mame-luckiej armii. Nie dotarł wszak do niego sam.

Co insynuujesz? — rzekł Wilhelm groźnie.

Ty wysłałeś go do Mekki i sam dobrałeś ludzi, którzy mu towarzyszyli...

I którzy tam zginęli! Straciłem trzech dzielnych rycerzy, których znałem od dawna.

Widocznie pogodziłeś się z tą ofiarą. Od początku plan ci się nie podobał, to było jasne.

Działałeś przeciw nam i dopiąłeś swego.

Zejdź mi z oczu. — Wilhelm podszedł do drzwi i położył dłoń na klamce. — Idź i zabierz ze sobą swoje wymysły, bo na Boga, pożałujesz. Powiedz swemu ojcu i jego współnikom, że sprawa jest zakończona.

Jeszcze drobiazg. — Angelo wsunął dłoń do szerokiego rękawa.

Wilhelm dostrzegł błysk metalu, lecz zaskoczony stracił cenną chwilę.

Nim zdążył oprzytomnieć, tamten doskoczył do niego i błyskawicznie wyprowadził cios.

Wilhelm uchylił się w ostatniej chwili, złapał Italczyka za rękę i próbował odepchnąć, lecz nagle poczuł ostry ból w boku, a za nim falę ciepłej wilgoci i z przerażeniem uświadomił

sobie, że jest ranny. Ogarnęła go furia. Zacisnął ręce na szyi Wenecjanina. Przyduszony Angelo wypuścił sztylet, obiema rękami usiłował rozewrzeć dłonie templariusza. Wilhelm był

jednak wyższy i silniejszy; mimo oślepiającego bólu pchał przeciwnika przed sobą, aż niemal położył go na stole.

Angelo rozpaczliwie próbował się uwolnić. Jak przez mgłę widział nad sobą białą, ściągniętą twarz rycerza i plamę rozlewającą się po białej zakonnej szacie, czerwoną jak krzyż Świętyńni.

W pewnej chwili mistrz zamrugał powiekami, zachwiał się i rozluźnił uchwyt. Vitturiemu

udało się wyrwać; zatoczył się na bok, rżąc. Wilhelm jedną ręką uchwycił się brzegu stołu, drugą przycisnął do boku. Oddychając z trudem, Angelo rozejrzał się za sztyletem, który leżał

niedaleko na kamiennej posadzce. Tymczasem jednak templariusz zdążył zdjąć ze ściany

miecz i dobyć go z pochwy. Twarz miał szarą, pot rosił mu czoło, ale chwiejnym krokiem

szedł wprost na kupca. Ten prędko ocenił sytuację, wsunął sztylet na powrót do rękawa i pobiegł do drzwi.

Kiedy się za nim zamknęły, wielki mistrz upuścił miecz i runął na kolana. Myślał, że umiera, więc pomodlił się przez zaciśnięte z bólu zęby. Ale po chwili przestało mu wirować w głowie i wzrok się

przejaśnił. Teraz ból był niczym żelazny pręt, twardy i mocny. Wilhelm chwycił

róg stołu i dźwignął się z jękiem. Potem powlókł się do drzwi.

Zachariasz! — krzyknął. Nawet jemu własny głos wydał się ledwie słyszalny.

Po chwili na korytarzu pokazało się dwóch rycerzy.

Nie ma go tu, panie — rzekł jeden. — Przed chwilą poszedł odprowadzić kogoś do wyjścia.

Niech to diabli — zaklął słabo Wilhelm.

Panie? — Rycerz dopiero teraz zauważył ciemnoczerwoną plamę na szacie mistrza i

rozdziawił usta przerażony. — Leć po brata infirmariusza! — krzyknął do towarzysza.

Nie — wycharczał Wilhelm. — Najpierw goń Zachariasza. Ten Wenecjanin nie może opuścić preceptorium. No, pędź! — wrzasnął.

Rycerz ocknął się z szoku i pognął ku schodom.

Ty — szepnął do drugiego — znajdź Wilhelma Campbella i odprowadź go pod strażą do

lochu. — Złapał drzwi, ledwie mogąc ustać.

A potem wezwij mi medyka.

Szymon stał na środku dziedzińca i rozglądał się wokół. Koń, którego osiodłał, szybki gniady podjezdek ze strzałką na czole, szturchnął go pyskiem w plecy i prychnął. Szymon z

roztargnieniem pogłaskał zwierzę po chrapach.

No gdzie on jest? — mruknął, ruszając z koniem w kółko. Obok kancelarii stało kilku

rycerzy, przez dziedziniec szli giermkowie z ćwiczebnymi mieczami, lecz nie było śladu

Willa.

Po chwili zawrócił ku bramie, prowadząc za sobą konia. Najpierw musiał przygotować dwa

wierzchowce dla marszałka, Will pewnie zniecierpliwił się i poszedł pieszo. Nie mógł wyjść dawno, zaraz go dogoni. Szkoda, żeby musiał przebierać nogami, kiedy czeka na niego

osiodłany wierzchowiec.

Był w połowie drogi, gdy zobaczył biegnącego serwiensa z wartowni imieniem Paweł.

Nie widziałeś komandora Campbella? — zawołał tamten.

Sam go szukam. Myślałem, że wyszedł. — Szymon zerknął nad ramieniem Pawła w stronę bramy.

Musiałbym go widzieć. Ale Ryszard i ja dopiero zaczęliśmy służbę. Jest ktoś do niego, mówi, że to pilne.

Kto taki?

Nie podał imienia. Mówi, że komandor będzie wiedział.

Szymon z niezdecydowaniem zmarszczył czoło, sapnął i przywiązał konia do rozchybotanego słupka.

Idź i dowiedz się od ludzi, którzy trzymali straż przed tobą, czy komandor wychodził — rzekł do Pawła. — A ja dowiem się, czego tamten chce.

Paweł się zawahał.

Wybacz, ale chyba nie powinieneś mieszać się w sprawy komandora.

To mój przyjaciel. Nie będzie miał mi za złe. Jeśli to ważne, jeszcze mi podziękuje.

Na twoją głowę — skrzywił się Paweł i pobiegł do budynku.

Szymon poszedł do wieży bramnej, kiwnął głową Ryszardowi pełniącemu wartę i wyszedł przez furtę wyciętą w wielkiej bramie. Rozejrzał się; pod ścianą domu naprzeciw stał mężczyzna w szarym burnusie, z częściowo zakrytą twarzą. On jedyny nie wygiądał na kogoś, kto się dokądś śpieszy w ważnej sprawie. Mężczyzna popatrzył na niego, ale nie kwapił się przejść przez ulicę. Szymon podszedł ostrożnie, omijając dwóch mężczyzn pcha-jących ręczny wózek wypełniony po brzegi aksamitnymi brzoskwiniami.

Witaj — zaczął z wahaniem. — To ty czekasz na komandora Campbella?

Ja. — Mężczyzna nie ruszył się z miejsca. Chociaż mówił po łacinie, Szymon rozpoznał arabski akcent.

Czy mam mu przekazać wiadomość?

Muszę z nim mówić, bardzo ważne. Gdzie jest?

Chyba poszedł do miasta. — Szymon mówił powoli, żeby tamten zrozumiał. — Powiedz, jaką masz sprawę, to przekażę mu, kiedy wróci.

Mężczyzna słuchał go ze zmarszczonym czołem.

Gdzie w mieście?

Eee... — zająknął się Szymon. Nieruchomy wzrok tamtego zbijał go z tropu. Może Paweł miał rację: nie powinien był się mieszać w nie swoje sprawy. — Zaczekaj tu — rzekł, cofając się o krok. — Komandor na pewno wkrótce wróci.

Mężczyzna błyskawicznie chwycił go za ramię.

Gdzie? — syknął.

Puść mnie! — Szymon starał się wyrwać, ale tamten, choć znacznie drobniejszej budowy, był niewiarygodnie silny i trzymał go jak w cęgach. Gwizdnął i z zaułka wyłoniło się dwóch innych ludzi, odzianych w podobne workowate szaty. Szymon jednak nawet ich nie zauważył.

Wzrok wlepiony miał w ostrze sztyletu, które zatrzymało się o włos od jego brzucha.

Prowadź do Campbella, bo zabiję.

Koniuszy omal nie popuścił w spodnie. Na trzęsących się nogach dał się pociągnąć w głąb zaułka, gdzie czwarty mężczyzna czekał z końmi.

Templum w Akce Czternasty dzień czerwca roku Pańskiego 1277

Nie jestem przekonany, czy to coś da. — Will odstawił na stół pusty kubek.

Zgodziłeś się z nim porozmawiać — wytknął mu ostro Ewerard.

Powiedziałem, że spróbuję. Muszę być ostrożny. To ja dowodziłem misją i nie wykonałem zadania. Wielki mistrz nie ma powodów do zadowolenia. Ostatnie, czego pragnę, to wzbudzenie podejrzeń, że jestem za to odpowiedzialny. Kiedy wcześniej go podpytywałem, zbył mnie, wyraźnie nie chcąc mówić o swych współnikach. Teraz, gdy jest już po wszystkim, dziwne będzie, jeśli zacznę drażnić przeszłe sprawy, nie mające już znaczenia.

Co właściwie starasz się powiedzieć?

Will odchylił ciężką zasłonę na oknie, wpuszczając nieco światła.

Mówię, że z nim porozmawiam, ale rozsądniej byłoby nie pokładać całej nadziei na uzyskanie informacji w samym wielkim mistrzu. — Zauważył na dziedzińcu tęgą postać w czerni,

prowadzącą za sobą konia. Westchnął niecierpliwie, uświadamiając sobie, że koniuszy czeka na niego już dość długo. — Ewerardzie, muszę iść. Porozmawiamy jeszcze o tym. Zwołaj

braci. Ja tymczasem zobaczę, co da się zrobić, i...

Jego słowa utonęły w huku otwieranych gwałtownie drzwi. Do komnaty wszedł rycerz,

patrząc wprost na niego.

Tu jest! — zawołał przez ramię.

Ewerard wstał z miejsca, równie jak Will zaskoczony. Ukazało się jeszcze dwóch rycerzy z mieczami w dłoniach.

Co to ma znaczyć? — w wyblakłych oczach kapelana błysnął gniew.

Komandorze Campbell — odezwał się pierwszy — pójdiesz z nami.

Dokąd?

Do lochu.

O co go obwiniecie? — Głos Ewerarda zadrżał.

Jesteśmy tu z rozkazu wielkiego mistrza — Rycerz zwrócił się do Willa, ignorując księdza.

— Odłóż miecz.

Will zawahał się, spojrzął na Ewerarda, potem na posępnych rycerzy, w końcu powoli dobył

falcjona z pochwy. Tamci stężeli. Ale Will położył broń na stole i ruszył do drzwi. Kiedy wyprowadzali go ze świetlicy, napotkał wystraszone spojrzenie starca.

Nie martw się — mruknął.

Cztery godziny później siedział skulony w celi pod wieżą skarbniczą, nasłuchując łomotu fal walących w jej fundamenty. Nawiedziło go koszarne uczucie, że już to wszystko zna.

Powróciły wspomnienia odwiedzin u Garena, jego straszny los w ciasnej, ciemnej celi, gdzie stęchłe powietrze dławi, miast ożywiać. Rycerze nie wyjawili powodu jego uwięzienia, ale mógł być tylko jeden: wielki mistrz w jakiś sposób dowiedział się o zdradzie. Po pewnym czasie Will zaczął mieć

wrażenie, że od tego czekania oszaleje

ciągły monotony odgłos fal i dręczące myśli kłębiące się głowie doprowadzały go na skraj wściekłości.

Słyszac glosy w korytarzu, podniost glowe. Kroki sie zbily, wstal wiec, czujac, jak krew boleśnie splywa do scierpiętych nog. Rozległ się szcęk kluczy i zgrzyt odsuwane rygla.

Oślepiło go światło pochodni; uniół ramię, by osłonić oczy, i mrużąc je, dojrzał, że do celi wsuwa się niezgrabnie przez niskie drzwi Wilhelm z Beaujeu. Wartownik zatknął pochodnię w uchwycie, a potem wyszedł. Cella była ciasna dla samego Willa; teraz ledwie mieściła ich obu. Will zamrugął, przyzwyczajając oczy do światła. Pierwsze, co go zdumiało, gdy

spoglądał na mistrza, to że ten krzepki mężczyzna w ciągu minionych paru godzin bardzo się zmienił. Był blady, a kamienny zwykle wyraz twarzy zastąpił lekki grymas. Opierał się na lasce i krzywił, przenosząc ciężar ciała z nogi na nogę. Wyglądał na chorego.

Panie... — zaczął Will, lecz mistrz zgromił go twardym spojrzeniem.

Czy to prawda? — Głos miał ochrypy, trudno orzec, z bólu czy wzburzenia.

Pozwól panie, że spytam, dlaczego się tu znalazłem.

Zdradziłeś mnie?—spytał cicho Wilhelm.—Spotkałeś się z emirem Kalaunem i ostrzegłeś go o naszych zamiarach? — Gniew zabarwił mu rumieńcem woskowe policzki. — Czy to prawda? — krzyknął.

Tak.

Wilhelm zaniemówił na chwilę, jak gdyby nie spodziewał się odpowiedzi, a w każdym razie nie tak prędkiej.

No to słucham — rzekł zimno.

Will spuścił oczy. Opierając się plecami o kamienną ścianę lochu, czuł w całym ciele nieustanny ruch morza. Zawahał się; nie wiedział, jak wyjaśnić głowie zakonu, że nie usłuchał rozkazu, gorzej, aktywnie mu przeciwdziałał. Zginiesz śmiercią zdrajcy, zaszemrał mu w głowie ostrzegawczy głos. Ale był wyczerpany po podróży, zmęczony kłamstwami i pytaniami, niepewnością i tajemnicą. Czubkami palców dotknął muru, jakby chciał zaczerpnąć odeń siłę. Podniost glowe i spojrzal mistrzowi prosto w oczy.

Gdybyśmy skradli ten kamień, to byłby nasz koniec. Nie tylko zakonu, całej Akki... —

Rozłożył ręce. — Nie wierzę, abyśmy po czymś takim zdołali odeprzeć furię muzułmanów.

Zginęliby wszyscy.

Nie wierzysz? — Głos Wilhelma trzął się z powstrzymywanej wściekłości. — Twoje

odczucia nie mają tu nic do rzeczy! Jesteś templariuszem! Jako komandor wydajesz rozkazy innym, lecz sam podlegasz moim! I masz je wykonywać niezależnie od tego, czy uważasz je za słuszne czynie. Bez wahania, najlepiej jak potrafisz! — Mistrz urwał, by zaczerpnąć tchu, ale jeszcze nie skończył. — Rada trzynastu wybrała mnie na to stanowisko. Złożyłem ślub, że będę rządził Templum dla dobra chrześcijaństwa. I dlatego moje słowo jest prawem.

Ja także złożyłem śluby, panie. — Will podniósł głos, czując, jak i jego niespodziewanie ogarnia gniew. — Ślubowałem posłuszeństwo tobie i innym moim zwierzchnikom, ale także

to, że będę strzegł Królestwa Jerozolimskiego. Jadąc do Mekki, musiałem złamać albo jedną, albo drugą przysięgę. Pozostało mi wybrać, którą.

Na twarzy wielkiego mistrza odmalowało się zaskoczenie. Otworzył usta, ale zamknął je z powrotem.

Zrobiłem to, co uważałem za najlepsze — podjął ciszej Will.

Poza wszystkim innym pomyślałem też, że... — urwał i wziął głęboki oddech, zbierając się na odwagę — ...że nie tylko twoja wola pchnęła nas do tego czynu. Mówiłeś, że w sprawę

zaangażowani są inni. Domyśliłem się, że spoza Templum.

Wilhelm machinalnie dotknął ręką boku i znów się skrzywił. Cofnął się, oparł o ścianę naprzeciw Willa.

To prawda — mruknął. — Jak udało ci się spotkać z emirem Kalaunem? Sprawić, że w ogóle zgodził się z tobą mówić?

Mój ojciec go znał.

Nie była to cała prawda, lecz istotnie Jakub Campbell pierwszy nawiązał kontakt z Kalaunem, działając z poruczenia Anima Templi.

Ojciec... — powtórzył Wilhelm, kręcąc w rozterce głową.

Kalaun chce pokoju — dodał szybko Will. — Widzi w nim dobro i dla nas, i dla nich.

Muzułmanie bogacą się na handlu z nami. Emir jest po naszej stronie. Nie chce nas zniszczyć.

Wilhelm zaśmiał się z pogardą.

To czego chce lub nie chce Kalaun, nie ma znaczenia, dopóki sułtanem jest Bajbars. A

Bajbars chce nas przepędzić z tych ziem raz na zawsze i pójdą za nim rzesze.

Bajbars nie będzie rządził wiecznie, mój panie. Kalaun ma wpływ na następcę tronu, stara się mu

zaszczepić własny sposób myślenia. Kiedy więc Baraka zasiądzie na tronie, będzie patrzył

znacznie przychylniejszym okiem na naszą obecność w Ziemi Świętej... — Will odepchnął się od ściany i rzekł z zapalem: — Mamy szansę ocalić chrześcijaństwo na Wschodzie bez rozlewu krwi. Gdyby jednak Kamień został skradziony, ta szansa by przepadła.

Nie jestem głupcem — odparł szorstko Wilhelm. — Nie podjąłbym się tego, gdybym nie wierzył w powodzenie. Atak Bajbarsa pozwoliłby nam wreszcie zebrać nową krucjatę... —

Jego słowa zabrzmiały nieprzekonująco i chyba sam to usłyszał, bo chrząknął zmieszany. —

Nie widziałem innego sposobu — rzekł ciszej. — Nie mogłem siedzieć beczynn timer, czekając, aż Saraceni wymordują nas wszystkich. Chciałem nas obronić.

Will wykorzystał nadarżającą się okazję.

A ludzie, którzy ci pomagali... Jaki oni mieli w tym cel?

Wilhelm zerknął na niego.

Złoto — rzucił z goryczą. — Nie chodziło im o Jerozolimę. — Przez chwilę się zastanawiał, czy mówić dalej, w końcu westchnął: — Jakie to ma teraz znaczenie? Jeden z nich próbował

mnie dzisiaj zabić. Brat infirmariusz twierdzi, że prawie mu się udało. Gdyby ciął o włos głębiej...

Will osłupiał. Wielki mistrz skrzywił się i podjął rzeczowo:

Myślał, że sabotując plan, działałeś na mój rozkaz. To on mi powiedział o twoim spotkaniu z Kalaunem. Angelo Vitturi, znasz go.

Will powoli pokiwał głową.

Nie wyjawil mi, skąd to wie — ciągnął Wilhelm. — Ma jakiegoś człowieka w Egipcie; to on właśnie skierował nas do Kajsana. Może widziano cię z Kalaunem? Albo emir komuś o tym

powiedział?

I jedno, i drugie wydaje mi się mało prawdopodobne. Czy wiadomo, kim jest ten Arab?

Vitturi nigdy o nim nie mówił. On i jego wspólnicy nie byli skłonni zdradzać swych sekretów.

Zależało im tylko na tym, żebym dał im ludzi, którzy wytrzymają podróż przez Arabię,

nawiążą kontakt z Kajsanem

przeprowadzą akcję. — Widząc minę Willa, mistrz pokiwał głową.

Wykorzystywali mnie, to oczywiste. Myślałem jednak, że w ostatecznym

rozrachunku ja ich wykorzystam. Motywy, które nimi kierują, są mi wstrętne. To klika

potężnych kupców, którzy czerpią zyski z wojny i dla ich odzyskania gotowi są na wszelkie niegodziwości. Ale wierzyłem, że obrócę ich plan na naszą korzyść.

Obaj zamilkli. W końcu odezwał się Will:

I co teraz?

Twarz Wilhelma stężała. Odetchnął głęboko.

Jesteś winny — rzekł po chwili. — Winny niewykonania rozkazu, winny znoszenia się z

wrogiem i winny śmierci trzech moich ludzi. Dobrych ludzi — dodał, gdy Will zwiesił głowę.

— Ale nie kierowała tobą własna korzyść ani zamiar wyrządzenia zła braciom czy też

zakonowi. — Opierając się ciężko na lasce, podszedł do drzwi. — Plan był bardzo

ryzykowny, wiedziałem o tym od początku, lecz nie widząc innej możliwości, odsuwałem od siebie lęk. Gdyby się udało... — urwał i spojrzał Willowi w oczy.

Może Bóg chciał mi coś przez to powiedzieć? Byłem głuchy na swój niepokój, ale trudno,

bym zamykał oczy na drugi już zamach na moje życie podjęty przez ludzi, z którymi się

związałem. — Otworzył drzwi i ponaglił Willa gestem.

Mogę wyjść? — Will bał się uwierzyć.

Zdasz mi szczegółowo sprawę z tego, co się stało w Mekce — rzekł szorstko Wilhelm. — I

tym razem będziesz mówił prawdę. Zostaniesz ukarany za swoje czyny, bracie; nie mogę ci puścić płazem tak bezczelnej niesubordynacji, jakkolwiek byś sam sobie zdawał się

szlachetny. — Urwał.

Ale nie dziś i nie stryczkiem.

Dziękuję ci, panie, za miłosierdzie — wyjąkał Will. Rozpierała go wdzięczność. Chwiejnym krokiem wyszedł na zatęchły korytarz lochu.

Wielki mistrz skinął tylko krótko głową.

A co z Vitturim? — spytał Will, gdy ruszyli do wyjścia.

Nim już się zająłem.

Kościół Świętego Mikołaja za murami Akki Czternasty dzień czerwca

Podgrodzie leżało w ruinie od ośmiu lat, kiedy to Bajbars nadciągnął pod Akkę z sześciotysięczną armią, chcąc wziąć miasto szturmem. Po raz kolejny jednak nie zdołał skruszyć potężnych fortyfikacji, zadowolił się więc wycięciem w pień dużego oddziału wracających z wypadu frankijskich rycerzy i zniszczeniem nieobronnej osady za murami.

Kępy suchej trawy zdążyły już porosnąć kruszące się fundamenty; z ziemi sterczało tylko kilka wyszczerbionych ścian i szkielet kościoła pod wezwaniem świętego Mikołaja. Odkąd przed rokiem zawaliła się część bocznej nawy i pod gruzami zginęło dwóch chłopców, większość rodziców surowo zakazała dzieciom zabaw w ruinach. Wnętrze świątyni tchnęło opuszczeniem, martwością. Nagie belki, podtrzymujące ongiś strop, rozeschły się w palestyńskim słońcu. Czarne smukłe skorpiony uwijające się po gruzowisku błyskawicznie pierzchły, kiedy drzwi kościoła otwarły się z bolesnym jękiem.

Nie śpieszyło ci się.

Konrad z Bremy posłyszał głos, nim jeszcze dojrzał mówiącego, którego czarny burnus był ledwie widoczny w mroku.

Miałem pilną sprawę do załatwienia — odparł swym rozwlekłym, ciężko akcentowanym włoskim. — Przybyłem najszybciej, jak mogłem.

Venerio ominął go i przyciągnął drzwi. Zazgrzytały opornie o nierówną posadzkę, lecz w końcu się zatrzasnęły.

Chodź — burknął. — Reszta już czeka.

Omijając barierę ze zwalonych belek i chrzęszcząc stopami po gruzie zaścielającym

posadzkę, Vitturi poprowadził Niemca do niegdysiejszego chóru. Tu także leżały strzaskane dźwigary, opierając się pod przeróżnymi kątami o kruszące się kolumny. Połowa zachodniej ściany runęła, jej wyszczerbiony zarys widniał na tle ciemniejszego nieba. Słońce zaszło przed godziną, ześliznęło się za horyzont niczym krążek masła, a pomiędzy kościstymi

palcami sklepienia widać było pierwszą wieczorną gwiazdę.

Na środku, gdzie gruzu było nieco mniej, czekało trzech mężczyzn. Dwaj siedzieli na

kamieniach, trzeci krążył niecierpliwie w tę i nazad. Słyszając kroki, wszyscy się obejrżeli.

Sterczymy tu od paru godzin — warknął Angelo, zatrzymując się wreszcie i mierząc Niemca wojowniczym spojrzeniem. — Gdzie się podzie- wałeś?

Konrad bez pośpiechu odgarnął z czoła kosmyk jasnych włosów

odparł, nie kryjąc lekceważenia:

Wy tłumaczyłem się twojemu ojcu.

Urażony Angelo ruszył ku niemu, lecz Venerio położył mu rękę na ramieniu.

Dosyć. Jesteśmy już wszyscy, to wystarczy.

A więc zaczynajmy — rzeki śpiewnie Renaud z Tours, podnosząc się z kamiennego bloku, na którym siedział.

Spocznijcie, proszę. — Venerio gestem gospodarza wskazał rozrzucone tu i ówdzie większe kawałki muru.

Michał Pizańczyk jednak także wstał z twarzą ściągniętą z niepokoju.

Dość się już nasiedzieliśmy. — Szorstki ton nie był w stanie zagłuszyć nutki paniki. Zerknął

na Konrada. — Do twego przyjscia Vitturi nie chciał nam powiedzieć, po co nas tu ściągnął.

Najwyraźniej coś poszło źle. Wy tłumacz nam, Venerio, skąd sińce na szyi twego syna, to nagłe wezwanie

strach, którym obaj śmierzicie. Czy wielki mistrz zginął?

Po twarzy Veneria na mgnienie przemknęła wściekłość, której nie zauważył nikt oprócz

sposępniałego nagle Angela.

Nie jesteśmy pewni — powiedział ostrożnie.

Jak to: nie jesteście pewni? — najeżył się Renaud. — Co to znaczy?

Dopusć go do słowa — przerwał mu Konrad. Jego flegmatyczny głos także dźwignął się o pół tonu.

Angelo dźgnął go sztyletem, ale musiał uciekać — rzekł wymijająco Venerio.

Wątpię, żeby przeżył. — Angelo spojrział spode łba na otaczające go ponure twarze. —

Wyglądał na konającego.

Wyglądał? — W głosie Pizańczyka zabrzmiała groźba. — Jeśli jest chociaż cień możliwości, że przeżył, to...

Angelo uważa, że rana była śmiertelna — wtrącił pośpiesznie Venerio. — Wierście mi, zna się na tym.

Ale ty sam nie jesteś tego pewien, inaczej byś nas tu nie zwołał. Chcesz nam powiedzieć, że nie możemy wrócić do domów?

Zebraliśmy się po to — odrzekł Wenecjanin — żeby zdecydować, co robić.

Konrad, który od dłuższego czasu milczał z wyrazem namysłu na ogorzalej twarzy, zwrócił na niego lodowate niebieskie oczy.

Ja swoje zdanie wyraziłem wczoraj, kiedy dostaliśmy wieść o niepowodzeniu wyprawy.

Zostałeś przegłosowany — szczerknął Angelo, nim jego ojciec zdążył zabrać głos. —

Pozostali zgodzili się, że trzeba zabić mistrza templariuszy.

Nie było żadnych dowodów, że działał przeciw nam; że ten Campbell wykonywał jego

rozkaz. — Konrad pokręcił głową. — Po co miałby narażać własnych rycerzy, wysyłając ich do Mekki prosto w mamelucką zasadzkę?

Dla zachowania pozorów. — Venerio przyszedł w sukurs synowi.

Gdyby się nie stawili na spotkanie z Kajsanem, dowiedzielibyśmy się

zdradzie.

To prawda — przyznał cicho Renaud. — Nie mogliśmy ryzykować, Konradzie. Zbyt łatwo mógł nas zniszczyć. Gdyby dowiedziała się o tym Wysoka Rada, stracilibyśmy całe mienie i mogli mówić o szczęściu, gnijąc w lochu.

Venerio uniósł rękę władczyim gestem.

Co się stało, to się nie odstanie. Jeśli mistrz nie żyje, będą szukać Angela i tylko jego. A on jest już gotów do wyjazdu. — Zerknął na syna, który przytaknął skinieniem głowy.

A co z nami? — spytał Michał. — Nie możemy wszyscy schronić się w Wenecji pod skrzydłami doży, zanim sprawa nie przyschnie. Niech to szlag!

Konrad otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale jego niski głos został zagłuszony przez donośny huk, który poniósł się echem po ruinach kościoła. Wszyscy wzdrygnęli się nerwowo.

Po chwili dały się słyszeć jeszcze dwa cichsze stuknięcia.

Cóż to, u licha? — szepnął Michał.

Dzieci? — poddał Renaud z nadzieją w głosie.

Venerio dobył miecza i ruszył ku drzwiom, które zasłonięte zwalonymi belkami nie były

widoczne z chóru. Angelo też sięgnął po broń, chcąc iść za nim, ale w tejże chwili rozległ się cichy syk i na środku kościoła nagle rozbłysło światło. Cienie pierzchły do kątów przed czterema ognistymi kulami, które wpadły przez dziury w dachu.

Pali się! — wrzasnął Pizańczyk i cofnął się gwałtownie, gdy prawie tuż przed nim rozbił się zatkany dymiącą szmatą garnczek, wybuchając płynnym ogniem. Bryzgi poleciały na

jedwabną szatę, która natychmiast zajęła się płomieniami. Michał krzyknął, jął zdzierać suknię z ramion, a tymczasem wokół spadały kolejne pociski, rozlewając kałuże greckiego ognia.

Wyschnięte belki zapaliły się od razu. Trzaskające jęzory ognia sunęły prędko naprzód, pożar gwałtownie się rozszerzał. Pięciu mężczyzn cofnęło się pod ścianę nawy.

Do drzwi! — zakomenderował Venerio.

Nie! — sprzeciwił się Pizańczyk, który zdążył już się wyswobodzić z płonącej szaty. — Tego właśnie chcą! Próbują nas stąd wywabić.

Kto? — zapytał niepotrzebnie Konrad. Wszyscy przecież znali odpowiedź. Templariusze ich znaleźli.

Dalszą debatę przerwały dwa następne garnki, które wpadły do nawy. Kilka sekund później trzy płonące strzały wbiły się w resztki stropu.

Będziemy walczyć — syknął przez zaciśnięte zęby Venerio, ruszając do wyjścia.

Ale kiedy przedarli się do drzwi, zrozumieli, co oznaczał słyszany wcześniej łoskot. Skrzydła ani drgnęły, "mocno podparte od zewnątrz.

Za ich plecami huczał ogień. W kościele było teraz jasno jak w dzień. Białawy dym wznosił

się ku powale, która także płonęła; krucha więźba czerniała i pękała, sypiąc do wnętrza deszcz iskier.

Musimy przejść przez mur! — Angelo schował miecz do pochwy

biegiem puścił się z powrotem, klucząc między belkami, które jeszcze się nie paliły. Nagle stanął jak wryty przed ścianą ognia. Żar zaparł mu dech

sparzył krtań. Cofnął się, wybrał inną drogę i zaczął się drapać na stertę gruzu. Posłyszał

trzask; z góry runął dźwigar, sypiąc iskry, płomień buchnął na Angela, który z krzykiem rozpląszczył się na ziemi. Jego odzież już płonęła. Na czworakach przełazi przez gruzowisko i dotarłszy pod ścianę, jął gorączkowo tłumić na sobie ogień. Pozostali ruszyli jego śladem przez zdradziecki labirynt. Z góry dobiegł kolejny trzask i runęła następna belka; jej koniec przygniótł plecy Renauda, wbijając go w gruzowisko. Rumosz się osunął i Venerio zjechał

wprost w szalejące piekło. Angelo krzyknął. W chwilę później stracił z oczu Michała, a potem patrzył, jak płonie Konrad. Dym kłębił się coraz gęściej. Przyciskając do piersi poparzone ręce, Angelo opadł na kolana.

Templum w Akce Czternasty dzień czerwca

Jesteś pewiem? — dopytywał się Ewerard. — Wielki mistrz nie wie

Anima Templi?

Jestem pewien — powtórzył cierpliwie Will. Spojrzał na niebo

zaczepnął w płuca haust wieczornego wiatru, powoli uwalniając się od smrodu, wdlgoci i więziennej klaustrofobii. Księżyc był żółty i prawie pełny. Słyszał dziś, jak jeden ze

strażników mówił o mającym nastąpić za trzy dni zaćmieniu. Trzęsły nim dreszcze, lecz wraz z nimi spływał z niego strach. Już po uwolnieniu uświadomił sobie w? pełni, jak mało

brakowało, aby już nigdy nie zobaczył światła dnia. Zrobiło mu się słabo na tę myśl.

Stali z Ewerardem na murach przy wieży skarbniczej. Wydostawszy się z lochu, Will zastał

księdza na dziedzińcu przed wejściem.

A Vitturi i tamci? Co z nimi?

Mistrz mówi, że już się tym zajął. — Will zerknął na Ewerarda.

Chyba nie musimy się więcej nimi martwić.

Ewerard oparł się na parapecie.

Za stary już jestem na to wszystko — sapnął. — Myślałem, że to koniec. Na Boga i

wszystkich świętych, chłopcze, jesteś jak kot, co zawsze spada na cztery łapy!

Will zaśmiał się cicho.

Kiedy mistrz rzucił mi w oczy zdradę, wystraszyłem się, że własnymi rękoma powiesi mnie tam, na miejscu!

Dobrze się spisałeś, Wilhelmie — rzekł kapelan z powagą, kładąc kościstą rękę na ramieniu Willa. — Człek mniejszego formatu byłby się załamał, wydał tajemnicę ze strachu lub przez bezmyślność. Ty zachowałeś spokój i rozsądek. — Rzadki uśmiech rozświetlił twarz starca.

— Bałem się, że już cię nie zobaczę.

Will miał mu odpowiedzieć, kiedy ujrzał Szymona biegnącego przez dziedziniec do wieży

bramy skarbniczej. Zawołał do niego z góry. Koniuszy przystanął, zadarł głowę. W żółtym świetle pochodni zamajaczyła jego blada, ściągnięta twarz.

Will! — wrzasnął ochryple i puścił się biegiem po schodach. Potknął się, zachwiał i wpadł na Willa, który wyszedł mu na spotkanie, zaniepokojony jego miną.

Co się stało? — spytał chwytając go pod ramię.

Rany Boskie — sapał Szymon — rany Boskie!

Pot ściekał mu z nosa. Z wysiłkiem zaczerpnął tchu, próbując przemówić, lecz ze ściśniętego gardła wydobył mu się tylko zduszony szloch. Tunikę miał brudną i przepoconą.

Całym ciężarem osunął się na stopień, omal nie ściągając Willa ze schodów.

Will, ja cię przepraszam!

Rycerz przykucnął obok i złapał go za ramiona. Ewerard też do nich podszedł.

Co się stało? Mów!

Elwina...

Niepokój Willa eksplodował tysiącem ostrych igieł strachu.

Co z nią? No mówże!

Rozkazujący ton wyrwał wreszcie Szymona z ataku hysterii.

Zabrali ją.

Kto?

Nie mogłem cię znaleźć. — Koniuszy gwałtownie potrząsał głową.

Czekałem z koniem, ale ciebie nie było i pomyślałem, że poszedłeś pieszo. Postanowiłem cię dogonić. Wtedy Paweł powiedział, że ktoś przy bramie chce z tobą mówić, to wyszedłem do niego. Myślałem, że będę pomocny. — Szymon sapnął. — Ale on nie chciał z tobą

rozmawiać, Will, on chciał cię porwać.

Kupcy? — spytał szybko Ewerard. — Vitturi?

Will zerknął na niego, potem na Szymona, który chyba nie słyszał księdza.

Kto to był? Podał imię?

Nie. Ale wiem, kim był. Sam mi to powiedział — rzekł Szymon gorzko. — Mamelukiem.

Gwardzistą sułtana Bajbarsa.

Co to ma wspólnego z Elwiną?

Szymon otarł twarz rękawem tuniki.

Było ich kilku, chcieli, żebym ich do ciebie zaprowadził. Grozili mi sztyletami. Powinienem był dać się zabić, ale tak się bałem.. — Spuścił głowę pod ciężkim spojrzeniem Willa. —

Pomyślałem, że ty będziesz wiedział, co robić, i... — nie dokończył.

Nie musiał. Will puścił go nagle i zatoczył się na ścianę.

I zaprowadziłeś ich do Elwiny — rzekł głucho.

Myślałem, że tam jesteś i dasz sobie z nimi radę!

Dokąd ją zabrali? — rozległ się surowy głos Ewerarda.

Szymon podniósł spłoszony wzrok na księdza, jakby dopiero teraz go

zobaczył.

Dowiedzieli się, że... — Zerknął na Willa. — Kiedy nie zastali cię u Wenecjan, pomyśleli, że celowo wprowadziłem ich w błąd. W domu nie było nikogo, tylko służki, a te mamelucy

zamknęli na piętrze. Wypytywali Elwinę, co ją z tobą łączy, wymachiwali nożami,

przysięgam ci, Will, chcieli nas zabić! W końcu powiedziała, że jest twoją żoną. Wzięli ją ze sobą. — Szymon mówił teraz ciszej, z rezygnacją. — Kazali, żebym wszystko ci opowiedział.

Jeśli chcesz ujrzeć ją żywą, musisz przyjechać do Damaszku i stanąć przed sądem za swoją zbrodnię przeciw sultanowi. — Potrząsnął głową. — Nie wiem, co mieli na myśli, ale tak

właśnie powiedzieli.

Ewerard głośno wciągnął powietrze. Will milczał. Słowa Szymona łomotały mu w mózgu,

docierając do tych najciemniejszych zakątków, w których schował planowane ongiś

skrytobójstwo, a ostatnio także strach, dręczący go od chwili, gdy się dowiedział, że

mamelucy szukają tego, kto zlecił zamach, szukają jego. Nie mając wieści od Kalauna i zajęty sprawą Czarnego Kamienia, myślał, że poszukiwania przerwano i jego czyn nigdy

nie ujrzy światła dziennego. Teraz jednak nie mógł dłużej chować głowy w piasek. Zemsta, nagła i bezlitosna, uderzyła w jego najslabszy, najczulszy punkt.

Bezwiednie podniósł rękę do medalika ze świętym Jerzym.

Koń jest nadal osiodłany?

Nie wiem... Możliwe, że tak.

Przyprowadź go — rzekł sucho.

Wybacz mi... — Szymon podniósł się, patrząc mu w oczy.

Will milczał przez chwilę, potem powiedział z wysiłkiem:

Nie winię cię. Idź.

Szymon smętnie pokiwał głową, jakby się z tym nie zgadzał, i pośpieszył na dół do stajni.

Co chcesz zrobić? — Ewerard chwycił rycerza za ramię.

Tylko to, co muszę.

Cytadela w Damaszku Siedemnasty dzień czerwca roku Pańskiego 1277

Kalaun rozmawiał w swojej komnacie z dwoma oficerami wojsk syryjskich, kiedy dotarła do niego wieść o powrocie ludzi wysłanych po Camp- bella. Szybko zakończył rozmowę i

pośpieszył do sali tronowej. Po drodze natknął się na Nazira. Twarz Syryjczyka wciąż była blada z wyczerpania i poznaczona żółknącymi sińcami, ale wyglądał już mocniej niż ów

strzęp człowieka, którym był sześć dni temu.

Właśnie do ciebie idę, emirze.

Jakie wieści? — Kalaun rozejrzał się po korytarzu, chcąc się upewnić, że nikt ich nie podsłucha. — Znalazłeś go?

Nie dotarłem nawet do Akki, panie. Drugiego dnia koń mi okulał. Zmieniłem go na najbliższym posterunku, ale było już za późno. Zobaczyłem na szlaku wracających Bahridów, więc ukradkiem ruszyłem z powrotem za nimi. Przyszedłem zaraz, żeby cię uprzedzić.

Mają go?

Przywieźli kogoś, widziałem z daleka, ale to chyba kobieta, nie mężczyzna.

Kobieta? — Kalaun zmarszczył brwi. — Sam pójde zobaczyć. Dziękuję ci, Nazirze,

Nie dziękuj, panie. Zawiodłem cię.

Zrobiłeś co w twojej mocy, tylko o to prosiłem. Idź teraz, odpocznij. Wiele się natrudziłeś.

Z sali tronowej słyhać było rozdrażniony głos Bajbarsa. Kalaun cicho otworzył drzwi.

Czerwony ze złości sułtan przechadzał się tam i z powrotem przed czterema zdrożonymi gwardzistami. Górował nad nimi w czarnej szacie bramowanej złotem, groźny niczym burzowa chmura.

Pod ścianą jak zwykle stał rząd eunuchów z opuszczonymi głowami, czekających na

polecenia. Pod oknem siedziało ze zmieszanymi minami kilku emirów, którzy najwyraźniej

naradzali się właśnie z sułtanem. W ich gronie zaskoczony Kalaun ujrzał Barakę. Na stopniu podwyższenia, skulony niczym stary sęp, przycupnął Kadir. Poza nimi w komnacie była

jeszcze jedna osoba, wydająca się tu bardzo nie na miejscu. Minio że Nazir go uprzedził, Kalaun wytrzeszczył oczy. Kiedy wściekły wzrok Bajbarsa padł na niego, opamięta! się

szybko.

Właśnie usłyszałem, że gwardziści wrócili — rzekł, zamykając za sobą drzwi. Jego spojrzenie znów przyciągnęła stojąca między dwoma wojownikami kobieta, wysoka i smukła, z burzą

splątanych rudych włosów spadających w nieładzie na ramiona. Przy ich płomienistej barwie jej twarz, napięta i pobladła z lęku, wydawała się jeszcze bielsza. Widać było, że drży. Baraka też jej się przyglądał z nie tajonym zainteresowaniem.

Na widok emira Bajbars pohamował się nieco i zamaszystym ruchem wskazał kobietę.

Przywieźli mi jego żonę.

Czyją?

Campbella! — warknął sułtan, spoglądając z pogardą na czterech gwardzistów. — A na co mi ona? Teraz Campbell wie, że go szukam. Schowa się w mysiej dziurze i nigdy... — Pogroził

żołnierzom pięścią. — Zawiedliście mnie.

Błagamy o wybaczenie, panie. — Dowódca patrolu patrzył to na władcę, to na swych towarzyszy. — Powiedziano nam, że Campbell będzie u tej kobiety, ale go tam nie było...

Trzeba było ją zabić i poczekać na niego!

Nie wiedzieliśmy, panie, czy na pewno przyjdzie.

Na Allaha, to jego żona! — ryknął Bajbars. — Zony czasem się odwiedzają!

Zostawiliśmy wiadomość — bąknął jeden z żołnierzy.

Już o tym słyszałem. — Bajbars potrząsnął głową i zaśmiał się gorzko. — Spodziewacie się, że sam tu przyjedzie?

Tak — dobiegł syk ze stopni tronu.

Kadir stanął przed kobietą i przyjrzał się jej z bliska. Próbowła się cofnąć, ale przytrzymali ją żołnierze.

Przyjedzie — mruknął Kadir, przekrzywiając głowę. — Wedle ich prawa rycerze zakonni nie mogą brać sobie żon. Jeśli złamał dla niej prawo, zrobił to w sekrecie i wiele postawił na szali. Zaryzykuje jeszcze więcej, by ją ocalić.

Kiedy? — spytał Bajbars nieco już spokojniej.

Wkrótce. A wówczas sprawisz, że będzie krwawił i cierpiał, jak na to zasłużył. — Zaklinacz rzucił okiem na Kalauna. — Jak wszyscy oni zasłużyli. Ślubowałeś to, obejmując tron, panie.

Kalaun poczuł ukłucie niepokoju, widząc, jak po słowach Kadira spojrzenie sułtana tężeje, ucieka gdzieś w głąb. Jeszcze tydzień wcześniej przegnałby starca.

Panie — rzekł ostrożnie — tego człowieka trzeba będzie przesłuchać i jeśli jest winny, ukarać. Ale odradzałbym pośpiech.

To nie twoja sprawa! — syknął Kadir.

Sułtan sam decyduje, jego wola jest prawem — odparował zimno Kalaun, choć nie zdołał zatrzeć wrogości w głosie.

Wyjdźcie.

Kiedy nikt się nie poruszył, sułtan podniósł głowę.

Zejdźcie mi z oczu! — krzyknął na gwardzistów, którzy cofnęli się pośpiesznie. — Wy też! — dodał pod adresem namiestników i syna, patrzących nań w osłupieniu. Tuż za nimi czmychnął, nie czekając, Kadir. — Precz! — ryknął do eunuchów, którzy z pospuszczanymi głowami potruch- tali do drzwi. — Czekajcie — zatrzymał żołnierzy. — Ona zostaje. I ty też. Kiwnął na jednego z eunuchów.

Kalaun patrzył na drżącą kobietę. Teraz, gdy żołnierze już jej nie trzymali, sprawiała wrażenie, jakby ledwie mogła ustać o własnych siłach. Ale mimo przerażenia była w niej jakaś siła, nawet duma widoczna w dużych zielonych oczach. Dziwne: przypominała mu córkę.

Panie, co zamierzasz?

Wyjdź stąd, Kalaunie — powiedział cicho sułtan. — Zostaw mnie samego.

Cofając się powoli, emir dotarł do drzwi, jeszcze raz ogarnął spojrzeniem sułtana i kobietę, po czym wyszedł.

Elwina drgnęła na stuk zamykanych drzwi. Ale wśród strachu, który jej nie opuszczał od chwili, gdy mamelucy wdarli się do domu Andreasa, błysnęła iskierka nadziei. Sułtan nazwał tego wysokiego mężczyznę Kalau- nem. Elwina знаła to imię, imię saraceńskiego sojusznika Willa. Nie umknęła jej też troska malująca się w jego oczach, gdy na nią patrzył.

Posłyszała kroki i zdała sobie sprawę, że stoi przed nią sułtan.

Z wysiłkiem podniosła na niego wzrok. Zobaczyła surową pobrużdżoną twarz i białą gwiazdkę w jednym oku. Przypomniła sobie krążące o nim opowieści, powtarzane zawsze z powagą, często ze zgrozą. Nazywano go Kuszą albo Lwem Wschodu. We własnej postaci był nie mniej dostojny i groźny niż w tych opowieściach. W każdej chwili mógł dobyć jednej z szabel, które miał u pasa, i zakończyć jej życie. Nadzieja zgasła; Elwina opuściła głowę i oczekując na śmiertelny cios, mocno zacisnęła oczy.

Ismik e?

Obce słowa przesączyły się przez kokon strachu i nagle je zrozumiała. Pytał ją o imię. Ze zdumieniem podniosła głowę, przełknęła ślinę.

Ismi Elwina, malik — szepnęła.

Usta Bajbarsa drgnęły, gdy nazwała go królem. Unosząc skraj powłóczystej szaty, wszedł na podwyższenie i zasiadł na tronie, nie spuszczać oczu z kobiety. Kiwnął na eunucha, któremu kazał zostać.

Będziesz tłumaczył. Spytaj, jak długo jest żoną Campbella.

Mówił po arabsku; Elwina przygryzła wargi, nie rozumiejąc. Ale chwilę

później eunuch powtórzył jego słowa łamaną francuszczyzną i zrozumiała, dlaczego ją

zatrzymał. Przez chwilę zastanawiała się, co odpowiedzieć, lecz nie odważyła się wyznać prawdy. Podobnie jak większość chrześcijan, zapewne i wielu muzułmanów byłoby

zgorzonych nieformalnym związkiem.

Jedenaście lat — powiedziała, wybierając w duchu dzień, kiedy rzeczywiście mówili o małżeństwie. Eunuch sumiennie przełożył jej słowa na arabski.

Jak to możliwe, skoro jest templariuszem?

Tym razem nie patrzyła na eunucha, kiedy mówił.

Zakon o tym nie wie — odparła.

Zaryzykował dla ciebie?

Tak — szepnęła.

Aż tak bardzo cię kocha?

Nie odpowiedziała. Pomyślała o Garenie i ogarnął ją rozpaczliwy żal. Nie mogła wydobyć głosu ze ściśniętego gardła.

Bajbars jednak nie czekał na odpowiedź.

Pewnie zatem wiesz, dlaczego najął asasynów. — Jego głos był zarazem szorstki i rozkazujący. Pochylił się, górując nad nią ze stojącego na piedestale tronu. — Dlaczego chciał mnie zgładzić? Mów!

Elwina nareszcie pojęła, dlaczego się tu znalazła, dlaczego mamelucy przybyli po Willa i zamiast niego porwali ją. Dotąd strach przyćmiewał jej zdolność myślenia i nie mogła dociec, co właściwie zaszło. Nie wahała się długo. Sułtan żądał odpowiedzi, i to rzetelnej.

Zabiłeś mu ojca, królu — powiedziała powoli, żeby eunuch na pewno dobrze ją zrozumiał. —

W Safedzie. Jakub Campbell był jednym z rycerzy, których kazałeś ściąć, gdy twierdza się poddała. Dlatego Will poszedł do asasynów.

Słuchając eunucha, Bajbars ściągnął brwi, a potem znieruchomiał. Po jego twarzy przemknęła gromada uczuć — zrozumienie, gniew, triumf, a na końcu śmiertelne znużenie. Przygarbił się, strwardniałe dłonie zacisnął mocno na głowach lwów, jakby były pacholkami na nabrzeżu, a on miotaną sztormem łodzią, która za wszelką cenę chce przybić do portu.

Przez te wszystkie lata sądził, że zamach na jego życie zorganizowali baronowie z Akki, którzy chcieli się go pozbyć, bo zagrażał ich ziemiom i władzy. Nigdy nie przyszło mu na myśl, że ktoś zechce się zemścić za jednego z niezliczonych ludzi, których posłał na śmierć, zdobywając i niszcząc zamek za zamkiem, miasto za miastem. To żądza zemsty zaprowadziła Campbella do asasynów. Bajbars znał jej dźwięczny, niestrudzony zew, który wiele razy nie dawał mu zasnąć w nocy. Och, jak dobrze go znał! Towarzyszył mu od lat. Każde życie, które odbierał, każde miasto, każda pokonana armia miały go uciszyć, wypełnić pustkę w duszy, gdzie kołatał się niegasnącym echem.

»

Po śmierci Omara pustka stała się jeszcze bardziej otchłanna, a on padł ofiarą nieustannego głodu zemsty, którego nie był w stanie nasycić. Zawsze sobie wyobrażał, że zemsta zrodziła się z ciała młodej niewolnicy brutalnie zgwałconej i zamordowanej na jego oczach przez

byłego rycerza Templum

w Aleppo, wiele lat, całe życie temu. Ale jej okrutna śmierć tylko powiększyła ranę zadaną mu wówczas, gdy Mongołowie oddali go w ręce handlarzy niewolników, zmieniając bieg

jego życia na zawsze. W końcu zemsta upomniała się o kolejną ofiarę, ale tym razem był nią on sam.

Na jego rozkaz odebrano życie ojcu tego chrześcijanina, lecz by wyrównać szale, śmierć poniósł Omar. Bajbars nagle zrozumiał z oślepiającą jasnością, że nigdy nie zdoła wziąć zadośćuczynienia za wszystko, co mu odebrano. Szukał go nie tam, gdzie należało.

Pomóż mi, Boże — szepnął, zamykając oczy i ściskając poręcz lwiego tronu. Czuł, jak pustka pożera go od wewnątrz. — Pomóż mi!

Eunuch rozsądnie zaniechał tłumaczenia i w komnacie zaległa cisza; słychać było tylko trzy oddechy: szybki i płytki kobiety, cichy i ostrożny eunucha oraz drżący, wysiłony oddech sułtana.

W końcu Bajbars otworzył oczy—wilgotne, zapatrzone w dal, nieobecne. Nie patrząc na Elwinę ani na eunucha, zszedł z podwyższenia i wyszedł z sali tronowej.

Pod murami Damaszku Siedemnasty dzień czerwca

Pot ściekał bezustannie Willowi po czole. Leżał na piaszczystym wzniesieniu i patrzył z góry na Damaszek. Był późny ranek i choć w powietrzu wisiała lekka mgiełka, skwar wcale nie był

przez to mniejszy, przeciwnie, jeszcze bardziej dokuczliwy. Zdawało się, że upał tłamsi rozpostartą bezradnie pod niebem ziemię. Ze wzgórza Will miał dobry widok na całą okolicę wraz z główną drogą do Akki, wijącą się od bramy miasta. Z jednej strony okalała je szeroka rzeka wraz z zielonymi pasami ogrodów. Od wschodu pod murami rozsiadło się na dużej

połaci inne pstrokate miasto złożone wyłącznie z namiotów. Wyteżając wzrok, dopatrywał się w nim obozowiska armii mameluckiej. Obserwował drogę od dłuższego czasu; widział wciąż

taki sam nieustający nurt ludzi, wielbłądów i wozów przelewający się w obie strony przez bramy. Uspokojony, że zdoła bez większego trudu dostać się do miasta, wstał i zszedł na wąską ścieżkę, przy której zostawił konia. Potem zjechał na gościniec.

Gnał tu prawie bez popasu. Prosta tunika, na którą pośpiesznie zmienił zakonną szatę, lepiała się z brudu i potu, pod oczami miał ciemne kręgi z powodu braku snu i ciągłego niepokoju.

Zrozpaczony Szymon wcisnął mu sakwę z prowiantem, ale Will prawie nie tknął jedzenia,

choć wiedział, że siły będą mu potrzebne. Poprzedniego wieczoru, z trudem pokonując

mdłości, zdołał przeżuć parę skrawków solonego mięsa. Wspomnienie Elwiny, jaśniejsze i

słodsze niż w rzeczywistości, wypełniało każdą jego myśl

nimi się sycił. Pulsujący szalony strach napędzał mu krew niczym drugie serce.

Jego spojrzenie prześliznęło się po gładkich murach i zygzakowatej linii setek dachów,

zmiękczonej tu i ówdzie kolistym zarysem kopuły meczetu. Stłoczone ulice wspinały się na wzgórze, na którego szczycie rozsiadła się wyniosła, potężna cytadela, posepna na tle

opalizującego nieba, zwieńczona proporcami zwisającymi nieruchomo w ciężkim powietrzu.

Widok ten zadał cios jego determinacji. Zapewne gdzieś w tej kamiennej warowni była

Ełwina, lecz jak zdoła ją znaleźć w ogromnym zamczysku? Czy w ogóle jeszcze żyje? Może

był głupcem, podsycając w sobie nadzieję.

Potrząsnął głową, jakby chciał rozjaśnić myśli. Musi mieć nadzieję, tylko ona trzyma go jeszcze przy życiu. Plan jest prosty: odszuka Kalauna

jeśli emir tu jest — i będzie go błagał o pomoc.

Wjechał do miasta, mijając paru handlarzy z ręcznymi wózkami pełnymi towarów, dwie

kobiety niosące na głowach dzbany z wodą i żołnierzy

W kolczugach. W labiryncie ciasnych zatłoczonych ulic musiał zsiąść z konia i prowadzić go za sobą. Jako główne miasto handlowe i przystanek na pielgrzymiej trasie do Mekki,

Damaszek zamieszkiwała ludność tak różnorodna jak Akkę, a że i wielu mameluków miało

białą skórę, Will nie wzbudzał podejrzeń. Ale wiedział, że to się zmieni. W cytadeli jego brudna, zakurzona odzież będzie rzucać się w oczy i ktoś wkrótce rozpozna w nim intruza.

Potrzebne mu było przebranie.

Przepatrywał oczyma mijanych ludzi— kupców, rzemieślników, dzieci, żebraków. Zatrzymał

spojrzenie dłużej na dwóch gwardzistach w wyróżniających się szatach, lecz nie poszedł za nimi, podejrzewając, że dwóm nie da rady. Skierował się głębiej w miasto i maszerował

przez jakiś czas, niecierpliwiąc się coraz bardziej, aż w końcu wszedł na kryty bazar, gdzie zmęczony oparł się o ścianę. Po chwili wyprostował się z trudem i właśnie miał

podprowadzić konia do koryta z wodą w kącie placu, kiedy jego wzrok padł na samotnego

mężczyznę, który wyszedł z budynku przy zachodniej pierzei. Miał na sobie fioletową tunikę bramowaną złotem i czernią i takiż turban. Był to strój gońców sułtana. Mężczyzna podszedł

do konia, który stał przywiązany u wylotu uliczki wychodzącej z targu, i przyklęknął, żeby poprawić strzemień. Will ruszył ukradkiem w jego stronę.

Cytadela w Damaszku Siedemnasty dzień czerwca

Kadir syknął ze złości i ciężko dysząc, przysiadł na środku komnaty pośród rozrzuconych sprzętów i poduszek. Poszukiwania spełzły na niczym. Jakkolwiek zaklinał ją całą siłą woli, lalki nie było. Sprawdzał każdy kąt, każde pomieszczenie, w którym znalazł się od przyjazdu do Damaszku na próżno. Złapał poduszkę i miętosząc ją w dłoniach, zacisnął powieki, usiłując sobie przypomnieć, gdzie ostatnio widział lalkę. Ale szydercza pamięć pokazała mu tylko czarną nicość. Załkał głośno.

Od kilku lat umysł płatał mu figle; obrazy z dzieciństwa widział tak wyraźnie, jakby to było wczoraj, a nie potrafił sobie przypomnieć, z kim mówił przed godziną. W pamięci ziały dziury, znikwały w nich wydarzenia, całe dni. I teraz nie potrafił sobie przypomnieć, czy zabrał ze sobą lalkę na wyprawę wojenną. Może siedziała wciąż za worami z ziarnem w oddalonej o pięćset mil kairskiej spiżarni, śliczna i bezużyteczna?

Dawno już powziął decyzję, że dopełni dzieła w Aleppo. W przeddzień wyprawy do Anatolii sułtan wydał ucztę. Kadir zamierzał wpuścić parę kropel jadu do pucharu Kalauna, ale właśnie wtedy odkrył, że lalka przepadła. Tamtej nocy przeszukał bez mała cały obóz, lecz gdy nadszedł świt, gorzko patrzył z murów, jak Kalaun u boku Bajbarsa wyjeżdża na czele wojsk. Uznawszy, że zostawił truciznę w Damaszku, przywołał na pamięć wszystkie znane klątwy; każdej nocy pluł i syczał w zwinięte pięści, by dosięgła Kalauna mongolska strzała, by rozwarła się pod nim górską przepaść, by ukąsił go wąż czający się w poszyciu. Ale emir wrócił z armią cały i zdrowy.

Jadąc z powrotem do Damaszku, Kadir powiedział sobie, że tak jest lepiej. Nieszczęśliwy wypadek można było przypisać zbiegowi okoliczności. Tymczasem on chciał być świadkiem śmierci Kalauna, mieć poczucie, że jest jej sprawcą, że sam usunął ze świata człowieka, który tak uparcie wciąż wchodził mu w drogę. Tylko wówczas mógł w pełni napawać się smakiem zwycięstwa. Co z tego, skoro po powrocie do Damaszku przekonał się, że pamięć znów go zawiodła, a lalki nigdzie nie ma. W rozterkę wkradła się i szczypta niepokoju. To, że śmierć emira znów się odwlecze, mógł jakoś znieść, ale złościło go, że wypuścił z rąk jedyny dowód łączący go ze śmiercią Aiszy — zwłaszcza że Kalaun wciąż go podejrzewał.

Zerwał się na nogi. To wszystko nieważne, ot, gonitwa błahych myśli. Musiał działać, i to szybko. Sułtan był wzburzony raportem Nazira, lecz Kalaun już wtrącał swoje trzy grosze i zaklinacz wiedział, że Bajbars w końcu przychyli się do logicznych, wyważonych argumentów emira. Cóż; obejdzie się bez trucizny. Dłoń Kadira spoczęła na sztylcie z rubinem w pozłacanej głowicy. Oto mord godny asasyna. Oczywiście śmierć emira nie ujdzie za

naturalną i zostanie wszczęte śledztwo, ale dzięki temu Bajbars zatrzyma się w Damaszku dłużej, a usunąwszy raz na zawsze Kalauna, Kadir postara się, aby w swoim czasie nie wrócił!

do Kairu, lecz pociągnął z całą armią wprost na Akkę. Kadir nie dbał o to, że ktoś mógłby skierować nań podejrzenie. Sułtan go nie zgładzi; boi się, że przyspieszyłby w ten sposób własną śmierć. Kadir wiele lat temu zasiał w nim ten strach, wmawiając władcy, że ich losy są nierozłącznie związane i co spotka jednego, dotknie też drugiego. Co najwyżej trafi do lochu; ta myśl zbytnio go nie przerażała. Po miesiącu dyplomatycznych zabiegów Baraka

odzyskał zaufanie ojca i Kadir był pewien, że księżę w krótkim czasie doprowadzi do jego uwolnienia. Co więcej, w młodzieńcu obudziła się ambicja; był teraz gotowy, aby popchnąć ojca we właściwym kierunku.

Spojrzał w okno. Cienka muślinowa zasłona falowała w gorącym wietrze. Wkrótce błękit

nieba zgaśnie i nastanie noc. Dziś miało być zaćmienie księżyca. Martwił się tym od dawna; upominał sułtana, by ten podwoił

straże i kazał kosztować każdy podawany mu kęs. Bajbars odrzekł na to, że nie jest jedynym wielkim władcą na świecie i może to być zły omen dla chana czy choćby króla Franków.

Albo dostojnego emira, uśmiechnął się pod nosem Kadir. Jeśli gwiazdy chcą krwi, on je dziś nakarmi.

Pokrzepiony wyszedł z komnaty i poczłapał korytarzem. W połowie drogi przystanął,

rozejrzał się wokół i wśliznął w wąskie drzwi wiodące do schodów i dalej w ciemny labirynt korytarzy dla służby.

Baraka drżał z podniecenia, otwierając drzwi do sali tronowej. Powiedział pilnującym ich strażnikom, że ojciec kazał mu zabrać dokumenty. Ci, pozostawieni bez wyraźnych

rozkazów, odkąd sułtan godzinę temu wyszedł, przepuścili go bez słowa.

W przestronnej komnacie były tylko dwie osoby i obie się wzdrygnęły, kiedy wszedł.

Spojrzenie Baraki powędrowało wpierw ku kobiecie, która stała przy oknie. Złote włosy,

podświetlone popołudniowym słońcem, okalały jej głowę lśniąca aureolą. Twarz miała

ściągniętą i bladą, a oczy, którymi popatrzyła na niego bez zmrużenia, miały niespotykaną zieloną barwę. Przywodziły na myśl rozlaną w letnim słońcu rzekę albo górskie jezioro. Z

wysiłkiem przełknął ślinę. Nie patrząc nawet na eunucha, kiwnął rozkazująco ręką.

Wyjdź.

Eunuch się zawahał, ale dziwne zachowanie sułtana nadszarpnęło już jego spokój i wolał nie wiedzieć, co będzie dalej. Pośpiesznie wymknął się z sali. Kobieta odprowadziła go

wzrokiem, potem spojrzała na Barakę. Dopiero teraz dostrzegł w jej oczach siłę ducha,

przedtem widział tylko strach. Zawahał się. Czuł, że pewność go opuszcza. Żeby to jakoś pokryć, zasunął rygiel w drzwiach i podszedł do stolika, przy którym siedział wcześniej z emirami. Udał, że przegląda papiery, przez cały czas czując na sobie jej wzrok, od którego mrowił go kark, a twarz pałała.

Nie wiedział, o czym mówił z nią ojciec ani dlaczego pozostawił ją przy życiu. Na rozkaz sułtana wyszedł wraz z innymi, ale pozostał w korytarzu. I oto zdumiony ujrzał łzy w oczach ojca, gdy ten opuszczał salę. Zdały mu się przywidzeniem. Nigdy nie przypuszczał, że

potężny Bajbars w ogóle jest zdolny do łez. Oniemiały, i po trosze zgorszony, zastanawiał się, co zaszło. Im dłużej dumał, tym częściej jego myśli wracały do złotowłosej kobiety. Kiedy wprowadzili ją strażnicy, zaciekawiał go jej egzotyczny wygląd i bijący od niej zwierzęcy strach. Ale żeby mogła wzruszyć sułtana...? Zaczynała go fascynować.

Śmierć Aiszy dała mu zakosztować władzy absolutnej. A ponieważ zarazem zginął świadek

jego cotygodniowych wypraw, rozzuchwalony wciąż zakradał się do haremu w poszukiwaniu

zaspokojenia. Ostatnio jednak czuł niedosyt. Niewolnice przywykły do jego żądań i uległe je spełniały. Odtąd w cielesnym akcie brakowało mu akcentu przemocy, przełamania oporu i

strachu. Bolesny popęd doskwierał mu coraz silniej, przez co był bardziej niż zwykle

nerwowy i rozdrażniony. Choć bywały też chwile, gdy czuł błogą satysfakcję... Właściwie nie wiedział, dlaczego skradł Kadirowi lalkę, chyba tylko dlatego, że zaszyta w niej trucizna dawała mu poczucie wszechwładzy. Miał teraz w rękach życie nie tylko Kadira, ale każdego mężczyzny w armii ojca. Przyglądał im się podczas uczt, ściskając pod stołem fiolkę w

spoczonej dłoni, rozkosznie świadom, że są zdani na jego łaskę i jeśli zechce, uderzy, porazi ich niczym bezlitosne bóstwo.

Słyszając za sobą głos, obrócił się gwałtownie. Kobieta powiedziała coś, czego nie zrozumiał.

Po chwili odezwała się znowu.

Kim jesteś? — zapytała łamanym arabskim.

Z oburzenia zabrakło mu tchu. Oto jakaś chrześcijańska branka odzywa się do niego nie

pytana, więcej, śmie go indagować w jego własnym języku! Nie mógł uwierzyć w jej

czelność.

Milcz! — wrzasnął, rozwścieczony jej przenikliwym spojrzeniem, i ku swemu zadowoleniu

ujrzał, że się przestraszyła. A zatem udawała tylko silną. W głębi duszy się bała. Podnieciło go to; podszedł bliżej. Kobieta cofnęła się, szukając bezradnie drogi ucieczki.

Dopadł ją pod oknem. Na pobladłej twarzy branki pojawiły się wypieki, uciekła wzrokiem w panice. Przemówiła pośpiesznie w swoim języku, wplatając weń kilka arabskich słów. Ale on już nie słuchał. Jej strach upoił go jak trunek, wymazując obawę, że ktoś go tu zdybie, wymazując wszystko prócz bliskości jej ciała. Nie dbał już o to, co uczyniła ojcu ani dlaczego jeszcze żyje. Chciał tylko jednego.

Cytadela w Damaszku Siedemnasty dzień czerwca roku Pańskiego 1277

Wróciwszy do komnaty, Kalaun nalał sobie wody. Świeżo zaczerpnięta ze studni w cytadeli miała kwaśnawy mineralny posmak i była zimna jak lód. Wypił zbyt szybko, ból niczym

cienka igła przeszył mu czoło. Zamknął oczy, czekając, aż ból minie, i przypomniał sobie samotną kobietę odprowadzającą go wzrokiem, gdy posłusznie wychodził z sali tronowej.

Powinien tam wrócić. Cieszył się łaską sultana, mógł ją ocalić. Ale prawdę mówiąc, bał się.

Bał się, że rozłości władcę, utraci wpływy, wzbudzi podejrzenia co do przyczyn, dla których się za nią wstawia. Przede wszystkim jednak nie chciał oglądać jej ponownie. Dręczyło go jej nieuchwytnie podobieństwo do Aiszy.

Otworzył oczy i nalał sobie jeszcze, ale odstawił puchar, nie doniósłszy go do ust. Na stoliku obok dzbana stała srebrna taca z owocami. Brzoskwinie, winogrona, banany obrane ze skórki ronily sok w upale. Zerknął na nie i oto znów wróciło mu przed oczy życie, które zgasło.

Aisza już nigdy nie usiądzie mu na kolanach, z ożywieniem gestykulując dłońmi lepkiemi od soku. Schylił się, wparł obie dłonie w blat, aż pobieleły. Potem gwałtownym ruchem zmiótł

wszystko ze stołu.

Dzban roztrzaskał się z hukiem, zalewając posadzkę kaskadą wody, w której zatańczyły

zielone winne grona. W tejże samej chwili emir zorientował się, że ktoś za nim stoi. Za późno. Nim zdążył się obrócić, czyjeś ramię wystrzeliło mu zza pleców, kreśląc rozmazany błysk złota i czerwieni. Poczul smród i zimny ucisk sztyletu na gardle.

Gadzie! — wysyczał mu do ucha Kadir. — Nareszcie cię dopadłem!

Kalaun rzucił kątem oka na drzwi do komnaty. Były zamknięte. Kadir musiał wejść z

korytarza dla służby. Spróbował odwrócić głowę, ale lekko naciśnięte ostrze zagłębiło się w ciało. Znieruchomiał.

Co ty wyprawiasz? — rzekł, siłąc się na spokój.

Kadir jednak nie zamierzał rozmawiać rzeczowo.

Długo na to czekałem! Tak długo...! Wędzidło, które nałożyłeś memu panu, wreszcie pęknie.

Kiedy ciebie nie będzie, żeby go powstrzymać, zniszczy niewiernych Franków, jak mu przeznaczono!

Bajbars jest swoim własnym panem, Kadirze. Sam podjął decyzję

wojnie z Mongołami. Moja opinia nie ma dla niego znaczenia.

Kłamstwa! — syknął Kadir. — To twoje dzieło. Twoje czyny

słowa... och, ileż słów! One zwiodyły go z drogi. Nie znam motywów, które tobą kierują, ale prawda jest jasna jak słońce. Oślepiłeś go, ogłuszyłeś, nagiałeś do swojej woli i zgasiłeś w nim słuszny gniew. Teraz mówisz tak, żeby ratować skórę. Ale to wszystko kłamstwo!

Kadirze...

Zamierzałem cię otruć — przerwał mu Kadir łagodnie, prawie ze zdziwieniem — jak twoją córkę.

Kalaun stęzał, z ust wydarł mu się zduszony jęk.

Ale tak jest lepiej — ciągnął Kadir. — Tak będę patrzył na twoją śmierć. Będę ją czuł. —

Wciągnął powietrze przez rozszerzone nozdrza. Upojony przewagą nie zauważył, że za jego plecami cicho otwierają się drzwi. — Twoja dusza będzie mi się wiła w rękach, nim uleci!

Puść go.

Głowa zaklinacza okręciła się gwałtownie, oczy rozszerzyły na widok mężczyzny

uzbrojonego w krótki szeroki miecz. Miał na sobie szatę sułtańskiego gońca i tubę na listy przewieszoną przez ramię, ale z pewnością nie mówił płynnie po arabsku. Ułamek sekundy

później Kadir go rozpoznał. Z gardła wydarł mu się wściekły okrzyk, który przeszedł w

cienki skrzek, gdy Kalaun wykręcił mu rękę. Starzec zwinął się jak piskorz, wyszarpnął i ciał

niemal natychmiast. Rubin błysnął, ostrze przejechało po przedramieniu, którym w ostatniej chwili zasłonił się Kalaun. Twarz emira skurczyła się z bólu, ale tym razem zdołał chwycić mocniej.

Will rzucił się na pomoc.

Nie! — zgrzytnął zębami Kalaun. — On jest mój!

Przez rozcięcie w rękawie buchała mu krew. Choć wysiłek wiele go kosztował, unieruchomił starca i wygiął mu przegub tak, że sztylet skierowany był teraz w stronę właściciela.

Twarz Kadira spurpurowiała, żyły na szyi napięły mu się jak postronki. Charcząc i sapiąc, usiłował przemóc Kalauna, lecz mimo że był sprawny na swój wiek, nie mógł się z nim

równać. Powoli, nieubłaganie czubek sztyletu zbliżał się do jego krtani. Próbował kopać bosymi nogami, lecz emir tylko zacieśni! uchwyt. I nagle Kadirowi zabrakło sił; zaskoczony rozdziawił usta, a Kalaun z nieludzkim okrzykiem pchnął mocno zaciśniętą wciąż na

rękojeści chudą, usianą brunatnymi plamami dłoń zaklinacza. Ostrze wyszło z tyłu, u podstawy czaszki, lśniąc srebrzyście i zwycięsko. Krew bluznęła z ust starca na twarz

Kalauna. Zagulgotał, zakrztusił się, białawe oczy niczym dwa bliźniacze księżyce zaokrągliły się ze zgrozy. Jeszcze przez chwilę walczył ze śmiercią, potem rozszedł się odór, gdy puściły mu zwieracze i pęcherz. Zadygotał i runął na ziemię.

Kalaun oparł się o stół, spazmatycznie łapiąc oddech i ściskając mocno krwawiące ramię.

Spojrzał na Willa, który stał w milczeniu, potem na Kadira zwiniętego wśród odłamków

dzbanka i zbryzganych krwią owoców. Otwarte oczy zgasły, usta i pierś zbroczone miał krwią, która rozlała się wokół ciała, plamiąc też wielki rubin w rękojeści.

Koniec — powiedział Kalaun i zatoczył się nagle.

Will skoczył go podtrzymać.

Będę żył. — Emir otarł twarz wierzchem dłoni, rozmazując na niej krew zaklinacza. — Ale ciebie zabiją. Nie powinieneś był tu przyjeżdżać.

Musiałem.

Kalaun westchnął ciężko i ścisnął ranę, krzywiąc się z bólu.

Wysłałem człowieka, żeby cię ostrzegł, ale nie zdążył. — Umilkł na chwilę, potem podjął: —

Mimo wszystko cieszę się, że cię widzę. Nie byłem pewien, co zaszło w Mekce ani czy ty...

— urwał. Popatrzył na leżące u nóg ciała Kadira.

Dlaczego nas nie uprzedziłeś, że wysyłasz własnych ludzi do ochrony Kamienia? — Will nie zdołał pohamować gniewu. — Nie pomyślałeś, że narażasz nasze życie?

Nie wiedziałem, co zamierzasz.

Nie mogłem opisać wszystkiego w liście! Musiałem...

Zdaję sobie z tego sprawę — wpadł mu w słowo Kalaun. — Nie dążyłem do waszej zguby.

Musisz zrozumieć, że nie mogłem polegać wyłącznie na twojej obietnicy, gdy chodziło o naszą największą świętość. Życie ludzkie, nawet twoje, w takich sprawach się nie liczy.

Przykro mi, Wilhelmie. Była to po prostu kolejna ofiara. — Oparł się ciężko o stół, czując, jak gorąca krew ścieka mu na dłoń. — Chyba to pojmujesz?

Po chwili Will skinął poważnie głową.

Kalaun zaśmiał się sucho.

Czasem się zastanawiam, czy to wszystko jest warte ceny, jaką musimy płacić. Czasem myślę.... — Nie dokończył.

Zza drzwi doleciał stłumiony przez odległość, lecz wyraźny krzyk kobiecy.

To twoja żona!

Bajbars pogrążony w niewesołych myślach szedł do sali tronowej, gdy posłyszał krzyki.

Poderwał głowę, ruszył szybciej, a potem puścił się biegiem, gdy zobaczył, że strażnicy, których postawił przed wejściem, dobijają się do drzwi.

Otwórzcie! — rozkazał.

Są zaryglowane od środka, panie. — Strażnik skłonił się i usunął na bok. Z wnętrza doleciał

kolejny krzyk, który nagle się urwał, potem łoskot, jakby upadło coś ciężkiego, i brzęk tłuczonego szkła.

Odsuńcie się. — Bajbars napał na drzwi ramieniem. Ani drgnęły. Spróbował mocniej, również bez skutku. — Kto je zamknął?

Twój syn, panie.

Czoło sultana okrył gniewny mars. Przyjrzał się ościeżnicy, cofnął i z całej siły kopnął w drzwi. Po drugiej stronie uchwyt rygla z trzaskiem wyłamał się z futryny. Drzwi otwarły się z impetem.

Pod oknem leżał przewrócony stolik i szczątki rozbitego dzbana. Na podłodze szamotały się dwie osoby — następca tronu i branka. Przygniatając ją ciałem, Baraka jedną ręką próbował

zatkać jej usta, drugą unieruchomić. Kobieta miała włosy rozrzucone po twarzy, suknia rozdarła po pierś odsłaniała białą jak mleko skórę. Przed oczyma Bajbarsa przemknęła podobna scena, której wspomnienie nawiedzało go przez całe życie. Wściekłość pchnęła go naprzód niczym pocisk.

Próbowała uciec! — wybąkał Baraka, zrywając się na nogi. Nim jeszcze zdążył wstać, Bajbars złapał go za szatę pod szyją i szarpnął; jedwabna tunika rozdarła się pod pachami. — Chciałem ją po...

Wiem, czego chciałeś!

Wymierzony z rozmachem policzek odrzucił w bok głowę młodzieńca. Ślad na twarzy, wpierw biały, prędko nabiegł czerwienią. Sułtan pchnął gwałtownie syna w pierś. Baraka zatoczył się w tył, potknął i upadł. Krzyknął, uderzając głową o posadzkę. Ostre okruchy szkła wbiły mu się w ciało.

Kobieta się podniosła, zaciągając na piersiach rozdartą suknię, ale żaden z nich nie zwracał już na nią uwagi.

Błagam, ojcze...!

Myślałeś, że nie wiem? — Bajbars zbliżył się o krok, skraj długiej szaty zamiótł odłamki szkła z cichym brzękiem. — Masz mnie za ślepcę? Za głupca?

Ale co...

Wiem! — wrzasnął ochryple Bajbars. — Wiem, co wyprawiasz w moim haremie!

Baraka umilkł. Nie mógł wydobyć głosu ze ściśniętego gardła.

Jak myślisz, dlaczego wziąłem cię na tę wyprawę? — zapytał sułtan, stając nad nim jak demon zagłady. — Dla twojej rady? Mądrości? — Zaśmiał się szyderczo. — Nie. Musiałem po prostu wyciągnąć cię z mego haremu.

Potrząsnął głową.

Przez jakiś czas się łudziłem, że wreszcie dorosłeś. Zacząłeś unikać koleżków, tych rozwydrzonych smarkaczy. Myślałem, że jesteś gotów zapracować na moje uznanie, stać się

mężczyzną, jakim chciałem cię widzieć. Próżne nadzieje! Te dziewczęta były moje, dano mi je w darze. Mogłem być je wziąć do łoża, niektóre nawet pojąć za żony! To, że potajemnie syciłeś nimi swoje żądze, jest obrzydliwe. Przyprawiasz mnie o mdłości! — Z furją kopnął

syna w bok.

Baraka zwinął się z jękiem i odczołgał wstecz, byle dalej. Ale Bajbars szedł za nim, nachylił się, by znowu postawić go na nogi. Czując, że jest ciągnięty za kark niczym szczenię, Baraka na oślep wyprostował rękę, chcąc się czegoś uchwycić, i namacał odłamek stłuczonego

dzbanka. Ręka sama wystrzeliła do przodu i zamarła o włos od twarzy sułtana. Znieruchomieli, rozdzieleni kawałkiem szkła, po którym zaczęła wolno spływać krew z zaciśniętej dłoni

Baraki. Zza drzwi dobiegły hałasy, ale żaden ich nie słyszał. Patrzyli na siebie z nienawiścią, niesmakiem, rozczarowaniem, które wzbierały w nich przez lata. Wysłone oddechy pokryły mgiełką splamione szkło.

Baraka krwawił z nosa, kędzierzawą grzywkę miał mokrą od potu, oczy zwężone, ale nie było w nich łez.

Może i zbezczęściłem twój harem, ojcze — rzekł głosem, który wydał się Bajbarsowi

zupełnie obcy, wyzuty z szacunku, posłuszeństwa, nawet strachu — ale ty zbezczęściłeś swój tron. Kadir, Mahmud, Jusuf, tak wielu twoich dworzan błagało cię, byś dotrzymał przysięgi i zniszczył chrześcijan, ale ty nie słuchałeś. Wiesz, ilu teraz jest przeciwko tobie? Ilu chętnie zobaczyłoby cię na marach? Ja jestem gotów uczynić to, czego ty się bałeś. Tak, jesteś

tchórzem, ojcze.

Błękitne oczy rozszerzyły się na mgnienie, a potem zaćmiła je furia.

Gdy Baraka nieprzytomny osunął się na ziemię, Bajbars nachylił się nad nim.

Jesteś gotowy, powiadasz? Zobaczymy, jak ci się to uda bez armii! Nie obejmiesz tronu po mojej śmierci, Barako — rzekł cicho. — Jesteś za mały na władzę. Sułtanem zostanie twój brat, Salamisz.

Cofnął się, patrząc na zakrwawione ciało zwinięte w pozycji płodu na posadzce.

Próbowałem... — szepnął z bezbrzeżnym znużeniem. — Próbowałem...

Biegając za Kalaunem, Will ujrzał, jak ktoś wypada z bogato zdobionych drzwi, za którymi było słychać zacieklą awanturę.

Elwina!

Jeden z gwardzistów rzucił się za uciekającą, drugi odwrócił na wołanie i wytrzeszczył oczy, widząc

pędzących wprost na niego emira i sułtańskiego posłańca. Elwina krzyknęła, strażnik chwycił ją za rękę i przygwoździł do ściany. Will runął na niego, nim towarzysz zdążył go ostrzec; brutalnie zdzielił łokciem w twarz, oderwał od Elwiny, złapał za włosy i z całej siły wyrzucił jego głowę o ścianę. Kalaun w tym czasie pozbawił przytomności drugiego, waląc go głowicą miecza. Will porwał Elwinę w objęcia. Rozkrzyczała się histerycznie.

To ja!

Jej oszołomiony wzrok wreszcie skupił się na jego twarzy.

Idźcie do moich komnat — rzekł szybko Kalaun, z grymasem bólu chowając miecz do

pochwy. — Za gobelinem w alkowie sypialnej jest przejście. Prowadzi do schodów. Zejdźcie na dół, potem skręćcie w lewo. Znajdziecie się obok kuchni.

Kalaunie...

Słuchaj! — Emir złapał go za ramię, odciskając na nim krwawy ślad, i obrócił w kierunku, z którego przyszli. — Za kuchnią jest wyjście dla służby, mała furta wiodąca do miasta. Przy targu bydłowym na głównym placu stoi meczet. Schowajcie się gdzieś w pobliżu. Poślę tam ludzi z końmi, zostawią je przy wejściu do meczetu. Idźcie już!

Droga z Damaszku Siedemnasty dzień czerwca roku Pańskiego 1277

Spętawszy konie, Will wyjął bukłak z sakwy i wrócił do Elwiny siedzącej na kamieniu.

Okutana w derkę, kolana miała podciągnięte pod brodę, wzrok utkwiony w gościńcu, który

spadał ze zbocza i wił się coraz cieńszy w oddali. Nabrzmiały księżyc wisiał nad horyzontem, zmieniając noc w upiorną namiastkę dnia. Skupione wzdłuż rzeki korony drzew wyglądały w jego świetle jak obłoki, piasek zaś — jak śnieg, jak ciągnąca się w nieskończoność zadymka.

Elwina szczykała zębami, urywany oddech umykał jej z ust kłębkami pary. Will podał jej

bukłak. Wzięła go, ale nawet nie podniosła do ust.

Powinienem był znaleźć drewno na ognisko — mruknął, zrzucił z ramion drugi koc i otulił jej plecy. Na podartej sukni miała jedwabną szatę sułtańskiego gońca, intensywny fiolet w

świecie księżycyca zszarzał, zbladł i połyskiwał wokół jej stóp niczym woda.—Ty bardziej

marzniesz—dodał, gdy zaprotestowała. Stał na grani, czując, jak owiewa go nocny chłód.

Wciąż się boisz, że nas dogonią?

Obejrzał się i pokręcił głową, ale jego wzrok znów powędrował w stronę drogi. Udawał tylko, że jest dobrej myśli. Napięcie, które czuł od ucieczki z cydateli, wcale go nie opuściło.

Po koszmarnych godzinach oczekiwania ludzie Kałaua zostawili im pod meczetem dwa piękne arabskie konie obładowane prowiantem. Wydostawszy się za mury, popędzili je do galopu; Will chciał odsądzić się od pogoni. Ale poza zwykłymi podróżnymi — w większości kupcami i rolnikami — nie spotkali nikogo i choć czujnie obserwował trakt, nie dostrzegł ścigających. Niewiele się odzywali, zatopieni we własnych myślach.

Usiądź przy mnie. — Elwina uniosła ku niemu głowę.

Will z trudem oderwał wzrok od gościańca. W widmowym oświetleniu kości policzkowe

Elwiny wydawały się jeszcze ostrzejsze, twarz wychudzona. Szymon miał rację, wyglądała

bardzo mizernie. Jeszcze w Damaszku pytał, co jej dolega; zbyła go fuknięciem, że to bez znaczenia. Nie naciskał, a ona nie pytała go o Mekkę—jak gdyby upłynęło dość czasu, by

wszystko zatrzeć. Czuli się nieswojo w swoim towarzystwie, miesiące rozłąki uczyniły z nich obcych ludzi. Dopiero teraz, patrząc na nią, Will uświadomił sobie, ile mieli szczęścia, i skrępowanie pierzchło. Podszedł, usiadł koło niej i ujął jej dłonie, gładkie i zimne, w swoje.

Mógł ją stracić na zawsze! Przymknął oczy i wyszeptał modlitwę dziękczynną, że Bóg ją ocalił.

Elwino... — zaczął, poczuł skurcz w gardle i umilkł.

Przepraszam... — patrzyła na niego błyszczącymi oczyma.

Za co? — spytał ochryple.

Spuściła wzrok.

Za to, że... naraziłam twoje życie. Nie powinnam była mówić, że jestem twoją żoną. Mogłam udać służkę, kogokolwiek, ale... — Drgnęła.

Szymon żyje?

Żyje — uspokoił ją Will. Przymknęła z ulgą oczy. — Jak możesz myśleć, że to twoja wina?

Ale to nie wszystko... — szepnęła cichutko.

Gdybym nie próbował zgładzić sułtana — wpadł jej w słowo, nie słysząc — nie doszłoby do tego. Dlatego cię porwali. Żeby dobrać się do mnie.

Nie, Will. Muszę ci...

Proszę, pozwól mi mówić. Powinienem być wcześniej... — zawahał się. — Powinienem być to powiedzieć przed wieloma laty. Zawsze była jakaś wymówka, jakaś inna sprawa. Wydawało mi się, że wiem, czego chcę. Łudziłem się. Wracając z Mekki, byłem naprawdę szczęśliwy, ale wszystko to wydało mi się nieważne, gdy pędziłem do Damaszku, wiedząc, że... że możesz już nie żyć. — Odetchnął głęboko. — Zdałem sobie sprawę, że ty liczysz się najbardziej.

Ku osłupieniu Elwiny zaczął płakać. Objęła go ramieniem. Koc zsunął jej się z pleców. Po długiej, długiej chwili Will otarł twarz.

Nadal chcesz za mnie wyjść?

Zaśmiała się zaskoczona i nagle zdała sobie sprawę, że mówi poważnie. Śmiech uwiązał jej w gardle, spojrzała na niego i odniosła wrażenie, że twarz Willa ciemnieje jej w oczach.

Podniosła wzrok i wydała stłumiony okrzyk. Na księżycu był cień. Ciemny łuk wyszczerbił brzeg srebrzystej tarczy.

Will też podniósł głowę.

Zaćmienie — szepnął.

Przyglądali mu się przez pewien czas w milczeniu. Pozostawione bez odpowiedzi pytanie zawisło w powietrzu między nimi, a tymczasem powoli, prawie niedostrzegalnie, cień na księżycu rozpełzał się jak mokra plama. W którejś chwili Will poczuł, że Elwina bierze go za rękę.

Jestem brzemienna — powiedziała.

Przeszyło go gwałtowne wzruszenie, choć nie potrafił jeszcze go określić. Dopiero po chwili zaszła w nim uchwytna zmiana. Poczul się lżejszy, spokojniejszy. Czy to dzięki dziecku?

Nigdy dotąd nie myślał

o

ojcostwie. Zrezygnował z niego, podobnie jak z małżeństwa. Zresztą minęło tyle lat i

dopiero teraz, nagle, uświadomił sobie, że może być ojcem. Posłyszał obok siebie oddech Elwiny i szept:

Tak, chcę.

Mocno ścisnął jej rękę i choć nad ich głowami księżyc zniknął stopniowo pożerany przez ciemność, Will się uśmiechał. Wpatrzony w niebo nie widział, że Elwina ma zamknięte oczy.

Cytadela w Damaszku Siedemnasty dzień czerwca

Kalaun na kolanach szorował podłogę. Woda w cebrze pociemniała od krwi, podobnie szmata. Krew była wszędzie, czuł w ustach jej kwaśny posmak. Zaćmienie zbliżało się już do apogeum. Okaleczony księżyc miał miedzianą barwę, wyglądał jak chore, przekrwione oko.

W jego dziwnym świetle znajome kształty sprzętów zdawały się niesamowite, obce.

Kalaun przysiadł na piętach, wyjął szmatę i otarł czoło przedramieniem. Jego wzrok przyciągnęło owinięte w kokon jedwabnych prześcieradeł ciało, oparte o ścianę obok drzwi.

Wysławszy templariusza z kobietą do wyjścia, wróci! do sali tronowej, gdzie zastał Barakę skulonego na podłodze i Bajbarsa stojącego nad nim z zakrwawionymi pięściami i martwym

spojrzeniem. Sułtan, widząc go, wyszedł bez słowa. Kalaun pomógł Barace wstać. Chciał

wezwać medyka, ale chłopak wyrwał mu się i oznajmił lodowatym tonem, że chce zostać

sam. Kalaun miał na głowie dość innych spraw, by się upierać. W głowie mu się kręciło z upływu krwi. Zanim zdołał wyprawić ludzi z końmi do meczetu, musiał jeszcze zająć się

nieprzytomnymi wartownikami, którzy wciąż leżeli na korytarzu. Wychodząc, Bajbars nawet na nich nie spojrział, ale wkrótce ktoś musiał zainteresować się ucieczką branki.

Kazał przenieść wartowników do infirmerii, gdzie przy okazji opatrzone i jego rękę.

Następnie powiadomił namiestnika Damaszku, że nieznany człowiek wdarł się do cytadeli i uprowadził chrześcijankę, on sam zaś został ranny, próbując mu przeszkodzić. Namiestnik nie miał powodów do podejrzeń; pozostawała kwestia, co zapamiętali gwardziści. Chyba

zadziałał jego autorytet, bo na wpół jeszcze przytomni dali się przekonać, że widzieli, jak ścigał intruza. Czas miał pokazać, czy ta wersja się obroni. Namiestnik chciał od razu wysłać pościg. Kalaun parokrotnie krążył między nim a sułtanem, który — gdy wreszcie go przyjął

— nakazał zaniechać poszukiwań kobiety i jej porywacza. Stwierdził, że to już nieważne.

Emir wrzucił szmatę do kubła i wstał, krzywiąc się z bólu w stężałych mięśniach. Ręka go rwała, na opatrunku pojawiły się świeże plamki krwi. Był śmiertelnie wyczerpany, jego ciało poruszało się już tylko z rozpędu, jakby nie zauważyło, że mózg zasnął. Walcząc z zawrotami głowy, podszedł do omotanego trupa i pociągnął go po mokrej podłodze do komnaty

sypialnej, kiedy ktoś zapukał. Lęk dodał mu sił, pośpiesznie ukrył ciało i uchylił drzwi. Stał za nimi jeden z eunuchów Bajbarsa.

Emirze — skłonił się. — Sułtan prosi cię do sali tronowej.

Zaraz... — Kalaun odchrząknął. — Zaraz przyjdę.

Eunuch wycofał się na korytarz. Emir prędko zmienił splamioną odzież i zmył z siebie krew Kadira. Potem pełen złych przeczuć udał się za eunuchem do sali tronowej. Czyżby już

spostrzeżono zniknięcie zaklinacza?

Sułtan stał przy oknie, skąpany w czerwonawej poświacie. Komnata była zaskakująco pusta; dopiero teraz, gdy zniknęli z niej słudzy, człowiek nagle sobie o nich przypominał. Podłogę zamieciono i tylko sterzące drzazgi po wyrwanym ryglu świeczyły o awanturze, która miała tu miejsce.

Kiedy wszedł, Bajbars odwrócił się od okna.

Emirze, chcę, żebyś coś dla mnie zrobił.

Służę ci, panie.

Wezwij do mnie marszałka dworu, tylko dyskretnie. Na razie nie chcę tego rozgłaszać.

Czego, panie?

Bajbars odszedł od okna i usiadł na tronie, biorąc ze stolika wysadzany klejnotami puchar pełen kumysu. Kalaun rozejrzał się po mrocznym wnętrzu.

Ciemno tu, panie. Czy mam kazać zapalić lampy?

Nie. — Bajbars napił się, zamyślony. — Chcę obejrzeć zaćmienie.

Uśmiechnął się kwaśno. — Myślałem, że Kadir będzie mi towarzyszył.

Chociażby po to, by utyskiwać, że nie zdwoiłem straży. Widziałeś go dzisiaj?

Nie — odparł Kalaun nieco za szybko.

Bajbars chyba tego nie zauważył. Pociągnął jeszcze kilka łyków kobyłego mleka.

Wiele się zmieniło, Kalaunie. I dobrze; teraz przynajmniej wiem, co mam robić. Za długo otaczałem się ludźmi, których trzyma w pokorze strach, nie szacunek. Wolałbym mieć paru lojalnych dworzan niż rzeszę, która w tajemnicy mną pogardza.

Ludzie cię szanują, panie — sprzeciwił się Kalaun.

Bajbars machnął ręką.

Są niezadowoleni, to widać jak na dłoni. Rozprawiłem się z Mah- mudem, ale nie zdawałem sobie sprawy, jak szeroko rozprzestrzeniła się zaraza. Czas ją wyplenić... — urwał. —

Poczynając od mego syna.

Kalaun milczał.

Nie chcę, by po mojej śmierci Baraka przejął władzę. Postanowiłem, że moim następcą będzie Salamisz. Nizam mnie znienawidzi, ale jeśli mam być szczery, i tak od dawna czułem chłód w jej łóżu.

Kalaun w końcu odzyskał głos.

Panie, czy na pewno dobrze to przemyślałeś?

On nie będzie w stanie rządzić, Kalaunie. Wiem to od dawna, ale łudziłem się nadzieją, że się zmieni. Nie zmieni się, to oczywiste. Jest słaby, spaczony i obawiam się, że z wiekiem będzie coraz gorzej. — Otarł czoło, na którym pojawiły się krople potu, i dodał: — Może gdybym był lepszym ojcem...

Kalaun myślał intensywnie. Wiedział, że Bajbars ma rację. On sam także dawno już zauważył, że jego wychowawcze starania nie skutkują. Czuł się tak, jakby usiłował wyczerpać wodę z łodzi pozbawionej dna. Ale Salamisz? Chłopiec miał dopiero siedem lat i Kalaun prawie go nie znał. Kiedy tak stał ze wzrokiem wbitym w podłogę, w skupieniu

analizując sytuację, posłyszał głuchy brzęk. Bajbars upuścił puchar, który stoczył się z podwyższenia, rozbryzgując krople mleka. Wyciągnął przed siebie rękę, na jego twarzy

odmalowało się zdziwienie. Nagle runął do przodu jak pchnięty niewidzialną dłonią.

Panie! — Kalaun rzucił się ku niemu. — Medyka! — wrzasnął.

Medyka!!!

Drzwi sali tronowej otwarły się gwałtownie, wbiegło dwóch gwardzistów. Jeden z nich, widząc sułtana na podłodze, od razu zawrócił po lekarza. Drugi przyklęknął obok władcy.

Co z nim, emirze?

Nie wiem — powiedział Kalaun, podtrzymując sułtanowi głowę. Bajbars wyglądał, jakby rozpaczliwie próbował zaczerpnąć powietrza, ale coś zaciskało mu tchawicę, pozbawiając go

resztek tchu. W mierzchnącym świetle księżycy jego oczy były dzikie, przerażone.

W chwilę później nadbiegł zdyszany, rozchełstany medyk, a za nim słudzy niosący ciepłą wodę, noże, płótna i leki. Komnata rozjarzyła się płomykami zapalanych lamp. Sułtan bezskutecznie poruszał ustami jak ryba wyrzucona z wody.

Połknął coś? — spytał pośpiesznie medyk.

Tylko kumys — odparł Kalaun. — Co mam robić?

Odsunąć się i nie przeszkadzać — burknął medyk.

Emir bezradnie podszedł do okna, zerknął na miasto skąpane w niesamowitej poświacie.

Poczuł raczej, niż posłyszał, że ktoś obok niego stoi. Obejrzał się i zobaczył Barakę. Twarz miał zmasakrowaną nie do poznania, oczy utkwione w targanym konwulsjami ciele ojca.

Kalaun chwycił go za ramię i wzdrygnął się, słysząc:

Już umarł?

Słowa były trochę bełkotliwe z powodu opuchlizny, ale ton dziwnie spokojny. Baraka chyba uświadomił sobie, co powiedział, i poprawił się:

Co się stało?

Twój ojciec zasłabł — rzekł po chwili milczenia Kalaun.

Aha — odparł chłopak tym samym wypranym z emocji tonem.

Emir utkwiał wzrok w następcy tronu. Powoli zaczęła do niego docierać straszna prawda.

Templum w Akce Dziesiąty dzień lipca roku Pańskiego 1277

Ulice Akki rozbrzmiewały śmiechem i muzyką. Odświętne przyodziane dzieci ganiały z wrzaskiem pomiędzy grupkami dorosłych, którzy rozprawiając z ożywieniem, wystawiali

przed kościołami, siedzieli nad czarkami korzennej herbaty na bazarach albo wyśpiewywali bohaterskie pieśni w zatłoczonych szynkach. W wietrze—gorącym, jakby dobywał się z

piekarskiego pieca

łopotowały girlandy nanizanych na sznurki barwnych trójkątnych proporczyków. Łoże mularskie

świeciły pustką, kramy pozamykano, ogień w kuźnicy ledwie się tlił. Tylko w dzielnicy muzułmańskiej pracowano jak zwykle. Dla całej reszty dzień był świąteczny, choć nie miał żadnego pobożnego patrona: dziś mieszkańcy Akki świętowali śmierć innowiercy.

Bajbars Bunduktari—człowiek, który zdziesiątkował ich szeregi, wyrwał im z rąk Ziemię Świętą, spędził jak owce na ten skrawek wybrzeża — nie żył.

Szeptano, że został otruty, ponoć przez własnego zaklinacza, ale w istocie niewielu

obchodziło, co się naprawdę stało. Ważne było to, że umarł najgroźniejszy wróg Franków od czasów Saladyna, a jego następca, szesnastoletni młodzik, dał się już poznać jako człek niedojrzały i słaby. Tak więc mieszczanie śmiali się i tańczyli, a na jednym z placów upletli ze słomy pokraczną kukłę sułtana, którą przy wtórze radosnych okrzyków rzucono na

pośpiesznie rozpalony stos.

Wieść o zgonie Kuszy dotarła do Akki prawie tydzień temu i została obwieszczona przez

bajlifę na nadzwyczajnym zebraniu Wysokiej Rady. Następnie hrabia Roger utwierdził dobrą opinię, jaką cieszył się u ludu, ogłaszając święto dla uczczenia tego wydarzenia. Lud lubił

Rogera. Lubiała go też rada — nie za jego rządy, przeciwnie: za to, że się do rządów nie mieszał.

Po zeszłorocznych zamieszkach życie w mieście z czasem wróciło do dawnego ładu. Znow w

pocie czoła zarabiano na życie, względny pokój między podzielonymi nacjami został

przywrócony, a obawa, czy kruchej układ sił nie naruszy przybycie Karola z Andegawenii, powoli zaczęła się rozpraszać. Wiadomo było, że monarcha nazbyt jest zajęty poszerzaniem królestwa o ziemie bizantyjskie, aby zaprzętać sobie głowę stojącym już pewnie tronem w Akce. Złośliwi dowcipkowali, że ambitny władca ma za wiele tronów, a za mało pośladków, by je wszystkie zagrzać. Tutejszy lud lubił swych władców — byle z dala; brak widzialnych rządów był tym, co pozwalało utrzymać delikatną równowagę w stolicy krzyżowców.

Pozwalał rajcom miejskim, konsulom miast włoskich, mistrzom zakonów rycerskich,

patriarsze oraz innym rządzić swymi kawałeczkami miejskiego przekła- dańca bez zbytej ingerencji z góry. Oznaczało to, że hrabia Roger miał mnóstwo czasu na uczyty i turnieje w gronie szlachetnie urodzonych

a to z kolei oznaczało, że właściwie wszyscy byli zadowoleni.

Stojąc przy oknie preceptorium, Will słyszał śpiewy pijanych mieszczan za murem Templum.

Zasłoń okno.

Obejrzał się. Ewerard boleśnie mrugał przekrwionymi oczyma. Will wypuścił z ręki zasłonę, która opadła, wzbijając rój połyskliwych drobinek kurzu, tłumiąc hałasy i pogrążając komnatę w przygnębiającym półmroku. Podeszedł do księdza, skulonego na wąskiej pryczy.

Wybacz. Nie zauważyłem, że już nie śpisz.

Już od jakiegoś czasu — westchnął Ewerard i ułożył głowę na poduszce. — Obudziły mnie te śpiewy. To o nim?

Will kiwnął głową, siadając na stołku obok łóżka. Ewerard znów westchnął, tym razem z goryczą.

Ścierwojady! Ogryzają kości padłego lwa, a puszą się przy tym, jakby sami go upolowali! — prychnął i rozkaszał się gwałtownie.

Will z wprawą podtrzymał mu głowę. Ksiądz charczał przez chwilę z wysiłkiem, aż wreszcie zdołał wykrztusić kłęb krwawej flegmy, którą odplunął w płótno podetknięte pod brodę.

Nie możesz mieć im za złe, że się cieszą — mruknął Will, podając staremu kubek wody, którą ten ze wzgardą odrzucił. — Wielu straciło przez niego bliskich, domy, majątki. Dziś odbierają zadośćuczynienie.

Zadośćuczynienie? — sarknął Ewerard. — A kto zadośćuczynił muzułmanom za ich krew przez nas przelaną, kiedyśmy tu przybyli?

Mówię tylko...

Wiem — przerwał mu ksiądz, zamykając oczy. — Wiem.

Teraz przynajmniej mamy większą szansę na pokój, trwały pokój. Tron obejmie Baraka i Kalaun będzie miał więcej swobody. Odnowimy rozejm i dalej będziemy pracować nad pojednaniem. Śmierć Bajbarsa wszystkim wyjdzie na dobre.

Ewerard uchylił jedno oko i przyjrzał mu się bacznie.

Nie mówię o sobie — zaperzył się Will, widząc to spojrzenie.

Wyrzekłem się zemsty.

Nawet bym się nie dziwił. Kazał zgładzić ci ojca, porwać Elwinę. Miałbyś powód.

Może dawniej. Teraz, kiedy sułtan nie żyje, nie czuję do niego nienawiści. — Will zmarszczył brwi. — Sam nie wiem dlaczego. Może dlatego, że oszczędził Elwinę, choć mógł ją zabić? Nie wiem. Czuję po prostu... — wzruszył ramionami. — Nic nie czuję.

Za to ja wiem, dlaczego — szepnął Ewerard i umilkł.

Oczy miał zamknięte, skórę prawie przezroczystą, napiętą na kościach twarzy, jakby nie było jej dość, by całą pokryć. Klatka piersiowa z wysiłkiem, nieregularnie unosiła się i opadała pod kocem. Był w tym stanie od ponad trzech tygodni i wciąż żył, na przekór prognozom doświadczonego infir- mariusza Templum.

Ma... ile to? Dziewięćdziesiąt lat? Dawno przeżył swój czas — stwierdził rzeczowo infirmariusz w rozmowie z Willem. — Z tą gorączką długo nie pociągnie.

Tymczasem, otrzymawszy' już dawno ostatnie namaszczenie, Ewerard z posępnym uporem trzymał się życia.

Will położył mu rękę na czole, pewien, że znów zasnął. Ale ksiądz mruknął, nie otwierając oczu:

Dorosłeś, Wilhelmie.

No myślę! — zaśmiał się ironicznie rycerz. — Mam trzydzieści lat. Od dawna jestem dorosły.

Jako rycerz, tak — kiwnął głową kapelan. — Nawet jako dowódca. Ale dopiero ostatnio dojrzałeś do członkostwa w Anima Templi, przynajmniej w takim stopniu, do jakiego moim zdaniem jesteś zdolny.

Will chciał zaprotestować, lecz ksiądz nie dopuści! go do głosu.

Odkąd cię znam, Wilhelmie, rządziły tobą namiętności. Obsesja, by pogodzić się z ojcem i odpokutować przeszłe grzechy, namiętność do kobiety, przyjaźń, wreszcie zemsta. Ale nasz brat nie może ulegać osobistym pragnieniom ani toczyć prywatnych wojen. Ma przed sobą

większą batalię, dla której musi się wznieść ponad przyziemne swary i trudy ludzkie, ponad ciasny horyzont pola bitwy. To wojna o przyszłość. Staramy się

zmienić świat nie dla dobra własnego czy jednego ludu, ale dla wszystkich. Śmierć Bajbarsa nie budzi w tobie silniejszych uczuć, bo postrzegasz ją nie jako Wilhelm Campbell, ale jako jeden z Braci. Stać cię dziś na większą bezstronność niż mnie.

Chciałbym pławić się w tych pochwałach, Ewerardzie, zwłaszcza że nieczęsto nimi szafujesz, ale nie

mogę.

A to dlaczego?

Will wsunął rękę za kołnierz zakonnej tuniki i wyjął długi srebrny łańcuszek. Obok medalionu ze świętym Jerzym wisiał na nim cienki złoty pierścionek.

Wciąż rządzą mną namiętności.

Ewerard uśmiechnął się i potrząsnął głową.

Nie, Wilhelmie. Masz namiętności, a to nie to samo. — Uniósł się nieco, przekręcił, zakaszłał i znów się ułożył. — Jak ona się czuje?

Nie musisz pytać. Wiem, że mnie potępiasz.

Ech! — skrzywił się ksiądz. — Kimże jestem, żeby cię potępiać? Przysłała mi granaty, wiesz?

Will mimo woli się roześmiał. Odkąd po powrocie z Damaszku zastał Ewerarda w chorobie, prawie bez przerwy nad nim czuwał. Wyszedł z preceptorium tylko raz, żeby w tajemnicy

wziąć ślub z Elwiną. Nie wiedział o tym nikt prócz Andreasa, który wszystko załatwił, w kościele byli tylko oni i ksiądz. Potem Will wrócił prosto do Ewerarda, a ze swą oblubienicą wymieniał liściki przesyłane przez Szymona. Elwina skorzystała z tego, żeby podać kosz

owoców dla Ewerarda.

Dobrze — odpowiedział. — Nadspodziewanie dobrze.

Je? Musi mieć siły.

Will oparł łokcie na kolanach i złapał się rękami za głowę, uśmiechając się z niedowierzaniem.

Co znowu? — burknął Ewerard.

Nigdy się nie spodziewałem, że pewnego dnia będę gawędził z tobą

o

odżywianiu mojej... niewiasty i nienarodzonego dziecka.

Z mego doświadczenia, Wilhelmie, wynika — Ewerard z trudem złapał oddech — że nie w życiu nie jest takie, jak się człowiek spodziewał.

Znów zamknął oczy. Tym razem pozostały zamknięte; wkrótce jego oddech się wyrównał, zwolnił i przycichł. Od czasu do czasu Will pochylał się, nasłuchując go z niepokojem.

Godzinę później sam też przysypiał z brodą opartą na dłoni, kiedy oczy Ewerarda się otwały, a spomiędzy wyschniętych, popękanych warg dobiegł szept:

Rabin Eliasz wciąż ma księgę, którą mu pożyczyłem. Kiedy go będziesz widział, poproś, żeby ją oddał.

Will poprawił się na stołku.

Oczywiście — rzekł sennie.

Papierowe czoło Ewerarda zmarszczyło się w namyśle.

Zastanawiam się, czy Hasan będzie wiedział...

O czym? — Will obudził się do reszty. — O czym, Ewerardzie?

Ale choć usta księdza wciąż były otwarte, jakby chciał mówić dalej, nie

dobyło się już z nich ani jedno słowo. Will dotknął jego szyi i poczuł gasnący puls, a potem nic. Powoli cofnął rękę i siedział przez chwilę, patrząc na martwe ciało. Pod fałdami koca zdawało się maleńkie, kruche jak ciało dziecka. Wiedział, że powinien zawołać księdza,

powiadomić braci, ale zamiast tego wstał i podszedł do okna. Przez moment się wahał, potem szarpnął zasłonę i do wnętrza wdarło się złociste światło słońca. Kiedy obrócił się do

Ewerarda, zobaczył, że starzec jest w nim skąpany, a jego przezroczysta skóra zdaje się jaśnieć od wewnątrz.

Wieczorem, kiedy ciało sędziwego kapelana było już umyte i przebrane do pogrzebu, a

podczas mszy nieszpornej bracia pomodlili się za jego duszę, Will został wezwany do

seneszała. Od śmieci Ewerarda chodził jak we śnie, ale czekające go spotkanie rozbudziło w nim czujność. Anima Templi straciła przywódcę, ktoś inny zostanie wybrany na jego miejsce, Will nie miał wątpliwości, kto nim będzie. Był też przekonany, że zna powód wezwania. Od lat wiedział, że ten dzień nadejdzie, lecz mimo to kiedy wchodził na piętro do komnat

seneszała, targnął nim lęk. Przyszła pora rozliczenia za sprzeniewierzenie się bractwu i próbę skrytobójstwa.

Kiedy wszedł, seneszał obrzucił go chmurnym spojrzeniem znad papierów. Oświetlony od

tyłu przez zachodzące słońce wydawał się masywniej- szy niż zwykle, olbrzymi, o kanciastej, krótko ostrzyżonej głowie.

Siadaj — mruknął, nie zwracając sobie głowy formalnym powitaniem.

Will uzbroił się w cierpliwość, podszedł i siadł na stołku naprzeciw, notując kwaśno, że jest on znacznie niższy niż krzesło seneszala. Czuł się jak dziecko w szkolnej ławie, co jak przypuszczał, było zgodne z intencją gospodarza. Westchnął w duchu nad ludzką

zawziętością. Ryzykował życie w Mekce, zawrócił wielkiego mistrza z drogi ku zdradzie i zapobiegł wojnie. Czym jeszcze mógłby się zrehabilitować w oczach tego człowieka?

Seneszał milczał, studiując leżący przed nim dokument. Cisza zaczynała się dłużyć. Will poprawił się na stołku i uznał, że dłużej tego nie zniesie. Wstał.

Panie, chciałbym spędzić dzisiejszy wieczór, czuwając w kaplicy przy zwłokach brata

Ewerarda i modląc się za jego duszę, zamiast tracić czas tutaj na oczekiwanie, aż wykluczysz mnie z Anima Templi. Zrób więc to od razu, żebyśmy obaj mogli zająć się czymś

sensownym.

Seneszał poderwał głowę.

Siadaj! — huknął i walnął w' blat trzymanymi w ręku papierami.

Nalegam, by...

Nie mam zamiaru cię wykluczyć.

To dla odmiany powiedziane zostało cicho. Will nie był pewien, czy się nie przesłyszał.

Słucham?

Siadaj, Campbell — burknął seneszał. Milczał przez chwilę, a gdy Will usiadł z powrotem, sapnął i dodał: — Kiedy byłeś w Arabii, brat Ewerard zwołał nas na naradę. Wiedział, że nie pozostało mu już wiele czasu na tym świecie. Chciał być przy wyborze swego następcy.

Głosowaliśmy i wysunięty przez niego kandydat został przyjęty.

I? — Will pokręcił głową zmieszany.

Ty nim jesteś.

Słucham?

Bracia wybrali cię na stanowisko zwierzchnika Anima Templi.

Will poczuł, jak wzbiera w nim nerwowy musujący dygot. Zdał sobie

sprawę, że zaraz wybuchnie śmiechem i z niejakim trudem zdołał się opanować. Zakaszłał, żeby to pokryć.

Bracia głosowali za mną?

Nie wszyscy — rzucił kwaśno seneszal.

Will oparł ręce na udach i zakołysał się w tył.

Dlaczego mi nie powiedział?

Seneszal wzruszył ramionami.

Zawsze był skryty. Chyba trochę się wstydził. Całkiem słusznie

dodał pod nosem.

Will powstrzymał się od odpowiedzi. Patrzył, jak seneszal nachyla się do skrzyni stojącej obok stołu i wyjmując dużą wyświechtaną księgę oprawioną w obciągniętą skórą deski. Brzegi kart były wystrzępione od częstego przewracania. Poznał kronikę Ewerarda.

Chciał, żeby ci ją dać. Miał nadzieję, że będziesz prowadził ją dalej. Ja osobiście nalegam, żebyś ją spalił. Mieliliśmy dość kłopotów z Księgą Graala, nie stać nas na kolejny skandal. Ale to jest moja opinia. Ty jesteś teraz głową bractwa. Zrobisz, jak zechcesz. — Seneszal lekko skłonił głowę.

Will uświadomił sobie, że to jest właśnie znak pojednania; na więcej nie powinien liczyć.

Kiwnął głową w odpowiedzi i ruszył do drzwi. Jutro wyciągnie wnioski i zastanowi się nad przyszłością. Teraz chciał być sam. Zamknąwszy za sobą drzwi, przystanął u szczytu

schodów, tuląc do piersi księgę. Bił z niej mocny zwierzęcy zapach pożółkłych arkuszy

pergaminy, który' niechętnie hołdujący nowinkom Ewerard w'ciąż wolał od papieru.

Nie, nie wciąż, poprawił się w duchu. Ongiś.

Dopiero wówczas poczuł pod powiekami łzy.

Cytadela w Damaszku Dziesiąty dzień lipca

Nowy władca siedział na lwim tronie, spoglądając z wyższością na zebranych w sali

mężczyzn. Marszałek dworu wygłaszał zająkliwie długą mowę pełną terminów prawnych i

ceremonialnych fraz.

Kalaun złapał się na tym, jaki mały wydaje mu się Baraka w porównaniu z olbrzymem, który zajmował to samo miejsce trzy tygodnie wcześniej. Mały zarówno ciałem, jak i duchem, przyłoczony wielkim złotym siedziskiem i tłumem otaczających go dostojników. Pięści emira zacisnęły się odruchowo. Nie zawsze zgadzał się z polityką Bajbarsa, ale go szanował mimo jego wad. Usiłował wychować Barakę na lepszego niż on człowieka. Niestety, ponury i złośliwy wyrostek nie dorósł ojcu do pięt. Tyle lat poszło na marne. Tyle ofiar — większych, niż ktokolwiek mógł przypuszczać.

Trzy dni po śmierci sułtana jakiś rybak znalazł szmacianą lalkę w' trzcinach nieopodal

Damaszku. Byłby ją wrzucił na powót do rzeki, lecz zauważył nadprucie i zajrzał do środka.

Znalazł małą szklaną fiolkę. Bojąc się złego uroku, zaniósł lalkę do imama, który również nie wiedząc, co z nią począć, oddał ją mamelukom. Dwa dni później rozpoznano w niej własność zaginionego zaklinacza. Medyk, który był przy śmierci sułtana, podejrzewał otrucie, ale nie mógł mieć pewności — rozlanego kumysu zostało za mało, by przeprowadzić próbę. Zaszytą

w lalce fiolkę otwarto, zbadano jej zawartość i stwierdzono, że działa ona jak wyciąg z szaleju. Niemal identyczne objawy wystąpiły u zmarłego sułtana. Tajemnicze zniknięcie

Kadira i odkrycie trucizny zaszytej w jego lalce rozproszyły wątpliwości trapiące dwór: sułtan został otruty przez swego zaklinacza.

Tylko Kalaun miał niemal całkowitą pewność, że prawda jest inna. Ilekroć widział Barakę, przypominał sobie jego martwy głos i wyraz oczu, którymi patrzył na agonię ojca. To on wlał

wywar z szaleju do pucharu z kumysem w noc zaćmienia, gdy Kadir dawno leżał martwy w

komnacie emira. Dalsze wnioski jednak byty jeszcze czarniejsze: zgon Bajbarsa łudzaco

przypominał śmierć Aiszy. Kadir przyznał się Kalaunowi do jej otrucia. Zamierzał otruć i jego, ale zmienił plany. Czyżby przez Barakę, który zabrał mu lalkę? Skąd by wiedział, że jest w niej fiolka, gdyby nie widział jej tam wcześniej?

Nakazał sobie spokój i spróbował ostrożnie wyciągnąć z Baraki prawdę. Księżę jednak nabrał

wody w usta, a Kalaun nie chciał go naciskać. Nikt prócz niego nie wiedział, że Bajbars chciał przekazać tron Salamiszowi, tak więc władzę w imperium sięgającym od Aleksandrii do Aleppo objął Baraka. Kalaun był bezsilny. Aby temu przeszkodzić, musiałby mieć dekret podpisany przez Bajbarsa. Jediną pociechą był fakt, że młodociany sułtan miał do

osiemnastego roku życia pozostawać pod kuratelą regenta. Jako najbliższy doradca Bajbarsa i teść

Baraki Kalaun był oczywistym kandydatem na to stanowisko. Ale była to smutna

pociecha wobec podejrzenia, że ten skwaszony młodzik zasiadający dziś na tronie zabił i ojca, i żonę.

Emir poczuł, że ktoś za nim staje. Obejrzał się; zobaczył Chalila, swego młodszego syna.

Zmusił się do uśmiechu i odgarnął mu włosy, uparcie spadające na czoło. Chalil miał dopiero trzynaście lat, ale rósł szybko i już się zapowiadało, że będzie kiedyś wyższy od niego.

Ali pyta, kiedy będziemy jeść — szepnął z powagą.

Ach tak? — odszepnął Kalaun, zerkając na najstarszego potomka, który stał ze

skrzyżowanymi ramionami, słuchając oficjalnych peror ze znudzoną i lekko rozbawioną

miną. — Powiedz bratu, żeby uzbroił się w cierpliwość. I żeby następnym razem mówił sam za siebie.

Kiedy chłopiec się nie poruszył, spytał:

Coś jeszcze?

Chalil niepewnie przestąpił z nogi na nogę i zerknął na brata.

Ali mówi, że widział Kadira.

Co? — Kalaun poczuł, jak jeżą mu się włosy na karku.

Mówi, że duch Kadira jest tutaj. Obserwuje nas przez ścianę jak dawniej.

Kalaun sapnął nerwowo, objął syna ramieniem i uściśnął go lekko.

Ali kpi sobie z ciebie. Kadira już od dawna tu nie ma.

Jesteś pewien?

Całkowicie. A teraz zmykaj.

Omiał się nie roześmiać, widząc, jak Chalil wymierza bratu sójkę w bok. Ali zerknął na ojca, szczerząc zęby, a potem znów się zapatrzył na marszałka dworu z bardzo nieudolnie

udawanym zainteresowaniem. Krańcowo się

różnił od poważnego Chalila, za to stanowił niemal wykapane, trochę starsze i męskie odbicie Aiszy. Ten jego uśmiech zarazem zadziorny i krzepiący... Kalaun pomyślał przelotnie, że chłopak będzie kiedyś dobrym przywódcą — dowódcą pułku albo namiestnikiem miasta.

Chwilę później jego wzrok spoczął na ponurym następcy tronu i emir doznał nagłego olśnienia. Gniew i strach wyparowały pod naporem silniejszego od nich buntu. Wcale nie był bezradny. Przeciwnie, jako regent miał dziś większą władzę niż kiedykolwiek przedtem. Wystarczyło zaczekać na okazję i z niej skorzystać. Mamelucka dynastia zrodziła się z buntu. Sam Bajbars zabił dwóch sułtanów, nim zasiadł na tronie.

Nigdy dotąd nie miał takich wywrotowych myśli. Pod rządami Bajbarsa wystarczyło mu to, co miał. Ale teraz, patrząc na królewskie insygnia wręczone Barace, podjął decyzję. Stojący naprzeciw Nazir przyglądał się Kalaunowi ze zdumieniem. Zwykle wystarczyło mu rzut oka, aby przejrzeć myśli dowódcy. W ciągu lat poznał jego twarz we wszystkich jej nastrojach, jak zna się rodzinne strony w zmieniających się bezustannie porach roku. Ale uśmiech, który wygiął teraz kącik ust Kalauna, wydał mu się dziwnie niestosowny, zwłaszcza że w iedział o jego troskach. Dwa dni wcześniej emir zwierzył mu się ze swoich obaw, iż to Baraka zabił Bajbarsa. Zaskoczony Nazir po namyśle przyznał, że tak rzeczywiście mogło być. Ludzi łatwo jest zwieść. Sam od dawna zwodził wszystkich wokół siebie — również rzetelnego, prostolinijnego Kalauna.

36

Lasy pod Bordeaux, Francja Dwudziesty czwarty dzień kwietnia roku Pańskiego 1288

Łowcy gnali przez las, miażdżąc miękkie poszycie, roztrącając pękające z trzaskiem gałązki. Nocą przeszła burza, ziemia była rozmokła, grudy błota odskakiwały pod wybijającymi wściekły werbel kopytami koni. Wilgoć unosiła się między drzewami mgiełką przejrzystą niczym skrzydła ważki, a butwiejące zeszłoroczne liście nadawały jej mocny piżmowy zapach. Słońce przeciskało się przez korony drzew, rozświetlając krople rosy, zmieniając sieci pajęczce w sznury drogocennych pereł, a trawę na polanach w lśniący atlas. Widoczne skrawki nieba miały nasyconą błękitną barwę. Było wcześniej, w powietrzu wciąż dało się wyczuć resztki nocnego chłodu. Słońce nie wzniosło się jeszcze dostatecznie wysoko, by go przepędzić.

W pobliżu czoła grupy jechał wyróżniający się wzrostem, mocno umięśniony mężczyzna.

Gładkie czarne włosy okryte miał czapką w kolorze szmaragdu, a myśliwska tunika z tej

samej tkaniny wyszywana była złotą nicią w wijące się kwiaty. Choć mężczyzna zbliżał się do pięćdziesiątki, zachował pozostałości młodzieńczego wdzięku. Lekko opadająca powieka ułomność, którą odziedziczył po ojcu — była jedyną skazą na jego obliczu, a nawet ona

przydawała mu swoistego wdzięku. Nie bacząc na dworzan i giermków cwałujących przed i

za nim, król Anglii skupił całą uwagę na polowaniu. Z przodu, już całkiem blisko, dobiegało ujadanie psów tropiących. Odpowiedział im dźwięk rogów i grupa myśliwych przyśpieszyła, goniąc zwierzynę.

Na widok wilka Edward poczuł miły dreszczyk podniecenia. Tropili go od kilku godzin i

byłby rozczarowany, gdyby jak wczoraj zwierzę okazało się zdychającym starcem. To jednak był prawdziwy basior, mknął przez zarośla wielki i czarny jak sam diabeł. Psiarczyki

przywołali ogary do nogi przenikliwymi gwizdkami; teraz na rozkaz Edwarda spuszczone ze smyczy

mastify. Płaszcząc uszy na kanciastych głowach, zawzięcie ścigały wilka przez paręset

kroków, aż wreszcie prowadzący skoczył. Potężne szczęki zatrzęsły się na karku ofiary, kły z potężną siłą wpiły się w mięśnie. Wilk zaskowyczał żałośnie i runął na ziemię; splecione w walce zwierzęta przetoczyły się po ziemi, warcząc i siejąc wyrwaną sierścią. Do walki

włączyły się pozostałe psy, doskakiwały raz po raz, kłusując wściekle. Łowcy przyglądali się temu, stojąc kręgiem na ściągłych koniach o bokach pociemniałych od potu. Wynik był

przesądzony, wilk musiał ulec. Po chwili pachołkowie smagając psy, rozgonili je na boki, nim zdążyły rozedrzeć ofiarę na strzępy.

Edward zwinnie zeskoczył z wierzchowca. Reszta towarzystwa pozostała w siodłach, ciszę

mąciło tylko szuranie końskich kopyt w poszyciu i niskie, chrapliwe warczenie mastifów

branych z powrotem na łańcuchy. Król wyciągnął miecz z pochwy. Wilk leżał na boku, ziejąc ciężko. Widząc zbliżającego się człowieka, dźwignął się i obnażył kły, ale był za słaby, żeby wstać, i głowa bezsilnie opadła na ziemię. Na szyi i brzuchu miał wielkie krwawe rany, bił od niego odór zwierzęcego potu i uryny. Spojrzał na Edwarda mętnymi żółtawymi ślepiami, ten zaś uniósł miecz i pchnął zwierzę prosto w serce. Trysnęła jucha, plamiąc ostrze, a wśród widzów zerwały się wiwaty. Król wziął od giermka kawał płótna i paroma prędkimi ruchami otarł miecz. Pachołkowie odwlekli na bok wielkie cielsko. Co prawda futro, jak to wiosną, było kiepskie, lecz mięso mogło posłużyć za karmę dla psów. Panowie posiadali tymczasem z koni, wokół zaczęły krążyć bukłaki z winem i pochwalne uwagi na temat udanych łowów.

Edward, odprężony, dołączył do grupy, zdejmując rękawice.

Jeden z dworzan, trzymający się dotąd na uboczu z twarzą bladą i pokrytą potem, sięgnął po krążący bukłak. Edward w pół zdania rzucił na niego okiem i uniósł rękę.

Dla niego woda — powiedział.

Sługa bez wahania podał bukłak komuś innemu. Błady mężczyzna patrzył z goryczą za oddalającym się trunkiem.

Na twoim miejscu wsadziłbym sobie dwa palce do gardła — rzekł do niego Edward.

Jak rozkażesz, panie — sarknął ironicznie Garen, sztywno kłoniąc głowę. Jego spojrzenie padło na zabite zwierzę, które giermkowie przytrzymali właśnie do drąga, o sierści zlepionej strugami krwi i śliny. Żołądek skręcił mu się gwałtownie.

A jeżeli to nie pomoże — ciągnął król — zalecałbym nieco mniej wina do wieczery.—Jego ton się nie zmienił, podobnie siła głosu, a jednak czuć w nim było rozkaz.

Garen spojrzał w bezlitosne szare oczy i odwrócił wzrok. Miał czterdzieści jeden lat, lecz Edward paroma ciętymi słowami umiał sprawić, że czuł się jak smarkacz.

Jak rozkażesz — powtórzył.

Król odszedł, gawędząc z jednym ze swych francuskich wasali. Garen został sam. Chłód i wilgoć przyprawiały go o drgawki.

Zwykle udawało mu się ukrywać skutki nocnego pijaństwa; Edward rzadko wzywał go do

siebie przed południem, a do tego czasu miał już za sobą najgorsze dreszcze i poty. Dziś jednak król się uparł, by wszyscy doradcy towarzyszyli mu w polowaniu; chciał przy tej

okazji omówić z nimi plany na nadchodzący miesiąc. Garen także miał się stawić, chociaż nie był królewskim doradcą, w każdym razie nie oficjalnie. W istocie po niemal dwudziestu

ośmiu latach służby wciąż nie miał pewności, jaką właściwie zajmuje pozycję w złożonej

hierarchii królewskiego dworu. Pewności tej nie miał też nikt inny; nieokreślony status Garena odstręczał od niego szlachtę i wśród tętniącego życiem dworu on zawsze był sam.

Bolał nad tym wyobcowaniem, choć zarazem przyznawał, że jest nieuniknione. Część spraw, które załatwiał dla króla, nie mieściła się w kompetencjach żadnego urzędu. Uwolnienie z formalnych więzów, którym podlegali inni królewscy urzędnicy, niewątpliwie ułatwiało mu zadanie. Zawieszony między prawem a bezprawiem, żył w strefie cienia, nie będąc ani tym, ani owym. Stan ten zaostrzało prawie ciągle pijaństwo.

W ostatnich czasach wiele myślał o tym, czym się stał. Patrzył na swoje życie z nostalgicznym dystansem, jak człowiek, który w pewnym momencie zboczył z drogi, ale nadal jest pewien, że jakaś ścieżka lada chwila doprowadzi go znów' do gościńca. Myślał tak jednak od powrotu z Ziemi Świętej jedenaście lat temu, a gościńca wciąż nie było widać.

Mógł odejść; zniknąć nocą ze zlotem z królewskiej szkatuły, uciec do innego kraju, gdzie Edward by go nie dosięgnął, i zacząć życie od nowa. Lęk i niezdecydowanie zmusiły go do pozostania. W służbie Edwarda miał cel i status, jakkolwiek mętny. Płacono mu — nie tyle, ile by chciał, ale dość, by mógł w miarę wygodnie żyć. Wbrew wszelkim przesłankom wciąż wierzył, że pewnego dnia Edward w końcu obsypie go zaszczytami za wierną służbę. Poza

tym dwór zastępował mu ród, z którego został na świecie tylko on. Matka umarła przed pięcioma laty. Wykręcając się jakimiś prawnymi kruczkami, Edward odebrał mu dwór w Rochesterze wraz z marnymi resztkami rodowego majątku. Było pewne, że Garen nie zobaczy już ani piędzi ziemi ze swego dziedzictwa.

Myśliwi skończyli wino i powiadali na konie. Dwaj pachołkowie dźwignęli wilcze cielsko i ponieśli je kołyszące się na drągu. Garen z trudem wdrapał się na siodło. Czułby się o wiele lepiej, gdyby mógł się napić. Trzeźwość nie była miłą mu cnotą, a ilekroć musiał wypocić z siebie trunki spożyte poprzedniego dnia, myślami zawsze wracał do przeszłości, co tylko pogarszało mu nastrój. Nieco podniosła go na duchu świadomość, że ma w swojej komnacie

niedokończony gąsiorek, dołączył więc do orszaku, który ruszył przez las, kierując się z powrotem do Bordeaux.

Po godzinie wyjechali z boru na żółtawo-zieloną szachownicę pól i winnic, rozciętą na pół przez błękitną Garonnę. Chłopi okopywali motykami rdzawą ziemię, pielęgnując młode uprawy. Na winnych pędach wisiały już pierwsze grona, małe i kwaśne. Chłód poranka pierzchł przed metalicznym upałem południa. Garen znajdował w tej scenerii coś dziwnie swojskiego pomimo ciepłego klimatu Południa, dojrzewających winnic i maleńkich

obwałowanych miasteczek, z których wiele założył Edward. Minione dwa lata król spędził w Gaskonii, niestrudzenie lokując nowe osady i godząc powaśnionych wasali w swej zamorskiej dziedzinie odziedziczonej po pradziadzie. Bordeaux było jego stolicą, toteż tutejsza rezydencja obfitowała we wszelkie wygody.

Przejechawszy szybko przez miasto do zamku, który wznosił się dumnie nad rzeką, grupa

myśliwych wpadła z hałasem na dziedziniec, witana służbistym salutem przez wartowników

przy bramie. Zważywszy, że większość dworzan była wraz z Edwardem na łowach, dziwić

mógł ruch panujący na dziedzińcu. Przed stajniami tłoczyły się dwa tuziny koni pod opieką kilku młodych mężczyzn. Garen zauważył dziwaczne rzędy końskie w barwach i ozdobach,

jakich się tu nie spotykało, ale jeszcze ciekawsi byli sami giermkowie. Oliwkowe twarze wyglądające spod barwnych turbanów prezentowały się nader egzotycznie.

Edward też zwrócił na nich uwagę. Zsiadł, zdjął czapkę i przeczesał palcami wilgotne od potu włosy, a potem z pytającą miną ruszył w ich kierunku. Po drodze jednak powitał go

majordomus, który wybiegł z budynku.

Czy łowy się udały, najjaśniejszy panie?

Edward nie zaszczycił go odpowiedzią.

Mamy gości? — spytał. Reszta towarzystwa zeskakiwała z siodeł, ujadające głośno psy odprowadzano do psiarni.

Przybyli wkrótce po twoim wyjeździe, panie. — Majordom z najwyższym wysiłkiem starał się przekrzywić panujący harmider, nie tracąc przy tym godności. — Czekają w sali posłuchań.

Kto to?

Poselstwo mongolskie, a w nim niejaki Rabban Bar Sauma, ambasador chana Arguna.

Garen oddał konia paziowi i podszedł bliżej, przysłuchując się z zainteresowaniem. Ostatnie wieści z Mongolii głosiły, że po śmierci chana perskiego Abagi władzę przejął jego brat, który zresztą nawróciwszy się na islam, został zamordowany przez dowódców armii. Na jego miejsce wybrany został Argun, jeden z synów Abagi, ale dotąd nic więcej o nim nie słyszeli.

Prowadź mnie do nich. — Edward skinął na kilku doradców i bez dalszej zwłoki udał się za majordomem do zamku, zrzucając po drodze płaszcz.

Garen ruszył w pewnej odległości za nimi, ciekawy, czego mongolski ambasador szuka w Gaskonii.

Poselstwo czekało w dużej jasnej komnacie, której strop dźwigały potężne dębowe belki.

Kilku mężczyzn wyglądało na Europejczyków, ale większość miała azjatyckie rysy. W

środku grupy stał tęgi jowialny mężczyzna w średnim wieku, odziany w strojną biało-zielonkawą szatę, mocno kontrastującą z oliwkową cerą. Na głowie miał biały turban ozdobiony wielkim lśniącym szafirem oprawnym w złoto, a czarny cienki wąs spływał mu po obu stronach namaszczonej brody. Na tle surowej w wystroju komnaty wyglądał jak postać ze wschodniej baśni. Po jego prawicy stał chudy, anemiczny mężczyzna, rozglądając się wokół wzrokiem pełnym wyższości.

Panie — rzekł majordomus — oto ambasador... — Nie dokończył, gdyż tęgi mężczyzna z szerokim uśmiechem szedł już w stronę króla.

Wasza królewska wysokość—rzekł, składając niski pokłon — niech Bóg ześle na ciebie swe błogosławieństwa. Jestem Rabban Bar Sauma, poseł najmiłościwiej nam panującego chana Persji Arguna. — Mówił po francusku powoli, dziwacznie wymawiając głoski.

Edward odkłonił się lekko.

Witaj na mym dworze, cny pośle. Czym cię mogę podjąć? Słudzy podadzą zaraz wino i posiłek.

Rabban lekko zmarszczył brwi i skinął na stojącego obok człowieka, który przemówił do niego szybko w gardłowo brzmiącym języku. Ambasador uśmiechnął się ponownie i potrząsnął głową. Odpowiedział, a tłumacz powtórzył jego słowa:

Dzięki ci za gościnność, najjaśniejszy panie. Chętnie się posilimy i pokrzepimy słodkim napitkiem.

Razem więc zasiądziemy do stołu — odparł Edward. Skinął na majordoma, który wymknął się z komnaty.

Najjaśniejszy panie... — Garen posłyszał szept jednego z doradców.

Może rozsądnie byłoby spytać posła, z czym przybył, zanim przełamiesz się z nim chlebem?

Ambasador, nieświadom tej wymiany zdań, podszedł do jednego z wysokich okien, z których widać było Bordeaux i otaczające je zalane słońcem pola.

Piękne — rzekł po francusku, wskazując widok. — Bardzo piękne.

Przeszedł na ojczysty język, tłumacz przekładał jego słowa urywanymi frazami: —

Przyjechałem z Paryża. Paryż też jest piękny, ale jako dzieło rąk ludzkich. Podziwiałem przepych uniwersytetu, wspaniałe budowle, kościoły... Widziałeś Sainte-Chapelle, wasza wysokość?

Tak — odparł Edward, kiedy tłumacz przełożył pytanie.

Ambasador nie wychwycił kwaśnej nuty w jego głosie. Ciągnął z zachwytem:

Król Filip osobiście pokazał mi ten cud. Ujrzałem tam fragment korony cierniowej, złożony przez króla Ludwika, a później uczestniczyłem we mszy świętej wraz z dworem. Będę czule wspominał ten dzień do końca życia.

Garen, stojący nieco z boku, spostrzegł, jak grają mięśnie zuchwy Edwarda na wzmiankę o Filipie. Król rozpoczął swój pobyt na kontynencie od złożenia hołdu nowemu królowi

Francji, energicznemu młodemu człowiekowi, którego poddani już zwali le Bel, Pięknym, z uwagi na jego osławioną urodę. Zaraz przy pierwszym spotkaniu pomiędzy obydwoma

władcami wytworzyła się atmosfera zawziętej rywalizacji. Edward niewątpliwie wściekał się na myśl, że jest wasalem Filipa, Filipowi zaś nie w smak było, że Anglik dzierży ziemie będące pod jego berłem. Ale główny powód, jak domyślał się Garen, tkwił w tym, że Filip przypominał Edwardowi jego samego sprzed lat. Młody, ambitny i przystojny, był

wschodzącą gwiazdą, której światło mogło przyćmić chwałę bohatera krucjaty i pogromcy Walii. Edward zaś nie lubił dzielić się chwałą.

Szczęki Edwarda zacisnęły się jeszcze mocniej, kiedy Rabban wskazał gestem chudego mężczyznę w swym orszaku.

To jest Gobert z Helleville, wasza wysokość. Ma on powrócić ze mną na dwór wielkiego chana. Szczodrobliwy król Filip mianował go ambasadorem na znak swej nieustającej przyjaźni i chęci podtrzymania sojuszu między naszymi królestwami.

Gobert sztywno skłonił głowę. Nie wyglądał na uszczęśliwionego czekającą go misją.

O jakiej to sprawie mówiłeś z królem Filipem? — spytał Edward, nie patrząc na Goberta.

O tej samej, która przywiodła mnie tutaj, wasza wysokość. — Dziecinne podniecenie

Rabbana ustąpiło miejsca namaszczonej powadze.

O tej samej, która w pierwszym rzędzie przywiodła mnie do papieża w Rzymie, gdzie niestety się

dowiedziałem, że zmarł i jeszcze nie wybrano nikogo na jego miejsce.

Edward kiwnął głową.

Dopiero niedawno doszła do nas wieść o intronizacji jego następcy, który przybrał imię Mikołaja IV. Ale co to konkretnie za sprawa, ambasadorze?

Sprawa nowej wyprawy krzyżowej, miłościwy panie.

Edward przekrzywił nieco głowę, przysłuchując się uważnie.

Choć najmiłościewiej nam panujący chan wyznaje wiarę buddyjską

ciągnął Rabban — on, jak i wielu innych na jego dworze, darzy szczerą przyjaźnią kościół

Jezusa Chrystusa. Jego i mój serdeczny druh, chrześcijanin jako i ja, został wyniesiony na stolec patriarszy w Bagdadzie. Chan od dawna pragnie odebrania muzułmanom świętych

miejsce chrześcijaństwa, w którym to życzeniu wspiera go żarliwie patriarcha. W tym więc celu wysłał mnie do królestw Zachodu, abym prosił tutejszych władców i dostojników

Kościółu o pomoc. Chan da wojska i złoto, gdy królowie uczynią to samo. Wasza wysokość

— dodał z zapalem — zawarłeś ongi przymierze przeciw mamelukom z jego ojcem, chanem

Abagą. Czy uczynisz to ponownie dla dobra Ziemi Świętej?

W sali zapadła cisza. Edward z namysłem przyglądał się Rabbanowi, jego doradcy

popatrywali na siebie pytająco. Napięcie rozproszyły kroki służących, którzy weszli, niosąc tace wyładowane zimnymi mięsiami, serami i bochenkami ciepłego jeszcze chleba.

Czekajcie — zatrzymał ich Edward, gdy zaczęli rozstawiać pod oknem duży stół na

krzyżakach. — Dla mnie i czcigodnego posła nakryjcie w7 świetlicy. Pozostali mogą zjeść tutaj. — Spojrzał na Rabbana. — Czy pomówisz ze mną na osobności, ambasadorze?

Z prawdziwą rozkoszą, wasza wysokość.

Doradcy jednej i drugiej strony wyglądali na urażonych, że wyklucza się ich z tak ważnej debaty, lecz Edward nie pytając ich o zdanie, wyszedł, a za nim posel z tłumaczem i słudzy niosący jadło.

Garen udał się do siebie, pozostawiając dyskutujących z ożywieniem dworaków. Znalazłszy się w komnacie, najpierw zasłonił okno. Ciekaw był wyniku tej rozmowy. Wiedział

doskonale, że Edward nie zarzucił marzenia

powrocie do Ziemi Świętej na czele odwetowej armii. Jak dotąd jednak ambicje te zostały zepchnięte na bok przez bliższe mu sprawy własnej dziedziny.

Dwanaście lat temu obwieścił wszem wobec, że zamierza zlikwidować zagrożenie ze strony

Walii i uderzył na ten górzysty, zalesiony kraj. Llewelyn z Gwyneddu walczył z nim zaciekle, ale został pokonany, a podzielone terytoria północnej i południowej Walii Edward scalił pod swoją władzą. Odcięta głowa Llewelyna zatknięta w żelaznym uchwycie przed londyńskim

zamkiem stanowiła ponure memento na wypadek, gdyby ktoś chciał się sprzeciwić nowym porządkom.

Edward był zwolennikiem silnej ręki i dlatego chciał stworzyć sprawnie rządzone królestwo o pewnych granicach, całkowicie podległe jego władzy. Podbiwszy Walię, nakazał budowę

kilku potężnych zamków, aby strzegły nowego nabytku, a następnie wyjechał do Gaskonii,

gdzie zaczął wprowadzać te same zasady z tą samą bezpardonową energią, z jaką

przeprowadzał każdy swój zamysł. Garen wiedział, że zwycięstwo na Wschodzie nigdy nie

wywietrzało mu z myśli, ale najpierw chciał podporządkować Szkocję

Irlandię. Zresztą wszelkie przygotowania do krucjaty musiałyby rozpocząć od nowa; wraz ze śmiercią króla Hugona przed czterema laty stracił bazę na Cyprze.

Na wieść o zgonie Hugona Garen poczuł, że kamień spadł mu z serca. Nigdy nie przyznał się Edwardowi do uknutego z królem Cypru planu zawładnięcia Czarnym Kamieniem z Kaaby.

W drodze powrotnej odegrał w kości część straconych pieniędzy, sporo dostał za miecz

sprzedany we Francji. Rozwścieczonemu Edwardowi oznajmił, że resztę mu skradziono,

także to, co zdołał wyciągnąć z Anima Templi. Miał nadzieję, że dzięki temu kłamstwu nie będzie musiał wracać do Ziemi Świętej, żeby nagiąć bractwo do woli Edwarda, co niechybnie by się stało, gdyby król wykrył oszustwo. Oczywiście został ukarany, musiał znieść bolesną i upokarzającą chłostę, ale nie było to najgorsze, co go mogło spotkać. Gdyby doszło do

spotkania Edwarda z Hugonem i Hugo napomknął o chybionym planie...

Znalazł obok łóżka napoczęty dzban wina i podniósł go do ust. Nie było go wiele; tyle tylko, żeby zdążyć zakosztować ciepławej goryczki i poczuć, jak zaczyna mu krążyć w żyłach,

wyglądając ostre kontury świata. Zrzucił ciężkie od błota buty i położył się na wznak na wąskim łóżku, patrząc w sufit i zastanawiając się, co król pocznie z tak śmiałą propozycją Mongołów.

Nie musiał długo czekać na odpowiedź.

Dwie godziny później, akurat gdy się zbudził z paskudnym smakiem w ustach i ruszył do

kuchni, żeby uspokoić buntujący się żołądek, po drodze zdybał go sługa z poleceniem, by natychmiast się stawił w świetlicy królewskiej.

Zamknij drzwi — rozkazał mu Edward, kiedy wszedł. — Mam dla ciebie zadanie. To jest list do papieża. Zawieziesz go do Rzymu.

Oświadczenie to było zaskakujące i przykre, ale Garen zadbał o to, by jego twarz nie

wyrażała zupełnie nic. Edward po mistrzowsku potrafił wygrywać na swoją korzyść ludzkie emocje. Na szczęście Garen panował teraz nad sobą znacznie lepiej niż podczas polowania, ociążały i słaby po wieczornym nadużyciu. Rano został wzięty przez zaskoczenie. Teraz do tego nie dopuścił.

Czy mogę spytać, co zawiera list, najjaśniejszy panie?

Możesz — odparł król po chwili milczenia. Odchylił się do tyłu i oparł wygodniej. — Proszę w nim papieża, aby zaczął znów wzywać do wyprawy krzyżowej. Proszę, by rozesłał

legatów⁷ do królów i książąt, błagając ich, by wsparli walkę o odzyskanie Jerozolimy i Ziemi Świętej, ojczyzny Jezusa Chrystusa.

Garen słyszał już takie mowy. Na ogół nic więcej z nich nie wynikało: patetyczna retoryka padała w ciszę i wkrótce okrywało ją zapomnienie. Królowie za wiele mieli do stracenia w Europie, aby dać się wywabić na drugi koniec świata. Krucjaty stały się kosztowne i

staroświeckie. Edward był inny: mówił szczerze. Mimo to Garen wątpił, by wielu władców

poszło za jego wezwaniem.

Chcesz wziąć Krzyż, panie?

Kiedyś, tak. Tymczasem nie chcę stracić poparcia Mongołów. Ich propozycja jest interesująca i pożądana, choć złożona została w niezbyt stosownej porze. Apel do papieża będzie gestem, który przekona chana, że traktuję ją poważnie. Jak słyszę, król Filip też wysłał list podobnej treści. — Edward skrzywił się nieznacznie. — Wiem, że nowy papież jest zwolennikiem

krucjaty, a że świeżo objął stolec Piotrowy, będzie się chciał wykazać. Powinien nas

wysłuchać. Tymczasem wrócę do Anglii, jak planowałem. Tu nie mam już wiele więcej do

zrobienia.

Garen czuł, że to nie wszystko. Kiedy król zamilkł, spytał:

Jeśli wolno: dlaczego nie wyślesz listu przez zwykłego posłańca? Jego treść nie jest szczególnie tajna.

Zrobisz coś jeszcze.

Cisza. Garen czekał.

Kiedy dostarczysz list do Rzymu, ruszysz dalej za morze i spotkasz się z Wilhelmem Campbellem.

Tym razem Garen nie zdołał ukryć emocji; przemknęły mu po twarzy, nienawistne, brzydkie.

Edward zauważył zmianę, ale podjął bez komentarza:

Jak wiesz, mam plany, które chcę urzeczywistnić po powrocie do Anglii, a które na razie uniemożliwiają mi wyprawę krzyżową. — Złożył list i sięgnął po czerwoną świecę stojącą na pulpicie, której nikły płomyk był ledwie widoczny w zalanej słońcem komnacie. Nalał na

złożenie roztopionego wosku i odcisnął w nim pierścień. — Jeśli mam uderzyć na Szkocję, potrzeba mi tyle złota, ile tylko zdołam wyszarpnąć. — Wręczył Garenowi list.

Garen uczył, jak trunek wietrzeje mu z żył; świat znów stał się twardy i nieprzyjazny.

Opuszczając jedenaście lat temu Ziemię Świętą, przyrzekł sobie, że nigdy tam nie wróci.

Ostatnio nie kwapili się zbytnio z wypłatą — powiedział. — Wiele czasu zajęło mi wydostanie od nich złota.

I niewiele jego utrata — uciął ostro Edward, napawając się zmieszaniem rozmówcy. — Nie

obchodzi mnie, jak bardzo to będzie trudne. Widać perswazje i groźby, które zastosowałeś ostatnim razem, poskutkowały. Użyj ich ponownie. Wróc ze złotem, a może zdołam ci

przebaczyć tamto niedołęstwo.

Garen milczał. Na myśl o powrocie, o spotkaniu z Willem, czuł się tak, jakby spadał w przepaść.

Cytadela w Kairze

Trzydziesty pierwszy dzień sierpnia roku Pańskiego 1288

W miarę jak rozbrzmiewające wokół głosy stawały się coraz bardziej napastliwe, tępy ból rozpałał się w przeszywające igły. Kalaun rozmasował czoło powolnymi kolistymi ruchami, czując, jak palce

wilgną mu od potu. Słońce zachodziło, rozpalając na niebie tysięczne

odcienie szkarłatu i złota, ale skwar wciąż był niemiłosierny, nie chciał się rozproszyć mimo zbliżającego się zmierzchu i zagęszczał atmosferę, odbierał cierpliwość.

Panie? — postyszał. I po dłuższej chwili znowu: — Najjaśniejszy panie?

Uniósł głowę. Młody emir wpatrywał się w niego niecierpliwie.

Słucham cię, Dawudzie — powiedział ze znużeniem.

Powtarzam: czas działać. Wiemy, że chan wysłał na Zachód emisariusza z prośbą o

wyprawienie krucjaty. Nie możemy im pozwolić na sojusz. Razem, wzmocnieni posiłkami ze swoich krajów, Frankowie i Mongołowie mogą nas pokonać.

Niektórzy dostojnicy w sali tronowej kiwali głowami, inni nie wydawali się przekonani.

Znużyła mnie ta debata — mruknął po chwili Kalaun. — To był ciężki dzień. Wrócimy do tej sprawy jutro, kiedy sen odświeży nam umysły. Może wówczas dojdziemy do porozumienia.

To samo mówieś na poprzedniej naradzie, panie — sarknął jeden z emirów — a decyzja wciąż nie jest podjęta.

Okaż sułtanowi należny szacunek, kiedy do niego mówisz, emirze Ahmedzie!

Mężczyźni obrócili się w stronę, skąd dobiegł czysty, zimny głos. Al-Aszraf Chalil zerwał się na nogi, wyprężony jak struna. Ciemne włosy

spadły mu na jedno oko, ale drugie bez zmrużenia wpatrywało się w Ahmeda.

Ten zerknął na Kalauna i skłonił głowę.

Racz mi wybaczyć, najjaśniejszy panie. Wybacz i ty, książę — dodał kurtuazyjnie pod adresem Chalila.

Kalaun uniósł rękę.

Usiądź, synu. Emir ma słuszość i rozumiem jego zniecierpliwienie.

Niektórzy z zebranych zaskoczeni unieśli głowy. Sułtan ociężale wstał

z tronu i zszedł na wielki dywan, gdzie siedzieli wokół niskich stolików zastawionych

dzbanami i resztkami posiłku. Wciąż był krzepki, ale ci, którzy znali go najdłużej, mogli mieć

wrażenie, że ostatnio nieco się przygarbił. Miał za sobą sześćdziesiąt parę zim, włosy zasnęła mu siwizna, ogorzała cera pomarszczyła się wokół oczu.

Przechadzając się między nimi, Kalaun podjął:

Prowadzimy tę debatę od tak wielu lat, że niektórzy z was nawet nie są w stanie tego sobie wyobrazić. Za każdym razem jest tak samo: nadchodzi wieść, że Frankowie znoszą się z

Mongołami, aby razem najechać nasze ziemie. Na ludzi pada strach. Chcą temu

przeciwdziałać, póki nie jest za późno! — zacisnął pięść. Co młodszy dowódcy z zapałem

kiwali głowami. — Ale choć wieść jest groźna, nigdy nie idą za nią czyny, o czym zdajecie się zapominać. — Pokiwał głową, wodząc wzrokiem po ich twarzach. — Frankowie w

Europie nie chcą już krucjaty. Od dziesięcioleci potwierdzają to wszystkie nasze źródła. Nie sprzymierzają się z Mongołami.

A jeśli tak? — spytał jeden z emirów. — Przypuśćmy, że zawrą sojusz. Co wtedy?

Będziemy o tym wiedzieć dostatecznie wcześniej. Zdążymy się przygotować. Pomyślcie, ile

czasu zajmie Frankom zebranie liczącej się armii. Tak się składa, że to my mamy więcej

wojsk, więcej środków. Jesteśmy bezpieczni.

Ci, na których napadli rycerze Świętego Jana, nie byli bezpieczni, panie — odparował

Dawud.

Zrobiliśmy już porządek ze szpitalnikami — przyszedł w sukurs sułtanowi stary emir o

twarzy poznaczonej bliznami. — Zapłacili za swoje rajdy. Odebraliśmy im ostatnie warownie w głębi lądu.

Dawud pochylił się ku niemu rozjątrzony.

Zabraliśmy im warownie, pozostawiliśmy ich przy życiu. Pozwoliliśmy schronić się w Akce, skąd w przyszłości będą mogli znów na nas wyruszyć!

Zapomniałeś chyba, że podpisaliśmy rozejm z Frankami — rzeki stary szorstko, lecz

cierpliwie. — W chwili obecnej nie ma między nami wojny. Naszym głównym

przeciwnikiem są Mongołowie, a nawet oni zagrażają nam mniej niż ongiś. Jak myślisz,

dłaczego dążą do sojuszu z Frankami? Bo wiedzą, że sami nas nie pokonają. Ilekroć próbują, odrzucamy ich za Eufrat. A po każdej takiej próbie są coraz słabsi.

Kalaun potwierdzająco skinął głową.

Ani Frankowie nie wygrają z nami wojny, ani Mongołowie. Na szachownicy jest pat.

Zgadzam się, że i my nie zdołamy pokonać Mongołów na ich własnej ziemi — zdenerwował się Dawud. — Ale Franków na naszej tak! Przestaną nam sprawiać kłopoty, jeśli ich tu nie będzie!

Nie słuchasz mnie, Dawudzie. — W głosie Kalauna pojawił się ton irytacji. — Kiedy

ruszymy na Franków, układ się zmieni. Mongołowie to wykorzystają, żeby uderzyć na nas od tyłu. Oblężenie Akki będzie długie i kosztowne, pochłonie wiele złota i istnień ludzkich i nie ma gwarancji, że się powiedzie. — Sułtan ściągnął brwi, widząc niedowierzanie w oczach

słuchaczy. — Jesteście młodzi, więc tym razem wybaczę wam niewiedzę. Mój poprzednik,

sułtan Bajbars, pięciokrotnie oblegał Akkę. Ile razy ją zdobył?

Pytanie zawisło w powietrzu.

Ani razu — mruknął pod nosem Dawud.

Słucham? — Kalaun ostentacyjnie przyłożył dłoń do ucha.

Nie udało mu się to ani razu — odrzekł niechętnie Dawud.

Czy nie sądzicie, że jeśli sam złamię dziesięcioletni układ pokojowy, który podpisałem z zakonami, rycerstwem i kupcami Akki, dam im dobry powód, by zmienili zdanie i połączyli siły z Mongołami? Jeśli zaatakujemy Akkę, a oni nas odepchną, będą już wiedzieli, że muszą się mieć na baczności. Jak sam powiedziałeś, zjednoczone siły frankijskie i mongolskie

mogłyby nas zniszczyć. Mam z własnej woli pchnąć ich sobie w objęcia?

spytał szorstko. Nikt nie odpowiedział. Kalaun gniewnie potrząsnął głową. — Narada

skończona. Możecie odejść.

Gdy zaczęli wychodzić, wrócił na podwyższenie i usiadł na tronie, krzywiąc się z bólu.

Słudzy sprzątnęli tace i puchary. W komnacie został tylko Chalil.

Dziękuję ci za poparcie — rzekł Kalaun, pocierając czoło.

Zawsze będę cię popierał, ojczy — rzekł tamten chłodno.

Kalaun zerknął na niego.

Ale się ze mną nie zgadzasz?

Wiesz, że nie.

Mimo tego, o czym tu mówiłem?

Wiem, że możemy pobić Franków, ojcie — rzekł z zapałem Chalil.

Mamy dość ludzi i machin. Obejrzałem dokładnie plany Akki. Obrona ma słabe punkty.

Frankowie nie są dziś ani w połowie tak silni jak wówczas, gdy oblegał ich sułtan Bajbars. Są podzieleni i zdezorganizowani.

Ale mury wciąż są mocne — rzekł spokojnie Kalaun — To się nie zmieniło.

Dlaczego tak się upierasz, ojcie? Można by pomyśleć, że jest to dla ciebie sprawa osobista!

Zawsze ich broniłeś! — Chalil zszedł z podwyższenia i zbliżył się do okna. Powiew wiatru uniósł mu włosy.

Nacisk w jego głosie zdumiał Kalauna. Patrząc na zmarszczone czoło syna, sułtan poczuł, jak przygniata go znużenie. Przez swe przenikliwe spojrzenie i spokojny, wyniosły sposób bycia Chalil zawsze robi! na nim wrażenie uczonego albo mutły. W istocie jednak był do szpiku kości wojownikiem i w wieku lat dwudziestu czterech — doskonałym strategiem. Miał

umysł, z jakiego Bajbars byłby dumny.

Bajbars...

W ostatnich czasach Kalaun często wracał myślami do dawnego towarzysza. Może dlatego,

że dopiero teraz w pełni rozumiał trudności, z jakimi tamten musiał się borykać. Jedyne, co ich różniło, to że Bajbars nie miał powodu żywić przyjaźni do Franków; tak samo jak inni chciał ich przepędzić, tyle że w Mongołach widział większe zagrożenie. Jak się okazało, największe dojrzało tuż pod jego bokiem.

Przyglądając się Chalilowi, Kalaun poczuł chłodny dreszcz. Co za ironia! Zmarnował tyle lat, usiłując wychować Barakę na człowieka szlachetnego, miłującego pokój, a tymczasem jego

własny syn wyrósł na militarnego geniusza. Chalil rwał się do wojny. Nie powodowała nim bezmyślna, fanatyczna nienawiść do Franków, co to, to nie. Wywodził po prostu z

niezmałą logiką, że Frankowie nie mają prawa do Palestyny i trzeba ich z niej usunąć.

Czasami, gdy był sam i nie mógł w nocy zasnąć, Kalaun zastanawiał się, czy to Bóg go karze za zdradę Bajbarsa i jego synów. Karciał się za te myśli. Oszukiwał Bajbarsa dla dobra

własnego ludu, nie tylko Franków. Co do Baraki, rozprawił się z nim łagodniej, niż należało.

Po dwóch latach panowania Baraki Kalaun, zgromadziwszy dostateczne poparcie, poprowadził syryjskie wojska na Kair. Bojąc się o życie, pozbawiony zaplecza Baraka uciekł wraz z matką, pozostawiając na tronie młodszego brata Salamisza. Kilka miesięcy później Kalaun dyskretnie pozbył się młokosa i został obwołany sułtanem, obejmując władzę nad całą spuścizną po Bajbarsie, zgromadzoną w ciągu wielu lat. Mógł był ścigać Barakę, uwięzić go, zabić, ale machnął na to ręką. Nie miał już sił na konfrontację. Bajbars nie żył, Aisza także. Choćby rozdarł Barakę na strzępy, nie zdołałby wrócić im życia, a rana wciąż była zbyt bolesna, aby ją rozdrapywać. Dodatkowo przybiła go śmierć Alego. Najstarszy syn, światło jego oczu, zmarł na febrę. Świeża żałoba przytłumiła myśl o zemście i Kalaun ostatecznie jej zaniechał.

Zdobył władzę, zapewnił ludowi bezpieczeństwo. Był gotów się pogodzić ze stratami, jakie w tym celu poniósł.

Ale nawet mimo jego wysiłków i dobrej współpracy z Anima Templi pod przywództwem Wilhelma Campbella, pokój wcale nie był łatwy do utrzymania. Samowolny niczym żywa istota, kapryśny i zmienny, ukazywał różne twarze różnym ludziom i wciąż sprawiał kłopoty.

W stosunkach między chrześcijaństwem a islamem przypominał słabe i niedoświadczone dziecko, które wciąż potrzebuje opieki. Pomimo to rządy Kalauna przyniosły na ogół wytchnienie i dostatek, handel kwitł, a choć Mongołowie wciąż napierali na granice, to starcia z nimi, choć ostre, nie trwały długo. Z Frankami podpisał kolejny traktat pokojowy w miejsce tego, który Bajbars zawarł ongi z Edwardem. Zawdzięczał go Anima Templi, zwłaszcza

Camp- bellowi, który nakłonił wielkiego mistrza, by ten przeforsował propozycję w radzie Akki.

Ale nie cieszyło to jego emirów — ani jego syna. Czasem się zastanawiał, po której stronie opowiedziałby się Iszandijar. Emir niewiele przeżył Bajbarsa; został zadźgany w kairskim zaułku wkrótce po powrocie z Damaszku. Zabójcy nie schwytano.

Oderwał wzrok od Chalila, słysząc pukanie. W otwartych drzwiach stał Nazir, bębniąc palcem w futrynę. W drugiej ręce trzymał zwój papierów.

Chodź — kiwnął na niego Kalaun.

Oficer wszedł, skinąwszy na powitanie głową Chalilowi, który uśmiechnął się do niego.

Kalaun poczuł w sercu bolesne ukłucie. W ciągu ostatnich lat Nazir i Chalil zbliżyli się do siebie. Zazdrościł im tej bliskości, choć skądinąd rad był z dobrych stosunków łączących syna z jego najstarszym przyjacielem. Społy one więź między nim samym a Nazirem, która w pewnym momencie wydawała się nieodwołalnie zerwana.

Po śmierci Bajbarsa Syryjczyk zamknął się w sobie, stał się roztargniony i drażliwy. Kalaun przypisywał to mękom, jakie musiał znosić w niewoli u asasynów, i nie miał mu tego za złe.

Z czasem jednak złe humory Nazira nasiliły się, granicząc z niesubordynacją; coraz ciężiej było rozgrzeszać jego zachowanie. W końcu straciwszy cierpliwość i nie mając już innego pomysłu, Kalaun powierzył Nazirowi dowództwo garnizonu w nadgranicznym syryjskim

miasteczku, mając nadzieję, że czas spędzony z dala od dworu go uspokoi. Podziałało. Sześć lat temu Mongołowie zajęli miasto. Nazir wróci! do Kairu cichszy, lecz jakby uleczony.

Kalaun przyjął go z powrotem pod swój dach i choć trochę to trwało, z czasem zaczął go darzyć zaufaniem. Dawna przyjaźń odżyła, Nazir znów był jego najbliższym powiernikiem.

Sułtan nazwał nawet jego imieniem najmłodszego syna.

Nadeszły miesięczne raporty z Damaszku i Aleppo. — Nazir podszedł do tronu i wręczył mu zwój. — Sztab zna już ich treść. Zdaje się, że nie ma w nich nic ciekawego.

To właśnie lubię. — Kalaun podniósł się i wziął od niego dokumenty.

Jak przebiegła narada?

Chyba udało mi się przekonać paru emirów do mego punktu widzenia.

Od okna dobiegło głośnie westchnienie. Nazir i Kalaun spojrzeli na Chalila.

Jeśli masz coś do powiedzenia, synu, powiedz to. Wiesz, że zawsze możesz ze mną mówić szczerze.

Narazasz się, ojcze, uporem w kwestii Franków. Wbrew temu co mówisz, stanowią zagrożenie, już choćby przez to, że tak wielu twoich własnych ludzi chce ich stąd przepędzić.

Boję się o twoją pozycję — dodał cicho Chalil. — O twoje bezpieczeństwo.

O to niech się martwi moja gwardia — odparował szorstko Kalaun.

Ale...

Bądź posłuszny ojcu, książę — wtrącił cicho Nazir. — Wie, co robi.

Kalaun rzucił mu pełne wdzięczności spojrzenie.

Przepraszam. — Chalil spuścił oczy.

Kalaun podszedł i położył mu rękę na ramieniu.

Chodź, zjedz ze mną wieczerzę, pogadamy obszerniej. Czy miałeś do mnie jeszcze jakieś sprawy, Nazirze?

Nie, panie.

Kalaun kiwnął mu głową i skierował się do drzwi. Chalil zawahał się, ale ruszył za nim.

Nazir wrócił do swojej komnaty, by uporządkować dokumenty zakupu nowej partii niewolników, głównie Mongołów, dla dawnego pułku Kalau- na, pełniącego teraz rolę gwardii sultańskiej.

Przeglądał właśnie listę, odczytując zapiski naniesione przez handlarza i dopisując obok arabskie imiona, jakie miały zostać nadane chłopcom, kiedy ktoś zapukał do drzwi. Mrucząc w roztargnieniu pod nosem, otworzył słudze, który wręczył mu list.

Pismo do ciebie, panie.

Od kogo?

Nie wiem. Zostawiono je przy bramie z poleceniem, żeby ci przekazać.

Nazir zamknął drzwi i marszcząc brwi, podszedł do okna, gdzie resztką dziennego światła była jeszcze dość mocna, by przy niej czytać. Po chwili ręka, w której trzymał arkusz, zaczęła drżeć. Zmiał list ze złością i rzucił na posadzkę. Wparł dłonie w parapet i stał tak przez chwilę, a kiedy podniósł głowę, zobaczył swoje odbicie w polerowanym zwierciadle na

ścianie. Błady i spocony wyglądał, jakby zobaczył ducha. I w pewnym sensie tak właśnie było.

Przed trzydziestu laty życie Nazira, już rozbite przez wojnę, ostatecznie wymknęło mu się z rąk. Bagdad został zdobyty przez wojska mongolskie; w chaosie schwytali go handlarze

niewolników, odrywając od brata, jedyne pozostałego przy życiu krewnego. Sprzedano go do mameluckiej armii. Miał wtedy dziewiętnaście lat. Pierwszy rok w Kairze spędził, planując ucieczkę, ale nie wiedział, gdzie jest Kajsan ani czy jeszcze żyje, nie miał dokąd uciekać, a kara za dezercję — ukrzyżowanie — skutecznie go paraliżowała. Poświęcił się

więc ćwiczeniom, rozumując słusznie, że im bardziej się odznaczy, tym wyższe osiągnie

stanowisko, a więc i większą wolność. Pod dowództwem Kalauna szybko awansował; w

końcu, o gorzka ironio, sam kupował niewolników do armii i ich szkolił. Zawsze go zdumiewało, jak prędko ci chłopcy przywykali do życia w surowej wojskowej dyscyplinie, jak łatwo dawali się zindoktrynować, w parę miesięcy zapominając o przeszłości, rodzinie i wierze.

Powodem musiał być ich młody wiek

on sam był w pełni świadom, kim jest i co nakazuje mu wiara, którą wyznawał, zanim popadł w niewolę. Ani nakazy, ani czas w nim tego nie zatarły.

Był izmailitą, urodził się w północnej Syrii, gdzie mieszkał z rodziną do dziesiątego roku życia. Wówczas na jego wieś napadła banda sunnickich bojówkarzy, sprawców religijnych

czystek w całym regionie. Cztery lata starszy Kajsan uciekł z nim na Dżebel Bahra. Wrócili następnego ranka. Znaleźli zmasakrowane ciała rodziców i innych mieszkańców wioski, rozrzucone pośród dymiących jeszcze ruin. Przez miesiąc żyli samotnie w dziczy, dopóki nie znalazł ich przejeżdżający syryjski kupiec, chrześcijanin. Wziął ich pod opiekę; w zamian za wyżywienie i odzienie zajmowali się jego wielbłędami. Nazir szybko przywykł do życia na szlaku, ale Kajsan

nie lubił wyrobniczej pracy, chodził krnąbrny i ponury, aż pewnego dnia kupiec dał mu miecz i mianował go strażnikiem karawany. Osiem lat spędzonych w drodze między Aleppo,

Bagdadem i Damaszkiem nie zdołało wymazać przeżytej tragedii z pamięci braci, ale były to ogólnie rzecz biorąc dobre lata. Potem jednak znaleźli się w oblężonym Bagdadzie i wszystko się zmieniło.

Z biegiem lat Nazir pogodził się z losem, który kazał mu żyć wśród znenawidzonych

sunnitów. Czuł się jak tygrys, któremu wyrwano zęby i pazury. W sercu wciąż był wolny i dziki, ale widząc bezowocność wysiłków, przestał się rzucać na pręty klatki i ułożył w niej pokonany.

Odwrócił się od okna, spojrzał na zmięty list. Powoli podszedł, podniósł go i rozprostował.

Przebiegł oczyma tekst z goryczą i lękiem, lecz także iskierką dawno porzuconej nadziei, zatrzymując wzrok na niechlujnie nabazgranym mianie:

Angelo Yitturi.

Brzeg morski pod Akką Dwudziesty dzień października roku Pańskiego 1288

Will leża! na rozgrzanym piasku, podparłszy się łokciem. Słońce świeciło mu prosto w oczy, widział tylko zarysy dwóch postaci na skraju wody. Z tyłu, za wydrami miążkiego

nawianego piasku rósł rząd cyprysów. Przez cały ranek niebo jak okiem sięgnąć pyszniło się

nieskazitelny błękitem, ale teraz na południowym widnokręgu zaczynały się piętrzyć

ołowianosza- re chmury, przyczajone za garbatym wzniesieniem Karmelu. Morze błyszczało, białe grzywki fal ściagały się do brzegu. Will patrzył, jak dwie kobiety przeskakują łagodny przybój, ich śmiech wprawiał go w błogi, senny nastrój.

Oczy mu się zamknęły i właśnie zaczynał drzemać, kiedy śmiech rozległ się bliżej. Otworzył

oczy za późno: woda chlusnęła mu na szyję i pierś. Usiadł ze zduszonym okrzykiem.

Zobaczył roześmianą buzię i błysk złotych włosów, które w jednej chwili zniknęły.

O, ty! — zawołał, zrywając się na nogi.

Napastniczka pisnęła, na poły z triumfu, na poły ze strachu. Zakasała gieselko i pognała na długich patykowatych nogach w stronę brzegu, roniąc po drodze lśniące krople wody.

Dopędził ją przy brzegu, złapał wpół i piszczącą przerzucił sobie przez ramię, a następnie wszedł do morza, mocząc lniane gatki.

Nie! N i e!

Mówiłaś coś? — Pobrodził głębiej, woda sięgnęła mu do kolan. Napastliwy szum zielnych fal brzmiał coraz głośniej.

Przepraszam! — wrzasnęła dziewczynka, zaśmiewając się do rozpuku.

Nic nie słyszę.

Przepraszam, ojcze!!!

Will zachichota! i zawrócił do brzegu, gdzie bezceremonialnie zrzucił córkę na nagrzaną płyciznę. Oddychała szybko, twarz miała zaróżowioną. Wzięła go za rękę i razem wrócili na plażę.

Przyjdziemy tu jeszcze, ojcze?

Z pewnością — odparł z uśmiechem.

Ścisnęła mocniej jego dłoń i zatrzymała się nagle.

Tak bardzo załuję, że nie możemy się częściej spotykać.

Will też się zatrzymał. Jeszcze niedawno musiałby przykucnąć, żeby spojrzeć jej w oczy.

Teraz sięgała mu do piersi i szybko rosła. Uniósł więc tylko palcem trójkątny podbródek i utkwiał poważny wzrok w znajomych ślepkach, modrych jak morze podczas wiosennej burzy.

Rozumiesz, dlaczego tak jest, prawda?

Z powodu Templum — szepnęła i spuściła wzrok.

Odwiedzałbym was codziennie, gdybym tylko mógł — rzekł cicho.

Ale nie mogę. Jedno, co ci obiecuję, to że każdy spędzony wspólnie z wami dzień postaram się uczynić tak miłym jak dzisiejszy.

Przysięgasz? — spytała poważnie.

Przyklęknął na jedno kolano jak wasal przed suwerenem.

Przysięgam — rzekł uroczyście, kładąc dłoń na sercu.

W kąciku jej ust zadrżał cień uśmiechu.

Przyjmuję twą przysięgę, rycerzu — odparła z nie mniejszym namaszczeniem.

Will!

Elwina wołała do nich z dołka, w którym zostawili wierzchnią odzież

koszyk z jedzeniem. Zasłaniając ręką oczy przed słońcem, drugą wskazywała rząd cyprysów.

Will wypatrzył pod nimi jeźdźca w' bieli

wstrzymał oddech, widząc błysk czerwieni, rozszczepiony krzyż za szacie tamtego. Wstał.

Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że poznaje jeźdźca.

Bez obaw! — zawołał. — To Robert.

Widzę. — Elwina przewróciła oczami. Zdążyła już naciągnąć suknię, której mokry rąbek

kołysał się dostojnie niczym dzwon wokół jej kostek. Będąc po czterdziestce, miała pełniejsze kształty, mocniej zaznaczone rysy i włosy ciemniejsze niż dawniej. Za młodu jej smukła

sylwetka tchnęła dziewczym wdziękiem; teraz emanowała siłą.

Jak wy wyglądacie! — zbeształa ich. — Jesteście cali mokrzy!

To przez ojca — odparła natychmiast dziewczynka.

Jak zawsze — westchnęła Elwina.

Robert zeskoczył z siodła i ruszył ku nim, prowadząc konia.

Witajcie! — Skłonił się przed Elwiną i uśmiechnął szeroko do Róży, która spiekła raka i schowała się za matką.

Czy coś się stało? — spytał Will, idąc mu na spotkanie.

Nie, ale wielki mistrz cię szuka. Pomyślałem, że cię znajdę, zanim zrobi to kto inny z jego polecenia. — Zerknął na kobiety.

Dziękuję — rzekł Will z wdzięcznością.

Szymonowi podziękuj, to on mi powiedział, gdzie was zastanę.

Robert rozejrzał się po plaży. — Ależ pięknie! Nie wiem, dlaczego sam tu nie przychodzę.

Pewnie dlatego, że orzesz mną jak wołem roboczym.

Czekaj no! Mogę orać znacznie bardziej! Daj mi chwilę. — Will zawrócił.

Co się dzieje? — Elwina spojrzała na niego spod oka, sznurując sukienkę córki.

Wybacz, muszę wracać.

Rozumiem. To był piękny dzień. — Pokiwała głową i spojrzała na południe, gdzie nad horyzontem zbierały się chmury. — Wygląda na to, że będziemy jeszcze dziś mieli burzę.

Uspokójże się, dziecko! — sarknęła, usiłując nałożyć Róży kapturek na włosy lepkie od słonej wody.

To swędzi! — poskarżyła się dziewczynka.

Pamiętam, że ty też nie lubiłaś nosić czepka — zauważył niewinnie Will. Róża spojrzała na matkę znacząco.

Dziękuję ci bardzo! — Elwina zgromiła go wzrokiem. Westchnęła.

No dobrze, możesz na razie zostać z gołą głową. Ale przed wejściem do miasta włożysz go bez gadania!

Dziewczynka w podskokach pobiegła przodem, powiewając rozpuszczonym warkoczem.

Elwina zebrała wiktuały, a Will otrzepał z piasku tunikę i płaszcz.

Kiedy cię znów zobaczymy? — spytała Elwina, gdy szli do Roberta, zostawiając za plecami połyskujące morze.

Wkrótce.

Milczała przez chwilę, potem się uśmiechnęła.

Katarina była u nas wczoraj ze swoją maleńką córeczką. Róża przez cały dzień się nią opiekowała. Była taka poważna, żebyś ty ją widział! — zaśmiała się.

Coś w jej głosie kazało Wallowi się zatrzymać.

Żałujesz, że nie mamy więcej dzieci? — Kiedy nie odpowiedziała, dotknął jej ramienia. — Tak?

Nie — odparła po chwili. Uniosła chłodną dłoń do jego policzka

dodała stanowczo: — Nie. Mam ciebie i Różę i to mi wystarczy. Bardziej niż wystarczy.

Ruszyli we czwórkę piaszczystym traktem między cyprysami. Robert prowadzi! za sobą konia. Rozstali się dopiero przed Bramą Patriarszą. Ucałowawszy żonę i córkę na do widzenia, Will narzucił zakonne szaty.

Wiesz, dlaczego mistrz mnie szuka? — spytał rzeczowo, gdy skręcili w stronę preceptorium.

Robert pokręcił głową.

Wiem tylko, że rano był u niego wenecki konsul.

Will zmarszczył brwi.

Czy ktoś jeszcze był przy tej rozmowie?

O wizycie konsula wiem od seneszała, który rozmawiał właśnie z wielkim mistrzem, lecz gdy konsul przybył, został grzecznie wyproszony. Był wściekły.

Nie wątpię. — Will uśmiechnął się kwaśno. Seneszał bynajmniej nie złagodniał z wiekiem; przeciwnie, stał się jeszcze bardziej swarliwy. Jednakże, choć Will niechętnie się do tego przyznawał, stary zrzęda był mu nieocenioną pomocą, zwłaszcza w pierwszych latach zwierzchnictwa nad Anima Templi.

Z czasem nawet seneszał nie mógł odmówić Ewerardowi racji, dla których ten wybrał na

swego następcę nie kogo innego, a Willa. Jego osobista znajomość z Kalaunem zaowocowała wieloma korzyściami, gdy emir został sułtanem. Jako komandor Will współpracował ściśle z wielkim mistrzem, który nie zdając sobie sprawy z istnienia tajnego kręgu w łonie zakonu, wiele spraw powierzał właśnie jemu. Pozostali członkowie Bractwa polubili jego

bezpretensjonalny, a zarazem energiczny styl zarządzania. Również dwóch nowych

członków, których zaprosił po śmierci starszych braci, zyskało uznanie. Jednym był Robert z Paryża; drugim, wybranym przed pięcioma laty, towarzysz Willa i Roberta z młodych lat,

Hugo z Pairaud, obecnie wizytator zakonu. Hugo spędził rok w Ziemi Świętej, zanim wócił do Francji.

W ciągu dekady od śmierci Ewerarda zarówno Dusza Świętyni, jak

Ziemia Święta w ogóle nie musiały borykać się z poważnymi problemami, mnożyło się

jednak wiele drobnych kłopotów, które trzeba było załatwiać od ręki, nim urosną do rangi zagrożeń. Że tak się nie stało, łacińskie królestwo zawdzięczało w znacznej mierze

nieustrudzonej działalności pokojowej bractwa. Ale przyczyniły się do tego i inne

okoliczności. Przed trzema laty zmarł Karol Andegaweński, nie odwiedzwszy ani razu swej stolicy w Akce, którą hrabia Roger sumiennie dlań zarządzał, dopóki Karol

nie wezwał go na Sycylię, gdzie wybuchło powstanie przeciw jego rządóm. Król zmarł

pozostawiwszy swym potomkom w spadku krwawy konflikt, a tymczasem Wysoka Rada

Akki w poszukiwaniu następcy zwróciła się do Henryka II, spadkobiercy Hugona

Cypryjskiego. Czternastoletni król przed dwoma laty przyjechał do Palestyny, gdzie został

przyjęty z wielką radością. Radość była jeszcze większa, gdy po koronacji odpłynął z

powrotem na Cypr, zostawiając na miejscu niegłupiego bajlifa i wolną rękę regentom

miejscowych wspólnot.

Wypiękniały twoje niewiasty — zauważył Robert.

Will tylko na niego spojrział.

Nie do wiary, jak Róża szybko rośnie — dodał rycerz, kręcąc głową.

Mhm. Za szybko — mruknął posępnie Will.

Co znowu? — zaśmiał się Robert, widząc, że druh łypie na niego spode łba.

Już ty wiesz, co.

Przed nimi z bocznej ulicy wyłonił się niewielki pieszy orszak. Na czele odzianych w prostą odzież sług kroczył mężczyzna w bogato wyszywanej czarnej szacie. Głowę miał okrytą

kapturem, ale gdy się obejrzał, Will dostrzegł błysk metalu i uświadomił sobie, że mężczyzna ma na twarzy maskę. Była dopasowana do czaszki i miała otwory na oczy i usta.

Nic na to nie poradzę, że wpadłem w oko twojej córce — mówił tymczasem Robert. — Co mam ci powiedzieć?

Najlepiej nic — burknął Will, rozproszony widokiem człowieka w masce. Nie stanowiły one rzadkości, często okrywały zniekształcenia będące skutkiem chorób takich jak choćby trąd.

Dotychczas jednak widywał tylko skórzane lub płócienne. Ta była ze srebra, nieomal piękna, choć niesamowita przez swój brak wyrazu.

Czy mam poinformować seneszala, że spotkasz się z wielkim mistrzem?

Zamaskowany mężczyzna i jego świta przecięli ulicę i ruszyli dalej. Will wreszcie spojrzał na Roberta.

Nie, sam mu powiem. I tak mam z nim parę spraw do omówienia.

On cię bardzo szanuje, wiesz o tym?

Jeśli tak, to zręcznie to ukrywa — sarknął Will, lecz uśmiechnął się pod nosem.

Znalazłszy się w siedzibie zakonu, poszedł prosto do palatium, ale tam mu powiedziano, że mistrz jest w sadzie, gdzie dogląda zbioru. Will zastał go w nieruchomym, nagrzanym cieniu między rzędami palm daktylowych

drzewek brzoskwiń, wokół których krążyły ociężałe duże czarne pszczoły.

Żwawiej od nich krzatali się serwienci, zbierając owoce do wyplatanych koszy.

Spostrzegłszy Willa, wielki mistrz skinął mu krótko głową.

A, jesteś, komandorze. — Rzucił mu brzoskwinie. — Ładniejsze niż w zeszłym roku, nie sądzisz?

Minione lata były łaskawe dla Wilhelma z Beaujeu; choć włosy posrebrzyła mu siwizna, nadal był zdrowy i sprawny. Przy ogorzałej cerze jego oczy lśniły jak turkusy.

To był dobry rok. — Will zważył w dłoni rumiany owoc, ciepły miękki jak ludzka skóra.

Wilhelm wyszedł spod gałęzi, schylając się i roztrącając trawę skrajem długiej tuniki.

Przejdź się ze mną — powiedział.

Ruszyli razem powolnym krokiem w stronę warzywnika.

Powiedz mi, co wiesz o sytuacji w Trypolisie — odezwał się mistrz, gdy mijali grządki wonnych ziół.

Will zerknął na niego, zastanawiając się, czemu ma służyć ten egzamin. Namyslał się przez chwilę.

Wiem, że był tam problem z sukcesją po śmierci Boemunda w zeszłym roku.

Kiedy mistrz milczał, podjął:

Następczynią Boemunda miała być jego siostra Łucja. Kilka miesięcy temu przybyła z Apulii, żeby objąć władzę, ale rada miasta jej nie uznała. Po śmierci Boemunda możni i rodziny

kupieckie hrabstwa Trypolisu opowiedzieli się przeciw dynastii na rzecz komuny z obieralnym bajlifem, który rządziłby niezależnie od władzy lennej.

Wilhelm kiwnął głową.

Sytuację zapewne dałoby się rozwiązać odrobiną dyplomatycznej interwencji — rzekł — lecz

niestety, komuna trypolitańska w swej nieskończonej mądrości zwróciła się po protekcję do doży Genui, na wypadek gdyby Łucja chciała walczyć o swoje. Doża wysłał im na pomoc

pięć galer wojennych, ale czego ci głupcy nie przewidzieli, nie uczynił tego bezinteresownie.

W zamian za poparcie jego wysłannik zażądał dla republiki genueńskiej większej części

miasta niż ta, którą dotąd posiadała. Więcej ulic, domów, większą część placów targowych i nabrzeży w porcie. — Głos Wilhelma był cierpki.

Will słyszał już o tym, ale milczał, nie chcąc przerywać.

Wraz z wielkimi mistrzami joannitów i Krzyżaków próbowaliśmy nakłonić rajców, by uznali Łucję za swoją władczynię. Wenecjanie, szczególnie pokrzywdzeni żądaniami Genui, sami

poprosili mnie o pomoc, ale komuna nie chce słuchać dobrych rad. — Wilhelm spojrzał na

Campbella.

Sytuacja jest poważna i trzeba tu działać z najwyższą ostrożnością. Wszyscy wiemy aż za dobrze, jak zapalne są wzajemne animozje.

Will pokiwał głową. Trypolis, leżący o sto mil na północ od Akki, był drugim co do wielkości

miastem będącym wciąż w posiadaniu Franków, co decydowało o jego znaczeniu.

Był u mnie dziś wenecki konsul — ciągnął Wilhelm. — Społeczność wenecka, zarówno tutejsza, jak trypolitańska, wysunęła szereg propozycji rozwiązania konfliktu. Konsul zaprosił mnie na spotkanie, które ma się odbyć w przyszłym tygodniu i na którym zapewne zapadną decyzje co do dalszych działań. — Zatrzymał się przy krzewie pachnącej kolendry, zerwał kilka zeschniętych liści i roztarł je w palcach, a potem uniósł do nosa. — Chcę, żebyś tam ze mną poszedł.

Dzielnica wenecka w Akce Dwudziesty piąty dzień października

Sala zebrań w wielkim pałacu konsula stopniowo wypełniała się ludźmi. Mężczyźni, których strojna odzież świadczyła o zamożności, zajmowali miejsca na ławach ustawionych rzędami przed podwyższeniem. Było tu wielu najpotężniejszych ludzi w Ziemi Świętej,

przedstawiciele rodów kupieckich, które zawładnęły całymi wielkimi gałęziami wytwórczości i handlu — srebrem, drewnem, wełną, przyprawami, a także żywym towarem.

Will wszedł za wielkim mistrzem do przepięknie zdobionej komnaty

o

łagodnie sklepionym suficie i posadzce pokrytej mozaiką. Na podwyższeniu stało siedem paradnych krzeseł, w tej chwili pustych. Mistrz bez wahania skierował się ku nim.

Will usiadł obok niego, speszony spojrzeniami coraz liczniejszego grona. Kilka chwil później na podwyższenie wszedł konsul w otoczeniu czterech mężczyzn. Najwyraźniej nękało go zaziębienie, bo był blady, tylko nos miał krwistoczerwony, zaraz też wytarł go w jedwabną chustę. Do sali wpuszczono jeszcze paru spóźnialskich, którzy pośpiesznie zajęli miejsca.

Potem drzwi zatrzasnęły się z hukiem, a czterej towarzysze — i doradcy konsula, jak można było przypuszczać

zasiedli na podwyższeniu.

Witajcie — rzekł nosowo konsul. Jeden z doradców nachylił się do templariuszy, tłumacząc szeptem jego słowa. — Większość z was brała już udział w co najmniej jednej naradzie

poświęconej sprawie Trypolisu. Dziś winniśmy zadecydować, jakie kroki podejmiemy.

Zaprosiłem tu wielkiego mistrza zakonu templariuszy, naszego najwierniejszego sojusznika, aby wziął udział w debacie, mając nadzieję, że świeże spojrzenie z zewnątrz pomoże nam

znaleźć wyjście, którego szukamy.

Konsul skłonił głowę przed Wilhelmem, który odklonił się i uśmiechnął uprzejmie do zebranych.

Musimy pogodzić dzielące nas różnice poglądów na tę sprawę

ciągnął konsul — gwoli szybkiego jej rozwiązania.

Spojrzenie Willa prześliznęło się po tłumie i spoczęło na znajomej twarzy: w drugim rzędzie siedział Andreas, pracodawca Elwiny i chrzestny ojciec Róży. Kupiec napotkał jego wzrok i powitał go skinieniem.

Następnie konsul przedstawił swych doradców i otwarto właściwą dyskusję. Tłumacz szeptem przekazywał wszystko templariuszom. Pierwszy wstał korpulentny mężczyzna o piskliwym głosie.

Dostojny konsulu, czy są nowe wieści z Trypolisu? Ostatnie, co słyszeliśmy, to deklarację, że komuna uzna Łucję za panią lenną, jeśli Łucja z kolei uzna władzę wykonawczą rady w granicach hrabstwa.

Są nowe wieści — odparł konsul.—Jak się zdaje, komuna już żałuje włączenia do sporu Genui, co skądinąd nie dziwi, zważywszy na oburzające żądania republiki. — Oburzony szmer potwierdził jego słowa. Konsul podniósł nieco głos i dodał: — Księżniczka Łucja przyjęła warunki i została uznana za prawowitą władczynię hrabstwa Trypolisu.

Rozległ się chór okrzyków przyjemnego zaskoczenia.

Niestety — konsul uniósł rękę, żeby je uciszyć — na tym sprawa się nie kończy. Łucja, co zrozumiałe w jej niepewnym położeniu, rozmówiwszy się z rajcami, wezwała do siebie również pełnomocnika genueńskiego doży.

Urwał i kichnął gwałtownie raz po raz, po czym wytarł nos.—Ten spotkał się z nią w zeszłym tygodniu w Akce i wówczas to księżniczka oznajmiła, że godzi się zarówno na zarząd komuny, jak i na przywileje, których żądali Genueńczycy. Pełnomocnik był wniebowzięty.

Tak więc wkrótce Łucjabędzie hrabiną Trypolisu... a Genueńczycy dostaną to, czego chcieli.

Ostatnie słowa utonęły we wrzawie podniesionych głosów. Mężczyźni zrywali się z miejsc.

To oburzające!

Poza Akką i Tyrem Trypolis jest jedynym portem, do którego jeszcze mamy wolny dostęp!

Nie można pozwolić, żeby zawładnęła nim Genua!

Jeśli Genuańczycy przejmą władzę w Trypolisie, Wenecja będzie skończona w Ziemi

Świętej! Już odebrali nam handel z Mongolią przez Bizancjum!

To nie ulega kwestii — wtrącił konsul. Musiał prawie krzyknąć, żeby go usłyszano. — To oczywiste, że nie można pozwolić Genui na zawładnięcie Trypolisem i odebranie nam

możliwości prowadzenia handlu w tym mieście. Chcieliśmy Łucji, ale nie za taką cenę.

Pytanie brzmi: co dalej? Hrabina, komuna miejska i doża Genui doszli do porozumienia.

Tworzą teraz wspólny front. Nie przemożemy go.

Wyślijcie statki — poddał jeden z kupców. — Niech zablokują port do czasu, aż

Genuańczycy wycofają żądania.

Stracimy na tym tak samo jak oni — zaprotestował inny.

Może Wysoka Rada da się skłonić do interwencji? — spytał Andre as, wstając.

Nie — odparł gorzko konsul. — Nie da się skłonić.

Jest jeszcze jedna możliwość.

Will rozejrzał się za źródłem głosu, który wydał mu się mgliście znajomy. Jego wzrok padł na mężczyznę w wyszywanej czarnej szacie, stojącego w tylnych rzędach. Mężczyzna ów nie

miał twarzy, zastępowała ją srebrna maska. Był to ten sam człowiek, którego widział w

mieście tydzień temu. Na rękach miał rękawice, co potwierdzało domysł, że maska zakrywa chorobę, a nie blizny.

Mów, Benito — skinął na niego konsul.

Mężczyzna w masce przebiegł wzrokiem po zebranych.

Myślę, że jest ktoś, kto może nam pomóc. Sułtan Kalaun.

Podniosły się protesty, ale spora część zebranych kiwała głowami.

Zdarzało się już, że proszono muzułmanów o interwencję w naszych sprawach, a tym razem

będzie ona również w ich interesie. Jeśli Genua zdominuje Trypolis, zdominuje również

handel na wschodnich rynkach, a to odbije się tak samo na nich, jak na nas. Kalaun nie jest osobiście zwaśniony ani z Genuą, ani z komuną, toteż może bardziej się nada na mediatora.

Optowałeś za tym już wcześniej, Benito — rzekł jeden z kupców — ale wciąż nie jest dla

mnie jasne, dlaczego komuna trypolitańska miałaby wysłuchać egipskiego sultana, skoro nie chce słuchać nas?

Odpowiedź jest prosta. Kalaun może zablokować genueńskim statkom drogę do i z Egiptu.

Genua straci wówczas więcej, niż zyska.

Jeden z doradców pochylił się do ucha konsula i szepnął mu coś. Konsul skinął głową. W

całej sali ludzie znów przekrzykiwali się nawzajem. Widać było, że propozycja Benita ma zwolenników i przeciwników. Padały różne propozycje, z których żadna nie wzbudziła

entuzjazmu konsula ani zebranych. Wielki mistrz przemówił krótko i na koniec dyskusja

wróciła znów do Kalauna.

Kogo moglibyśmy wysłać do niego w poselstwie? — spytał jeden z kupców.

Benito znów się podniósł.

Jak wasza dostojność wie, od dawna prowadzę interesy z ma- melukami. Znam dobrze Kair i będę szczęśliwy, mogąc się przysłużyć jako poseł.

Doradca znów zaszeptał coś do konsula.

Przez kilka chwil konsul milczał. W zadumie wytarł dokładnie nos, potem rzekł:

Dobrze więc; wnoszę, aby wysłać delegację do sultana Kalauna z prośbą o jego interwencję.

Miejmy nadzieję, że już sama wieść o jego zaangażowaniu przywróci Genueńczykom

rozsądek i nie trzeba będzie podejmować żadnych dalszych działań. Przyjmuję twoją ofertę, Benito. Pojedziesz do sultana i zawieziesz mu list ode mnie, w którym wyjaśnię sytuację i poproszę go o pomoc. — Rozejrzał się po zebranych. — Czy ktoś jest temu przeciwny?

Głosy protestu utonęły w znacznie liczniejszych głosach poparcia.

A zatem klamka zapadła — rzekł konsul.

Mam i ja propozycję — wpadł mu w słowo Wilhelm z Beaujeu.

Drobną poprawkę.

Przez chwilę panowała cisza, gdy tłumacz przekładał jego słowa.

Mów, panie — skłonił się konsul.

Proponuję, żeby w skład poselstwa wszedł obecny tu komandor Wilhelm Campbell — rzekł spokojnie wielki mistrz.

Will nagle zrozumiał, po co go zaproszono. Na podstawie wcześniejszej rozmowy z konsulem mistrz musiał przewidzieć wynik tego spotkania. Nie miał zaś zamiaru pozostawić

Wenecjanom wolnej ręki w tak delikatnej materii.

Muszę zaprotestować — odezwał się Benito, zanim konsul zabrał głos. — Propozycja wielkiego mistrza Templum, choć szlachetna, jest niepotrzebna. Znam mameluków.

Obecność templariusza mogłaby naruszyć moje z nimi stosunki.

Komandor prowadził już z mego poruczenia rozmowy z samym sułtanem Kałunem — rzekł gładko Wilhelm i dodał, patrząc wymownie na konsula: — W tej zaś sprawie reprezentuje obiektywny punkt widzenia.

Ale...

Rycerz pojedzie, Benito — uciął konsul. Zmiał jedwabną chustkę w dłoni i wstał. —

Doprawdy powinieneś się raczej cieszyć, że będzie ci towarzyszył. Drogi nie są całkiem bezpieczne.

Na tym narada się zakończyła. Will nie miał możliwości przyjrzeć się minie Benita, ale coś mu mówiło, że kupiec nie jest uszczęśliwiony jego towarzystwem. On sam miał podobne odczucia. Wcale nie marzył o podróży do Kairu.

Pustynia Synajska Szósty dzień listopada

Will z grymasem bólu poprawił się w siodle i ujął wodze w jedną rękę, żeby rozprostować drugą, ścierpiętą. Słońce zachodziło, wydłużony cień ciągnął się przed nim, kołysząc się w rytm chodu konia. Obejrzał się na resztę kompanii, która została nieco w tyle: pięciu

pachołków na mocnych jucznych koniach obładowanych żywnością i wodą, dwóch zbrojnych

przydanych im przez konsula, a w środku — Benito. Tak było właściwie przez całą podróż.

Benito i jego świta trzymali się na uboczu; jedli, spali, nawet jechali osobno i Will niewiele słów zdążył z nimi zamienić, odkąd dziesięć dni temu opuścili Akkę. Nie czuł się tym

pokrzywdzony. Sam też nie miał ochoty na grzecznościowe pogawędki.

Rozumiał, dlaczego wielki mistrz chciał, żeby w poselstwie znalazł się templariusz, i

rozumiał, dlaczego wybrał właśnie jego. Ale w ciągu ostatnich paru lat stał się człowiekiem osiadłym. Odwykł od podróży i nie lubił zostawiać córki i Elwiny. Robił się wówczas

niespokojny i drażliwy, jakby nić łącząca ich troje zbytnio się naciągała. Niezadowolony z powierzonego mu zadania, mimo wszystko się cieszył, że będzie miał okazję porozmawiać z Kalaunem. Krążyły pogłoski o niesnaskach na sułtańskim dworze, ponoć pobłażliwość

władcy wobec Franków budziła sprzeciw. Will chciał poznać jego skalę i znaczenie.

Odwrócił się do przodu, lecz zanim to zrobił, jego wzrok na krótko sprzął się ze wzrokiem Benita. Zwykle trudno było ocenić, na co patrzy spod maski, ale Will czuł na sobie jego spojrzenie przez całą drogę, jak świerzbienie w karku. Podejrzenia, że kupiec jest chory, potwierdziły się pewnego dnia, gdy zdjął rękawice do posiłku. Will kątem oka dojrzał

niekształtne guzowate szpony pokryte ściągniętą, zbliznowaciałą skórą.

Milę dalej Wenecjanin zarządził biwak pod rzędem niskich, zębatych skałek sterczących

niewielko w bok od szlaku. Pachołkowie prędko zsiadli z koni. Zanim Will zdążył pójść w ich ślady, powstrzymał go świszczący szept:

Potrzebujemy więcej wody, komandorze. — Benito kiwnął głową ku wschodowi. — Dwie mile stąd jest studnia używana przez Beduinów.

Beduini niezbyt mile traktują ludzi wkraczających na ich ziemię.

Ugłaska ich zapłata. Korzystałem już w przeszłości z tej studni i nigdy nie robił kłopotów.

Will milczał przez chwilę.

Zatem wystarczy ci pachołek.

To, że dotąd nie było kłopotów, nie oznacza, że mam ich lekceważyć. — Benito przekrzywił głowę. — Czyż nie jest twym zadaniem strzec chrześcijańskich podróżnych? Jeśli się nie mylę, po to właśnie utworzono wasz zakon.

Will dosłyszał ironię i miał ochotę odmówić, ale uznał, że byłoby to małostkowe. Wyruszyli więc we dwóch przez pustynię, zleciwszy sługom rozbicie obozu. Nie poganiane zbyt na ostatnim etapie konie miały jeszcze sporo sił. Jadąc, Will rozglądał się bacznie, nie zdejmując dłoni z głowicy miecza. Słońce prawie już zaszło, cienie wydłużały się w nieskończoność.

Benito jechał pewnie, najwyraźniej wiedział dobrze, dokąd zmierza.

Gdyby było ciemniej, Will z pewnością nie dojrzałby studni, której niska cembrowina miała prawie ten sam brunatnoróżowy odcień co piasek pustyni. Zbliżyli się ostrożnie, ale rozległe piaski były puste — rozglądając się, widzieli tylko sterczące w oddali skały.

Wygląda na to, że dziś nikt jej nie strzeże — rzekł Will do Benita. Włoch nie odpowiedział.

Zsiadł z konia i podszedł. Szcherbata obmurówka otaczała głęboki ciemny otwór. Po drugiej stronie leżał drewniany kubeł, do połowy zagrzebany w piasku. Drewno było szare ze starości i kruche, postrzępiona lina wiła się wokół niego niczym zdechły wąż. Will podniósł ją i szarpnął. Parę włókien konopnych zostało mu w dłoniach, ale rdzeń był zdrowy i trzymał

mocno. Jeden koniec przywiązany był do żelaznego pierścienia wmurowanego w cembrowinę.

Jest woda? — Benito zdjął z konia bukłaki.

Will nachylił się nad studnią.

Nie jestem pewien — rzekł. Jego głos umknął w głąb cichnym echem. — Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać.

Przywiązał wolny koniec liny do wiadra i zaczął je opuszczać, piędź po piędzi, czekając, aż zetknie się z lustrem wody. Coś, chyba ruch, kazało mu podnieść wzrok. W pełznącym po ziemi cieniu było coś dziwnego.

Obrócił się gwałtownie, na czas, by zobaczyć wzniesiony sztylet. Puści! linę i zdąży! się jeszcze uchylić; ostrze przecięło powietrze o włos od jego ramienia. Wenecjanin wydał

gniewny okrzyk. Will złapał go za rękę, wpił w nią palce, wykręcając dłoń najsilniej jak potrafił, i Benito krzyknął znowu, tym razem z bólu. Bezwładne palce wypuściły sztylet, który wpadł do studni w ślad za wiadrem. Will sięgnął po miecz, ale wtedy tamten mocno

pchnął go w pierś. Cembrowina podcięła mu uda i nagle poczuł, że traci równowagę. Na

oslep wyciągnął ręce, palce zacisnęły się na szacie Italczyka, ciągnąc go ku sobie; druga ręka, szukając lepszego uchwytu, namacała górny brzeg maski odstający od czoła. Przez mgnienie oka zawisł w powietrzu, potem pasek przytrzymujący maskę pękł, a Benito stękając z wysiłku, oderwał

jego dłoń od sukni i całym ciężarem ciała przeważył go przez brzeg cembrowiny.

Will poczuł w dłoni ciepły metal, a za plecami pustkę, nieuniknąną, straszną. Na moment ujrzał przed sobą zniekształconą twarz. Chwilę później twarz znikła wraz z całą resztą świata, a on poleciał w ciemność.

Wenecjanin podbiegł do konia, drugiego klepnął mocno w' zad, zmuszając do galopu. Wsiadł i cwałem zawrócił do obozu. Wieczorny wiatr zdał mu się zaskakująco chłodny na odsłoniętej nagle skórze.

Pakujcie juki! —wrzasnął do zdumionych pachołków, wpadając do obozowiska. — Prędko!

Co się stało? — zapytał, podbiegając, jeden ze zbrojnych.

Rozbójnicy. Zabili templariusza. Musimy uciekać!

Sługom nie trzeba było tego powtarzać. W parę chwil wszyscy siedzieli w siodłach i cwałowali na wschód, oglądając się trwożnie za niewidzialnym przeciwnikiem.

Było ciemno i zimno. Niemiłosiernie zimno. Skądś podciekała w'oda. Cały był zlodowaciały, kończyny miał sztywne i stężałe jak bryły lodu, jak kamienie. Rwało go w kościach, jednakże nawet najłżejszy ruch powodował znacznie silniejszy, przeszywający ból, który terroryzował go, przerażał swoją siłą. Daleko w górze widział krążek nieba nakrapiany gwiazdami. Na przemian to tracił przytomność, to znów ją odzyskiwał.

Czasami zdawało mu się, że jest w Akce, kiedy indziej — że spada do studni. Ale zawsze, na jawie i w malignie, towarzyszyła mu tamta twarz. Jedna jej połowa była poskręcana,

zmarszczona jak zgniły owoc. Druga — cała, zdrowa i szokująco znajoma. Wciąż urodziwa, wciąż zimna i pyszna, ta zdrowa połowa należała do Angela Yitturiego.

Port w Akce

Trzynasty dzień listopada roku Pańskiego 1288

Garen z trudem otworzył oczy. Momentalnie ukłuło je słońce, skrzywił się więc i osłonił twarz ramieniem. Od samego ruchu w głowie mu załomotało. Do jego uszu doleciał chłupot i poskrzypywanie. Jaskrawe światło przesłonił czyjś cień. Zamrugął, zerknął na masywną sylwetkę.

Słyszysz? — burknął mężczyzna. — Mówię, że jesteśmy na miejscu.

Bertrand? — wymamrotał Garen.

Cień nie odpowiedział, poszedł dalej i słońce znów go oślepiło. Usiadł, ocierając wierzchem dłoni smugę śliny z brody. Niezupełnie przytomny, z bolącym łbem, rozejrzał się dookoła, z trudem ogarniając mętną jeszcze rzeczywistość. Człowiek, którego nazwał Bertrandem,

wchodził właśnie do kasztelu na rufie. Oczywiście to wcale nie był Bertrand. Znów mu się śniło, że jest w Palestynie, szuka na pustyni czegoś, o czym zapomniał, chyba czegoś

ważnego. Z góry doleciał przeciągły żałosny krzyk, który zbliżając się, narastał, a potem znów przycichł. Dźwięk wydawał się znajomy, ale dawno go nie słyszał. To był krzyk...

Mewy. Garen zmarszczył czoło i wstał, chwytając się nadburcia. A oto i ona. Akka. Sto

dwadzieścia tysięcy mieszkańców stłoczonych we własnych ekskrementach, grzechach i

tajemnicach. Rycerze, ładacznice, rzezimieszki, księża, szaleńcy i królowie. Boże, jakże on nienawidził tego miasta!

Chwiejnym krokiem poczłapał po upchnięty pod burtą toból, podniósł go i walcząc z

zawrotem głowy, wszedł na deskę przerzuconą na mur portowy. Paru członków załogi

pomachało mu na pożegnanie, nawet tego nie zauważył. Słońce grzało, ale nim trzęsły zimne dreszcze. Potykając się, ruszył nabrzeżem ku żelaznej bramie prowadzącej do miasta. Smród bijący ze sterty rozkładających się rybich flaków omal go nie zabił. Oparł się

o

mur targany suchymi torsjami, pociekły mu łzy. Od tygodni mało co jadł,

brzuch miał obolały od kwaśnego piwa wypitego w czasie rejsu. Rzucił sakwę na ziemię,

przykucnął i wygrzebał z niej zaoszczędzony bukłak wina. Na sam jego widok odczuł ulgę.

W ślad za bukłakiem wysunął się z sakwy złożony pergamin. Garen spojrzał na niego wrogo.

To był drugi list, który miał doręczyć.

Papież Mikołaj był uszczęśliwiony obietnicą Edwarda, że gdy sprawy mu pozwolą, weźmie

Krzyż. Zamierzał rozpocząć kampanię na rzecz wyprawy; deklaracje królów Anglii i Francji pomogą mu przekonać sceptyków, by poparli nową odsłonę świętej wojny. Tak, roześle

legatów, by w' całym chrześcijaństwie nawoływali wiernych do odbicia Jeruzalem. Z

pałającym wzrokiem mówił Garenowi, że będzie jak w Clermont przed dwustu laty, kiedy to papież

Urban wezwał do pierwszej krucjaty i mając w uszach jego słowa, ozdobieni krzyżami z płótna pielgrzymi wyruszyli na Wschód.

Garen skrzywił się i wepchnął list z powrotem. Ten może poczekać. Na trzeźwo nie zniesie widoku Willa. Podniósł bukłak do ust, przechylił. Na język spadło parę kropel. Zaklął. Cisnął

bukłak, wstał, zarzucił wór na ramię i rozejrzał się dookoła. W porcie nie brakowało miejsc, gdzie można było zwilżyć gardło. Powłókł się do oberży, mijając parę kościstych ladacznic snujących się po nabrzeżu, z których żadna nie uznała go za wartego zaczepki.

Fustat Misr Trzynasty dzień listopada

Dwaj mężczyźni szli przez labirynt krętych zaułków pograżonych w cieniu wznoszących się ciasno budynków o spłowiałych fasadach upstrzonych zamkniętymi okiennicami. W

nagrzanym powietrzu wisiał zapach mięsa i przypraw, gdzieś zapłakało dziecko, gdzie indziej rozległy się kobiece wyrzekania.

Dokąd idziemy? — spytał jeden z mężczyzn głosem stłumionym przez kefiję.

Już niedaleko — odparł drugi, skręcając w jeszcze ciaśniejszy i ciemniejszy zaułek, a po paru kolejnych zakrętach w niskie drzwi przysłonięte wyświechtaną kotarą, która miękko opadła za nimi, gdy weszli.

Wewnątrz paliło się kilka lamp, roztaczając woń oliwy. Przy stołach siedzieli mężczyźni i grali w szachy, obstawieni glinianymi i drewnianymi naczyniami. Jeden, rozparty pod tylną ścianą, kiwnął im głową, wstał i zniknął za następną zasłoną.

Usiedli w kącie z dala od innych. Karczmarz pojawił się za chwilę z dzbanem i dwiema drewnianymi czarkami, które postawił na stole.

Kiedy odszedł, Nazir zajął do dzbana i mruknął:

To wino.

Nie każę ci go pić — odparł płynną arabszczyzną Angelo Vitturi. Nalał wina do czarek i podsunął jedną Nazirowi.

Sułtan Bajbars pozamykał wszystkie winiarnie.

Sułtan Bajbars od dawna nie żyje. — Angelo wziął czarkę w obie ręce i podniósł do ust. —

Czasy się zmieniły. — Siorbnął wina, ulewając trochę na podbródek.

Nazir patrzył, niezdolny oderwać wzroku, na okaleczone usta próbujące objąć brzeg czarki.

Połowę twarzy Wenecjanin zasłonił chustą związaną z tyłu głowy, ale kiedy mówił lub się poruszał, tkanina odchyłała się, ukazując pobliżnioną skórę.

Co ci się stało? — szepnął, nie mogąc się powstrzymać.

Angelo odstawił wino i spojrzał na niego.

Templariusze próbowali mnie zabić — powiedział sucho. — Tego dnia, gdy byłeś w Akce.

Niezupełnie im się to udało.

Nazir przypomniał sobie ten dzień sprzed jedenastu lat. Kalaun wysłał go z ostrzeżeniem do Campbella. Nie wykonał rozkazu, poszedł prosto do Angela, żeby mu powiedzieć, że

Campbell zaprzepaścił misternie uknuty plan. Zażądał obiecanej nagrody. To chrześcijanie zawiedli, on dotrzymał swojej części umowy, winien więc otrzymać zapłatę. Ale Wenecjanin odmówił. Nie udało się, powiedział, nie ma nagrody, jego interesy nadal są zagrożone.

Odmowa była dla Nazira szokiem. Coś w nim wtedy umarło. Nadzieja, która podtrzymywała go na duchu, ostatecznie zgasła.

Poszedłem zabić wielkiego mistrza templariuszy — wyjaśnił Angelo, nie dostrzegając

goryczy, jaka odbiła się na twarzy Nazira. — Nie udało mi się. Wieczorem rycerze zdybali nas w ruinach za murami. — Ponownie ujął czarkę obleczonymi w rękawice dłońmi. —

Śmierć ojca ocaliła mi życie. W pożarze runęła ściana budynku. Zabiła jego i pozostałych, ale otworzyła mi drogę ucieczki.

Zostałeś w Akce?

Tylko do zagojenia ran. — Angelo napił się wina. — Wielki mistrz zagarnął nasz dom i majątek. Straciliśmy imperium budowane przez cztery pokolenia. — Potrząsnął głową. —

Rodzina zdążyła uciec do Wenecji.

Wróciłem tam i zacząłem powoli odrabiać straty. Dwa lata temu przyjechałem znów na

Wschód, bo tu jest interes. W samej Europie handlarz niewolników nie zarobi na chleb. Nie mogę sprzedawać chrześcijan chrześcijanom. Potrzebuję Arabów, Turków, Mongołów. Sam

wiesz, jak jest — zakończył opowieść. — Zrobiłeś to, o co prosiłem w liście?

Nazir poczuł, że wzbiera w nim gniew.

Po co do mnie przyszedłeś po tylu latach? — spytał głośno. Kilku gości tawerny rozejrzało się,

potem znów wróciło do gry w szachy. — Nie masz prawa! — syknął Nazir ciszej. —

Powinienem być iść z twoim listem do sułtana!

Angelo spojrział na niego zaskoczony, a potem parsknął śmiechem.

Ale nie poszedłeś, prawda? Musiałbyś zdradzić i siebie! Twój los z rąk Kalauna byłby gorszy od mego.

Obiecałeś mi wolność. Straciłem przez ciebie brata.

Wolność — powtórzył ostro Angelo. — Tę mogłeś dawno wziąć sobie sam, bez mojej pomocy.

Potrzebałem pieniędzy.

Trzeba było je ukraść ze szkatuły twego pana. Powiedz szczerze, Nazir, dlaczego zostałeś? —

Angelo nachylił się nad stołem — Nie odpowiadasz? No to ja ci powiem: zostałeś, bo się boisz wolności.

Nazir umilkł. Dla Kalauna i wszystkich wokół był lojalnym mamelukiem i wiernym sunnitą.

W sercu jednak nienawidził każdego dnia, każdej chwili przeżytej w kłamstwie. Gardził tymi ludźmi. Ale byli oni jedyną namiastką rodziny, jaka mu pozostała.

Taka była prawda, smutna i niewygodna prawda, którą sobie uświadomił po śmierci Kajsana.

Zemścił się na Iszandijarze, ale jego śmierć nie przyniosła mu ukojenia. Chciał zabić także Kalauna. Nie zrobił tego. Nie ze strachu, że wówczas nie zdoła uciec, to był pretekst. Bał się, że wtedy będzie musiał uciec. Zwierzęta zrodzone w klatce często giną w dziczy, niezdolne do życia na wolności. Po tylu latach więzienie Nazira stało się jego domem. Angelo miał

rację: po prostu bał się je opuścić.

Po co więc miałbym ci pomagać? — mruknął, odsuwając nietkniętą czarę wina. — Nie masz mi nic do zaoferowania.

Życie — odparł krótko Angelo.

Co masz na myśli?

Nazirze, jesteś moim wspólnikiem w interesach. Przez lata kupowałeś od nas niewolników do Mansuriji. Nie chcę ci grozić. Ale jeśli mnie zmusisz...

Czymże możesz mi zagrozić? — Dłoń Nazira spoczęła na rękojeści miecza.

Ja sam nie musiałbym nawet kiwnąć palcem. — Ciemne oko Angela nie zasłonięte płótnem spokojnie śledziło jego ruchy. — Kalaun zrobi to za mnie, kiedy dowie się o zdradzie. — Wenecjanin zniżył głos do szeptu.

Spiskowałeś przeciw swoim; organizując kradzież Czarnego Kamienia stałeś się zaprzańcem własnej wiary. Sam skłoniłeś Kajsana, żeby zaprowadził rycerzy do Mekki.

Groziłeś, że go zabijesz!

To ja go odnalazłem, Nazirze. Błagałeś na klęczkach, abym szukał twego brata, nie wiedząc nawet, czy żyje. Zajęło mi to rok czasu. Jesteś moim dłużnikiem.

Nazir gwałtownie potrząsnął głową.

W zamian za to zgodziłem się kupować niewolników tylko u twojej rodziny. Taka była umowa.

Czasem warunki umowy się zmieniają — rzekł od niechcienia Angelo.

Nie dla mnie — odparł zimno Nazir i wstał, wyszarpując miecz z pochwy. Za nim rozległ się zgrzyt odsuwanych zydeł, paru gości winiarni również wstało. Właściciel wy dobył skądś

wielką, nabijaną paskudnymi gwoździami pałę.

Siadaj, Nazir — rzekł Angelo, nie spuszczać oczu z Syryjczyka. — Jeśli podniesiesz na mnie miecz, nie wyjdiesz stąd żywy. Nadal mam przyjaciół w tym mieście.

Nazir usiadł, oddychając szybko z powściąganej furii, ale miecz położył na stole. Oberżysta schował pałkę.

Angelo oparł się wygodnie o ścianę.

Gdyby wszystko poszło zgodnie z planem, mój ojciec wciąż by żył i byłby królem handlarzy niewolników na całym Wschodzie. Ty, sownie wyposażony, odjechałbyś w siną dal i zaczął

nowe życie u boku brata, jak chciałeś. Los obu nas srodze doświadczył. Nie musimy jednak biernie znosić jego kaprysów. Daję ci oto drugą szansę, Nazirze. Nie jest jeszcze za późno.

Jeśli zrobiłeś to, o co prosiłem w liście, też powinieneś w to wierzyć. Zrobiłeś to?

Nazir milczał. Przypomniawszy sobie wątłe drgnienie nadziei, kiedy otrzymał list — nadziei, o której myślał, że dawno umarła. Spełnił prośbę Wenecjanina pomimo wszelkich obaw i złych przeczuć.

Zrobił to, bo choć stracił już brata i stracił wiarę, wciąż mu się wydawało, że ten człowiek, wróg jego wrogów, podaruje mu wolność.

Tak — mruknął. — Napisałem raporty i dopilnowałem, żeby sułtan je otrzymał.

Zdrowa połowa ust Angela wygięła się w uśmiechu. Pochylił się do przodu i oparł na stole.

A więc teraz Kalaun wierzy, że Frankowie z Trypolisu za podusz- czeniem Genui knują przeciwko niemu. Świetnie. Jutro udam się do cytadeli i poproszę o posłuchanie. Pomożesz mi go przekonać.

Do czego? W liście nie pisałeś jasno.

Do tego... — Angelo sięgnął po jego wino i wychylił je jednym haustem — ...żeby po

Trypolisie nie zostało nawet tyle, ile zmieści się w tej czarce. Wówczas może obaj dostaniemy to, czego chcemy.

Dzielnica wenecka w Akce Trzynasty dzień listopada

Garen ocknął się nagle, Światło dnia było szare, jakby zbliżał się wieczór. Usiadł z trudem i napotkał badawcze spojrzenie stojącej nad nim dziewczynki. Twarzyczkę miała drobną, poważną, policzki zarumienione jak po biegu, kosmyk złotych włosów wysunął się jej spod czepeczka. Odgarnęła go niecierpliwie za ucho, nie spuszczając z niego wzroku, i powiedziała coś w języku, którego najwyraźniej nie znał.

Rozejrzał się zdezorientowany. Siedział oparty o mur na zakurzonej ulicy, nie mając pojęcia, jak się tam znalazł.

Wybacz — powiedział — ja... — Głos zachrypiał w wyschniętym gardle, tak że musiał odchrząknąć.

Mówisz po angielsku? — zdziwiła się dziewczynka, bez wahania przechodząc na ten język.

Tym razem zrozumiał.

Kim jesteś? — spytał.

Mieszkam tutaj. — Dumnie uniosła głowę.

Powiodł wzrokiem za jej wyciągniętym palcem, zobaczył pomalowane na niebiesko drzwi i nagle wróciła mu pamięć. Już wiedział, gdzie jest i dlaczego tu przyszedł.

A kim ty jesteś? — spytała.

Róża!

Dziewczynka się obejrzała, Garen także. Zobaczył wysoką kobietę śpieszącą ulicą z koszykiem w każdej ręce.

Ja mam wszystko nosić? Wstydź się! — Kobieta zerknęła podejrzliwie na Garena i wręczyła jeden kosz dziewczynce. — Do domu!

Elwino.

Odwróciła się gwałtownie, nie pojmując, skąd ten nieznajomy żebrak zna jej imię. Włosy i brodę miał skołtunione, usta popękane, zżółkłe i spierzchnięte, odzież całą w plamach. Unosił się od niego odór piwa i rozpacz. Potem spojrzała w jego ciemnoniebieskie oczy.

Słyszac, jak kobieta głośno wciąga powietrze, Garen wiedział już, że go rozpoznała. Z wysiłkiem dźwignął się na nogi.

Idź do domu, Różyczko — powiedziała nieswoim głosem.

Ale, mammo...

Natychmiast!

Dziewczynka spojrzała na nią zaskoczona, obróciła się na pięcie i zniknęła w sieni.

Co ty tu robisz? — szepnęła Elwina z niedowierzaniem.

Jestem posłem — odparł dumnie Garen, usiłując stanąć prosto. Zdał sobie sprawę, że mówi trochę bełkotliwie. Wziął się w garść. — Jadę z Rzymu, od papieża. Król Edward chce zorganizować nową krucjatę.

Nie o to mi chodzi. — Elwina jeszcze bardziej ściszyła głos.

Pytam, co robisz tutaj, przed moim domem?

Garen zerknął na drzwi, za którymi zniknęła dziewczynka. Pozostały otwarte, wydawało mu się, że widzi jakiś ruch w ciemnej sieni.

To twoja córka? — spytał. — Nadal żyjesz z Campbellem?

Tak. — Elwina poprawiła kosz na biodrze.

Róża, tak? Witaj, Różyczko! — zawołał w stronę przyczajonego cienia.

Zostaw ją w spokoju, Garen. — Elwina stanowczo zagroziła sobą drzwi. — Nie chcemy cię tutaj, ani ona, ani ja. W naszym życiu nie ma dla ciebie miejsca.

Zawahała się przez chwilę, jakby chciała powiedzieć coś jeszcze, ale weszła do domu,

zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Garen schylił się po sakwę i ruszył z powrotem. Na rogu głównej ulicy zatrzymał się i obejrzał. Słowa Elwiny szyderczo zabrzmiały mu w pamięci. „W naszym życiu nie ma dla ciebie miejsca”. Ale było w nich też coś, co go zastanowiło. Dziwna zbitka:

„ani ona, ani ja”.

Cytadela w Kairze Czternasty dzień listopada roku Pańskiego 1288

Najjaśniejszy panie, zaszczyt to dla mnie wielki, że zgodziłeś się mnie wysłuchać. — Angelo skłonił się ceremonialnie. Kątem oka zerknął na Nazira, który stał na niższym stopniu

pedestału wraz z paroma innymi mężczyznami, ale Syryjczyk nie patrzył na niego. Wzrok miał wbity przed siebie.

Jak słyszę, przybyłeś w nader ważnej sprawie. — Sułtan przyjrzał się Wenecjaninowi baczenie, lecz nie wrogo. — Skąd te blizny?

Od pożaru, wasza wysokość. — Angelo machinalnie dotknął chusty okrywającej twarz. Bez maski czuł się jak nagi. Na szczęście oprócz Nazira nikt go tu nie znał. — Stało się to dawno temu i nie dlatego przybyłem.

Mów więc, z czym przybywasz, panie... — Kalaun zawahał się, spojrzawszy na przybocznego, który poddał:

Benito, najjaśniejszy panie. Nazywa się Benito di Ottavio.

Przysłał mnie wenecki konsul w Akce — rzekł Angelo. — Mamy pewne trudności w związku z niedawnym zgonem hrabiego Trypolis.

Sułtan skinął głową.

Powiadomiono mnie, że w konflikt wdała się Genua.

Tak się stało, panie. W zamian za poparcie udzielone komunie Genuańscy wysunęli pewne żądania. Wyniesiona do władzy Łucja potwierdziła ich przywileje. Genuańscy praktycznie rządzą

teraz hrabstwem, a także portem. Ja i moi ziomkowie Wenecjanie bolejemy nad tym obrotem sprawy, albowiem odbije się to niekorzystnie na wszystkich, nie wyłączając Egiptu.

Jeśli Genua zdominuje handel w Trypolisie, podporządkuje sobie Wschód. Wszyscy będziemy zdani na jej łaskę.

To istotnie niedobra wieść. A czego spodziewa się po mnie Wenecja?

Konsul błaga cię o mediację, panie. — Angelo wydobył z sakwy pergamin z pieczęcią konsula, świadom, że oczy uzbrojonych strażników stojących wokół tronu śledzą każdy jego ruch. Człowiek, który wprowadził go do sali tronowej, wziął od niego zwój i podał go sułtanowi. Wenecjanin podjął: — Konsul wierzy, iż twoja interwencja może rozwikłać sytuację, zanim ta stanie się groźna.

Kalaun zerknął na niego, słyszając nutkę wątpliwości w głosie Wenecjanina.

A ty nie podzielasz jego opinii?

Moim zdaniem niezależnie od twojej interwencji, panie, sytuacja i tak lada moment wymknie się spod kontroli. Odkąd wygnano ich z Akki po wojnie o świętego Sabę, Genueńczycy z

roku na rok robią się coraz bardziej agresywni. Dzięki aliansowi z cesarzem bizantyńskim przejęli handlowe szlaki czarnomorskie i teraz mają w ręku handel z Mongołami. Jeśli na dodatek Genua zawładnie Trypolisem, jej potęga stanie się niezrównana. Ale jej ambicje nie kończą się na tym. Konsul pisze w liście, że Genueńczycy panoszą się w Trypolisie na szkodę innych nacji. Nie wspomina o ich dalszych planach, które mogą wpłynąć także na sułtanat Egiptu i Syrii.

Wszyscy zebrani wpatrywali się teraz z uwagą w Wenecjanina.

Jakie to plany?

Genueńczycy chcą zaatakować Aleksandrię. Dałoby to im kontrolę również nad szlakami

biegnącymi z Egiptu. W tym celu budują w tajemnicy flotę wojenną. Wedle moich ostatnich wiadomości flota jest już prawie gotowa. Komuna trypolitańska popiera ów zamysł i od paru miesięcy prowadzi zaciąg zbrojnych.

Zgromadzeni mężczyźni zaszemrali gniewnie. Jeden z nich, wysoki młody człowiek o

poważnym obliczu i spadającym na czoło włosach, zmarszczył brwi, mocno nad czymś się zastanawiając. Nazir wciąż patrzył martwo wprost przed siebie.

Cisza! — Kalaun spojrział na Wenecjanina.—Nie wiem, jak Genua, nawet z pomocą trypolitańczyków, może rościć sobie nadzieje na zdobycie Aleksandrii, a cóż dopiero jej utrzymanie. Nie ma tu dość ludzi. Musiałaby przeprowadzić do Afryki wszystkie swoje wojska.

Ale w ciągu minionej dekady nawiązała przyjacielskie stosunki z Mongołami. Chan zaś, jak z pewnością wiesz, ze swej strony szuka przymierza z chrześcijaństwem przeciw tobie.

Podejrzewam, że Genua zechce to wykorzystać. Sprzymierzona z nim mogłaby zdobyć i utrzymać Aleksandrię. Być może nawet Kair.

Kalaun milczał przez chwilę. Któryś z emirów otworzył usta, korzystając z przerwy w rozmowie, ale sultan wpadł mu w słowo:

Dlaczego konsul o tym nie pisze? Nie wie o tych planach?

Z pewnością wie, panie. Może obawia się, że zamiast interweniować na drodze dyplomatycznej, uderzysz na Trypolis.

A więc próbuje mnie użyć jako karty przetargowej?

Hm... to możliwe, panie.

A ty się nie boisz, że uderzę na Trypolis, Benito di Ottavio?

Przeciwnie, panie, sam bym cię do tego nakłaniał. Genuańczycy nie słuchają racji rozumu.

Mogę stracić złoto, które zarabiam w Trypolisie, i dam sobie radę, ale nie mogę stracić umów z Egiptem.

Czym się zajmujesz?

Handluję niewolnikami. Dostarczałem ich nieraz do waszej armii. Genuańczycy zagrażają wszystkiemu, na co pracowałem przez lata. Ich główną ostoją tu na Wschodzie jest Trypolis.

Kiedy się ją zniszczy, niebezpieczeństwo minie. Przyznaję, to brutalny środek, ale mieszkańcy Trypolisu sami zdecydowali się oddać Genui swoje warsztaty szkutnicze.

Niechże poniosą tego konsekwencje.

Kalaun oparł brodę na dłoni. Twarz mu sposepniała.

Jeśli zaatakuję Trypolis, złamię rozejm zawarty z chrześcijanami.

Napastliwe działania wymierzone przeciw tobie same są złamaniem warunków rozejmu — wtrącił usłużnie Angelo.

Nie pouczaj mnie! — warknął sułtan. — Znam dokument, który podpisywałem.

Oczywiście, najjaśniejszy panie, wybacz. — Angelo pokornie zgiął się w ukłonie, równocześnie przynaglając Nazira spojrzeniem.

Tojednakowoż prawda, mój panie — rzekł Nazir po chwili milczenia. — Jeśli Frankowie planują napaść, traktat staje się nieważny.

Panie, i ja muszę coś powiedzieć. — Stojący obok Nazira mężczyzna wskazał na Angela. —

To, co mówi ten człowiek, pokrywa się z ostatnimi doniesieniami. Wiedzieliśmy od jakiegoś czasu, że Frankowie budują statki. Teraz wiemy już, po co.

Emirze Dawudzie... — zaczął Kalaun.

Obawialiśmy się sojuszu chana z chrześcijanami — powiedział równocześnie inny doradca.

— Oto dowód, że nasze obawy były zasadne. Musimy działać.

Dłoń Kalauna zacisnęła się, mnąc list konsula.

Dlaczego mi to wszystko mówisz? — spytał nagle, przyglądając się bacznie Wenecjaninowi.

Jako rzekłem, panie: to, co knują Genueńczycy, odbije się na nas wszystkich. Trzeba ich powstrzymać dla dobra...

Nie — przerwał mu Kalaun. — Jaki jest prawdziwy powód twego przybycia? Nie ty jeden ucierpisz. Ale tylko ty spośród kupców mówisz mi prawdę.

Istotnie, panie. Spodziewam się czegoś w zamian. Jak już mówiłem, handluję niewolnikami.

Jeśli zdobędę Trypolis, niewolników będę miał za darmo.

Zdaję sobie z tego sprawę, panie. Jestem nawet przygotowany, by pomóc twoim wojskom

wejść do Trypolisu. Mam w mieście wspólników. Otworzą przed tobą bramy, oszczędzając ci długiego i kosztownego oblężenia. W zamian proszę tylko o dziesiątą część jeńców, których weźmiesz.

O ile mi wiadomo, wasze prawo zabrania wam posiadania chrześcijańskich niewolników.

Prosisz mnie o muzułmanów? — zapytał złowieszczo sułtan.

Nie, panie. O Franków. Nie muszę ich sprzedawać moim ziomkom. Mongołowie chętnie kupią ode mnie chrześcijan.

Kalaun milczał przez jakiś czas. Potem uniósł głowę.

Wyjdźcie wszyscy. Muszę to w spokoju przemyśleć.

Angelo chciał powiedzieć coś jeszcze, ale poczuł na ramieniu dłoń strażnika. Rzucając ostatnie spojrzenie Nazirowi, dał się wyprowadzić z sali tronowej. Reszta mężczyzn także wyszła z posępnymi minami.

Chalil, który dotąd nie odezwał się ani słowem, podszedł do sułtana.

Musisz to zrobić, ojcze. Musisz! — powtórzył z mocą. — Emirowie sarkają. Jak dotąd pomijałeś milczeniem doniesienia o budowie genueńskich statków, ale tego nie możesz już zignorować. Wieść się rozniesie i ludzie będą żądać krwi. Zaczną się domagać, żeby zniszczyć Franków, zanim oni zniszczą nas. — Podszedł bliżej. — Pamiętasz, co spotkało twoich poprzedników. Stracili życie, bo ich decyzje budziły niezadowolenie. Nie dawaj swoim ludziom takiego pretekstu.

Kalaun zasępił się.

Dlaczego pokój wymaga tak wielu starań? Dlaczego naturalnym stanem wydaje się wojna?

Bo nie zostaliśmy stworzeni do pokoju z chrześcijanami — odparł Chalil. — To niewierni.

Najechali nasz kraj, niszczyli meczety i zabijali niewinnych. Nie chcą z nami pokoju. Chcą naszych ziem, naszych bogactw. Pozwolisz im je zagarnąć?

Sułtan zwiesił głowę. Oczy Chalila się zwięziły.

Wstydzę się za ciebie, ojcze — rzekł zimno, obrócił się na pięcie i wyszedł.

Kalaun poczuł się jak uderzony w twarz.

On tak nie myśli, panie.

Obejrzał się. Nazir wciąż stał obok.

Niestety, tak właśnie myśli — rzekł Kalaun gorzko.

Nie. Ale ma rację: ta nowina podburzy ludzi.

Może gdybym wysłał posłów do Akki, zdołałbym...

Nie ma już na to czasu, panie. Szpiedzy donoszą, że flota jest prawie gotowa. No i nie wiadomo, czy Akka wysłucha naszych skarg.

Zatem nie mam wyboru. — Kalaun cisnął na ziemię zmięty zwój. — Prawda?

Nie, mój panie. — Nazir spojrział ze współczuciem na zmęczoną twarz sułtana. — Chyba nie masz wyboru.

Pustynia Synajska Trzydziesty pierwszy dzień grudnia

Ściany zaciskały się wokół niego. Dusił się ze strachu, próbował krzyknąć, ale z ust dobywał

się tylko cichy szept. Coś po nim pełzało, kąsało, wwiercało się w ciało. Z góry lał się potok bezlitosnego światła, które kamienny tunel zdawał się skupiać i wzmacniać. Oślepiająco białe oko mierzyło go palącym spojrzeniem. Wkrótce, modlił się, oby jak najszybciej, zamknie się i znów będzie ciemno, a potem zimno. Na razie jednak leżał pod nim skulony, uwięziony jego bezlitosnym spojrzeniem, a mózg wypalała mu gorączka. Czekał i modlił się. Ale z każdą

modlitwą oko stawało się coraz jaśniejsze i gorętsze, w końcu całe ciało zaczynało płonąć, skórę pokrywały pęcherze, krew i tłuszcz skwierczały, spod spalonych opuszek ukazywały się kości palców, a potem i one obracały w popiół.

Ocknął się, z wysiłkiem łapiąc oddech. Przez długą chwilę patrzył na rozpięte nad głową ciężkie białe płótno i w końcu cwałujące opętańczo serce zwolniło do szybkiego kłusa. Poły namiotu rozchyliły się i wszedł mężczyzna. Korzystając już tak długo z jego opieki, Will wciąż nie znał jego imienia. Nazywał go szejkiem jak wszyscy w obozie. Słowo to oznaczało wodza.

Jak? — zagadnął Willa.

Podobnie jak wszyscy jego współplemieńcy, szejek wyrażał się bardzo lakonicznie. Ich język zdawał się uboższy niż język Arabów w Akce czy innych miastach. Paru w ogóle było

głuchoniemych, ale cała społeczność uciekała się raczej do intuicyjnego zrozumienia, mieszanki gestów i czytania w myślach.

Lepiej — odpowiedział. — Jest silniejsza.

Przyjrzał się swojej prawej nodze, ujętej za pomocą sznurka w trzy deszczułki. Jedna, szersza i grubsza, podpierała z tyłu łydkę i dolną część uda, pozostałe przytwierdzone były z boków.

Spróbuję chodzić — dodał.

Za szybko — odparł szejka.

Mówiłem ci przecież... — Will podniósł głos z rozpaczą. — Muszę się dostać do Kairu.

Za siedem dni — oznajmił szejka ze spokojem. — Będziesz miał więcej sił.

Will sięgnął za wycięcie szorstkiej lnianej koszuli, w którą go odziano. Odsuwając od siebie żal, wyjął łańcuszek z obrączką i świętym Jerzym.

Weź to.

Nie chcę. — Mężczyzna zasłonił się ręką.

Ocaliłeś mi życie.

Szejka sapnął, potem usiadł na macie obok Willa, krzyżując nogi.

Czy ty zostawiłbyś ранego na pustyni, żeby szezł?

Nie, ale...

Ocaliłbyś go dla nagrody? Dla złota?

Nie!

Więc dlaczego spodziewasz się tego po mnie? Jestem pasterzem, nie zbójem. Żyjemy ubogo, ale cudze nam niepotrzebne. — Zachichotał.

Gdybyśmy zostawili cię w studni, zatrulibyś wodę. Odnieśliśmy więc korzyść. Masz szczęście, że o tej porze roku studnia jest sucha i ludzie przejeżdżając, posłyszeli krzyki.

Nie chciałem cię obrazić. — Will ściągnął łańcuszek przez głowę.

Ale żeby się dostać do Kairu, muszę mieć wielbłąda. Kupię go od ciebie.

Szejka milczał przez chwilę.

Co tam masz ważnego? — spytał w końcu. Poklepał go po czole.

Gorączka dopiero zesła. Noga słabo zrosnięta.

Will spojrział na swoje manatki, ułożone na piasku w schludną kupkę. Był tam jego falcjon i odzież, którą miał na sobie, gdy Beduini wyciągnęli go półprzytomnego ze studni, całego we krwi, błocie i robakach. Nogę miał złamaną w dwóch miejscach, pęknięta kość przebiła ciało nad kolanem. W ranie roiły się tłuste białe larwy. Paznokcie, którymi czepiał się kamieni, usiłując się wdrapać po pionowej gładkiej ścianie, miał całkiem zdarte.

przypominał to sobie w wyrywkowych obrazach, które nawiedzały go we śnie« a czasem i na jawie. Pamiętał jeszcze, jak wnieśli go do obozu, gdzie szejk i dwaj inni nastawili mu nogę, a potem już niewiele. Nie wiedział, ile czasu tu spędził. Może miesiąc, może dłużej.

Wzrok szejka pobiegł w ślad za jego spojrzeniem, a kiedy padł na srebrną maskę leżącą obok miecza i sztyletu z posrebrzaną rękojeścią, który także wydobyto ze studni, czoło mężczyzny zmarszczyło się z dezaprobatą. Beduini patrzyli na tę maskę bardzo podejrzliwie, niektórzy robili przy tym gesty chroniące od uroku. Will się zastanawiał, czy wyczuwają zło

przenikające duszę człowieka, który ją nosił, i to przed nim się bronią.

Jeśli nie pojedę, może stać się coś złego — powiedział. — Mężczyzna, który wepchnął mnie do studni, nie bez powodu chciał mnie zabić. Nie chodziło mu tylko o zemstę. — Spojrzał

znów na maskę. — Może już jest za późno. Ale muszę spróbować. Nie mogę tu dłużej zostać.

Po krótkim namyśle szejk się podniósł, wziął ze stosu sztylet i wrócił z nim do chorego.

Przykucnął, a Will odruchowo zmrużył oczy, lecz tamten tylko zręcznie przeciął sznur

mocujący łubki. Potem zacisnął dłoń Willa na medalionie i znów wstał.

Nie mogę ci dać wielbłąda, ale jeden z nas odwiezie cię do Kairu.

Wyciągnął rękę. — Dobrze. Zobaczymy, czy możesz chodzić.

Dzielnica wenecka w Akce Piąty dzień stycznia roku Pańskiego 1289

Padał deszcz. Garen tkwił w zaułku przy ulicy Bławatnej. Wełniany płaszcz miał

przemoknięty, kaptur zwisał mu na czoło. Smarknął i podsunął kaptur, obserwując ludzi

śpieszących do domów po całodniowej pracy. Nie czekał długo. Niebawem minęła go Elwina, lawirując tak, żeby nie ciekły na nią strugi wody z okapów. Garen wyszedł z zaułka. Chciał ją zawołać, ale w decydującej chwili brakło mu odwagi; w końcu poszedł za nią chyłkiem, bliski rozpacz.

Chodził za nią od dawna. Włóczył się koło domu, wystawał na targu, gdzie zwykle kupowała żywność. Obsesja narastała w nim z każdym mijającym tygodniem. Po pierwszym spotkaniu

był wściekły na Elwinę za sposób, w jaki go potraktowała. Próbował o niej nie myśleć, gryząc się czekającym go spotkaniem z Willem. Po trzech dniach zdecydował się i poszedł do

preceptorium. Powiedziano mu, że komandor Campbell wyjechał w ważnej sprawie i nie

będzie go przez dłuższy czas. Garen wrócił do wynajętej izby w pobliżu portu i zaczął

zwiedzać okoliczne winiarnie i zamtuzy. Kiedy był pijany, wracały mu na myśl tamte słowa Elwiny.

Pewnego chmurnego popołudnia, trykając bez przekonania jakąś smętną

dziewkę, szukał w myśli bodźca, który doprowadziłby akt cielesny do miłosiernego końca.

Nieoczekiwanie wyobraził sobie Elwinę. Przymknął oczy, odmalowując w duchu

zapamiętaną scenę miłosną, dzięki czemu finał okazał się znacznie lepszy niż początek.

Potem jednak tamten obraz nie dał się już usunąć i stopniowo skupiły się wokół niego

wszystkie myśli Garena. Nazajutrz odstał swoją pierwszą wartę pod domem Elwiny. Poszedł

za nią, kiedy wraz z córką udała się na targ. Znały tu chyba wszystkich; ta dziewczynka, Róża, coraz to witała mijanych przechodniów. Wieczorem Garen postawił przed sobą dzban

wina i zaczął się zastanawiać. Złotowłosa dziewczynka była bardzo podobna do Elwiny, lecz w najmniejszym stopniu nie przypominała czarniawego Willa. Miała nie więcej niż dwanaście lat... ale i niewiele mniej. Zaczął liczyć. Liczył, aż zakręciło mu się w głowie. Wciąż widział

wyraz twarzy Elwiny, gest, jakim zagoniła córkę do domu, te dziwne słowa. Nie: „ja i Will”

ani „żadne z nas”, tylko: „ani ona, ani ja”. Dlaczego mówiła właśnie o dziecku? W skołatanej pijaństwem i bezsennością głowie kłębiły się domysły, początkowo mgliste, później coraz wyraźniejsze. W końcu zyskał pewność.

Deszcz lał mu się na głowę, z trudem wyciągał nogi z rzadkiego błota. Po raz pierwszy od dawna był trzeźwy i czuł tego efekty. Nie chciał być pijany podczas tej rozmowy; poszedł

nawet do balwierza i dał sobie przystrzyc włosy i brodę. Ale choć nie wyglądał już jak

żebrak, wciąż czuł się żebrakiem. Słowa, które sobie przygotował, brzmiały błagalnie,

rozpaczliwie. Ślizgając się w błocie, żałował teraz, że jednak sobie nie gołnął dla dodania pewności ruchom — a także myślom. Elwina była już pod niebieskimi drzwiami. Za chwilę

wejdzie do środka i pozostawione bez odpowiedzi pytania dalej będą go nękać.

Elwino!

Obróciła się szybko. Jej mokra twarz lśniła w szarawym świetle. Oczy rozszerzyły się na moment, ale nie było w nich zaskoczenia, tylko bolesna rezygnacja, jak gdyby oczekiwała i bała się tej chwili.

Zaczekaj! — dogonił ją, nim sięgnęła do drzwi.

Prosiłam, żebyś mnie nie nachodził. — Potrząsnęła głową, rozpryskując krople wody.

Przemoczone zawicie przylgnęło jej do czoła, pod półprzejrzystą teraz tkaniną widać było zwinięte w ciasny węzeł włosy.

Nie mam ci nic do powiedzenia.

Aleja mam coś do powiedzenia tobie. Tamtego dnia, Elwino, kiedy przyszedłeś do mnie do zamku, kiedyśmy....

Błagam cię, przestań! — załkała, nie pozwalając mu dokończyć. Nie wytrzymam tego.

Odejdź.

Nie powiedziałaś Willowi, prawda? — W głosie Garena pojawiły się twardsze nutki. Poczł złość. Sama do niego przysła, a zachowuje się tak, jakby to on ją skrzywdził. Szarpnął ją ku sobie, mocno wpijając palce w jej ramię. — Nie mówiłaś mu, że się ze mną pokładałaś. A o Róży wie?

Cera Elwiny powlekła się śmiertelną bladością. Uniosła rękę i wymierzyła mu policzek.

Zaskoczony puścił ją, cofnęła się gwałtownie, rozcierając dłoń. Na twarz wystąpiły jej jaskrawoczerwone wypieki.

Nie waż się mówić o mojej córce — powiedziała stalowym głosem.

Nie waż się jej zaczepiać, nigdy więcej, rozumiesz?

Garen przymknął oczy, jak gdyby uderzyła go ponownie.

Popelniliśmy bład, którego co dnia załuję. Kocham Willa i jesteemy razem szczęśliwi. Nie jestem dla ciebie, Garen. Moze kiedyś znajdziesz sobie kogoś, ale to nie będe ja. — Pchnęła drzwi.

Ona jest moja, prawda? To dlatego nie chcesz mnie do niej dopuścić. To moja córka! — krzyknął za jej plecami.

Drzwi zatrzasnęły się z hukiem. Jego słowa zawisły w ulewie, wśród kropel deszczu, które spływały mu z kaptura na mokre policzki. Miał ochotę walić w drzwi dotąd, aż znów

otworzy, ale dojrzał ruch w oknie na piętrze. Zadarł głowę, mrużąc oczy i za uchyloną

zasłoną dojrzał Różę. Patrzyła na niego. Uniósł dłoń, lecz wtedy za jej plecami pojawił się czyjś cień i zasłona gwałtownie opadła. Cofnął się, znów pośliznął i powłócząc nogami,

odszedł.

Trypolis

Pierwszy dzień kwietnia roku Pańskiego 1289

Grom Boży. Tak nazywali mamelucy odgłos kamieni wyrzucanych z machin oblężniczych i uderzających o mury miasta. Dwadzieścia pięć mandżanik stało rzędem naprzeciw południowo-wschodnich obwałowań Trypolisu. Ich ramiona raz po raz unosiły się w górę, wystrzeliwując pociski w stronę miasta. A żołnierze raz po raz ładowali je ponownie, osłonięci wielkimi pawężami zbitymi z desek. Czasem miejsce kamienia zajmowała beczułka z ogniem greckim, który wybuchał na umocnieniach, smażąc więźbę i ludzi, rozpinając pod wyblakłym niebem baldachimy czarnego dymu. Wieża Biskupia i Wieża Szpitalników już były osmalone i wyszczerbione. Wewnątrz murów panował chaos. Miasto nie przygotowało się na oblężenie, chociaż zostało ostrzeżone.

Przed miesiącem przybył z Akki goniec wielkiego mistrza templariuszy z wiadomością, iż sułtan prowadzi armię na Trypolis. Ale choć nie było dla rajców nowiną, że Kalaun ruszył wojska, ani oni, ani hrabina Łucja nie wierzyli, że to ich miasto ma być celem ataku. Gońca odprawiono bez odpowiedzi. Trypolitańczycy orzekli, że Templum jak zwykle mąci, chcąc osiągnąć w ten sposób jakieś swoje cele. Między hrabstwem a sułtanatem panują pokojowe stosunki i Kalaun nie ma powodu ich napadać. Mieszczanie weneckiego pochodzenia byli nieco ostrożniejsi w sądach. Ufali Wilhelmowi z Beaujeu, a ponieważ konsul dotąd nie miał wieści od Benita di Ottavio, obawiano się, że sułtan może mieć własne plany. Ale mimo zastrzeżeń byli tak samo zaskoczeni, kiedy cztery dni temu podniesiono alarm.

Wiść nadeszła przed świtem, a przynieśli ją chłopci z okolicznych wiosek, uciekając przed toczącą się rzeką ludzi i machin. Mieszkańców Trypolisu zbudziło gorączkowe bicie dzwonów, zbyt wcześnie jak na prymę. Patrzyli z trwogą, jak zza widnokregu wzbiera ciemna fala nadchodzą-

cych wojsk. Wkrótce potop dotarł do miasta i wieczorem zaczęło się oblężenie.

Mury od południowego zachodu były najslabszą częścią umocnień i na nich to mamelucy skoncentrowali atak. Po początkowej panice miejskie wspólnoty pośpiesznie sformowały zbrojne oddziały. Stanęli więc obok siebie templariusze i szpitalnicy, Wenecjanie,

Genuńczycy⁷, Pizańczycy i Francuzi. Rekwirovano domy na posterunki straży, zbrojownie i składy. Wzdłuż murów ustawiono mangonele i trebusze. Te, które zdążyły spróchnieć od

długo nieużywania, rozebrano i zwalono na barykady pod bramą, bezustannie drżącą pod uderzeniami potężnego tarana. Miejsce machin zajęli kusznicy.

Rano umazani sadzą i kurzem obrońcy, kuląc się na blankach pod gradem mameluckich

strzał, patrzyli z niedowierzaniem na wielką wenecką galerę wojenną, która powoli

wychodziła z portu. Proporzec świętego Marka rozwinął się na wietrze, oddalając się z

każdym pociągnięciem wiosł. Wieść rozeszła się szybko: Wenecja uchodzi. Znow wybuchła

panika i coraz to więcej mieszczan wymykało się do portu, niosąc wszystko, co byli w stanie udźwignąć. Z przystani wypływał nieprzerwanie rząd galer, naw kupieckich i łodzi rybackich.

Ci, którym się nie udało zapewnić sobie miejsca na pokładzie, przywiązywali dzieci na

plecach i desperacko ruszali wpław- na maleńką Wyspę Świętego Tomasza, sterczącą z morza tuż obok cypla, na którym leżało miasto. Ponoć powstał już na niej prowizoryczny obóz dla uciekinierów, mówiono. Większość jednak została, ufna w Boską opiekę i siłę swych

żołnierzy. Nie wiedzieli, że niebezpieczeństwo czyha na nich wewnątrz, ukryte w ich

własnym gronie.

Obóz mamelucki pod murami Trypolisu Pierwszy dzień kwietnia

Kalaun stał, patrząc, jak ciężkie pociski lecą jeden za drugim, rozbijając się o mury miasta.

Było pochmurno, duszno. Nad miastem wisiała czapa kurzu i dymu. Co jakiś czas wielki

kamień przetaczał się po blankach, miażdżąc i strącając obrońców. Kalaun miał ochotę uciec do swojego namiotu, położyć się, zamknąć oczy i przycisnąć rękami uszy, żeby tylko nie

słyszeć ciągłego łomotu, który dudnił mu echem w głowie. Zmusił się do pozostania. Błady, z zaciśniętymi pięściami utkwiał wzrok w atakowanym mieście. To jego słowo przywiodło tu

napastników. On ponosi odpowiedzialność za to, co się tu stanie, wiedząc że wcale się tak stać nie musiało. Będzie musiał znieść dławiącą świadomość, że każdy mężczyzna, niewiasta i dziecko ginący w tych murach zginie na jego rozkaz.

Nie powinien był go wydać. Powinien był wysłać posłów do Trypolisu i Akki, rozpocząć

rokowania, na początek tylko zagrozić. Tymczasem stanął na czele armii — nie dlatego, że nie miał innego wyjścia, ani dlatego, że tak było słusznie. Zrobił to ze strachu. Bał się, jak zareagują ludzie,

kiedy po raz kolejny uchyli się od działania, bał się utracić wszystko, co dotąd zdobył, może nawet życie, przede wszystkim zaś — szacunek syna. Stracił Alego i

Aiszę; nie zniósłby, gdyby Chalil się od niego odwrócił. Trypolis był ceną za odzyskanie poparcia armii i dworu. Kalaun miał jednak uczucie, jakby każdy kamień uderzający w mury burzył po trosze pokój, który sam przez całe życie budował.

Obejrzał się. Szedł ku niemu Chalil w towarzystwie Dawuda, parę kroków za nimi zaś

Wenecjanin ze wzrokiem utkwionym w sponiewieranych murach. Na widocznej połowie twarzy malowało się chciwe oczekiwanie. Sułtan poczuł, że wzbiera w nim mdląca gorycz.

Odwrócił wzrok ku synowi.

Na lśniącej koleczudze Chalil miał czarną brokatową tunikę przetykaną szkarłatną nicią; pod pachą trzymał srebrzysty hełm, w pochwach na obu biodrach tkwiły szable. Wyglądał jak

wojowniczy ksiączę z ulubionej baśni.

Nazir i jego ludzie są już ukryci pod północno-wschodnią bramą — powiedział. — Nie będzie ich widać aż do ostatniej chwili. Benito uważa, że wkrótce otrzymamy znak. Większość

obrońców skupiona jest w tej chwili po przeciwnej stronie miasta. Bombardowanie spełnia swoją rolę.

Kalaun zerknął na Wenecjanina, którego dufna mina doprowadzała go do szału.

Jeśli ten plan zawiedzie, Benito, krwawo mi zapłacisz za każdego straconego człowieka.

Nie zawiedzie, panie, to mogę ci obiecać — odparł Włoch z niezmaconą pewnością siebie. —

Moi ludzie wiedzą, co mają robić.

Rozległ się suchy trzask, potem łoskot; zawałiła się górna część Wieży Biskupiej.

Jeśli tak dalej pójdzie, twoi ludzie nie będą mi potrzebni—mruknął Kalaun.

Wenecjanin uśmiechnął się jeszcze szerzej, zasłona się odchyliła, ukazując płataninę blizn.

Nie jestem strategiem, panie, ale nawet ja widzę, że zburzenie tych murów potrwa kilka

tygodni. Dzięki mojej pomocy zdobędziesz miasto w jeden dzień. — Przekrzywił głowę. —

Zakładam, że nasza umowa jest w mocy?

Kiedy sułtan nie odpowiedział, uśmiech Wenecjanina spęzł. Obleczoną w rękawicę dłonią

machnął w stronę zarośniętych wzgórz.

Mam tam czterdzieści wozów. Czekają, żeby zawieźć niewolników do Mongolii. Umówiłem już kupca. Czy wycofasz się z danej obietnicy?

Nie — wydusił z siebie Kalaun. — Słowo jest słowem.

Spojrzał na Dawuda.

Mam jeszcze do pomówienia z dwoma emirami, Dawudzie. Będę w namiocie. Każ któremuś z ludzi powiadomić mnie, kiedy ujrzycie sygnał.

Ruszył w stronę czerwono-złotego pawilonu, górującego majestatycznie nad obozowiskiem.

Chalil poszedł za nim.

Panie...

Tak? — Kalaun nie patrzył na syna.

Chalil zatrzymał go w wejściu do namiotu.

Ojcze, zaczekaj, proszę cię. Chciałem tylko powiedzieć... — zająknął się, spuścił oczy i znów je podniósł — ...że jestem z ciebie dumny.

Kiedy Kalaun uparcie milczał, skłonił się przed nim nisko.

Wracam na stanowisko. Będę czekał na znak do ataku.

Uważaj na siebie, synku — powiedział impulsywnie Kalaun, kładąc mu dłoń na ramieniu.

Chciał dodać coś jeszcze, ale kątem oka zauważył stojących nieopodal trzech żołnierzy.

Otaczali mężczyznę, któremu krew ciekła z nosa. Kalaun ostro wciągnął powietrze.

Co się stało, ojcze?

Nic, nic — rzekł szybko Kalaun, odzyskując mowę. — Idź.

Podszedł do żołnierzy.

Co to za człowiek? — spytał, z trudem odrywając wzrok od jeńca.

Najjaśniejszy panie — skłonił się jeden z żołnierzy, trzymający sakwę i pas z przytroczonym krótkim mieczem. — Przyszliśmy do emira Kemala. Powiedziano nam, że ma się tu z tobą

spotkać. — Wskazał jeńca.

Tego tu złapaliśmy, jak starał się wejść do obozu. Udawał jednego z naszych, ale nie potrafił podać imienia dowódcy. Sądzymy, że to szpieg z miasta. Przyprawiliśmy go, żeby emir Kemal go przesłuchał.

Kalaun uchylił zasłonę.

Dajcie go tu.

Popatrzyli po sobie niepewnie, lecz nie śmiejąc kwestionować rozkazu sułtana, wepchnęli jeńca do namiotu.

Mamy go zwięzać?

Nie trzeba. Sam go przesłucham. Możecie odejść. Wy też — dodał pod adresem sług, którzy nakrywali już do wieczornego posiłku.

Kiedy zostali sami, twarz Kalauna, dotąd bez wyrazu, stwardniała.

Po co tu przyszedłeś?

Żeby cię powstrzymać od popełnienia strasznego błędu. Musisz odwołać oblężenie, panie.

Odwołać oblężenie? — Sułtan zaśmiał się głucho, oczy mu się zwięziły. — A czemuż, skoro twoi rodacy knują napaść? — Zacisnął pięści.

Dlaczego mnie nie ostrzegłeś? Dlaczego mnie nie uprzedziłeś, że Genuelczycy planują atak na Aleksandrię?

Bo tak nie było — rzekł ostro Will, ocierając zakrwawiony nos. — Angelo Vitturi cię okłamał.

Nie znam żadnego Angela.

Benito di Ottavio, takie imię podaje. Naprawdę zwie się Angelo Vitturi. Myśleliśmy, że od lat nie żyje, zabity na rozkaz wielkiego mistrza. To jeden z ludzi, którzy planowali kradzież Czarnego Kamienia z Kaaby. Przywiódł cię tutaj łgarstwem. — Wyciągnął rękę w stronę

miasta, skąd dobiegały stłumione huki bijących w mury pocisków.

Nie — rzekł gwałtownie Kalaun. — Nie, to niemożliwe. — Uniósł rękę, nie dopuszczając

Willa do słowa. — Nie polegałem przecież wyłącznie na tym, co mówił; to za mało. Za kogo mnie uważasz? Otrzymałem raporty, doniesienia, że Genuelczycy budują flotę. Wynikało

z nich jednoznacznie, iż Trypolis sposobi się do wojny. Mój sztab nie miał wątpliwości!

Bo nie chciał wątpić — burknął Will. Podszedł bliżej, pociągając nogą. Wciąż go bolała, zwłaszcza gdy jeździł wierzchem. Kość zrosła się krzywo, w poprzek kolana biegnęły

węzłowate blizny. — Może raporty zostały sfalszowane?

Jakimże sposobem? — Kalaun odwrócił się do niego.

Zawsze wiedziałeś, że w Kairze jest zdrajca. Człowiek, który napisał zaszyfrowany list do Kajsana. Nie zdołałeś się dowiedzieć, kim on jest.

To był Kadir — warknął Kalaun. — Jestem tego pewien. Był ongiś asasynem, szyitą.

Nienawidził chrześcijan. To on.

To tylko domysł. Sam mówiłeś...

Dlaczego nie przybyłeś wcześniej? — wpadł mu w słowo sułtan.

Czemu mnie nie ostrzegłeś, że ten Benito, czy kimkolwiek on jest, łąże? I dlaczego właśnie jego wysłali do mnie Wenecjanie?

Nie podejrzewali go. Ja też go nie rozpoznałem. Byłem w tym poselstwie. Mieliśmy ci

dostarczyć list, w którym konsul prosił cię o interwencję w konflikcie trypolitańskim. Nie zbrojną, chciał, byś wziął na siebie rolę bezstronnego mediatora. Nie dotarłem do Kairu.

Angelo usiłował

mnie zabić. Ledwie uszedłem z życiem, ranny, i minęło sporo czasu, nim mogłem wyruszyć dalej.

Sułtan słuchał go z uwagą.

Po przybyciu do Kairu — ciągnął Will — dowiedziałem się, że ruszyłeś z armią na Trypolis.

Wróciłem do Akki z kupiecką karawaną ciągnącą dalej do Damaszku. Wielki mistrz pchnął

zaraz gońca do Trypolisu, żeby powiadomić o twoim pochodzie, wysłał także poselstwo do ciebie w nadziei, że zechcesz negocjować. Ale komuna go nie usłuchała, a ty także nie

przyjąłeś posła. Próbowaliśmy do tego nie dopuścić, wierz mi, panie. Wydawało się... że chcesz tej wojny.

Ja jej nie chciałem. — Kalaun spojrzał mu w oczy. Podniósł rękę i opuścił ją bezwładnie. —

Moi ludzie... Było im to potrzebne. Za długo i za mocno ścisnąłem im cugle. Prędzej czy później obróciliby się przeciw mnie. Wiesz, Campbell, czasami myślę, że urodziliśmy się w niewłaściwym czasie. Zaczynam wątpić, czy pokój między nami w ogóle jest możliwy. Obaj

poświęciliśmy mu tak wiele, a jednak zdaje mi się, że nic się nie zmieniło. Mój własny syn...

— westchnął cicho. — Mój własny syn chce wojny z wami.

Pokój między nami to konieczność. Inaczej ten konflikt będzie trwał i za tysiąc lat ludzie wciąż będą ginąć. Zatrzymaj atak, panie. Odwołaj wojska. Ta bitwa może zniszczyć to, czemu poświęciliśmy całe życie.

Nie mogę. Z naszej strony padły już ofiary, teraz nawet żołnierze łakną krwi. Jeśli ich odwołam, nie uniosę głowy.

Podobnie jak tamci w mieście — rzekł cicho Will. Przerwał mu głos rogu. Kalaun podniósł głowę.

Sygnal! — Podał Willowi pas z mieczem i wepchnął mu w ręce hełm.

Włóż to.

Wyszli z namiotu. Wszędzie wokół wojownicy pośpiesznie dosiadali koni.

Najjaśniejszy panie! Przed chwilą wypuszczono strzałę! — wołał, biegnąc ku nim mamelucki oficer. — Nazir już rusza! — Wskazał na północ i odbiegł, poganiając żołnierzy.

Oddział pięćdziesięciu konnych gnał przez równinę w stronę bramy w północno-wschodnim odcinku murów.

Dobry Boże! — Will impulsywnie zrobił krok do przodu.

Nawet z tej odległości widać było, że brama jest otwarta. Machiny wciąż niestrudzenie bombardowały miasto od południowego wschodu; cała niemal obrona skupiona była tam. Zanim ktoś dostrzeże zagrożenie, mamelucy będą już w środku.

Musisz ich powstrzymać! — rzeki błagalnie.

Kalaun nie odpowiedział. Jego wzrok przeniósł się z jeźdźców na stojącego w pobliżu mężczyznę, tak jak oni wpatzonego w otwartą bramę. Sułtan ruszył ku niemu.

Angelo Yitturi! — zawołał, przekrzykując nawoływania żołnierzy i ryk rogów.

Kupiec się obejrzał, w jedynym widocznym oku mignął popłoch, lecz szybko zniknął.

Spójrz, panie — powiedział. — Twój ludźmi zaraz będą w środku.

Dlaczego mnie okłamałeś, Angelo? Czy chodziło tylko o niewolników?

Dlaczego mnie tak nazywasz, panie? — Wzrok Wenecjanina powędrował w stronę towarzyszącego sułtanowi mężczyzny w hełmie zakrywającym twarz. — O co chodzi?

Nie ty jeden dostałeś drugą szansę na życie — odpowiedział za Kalauna Will, spoglądając na Angela przez wizury hełmu. — Następnym razem, zanim wepchniesz kogoś do studni, sprawdź, czy jest w niej woda.

Angelo syknął, cofnął się odruchowo. W dali jeźdźcy pod wodzą Nazira dotarli do bramy.

Straże! — ryknął Kalaun. — Brać go!

Mimo tumultu posłyszeli go gwardziści. Czterech doskoczyło natychmiast, łapiąc Wenecjanina za ramiona.

Wysłuchaj mnie, panie! — krzyknął. — Oddałem ci dziś wielką przysługę! Dziś cała armia będzie sławić twoje imię. Jesteś moim dłużnikiem!

Przerwał mu okrzyk stojącego nieopodal mameluka. Cztery płonące strzały wzbity się w niebo z północno-zachodniego muru. Syryjczycy byli już w środku. Znowu ozwały się rogi i liczny oddział jazdy pod wodzą Dawuda i Ahmeda pogalopował przez równinę.

Widzisz? — krzyknął Angelo. — Twój ludźmi zdobyli miasto!

Panie — wtrącił Will nagle. — Powstrzymaj ich.

Ale Kalaun nie słuchał.

Kto to był? Z kim spiskowałeś? Kto z moich ludźmi zaradził?

Puść mnie, to ci powiem — odszczeknął Włoch.

Dajcie go tu. — Kalaun skinął na gwardzistów i podszedł do stojącej nieopodal katapulty.

To znaczy? — zawahał się jeden z wojowników.

Kładźcie go! — warknął sułtan. — Szyją na belce!

Nie! — wrzasnął Angelo, kiedy gwardziści przydusili go do ziemi.

Kalaun dobył szabli.

Kto to był?

Daj mi słowo, że mnie oszczędzisz!

Sułtan milczał przez chwilę, potem uniósł szablę.

Nazir!

Na te słowa twarz Kalauna jakby nagle zwiotczała. Cofnął się o krok, odwrócił. A potem

nagle, z twarzą wykrzywioną przez furję, przyskoczył do jeńca i ciął z całej siły.

Widząc opadającą szablę, Angelo szarpnął się, uniósł głowę; ostrze zamiast w kark trafiło w czaszkę i z głuchym trzaskiem niemal ją rozpo- łowiło. Trysnęła krew. Niewiarygodne, lecz Wenecjanin wciąż żył. Z rozwartych ust dobył się nieludzki, świdrujący wrzask. Kalaun

uderzył jeszcze raz, i jeszcze. W końcu głowa odpadła i nastąpiła cisza.

Gwardziści usunęli się na bok. Will stał przez chwilę niezdolny oderwać oczu od

zmasakrowanych zwłok. Błękitna szata Kalauna była zbryzgana krwią, ostrze szabli ociekało szkarłatem. Wepchnął ją do pochwy bez wycierania, odsunął Willa z drogi i podszedł do koni, osiodłanych już do bitwy. Wspiął się na siodło.

Najjaśniejszy panie... — wybąkał zaskoczony sługa. — Twój koń jest...

Ale sułtan galopował już w kierunku miasta. Will zaklął i wskoczył na drugiego konia. Sługa, widząc go uprzednio w towarzystwie sułtana, nie protestował. Will szturchnął piętami boki zwierzęcia i popędził w ślad za Kalaunem i ostatnimi szeregami jazdy, wtaczającej się w otwartą bramę.

Zanim do niej dotarł, znikli już w środku. Gdzieś u góry bił dzwon na trwogę, obrońcy z krzykiem biegli po umocnieniach. Parę strzał świsnęło obok niego; skulił się, przywierając do końskiej szyi, i popędził wierzchowca jeszcze szybciej. Wpadł w sklepione przejście przez gruby mur i nieomal się zderzył ze zbitą masą zbrojnych po drugiej stronie. Po chwili kłęb drgnął i przesunął się do przodu; mamelucy rozjechali się po ulicach, zostawiając przy bramie pięćdziesięciu ludzi i kilka ciał frankijskich żołnierzy. Spomiędzy domów dobiegły odgłosy walki; obrońcy słysząc alarm, wracali na tę stronę. Wiedzieli już, że wróg wdarł się od północy.

Will kłął na hełm, który ograniczał pole widzenia, ale nie odważył się go zdjąć. Kalaun zniknął mu z oczu w ścisku. Ruszył wąską ulicą z rzędem sklepików, kątem oka rejestrując w; jakiejś sieni bladą, przerażoną twarz dziecka, potem ujrzał z przodu skrawek błękitu i

popędził konia. Wjechał na mały placzyk z cysterną pośrodku. Koło cysterny stała grupa

mamelu- ków, wysoki szczupły oficer wydawał im rozkazy. Sułtan zsiadł z konia i ruszył w ich stronę. Na twarzy oficera odmalowało się osłupienie.

Najjaśniejszy panie! — wykrzyknął, idąc mu naprzeciw.

Czy znasz człowieka imieniem Angelo Vitturi? — Kalaun dobył szabli, czerwonej od krwi Wenecjanina.

Nazir rzucił na nią okiem, potem spojrzął na sułtana.

Co się stało?

Will posłyszał strach w głosie Syryjczyka. Zsiadł z konia i na wszelki wypadek dobył miecza.

Krzyki i szcęk broni, niosące się echem wśród ciasno stłoczonych domów, zdawały się zbliżać.

Na twarzy Kalauna malowały się gniew i rozpacz, nie pozostawiające już miejsca dla litości.

Nie słyszał walczących; widać było, że nie usłucha nikogo, nim nie zrobi tego, po co przyszedł.

Zanim go zabiłem — rzekł chrapliwie, patrząc na Nazira — Wenecjanin powiedział mi, że mnie zdradziłeś, że spiskowałeś z nim przeciw mnie. Powiedz, że to kłamstwo.

Nazir zacisnął usta. Po chwili odezwał się zduszonym głosem:

Nie mogę tego powiedzieć, panie.

To niemożliwe... — Kalaun pokręcił głową. — Przecież znam cię od lat. Na Allaha, znam cię!

Nie znasz mnie! — odparował z wściekłością Nazir. — Sunnici wyróżnili mi rodzinę, jakże

mógłbym stać się jednym z nich? — Wyrzucił w górę ręce, mówił coraz głośniejsze, w miarę jak głośniejsze stawały się odgłosy bitwy.

Żyjecie złudzeniem, ty, panie, i wszyscy twoi emirowie! Wydaje wam się, że rządzą

światem. A w rzeczywistości jesteście niewolnikami i na zawsze nimi pozostaniecie. Ty, ja, wszyscy przybyliśmy tu w więzach, wbrew własnej woli. Nawet nasza nazwa znaczy

„posiadany”! Wolność to dla nas tylko złudzenie... — Głos mu się załamał. — Chciałem...

chciałem żyć w spokoju z bratem. Wenecjanin ofiarował mi tę szansę. Przyjąłem ją.

A ja cię przyjąłem pod swój dach — szepnął Kalaun. — Nazwałem syna twoim imieniem!

I zabiłeś mi brata! — Nazir zacisnął pięści. — Tylko jego miałem!

Miałeś mnie! — Kalaun cisnął szablę, chwycił Nazira za ramiona i potrząsnął nim gwałtownie. — Karmiłem cię, odziewałem! Byłeś dla mnie jak brat, jak syn!

Syryjczyk nie próbował nawet się opierać. Na plac wpadła grupa zbrojnych w białych tunikach Templum. Jeden trzymał łuk i sięgał właśnie do kołczana. Will krzyknął

ostrzegawczo, na poły do Kalauna, na poły do templariusza, ale strzała już była na cięciu, już leciała w powietrzu.

Nazir runął bezwładnie do przodu z brzechwą tkwiącą w karku. Z ust pociekła mu krew, oczy się rozwarły, patrzył na Kalauna, który zatoczył się, wciąż trzymając go w objęciach, jakby chciał mu jeszcze coś powiedzieć.

Will skulił się, podskoczył, szarpnął sultana za ramię, odpychając Nazira, i pociągnął go w zaułek. Niemal równocześnie na plac wjechał oddział mameluków, którzy ścigali

templariuszy.

W całym mieście ludzie walczyli i ginęli. W ciągu godziny otworem stały już cztery bramy, przez które wlewali się do miasta najeźdźcy, spychając obrońców w stronę morza. Nikt nie byłby już w stanie ich powstrzymać. Bój był krótki i krwawy. Każdy napotkany na drodze

mężczyzna dawał głowę pod miecz; nawet ci, którzy schronili się na Wyspie Świętego

Tomasza, nie uniknęli śmierci. Mamelucy, przeszedłszy przez miasto niczym krwawa kosa,

wparli konie w wodę i przepłynęli płyciznę. Upojeni bitwą wymordowali wszystkich. Łucja odpłynęła wraz z dworem kilka godzin wcześniej. Świadcami upadku miasta pozostali

maluczcy.

Willowi udało się znaleźć konie i wyprowadzić sultana z miasta. Jakikolwiek wysiłek, by powstrzymać rzeź, byłby próżny. Miał tylko jeszcze iskrę nadziei, że ci, którzy przeżyją atak, zostaną oszczędzeni.

Kalaun zatrzymał konia, zanim dojechali do obozu, i spojrzał na ginące miasto.

To koniec — mruknął.

Will spojrzął na niego błagalnie.

Jeszcze da się coś uratować, panie. Niech twoi żołnierze nasycą się łupami, niech wezmą sobie bogactwa Trypolisu. Ale zaklinam cię, odeślij kobiety i dzieci do Akki. Zaproponuj radzie nowy rozejm. Przyjmie go. Nie uderzymy na Egipt, nie mamy na to dość sił. Ewerard z Troyes powiedział mi kiedyś, że pokój trzeba czasem kupować za cenę krwi. Czy krew

przelana dzisiaj wystarczy, by go odnowić?

Twarcz sułtana stężała, jego wzrok powędrował znów w stronę miasta okrytego całunem czarnego dymu. Kiwnął głową i zamknął oczy.

Lombardia , Dwudziesty dziewiąty dzień maja f

Na polach zebrał się wielki tłum i rósł w miarę, jak rozchodziła się podawana z ust do ust wieść, że przyjechał legat z Rzymu z przesłaniem od papieża. Ojcowie brali dzieci na barana, żeby mogły się przyjrzeć

dostojnikowi stojącemu na specjalnie zbudowanym podwyższeniu. Donośny głos legata

docierał do wszystkich uszu.

Legat był dobrym mówcą i ludzie go słuchali. Nie mówił im o woli Bożej, chrześcijańskiej powinności ani nawet o zbawieniu. Napatrzywszy się w ciągu ubiegłego roku na znudzone i wrogie twarze, wiedział już, co chcą usłyszeć. W pojęciu wieśniaków Bóg istniał w kościele, podczas mszy, w dni świąteczne. Ale na polach, które orali w pocie czoła, starając się o nędzny plon, na nędznych uliczkach, gdzie żebrali o odpadki — tam Boga nie było. Nie

chcieli słuchać o Ziemi Świętej, Jeruzalem czy Akce; słowa te, nawet jeśli padły kiedyś z ust przejeżdżającego pielgrzyma, nic dla nich nie znaczyły. Woleli się dowiedzieć, co mogą

zyskać, i o tym mówił im legat.

Mówił biednym wieśniakom z Lombardii i Toskanii o lepszym życiu, które czeka ich na

Wschodzie, gdzie każdy bezrolny może dojść do majątku, a nawet zostać burgrabią. Ziemia Święta jest piękną i bogatą krainą, zaprawdę mlekiem i miodem płynącą. Z otwartymi

ramionami przyjmie zręcznych rzemieślników, a i ci, którzy nie znają żadnego fachu, łatwo się go wyuczą. Legat mówił z zapałem, lecz używał słów prostych, żeby go zrozumieli. Słowa te przenosiły zasłuchanych chłopów do innego świata, w którym istniała nadzieja,

wystarczyło tylko wziąć Krzyż. Nie będą musieli walczyć, zapewnił ich legat, co najwyżej jak inni strzec murów Akki albo w razie potrzeby służyć pomocą wojsku. Ostatecznie niewysoka to cena za wolność.

I to słowo zapadło najgłębiej w umysły słuchaczy, kiedy legat w końcu zszedł z podwyższenia. Wolność: kusząca, nieuchwytna, prawie nie do pojęcia, równie im obca jak dalekie miasta, o których prawił legat. Wolność była przywilejem wyższych stanów; z gminu mogli o niej marzyć jedynie miejscy patrycjusze. Myśl, że poza ciasnymi granicami ich światka mogłaby stać się dostępna i dla nich, upajała jak mocny trunek. Po skończonej przemowie tylko niektórzy wzruszając obojętnie ramionami, wrócili do domów. Większość została, dyskutując z przejęciem o tym, co usłyszeli.

Legat delikatnie osuszył czoło lnianym ręcznikiem podanym mu przez służbę, patrząc na rozgadany tłum. Westchnął.

Nie mam pojęcia, jak Jego Świątobliwość ma nadzieję sformować wyprawę krzyżową z chłopów i żebraków.

Jego doradca zmierzył wieśniaków baczным wzrokiem i rzekł na to:

Kto wie, bracie? Jak dla mnie, mają dość zapachu.

Dzielnica wenecka w Akce Dwudziesty dzień sierpnia roku Pańskiego 1290

Will przechadzał się po weneckim rynku z błogim uśmiechem na twarzy. Takie dni lubił najbardziej — kiedy nie był bratem Wilhelmem ani komandorem Campbellem, a po prostu ojcem trzymającym w dłoni ciepłą rączkę córki. Oczywiście musiał być ostrożny i zawsze zasłaniał twarz kefiją, ale dotąd nigdy nie napatoczył się na znajomego.

Próbowałaś kiedyś korzennych karmelków, ojcze? — Róża pociągnęła go lekko za rękę, sterując w stronę straganu ze słodyczami.

Czy w ten sposób dajesz mi do zrozumienia, że powinienem ci jednego kupić? — spytał Will ubawiony.

Po prostu myślałam, że ci zasmakują. — Wzruszyła nonszalancko ramionami, pokrywając aż nazbyt przejrzyste intencje, ale w jej spojrzeniu błysnęła nadzieja.

Zachichotał i pozwolił się zaciągnąć do straganu. Sprzedawca rozpromienił się na widok

Róży i przemówił do niej w swoim dialekcie. Will tymczasem rozglądał się po targowisku.

Rzadko widywał aż tak wielki ruch w weneckiej dzielnicy.

Od początku sierpnia do Akki niemal bezustannie ściągały kupieckie karawany z Palestyny i Syrii. Żniwa w Galilei były dobre, najlepsze od kilkunastu lat, a odkąd na nowo zawarto rozejm z sułtanem, handel ożywił się jak nigdy. Po upadku Trypolisu mieszkańcy Akki

obawiali się co dnia, że ujrzą mameluków pod swoimi murami. Ale dotarli tu tylko uchodźcy ze zniszczonego miasta i powoli niepokój zaczął się rozpraszać. Kilka miesięcy później

przybyło poselstwo z Kairu z nowym porozumieniem, które rada Akki skwapliwie podpisała.

Wraz z pojawieniem się karawan liczba ludności wzrosła dramatycznie; najstarsi ludzie nie pamiętali takiego ścisku. Na targach miejscowi przekrzykiwali się z Arabami, Turkami i Grekami, zwożącymi indygo z Mezopotamii, miecze z

Damaszku, żelazo z Bejrutu i szkło z Egiptu. Stragany uginały się pod stertami towaru; w weneckiej, niemieckiej i pizańskiej dzielnicy handlowano marzną, oliwą, kością słoniową; stłoczone w zagrodach owce i kozy beczały donośnie całymi dniami. Jakby tego było mało, na początku tygodnia wpłynęło do portu dwadzieścia pięć włoskich galer i przybrzeżne

gospody okupowało teraz kilka tysięcy wieśniaków z Lombardii i Toskanii, którzy

odpowiedzieli na wezwanie do wyprawy krzyżowej. Rada nie była tym zachwycona. Gdzie,

pytano, pomieścić kłopotliwych rekrutów', z których tylko nielicznych będzie można

wykorzystać do obrony miasta? Jednakże mimo zastrzeżeń miasto wchłonęło i tych

przybyszów. Wielu spało pod gołym niebem, na dachach i w ogrodach, co w przytłaczającym sierpniowym upale miało swoje zalety.

Czy mogę cię prosić o pieniądze, ojcze?

Will uśmiechnął się i sięgnął do sakiewki. Rzadko miał przy sobie pieniądze, ale kiedy

wychodzili, Elwina wcisnęła mu do ręki dukata, nową złotą monetę bitą od niedawna w

Wenecji. Czynność tak zwyczajna, a zarazem znacząca, jak kupienie córce łakoci, sprawiła mu olbrzymią przyjemność,

Wręczając Róży dukata, postyszał krzyki, które dobiegły z pobliskiego zaułka. Czterej

mężczyźni wywlekli piątego z budynku, rzucili go na ziemię i zaczęli kopać. Ludzie na targu wskazywali ich sobie, ale nikt się nie kwapił do interwencji.

Nie ruszaj się stąd — przykazał Will córce, okrążył stragan ze słodyczami i wszedł w zaułek.

Najpierw odciągnął na bok jednego z napastników, który właśnie kopnął leżącego w głowę.

Potem całym ciężarem ciała odepchnął następnego. Zaskoczony mężczyzna stęknął i warknął

coś po włosku, zaciskając pięści. Jego towarzysze też porzucili ofiarę, skupiając uwagę na nowym przeciwniku. Od wszystkich wionął silny odór wina. Will dobył falcjona i to ich

zatrzymało.

Ojczel!

Obejrzał się. Zobaczył Różę wpatrzoną w niego z przestraczem. Usta miała otwarte, w

dłoniach zaciśnięte dwa karmelki. Chwila nieuwagi wystarczyła; jeden z mężczyzn silnym

kopnięciem wytrącił mu tasak. Will krzyknął z bólu, ale triumf tamtego był krótkotrwały: templariusz uchylił się przed nieporadnym ciosem i złamał mu pięścią nos. Pijak zawył, zatoczył się do tyłu i potknąwszy o nieprzytomnego, legł jak długi. Nim ktokolwiek inny zdążył

się zbliżyć, Will miał już falcjona z powrotem w ręku. Na ten widok zrejterowali wszyscy czterej. Will schował broń do pochwy i zgrzytnął zębami, rozcierając nadwierzony przegub.

Pochylił się nad leżącym bez zmysłów człowiekiem.

Nie podchodź tu, córuś — rzekł, słysząc za sobą lekkie kroki. Obrócił mężczyznę na wznak.

Róża wydała stłumiony okrzyk.

Prosiłem, żebyś nie podchodziła — rzekł ostrzej.

Mężczyzna jęknął. Pobita, opuchnięta twarz wydała się Willowi niemile znajoma. Tak, to był

Garen. Zamrugał powiekami, rozwierając je z trudem. Oczy miał szkliste i nieprzytomne,

brodę i włosy zlepione krwią.

Precz! — warknął.

Will ściągnął z twarzy kefiję, pozwalając się rozpoznać. Pomimo to wrogi wyraz niebieskich oczu się nie zmienił.

Co tu robisz? — wychrypiał Garen, usiłując się podnieść.

Wstawaj — rzekł szorstko Will i wyciągnął do niego rękę.

Garen ją odepchnął z plugawym przekleństwem. Nagle zobaczył Różę

i zaszła w nim całkowita zmiana.

Piękna Róża! — wybełkotał, pokazując w uśmiechu okrwawione zęby. Nie był to miły widok; wystraszona dziewczynka cofnęła się o krok.

Ależ ty rośniesz! Doroślejesz z każdym dniem! — Złapał Willa za obolałą rękę i podciągnął się do pozycji stojącej.

Templariusz skrzywił się i syknął:

Jesteś pijany.

Ja? Nigdy! — Garen zatoczył się do tyłu i przyłożył dłoń do serca, a potem gibnął się w przód, siejąc kropelkami krwi. Puścił oko do Róży.

Twojego ojczulka może drażnić mój widok — rzekł teatralnym szeptem. Zaśmiał się gorzko i nagle spoważniał. — Ale ciebie chyba nie, prawda, Różyczko?

Czemu cię napadli? — Will zasłonił sobą córkę.

Garen westchnął z irytacją.

Pewnie przez to. — Wypuścił z zaciśniętej dłoni dwie kości. Upadły na ziemię szóstkami do góry.

Will z niesmakiem pokręcił głową.

Lepiej idź do domu i wyśpij się,

Do domu? To znaczy gdzie? Nie mam domu, tylko zapchlona norę na nabrzeżu. — Machnął

ręką w stronę portu. — Istny koszmar. Gdzie się nie obejrzysz, tam lombardzki wieśniak.

Bójki co noc, karczmy pełne, nie ma nawet dość miejsca, żeby wychędożyć dziewczkę.

Will zgromił go wzrokiem i położył dłoń na ramieniu Róży.

Może powinieneś wrócić do Londynu, jak ci radziłem.

Może byś tak przestał mnie pouczać, święty Wilhelmie?

Po kiego licha siedzisz jeszcze w Akce? — syknął Will przez zaciśnięte zęby. — Nie masz tu już nic do roboty.

Nie ty będziesz o tym decydował. Zresztą mam tu przyjaciół: ciebie, Elwinę... Różę.

Nie jestem twoją przyjaciółką — oznajmiła dziewczynka.

Siedźże cicho! — skarcił ją Will.

Oj, nieładnie, Różyczko — skrzywił się Garen. — Chyba nie wiesz, że trzykrotnie uratowałem twemu ojczulkowi życie. Prawda, Will? Pierwszy raz w Paryżu, kiedy Kruk chciał cię wykończyć. Drugi raz podczas oblężenia Antiochii. Trzeci raz na pustyni, kiedy...

A, nie. To był ktoś inny.

Zakrył usta dłonią i zaśmiał się krótko, histerycznie. Potem oblizwał rozciętą wargę i splunął krwią.

Nie poślę Edwardowi złota. Choćbyś tu siedział do końca życia, nie zmienię zdania. Wróc do niego i powiedz mu to. — Wzrok Willa stwardniał. — Powiedz mu, że Anima Templi nie sfinansuje pogromu Szkotów.

Odwrócił się, chcąc odejść.

Bohater jak zawsze! — krzyknął za nim Garen. — Wciąż chcesz zbawiać świat? Taki sam z ciebie nędzny grzesznik jak z innych, cholerny hipokryto!

Will zawrócił, czując, jak wściekłość rozpała się w nim szkarłatnym ogniem.

Trzymaj się ode mnie z daleka!

Złożyłeś śluby, Will! Klęczałeś przed ołtarzem Pańskim, składając śluby zakonne. Ilu z nich dotrzymałeś? Czystość? — Garen zaśmiał się nieopanowanie. — Ta chyba pierwsza zerwała

się z uwięzi! Ubóstwo? Ładne mi ubóstwo, skoro okradasz zakon na swoje tajne misje.

Posłuszeństwo nigdy nie było twoją mocną stroną. — Mówił coraz głośniej, zjadliwiej,

rozpryskując kropelki krwi i śliny. — Powiedzmy sobie szczerze: jesteś takim samym

krętaczem, złodziejem, oszustem i jebaką jak ja, więc nie zadzieraj nosa, sukinsynu!

Wściekłość przepelniła czarę. Ślepy na wszystko oprócz stojącego naprzeciw mężczyzny —

tego samego, z którym kiedyś razem śmiał się i płakał, któremu zwierzał swoje tajemnice i sam również uratował życie

uderzył z całej siły. Jego pięść trafiła w naruszoną już szczękę, wybijając ząb. Garen zrobił

dwa chwiejne kroki w tył i zwałił się jak kłoda, wzbijając tuman kurzu.

Powiniennem był im pozwolić, żeby cię zatłukli — syknął Will, pochylając się nad nim, by uderzyć jeszcze raz.

Ojcze, nie! — Róża upuściła karmelki i zakryła twarz rękami.

Nienawiść i furia zgasły w jednej chwili. Will nagle osłabł, zadrzał.

W szafirowych oczach Garena błysnął triumf.

Sam widzisz — wykrztusił, przełykając krew. — Nie jesteś lepszy ode mnie.

Will nie odpowiedział. Złapał córkę za rękę i pociągnął ją za sobą.

Garen odprowadził ich posępnym wzrokiem. „Wracaj do domu” — powiedział mu Will,

jakby Garen mógł jeszcze wrócić do Londynu, gdzie Edward go przyjmie z otwartymi

ramionami. Prawda była inna. Dawno zerwał więzy z królem Anglii. Miał dość jego tyranii, dość fałszywych obietnic, obelg i gróźb. Zamajaczyła mu nadzieja na inne życie, na ojcostwo i to ona bardziej niż cokolwiek innego przypieczętowała jego decyzję

pozostaniu w Akce. Ludzie Edwarda szukali go w zeszłym roku, ale został na czas ostrzeżony i w porę wyniósł się z gospody, w której mieszkał, zarabiając na życie grą w kości i

okradaniem cudzych mieszkań. Przyczał się, zapuścił brodę sięgającą niemal oczu, sypiał

byle gdzie, przenosząc się wciąż z miejsca na miejsce niczym Beduin. Najzabawniejsze było to, że właśnie w służbie u Edwarda nauczył się wszystkich kruczków, dzięki którym mógł się wymknąć pogoni. Co prawda do dziś się bał, że zadźgają go w jakimś zaułku, i tężał, ilekroć słyszał za sobą kroki, ale udało mu się zniknąć.

Na ulicy leżały dwa korzenne karmelki — jej karmelki. Podpełził bliżej, pojękując z bólu, i udało mu się dosięgnąć jednego z nich. Powoli podniósł go do ust, odgryzł kawałek. Krew, kurz i cukier zmieszały się w bolesnej słodyczy.

Ojcze...

Will w marszu zasłonił twarz kefiją, nim weszli na tłoczny rynek.

Ojcze! — powtórzyła ostrzej dziewczynka. Przystanął.

O co chodzi?

Urwiesz mi rękę!

Popatrzył na jej zagniewaną, przestraszoną twarzyczkę.

Przepraszam. — Puścił ją i położył jej dłonie na ramionach. — Nie powinnaś była tego oglądać.

W jej spojrzeniu pojawił się cień kobiecej troski.

Mama zawsze krzyczy na Garena i pędzi go spod domu. Ty też się złościysz, ilekroć go spotykamy, nawet gdy jest uprzejmy. Dlaczego?

Nie chcę go znać, córeczko. Wiele lat temu głęboko zranił mamę mnie, i choć próbowałem, nie mogę mu tego wybaczyć.

Ale kiedyś byliście przyjaciółmi?

Kiedyś tak. Ale to się zmieniło. Nasze drogi się rozeszły... — Głos Willa stwardniał. — Wbrew temu, co mówi.

Powiedział... — Zawahała się, przygryzła wargę i spojrzała mu w oczy. — Powiedział, że zламаłeś śluby. Czy to prawda?

Will westchnął z rozpaczą.

W pewnym sensie.... ale nie tak, jak mówił... — Urwał, nie wiedząc, jak jej to wyjaśnić.

Róża miała pojęcie o regule zakonnej i wiedziała, że ojciec ją zламаł, żeniąc się z matką.

Mówiąc jej o tym, kładli nacisk na zachowanie tajemnicy, pomijając inne kwestie. O Anima Templi rzecz jasna nie wspominali. Róża była inteligentnym dzieckiem, lecz jednak

dzieckiem, nie mogli jej obciążać zbyt wielkim brzemieniem.

Garen nie jest dobrym człowiekiem, Różyczko — powiedział w końcu. — Nie można mu ufać.

Patrzyła na niego tym swoim poważnym wzrokiem.

I zostanie tu dotąd, aż dasz mu pieniądze?

Mam nadzieję, że nie.

Dlaczego mu ich nie dasz, skoro nie chcesz go oglądać?

Bo nie użyje ich dla szlachetnego celu. — Will uśmiechnął się ze znużeniem. — Jego pan, król

angielski Edward, najechał Walię, gdzie się urodziła twoja mama. Uczynił to, by mieć więcej ziemi. Teraz chce zagarnąć również Szkocję i Irlandię. Król Szkotów zmarł cztery lata temu, została po nim wnuczka. Edward chciał z nią ożenić swego syna, Edwarda z

Caernarfonu. W przeszłości stosunki między Anglią i Szkocją były dobre, ale król Edward jest zachłanny i żądny władzy. Wielu Szkotom nie w smak byłoby jego panowanie. Nie chcę, żeby mój kraj podzielił los Walii. Jeśli dam Garenowi złoto, jego król obróci je na wojnę, jak już bywało.

Boisz się o swoje siostry? Isendę i Edę?

Nie tylko. Wojna jest straszna, Różyczko. Chciałbym kiedyś pokazać ci krainę, w której się wychowałem, taką jak dawniej, nie podbitą i zniszczoną.

Też bym chciała ją zobaczyć. — Zerknęła na niego i znów wzięła go za rękę.

Ruszyli dalej, ale dobry nastrój Willa rozwiął się do reszty. Opadły go dręczące wspomnienia, jak zawsze, gdy wracał myślami do przeszłości.

Najczęściej — i szczególnie boleśnie — jawił mu się ojciec. Jakub Campbell, żyłasty Szkot o kruczoczarnych włosach i palcach wiecznie poplamionych inkaustem; człowiek, na którego

przebaczenie Will stara!

się zasłużyć przez całe swoje życie, nawet gdy ojca nie było już na tym świecie. Ale

prześladowały go też puste oczy matki, gdy z wahaniem całowała go po raz ostatni przed wyjazdem do Londynu. Ojciec pozostawił ją i trzy żyjące córki pod opieką edynburskiego

klasztoru, Willa ulokował w Templum, a sam udał się do Ziemi Świętej. Wciąż żywe

wspomnienia tamtych rozstań przejmowały Willa bólem, nie tak wielkim jednak, jak myśl

o

dawniejszych, dobrych czasach przed śmiercią Maryjki. Barwy już spłowieły, niektóre

sceny całkiem utonęły we mgle, lecz do dziś pamiętał zapach letnich kwiatów janowca i

przejmujący chłód wody w jeziorze, w którym brodził. Przez wiele lat uparcie się przed nimi bronił, koncentrował na pracy w zakonie, później także bractwie, w końcu i na własnej

rodzinie. I nagle cztery miesiące temu otrzymał list.

Otworzył go, ujrzał nieznajome pismo i nim zaczął czytać, poszukał wzrokiem imienia

autora. Ujrzał je: Isenda. Poczul się tak, jakby ktoś wbił mu miecz prosto w trzewia. Było to imię

jego najmłodszej siostry, którą ostatnio oglądał w powijakach. Pisała mu o śmierci matki, która po długiej chorobie zmarła we śnie. Została pochowana w kaplicy klasztoru, którego już nie opuściła po wyjeździe Willa i Jakuba. Czytając suche zdania wypisane

czarnym inkaustem, Will ujrzał nagle obraz sprzed trzydziestu dwóch lat: matka stoi przed klasztorną bramą, przyglądając się, jak odjeżdżają. Ramiona ma okryte cienkim wełnianym szalem, raz po raz poprawia niesforne rude włosy, które targa wiatr. I drugi obraz, już z pewnej odległości, gdy obejrzał się ponownie. Wciąż tam stała, choć nie widział już jej rysów. Matka, ongiś tak czuła, kochająca, radosna, zmieniła się w maleńką obcą postać na wzgórzu.

Z dalszej treści dowiedział się i o drugim zgonie, o którym wiadomość nie dotarła do Akki.

Matka podupadła na zdrowiu po śmierci najstarszej córki, Alicji. Teraz zostały już tylko we dwie, O sobie Isenda pisała niewiele. Wspomniała o własnych dzieciach, nie wymieniając

nawet imion. List był aż boleśnie bezosobowy, jakby zrodził się z ciężkiego obowiązku, nie z potrzeby serca. Czuł w nim zarzut. Isenda pewnie mu nie wybaczyła rozbicia rodziny. Może chciała, żeby cierpiał. I cierpiał. Matka zmarła, nie wiedząc, że ma po nim wnuczkę. Zawsze bał się wyjawić sekret w liście.

Ojczy, co to?

Rozejrzał się półprzytomnie, wytrącony z rozmyślań. Róża miała zaniepokojoną minę. Zdał sobie nagle sprawę, że słyszy dzwon, choć było za późno na nonę i za wcześnie na nieszpory.

Zastanawiał się właśnie, od jak dawna go słyszać, kiedy zawtórował mu drugi, wielki dzwon od Świętego Marka, płosząc mewy, które śmignęły w kobaltowe niebo. Ludzie przystawali, spoglądając na wieżę. Z dala dobiegły krzyki. Na plac targowy wbiegło pięciu zbrojnych weneckiej straży miejskiej.

Co oni krzyczą, córuś?

Stawiajcie barykady — przetłumaczyła mu Róża ze zmartwioną miną. — Trzeba zamknąć bramy i zatarasować ulice. Jacyś ludzie walczą w porcie. Dużo ludzi.

Kramarze rzucili się pakować towar. Rodzice chwyтали dzieci i biegli do domów, dzwony dudniły już w całym mieście i pojawiało się coraz więcej straży. Ogarnęła ich niebezpiecznie prędką rzeka biegnących ludzi. Will mocno złapał Różę za rękę i wyprowadził ją z rynku.

Ludzie przywoływali sąsiadów, zamykali okiennice, ryglowali drzwi.

Przed domem zastali pobladłą Elwinę w towarzystwie równie wystraszonej sąsiadki. Na ich widok

westchnęła z ulgą.

Co się dzieje? — zapytała, tuląc do siebie zdyszana po biegu córkę.

Chyba zamieszki. — Will też z trudem łapał oddech. — Muszę wracać do preceptorium.

Wejdźcie do środka i porządnie zabezpieczcie drzwi.

Bądź ostrożny. — Uścisnęła go krótko.

Pomachał jej i pobiegł dalej.

Port w Akce Dwudziesty dzień sierpnia

Nikt nie wiedział dokładnie, jak to się zaczęło. Później, gdy uprzątno już zniszczenia i zbierano z ulic trupy, ktoś stwierdził, że do uszu lombardzkich krzyżowców dotarła wieść o gwałcie na chrześcijance dokonany poprzedniej nocy przez dwóch Arabów. Krążyły też

inne wyjaśnienia, w których powtarzały się słowa: „upał”, „wino” i „ubóstwo”. Ale nic nie mogło wytłumaczyć barbarzyńskiej masakry, która rozpoczęła się w porcie i zataczając coraz szersze kręgi, objęła całe miasto.

Upał tego dnia rzeczywiście był straszny. Italskim chłopom, którzy objali się po portowych szynkach, doskwierał on szczególnie. Dzień wcześniej Lombardczycy wybrali spośród

siebie delegatów, którzy przyszli ze skargą do przywódców wyprawy mianowanych przez

papieża. Chodziło konkretnie o to, że oberżyscy chcą zapłaty za nocleg, a krzyżowcom nie starcza nawet na chleb. Pozbawiony swej stolicy biskup Trypolisu i inni możni postawieni na czele krucjaty rozkładali bezradnie ręce. Sami także nie mieli żadnych funduszy. Biskup wykazał się szczególnym brakiem taktu, dodając, że kto chce nocować pod dachem i o

pełnym brzuchu, nie trwoni posiadanych groszy na wino i dziewczki. Chłopi odeszli z niczym, rozgoryczeni i ponurzy.

Obiecano im ziemię mlekiem i miodem płynącą — i zaiste, ujrzeli na własne oczy bogactwo Wschodu: majestatyczne budowle, tubylców odzianych w jedwabie, bazyliki uginające się od

cennych dóbr. Ale za wszystko trzeba było płacić, a tymczasem nikt ich tu nie chciał. Nawet patriarcha Akki, namiestnik papieża w Ziemi Świętej, kłopotał się okrutnie, co z nimi począć.

Palestyna czekała na krzyżowców, lecz mieli to być dobrze wyszkoleni żołnierze pod

sprawnym dowództwem, a nie krnąbrny i ciemny mętloch. Miejscowi kupcy, rybacy i

urzędnicy celni skarżyli się, że co dzień rano brodzą na nabrzeżu we krwi i wymiocinach wśród pijanych, półprzytomnych mężczyzn. Oberżyscy pomstowali, że Lombardczycy chcą

pić za darmo, niszczą sprzęty i mienie. Sprzedajne kobiety gwałcono i bito, mnożyły się włamanie i rozboje, niezczędzono nawet kościołów. Italscy chłopcy porzucili swe wioski i ruszyli w nieznaną w nadziei na lepsze życie. Zamiast niego czekał ich tu nieznośny upał, muchy i jeszcze gorsza nędza. Przyjechali na wojnę, lecz nikt z nikim nie walczył. Toteż zgrzani, skacowani i znudzeni krzyżowcy rozpoczęli własną krucjatę.

Do pierwszego zabójstwa doszło nieopodal winiarni Pod Trzema Królami. Sześciu mężczyzn wytoczyło się z niej na portowy mur, by oddać mocz i nieco się ochłodzić. Kiedy stali tak rzędem, wystawiając na anemiczny wietrzyk Zaczerwienione od trunku twarze, któryś z nich nagle krzyknął, wskazując dwóch Arabów prowadzących obładowane wielbłądy. Wrzasnąwszy jednogłośnie, cała szóstka rzuciła się na Arabów, którzy osłupieli, nie pojmując, co się dzieje. Jeden zderzony w głowę upadł, wypuszczając wodze; spłoszony wielbłąd

pogalopował nabrzeżem. Drugi próbował uciec, ale dwóch napastników obaliło go na ziemię.

Rybacy i robotnicy portowi patrzyli na to wszystko, nie wierząc własnym oczom. Paru ruszyło na pomoc napadniętym, ale Lombardczycy rozebrali kilka skrzynek i młócili naokoło wyrwanymi deskami. Ktoś pobiegł po pomoc do izby celnej. Dla Arabów było już jednak za późno. Nim sześciu osiłków zdążyło się zmęczyć, zostały im w rękach tylko zmasakrowane zwłoki.

Słyszając krzyki, wieśniacy wylegli z winiarni. Na widok obryzganym krwią towarzyszy i ich ofiar, dwóch zrzygało się natychmiast, ale reszta wydała bojowy okrzyk. Było to gardłowe, zwierzęce wycie, sygnał dla stada, że czas zacząć polowanie. Stado sformowało się w

mgnieniu oka. Ktoś Wrzasnął:

Bić Saracenów!

Zabić! — zawyła reszta.

Ruszyli przez nabrzeże. Z szynków wyglądali inni, przeważnie ich rodacy, ciekawi, co to za gwałt. Słyszając zew, przyłączali się do pochodu, podnieceni namacalną niemal gorączką bijącą z rosnącego tłumu.

Co się dzieje? — wołali.

Krucjata! Idziemy rznąć Saracenów!

Wtedy nam zapłaca! — wrzasnął ktoś i odpowiedział mu radosny okrzyk. Podniecenie się udzielało. Pytający w te pędy zawracali do gospód, żeby skrzyknąć drzemiących towarzyszy.

ruszali, bo nie chcieli zostać na uboczu; bo ktoś powiedział, że dostaną pieniądze; bo i tak nie mieli nic innego do roboty. Od czoła pochodu poniósł się krzyk, potężniejąc, ogarniając cały tłum:

Deus lo volt! Bóg tak chce!

Idąc, zbierali kamienie, dobywali noży i wywijali nimi w powietrzu, rechocząc drapieźnie.

Skoro świątobliwy biskup nie chce ich uzbroić, sami się uzbroją. Skoro nie chce im wypłacić żołdu należnego wojownikom Bożym, sami go sobie wezmą. Zaalarmowani urzędnicy celni

wybiegli z budynku, ale nie byli przygotowani na widok rozjuszonych hordy, ciągnącej nabrzeżem.

Matko Boska — wyszeptał jeden z nich. — Wołajcie straż!

Inny zebrał się na odwagę.

Stójcie! — zawołał unosząc ręce. — Zatrzymajcie się!

Tłum gruchnął szyderczym śmiechem, pokazując sobie mężczyźni w kolorowych szatach, o gładko naoliwionych włosach.

Patrzcie na nich! — ktoś wrzasnął. — Wyglądają jak Saraceni!

Stójcie! — błagał celnik, ale tłuszcza parła naprzód. Z tłumu wyleciał rzucony przez kogoś kamień i trafił celnika w czoło. Mężczyźni zwali się na ziemię. Tłum przystanął niepewnie.

Ten człowiek nie był Saraceniem, tylko chrześcijaninem jak oni, w dodatku kimś ważnym.

Ale nic się nie stało. Żaden grom nie poraził tego, który rzucił kamień. Pozostali celnicy złapali rannego i wciągnęli go do budynku. Nawet straż uciekła w ślad za nimi.

Wrzeszcząc triumfalnie, krzyżowcy pociągnęli dalej. Byli niezwyciężeni, niepowstrzymani.

Podziałało to na nich jak narkotyk.

Jak poznamy Saraceniów? — martwił się ktoś.

Noszą brody — oświecił go inny. — Będziemy zabijać tych z brodami.

Instrukcję powtarzano z ust do ust. Chłopi kiwali głowami, radzi, że mają cel dla swojej furii.

Ktoś krzyknął, wskazując bramę prowadzącą do miasta; zamykano ją właśnie. Tuż za bramą

był pizański rynek. Dzwon bił na trwogę, przekupnie pakowali się gorączkowo, ale mimo to plac nadal był pełen ludzi. Na widok piętrzących się na straganach bogactw pochód

przyśpieszył. Pizańska straż miejska zdążyła zatrzasnąć ciężkie wrota, ale nie zdołała już założyć rygli. Tłum rzucił się na bramę jak fala przyboju i rozwarł jej skrzydła, z początku na tyle, że przez szparę przecisnął się cienki strumyk bojowców, wywijających

zaimprovizowaną bronią. Potem tama puściła i rozpoczął się potop.

Przewracano stragany i ludzi. Nad rynkiem poniósł się przeraźliwy krzyk kobiety, której dziecko zdeptali oszalani chłopcy pchający się do straganów. Grecki kupiec próbował ocalić zarobek; dwaj Lombardzcy doścignęli go, obalili na ziemię, jeden nogą zmiażdżył mu

gardło, drugi wyrwał z rąk sakwę z pieniędzmi. Jakaś Beduinę odarto z odzieży, jej męża zadźgano, zdarłszy mu w pierw skórę z twarzy gwoździami poutykanymi między palce.

Handlarza daktyłami, syryjskiego chrześcijanina, pięciu mężczyzn powlokło pod ścianę

piekarni, nad którą wisiał szyld. Zerwali mu z głowy turban, zawiązali na szyi i z krzykiem

„Śmierć Saracenom!” przerzucili drugi koniec przez wystającą belkę. Uwiesiwszy się na nim, podciągnęli przekupnia w powietrze i trzymali dotąd, aż przestał się miotać.

Po drugiej stronie placu chłopcy wdarli się do domu arabskiego księgarza. Zabili właściciela, a na tyłach sklepika znaleźli dwie kobiety. Jedna zaatakowała ich pałką. Wyrwali jej pałkę i zatłukli na śmierć. Drugą rzucili na ziemię i gwałcili ją kolejno. Podobne sceny powtarzały się wszędzie.

Lombardzcy krzyżowcy roili się po targu jak szarańcza w łanie zboża. Upychano do sakw i za pazuchy złoto, jado i precjoza, wyłamywano okiennice, wrzucano do domów i sklepów

zapalone pochodnie. Ogołociwszy wszystko, kilkutyśięczna chmara ruszyła dalej w miasto, niosąc śmierć

zniszczenie. Płynęła ulicami niczym wezbrana rzeka, która znosi wszystko, a jeśli nie może przerwać zapory, omija ją bocznymi dopływami. Każdy napotkany brodacz ginął niezależnie od wyznawanej wiary.

Rycerze Templum i Świętego Jana wyjechali zbrojnie z preceptorów, żeby wesprzeć

nieliczne oddziały straży miejskiej i powstrzymać masakrę. Wkrótce dołączyła do nich

gwardia bajlifa, Krzyżacy i inne zbrojne formacje. Muzułmanów ukrywano w warownych

domach zakonnych, kościołach chrześcijańskich i prywatnych domach. Meczety nie były

bezpieczne, Lombardzcy wdzierali się do nich i mordowali wszystkich, aż białe ściany

splywały krwią. Ogniska przemocy wybuchały w całym mieście. Miejscowi kupcy i

rzemieśnicy wspomagali straż, walcząc z tłuszcą. Rycerze szli ławą, przełamując opór, i po

godzinie walki zaczęły słabnąć.

W końcu, skrwawiwszy niemal całą Akkę, motłoch wreszcie się rozproszył. Zmęczeni mordowaniem mężczyźni powoli trzeźwieli, obładowani łupami wracali do portu. Niektórzy jak zbudzeni ze snu patrzyli na swe unurzane we krwi ręce, wychodzili ze zniszczonych domów, czując mdlący wstręt do własnych uczynków. Zostawili za sobą rozjątrzony, bolesny krzyk rozpacz.

W niecałe dwie godziny chłopska krucjata dobiegła końca. Rycerze zakonnicy jeszcze długo patrolowali ulice. Schwytanych Lombardczyków wtrącono do miejskiego lochu, a potem zaczęto zbierać ciała pomordowanych. Zginęło dwustu włoskich krzyżowców i ponad tysiąc mieszkańców Akki. W zapadającym zmierzchu pożary stały się jaskrawsze, plamy krwi mroczniejsze.

✓

43

Cytadela w Kairze Siódmy dzień września roku Pańskiego 1290

Orszak wjechał pod wyniosłym tukiem al-Mudarradz na dziedziniec cytadeli. Wartownicy przy bramie mierzyli siedmiu jeźdźców nieufnym wzrokiem. Gdy ci zsiadli z koni, eskortę przejęło dziesięciu mameluków z gwardii sułtańskiej, którzy wprowadzili ich do pałacu. W sklepionych marmurowych korytarzach ściagały ich liczne spojrzenia, zaciekawione i wrogie. Przed okazałymi podwójnymi drzwiami kazano im zaczekać. Dwaj gwardziści weszli do środka. Po niespełna minucie drzwi otwarły się ponownie.

Wilhelm Campbell wszedł pierwszy, za nim sześciu templariuszy z odkrytymi głowami. Will niezręcznie się tu czuł w zakonnej szacie. Dotąd bywał w Kairze tylko ukradkiem, w przebraniu, dziś przyjechał jako poseł. Obrzucił szybkim spojrzeniem wielką salę o dwóch rzędach pięknych kolumn dzielących obszerne wnętrza. Pod sufitem poruszały się olbrzymie wachlarze pociągane przez odzianych na białą niewolników. Na wprost wejścia było podwyższenie, na nim złoty tron. Siedzącego na tronie człowieka otaczało pięciu mężczyzn, zapewne wysokiej rangi dowódców wojskowych lub doradców, choć jeden z nich, dumny

młody człowiek z gęstymi, opadającymi na czoło włosami, był podobny do sułtana jak

rodzony syn. Will odniósł wrażenie, że gdzieś go już widział, ale nie miał czasu na domysły, bo oto gwardziści doprowadzili ich do stóp tronu, oznajmiając ich przybycie.

Po twarzy sułtana przemknęło zaskoczenie zmieszane z troską, ale pokrył je szybko.

Mówcie — rzekł szorstko. — Z czym przybywacie?

Przysłał nas wielki mistrz zakonu Świątyni, Wilhelm z Beaujeu. — Will wyciągnął przed siebie zwinięty list, który jeden z gwardzistów podał sułtanowi.

W sali zapadła cisza. Skończywszy czytać, Kalaun podniósł głowę.

Będę mówił z jednym z was sam na sam.

Panie... — odezwał się towarzyszący mu mężczyzna, lecz sułtan przerwał mu ostro:

Później dokończymy tę rozmowę, Dawudzie. Teraz możesz odejść.

Odprawiony wydał usta, ale pokłonił się i wraz z innymi opuścił salę

bocznymi drzwiami.

Ty także, Chalilu.

Jednakże... — Młody człowiek umilkł, skarcony groźnym spojrzeniem ojca. Skłonił się

szttywno i ruszył do drzwi, obrzucając po drodze Willa spojrzeniem, w którym dało się

wyczuć namysł. Mansuryjscy gwardziści ociągali się z odejściem, lecz podobnie jak sługi musieli opuścić salę. Wyprowadzono także towarzyszących Willowi rycerzy. W ciągu paru

chwil zostali sami.

Kalaun wstał z tronu i zszedł z podwyższenia, wyciągając w stronę Willa zaciśnięty w pięści list.

Czy możesz mi wyjaśnić, co się stało?

Byłem pewien, panie, że już wiesz — bąknął Will, zbity z tropu.

Wiem, co zaszło — przerwał mu gniewnie Kalaun. — Mam swoich ludzi w Akce. Pytam, dlaczego.

Nie jesteśmy pewni. Do Akki przybyła duża grupa prostych italskich chłopów chcących

wziąć udział w krucjacie, usankcjonowanej jakoby przez papieża z poparciem królów Anglii i Francji. Podobno zarzewiem stała się pogłoska o chrześcijance zgwałconej przez Arabów.

I to jest wasze usprawiedliwienie?

Nie — rzekł szybko Will. — Oczywiście, że nie. To co zaszło w Akce, nie da się niczym usprawiedliwić. Ale chciałeś poznać przyczynę. — Potrząsnął głową. — Tylko tyle udało nam się ustalić.

Czy wiesz — głos sułtana zadrżał z wściekłości — jak trudno było mi po Trypolisie odwieść emirów od ataku na Akkę? Wiele miesięcy ich przekonywałem, że nie stanowią dla nas zagrożenia, a doniesienia zostały sfałszowane, bo znaleźli się chrześcijanie, którzy chcieli wykorzystać nasze wojska do własnych celów. Nadludzkim wysiłkiem udało mi się przeforsować ponowne zawarcie z wami pokoju.

Z całym szacunkiem, panie, ale najechaliście Trypolis bez powodu, łamiąc traktat, który sam podpisałeś. Tymczasem mówisz tak, jak gdybyśmy tylko twojej łasce zawdzięczali dalsze jego respektowanie!

Gdy idzie o Franków, traktaty niewiele znaczą dla moich ludzi

odparł szorstko Kalaun. — Przytłaczająca większość chce was stąd

wyprzeć. Wystarczy im lada pretekst, a ten właśnie im daliście. — Przeczesał dłonią srebrne włosy. — Ponad tysiąc ofiar. Trupy leżące nocą bez pochówku. Zniszczone domy, osierocone dzieci. To była najbrutalniejsza rzeź, o jakiej słyszałem od lat. Te bestie nie atakowały zbrojnych, lecz księgarzy, złotników, piekarzy i rybaków, którzy żyli wśród was w pokoju od dziesięcioleci. Odzierano ich do naga i wleczono na miejsce, gdzie można ich było powiesić!

— Zmiał list w garści i podetknął Willowi pod nos. — A twój mistrz myśli, że wystarczą nam przeprosiny?

Wiem, że to nie ukoji twego gniewu — rzekł cicho Will — ale zginęło także wielu

chrześcijan. To był motłoch. Nikt z naszych nie wydał rozkazu do rzezi. Nikt ich do Akki nie wzywał.

Nie? — Oczy Kalauna się zwężyły. — Nie tak dawno temu wasz wielki mistrz sam szukał ze mną wojny.

To już przeszłość, panie. A nawet ci spośród możliwych, którym wciąż marzy się krucjata, nie tego oczekiwali. To nie byli żołnierze wysłani, by wzmocnić nasze twierdze i zasilić wojska, lecz

zagłodzeni wieśniacy, których pchnęły w drogę obietnice bogactwa i zbawienia... jak zawsze. Nie znali się na wojaczce, na specyfice Wschodu, na niczym. Usiłowaliśmy ich

powstrzymać, wierz mi. Wielu muzułmanów zginęło, ale znacznie więcej zostało ocalonych dzięki naszym szybkim działaniom.

Kalaun potrząsnął głową.

To racje rozumu, Campbell. Nie uśmierzą gniewu serc. Ludzie żądają odwetu. Zaledwie udało mi się ich powstrzymać przed samowolnym wymarszem.

Ciężko pracowaliśmy, panie, razem i oddzielnie, nad utrzymaniem pokoju w Palestynie.

Wiem, że krucha równowaga, jaką udało się przywrócić po zniszczeniu Trypolisu, znów się zachwiała. Ale błagam cię jeszcze raz: nie pozwól, by bezmyślny czyn garstki stanowił o przyszłości nas wszystkich. — Will wytrzymał twarde spojrzenie Kalauna. — Nie pozwól,

aby żądza zemsty pogrzebała to, cośmy zbudowali. Niech i poniesione przez nas samych ofiary nie będą daremne.

A cóż takiego zbudowaliśmy, Campbell? — spytał ze znużeniem Kalaun. — Czy da się to choćby zmierzyć? Czy w ogóle jest warte poniesionych ofiar? Lub choćby jednej z nich?

Wiesz, że tak, najjaśniejszy panie. Inaczej nie zawróciłbyś armii po zdobyciu Trypolisu. —

Will westchnął ciężko. Nieraz w ostatnich czasach żałował, że nie ma przy nim Ewerarda.

Trzymanie świata w ryzach, kiedy wszystko zdawało się wymykać spod kontroli, chyba go przerastało. Po chwili podjął: — Nie dokładałbyś tylu trudów, żeby utrzymać pokój.

Machnąłbyś ręką: niech się wali. Człowiek mniejszego formatu byłby tak postąpił. Kiedy

zawarłeś sojusz z moim ojcem w tajemnicy przed Bajbarsem, przed twoimi ziomkami, nie poszedłeś łatwą drogą. Wybrałeś trudniejszą, wierząc tak jak ja teraz, że będzie to dla dobra nas wszystkich.

Kalaun przymknął oczy. Słowa templariusza temperowały jego gniew, łamały go, zmieniając w oszołomienie i mieszaninę. Czy tak było naprawdę? Słyszając co dnia, że musi wypowiedzieć wojnę Frankom, sam już nie był pewien, dlaczego tak bardzo się przed tym broni.

Ty też wierzysz — ciągnął Will — że chrześcijanie, muzułmanie

Żydzi nie muszą ze sobą walczyć, że pod wieloma względami jesteście do siebie podobni, a wojna między nami jest wojną bratobójczą. Wszyscy jesteście dziećmi Boga. Wiesz o tym. Kalaun otworzył! oczy. Targnął nim gniew, ale nie na chrześcijan, lecz na własnych współwyznawców — ludzi, którzy natchnęli go zwątpieniem, podkopali w nim wiarę. „Niech i nasze ofiary nie będą daremne”... Dążąc do osiągnięcia celu, poświęcił tak wiele; zaniechanie go odebrałoby sens całemu jego życiu. Nie. Musi wierzyć, że nie wszedł na tę drogę bez przyczyny; że to co robi, jest prawe i miłe Bogu.

Zapłacicie mi okup — mruknął, spoglądając na templariusza. — Tylko tak uda mi się zamknąć usta emirom.

Spodziewaliśmy się tego. Kazano mi nie tylko przekazać ci osobiście wyrazy głębokiego żalu za popełnione w Akce okrucieństwa, lecz także zapytać, jakiego żądasz zadośćuczynienia.

Chcę, aby przywódcy rzezi zostali uwięzieni i oddani mi pod sąd. Ponadto wypłacicie mi jednego weneckiego cekina za każdego mieszkańca Akki.

Will zmarszczył brwi.

To będzie ponad sto dwadzieścia tysięcy sztuk złota, wasza miłość.

Kalaun kiwnął głową.

To powinno wystarczyć, żebym utrzymał ludzi w ryzach. Dotrzymam swojej części umowy,

Campbell, ale ty dotrzymaj swojej. Wróć do Akki i przekonaj radę, żeby przyjęła te warunki, a odwołam atak.

Wciśnięty w ciasną szczelinę między ścianami korytarza dla służby i sali tronowej, Chalil patrzył, jak sułtan i poseł templariuszy ściskają sobie dłonie. Gwałtowne emocje, które nim targały, nie zdążyły jeszcze przybrać żadnej spójnej formy. Kręciło mu się w głowie.

Dopiero gdy wyszedł z sali, uświadomił sobie, gdzie widział wcześniej posła. Było to w czasie oblężenia Trypolisu, przed namiotem ojca. Coś .

ciekawość, a może bunt — kazało

mu zawrócić i wśliznąć się do kryjówki, z której tylekroć podsłuchiwał narady Kadir. Myśl, że szpieguje ojca, nie była mu miła. Ale kiedy zaczęli rozmawiać, wyzbył się skrupułów.

Rycerz wyszedł, jego kroki ucichły w korytarzu, a Chalil wciąż stał jak zaklęty w kamień.

Przez szczelinę w ścianie widział ojca, który powłócząc ciężko nogami, wrócił na podwyższenie i usiadł. Patrzył na niego i wydawało mu się, że widzi obcego człowieka.

Kościół Świętego Krzyża w Akce Dwudziesty trzeci dzień września

Wilhelm z Beaujeu był czerwony na twarzy, oczy mu pałały. Pochylił się nad ołtarzową

mensą, omiatając zebranych gniewnym wzrokiem. Kościół był szczelnie wypełniony ludźmi, cisnęli się obok siebie królewscy juryści, legaci i biskupi, patriarcha, dostojnicy zakonni, książęta, konsule i kupcy. Wielkiemu mistrzowi Templum towarzyszył wielki komandor

Teobald Gaudin, marszałek Piotr z Sevrey, a także seneszał i kilku komandorów, wśród nich Will Campbell. Narada trwała od niespełna pół godziny, lecz emocje już wrzały. Atmosfera była bardzo napięta. Wilhelm musiał krzyczeć, żeby go słyszano.

Zrozumcie, że sułtan ma wszelkie prawo nas zaatakować! — wrzeszczał. — Tu nie chodzi o jego kaprys. Targujecie się o własne życie!

Nie godzi się paktować z niewiernymi! — krzyknął jakiś kupiec.

Odpowiedziały mu inne okrzyki, może mniej pryncypialne, lecz równie

wojownicze. Ponad nie wybił się donośny głos z bocznej nawy, należący do biskupa

Trypolisu:

Lombardczycy i Toskańczycy nie działali na rozkaz żadnego z tu obecnych! Mamy płacić za coś, czemu nie jesteśmy winni? Sto dwadzieścia tysięcy cekinów? To absurd!

Wilhelm przygwoździł go wzrokiem.

Świątobliwy biskup bardziej niż kto inny powinien rozumieć, że bezczynność w tak

krytycznej chwili będzie nas kosztować znacznie drożej. Trypolisu już nie ma, zniszczyły go wojska Kalauna. Chcesz zobaczyć, jak ten sam los spotyka Akkę? — Rozejrzał się gniewnie.

— Czy upleciemy sobie stryczek z własnej buty? Owszem, to nie my kazaliśmy Lombardczy-

kom zabijać, ale to nasz papież ich tu przysłał i powierzył opiece ludzi, którzy są tu dziś z nami. — Wymowne spojrzenie spoczęło na biskupie

Trypolisu, który skrzywił się ze złością. — Ktoś musi wziąć odpowiedzialność za ich czyny.

Kto, pytam?

W kościele zerwał się ryk. Will niespokojnie ścisnął rękojeść miecza. Nie mógł uwierzyć, że propozycja wielkiego mistrza napotkała tak silny opór. Szło przecież o ich głowy!

Zgadzam się z tym, co mówisz, mistrzu Wilhelmie — odezwał się chudy garbaty starzec o

białych jak śnieg włosach. Był to Mikołaj z Hana- pesu, patriarcha jerozolimski. Jego słaby głos nie był w stanie przebić rozjątrzonego tłumu, toteż dopiero gdy uciszono krzykaczy, mógł mówić dalej. — Zgadzam się, że musimy przyjąć na siebie odpowiedzialność za

bestialstwa, do jakich tu doszło. W tej rzezi zginęli także dobrzy chrześcijanie i nic nie może jej usprawiedliwić! Ale sułtan Egiptu żąda zbyt wiele. Uwięziono ludzi, którzy jak się zdaje, byli prowodyrami mordy, lecz śledztwo jeszcze trwa. Zbrodnię popełniono na naszej ziemi i podlega ona naszej jurysdykcji. W Egipcie każdy z nich zostanie stracony bez dociekania prawdy o winie.

Tutaj też zostaną straceni, Mikołaju — odezwał się zimno Teobald Gaudin.

Dopiero gdy zapadnie wyrok — zaperzył się patriarcha. — Co do złota zaś.... suma, której żąda sułtan, jest za wysoka.

Z całym szacunkiem, a na ile skłonny byłbyś wycenić życie pomordowanych? —

zdenerwował się Wilhelm z Beaujeu.

Will zdał sobie sprawę, że kiwa z zapalem głową, jakby mógł w ten sposób dodać mocy słowom mistrza. Patriarcha jednak nie dał się zbić z tropu.

Na to nie ma ceny dość wysokiej. Obaj o tym wiemy, mistrzu Wilhelmie, sułtan także.

Jednakowoż złoto od nas uzyskane obróci on na wyposażenie wojsk, którym w przyszłości będziemy musieli stawić czoło. Jakże to, mamy sami go zbroić? Znajdźmy inne rozwiązanie.

— Rozłożył ręce. — Może odeślijmy mu jeńców?

Kalaun podał nam warunki, które możemy przyjąć lub odrzucić. Nie ma w nich miejsca na targi.

A Kabul? — zawołał jeden z królewskich urzędników. — Jakie okrucieństwa tam się działy!

Mordowano mężczyzn, gwałcono niewiasty

dziewczątka!

Właśnie! — poparł go ktoś inny. — Zabito setki chrześcijan, a myśmy dali się ugłaskać

paroma workami złota!

Rozległ się chór okrzyków popierających mówcę. Wilhelm w rozpaczycy' wznosił ręce ku niebu.

w

Czy wy jesteście głusi? Nie mówimy o przeszłości! Jeśli nie spełnimy dziś żądań sułtana, ruszy na Akkę i wszyscy zginiecie!

Zebrani pchali się do przodu, przekrzykiwali, wymachując zaciśniętymi pięściami, każdy chciał, by go usłyszano. Will spiał się jeszcze bardziej, widząc wzbierające naprzeciw morze wrogich, rozgniewanych twarzy. Wielki mistrz postąpił ku nim, dłonie oparł na ołtarzu niczym zdesperowany kapłan próbujący zbawić swą owczarnię wbrew jej woli. Ileż było w tym ironii, zważywszy, że ten sam człowiek przed trzynastoma laty gotów był narazić Akkę, rozpętując wojnę. Może to, iż sam wówczas omal nie zginął, pomogło mu przewartościować osąd.

W późniejszych latach Wilhelm z Beaujeu nauczył się być nie tylko wodzem, ale i dyplomata; nie tylko rozkazywać, lecz i słuchać. Nie przyszło mu to łatwo, nieraz jeszcze ponosiły go namiętności i ambicje, rozwiązał jednak znacznie więcej problemów, niż ich wywołał. Stracił nieco swej żarliwej, nieokiełznanej energii, stał się bardziej wyważony w postępowaniu.

Pragnął, żeby Akka przetrwała, żeby chrześcijaństwo utrzymało się w Ziemi Świętej, a znajomość Willa z Kalaunem pozwalała mu do tego dążyć bez rozlewu krwi. Flota, którą przed laty kazał zbudować, nie została ostatecznie wysłana do blokady Egiptu, zamiast tego woziła towary i pielgrzymów. Niewielu ludzi zdawało sobie sprawę ze zmiany, jaka zaszła w zwierzchniku Templum. Widać to było teraz, gdy jego stanowisko budziło tak gwałtowny sprzeciw.

Posłuchajcie go, niech was diabli! — mruknął Will pod nosem.

Ponad wrzawą wznosił się wyraźnie głos barczystego, przysadzistego mężczyzny.

Mistrz Wilhelm ma rację — rzekł, skinąwszy szorstko głową templariuszowi. — Powinniśmy spełnić żądania Kalauna. To niewysoka cena za nasze dalsze istnienie.

W kościele ucichło.

Ludzie patrzyli w osłupieniu na mężczyznę, który stanął po stronie Wrilhelma. Była to ostatnia osoba, po której można by się tego spodziewać — Jan z Yilliers, wielki mistrz zakonu Świętego Jana. Templariusze i joannici rywalizowali ze sobą zawzięcie od dziesięcioleci. Jeśli gdziekolwiek wystąpił konflikt interesów, oni niezmiennie ustawiali się po przeciwnych stronach. Podobnie jak Genueńczycy i Wenecjanie, nienawidzili się z całego serca, pamiętni zadawnionych krzywd i uraz. Will wstrzymał oddech, pewien, że połączona opinia dwóch wielkich mistrzów ostatecznie przesądzi wynik debaty. Ale, choć wielu dało to do myślenia, większość w swym zacietrzewieniu nie zważała nawet na ów nieoczekiwany głos poparcia.

A skąd weźmiemy zioto? — spytał jeden z rajców. — Mieszczanie nie zapłacą. Do czyjej szkatuły mamy sięgnąć?

To pytanie wzniciło nową burzę okrzyków:

Mury Akki wytrzymają szturm! Niech Saraceni rozbiją się o nasze mury!

Nie damy ani cekina!

Żadna twierdza nie zniesie bez końca ponawianych ataków! — wołał Wilhelm z Beaujeu

ochrypłym z wysiłku głosem. — Akka także ma słabe punkty! Sami odebraliśmy ją

muzułmanom! Jakże łatwo się o tym zapomina! Zapomnieliście już o Trypolisie, Antiochii, Edessie, Cezarei,

o

Jeruzalem! — wyliczał na palcach zdobyte miasta. — Wszystkie upadły! Akka jest

naszą ostatnią twierdzą, na Boga! — ryknął, starając się przekrzyczeć tłum. — Jeśli ją

stracimy, stracimy Ziemię Świętą!

Zachód nas nie opuści! — wrzasnął biskup Trypolisu, zwracając się do zebranych. — Przyśle nam pomoc! Nie słuchajcie templariuszy! Chrześcijaństwo nie dopuści, aby Ziemia Święta

wpadła w ręce niewiernych. Ani też — dodał patrząc twardo na Wilhelma — nie pozwoli na

to dobry Bóg!

W oczach wielkiego mistrza błysnęła wściekłość.

Jest czas na wiarę i czas na walkę, wasza świątobliwość! Głupcem byłby człek pragnący

odeprzeć armię samą jeno Ewangelią. Jesteśmy tu, by spełniać przykazania Pana Boga

naszego, lecz służymy mu modlitwą, dobrymi uczynkami. Tymi zaś nie powstrzymamy

Saracenów! Nawet jeśli Zachód rzeczywiście zechce pomóc, posiłki nie dotrą tu na czas. Jeśli zechce! Bo kogóż nam tu przysłano? Żołnierzy? Nie! Motłoch, który stał się przyczyną naszej zguby! Dlaczego tylko chłopci i żebracy wzięli Krzyż? Bo nikt inny nie chciał! Chrześcijanie w Europie toczą własne wojny

o

własne sprawy. Jesteśmy tu sami, bracia!

Nie jesteśmy twoimi braćmi — odszczeknął jakiś Krzyżak stojący w głębi nawy. — Jakoś nie poczuwałeś się do braterstwa, szcując na króla Hugona, żeby twój andegaweński krewniak mógł się panoszyć w Akce! Podżegałeś do bratobójczej walki, a robiłeś to dla korzyści

Templum, nie zważając na innych. Ty i wszyscy wasi poprzedni mistrzowie jesteście przyczyną niesnasek w tym królestwie! Wszczynaliście wojny, by napęłnić swe skarbcce i osiągnąć własne cele! Czemu teraz mielibyśmy was słuchać?

Wilhelm cofnął się o krok, jakby pchnięty chóralnym okrzykiem zgody. Otworzył usta, ale głos odmówił mu posłuszeństwa.

Will nie wytrzymał.

Głupcy! — wrzasnął z gniewem, wybiegając naprzód. — Byłem w Kairze, widziałem furię w oczach muzułmanów! Jeśli nie przyjmiecie ich żądań, na Boga, przysięgam wam, że będzie wojna i my tę wojnę przegramy!

Poczuł, że czyjaś dłoń ciągnie go z powrotem.

Mistrz nie udzielił ci głosu, komandorze. — Głos Teobalda Gaudina utonął w nasilającej się wrzawie.

Muszą usłuchać! — odkrzyknął Will, wskazując ręką tłum.

Ktoś rzucił jabłkiem w stronę podwyższenia. Nie trafiło w wielkiego

mistrza, ale głucho plaśnięcie o ścianę chóru było znakiem alarmowym dla Gaudina. Puścił

Willa i chwycił miecz.

Cofnij się, panie! — krzyknął do wielkiego mistrza. — Sytuacja wymyka się spod kontroli!

Ktoś wrzasnął:

Jesteś zdrajcą własnej wiary, Wilhelmie z Beaujeu!

Teraz także Will sięgnął po falcjona. Próżno byłoby już przemawiać ludziom do rozsądku; następny ciśnie kamień albo nóż. Razem z Teobaldem skłonili Wilhelma, by zszedł z

podwyższenia. Tłum stał przed nimi jak mur, toteż i pozostali bracia dobyli broni. Na ten widok posypały się okrzyki:

Bliżej wam do Saracenów niż do chrześcijan!

Niegodniście nosić krzyże na płaszczach!

Zdrajcy! — Coraz więcej osób podchwytywało okrzyk: — Zdrajcy!

W końcu tłum niechętnie się rozstąpił i rycerze przepchnęli się do

wyjścia, ścigani szyderstwami i obelgami. Na zewnątrz było szaro i wietrznie. Wilhelm oparł czoło o bok wierzchowca, potem nagle się odwrócił, chwycił Willa za rękę.

Więc na to nam przyszło? — spytał, mierząc rycerza rozgorączkowanym wzrokiem. — Tylu

ludzi poległo, walcząc o królestwo Boże na tej ziemi, a teraz, po ledwie dwustu latach odkąd sen się ziszczył, wyrzekamy się go, bo każdy skąpi po cekinie? — Kurczowo zacisnął dłoń na przedramieniu Willa. — Dla tego poświęcili życie nasi ojcowie, nasi bracia? Tonęli we krwi na murach Jeruzalem... za nic? — Zwiesił głowę, zachwiał się, jakby z trudem trzymał się na nogach. — Rycerze pierwszej krucjaty, ci, którzy położyli fundament pod Królestwo

Jerozolimskie, przewracają się dziś w grobach. I sam Bóg pewnie odwrócił się od nas, widząc naszą chciwość, próżność i zadufanie. Dwieście lat... i tak to się kończy? Nie na polu bitwy, gdzie żołnierz ściera się z żołnierzem, lecz w rzezi niewinnych, dokonanej przez ciemnych wygłodniałych chłopów, którzy przybyli tu w nadziei na cud? — Zaśmiał się głucho. — A

więc naprawdę tak to się ma skończyć?

Will milczał. Czyż nie każda wojna tak właśnie się zaczyna i kończy?

myślał. Tylko kronikarze i stratedzy przechowują dla potomnych obraz łopoczących

sztandarów i szlachetnych rycerzy przeszłych epok. Rzeczywistość maluczkich jest inna. W

pieśniach mówi się o lśniących mieczach, braterstwie, Bogu i sławie. Nie wspomina się o rzeszy poległych bezsensowną, anonimową śmiercią. Po dwóch stuleciach wzajemnej rzezi...

tak, taki koniec miał właśnie pewien przewrotny sens.

Dobry Boże, ocal nas. — Wilhelm znów się zachwiał, omal nie upadł. Teobald i Piotr rzucili się ku niemu. Tłum wylewał się już z kościoła, urągliwe okrzyki raniły im uszy. Will mocno ujął mistrza pod ramię i znów przeklął w duchu Ewerarda za to, że uczynił go głową Anima Templi
umarł, zostawiając samego. Ale czując kurczowy uścisk Wilhelma, zrozumiał, że sam ma
dość siły. Był dowódcą rycerzy, był mężem i ojcem. Był mężczyzną.

To jeszcze nie koniec, panie — rzekł ostro, nachylając się tak, by wielki mistrz musiał na niego spojrzeć. — To jeszcze nie koniec.

Cytadela w Kairze Dwudziesty dzień października roku Pańskiego 1290

Kalaun z wysiłkiem pchnął drzwi i słaniając się na nogach, wyszedł do ogrodu. Słońce niemal go oślepiło. Osłonił twarz dłonią i ruszył szpalerem palm o wrzecionowatych pniach wzdłuż wgłębionego w kamiennym chodniku koryta strugi, płynącej do centralnej części ogrodu.

Była tam mroczna sadzawka pełna krążących leniwie ryb. Sułtan usiadł w cieniu na
kamiennej ławie i objął rękami tętniącą bólem głowę. Skórę miał suchą i zimną, w gardle go dławilo, z trudem hamował torsje. Dawniej duszności doskwierały mu najbardziej rano, ale ostatnio czuł je przez cały dzień. Lekarstwo, które sporządził mu medyk, od dawna już nie pomagało.

Panie? — Postyszał prędkie kroki. — Ojczy?

Wyprostował się, krzywiąc się z bólu. Zobaczył Chalila, który szedł ku niemu z powagą
wypisaną na twarzy, i przez jedną krótką straszliwą chwilę pożałował, że to Ali, nie on, umarł
na febrę. Ali miał szczodre serce, umiał cieszyć się życiem; jego być może zdołałby natchnąć ideą pojednania. Chalila otaczał chłodny mur wiary i poczucia obowiązku, którego Kalaun nie był w stanie przeniknąć. Po śmierci Alego zastanawiał się, czy Chalil będzie dlań
odpowiednim następcą, ale były to myśli zrodzone z rozpacz. Odetchnął z trudem i zamknął
oczy. Kochał syna, wciąż miał nadzieję, że znajdą wspólny język.

Co się stało, ojczy? — spytał Chalil, podchodząc. — Dlaczego wyszedłeś? Emirowie czekają na rozkaz do wojny. — Zgrzytnął zębami.

Frankowie drogo nam zapłacą za odrzucenie twoich warunków!

Chciałem wyjść na powietrze. Muszę się zastanowić.

Zastanowić? Nad czym?

Kalaun nie odpowiedział. Chalil wskazał ręką oślepiająco biały pałac.

Twoi ludzie czekają, panie.

Kalaun wciąż milczał. W głosie Chalila pojawiła się nutka desperacji:

Błagam cię, ojczy. Dlaczego nie odpowiadasz?

Sułtan uniósł głowę, przez chwilę zmagając się z twardym spojrzeniem syna.

Podjąłem decyzję — rzekł cicho.

Trzeba więc ją obwieścić. Przed nami dużo przygotowań, a mało czasu. — Chalil zawrócił do pałacu, lecz zatrzymał się, widząc, że Kalaun nie wstaje.

Nie wydam wojny Frankom.

Ośłupienie Chalila dopiero po chwili ustąpiło miejsca złości.

Na Allaha, dlaczego? Odmówili ci zadośćuczynienia za rzeź w Akce. Odrzucili ultimatum.

Musisz na nich uderzyć!

Nie zapominaj, do kogo mówisz, synu. Jestem sułtanem i moje słowo jest prawem.

Emirowie się zbuntują. — Chalil zaczął gorączkowo krążyć po ścieżce. — Nie pozwolą ci puścić tego płazem. Frankowie złamali traktat, wymordowali setki naszych! Ludzie żądają pomsty.

Usłuchałem ich przed atakiem na Trypolis i później gorzko tego żałowałem. Nie popełnię drugi raz tego samego błędu. — Kalaun dźwignął się z wysiłkiem i podszedł do sadzawki.

Spojrzał w niebo. — Brak mi Nazira

rzekł i zaśmiał się sucho. — Dziwne, prawda? Zdradził mnie straszliwie, a jednak za nim tęsknię. Pewnie bym go oszczędził, gdyby przeżył. Nie zdołałbym się zmusić do zadania mu śmierci. Tylu ludzi umarło wokół mnie... Aisza i Ali, Iszandijar, Bajbars, Nazir. Czasem się zastanawiam, dlaczego ja wciąż tu jestem. Może Allah o mnie zapomniał?

Chalil nie słuchał. Przestał chodzić w kółko i milczał przez chwilę. Potem rzekł półgłosem: Poprowadzisz ich na wojnę, ojczy. Ruszysz na Akkę i zniszczysz ostatni bastion Franków.

Kalaun odwrócił się do niego, marszcząc brwi.

Zrobisz to — ciągnął Chalil — bo tak trzeba, tak się godzi. Twój lud tego pragnie, a

Frankowie na to zasłużyli. I dlatego — zniżył głos jeszcze bardziej — że rada nie może się dowiedzieć, że jesteś zdrajcą.

Co takiego? — Sułtan spojrział na niego ze zgrozą.

Słyszałem was! — prawie krzyknął Chalil, z trudem panując nad emocjami. — Wysłuchałem

z ukrycia twojej rozmowy z posłem templariuszy. Dowiedziałem się, że od lat spiskowaliście obaj przeciw Bajbarsowi, przeciw naszym rodakom.. przeciw mnie! — Znów zaczął chodzić, gestykulując w podnieceniu. — Zachowałem to w tajemnicy, wiedząc, że gdyby prawda

wyszła na jaw, twoje życie znalazłoby się w niebezpieczeństwie. Chciałem też dać ci szansę, żebyś sam przejrzał na oczy. Błagam, nie zmuszaj mnie, bym tego pożałował!

Grozisz mi? — syknął Kalaun, podrażniony do żywego.

Chalil zrobił krok w jego stronę, lecz przystanął.

Oni cię opętali, ojcze. Jak mogłeś współpracować z najeźdźcą? Z templariuszem! Ci ludzie napadali nasze miasta, mordowali ludzi, bezczęścili meczety. Od dwustu lat! Jedynym

powodem, dla którego ów rycerz chce pokoju, jest to, że on i jemu podobni pragną zachować w Palestynie przyczółek, z którego znów będą mogli na nas uderzyć. Jeśli damy im dość

czasu, wyliżą rany i spróbują odzyskać to, co wyrwał im Bajbars i jego poprzednicy. —

Chalil ze smutkiem pokiwał głową.

Straciłeś z oczu prawdę, ojcze. Zszedłeś z prostej drogi.

Dlaczego nie możemy żyć z nimi w pokoju? — Kalaun podszedł

złapał go za ramię. — Dlaczego? Wymieniamy między sobą towary, wiedzę i wynalazki;

większość tego, co święte dla nas, jest święte i dla nich. Dlaczego musimy być wrogami? Tak, ta ziemia nie należy do Franków, zajęli ją siłą. Ale czy należy do nas? Synu, ja sam urodziłem się setki mil stąd! Czy mam do niej większe prawo niż Frankowie, którzy mieszkają tu od pokoleń? Walczymy ze sobą tak długo, że już zapomnieliśmy,

o

co!

Walczymy, bo musimy, ojcze, bo jeśli zaprzestaniemy walki, Frankowie odbiorą nam nie tylko ziemię, lecz i życie. To nie ma znaczenia, skąd pochodzisz, skąd wszyscy pochodzimy.

Jako sułtan Egiptu i Syrii masz obowiązek bronić swoich braci w wierze. — Chalil odsunął się od niego.

I obowiązek ten wypełnisz.

Kalaun patrzył długo na surową, zawziętą twarz syna. Pokonany, ruszył za nim do pałacu.

Zmagając się z ogłuszającym bólem głowy, stanął przed radą i głosem cichym niby szmer

wiatru wypowiedział Frankom wojnę. Potężny jednogłośnie aplauz, który zerwał się w sali, był dla niego jak uderzenie noża prosto w serce.

Klamka zapadła, teraz trzeba było poczynić niezbędne przygotowania. Emirowie chcieli od razu ułożyć plan kampanii, ale sułtan przełożył wszelkie dalsze dyskusje na dzień następny.

Unikając wzroku syna, opuścił podniecone zgromadzenie i udał się wprost do swoich komnat.

Odprawił sługi, wziął pergamin i pióro i zaczął pisać.

Dwa dni po odpowiedzi Wysokiej Rady Akki, w której ta powiadomiła go o odrzuceniu

żądań, otrzymał list od Wilhelma Campbella. Wielki mistrz Templum zapłaci okup ze

szkatuły zakonu, posłał już do Paryża po

dotatkowe środki. Campbell błagał go, by dał im więcej czasu. Ale tej właśnie prośby Kalaun nie mógł spełnić.

Jeśli nie chcecie zobaczyć mnie pod mitrami — pisał ze złością

przekonajcie radę, żeby zmieniła zdanie.

Zanim skończył list, ból głowy był już tak silny, że prawie zaćmił mu wzrok.

Al-Salihija, Egipt Dziesiąty dzień listopada

Co z nim?

Źle. Dałem mu leki, żeby złagodzić ból, ale nic więcej nie mogę zrobić. Lękam się, że

wkrótce nastąpi koniec.

Głosy były ciche, przepraszające, pokorne. Kalaun słyszał je jak przez sen, odległe i

nierzeczywiste. Leżał bezpieczny w miękkim łóżu, wywar z maku powoli krążył mu w

żyłach. Powinien był się zmartwić tym, co mówiły głosy, ale czuł tylko miłą ciepłą

obojętność. Ból rzeczywiście ustąpił, tlił się jeszcze niczym szkarłatna iskra gdzieś w głębi, lecz łatwo było go nie dostrzegać. Ktoś siedzący obok na brzegu łóża poruszył się; Kalaun poczuł na czole chłodną dłoń.

Ojcze, słyszysz mnie?

Miał ochotę pozostać w aksamitnej czerni, ale tuż pod powierzchnią świadomości mając było poczucie, że ma coś do zrobienia. Rozchylił odrobinę powieki i ból podczołgał się bliżej.

Słaba poświata bijąca od koszy z żarem nadal go razila. Chalil siedział obok na łóżku, twarz miał w cieniu.

Ja umieram. — Było to bardziej stwierdzenie niż pytanie, lecz nawet wypowiedziawszy je na głos, czuł się wciąż dziwnie odrętwiały.

Chalil odwrócił wzrok.

Tak — rzekł głucho.

Kalaun z trudem uniósł rękę i dotknął twarzy syna, tak jeszcze młodzieńczo gładkiej.

Zrób coś dla mnie.

Jeśli tylko zdołam. — Chalil nakrył dłonią jego dłoń.

Nie atakuj Franków. Daj im szansę poprawy. Okaż miłosierdzie.

Chalil stęzał.

Na to już za późno.

Nie, jest jeszcze czas. Nie musimy wypowiadać im wojny.

Już ją wypowiedziałeś, ojcze. Armia jest w szyku, maszyny oblężnicze gotowe. Jesteśmy w al-Salihiji. Niebawem przekroczymy Synaj.

Kalaun oderwał wzrok od twarzy syna i dopiero teraz spostrzegł, że to, co brał za ściany pałacowej komnaty, było płócienną burtą sułtańskiego namiotu.

Teraz sobie przypomniał. Ostatnie trzy tygodnie upłynęły w gorączce przygotowań. Kalaun z ciężkim sercem podpisywał rozkazy dotyczące broni i aprowizacji. Przez cały czas czekał na odpowiedź Campbella. Emirowie się niecierpliwicko chcieli dotrzeć pod Akkę, zanim nad

Palestynę nadciągną zimowe deszcze. Otoczywszy miasto, można było wezwać dodatkowe

oddziały z Aleppo i Damaszku. Było już po zbiorach, miasta

osady nie cierpiały na brak żywności. Dobra pora na wymarsz, mówili.

Musimy zawrócić. — Palce Kalauna zacisnęły się na dłoni syna. — Nie dałem im dość czasu.

Campbell ich przekona.

Chalil uwolnił rękę.

Campbell? Ten templariusz?

Frankowie zgodzą się na nasze żądania. On tego dopilnuje.

Nie zgodzą się.

Napisałem do niego... — Kalaun uczynił bezskuteczny wysiłek, żeby usiąść. — Pisałem, że wyruszamy, że musi wywrzeć nacisk na ich rząd.

Wiem.

Jak to... Coś ty... — Chory zmarszczył brwi.

Nie jestem głupcem, ojcie. — Chalil zerwał się z miejsca. — Wiem, że wydałeś rozkaz

wbrew swojej woli. Przechwyciłem list i zniszczyłem go. Frankowie mogli byli zapłacić

wcześniej. Ostrzegaliśmy ich; drugie ostrzeżenie byłoby zbyt łaski. Teraz, jeśli nawet zechcą zapłacić, jest już za późno.

Dlaczego...?

Musiałem. — Chalil usiadł z powrotem i wziął go za rękę. Kalaun chciał się odwrócić, ale brakło mu sił. — Ludzie będą z czią wspominać twoje imię. Chciałem dać im poczucie, że ich miłowałeś, mocno i niewzruszenie, i że zrobiłbyś wszystko dla ich dobra. Dopilnuję, by twoje imię przetrwało w kronikach, otoczone dobrą sławą.

Zrobiłem to właśnie z miłości do nich — wyszeptał Kalaun. — Dlaczego nie możesz tego

zrozumieć?

Wiem, że w to wierzysz — rzekł łagodnie Chalil. — Ale to mrzonka, ojcie... — Przełknął

wzruszenie i utkwiał wzrok w szarej, zrozpaczonej twarzy. — Wierzysz w nią ty i garstka

chrześcijan, nikt więcej. Już samo to, że Campbell musiałby usilnie przekonywać radę, żeby zapłaciła za po

tworną masakrę, jakiej dokonano w Akce, dowodzi, iż Frankowie nie pragną pokoju bardziej niż twoi poddani. Ideały nas nie obronią, gdy wróg obwarował się na naszej ziemi, gotów nas kasać. Tylko twarda ręka i żelazny miecz obronią nas przed najeźdźcami.

Głowa Kalauna opadła bezwładnie na poduszkę.

Nazir miał rację — wyszeptał. — Wszyscy jesteśmy niewolnikami. Niewolnikami wiary,

powinności, pomsty... Nie chcę już być niewolnikiem, Chalilu, ani żołnierzem.

Syn mówił coś jeszcze, ale Kalaun już go nie słuchał. Zamknął oczy, szukając tej cudownej miękkiej czerni, uciekając w głąb siebie przed raniącym strachem, rozczarowaniem, żalem.

Allah jednak o nim nie zapomniał. Czuł, jak nadchodzi spokój.

I oto w bezkresnej ciemnej pustce ujrzał uśmiechnięte twarze Ale- go i Aiszy, których wzywał ostatnim tchnieniem, żeby przyszli po niego i zaprowadzili go do raju.

Chalil siedział przy ojcu jeszcze długo po tym, jak jego pierś przestała się poruszać. Węgiel drzewny w jednym z koszy zasyczał nagle, sypiąc snop jasnych iskier. Chalil schylił się, wyszeptał zmarłemu do ucha szahadę i pozostał nachylony, wdychając słodki zapach olejku unoszący się z jego włosów.

W końcu przeciągnął ręką po twarzy, jakby chciał z niej zetrzeć ból, i wstał. Ludzie czekają, musi objąć dowództwo. O świcie jednak nie ruszy dalej na Akkę. Kalaun wierzył, że silna armia nie będzie mu potrzebna, bo pokój zwycięży. Emirom się śpieszyło, chcieli zdążyć

przed najsroższym okresem zimy. Z obu tych przyczyn brakowało mu żołnierzy i machin.

Jeśli ma zdobyć Akkę — i nie tylko Akkę, ale każdy zamek, każdą osadę będącą jeszcze w rękach Franków — będą mu potrzebne wszystkie siły. Nie, nie pójdzie dalej na wschód.

Przeczekaj zimę, gromadząc wojska, a potem zada silny, ostateczny cios. Zmierzali do tego Zengi, Nur ad-Din, Saladyn, Ajjub i Bajbars. Dokończy to, co tamci rozpoczęli. Pora raz na zawsze położyć kres krucjatom.

Dzielnica wenecka w Akce Trzydziesty dzień marca roku Pańskiego 1291

Dlaczego nie chcesz mnie wysłuchać?

Elwina wyprostowała się znad skrzyni, do której pakowała pościel, i spojrzała na niego.

Wysłuchałam cię. Tyle że nie zdołałeś mnie przekonać.

Will odwrócił się od okna i podszedł do niej.

Mówię poważnie, Elwino.

Ja także. — Potrząsnęła głową, ściągając kapę z łoża Andreasa i Besiny. Na jej twarzy zastygł upór.

Will poczuł, że ogarnia go rozpacz. Widział, że jego słowa padają w próżnię. Był wściekły na Elwinę za jej ślepotę, a na siebie za brak autorytetu.

Pomyśl o Róży — rzekł po chwili. — Chcesz ją narażać?

Właśnie o niej myślę — odparowała. — Jest jeszcze bardzo słaba. Medyk odradza podróż i ja się z nim zgadzam. Mówi, że to spore ryzyko.

Sądysz, że tu jest bezpieczniejsza? — Will targnął się za włosy. — Nawet mnie przy was nie będzie, kiedy wedrą się do miasta.

Elwina złożyła kapę, włożyła ją do skrzyni, podeszła i pogładziła go po policzku.

Będzie nas tu bronić ponad tysiąc rycerzy. Akka jest silna, Will. Nie trać wiary.

Odkąd statki zaczęły wozić uciekinierów na Cypr, liczba wszystkich ludzi zdolnych do

noszenia broni zmniejszyła się do kilkunastu tysięcy. Mamelucy znacznie przewyższają nas liczbą i świetnie o tym wiesz.

To co mam robić? — warknęła. — Zabrać ją na statek w czasie wiosennych sztormów, bez

medyka i nawet porządnego jedzenia, czy za-

czekać, aż wyzdrowieje? Poza tym — dodała ostro — nie wyjadę bez ciebie, a skoro ty nie możesz, to ja też nie.

Nie jestem panem siebie, Elwino. Mam obowiązki wobec Templuni i wobec miasta.

A ja wobec ciebie jako twoja żona!

Rozległo się pukanie i w drzwiach ukazała się Katarina. Uśmiechnęła się do Willa i cicho powiedziała coś po włosku do Elwiny. Patrząc na nie, Will nagle przypomniał sobie dzień, gdy córka Andreasa przyłapała ich w miłosnym uścisku w tej samej komnacie. Trudno było

uwierzyć, że minęło piętnaście lat. Dowód jednak miał przed sobą w postaci dojrzałej już Katariny, matki własnych dzieci. Zrobiło mu się smutno, choć nie bardzo wiedział dlaczego.

Róża się obudziła — powiedziała mu Elwina. — Pójdę do niej.

Kiedy wyszły, znów wyjrzał przez okno. Na ulicy rozmawiali dwaj

mężczyźni, okutani w grube płaszcze. Zima była ostra, a i teraz, choć niby nadeszła wiosna, wciąż było zimno. Przez wiele tygodni na przemian lało i mżyło, teraz zaś porywiste wichry przeganiały po niebie wielkie chmury, które rzucały zmienne cienie na rozmiękłe w

lodowatym deszczu pola. W mieście i otaczających je osadach panowały choroby;

zjadliwa gorączka zabiła już ponad setkę dzieci. Róża zapadła na nią przed miesiącem i długo obawiali się o jej życie. Ten okres był najgorszym, jaki Will dotąd przeżył: całymi nocami chodził

po swej kwaterze w Templum, wyobrażając sobie córkę, która leży w malignie o

niecałe pół mili dalej, i zaciskając zęby z bezsilności. Bliski obłądu bał się, że gdy rano zejdzie na jutrznię, będzie na niego czekać przy bramie wiadomość o jej śmierci. Ale Róża była silna i przetrwała kryzys. Teraz bardzo powoli wracała do sił. Pogoda też zaczęła się poprawiać, ale suchsze dni i łagodniejsze noce zamiast przynieść ulgę, wzmogły poczucie zagrożenia. Drogi twardniały, mogły teraz unieść armię. Zamykając oczy, Will miewał

wrażenie, że słyszy tupot tysięcy stóp, po-
dzwanianie uprzęży, skrzyp kół machin
obłączniczych, a nad tym wszystkim nieustanny pulsujący rytm bębnow.

Za jego plecami stuknęły drzwi.

Jak się czuje? — spytał.

Spodziewał się Ełwiny, lecz odwróciwszy się, ujrzał Andreasa. Skłonił się lekko, speszony.

Wciąż czuł się intruzem w jego domu. Z biegiem lat obaj mężczyźni oswoili się ze sobą, lecz nigdy nie polubili. Elwina stanowiła jedyny między nimi łącznik. Andreas zastępował jej ojca, Will odgrywał rolę dochodzącego męża i każdy zazdrośnie spozierał na drugiego.

Wskazując drzwi, spytał po arabsku, bo tylko ten język znali obaj:

Chcesz, żebym wyszedł?

Zostań. — Andreas machnął ręką i podszedł do pulpitu, na którym została kupka papierów.

Zaczął je przeglądać, potem rozejrzał się po nagiej komnacie. — I tak długo tu już nie
zagrzeję miejsca. Widziałeś Różę?

Jeszcze nie. Zajrzę do niej przed wyjściem. Ełwina prosiła, żeby jej nie męczyć.

Andreas chrząknął i znow utkwiał wzrok w papierach.

Rozmawiałeś z nią, jak sądzę? Udało ci się ją przekonać?

Musiałbym ją chyba zdzielić po głowie i wrzucić nieprzytomną na twój statek. Nic do niej nie
dociera.

Kupiec uśmiechnął się blado.

Zawsze była uparta. Ja też nie dałem rady. — Spoważniał. — Zostaje przez wzgląd na ciebie, wiesz
o tym?

Zdaję sobie z tego sprawę. Ale boi się też o Różyczkę, podobnie jak twój medyk.

Istotnie, decyzja nie jest łatwa, ale chyba lepiej zaryzykować podróż morską, niż czekać tu na nieuchronny koniec. Ludzie mówią, że sułtan Chalil prowadzi dwustutysięczną armię. Nie jestem żołnierzem, ale nawet ja rozumiem, że w starciu z taką liczbą ciężko będzie się nam obronić.

Will milczał. Andreas pokręcił głową.

Cokolwiek by rzec — westchnął — jedno jest pewne: masz zaciekle wierną połowicę.

Aż za bardzo — odparł Will. — Nie chcę, żeby ginęła dla mnie.

Miłość odbiera rozum. — Kupiec zebrał papiery. — Jak już ci mówiłem, mam przyjaciela,

który będzie czekał z wypłynięciem do ostatniej chwili. Podobnie jak wielu i on ma nadzieję, że mury wytrzymają. Weźmie Elwinę i Różę na pokład, muszą tylko na czas dotrzeć do portu.

Zawiezie je do Wenecji, tam ja się nimi zajmę, dopóki nie dostanę wieści od ciebie. Wiem, że w czasie oblężenia będziesz zajęty gdzie indziej, ale spróbuj dopilnować, żeby nie spóźniły się na statek. — W korytarzu rozległy się kroki i Andreas umilkł.

Weszła Elwina. Przyjrzała im się nieco podejrzliwie, potem przeniosła wzrok na Willa.

Powiedziałam Róży, że do niej przyjdiesz.

Rycerz skinął Andreasowi głową i poszedł za żoną krętymi schodami na poddasze.

Dziewczynka leżała opatulona w wielki wełniany pled. Serce mu się ścisnęło na widok bladej buzi. Złociste włosy, rozpostarte na poduszce, były pozlepiane w matowe strączki. Miał nadzieję, że będzie już lepiej wyglądać.

Otworzyła oczy.

Ojcze... — szepnęła, usiłując się podnieść.

Leż, kochanie. — Położył jej dłoń na ramieniu. — Przyszedłem cię tylko ucałować. Postaraj się znów zasnąć. Musisz nabierać sił.

Powiedz Katarinie, żeby nie jechała — zamruczała sennie. — Będę za nią tęsknić.

Will pogłaskał ją po głowie.

Niedługo się z nią zobaczysz. Im więcej będziesz jeść i spać, tym szybciej to nastąpi.

Obiecujesz?

Przysięgam. — Uśmiechnął się, kładąc rękę na sercu.

Kącik ust Róży uniósł się nieco w górę.

Przyjmuję twą przysięgę, rycerzu.

Przykucnął obok i głaskał ją dotąd, aż powieki znów opadły, oddech się wyrównał. Nogi mu ścierpły, ale nie chciał się ruszać. Po jakimś czasie poczuł na ramieniu dłoń Elwiny.

Wracaj do preceptorium — powiedziała. — Będą cię szukać.

Pochylił się i lekko ucałował Różę w policzek. Kiedy wyszli, złapał

Elwinę za rękę.

Przyjaciel Andreasa weźmie was na pokład, gdy obrona padnie.

Wiem — odpowiedziała.

Jeśli do tego dojdzie, musisz odpłynąć z Różą, nawet jeżeli ja nie będę mógł. Rozumiesz?

Tak — mruknęła, odwracając wzrok.

Will przyciągnął ją do siebie, objął. Zamknęła oczy.

Boję się, Will.

Może Bóg się nad nami zlituje — szepnął.

Przez chwilę stali objęci, jakby nie mogli się od siebie oderwać, potem zeszli na dół,

trzymając się za ręce. W sieni, obok sterty skrzyń i worów czekała na nich Katarina. Podeszła i ujęła Elwinę za obie dłonie.

Papa chce, żebym jechała pierwszym wozem. Giovanni i dzieci czekają na mnie w porcie. —

Zatroskana spojrzała Elwinie w oczy. — Płyn z nami.

Nie mogę — wyszeptała Elwina.

Katarina zaczęła płakać. Will nie rozumiał słów, ale domyślał się,

o

czym mówią. Odwrócił głowę.

Elwina uściskała dawną podopieczną.

Nic nam się nie stanie, zobaczysz. Jeśli Akka upadnie, spotkamy się w Wenecji. Jeśli się obroni, twój ojciec na pewno zechce tu wrócić. Tak czy owak na pewno się jeszcze

zobaczymy.

Katarina ucałowała ją w oba policzki, pociągając nosem. Uśmiechnęła się przez łzy do Willa.

Żegnaj, Will — powiedziała po angielsku. — Pilnuj jej.

Wspięła się na wóz wyładowany dobytkiem kupca i pomachała im ręką.

Elwina przysunęła się do Willa, patrząc za nią.

Dziwnie będzie mieszkać w pustym domu tylko z Różą — westchnęła.

Myślałem, że Andreas kogoś ci zostawi?

Tak, Piera, ale to niewiele zmienia. — Pokręciła głową. — Jaka szkoda, że się wam nie udało.

Zamiast odpowiedzieć, Will ucałował ją tylko w czoło.

Trzy dni temu zwołał ostatnie zebranie Anima Templi. Nakazał spakować wszystkie dokumenty i pieniądze. Tych pierwszych było bardzo niewiele; tajność nie sprzyjała przelewaniu informacji na papier. Wraz ze szkatułą bractwa spoczywały w komnacie seneszała. Po krótkim wahaniu Will dołożył do nich kronikę Ewerarda, wyjętą z zamykanej skrzyni w jego dormitorium. Może i była tylko chaotycznym zapisem przemyśleń sędziwego starca, lecz stanowiła symbol. Miał wrażenie, że odsyłając kronikę, daje dowód niewiary w przetrwanie Akki, w zwycięstwo ideałów, które sam głosił.

Spal ją — powtórzył seneszał, widząc jego wahanie.

Nie — odparł szybko Will. — Tylko to pozostało...

Miał zamiar dokończyć: „po Ewerardzie”, ale urwał, nie chcąc okazywać słabości.

Nie — powtórzył stanowczo. — Wyślemy to do Hugona w Paryżu, jak uzgodniono. Każ giermkom załadować skrzynię na statek.

Jak sobie życzysz. — Seneszał z ociąganiem skinął głową.

Potem Will sam odwiedził kilku współpracowników Anima Templi,

namawiając ich do wyjazdu. Rabin Eliasz zaśmiał się tylko dobrodusznie, oznajmiając, iż nigdzie się nie ruszy, dopóki jest jeszcze szansa, że pokój zwycięży. Jego słowa tchnęły spokojnym optymizmem, który dał Willowi szczyptę nadziei.

Wziął Elwinę za rękę, próbując choć trochę podnieść ją na duchu.

f— Może się jeszcze uda — powiedział, choć wewnętrzny głos mu szeptał, że to tylko puste słowa, w które sam nie wierzy.

Uścisnął jej dłoń i wyszedł na ulicę. Po kilku krokach obejrzał się. Elwina stała na progu, dygocząc w zimnym wietrze, oczy miała jasne i błyszczące w bladych promieniach słońca.

Wzruszony zawrócił i porwał ją w ramiona. Zaśmiała się zaskoczona, potem umilkła. Jej ręce objęły go kurczowo.

Kocham cię — szepnął Will, wtulając usta w jej włosy.

Po długiej chwili wypuścił ją z objęć i ruszył do preceptorium.

Ludzie wystawali na ulicach, wymieniając posępne uwagi. Inni ładowali dobytek na wozy lub juczne zwierzęta i wieźli go do portu. Wyjeżdżało wielu, lecz i tak ewakuacja przebiegała bardzo powoli. Ludzie nie wierzyli, że mury, które oparły się atakom Bajbarsa, można

przełamać. Wielu miało nadzieję, że sułtan da się udobruchać. Will wiedział, że to już niemożliwe.

Otrzymawszy wieść o śmierci Kalauna, Wilhelm z Beaujeu pchnął posłów do nowego sułtana, al-Aszrafa Chalila, chcąc wznowić negocjacje. Will miał wtedy biegunkę i został w Akce — szczęściem dla siebie, bo poselstwo nie wróciło. Zamiast niego mamelucki goniec

przywiózł list, w którym sułtan uprzedzał, by nie wysyłali doń więcej posłów i nie proponowali darów, albowiem ich nie przyjmie. „Przybywamy do was” — pisał

„aby wziąć zadośćuczynienie za wyrządzone krzywdy”.

Niewiele później do Akki zaczęły spływać wieści, że Chalil zbiera armię, jakiej nie widziano od początku krucjat. Postawiono pod broń wszystkich mameluków i wszystkie siły pomocnicze. Władcy Hamy i Damaszku formowali własne chorągwie, a wiele tysięcy

zwykłych mężczyzn w Egipcie, Palestynie, Libanie i Syrii — weteranów wojskowych,

wieśniaków, rzemieślników, zapalczywych chłopców — zgłaszało się na ochotnika,

usłyszawszy w meczecie wezwanie do dżihadu. Była to święta wojna zatrwajających

rozmiarów. W Libanie ścinano całe połacie lasu na maszyny oblężnicze. Chalil kazał ponoć zbudować sto katapult, niektóre tak wielkie, jakich świat nie widział. Jedną z nich, nazwaną Ghadban, czyli Gwałtownikiem, cała ludność Damaszku wytaczała z miasta po śniegu i

błocie. Teraz wszyscy ci ludzie i wszystkie maszyny miały ruszyć na Akkę, Chłód i deszcz na początku miesiąca opóźniły marsz, ale teraz pogoda się znacznie poprawiła i potężna armia wkrótce mogła stanąć pod murami.

Do obrony powołano wszystkich mężczyzn, jacy jeszcze zostali w chrześcijańskiej Ziemi Świętej. Ściągnięto załogi z mniejszych zamków na wybrzeżu, pozostawiając je na pastwę wroga. Akka była ostatnim silnym bastionem krzyżowców, przeto jej utrzymanie było najważniejsze. Po raz pierwszy od dziesięcioleci skłócone wspólnoty utworzyły wspólny front. Templariusze pracowali na umocnieniach wraz z joannitami i Krzyżakami.

Francuski regiment ponad stu kuszników, utworzony przez zmarłego króla Ludwika, połączył siły z gwardią Henryka Cypryjskiego i angielskim bractwem Świętego Tomasza. Pizańczycy i Wenecjanie razem budowali wielkie mangonele; zbroili się pospołu najemnicy i gwardziści republik kupieckich oraz strażnicy innych dzielnic miasta. Akka zdawała się gotowa na przyjęcie uderzenia.

Krążąc ulicami miasta, Will wyczuwał aurę determinacji. Pod powłoką strachu tliła się wola walki. Widać ją było na twarzach kupców, którzy zabijali drzwi składów deskami, ale nie godzili się opuścić miasta; w ruchach kobiet i dziewcząt dźwigających wory z kaszą do

wartowni przy murach. Wyzywająco brzmiały dźwięki młotów, którymi kuto broń i podkowy dla koni. Zaprzęgami wołów windowano na blanki gotowe już wyrzutnie. Co wieczór na murach zapalały się pochodnie, mnożąc ruchliwe cienie dwudziestu tysięcy zbrojnych.

Will wszedł na wzgórze Montjoie, dzielące kwartał wenecki od genueńskiego, i spojrzał z góry na labirynt ulic, pocięty na dzielnice o własnych murach i bramach. Wyławiał zeń

wszystkie znane miejsca, włoskie rynki, katedrę i zamek królewski. Liczył wieże kościołów i kopuły meczetów, spoglądał na omiatane wiatrem nabrzeże i gruby łańcuch zamykający

przystań. Potem obrócił się ku północy, w stronę wielkiego obwałowanego szpitala Świętego Jana, tuż za którym biegła fosa oddzielająca właściwe miasto od przedmieścia Montmusart.

Jego wzrok pobiegł dalej, nad dachami domów i wieżą leprozorium ku podwójnej linii

murów okalających miasto od strony lądu. Półwysep, na którym stała Akka, ujęty był grubym kamiennym pierścieniem wzmocnionym przez potężne baszty. Will długo stał na wzgórzu,

choć wiatr targał mu tunikę, czarne włosy i brodę przetykaną już nitkami siwizny wokół ust.

Patrzył na miasto, starając się je zapamiętać takim, jakim było w ciszy przed burzą. Czuł, że i w nim

wzbiera wola walki.

Kiedy poselstwo wielkiego mistrza nie wróciło, Will zwrócił się o pomoc do zamieszkałych w Akce muzułmańskich sojuszników Anima Templi, którzy wciąż wierzyli w pokojowe

współistnienie, a w razie upadku miasta czekał ich zapewne ten sam los, co chrześcijan. Stał

za ich pośrednictwem listy do Chalila i jego emirów, powołując się na przyjazne stosunki z Kalaunem i dobrobyt, jakim obie strony cieszyły się przez wiele lat. Proponował złoto,

umowy handlowe, zwolnienie jeńców. Ale z góry przeczuwał, że nie dostanie odpowiedzi,

sam widział we własnych słowach niemoc i rozpacz. Od lat starał się powstrzymać żywioł, latając mnożące się przecieki w tamie, ale teraz jego napór stał się zbyt silny i tama runęła.

Pozostały mu dwa wyjścia: pozwolić się zmyć nawałnicy albo stawić jej czoło. Dusza

Świątyni zrobiła co w jej mocy, teraz nie mógł już być krzewicielem pokoju; miał obowiązek wobec miasta, zakonu, przyjaciół, wreszcie żony i dziecka. Musiał ich bronić. I będzie ich bronił do ostatniego tchu. Od dzieciństwa Templum przygotowywało go na tę chwilę.

Brama Świętego Łazarza Piętnasty dzień kwietnia

Księżyc wzeszedł nad głowami mężczyzn czekających w międzymurzu. Z końskich nozdrzy

buchały białawe obłoczki pary. Widmowa poświata oblała pas ziemi zaśmiecony gruzem,

kamieniami z machin, strzałami.

Will zerknął na wielkiego mistrza stojącego przy bramie wraz z mistrzem zakonu Świętego Łazarza oraz Szwajcarem Odonem de Grandson, pełniącym komendę nad rycerskim

bractwem Świętego Tomasza. Wszyscy trzej byli przybrani do bitwy, ale Wilhelm z Beaujeu prezentował się najpiękniej. Biała tunika z krzyżem opinała zbroję na piersi, niżej zaś rozkładała się kloszowo, odsłaniając polerowane nagolenniki. Rękawy przedłużone

mitenkami z kolczej plecionki chroniły ręce, takież kaptur okrywał głowę i kark. Pod pachą mistrz trzymał hełm zwieńczony pękiem białych orlich piór o czubkach pomalowanych

henną, tak że wyglądały jak unurzane we krwi. U pasa miał długi miecz. Will obejrzał się, słysząc za plecami niecierpliwe westchnienie Roberta. Czuł przedbitewne napięcie

otaczających go rycerzy, choć większość doskonale nad nim panowała, tak jak ich nauczono

— do czasu, gdy będą je mogli wyładować na nieprzyjacielu.

Po chwili Wilhelm zakończył rozmowę i podszedł do konia. Dwóch pachołków podsadziło go

na siodło, uginając się pod ciężarem rycerza w pełnej zbroi. Odo wrócił do swoich, zaś mistrz od Świętego Łazarza, pchnawszy dwóch ludzi za bramę, zajął miejsce na czele spieszonych trędowatych rycerzy, którzy stali nieco dalej. W sumie połączone oddziały kawalerii i

piechoty liczyły prawie trzystu ludzi.

Północno-zachodnia część umocnień Montmusart została powierzona templariuszom.

Serwienci na zmianę donosili broń i zapasy z preceptorium do prowizorycznych koszar

urządzonych w domach i stajniach pod murami, w tamtą stronę zaś — rannych i wieści.

Rycerze przeżegnali się znakiem krzyża i opuścili zasłony hełmów. Templariusze sformowali szyk przed bramą. W pierwszym szeregu stał wielki mistrz z Teobaldem i Willem. Za

nimi Zacharisz i Robert flankowali chorążego niosącego czarno-biały proporzec zakonu.

Mijały sekundy oczekiwania. Will czuł, że serce bije mu coraz szybciej. Jego puls dudnił we wnętrzu hełmu, podczas gdy reszta świata zdawała się dziwnie cicha. Ujął mocniej tarczę, jaskrawobiałą w świetle księżyca; idący przez pierś pas napiął mu się na ramieniu.

Zwiadowcy dali znak i pięciu zbrojnych podbiegło do bramy. Razem zdjęli potężny

drewniany rygiel i otwarli ją na oścież. Kołowrót dźwignął żelazną bronę, drugi równocześnie zaczął opuszczać most zwodzony. Will poruszył brodą, rozluźniając zaciśnięte szczęki, i utkwiał wzrok w poszerzającym się pasku jaśniejszego nieba w otworze bramnym. Most

opadał powoli, świeżo naoliwione przekładnie i cięgła pracowały niemal bezszelestnie. Z

zewnątrz wtargnął szum morza i silny poryw wiatru niosący zapach soli, błota — i ludzi: zmieszana woń ludzkich i końskich odchodów, potu, metalu, palącej się oliwy i drewna,

gotowanego na ogniskach mięsa. Most opadł na drugi brzeg fosy otaczającej zewnętrzny mur.

Wizurę hełmu Willa wypełnił rozłożony za nią obóz.

Linie oblężenia wytyczały drewniane pawęże i osłony uplecione z wikliny. W pewnej

odległości za nią rozciągało się morze namiotów. Patrząc z blanków, można w nim było

wyróżnić odrębne obozowiska dowodzone przez różnych emirów, lecz stąd nie sposób było

określić, gdzie kończy się jeden, a zaczyna drugi. Namioty, za dnia rażące pstrokacizną kolorów, teraz w świetle księżyca wszystkie miały tę samą szarawą barwę. Wyróżniały się tylko większe pawilony dowódców. Między nimi a linią oblężenia stały maszyny: jedne

niewielkie, wysokie tylko na dziesięć do dwunastu stóp, miotające oszczepy, inne większe —

te wystrzeliwały ciężkie gązdy i baryłki z ogniem greckim. Cztery budziły grozę; na tle nieba bieleły ich olbrzymie szkielety, w tej chwili nieruchome. Nieco tylko na prawo od bramy Świętego Łazarza stał damasceński Ghadban. Obsługiwali go żołnierze księcia Hamy,

którego obóz pokrywał znaczną połąć terenu przyległą do brzegu morza. Mieli go teraz na wprost siebie. W ciągu ubiegłych dziesięciu dni Gwałtownik w pełni zasłużył na swoje miano.

Mamelucy nadciągnęli pod Akkę piątego kwietnia, ukazując się z nagła na długim odcinku widnokregu. Ostatni uciekinierzy, w większości rdzenni chrześcijanie z okolicznych wiosek, przynieśli wieści o palonych i wyrzyna- nych w pień osadach. Sułtan kazał rozbić swój czerwony jak krew namiot na wzgórzu wznoszącym się na północny wschód od miasta, gdzie Tem- plum miało winnicę. Armia sprawnie zajmowała pozycje i w niedługim czasie otoczyła mury szczelnym pierścieniem sięgającym od północno- -zachodniego brzegu półwyspu do zatoki na południu. Rozbito namioty, wykopano latryny, złożono w całość maszyny oblężnicze. Wozy krążyły w tę i nazad, wożąc kamienie, które składano w stosy obok mandżanik. Kilkakrotnie w ciągu dnia żołnierze przerywali prace, żeby oddać cześć Allahowi. obrońcy wciszy przysłuchiwali się z murów ich śpiewnym modłom.

Nazajutrz rozpoczęło się oblężenie.

Co dnia o świcie basowy⁷ warkot bębna obwieszcza! rozpoczęcie ostrzału. Mameluccy

łucznicy wypuszczali chmary strzał, które spadały na obwałowania. Z machin leciały wielkie gązdy, nieustannie tłukąc w mury i baszty. W porcie panował ruch, statki wywoziły na Cypr uchodźców, którzy nie wierzyli już w zwycięstwo, a stać ich było na przejazd. Will błagał

Elwinę, żeby uciekała z Różą, ale ona zwlekała. Tymczasem z dnia na dzień pierścień

oblężenia się zacieśniał, co dnia wielkie tarcze przesuwwały się do przodu, a w ślad za nimi pełzły maszyny. Miotając pociski z murów, obrońcy zdołali spowolnić ich pochód, choć

grubo pokryte faszyną pawężę trudno było strzaskać; kamienie najczęściej odbijały się, nie czyniąc im szkody. obrońcy przeprowadzili też kilka ataków z morza. Mangonela z pokładu weneckiego statku zadała wiele strat prawej flance mameluckiej armii. Dzień później trzy pizańskie okręty obrzuciły obóz Hamy gązami z trebu- szy, lecz rozpętał się sztorm i musiały zawrócić. Sarkano, że Saraceni bronią się czarami. Po dziesięciu dniach nieustannych ataków duch obrońców zaczynał słabnąć. Potrzebny im był sukces.

Will sprawdził, czy miecz gładko wychodzi z pochwy. Sześciu braci Świętego Tomasza wybiegło przez bramę; prędko rozwinęli na moście prostokąt zszyty z kilku warstw materiału. Gdy wrócili, Wilhelm z Beaujeu podniósł opancerzoną dłoń. Will dźgnął boki wierzchowca ostrogami i ruszyli. Na wyścielonym moście odgłos kopyt był prawie niesłyszalny, a szum morza tłumiał pozostałe odgłosy. Naprzeciw, za linią zapór, wznosił się Gwałtownik. Wilhelm z Beaujeu sprowadził swój oddział na piaszczysty grunt, kierując się wprost ku niemu.

Rycerze Świętego Tomasza i Świętego Łazarza ruszyli ku obozowisku księcia Hamy, który miał pod komendą Syryjczyków wspomaganych przez oddziały beduińskie i kilka setek mame- luków.

Za mostem teren gwałtownie opadał, z zagłębienia nie było widać obozu, tylko wielką maszynę. Wycieczka poruszała się szybko i cicho, piasek tłumiał tętent. Stali się teraz widoczni jak na dłoni, ale przed zaporami nie było wart. Oblegający podsunęli się już na tyle blisko, że znaleźli się w zasięgu łuczników z Akki i ktokolwiek wychylił się poza osłony, był brany na cel. Zresztą większość żołnierzy spała. Nocami nie prowadzili ataków i być może nie

spodziewali się wypadu ze strony będących w mniejszości oblężonych. Nie mieli więc pojęcia, że w tejże chwili ze wszystkich bram miasta wykradają się zbrojne oddziały, posuwając się bezszelestnie w stronę uspiętego obozu.

Niebawem templariusze dotarli do linii osłon. Paru serwientów zeskoczyło z koni, dzierżąc liny z żelaznymi hakami, tymczasem rycerze ustawili się do ataku, kierując dobrze

wyćwiczone wierzchowce naciskiem nóg i nieznacznymi ruchami wodzy. W złudnym świetle księżycy prawdziwe kształty zlewały się ze sobą, a cienie były ostre i wyraźne, Ale wkrótce miało tu być jasno jak w dzień.

Przez kilka chwil nic się nie działo. Wielki mistrz zadarł głowę ku murom, jego orli pióropusz zakołysał się w nocnym wietrze. Will obejrzał się także. Posłyszał w oddali cichy szczełk zwalnianego spustu i głucho stuknięcie drewna o drewno. Na niebie ukazała się maleńka

gwiazdka, zawisała na chwilę, a potem zaczęła spadać, rozpalając się coraz jaśniej. Will zdał sobie nagle sprawę, że pocisk chybi. Wilhelm też to zauważył, bo wymamrotał pod nosem

przekleństwo. Istotnie, duży garnek z greckim ogniem nie doleciał do stosów faszyny, które miał podpalić, rozbił się nieopodal na piasku. Ogień buchnął na krótko, lecz nie mając się czym pożywić,

szybko przygasł i choć czekający serwienti próbowali przegarnąć płonąca

substancję, wkrótce zgasła całkiem. Wilhelm uniósł się w siodle, chcąc dać znać obrońcom, żeby wystrzelili jeszcze raz, ale nim podniósł rękę, za zaporą podniósł się alarm.

Teraz! — zawołał do giermków, którzy cofnęli się nieco i rzucili haki. Przy wtórze narastającej wrzawy wspólnie pociągnęli za liny. Zapora chroniąca Gwałtownika runęła, miażdżąc faszynę i w tę lukę wdarli się rycerze.

Załoga maszyny nie odstępowała jej nawet w nocy; już biegła im naprzeciw z dobytą bronią.

W oddalonym nieco głównym obozie Syryjczycy wyskakiwali z namiotów⁷ na wpół ubrani i na wpół przytomni. Pochodnie, wepchnięte w przygaszone ogniska, rozpały się jasnym ogniem.

Rąbcie maszynę! — wrzasnął wielki mistrz do serwientów, którzy już gnali ku niej z toporami. — Reszta naprzód! Do ataku!

Część rycerzy się oddzieliła, żeby zmieść nadbiegających Syryjczyków; reszta pod wodzą Wilhelma z Beaujeu pogalopowała w stronę obozowiska. Wpadli do niego, wycinając krwawe zniwo w pierwszych liniach wroga, wciąż oszołomionych ze snu. Z lewej strony, obaliwszy dalszy odcinek osłon, pędzili im na pomoc rycerze Świętego Tomasza, wydając bojowe okrzyki.

Will posłyszał świst bełtu, który przeleciał mu koło ucha, i przyśpieszył. Z pobliskiego namiotu wypadł jakiś wojownik z nagą pierśią, zamierzając się mieczem. Will w ostatniej chwili gwałtownie skręcił konia i opuścił tasak. Impet ciężkiej głowni odciął rękę w

przegubie, miecz wraz z zaciśniętą na rękojeści dłonią utonął w mroku, a wyjący napastnik upadł na kolana, ściskając krwawiący kikut. Dwóch wypadło z prawej; obrócił wierzchowca, zbijając ich z nóg. Mądre zwierzę stanęło dęba, tratując powalonych podkutymi kopytami, tak jak je nauczono.

Muzułmanie nadbiegali coraz liczniej. Will znalazł się w ich kręgu wraz z trzema innymi rycerzami. Ciął raz po raz; opuszczoną nisko tarczą łowił wymierzone w siebie ciosy. Za każdym uderzeniem drżała, mrowiąc mu ramię aż do barku. Ktoś dosięgnął jego uda, ale

szabla ześliznęła się po kolczudze. Popędził konia w kółko; opancerzona pierś ciężkiego rumaka stanowiła dobrą tarczę i użyteczną broń. Pot spływał mu po twarzy pod hełmem,

przez wizurę widział tylko to, co miał naprzeciw. Pozostali zniknęli w głębi obozu, starając się dać giermkom dość czasu na zniszczenie maszyny. Wokół rozlegały się wrzaski i szczęk broni.

Will młócił brutalnie, metodycznie każdego, kto znalazł się w zasięgu miecza, powodowany jedną myślą: zabić, nim oni zabiją jego. Nie widział już ludzi, tylko cele, które trzeba zniszczyć. Instykt wziął górę nad myśleniem; kończyny poruszały się same jak ramiona

wiatraka, napędzane strachem, furią i wolą przeżycia. Ryczał, rąbiąc falcjonem każdy

nieosłonięty fragment ciała. Ostatniego napastnika trafił prosto w głowę, rozłupując czaszkę aż po nozdrza. Drogę przed sobą miał wolną. Z przodu dobiegały ostrzegawcze krzyki

templariuszy. Działo się coś złego.

W głębi obozu namioty stały ciasniej; zwodniczy blask księżyca nie pozwalał dostrzec lin napinających płótna, w które zaplątały się nogi szarżujących koni. Wierzchowce przewracały się wraz z jeźdźcami, jeden zwalił się do namiotu, zrzucając rycerza na zaostriżony maszt, który przebił mu szyję. Ranny miotał się w drgawkach, dopóki dwaj Syryjczycy nie dobili i jego, i konia. Inny, wysadzony z siodła, opędzał się od trzech nacierających mameluków, powłócząc nogą skręconą przy upadku. Potknął się o linkę i runął wprost na płachtę

osłaniającą dół latryny wypełniony odchodami z dziesięciu dni. Próbował się jeszcze wspiąć po oslizłych ścianach wykopu, lecz jedna po drugiej utkwili mu w piersi trzy strzały i ciężar kolczugi ściągnął go na dno cuchnącej gnojówki.

Wielu rycerzy straciło konie, Syryjczycy zaś nadbiegali coraz liczniej, większość zdążyła już nałożyć hełmy i chwycić tarcze. Z trudem przerażając się przez okrażających nieprzyjaciół, Wilhelm z Beaujeu wykrzyczał

rozkaz do odwrotu. Osłaniani przez trędowatych towarzyszy, templariusze wyplątali się

spomiędzy linek i zawrócili do miasta.

Will dołączał do oddziału, kiedy już na skraju obozu inny rycerz wyleciał nagle z siodła i przekoziółkował nad końskim karkiem, gubiąc hełm. Will poznał Roberta. Inni gnali naprzód, ślepi na jego potrzebę. Ścigali ich rozjuszeni napaścią Syryjczycy, żądni pomsty za krew poległych towarzyszy.

Zawrócił konia.

Wstawaj! — ryknął do Roberta. — Wstań!

Rycerz, macając dokoła za upuszczonym mieczem, podniósł głowę. Obejrzał się prędko, a

widząc pogoń, zerwał na nogi i ruszył pędem w stronę Willa. Ten minął go w galopie,

zatoczył kółko, roztrącając biegnących muzułmanów, a następnie zawrócił ostro po rycerza.

Robert skoczył, uczeplił się obiema rękami siodła i legł niezgrabnie na końskim zadzie, podrzucany w pędzie. Minęli linię zapór, usianą zwłokami poległych. Gwałtownik stał nad nimi, niepokonany. Giermkowie zdążyli tylko pokaleczyć jego drewniane boki.

Wpadli na most pod osłoną łuczników, którzy gęsto szyli z murów do ścigających. Gdy ostatni pieszy, kulejąc, wbiegł do międzymurza, most podniesiono i bramę zamknięto.

Rannych przeniesiono prędko na Mont- musart, gdzie zajęli się nimi medycy i księża.

Niektórzy przywieźli ze sobą pochwycone w trakcie ucieczki bębny i tarcze wrogów, które wywieszono z murów na urągowisko. Ale te drobne fanty były tylko symbolem okupionym

wysoką ceną. Odo de Grandson stracił dwudziestu siedmiu pieszych i konnych z

pięćdziesięcioduosobowego oddziału. Templariusze — czterech giermków i osiemnastu rycerzy, co było dużym uszczerbkiem.

O

świcie, kiedy do obozu Templum dotarła wieść, że inne wycieczki poniosły podobne straty, morale upadło jeszcze bardziej.

Port w Akce

Osiemnasty dzień maja roku Pańskiego 1291

Garen przepychał się przez ciżbę, puszczając mimo uszu sarkania roztrącanych ludzi. Jakaś tęga niewiasta o nalanej czerwonej twarzy zastąpiła mu drogę.

Czekaj swojej kolejki! — Zmarszczyła z pogardą nos, patrząc na jego poplamioną odzież i przekrwione oczy.

Precz, wiedźmo! — parsknął, odpychając ją na bok, ale ktoś złapał go za płaszcz. Zobaczył za sobą chudego staruszka.

Jak śmiesz trącać moją małżonkę! — zaperzył się starzec.

Garen zdzielił go w twarz, zbijając z nóg. Zrobił się szum. Tęga żona

stała w obronie męża, lecz w zamieszaniu Garen zdołał się wyrwać ze ścisku i ruszył dalej.

Zbliżał się świt; atramentowoczarne morze za główkami portu odbijało już pierwsze blade smugi poranka. Nawoływania żeglarzy mieszały się z trwożnym poszeptywaniem uchodźców,

kontrapunktowanym tu i ówdzie płaczem niemowlęcia. Panował nastrój ledwie powściągniętej paniki. Było go widać w przerażonych oczach kobiet, dygoczących w porannym chłodzie w oczekiwaniu na statek, który wywiezie je z Akki. Przeważającą większość tłumu szczelnie wypełniającego nabrzeże stanowiły niewiasty i dzieci. Nieliczni mężczyźni byli albo bardzo starzy, albo bardzo bogaci. Wszystkich zdolnych do noszenia broni — nie tylko żołnierzy, także chłopów, rzemieślników i kupców—wezвано na mury. Wciąż walczyli w obronie miasta, choć w ciągu minionego miesiąca nadzieja na jego ocalenie zaczęła gasnąć.

Kilka kolejnych wycieczek próbowało przerwać linię oblężenia, lecz żadnej się to nie udało.

Potem bramy Akki zamknięto już na stałe. Nastroje poprawiły się na krótko, kiedy młody król Cypru Henryk przyплыł z dwiema setkami jazdy i pięćsetosobowym oddziałem piechoty.

On także

próbował rokować z sułtanem, lecz próby spełzły na niczym, a codzienne ataki nie ustały.

Ożywione nadzieje pierzchły. Od tamtego czasu zawaliły się pod ciągłym ostrzałem Wieża

Angielska i wieża hrabiny Blois, a także trzy odcinki zewnętrznego muru przy bramie

Świętego Antoniego, Świętego Mikołaja oraz Wieży Królewskiej. Wczoraj rano członkowie

Wysokiej Rady — ci, którzy nie uciekli na Cypr — spotkali się na zamku i zarządzili

ostateczną ewakuację kobiet i dzieci.

Kiedy wieść się rozeszła, mieszkanki Akki zaczęły ściągać do portu, niosąc tyle dobytku, ile mogły udźwignąć. Wiele z nich przeczekalo noc na nabrzeżu. Z przystani zaczął już odbijać sznur mniejszych i większych statków wyładowanych kobietami, które straciły wszystko i nie miały pojęcia, jak zapewnią dzieciom dach nad głową i jadło tam, dokąd płyną. Większość przeżyła w Akce całe swoje życie. Pozostawiły mężów, ojców i synów, którzy wciąż

odpierali drapieżną hordę, walcząc o każdą piędź, każdy kamień umocnień. Wchodziły na

statki, ściskając w ramionach dzieci, szukając kogoś znajomego w tłumie obcych, wylękłych, pokrytych kurzem twarzy. Teraz, gdy niebo pojaśniało i widmowa szarość zabarwiła się słonecznym różem, widać już było, że statków jest za mało, żeby zabrać wszystkich.

Garen dysząc ciężko, w końcu dotarł do portowego muru, gdzie pierwszy rząd niewiast wsiadał na pokład weneckiej nawy. Nie zważając na ich piski, przepchnął się do przodu, przewracając jakieś dziecko, które zaczęło płakać.

Hej, ty! — zawołał do żeglarza, który podawał właśnie rękę damie w średnim wieku drepczącej niepewnie po deskach trapu. Ten obrzucił go chmurnym spojrzeniem.

Czego?

Chcę wejść na pokład—zawołał Garen, przekrzykując płacz dziecka.

Wenecjanin zaśmiał się i rzucił coś po włosku do swoich towarzyszy.

Kilka kobiet na murze zachichotało.

Mówię, że jeszcze nie widział baby z brodą — powiedział żeglarz łamaną francuszczyzną na użytek Garena. Potem pogwizdując, kiwnął na następną uciekinierkę.

Mam złoto... — Garen wygrzebał z sakwy' wyświechtany mieszek.

To kup sobie trochę odwagi i wracaj na mury, gdzie twoje miejsce.

Rozległ się chóralny śmiech. Garen poczuł, że uszy mu płoną. Był

wściekły, lecz pojął, że nic tu nie wskóra. Schował trzos i zlustrował wzrokiem kilka innych jednostek przycumowanych do muru. Duża wiosłowa łódź miała na pokładzie mężczyzn i

sporo wolnego miejsca. Najpewniej dowoziła tylko ludzi na jedną z dużych galer stojących w zewnętrznym porcie. Słyszając za sobą szydercze okrzyki, przepchnął się w jej kierunku I tu czekały kobiety, wpatrując się błagalnym wzrokiem w uzbrojonych strażników broniących

wejścia na trap. Po chwili tłum się rozstał, przepuszczając zgarbionego starca w czarnej szacie, podtrzymwanego przez dwóch obwieszonych klejnotami biskupów. Garen poznał w

nim Mikołaja z Hanapesu, patriarchę Jerozolimy. Podbiegł bliżej. Stażnicy pomagali właśnie patriarsze wejść na pokład. Jeden z nich stanowczo odepchnął Garena.

Pozwól, bym kupił sobie miejsce — błagał go Garen. — Gdzie indziej nie przyjmują mężczyzn. Jestem ranny, nie mogę walczyć!—Mętnym gestem wskazał swoją nogę.

Nie wejdiesz — odparł twardo strażnik.

Na rany Chrystusa, błagam!

Mężczyzna potrząsnął głową.

Tam stoi „Sokół”. — Wskazał dużą galerę najbliższą kruszącej się wschodniej główki portu.

— Należy do templariuszy, lecz szyper wypowiedział posłuszeństwo mistrzowi i bierze

pasażerów za opłatę, tak przynajmniej słyszałem. Ale musisz mieć sporo, żeby go przekonać.

Więcej niż pięć cekinów?

Strażnik ubawiony uniósł brwi.

Znacznie więcej.

Garen obrócił się na pięcie. Strażnicy odpychali teraz zrozpaczony tłum, a prawie pusta łódź z patriarchą na pokładzie odbijała od muru. Ruszył z powrotem do miasta, myśląc gorączkowo.

Po ulicach wciąż jeszcze błąkało się sporo ludzi, ale byli to biedacy, których nie stać było na wcześniejszą ucieczkę. Żaden z nich nie miał potrzebnych mu pieniędzy. Zaklął wściekły, że czekał do ostatniej chwili.

Od dwóch tygodni pil bez przerwy, usiłując ogłuchnąć na ciągły huk pocisków, bicie dzwonów, krzyki, płacze i modlitwy. Postanowił przeczekać, wierząc jak wielu innych, że mury wytrzymają. Zeszłej nocy ocknął się nagle w prawie pustym pizańskim zamczysku i

dowiedział o ewakuacji. Walcząc z kaczorem, zebrał swój nędzny dobytek i pomyślał o Francji.

Może tam uda mu się zacząć wszystko od nowa. Jakoś nie przyszło mu do głowy, że nie będzie mógł się stąd wydostać.

Powietrze zasnuwał dym z niegaszonych pożarów. W oddali widać było wyszczerbione, osmolone mury. Resztką Wieży Angielskiej, ledwie kamienna igła, niczym cienki palec wskazywała wzwyż, w jaśniejące niebo. Bezpańskie świnie i kozy truchtały po ulicach spłoszonymi stadkami. Domy stały puste. Minęły go trzy wozy pełne trupów, poczerniałych od ognia. Jakaś rozczochrana kobieta z odkrytą głową krzyknęła na dwóch chłopców, żeby szli szybciej. Przy piersi miała trzecie dziecko, niemowlę.

Ja chcę do taty! — rozszlochał się jasnowłosy malec.

Kobieta przystanęła jak uderzona. Zawróciła i przykucnęła obok synka.

Tato do nas przyjdzie — powiedziała łagodnie — ale najpierw musimy znaleźć łódź. Bądźcie dzielni i pomóżcie mamie. — Ucałowała ich kolejno.

Garen patrzył, jak na krótkich nóżkach biegną za nią do portu. Miał ochotę zawołać, że się spóźniła, że nie ma już miejsc na statkach. Nim się jednak zdecydował, zniknęli za rogiem.

Pokręcił głową nad czekającym ich losem. Kiedy mury padną i Saraceni wedrą się do miasta, matka

zostanie zgwałcona i zabita; jest za stara do haremu. Niemowlę bez pokarmu umrze, a chłopcy pójda w niewolę. Taki sam los spotka tysiące. Garen myślał o tym bez emocji,

dopóki nie przypomniał sobie o Róży.

Był prawie pewien, że jest jeszcze w mieście. Ledwie dwa dni temu widział Elwinę w rzędzie kobiet podających sobie z rąk do rąk wiadra z wodą do gaszenia pożaru. Codziennie

wybuchały nowe od płonących strzał i pocisków z ogniem greckim. Była czerwona z wysiłku, oczy miała podkrążone, suknię brudną i zmiętą. Garen gotów był się jednak założyć, że Will, będąc wszak człowiekiem wpływowym, zapewnił im miejsce na statku — może nawet tej

galerze, która stała w porcie.

A gdyby tak...

Sam nie wiedział, czego pragnie bardziej: pognać Willa czy zostać ojcem, kochającym i kochanym.

Zawrócił do weneckiej dzielnicy.

Kwatera główna templariuszy w Montmusart Osiemnasty' dzień maja

Will jechał szybko przez zniszczone ulice przedmieścia, klucząc wśród stert gruzu i

wypalonych domów. Dym drapał go w gardle, osiadał na wargach wraz z szarym pyłem,

który pokrywał wszystko. Na murach paliły się pochodnie; poruszając się w plamach żółtego światła, wartownicy rzucali z góry olbrzymie cienie. Szpitalnicy krzatali się po swym obozie, wyglądali w półmroku jak czarne zjawy. Ranni jechali do infirmerii skuleni wwozie, który podskakiwał na wybojach. Z przeciwnej strony minął go rząd powolnych mułów

dźwigających olbrzymie naręcza powiązanych w pęczki strzał. Przez całą drogę wzdłuż

murów Will widział te same sceny, zmieniał się tylko kolor tunik i sztandarów. Nastrój

wszędzie był tak samo posepny. Stare piosnki, którymi rozweselali się żołnierze podczas długich i upiornie cichych nocnych wart, umilkły przed kilkoma dniami. Nie było już o czym śpiewać.

Mameluccy minerzy nie próżnowali. Od miesiąca dwanaście oddziałów po tysiąc nakabunów

każdy drażyło podkopy pod dwanaście wież Akki. Biegące z mameluckiego obozowiska

tunele prowadziły do murów, kończąc się ogromnym wyrobiskiem podpartym drewnianymi

stemplami. Po podpaleniu stempli fundamenty wieży zapadały się w głąb i budowla waliła się pod własnym ciężarem. Trzy dni temu rozpadła się w ten sposób fasada Wieży Królewskiej.

Gruz zasypał fosę, lecz zarazem utrudnił dostęp do wewnętrznego muru. Ulga obrońców była jednak krótka; nazajutrz mame- luchy pod osłoną wielkich pawęży oczyścili sobie drogę.

Dotarłszy do kwatery głównej Templum, mieszczącej się obecnie w opuszczonym kościele z dziurą w dachu, Will zsiadł z konia i oddał wodze czuwającemu giermkowi. Wokół wciąż było cicho, ludzie starali się wykorzystać resztki snu, zanim zacznie się kolejny atak.

Widziałeś może Szymona Tannera? — spytał.

Ostatnio w stajniach przy szpitalu Świętego Łazarza, komandorze.

Will zawahał się, zerknął na drzwi kościoła, przy których stali na straży dwaj rycerze. Droga do Świętego Łazarza potrwa ze dwa pacierze, nie miał aż tyle czasu. Zaklął pod nosem i ruszył do kościoła. Rycerze przepuścili go z szacunkiem. Wewnątrz zastał wielkiego mistrza z marszałkiem. Pochylali się nad rozpostartym na dwóch beczkach planem umocnień.

Pochodnie rzucały ich chwiejne cienie na ściany bocznych naw i posadzkę zasłaną odłamkami kamienia.

Wilhelm się obejrzał.

A, to ty, komandorze. Szybko obróciłeś. Jakie wieści z obozu króla Henryka?

Nie dotarłem aż tam, panie. Po drodze zatrzymał mnie alarm na krzyżackim odcinku za Wieżą Angielską. Mameluchy ruszają.

Już? — Piotr z Sevrey zmarszczył brwi. — Wcześniej nas dzisiaj budzą.

Proszę mnie wysłuchać do końca, marszałku. To nie jest zwykły atak. Ruszyły wszystkie obozy od Wieży Patriarszej aż do bramy Świętego Antoniego. Największe siły ciągną pod Wieżę Przekłątą.

Jesteś pewien? — spytał Wilhelm.

Byłem na blankach, widziałem to na własne oczy. Musieli zacząć pochód pod osłoną nocy. Są już prawie u podnóża murów.

Ostrzeżono pozostałych? — spytał prędko marszałek.

Gońcy już biegli. Myślę, że ci co trzeba wiedzą albo dowiedzą się w najbliższych chwilach.

Budź ludzi, Piotrze. Niech się prędko zbierają. Powiedz im, że w każdej chwili grozi nam zmasowany atak.

Tak jest, panie. — Marszałek skłonił się i wybiegł.

Wielki mistrz zwrócił wychudzoną twarz ku Willowi.

To chyba już koniec — rzekł cicho.

Will zacisnął usta i niechętnie skinął.

Wilhelm spojrział na srebrny krucyfiks wiszący nad ołtarzem. Ściągnął brwi.

Czy pomodlisz się teraz ze mną, bracie?

Panie... — zawahał się Will. — Lepiej pomogę marszałkowi zebrać ludzi.

Oczywiście. — Wilhelm pokiwał głową. — Modlić się można zawsze.

Will przemógł wahanie i śpiesznie wyszedł na ulicę, gdzie posępną wieść powtarzano już z ust do ust.

Szymona znalazł w stajniach obok leprozorium. Z ponurą miną nadzorował siodłanie

bojowych rumaków. Na widok Willa w jego wzroku błysnęła jakby ulga.

Przyszedłeś po konia? — spytał, rozgarniając pokryte kurzem włosy. — Podobno będzie atak, silniejszy niż zwykle.

Will złapał go za łokieć i wyciągnął na dziedziniec.

Mam do ciebie prośbę.

Tak? — Szymon schudł w ostatnich tygodniach, jego zwykle czerstwe, okrągłe oblicze było blade i zapadnięte. — Co się stało?

Musisz coś dla mnie zrobić.

Co tylko zechcesz.

Pędź do Elwiny; dopilnuj, żeby wsiadły z Różą na ten statek. Byłem u niej wczoraj,

wykręcała się pakowaniem. Dziś w południe miały być na pokładzie... ale nie wiem, czy

zostało im tyle czasu.

Szymon przybladł, ale zgodził się.

Jasne. Co prawda mój przełożony będzie wściekły, że właśnie teraz wychodzę...

Powiedz, że kazałem ci się stawić na murach.

Wsadzę je na statek i wrócę. — Szymon skierował się ku stajni, zatrzymał się, cofnął i złapał dłonie Willa w swoje, szorstkie i zgrubiałe. Ścisnął mocno.

Niech Bóg będzie z tobą — rzekł zduszonym głosem.

Iz tobą.

Will odprowadził go wzrokiem, nim wyszedł. Mijając bramę Świętego Łazarza, dostrzegł wypisane na niej węglem drzewnym duże litery: Non nobis, Domine, non nobis, sed nomini Tuo da gloriam. Przez chwilę miał uczucie, jakby stanął obok niego ojciec.

Za murami odezwał się bęben.

Dzielnica wenecka Osiemnasty dzień maja

Garen zatrzymał się pod niebieskimi drzwiami, dysząc z wysiłku. Podniósł rękę, żeby otrzeć pot z czoła, i zobaczył, że dłoń gwałtownie drży. Przetrawione wino stało się trucizną, krążącą mu w żyłach. Gdyby myślał jasno, wszedłby do którejkolwiek opuszczonej karczmy, może nawet znalazłby trochę grosza, ale biegł tu jak szalony. Załomotał pięścią w' malowane deski. Na cichej ulicy poniosło się echo; mężczyzna ciągnący za sobą wyładowany garnkami wózek obrzucił go podejrzliwym spojrzeniem, lecz pośpieszył dalej. Wewnątrz ktoś odsunął

rygiel. Garen prędko przygładził włosy i obciągnął na sobie poplamioną wymiocinami tunikę.

Drzwi się uchyliły i zobaczył w nich Różę. Miała na sobie kapturek i żółto-zieloną wyjściową sukienkę. Wyglądała mizernie.

Czego tu szukasz? — szepnęła, przytrzymując drzwi.

Witaj, skarbie... — Garen uśmiechnął się, najpiękniej jak potrafił.

Zastąłem twoją matkę?

Nie odpowiedziała. Posłyszał prędkie kroki i dobiegający z góry głos:

Dlaczego drzwi są otwarte? Z kim rozmawiasz?

Odsunął dziewczynkę na bok, starając się to zrobić bez zbędnej brutalności, i wszedł do środka. Wiedział, że drugi raz już mu nie otworzą. Zasunął za sobą rygiel. Róża cofnęła się o krok, spoglądając na niego z lękiem. W wysokiej sieni stały podróżne sakwy i skrzynia.

Najwyraźniej zdążył w ostatniej chwili.

Wynoś się stąd! — Elwina zbiegła ze schodów. W świetle wiszącej na ścianie olejnej lampy widać było rumieniec wściekłości na jej twarzy.

Chodź tu, Różyczko — pociągnęła do siebie córkę. — A ty odejdz.

Garen powoli pokręcił głową.

Nie mam dokąd iść. Statki nie przyjmują już mężczyzn, a zresztą i tak nie starczy miejsca dla wszystkich.

Nic ci na to nie poradzę.

Poradzisz. — Przekrzywił głowę i puścił oko do Róży, jakby to była zabawa. — Jesteś moją dłużniczką, Elwino.

Za chwilę wróci nasz pacholek, Piero — powiedziała.

Ach tak? Wobec tego nie powinniśmy tu sterczeć. Idź na górę.

Elwina zasłoniła sobą dziewczynkę.

Piero cię zabije. Proszę cię, Garen, idź już. Straszysz moją córkę.

Naszą córkę! — syknął, w oczach błysnęła mu furia. Złapał ją za rękę i pchnął w stronę schodów.

Róża, uciekaj! — krzyknęła dziko, wrywając się i okładając go wolną ręką. — Uciekaj!!

Dziewczynka cofnęła się o kilka kroków, a potem pobiegła do drzwi na końcu sieni. Garen namacał u pasa szylet, wyszarpnął go z pochwy.

Różyczko, kochanie! — zawołał, wykręcając Elwinie rękę i przykładając jej ostrze do gardła.

— Jeśli wyjdiesz z domu, zabiję twoją matkę.

Dziewczynka zatrzymała się jak wryta, obejrzała i krzyknęły ze strachu. W dali ozwał się bęben, basowy i złowieszczy.

Ty draniu! — Elwina znieruchomiła w uścisku, lecz jej drzenie udzieliło się i jemu. Czuł

wzbierające wymioty, pot zalał mu oczy, ręce się zatrzęśły. Nie tak to planował. Musi

uspokoić i je, i siebie, ale nie zdoła tego zrobić tutaj. Lepiej będzie na piętrze. Skłoni Elwinę, żeby go wysłuchała.

Różyczko — powiedział — rób, co mówię, a wszystko będzie dobrze. Wejdź na schody.

Zawahała się. Oddychała głośno, wpatrzona w matkę.

Garen przytknął usta do ucha Elwiny, zionął w nie gorącym oddechem.

Każ jej wejść na schody — syknął — bo inaczej zobaczy, jak obdzieram cię ze skóry.

Pod kobietą ugięły się nogi.

Idź na górę, córeczko — wyszeptała.

Dziewczynka powoli weszła na schody, oglądając się co chwilę. Garen ruszył za nią,

prowadząc przed sobą Elwinę. Gdy znaleźli się na piętrze, wskazał najbliższe drzwi.

Co tam jest?

Nic. Komnaty Andreasa, puste.

Wejdź do środka — polecił spokojnie.

Róża pchnęła drzwi i weszła tyłem, nie spuszczać z niego wzroku. W świetlicy było ciemno i zimno. Pozostał tu tylko duży stół, stołek i łoże w przyległej alkowie. Nagie deski skrzypiały im pod nogami, przez okno wpadał zimny wiatr cuchnący dymem.

Usiądź pod oknem. A ty idź do niej. — Wypuścił Elwinę z objęć. Uwolniona przypadła do córki, otoczyła ją ramionami, szepcząc:

Wszystko będzie dobrze, maleńka, wszystko będzie dobrze.

Słuchaj matki — przytaknął Garen z roztargnieniem, zamykając za sobą drzwi. Ku swemu zadowoleniu zobaczył duży żelazny klucz tkwiący w zamku.

Garen, tu jest zimno. — Elwina podniosła głowę. — Róża była niedawno chora. Zaziębi się tu na śmierć.

Przyjrzał się bladej, dygoczącej dziewczynce.

Masz jakiś koc?

W sieni, w sakwie podróżnej. Pójdę po niego.

Ja pójdę. — Wyjął klucz z zamka i pokazał jej go z dala, mrużąc złowieszczo oczy. — Nie próbuj w tym czasie robić żadnych głupstw.

Odczekał chwilę, póki nie zobaczył w jej oczach, że potraktowała serio jego groźbę, a potem wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Z komnaty dobiegł go stłumiony szloch. Wepchnął sztylet do pochwy i klnąc pod nosem, ruszył na dół. Nie, zdecydowanie nie tak to sobie wyobrażał.

W sakwie znalazł koc i jakieś szmaty; właśnie miał ją w ręku, gdy posłyszał hałas za dzwiami w końcu sieni, które jak zgadywał, musiały prowadzić do kuchni i na podwórze. Odłożył

toból i podszedł do nich na palcach.

Kiedy wrócił, siedziały w tym samym miejscu.

Co się stało? — spytała nerwowo Elwina. — Co to za hałasy?

Piero wrócił. — Garen kopnięciem zamknął za sobą drzwi, postawił na stole lampę i dwa dzbany wina znalezione w kuchni, potem przekręcił klucz w zamku i włożył go do kaletki.

Dobry Boże... — Elwina patrzyła na smugę krwi plamiącą mu tunikę. W jej oczach pojawił się strach, jakby dopiero teraz uświadomiła sobie, do czego Garen może być zdolny. — Co mu zrobiłeś?

Trzymaj! — Rzucił jej sakwę. Kiedy się nie poruszyła, wskazał brodą dziewczynkę. — Ona marznie, Elwino.

Powoli, zmuszając do posłuchu drżące dłonie, wyjęła pled z sakwy i okryła nim córkę. Garen przysiadł na brzegu stołu, podniósł dzban do ust. Pił chciwie. Elwinie zaświtała iskierka nadziei. Jeśli będzie pił

w tym tempie, straci czujność, może nawet spije się do nieprzytomności, przechytry go lub pokona. Pokrzepiona zarzuciła sobie drugi koc na plecy.

Garen opróżnił dzban, czknął i odstawił puste naczynie na stół. Przymknął oczy, rozkoszując się uczuciem, że krew żywiej w nim krąży. Mgła, ' która oblepiała mu umysł, zaczynała się rozpraszać, kończyny znów były mocne i posłuszne.

Przykro mi — powiedział. — Usiłowałem go n i e zabić, stąd te hałasy.

Po co przyszedłeś? — spytała cicho. — Miasto upadnie. Trzymając nas tutaj, skazujesz na śmierć. Gdybyś rzeczywiście dbał o Różę, dałbyś jej szansę ucieczki.

Wyprostował się, spojrzał przytomniej.

Jestem tutaj dlatego, że mi na niej zależy. Powinna znać swego ojca.

Otulona w koc dziewczynka podniosła głowę.

Znam swego ojca — oznajmiła hardo.

Nie, kochanie. — Garen potrząsnął głową. — Chyba nie.

Proszę cię, Garen, nie rób nam tego. — Elwina przymknęła oczy. Próbujesz mnie przekupić?

Nie, tylko...

Odepchnął się od stołu i podszedł do niej. Wino rozpalało mu w żyłach

Na dole, w drugiej sakwie, są pieniądze. Weź je, zdążysz jeszcze opłacić

ogień. Z trudem panował nad emocjami.

Kto się o was zatroszczy, kiedy miasto upadnie? Przecież nie Will, bo on woli udawać bohatera. Nigdy na ciebie nie zasługiwał, Elwino.

Ma obowiązki wobec zakonu.

Will? On nie wierzy w zakon, zdziwiłbym się, gdyby wierzył w Boga!

Jeśli opuści zakon, opuści też Duszę Świątyni, która nie może działać w oderwaniu od

Templum. Poświęcił całe życie krzewieniu pokoju.

—Ja to rozumiem. I podziwiam go za to! — Podniosła wyzywająco głowę. — Will myśli o innych, nie tak jak ty! Ty dbasz tylko o siebie i do diabła z resztą. Jest więc lepszy ode mnie, tak?

—O całe niebo! — roześmiała się pogardliwie.

—Skoro tak, dlaczego przyszedł do mnie? Odpowiedz! — Szarpnął ją, kiedy odwróciła głowę. — Skoro Will jest o całe niebo lepszy, dlaczego rozkładałaś nogi przede mną?!

—Milcz! — rozwrzeszczała się głośno. — Zamilcz!

Róża skuliła się na podłodze, zaciskając powieki i kurczowo zatykając dłońmi uszy. Tamtych dwoje nie zwracało na nią uwagi.

To dlatego wciąż tu jesteś, nie wyjechałaś! Założę się, że Will zapewnił ci miejsce na statku zaraz na początku oblężenia. Zostałaś, bo czujesz się wobec niego winna, bo gdybyś teraz wyjechała, przypieczętowałabyś swoją zdradę!

Nie! — Elwina gwałtownie potrząsała głową. — Nie!!!

Uwierz mi, znam poczucie winy i potrafię je rozpoznać. — Garen podszedł do stołu, podniósł drugi dzban i upił kilka łyków. — Żadne z nas nie ma czystego sumienia, ani ja, ani ty, ani Will.

Nie porównuj się do nas! Jesteś zły, słaby i nędzny!

Will zabił własną siostrę.

To był wypadek!

Ty barłoczyłaś ze mną.

To była pomyłka.

I to was usprawiedliwia?! — wrzasnął i cisnął dzbanem o ścianę. Wino chlusnęło na drzwi i podłogę. — Wam wolno popełniać błędy, tylko mnie nie? Tylko ja nie zasługuję na przebaczenie?

Tobą kieruje własna korzyść. Myślisz tylko o sobie.

O sobie, tak? Przez całe dzieciństwo starałem się jak głupi, żeby zadowolić wszystkich wokół. Wiesz, co robił mój wuj? — Zaczerpnął tchu.

Kiedy złapał mnie na ogryzaniu paznokci, zgniół mi palce w drzwiach świetlicy, tak że na jakiś czas był spokój z paznokciami, bo całkiem zeszyły. Tłukł mnie jak psa, ale mimo to go kochałem. Tak jak matkę. Chciałem, żeby oboje byli ze mnie dumni. Chciałem tak bardzo, że mając trzynaście lat, dałem się przekabacić księciu Edwardowi i zgodziłem się mu pomóc w odzyskaniu klejnotów koronnych.

Co? — Elwina zbladła.

Tak, to ja zdradziłem. Ja doniosłem Edwardowi, że statek przybije do Honfleur. Zginęli przeze mnie obaj: i mój wuj, i twój.

Milczał przez chwilę.

Wiesz, nigdy nikomu o tym nie mówiłem — podjął jakby ze zdziwieniem. — Potem... Potem Edward nie musiał mi już niczego obiecywać, starczały różne... groźby. A ja robiłem pokornie, co mi kazał. Odetchnąłem dopiero tu, w Ziemi Świętej. Wykazałem się w boju, broniłem innych, posmakowałem, czym jest rycerski honor. Zapomniałem o Edwardzie.

Kiedy Will znalazł się w potrzebie, pomogłem mu odzyskać księgę i zabiłem człowieka, który nas prześladował. W nagrodę trafiłem do lochu

dodał gorzko. — Az lochu wyciągnął mnie... kto? Edward. I już z nim

zostałem. Na całe życie. Szpiegowałem i zabijałem dla niego. Ale wszystko się zmieniło, kiedy

ujrzałem Różę. Przysięgam ci, Elwino! — Podeszedł, ujął ją za ramiona i obrócił do siebie. — Ja sam się zmieniłem, kiedy zobaczyłem, że mogę nie tylko odbierać życie, ale również je dawać. Bo ona jest moja, przyznaj!

Łzy płynące po policzkach Elwiny starczyły mu za odpowiedź. Uśmiechnął się i odetchnął głęboko.

Pozwól mi płynąć z wami, dowieść, że potrafię być lepszym człowiekiem, mężem, ojcem — mówił, ściskając kurczowo jej dłonie. — Niech Will zbawia świat, a ja będę się o was troszczył. Udowodnię ci, że potrafię. Kiedyś mnie pokochasz.

Wbiła w niego zimny wzrok.

Jesteś kłamcą — wycedziła. — Kłamcą i mordercą. Nigdy nie mogłabym cię pokochać.

Garen zachwiał się jak uderzony, gniew zabarwił mu policzki.

Inaczej śpiewałaś, kiedy miałem cię pod sobą — warknął i pchnął ją na stół, ignorując przerażone krzyki. Jedną ręką przygwoździł jej ręce nad głową, drugą szarpnął suknię, rozrywając ją na piersiach. — Zaraz ci przypomnę, jak to było!

Grad ciosów, który spadł mu na plecy, był nie tyle bolesny, co irytujący. Zamachnął się na odlew, uderzona w twarz dziewczynka potoczyła się po podłodze. Obejrzał się ze zgrozą,

puścił Elwinę i rzucił się na kolana, powtarzając ochryple:

Różyczko! Przepraszam cię, nie chciałem!

W tejże chwili oberwał w głowę pustym dzbanem. Runął na twarz obok dziecka, ale

zamroczenie trwało krótko. Kiedy Elwina trzęsącymi się rękami sięgnęła mu do kaletki, chcąc wydobyć klucz, złapał ją za nadgarstki i odepchnął gwałtownie. Padając, uderzyła głową o kant stołu. Róża skoczyła ku niej z krzykiem:

Mamo!

Nie pozwolę, żebyś mi ją odebrała, słyszysz? — Garen z wściekłością chwycił lampę i cisnął nią w ślad za dzbanem. Płonąca oliwa spłynęła po ścianie, zmieszała się z kałużą wina, zasyczała. Płomień przygasł, a potem nagle buchnął ze zdwojoną siłą.

Garen stanął na środku komnaty, przyglądając mu się jak zauroczony.

Mamo, obudź się!

Elwina jęknęła i uniosła się na łokciu. Włosy spadały jej na twarz. Podniosła rękę, obmacując nabrzmiewający guz. I dopiero wówczas nagle

usiadła prosto, przerażonym wzrokiem wpatrując się w płasający wesoło ogień.

Coś ty zrobił... — wyszeptała. — Słodki Jezu, coś ty najlepszego zrobił...

Spojrzał na nią. Twarz miał szarą, wzrok nieprzytomny.

Teraz przynajmniej mi nie uciekniesz — powiedział.

Brama Świętego Antoniego Osiemnasty dzień maja

Wyłom przypominał piekielną czeluść. Dym unosił się czarnymi gryzącymi kłębami, wokół

rozbijały się garnki z greckim ogniem. Poparzone konie rżały i stawały dęba. Angielski

rycerz, pod którym zabito rumaka, został trafiony takim pociskiem; w mgnieniu oka zmienił

się w żywą pochodnię, skóra na jego twarzy skwierczała i topiła się jak łój. Szereg ma-

meluków, ściśle zwarty za murem z wysokich tarcz, postąpił naprzód, popychany przez tych, którzy stali z tyłu. Z dalszych szeregów leciały na obrońców roje strzał, oszczepy i kolejne pociski z płynnym ogniem. Zdawać się mogło, że cały świat ogarnęła pożoga.

Will trzymał się w pobliżu wielkiego mistrza. Ramiona mdlały mu z wysiłku, tunikę

splamioną miał krwią, własną i cudzą. Uniósł tarczę, żeby odbić kolejny oszczep; impet

uderzenia pchnął go na tylny łęk, który boleśnie wbił mu się w krzyże. Robert i Zachariasz walczyli gdzieś obok, ale ich nie widział — w dymie i zamieszaniu nie wiedział nawet, czy jeszcze żyją. Ogłuszający łomot trzystu bębnow doprowadzał go do obłędu, podobnie krzyki konających wszędzie naokoło. Białe tuniki templariuszy mieszały się z czarnymi joannitów; Jan z Yilliers walczył mężnie u boku Wilhelma z Beaujeu, jakby przez całe życie łączyło ich braterstwo broni, a nie dzieliła zawiść i rywalizacja. Rycerze cypryjscy pod wodzą króla Henryka też stawali dzielnie. Kiedy dym się rozpraszał, widać było ich usmolone czerwono-złote tuniki.

Głośny werbel, który wywabił templariuszy z kościoła, był sygnałem do rozpoczęcia szturm.

Mamelucy szli ławą; wielu legło pod głazami rzucanymi z murów lub spłonęło żywcem w

lanej z góry oliwie, lecz po trupach poległych szli następni, a były ich tysiące. Spadający na obrońców nieustanny deszcz strzał był za gęsty, aby można się było przed nim schronić.

Wkrótce napastnicy zdobyli wyłom przy zwałonej Wieży Przeklętej i znaleźli się w

między murzu. Część skręciła w lewo ku obozowi Pizańczyków,

których katapulty wciąż siały śmierć w muzułmańskich szeregach. Drugi silny oddział

pobiegł w prawo ku bramie Świętego Antoniego. Tam czekali już na nich rycerze zakonni.

Raz po raz mamelucy unosili tarcze i przesuwali się o krok do przodu. Raz po raz Wilhelm z Beaujeu dawał rozkaz do ataku i uderzali na nich chrześcijańscy rycerze. Kąsali wroga, lecz sami odbijali się od muru tarcz, a było ich coraz mniej. Walka stawała się beznadziejna.

Rycerze wiedzieli, że nie powstrzymają długo tego naporu. Ale każdą chwilą opłacali życie czyjejś żony lub córki, która w tym czasie zdołała się dostać na pokład statku. Wiedza ta pomagała znieść rany i zgrozę, kazała się rzucać na nieprzyjaciela, siec mieczami i toporami głowy i ramiona napastników. Niektórzy walczyli najeżeni strzałami lub krwawiąc z ran tak strasznych, że każdy ruch przyprawiał ich o męki. Nie ustępowali jednak, tocząc swą ostatnią bitwę.

W środku Wilhelm z Beaujeu z gołą głową, bo pierzasty hełm strącono mu w bitwie, nacierał, rycząc niby lew; jego jasne oczy lśniły w pokrytej sadzą twarzy. Sygnał do bitwy zaskoczył

go zbyt wcześnie, dlatego nie miał na sobie kolczugi, a tylko lekką płytkową brygantynę okrywającą barki i tors. Wolał do Boga, aby dał siłę ramionom i sercom, zagrzewał ludzi do boju, krzycząc, że całe chrześcijaństwo się za nich modli, że czeka ich wieczna sława na ziemi, w niebie zaś będą im śpiewać chóry anielskie. Jego słowa wlewały ogień w żyły

osłabłych rycerzy, którzy raz jeszcze wbijali ostrogi w boki zmęczonych koni i doskakiwali od nowa, tocząc z wroga fontanny krwi, a odnoszone rany zdawały im się pocałunkami, które Bóg składa na ich duszach.

Dym zawirował, pierwsza linia mamelucka znów przesunęła się do przodu, deptając

okaleczone, przypalone trupy swoich towarzyszy, krzyżowców i koni.

Wilhelm uniósł miecz i ryknął:

Do mnie! Naprzód w imię Boże!

Zza muru mameluckich tarcz nadleciał oszczep.

Niczym czarna błyskawica wychynął z chmury⁷ dymu, godząc wprost w wielkiego mistrza,

który go nie dostrzegł. W tej samej chwili, gdy templariusze jak jeden mąż ruszyli do kolejnej szarży, oszczep wbił się w bok mistrza pod uniesionym ramieniem. Płytki brygantyny nie

sięgały pod pachę, grot zagłębił się w ciało na długość męskiej dłoni. Wilhelm zachwiał się, odchylił w siodle, wypuszczając z ręki miecz o szerokim ostrzu. Tuż przed nim oddział

uderzył na wroga i znów musiał odskoczyć. Przez mgłę zasnuwającą oczy dojrzał, jak dwóch rycerzy

pada, przesytych włóczyniami.

Wolną ręką złapał drzewce i krzycząc z bólu, wyrwał oszczep z rany. Pochylił się bezwładnie ku zawracającym rycerzom.

Will zobaczył go pierwszy. Zatrzymał się, sięgnął z siodła, chwytając rannego, nim ten zsunął się na ziemię. Zobaczył plamę krwi.

Panie! Musimy przenieść cię do infirmerii!

Powieki Wihelma się rozchyliły.

Nie, bracie. Moje miejsce jest tu, na czele.

Nie utrzymasz się w siodle, panie.

Otoczyli ich inni, wśród nich Zachariasz i wielki mistrz szpitalników. Rycerze cypryjscy unieśli tarcze, osłaniając siebie i ich przed gradem strzał.

Zabierzcie go do preceptorium — powiedział Jan z Yilliers. — Zróbcie, co w waszej mocy.

Tarczę! — ryknął do giermków Zachariasz, zeskakując z konia.

Will i Jan zdjęli Wihelma z siodła i posadzili na ziemi. Za nimi Cypryjczycy ruszyli do następnego ataku.

Janie... — Wilhelm złapał za rękę joannitę.

Powstrzymamy ich tak długo, jak się da. — Jan z Villiers podniósł wzrok na Willa. —

Ratujcie go — rzekł, wsiadł na konia i wrócił do oddziału. Komendę nad templariuszami przejął Teobald Gaudin.

Ktoś podał wielką pawęż, na której Will z Zachariaszem ułożyli mistrza. Giermkowie dźwignęli ją na ramiona.

Chodźcie! — Will skinął na Sycylińczyka i trzech innych rycerzy.

Zachariasz rozgarnął krótkie białe włosy, rozmazując na nich sadzę,

i bez słowa wsiadł na konia. Will czuł, że i bez rozkazu pojechałby za wielkim mistrzem.

Ruszyli do wewnętrznej bramy. Jadąc powoli na czele pochodu, Will wciąż widział przed oczyma mur tarcz i szturmujących go uparcie rycerzy. Teraz, z dala od bitwy, myślał jaśniej i

rozumiał, że długo się nie utrzymają. Wyginą tu wszyscy albo zostaną zmuszeni do odwrotu.

Spojrzał na półprzytomnego rannego, zawrócił konia i podjechał do Zachariasza.

Powierzam go twojej opiece — rzekł.

Sycyliczyk przyjrzał mu się uważnie.

Wybierasz się gdzieś, komandorze?

Will wstrzymał konia, pozwalając, by pozostali ich minęli. Zniżył głos.

Obaj wiemy, że brama długo się nie utrzyma. Mamelucy niebawem wtargną do miasta. Mam tu rodzinę... chcę się zatroszczyć o jej bezpieczeństwo. Później wrócę, jeśli tylko Bóg mnie zachowa.

Zachariasz powoli kiwnął głową. Will dźgnął konia ostrogami i pogalopował naprzód, słysząc, jak za jego plecami giną kolejni obrońcy.

Dzielnica wenecka w Akce Osiemnasty dzień maja roku Pańskiego 1291

Elwina wychyliła się z okna, spazmatycznie łowiąc powietrze. Dym owiewał ją dokoła, kłuł w oczy, drapał w gardle. Gorączkowo obmacywała palcami ścianę pod parapetem, ale

szorstkie kamienie dopasowane były bardzo ściśle. Chłodny wiatr łęchał ją po skórze, jakby z niej drwił. Ściana spadała pionowo aż do ziemi — daleko, za daleko. Skulona pod oknem

Róża rozkaszała się gwałtownie.

Garen leżał na wznak na łóżku. Nie miała pewności, czy jest jeszcze przytomny.

Musisz mi pomóc! — krzyknęła, zaciągając na piersiach rozdartą suknię. — Garen!

Złamiesz obie nogi, jeśli stąd skoczysz — wymamrotał.

Trochę niżej jest gzyms, jeśli mi pomożesz, stanę na nim. Stamtąd powinno mi się udać.

Zwiążemy koce, opuścisz na nich Różę, a na dole ja ją złapię.

Garen wbił wzrok w sufit.

Błagam cię! Zginiemy tu wszyscy!

Spojrzała za siebie. Pożar szalał w świetlicy, odcinając drogę do schodów. Przez drzwi czuć było pulsujący żar, słyszać trzask płomieni. Schronili się do alkowy, ale tu także było coraz więcej dymu.

I tak zginiemy — powiedział obojętnie Garen. — Nie słyszałaś rogów? Nasi się cofają.

Mamelucy na pewno sforsowali już mury. Nie znajdziemy teraz miejsca na statku.

Mówiłam ci! Mam miejsce!

Ja nie.

Podbiegła do niego.

Popłyniesz z nami do Wenecji, tylko pomóż nam się stąd wydostać.

Kłamiesz.

Przysięgam na wszystkie świętości!

Podniósł się, pociągając nosem i ocierając przekrwione oczy. Złapał ją za rękę, przyciągnął do siebie.

Tak? To powiedz mi, że mnie kochasz.

Ełwina zerknęła na zgiętą wpół, kaszlącą Różę, spuściła wzrok.

Kocham cię — szepnęła.

Kłamiesz, suko. Chcesz sobie kupić życie. — Odepchnął ją i znów opadł na łóżko.

Na miłość boską, Garen! Jeśli chcesz mnie ukarać za swoje krzywdy, dobrze, zostaw mnie tutaj, ale ratuj Różę! Pomóż mi ją stąd wydostać!

Nie odpowiedział. Ełwina rzuciła się znów do okna. Myśli mąciła jej panika. Jeśli tu zostaną, uduszą się albo spłoną żywcem, musi jakoś opuścić Różę z okna i skoczyć za nią. A jeśli mamelucy rzeczywiście są już w mieście? Czy zdążą dobiec do portu? Sama będzie winna

śmierci swego dziecka. Podniosła rękę do ust, jęcząc z rozpaczą. Zamknęła oślepienie przez dym oczy, padła na kolana i załkała, wtulając twarz we włosy córki.

Wybacz mi! Moja śliczna dziewczynko, powinnam cię była stąd wywieźć, kiedy jeszcze mogłam.

Nie płacz, mamó — chlipnęła Róża, obejmując ją za szyję.

To wszystko prawda, naraziłam cię na niebezpieczeństwo, bo nie chciałam opuszczać twego ojca. Zawiniłam wobec niego, choć nie chciałam go skrzywdzić. To prawda, czułam się

winna. Teraz on gdzieś tam walczy w naszej obronie, a ja... Tak bardzo chciałabym go

jeszcze zobaczyć... — Z oczu Elwiny popłynęły świeże łzy. — Jezu, słodki Jezu, odpuść mi, ratuj!

Jej zawodzenie wyrwało Garena z apatii. Usiadł i zaczął kaszleć. Instykt przetrwania

przemógł pijackie otępienie. Zastąpił je potworny ból głowy i jeszcze straszniejsze przecucie zguby. Sponiewierany, zemdlony przepelniającą go goryczą, dojrzał w kłębach dymu Różę i Elwinę desperacko przytulone do siebie. Przez drzwi buchnął płomień; obie krzyknęły, kiedy fala żaru wtargnęła do komnaty. Garen osłonił twarz ramieniem. Czy to piekło? Czy to

właśnie go czeka? Patrząc na Różę, przypomniał sobie nagle, ile radości sprawiał mu zawsze jej widok, choćby tylko podpatrywał ją z ukrycia. Wyobrażał sobie wówczas, że pewnego

dnia sama do niego podbiegnie, uśmiechnie się, weźmie go za rękę. Potem wspominał czasy, gdy walcząc za chrześcijaństwo, miał jeszcze rycerski honor; czuł, że zmarli przodkowie mogą być z niego dumni. Nawet ratując Elwinę przed Bertrandem i Emerykiem, czuł się

dobrym człowiekiem, choć tamto było tylko grą.

Dźwignął się, podszedł i rozplótł przemocą ręce kobiety, zaciśnięte wokół córki.

Wróćę po ciebie—wychrypiał, owinał dziewczynkę od stóp do głów w koce i zarzucił ją sobie na ramię.

Elwina podniosła na niego oczy.

Zabierz ją stąd — wykrztusiła. — Ratuj ją.

Odwrócił się i podbiegł do drzwi. Zawahał się, kiedy uderzyła w niego fala żaru, potem z krzykiem rzucił się naprzód.

Kiedy zniknął, Elwina osunęła się na podłogę. Dym był już tak gęsty, że wr głowie jej ciemniało.

Kocham cię, Will — szepnęła, tuląc zalany łzami policzek do rozgrzanych desek. Zamknęła oczy, modląc się, by te słowa dotarły do niego, gdziekolwiek teraz był. — Kocham cię.

Zdyszany Szymon już z dala zobaczył dym walący z górnych okien. Zatrzymał się. Dzielnica wenecka znajdowała się daleko poza zasięgiem mameluckich wyrzutni, nie rozumiał,

dłaczego ten budynek się pali. Drzwi nagle się otwarły i wypadł z nich człowiek. Krzyczał, płonęły na nim włosy i odzież. Na ramieniu niósł coś w tłącym się kocu, upuścił to na ziemię.

Z koca wytoczyło się ciało. Szymon wrzasnął i puścił się biegiem.

Dotarcie tutaj zajęło mu znacznie więcej czasu, niż przypuszczał; zanim odmeldował się u swego zwierzchnika, rycerze wyruszyli już do bramy Świętego Antoniego. Do dzielnicy

weneckiej było dość daleko, marsz spowalniały barykady i straże, którym musiał się opowiadać. W sumie odkąd Will wysłał go do Elwiny, minęła ponad godzina.

Zerwał koc z leżącej bezwładnie dziewczynki — Róży, jak sobie ze zgrozą uświadomił.

Dogonił płonącego mężczyznę, zarzucił mu koc na głowę i przewrócił go na ziemię.

Wdychając kwaśny odór przypalonego mięsa, tłukł w niego rękami, aż całkiem zdusił ogień.

Przewrócił ostrożnie ciało, bojąc się, co zobaczy. Choć większość włosów spłonęła, a twarz była strasznie poparzona, poznał Garena. Zdumiony przysiadł na piętach. Garen jęknął,

pokryte pęcherzami usta otwarły się i zamknęły. Z trudem odrywając od niego wzrok,

Szymon wrócił do Róży. Płomień śmigał teraz po ścianie budynku aż do kalenicy.

Róża miała twarz umazaną sadzą i potem, rękę poparzoną. Szymon z przerażeniem spostrzegł, że nie oddycha.

Dobry Boże... — Klęknął obok i złapał ją za zdrową dłoń. — Różyczko, słyszysz mnie?

Obudź się!

Żyje? Powiedz, żyje?

Garen zdołał się podnieść i stał teraz za nim. Na widok nieruchomej twarzy dziewczynki odepchnął koniuszego i rzucił się obok niej na kolana.

Szymonie, zrób coś — jęknął błagalnie. — Ocuć ją!

Co się stało? — zapytał bezradnie Szymon. — Gdzie Elwina?

Mogłem je uratować... — szepnął Garen, wodząc wzrokiem od leżącej dziewczynki do płonącego domu.

Jezus Maria! — Szymon zerwał się na nogi. — Gdzie ona jest?

Ale Garen go nie słuchał. Nakrył ciałem Różę, kołysząc ją w objęciach.

Nie chciałem cię skrzywdzić, córuś — bełkotał nieprzytomnie. — Nigdy nie chciałem cię

skrzywdzić!

Szymon zostawił go i podbiegł do drzwi. Za progiem kotłował się gorący dym. Zatykając

dłonią nos i usta, zanurkował w gęstych szarych kłębach. Posłyszał ryk; mijając schody, spostrzegł, że wyżej na półpiętrze szaleje ogień, pożera ściany, wygina deski stropu. Belki jęczały. Czuł, że nie ma wiele czasu. Na końcu sieni były drzwi, pchnął je ramieniem i znalazł

się w pełnej dymu kuchni. Wyglądało tu jak po bitwie: przewrócone sprzęty, rozbite garnki.

Potknął się o coś, schylił i zobaczył pod nogami mężczyznę z poderżniętym gardłem w kałuży krwi. Ocierając załzawione oczy, wycofał się z powrotem do sieni i mężnie ruszył ku

schodom.

Żar bijący z góry okazał się nie do zniesienia. Zatrzymał go jak pięść, wydzierając mu okrzyk bólu i rozpacz. Pot ściekał mu po twarzy. Spróbował jeszcze raz, krztusząc się i osłaniając twarz ramieniem. Nie zdołał. Na kolanach, po omacku dotarł do drzwi i na ulicę, na

błogosławione powietrze. Leżał przez chwilę, oddychając chciwie, a gdy wzrok mu się

przejaśnił, ujrzał, że choć ciało dziewczynki leży tam, gdzie je zostawił, Garen zniknął.

Podczołgał się do dziecka. Stamtąd, przez kłęby dymu wydostające się na ulicę, zobaczył

jeźdźca w bieli.

Na widok płonącego domu Will zeskoczył z siodła i przebiegł ostatnie kilkanaście kroków.

Nagle zobaczył córkę leżącą nieruchomo na ulicy. Groza ścisnęła go za gardło, sparaliżowała, wszystkie jego uczucia stężały jak glina w garncarskim piecu. Umysł bezskutecznie szukał

wyjaśnienia tego, co widzą oczy.

Will? — wychrypiał Szymon, dźwigając się na kolana.

Will spojrzał na niego tępo. Nagle groza znów stała się płynna, zalała go falą lodowatego lęku niczym uwolniona spod kry powódź.

Elwina! — wrzasnął i rzucił się do wnętrza.

Will, nie! — Szymon uczeplił się go, krzycząc: — Nie zdołasz tam wejść!

Will odrzucił go od siebie ciosem w podbródek i wpadł do sieni. Oczy i usta natychmiast wypełniły się dymem, miał uczucie, że dusi się w czarnym worku. Schody już płonęły,

podbiegł ku nim, zasłaniając ramieniem wizurę hełmu. Skóra ściągnęła się nieprzyjemnie, włoski na

ręce zaczęły płonąć. Z góry buchał niewyobrażalny żar. Teraz już szepta! tylko imię Elwiny, pnać się w górę: jeden stopień, drugi... Wyżej rozległ się przeciągły jęk, trzask i część piętra runęła, sięgając doń jęzorem ognia. Rzucił się w tył, uderzył plecami w kamienne płyty sieni pod deszczem opadających iskier. Zaklął wściekle i spróbował jeszcze raz, ale ogień nie pozwolił mu wstać z klęczek. Przeklinał ogień, przeklinał swoje nieposłuszne ciało i Boga za to, że uczynił je takim słabym. Ze stropu poleciały następne deski. Para silnych rąk chwyciła go wpół i zaczęła ciągnąć do wyjścia.

Zaszamotał się gwałtownie, ale Szymon zdążył już nieco dojść do siebie, podczas gdy on był ranny i wyczerpany po bitwie. Wywłókł go na dwór, wyjącego jak zwierzę, i odciągnął dalej od domu. Reszta stropu zawaliła się do sieni, przez otwarte drzwi buchnął kłęb dymu i ognia.

Pożar ogarnął już cały budynek. Nikt nie mógł w nim przeżyć.

Świadomość tego ogłuszyła go jak obuch topora. Złapał Szymona za tunikę.

Co tu się stało?

Nie wiem. — Stajenny skulił się pod jego morderczym spojrzeniem.

Kiedy tu przyszedłem, dom już płonął. Próbowałem wydostać Elwinę, ale nie dałem rady.

Różę wyniósł Garen. — Jego wzrok powędrował ku leżącej postaci. — Za późno...

Will puścił go.

Garen? — spytał tępo. — Garen tu był?

Szymon nerwowo przegarnął włosy ręką.

Nie wiem, co się stało, Will. W kuchni leżał zabity mężczyzna. Garen był strasznie poparzony, płakał nad Różyczką i bredził.

Co mówił?

„Nie chciałem cię skrzywdzić, córuś” i takie tam. Chyba postradał zmysły.

Will spojrział na Różę.

A gdzie jest teraz? — spytał lodowatym głosem. Naokoło jego serca wyrósł mur, więząc wszystkie uczucia.

Kiedy wyszedłem z domu, już go nie było.

Od wschodu dobiegł z wiatrem gorączkowy ryk rogów. Rozległ się dzwon, potem następny.

Przerwali obronę — mruknął.

Zdjął hełm, ukląkł obok dziewczynki i ujął w dłonie jej bezwładną rękę. Po kolei ucałował czubki wszystkich palców, a potem delikatnie ułożył jej dłoń na piersi i zwrócił się do Szymona:

Idź do preceptorium. Weź... — Przerwał mu gwałtowny trzask, ściana domu zaczynała pękać.

Will przełknął ślinę. — Zanieś ciało mojej córki do Templum, nie zostawiaj jej tutaj, słyszysz? Nie waż się jej tu zostawiać!

Dokąd idziesz?

Poszukam Garena.

Nie wiesz, gdzie jest! — krzyknął Szymon, widząc go w siodle.

Garen to szczur, a statek tonie. Będzie w porcie.

Jego śmierć nie przywróci ich do życia! — zawołał z rozpaczą Szymon. — Wracaj ze mną!

Ale Willa już nie było, w dali cichł wściekły galop.

Port w Akce Osiemnasty dzień maja

Dzwony biły na alarm, ryczały trąby i rogi. Mamelucy wdarli się do miasta.

Wlewali się do Akki konno i pieszo, szable w świetle poranka lśniły jak błyskawice, chmara łopoczących płaszczy parła naprzód niczym samum. Przybywali w obłoku strzał, w ogniu, w ogłuszającym grzmocie bębnow. Druzgotali czaszki, podpalali maszyny i dachy domów. W

pamięci mieli dwóchsetletnią walkę, w sercu żądzę zemsty, którą szaleństwo bitwy zmieniło w głód krwi i rzezi.

Po krótkiej zażartej walce padła brama Świętego Antoniego. Pozostali przy życiu rycerze zakonnicy wraz z hufcem króla Henryka zaczęli się cofać pod naporem tysięcy mameluków,

którzy wdzierali się przez wyłom. Jan z Yilliers został ranny, kilku braci zaniósł go na ostatni stojący jeszcze w porcie statek joannitów, pozostali przedarli się do szpitala Świętego Jana. Wielkie mangonele na murach płonęły. Mamelucy zmiotli Pizańczyków, mordując

każdego, kto stanął im na drodze, potem wdarli się do dzielnicy niemieckiej obsadzonej przez Krzyżaków, gdzie rzeź ciągle trwała. Od strony morza, przy Wieży Legackiej, wkrótce

powstał następny wyłom i choć kusznicy francuscy pospółu z rycerzami Świętego Tomasza

stawiali zawzięty opór, nie minęło wiele czasu, gdy oni również musieli oddać pole,

zostawiając zabitych i konających towarzyszy.

Na głos dzwonów w porcie rozpętało się pandemonium. Ostatnie skutki spiesznie brały

pasażerów, reszta odbijała już od brzegu. Żołnierze zbiegający z murów wpadli do portu z wieścią, że miasto upadło. Wołali do ogłupiałych ze strachu kobiet, aby pochowały się w domach i przeczekaly rzeź. Lecz ich słowa utonęły w powodzi krzyków; tylne rzędy oczekujących napały do przodu, usiłując się dostać do ostatnich łodzi. Zaczął się popłoch, spychane z muru kobiety i dzieci z krzykiem spadały do głębokiej wody. Wioślarzom udało się

wyłowić kilkanaście osób; nieliczne kobiety, które umiały pływać, same skakały do wody, ratując tonące dzieci, własne i cudze. Lecz o wiele więcej wołało na próżno, miotaly się z pluskiem, zanim pochłoneła je głębia. Patriarcha Mikołaj, który czekał w łodzi, aż opadnie łańcuch i poprzedzający statek wypłynie z portu, kazał wiosłować z powrotem mimo

protestów towarzyszących mu biskupów.

Możemy uratować niektórych — wychrypiał swym starczym głosem. — Musimy ich ratować,

W wodzie było coraz więcej ludzi, uciekinierzy z miasta płynęli za oddalającymi się statkami.

Wkrótce dogonili łódź i patriarcha sam pomagał wciągać nieszczęśników na pokład. Okazało się jednak, że jest ich zbyt wielu.

Odplywajcie! — krzyknął na wioślarzy biskup. — Prędszej!

Ale przerażeni uchodźcy wdrapywali się już na rufę, chwyrali burty, nie bacząc na jego przestrogi. Jednego z wioślarzy ściągnięto do morza wraz z wiosłem. Obwieszona ludźmi

łódź zaczęła się przechylać. Biskup złapał wiosło i jął nim młócić na prawo i lewo, miażdżąc palce i rozbijając głowy, ale choć niektórzy ranni lub ogłuszeni rozluźniali uchwyt, było już za późno. Łódź gibeła się na bok, nabierając wody, a po chwili obróciła się dnem do góry.

Pasażerowie znaleźli się w wodzie, niektórzy uwięzieni pod kadłubem. Mikołaj z Hanapy przez kilka chwil rozpaczliwie starał się utrzymać na powierzchni, lecz ciemna woda zamkneła mu się nad głową. Zabrał ze sobą widok płonących dachów Akki i tłumu miotającego się po nabrzeżu.

Wrill klusem wypadł z bramy prosto na nabrzeże, roztrącając ludzi. Zwolnił, wparł konia w tłum, nie zważając na paniczne okrzyki. Na tyłach, obok nędznych tawern i składów, ciżba zaczynała się przerzedzać. Pojmując, że nie umkną morzem, ludzie zawracali do miasta,

szukając w nim kryjóWKi. Świeżo mieli w pamięci Trypolis, gdzie do mordów i gwałtów dochodziło głównie na ulicach. Przeżyli ci, którzy pozostali w domach do czasu, gdy żądza krwi opadła, a wojsku przywrócono dyscyplinę. Dla wielu jedyna nadzieja leżała teraz w miłosierdziu zdobywców.

Will obrócił wierzchowca, rozejrzał się dookoła. W zatoce było jeszcze sporo statków, wszystkie oddalały się od nabrzeża, zmierzając na pełne morze. Może jednak pomylił się w rachubach i Garena tu nie ma. Zaczął wypytywać mijających go ludzi, czy nie widzieli poparzonego mężczyzny. Większość z obłędem w oczach biegła dalej, ale jakiś starszy człowiek wskazał długi sznur ludzi śpieszących po wschodnim falochronie ku stojącemu u jego krańca „Sokołowi”. Na końcu, potykając się, szedł samotny mężczyzna. Will wbił pięty w końskie boki i pogalopował na drugą stronę portu. Zatrzymał się w miejscu, skąd kamienna ostroga wybiegała w morze, zostawił konia i dalej ruszył pieszo. Molo było stare, zwiertzałe, nadgryzione przez żarłoczne fale, niektóre odcinki w ogóle nie wystawały już nad

powierzchnię, Ruszył biegiem, rozchlapując kałuże. Po lewej miał otwarte morze, ciemne i gniewne; po prawej zielonkawe, spokojne wody zatoki. Pośliznął się, omal nie wpadł do wody.

Garen! — wrzasnął.

Mężczyzna obejrzał się z wysiłkiem. Szedł sztywno, trzymając ręce przy piersi, jakby każdy ruch sprawiał mu ból. Z jego odzienia zostały przypalone strzępy; niektóre wtopiły się w skórę zwęglonymi plackami. Rzucił tęsknym wzrokiem na renegacką galerę i spróbował

przyśpieszyć, lecz po kilku krokach zrozumiał, że nie ucieknie. Przystanął i sięgnął po sztylet.

Will także dobył z pochwy falcjona.

Zatrzymali się obaj. Pomiędzy nimi morze chciwie lizało kamienie mola.

Poparzona twarz Garena zastygła w maskę bólu. W oczach na widok Willa błysnęło wyzwanie, po chwili jednak zwyciężyła rezygnacja.

Skończmy to wreszcie — rzekł, z trudem poruszając wargami.

Will poczuł, że zadawniona nienawiść rozpała się w nim żywym ogniem.

Co zrobiłeś? Co zrobiłeś mojej córce?

Twojej? — Garen cofnął się o krok. — Wszystko musi być twoje? Róża była moją córką, tego akurat jestem pewien.

Wzniesiony do ciosu miecz znieruchomiał w powietrzu.

Kłamiesz. Dlaczego?

Mówię prawdę, choć nikt tego nie poświadczy. Żebyś wiedział, co straciłem. Żebyś zrozumiał.

Will zawzięcie potrząsał głową.

Pomyśl — ciągnął cicho Garen. — Tyle lat i tylko jedno dziecko. Dziwne, prawda?

Nie! Elwina nigdy by... nigdy...

Słowa zalepiły Willowi usta, nie mógł ich wykrztusić. Z dachu pizańskiego ratusza buchnął w niebo snop płomieni. Żaden z nich nie zwrócił na to uwagi. W końcu Will przełknął ślinę i spytał zimno:

Kiedy?

Nim wyjechałeś do Mekki. Nie uwiodłem jej, Will. Sama do mnie przyszła.

A ty ją wzięłeś jak swoją.

Choć była twoja, znów twoja, tak? — krzyknął nagle Garen, nie zważając już na ból. — Bo co? Jesteś lepszy? Szlachetniejszy? Miałeś miejsce w zakonie, ale ci było mało, gdy więc Ewerard skaptował cię do Anima Templi, złamałeś śluby. Nie dość tego: zdradziłeś bractwo, żeby dorwać Bajbarsa, a potem zdradziłeś wielkiego mistrza, kiedy chciał zdobyć Czarny

Kamień. I przez cały czas oszukiwałeś wszystkich, żyjąc z kobietą, którą traktowałeś jak sprzedaną dziewczkę!

Will wpatrywał się w niego, z trudem pojmując, co słyszy.

Skąd wiesz o Mekce?

Od Elwiny. — Garen pokiwał głową, widząc wstrząs malujący się na twarzy Willa. — O,

kochała cię, nie przeczę. Była ze mną tylko raz. Potem zamknęła przede mną drzwi, jakby nic się nie stało, jakbym nie miał prawa do własnego dziecka. Oby się smażyła w piekle! —

syknał. Czubkiem sztyletu wycelował w pierś Willa. — Byłbym dla nich dobry. Ty nie poświęciłeś białego płaszcza, żeby stworzyć im rodzinę.

Will odrzucił głowę i wybuchnął śmiechem, po twarzy ciekły mu łzy gniewu, żalu i niedowierzania.

A ty byś stworzył? — warknął. — Ty, który bałeś się stawić czoło komukolwiek, wujowi, Krukowi, nawet własnym słabościom? Łatwiej było ci topić je w winie. I zazdrościć.

Zazdrościłeś mi wszystkiego od dziecka i wszystko postarałeś się odebrać. Najpierw cnotę, potem Elwinę i dziecko.

Nie, Will... — Głos Garena był ledwie słyszalny. — Coś ci jednak dałem. Czy zastanawiałeś się kiedykolwiek, dlaczego ocaliłeś życie wtedy, na drodze z Mekki? — Zmarszczył brwi,

wpatrując się w wodę opływającą mu stopy. — Od wielu lat się dziwię, po co cię oszczędziłem, dlaczego nie pozwoliłem Bertrandowi cię zabić. Może z odruchu dawnego

braterstwa... a może po prostu chciałem, żebyś umierając, mnie patrzył w oczy. Tak to sobie zawsze wyobrażałem. — Zaśmiał się z wysiłkiem. — Widzisz, mam swój honor, dlatego nie chcę cię okłamywać. Owszem, byłem kukłą, lecz za sznurki pociągał Edward, nie Kruk.

Skakałem, jak mi kazał, ba, zanim jeszcze kazał. Jak wtedy, kiedy chciałem ci odebrać

Czarny Kamień. Dla niego. Tak, zazdrościłem ci, że w twoim życiu jest miejsce na

przebaczenie i miłość, a nie tylko okrucieństwo i przymus. Wszystkie twoje marzenia stawały się ciałem, moje gasły. Prawdziwie wolny byłem chyba tylko w lochu. Spod władzy Edwarda wyzwoliła mnie dopiero Róża.

Will nie mógł dobyć z siebie ani słowa. Pod ciężarem słów Garena mur, jakim otoczył swoje serce nad ciałem córki, zaczął się kruszyć. Ból eksplodował w piersi, wyrwał się z ust

zduszonym, nieludzkim krzykiem.

Teraz już wiesz, jak to jest? — Pokryte pęcherzami usta rozchylił upiorny uśmiech. —

Rozumiesz, jak się czułem przez całe życie, wykorzystywany i zdradzany? — Garen rozłożył ręce, rzucił sztylet do wody, a potem powoli, ostrożnie opuścił się na kolana.

Will dopadł do niego w paru krokach, przytknął sztych do gardła.

Wstawaj — syknął.

Nie, Will. Straciłem wszystko, tak jak ty. Możemy jeszcze co najwyżej umrzeć.

Wstawaj!

Kończ z tym. Nie mam już siły.

Will złapał go za ramię; Garen krzyknął z bólu. On też krzychał z wściekłości, rosząc twarz swego wroga śliną i łzami. Opamiętał się dopiero, gdy posłyszał jęk:

No, zabij mnie wreszcie!

Cofnął się i trzymając miecz w dłoni, okręcił się na pięcie i ruszył z powrotem. Garen patrzył za nim z niedowierzaniem.

Dokąd idziesz? — szepnął, dźwigając się na nogi. — Zabij...

Ale po chwili on także się odwrócił. Zaczął iść w stronę morza, utkwivszy wzrok w „Sokole”. Szum fal zagłuszył kroki.

Poczuł w plecach ból, jakby ktoś go uderzył, a potem ujrzał sterczący pod mostkiem czubek miecza. Ostrze cofnęło się gładkim srebrzystym cięciem, szatkując mięśnie i trzewia. Osunął

się na kolana. Ściskając krwawiącą ranę, upadł na bok i przewrócił się na wznak. Will stał nad nim jak anioł zemsty, w bieli, z mieczem ociekającym krwią, a pożar miasta i blask

wschodzącego słońca rysowały wokół niego świetlistą aureolę. Garen otworzył usta, żeby coś powiedzieć, lecz zalała je fala. Woda kołła ból, poddał się jej, pozwolił znieść z mola w zieloną głębię portu. Przez kilka chwil unosił się na powierzchni, nim zaczął tonąć. Widział

jeszcze nad sobą zniekształconą przez fale postać rycerza, a potem morze zalało mu płuca i pociągnęło w ciemność.

Will dotarł do nabrzeża i przemaszerował jego połowę, zanim upadł. Ojcowski falcion z brzękiem wysunął mu się z dłoni. Ludzie mijali go biegiem, próbując dogonić statek, zapewnić sobie bezpieczeństwo. Podparł się na rękach i zwymiotował. Wypluwał czarne strzępki sadzy, lecz zdawało mu się, że to trucizna zawarta w słowach Garena, ohydna

prawda, której jego żołądek nie mógł strawić. Czuł bowiem, że Garen mówił prawdę. Miała sens, potworny, straszny sens, a on był głupcem. Zmarnował życie w pogoni za mrzonką,

która teraz płonęła wraz z Akką, nie zostawivszy mu niczego. Ojciec, Kalaun, Ewerard

odeszli wraz z szansą na pokój. Przeżyłby to, przeżyłby nawet podłość wyrządzoną mu przez Garena, gdyby ocalił żonę i córkę. Ale ich też już nie było, obróciły się w popiół jak wszystko dokoła.

Odrzucił głowę w tył i wrzasnął do Boga:

Czego jeszcze chcesz ode mnie, łajdaku?

Miał uczucie, że Bóg przygląda mu się obojętnie z góry niczym kot, który znudził się już myszą.

Czego?!!! — powtórzył.

Panie Wilhelmie?

Will zachwiał się i obrócił głowę, nie starając się nawet otrzeć wiszącej z ust nitki wymiocin.

Nachylał się nad nim zgarbiony, brodaty starzec. Rabin Elias, przyjaciel Ewerarda.

Jesteś ranny? — Rabin wyciągnął do niego rękę. — Pozwól, niech ci pomogę.

Nie. — Will usiadł na ziemi, odpychając dłoń starca. — Zostaw mnie.

Szukaliśmy statku, ale nie ma już żadnego. — Elias z troską wskazał otaczającą go czeladkę, składającą się w większości z kobiet i dzieci. — Co mamy robić?

Nie wiem. — Will otarł twarz wierzchem dłoni. — Nie wiem...

Od bramy portowej dobiegły krzyki. Elias kurczowo chwycił go za

ramię. Mamelucka konnica wlewała się na nabrzeże, tnąc ludzi niczym łan. Niektórzy w

panice rzucali się do morza, byle dalej od bezlitosnych krzywych szabel. Widzieli dziecko stratowane kopytami, brzemienne kobietę z rozprutym brzuchem, staruszkę z głową

strzaskaną jak orzech najeżoną kolcami buławą.

Will nagle posłyszał szloch zbitych wokół ludzi, poczuł zapach uryny, kiedy któreś z dzieci zmoczyło się ze strachu, ujrzał zaciśniętą rozpaczliwie dłoń Eliasza. Coś w nim drgnęło, ożywiło stępione zmysły.

Tam — rzekł do Eliasza, wskazując ledwie stąd widoczne wejście do tunelu, który biegł z portu do preceptorium. Pchnął rabina naprzód. — Biegnijcie! Prędko!

Śmiertelnie przerażeni nie potrzebowali dalszej zachęty. Poprowadził ich wzdłuż muru,

zaganiając jak owce. Od hordy zdobywców oderwało się kilku wojowników. Zagroził im

drogę, ujawszy mocno miecz w obie ręce. Potężnym zamachem przerąbał kark pierwszemu z

koni, z potem z obrotu podciął nogi drugiemu i dobił wysadzonego z siodła jeźdźca.

Prędeż! — ryknął, schylając się, bo w powietrzu zaczęły świstać strzały. Jedna otarła mu się o kolczugę. Większość mameluków zajęta była wyrzynaniem tłumu kłębiącego się przy

bramie portowej. Will ściał jeszcze jednego i zagonił spłoszoną grupę do tunelu. Wartownicy prędko otworzyli przed nimi bramę, nagłąc do pośpiechu, i natychmiast zaryglowali ją z

powrotem.

Dopiero gdy wyszli z ciemności na zalany słońcem dziedziniec preceptorium, uświadomił

sobie, ile osób uratował. Było ich około sześćdziesięciu, wszyscy bladzi i rozdygotani, ale żywi. I nie byli to jedyni ocaleni. Templum, dotąd odcięta od świata potężnymi murami,

otworzyła bramy dla uchodźców. Rozglądając się wokół, widział biednych i bogatych,

mężczyzn i niewiasty. Dziedziniec wypełniał parotysięczny tłum.

Will!

Obejrzał się, lecz nie dostrzegł żadnej znajomej twarzy

Will! — posłyszał znowu.

Okręcił się w koło, przepatrując oczyma ciżbę. Dopiero po chwili ktoś przepchnął się w jego kierunku. Szymon trzymał w ramionach brudną, poparzoną i oszołomioną złotowłosą

dziewczynkę, która na widok Willa krzyknęła, wyciągając do niego ręce. Skoczył, porwał ją w objęcia.

Ocknęła się, gdy odjechałeś — mówił Szymon. — Podniosłem ją, a ona nagle zaczęła mówić.

Przestraszyła mnie, że hej!

Ale Will go nie słuchał. Padł na kolana, tuląc do siebie płaczącą córkę.

Templum w Akce Dwudziesty piąty dzień maja roku Pańskiego 1291

Tunel był stęchły i duszny, ściany odbijały echo człapiących po mokrym podłożu stóp, szmer liczych oddechów, pochlipywanie dzieci. Pochodnie migotały gwałtownie w powietrzu

nasyconym solą i wilgocią. W plamach światła poruszało się ponad dwustu ludzi. Jedni

apatycznie, inni z cichymi łzami na policzkach, jeszcze inni posepni i milczący.

Na czele kroczył Teobald Gaudin z seneszalem i kilkoma wyższymi rangą braćmi. Za nimi

dwunastu serwientów ciągnęło wózki wyładowane zawartością skarbcza i kancelarii zakonu.

Monety, święte relikwie, klejnoty, kielichy, pierścienie i księgi, ciasno upakowane w

skrzyniach. Za skarbcem kroczyło czterdziestu dwóch rycerzy, dwudziestu siedmiu braci

służebnych i kilku księży. Pochód zamykała setka uciekinierów z miasta. Na czele tej grupy szedł Will ze wzrokiem martwo utkwionym przed siebie. Po lewej miał Roberta z pręgą

świeżo zszytej rany na czole. Po prawej Szymon blady jak płótno maszerował jednak żwawo, zerkając raz na Willa, a raz na Różę, która dreptała za nim uczepiona dłoni Eliasza, lecz wpatrzona w plecy ojca. Infirmariusz obłożył jej maścią i owinął czystym płótnem poparzoną rękę, lecz we włosach wciąż miała kurz i sadzę, a na sobie tę samą osmaloną sukienkę, w której Garen wyniósł ją z płonącego domu. Od tamtej pory wypowiedziała ledwie parę słów.

Will zauważył minę Szymona i obejrzał się ukradkiem. Jego spojrzenie odnalazło

oszołomioną twarz dziewczynki i znów uciekło. Po chwili obezwładniającego szczęścia, że Róża żyje, przyszedł koszmar. Ilekroć na nią spoglądał, mimo woli wyobrażał sobie

wykrzywioną strachem i bólem twarz płonącej żywcem Elwiny. Obraz ten doprowadziłby go

do obłędu, lecz na szczęście nie dano mu czasu, by się nim katował. Miał tylko nadzieję, że z czasem zblaknie. Zamknął w sobie rozpacz, powierzył dziecko opiece Eliasza i wrócił na swój posterunek.

Minęło siedem dni od upadku miasta. Stolica krzyżowców została zdobyta, a wraz z nią

skończyło się marzenie o chrześcijańskiej Ziemi Świętej. Rzeź, która się rozpoczęła, gdy mamelucy wtargnęli przez pierwszy wyłom, trwała aż do zmroku, a nim słońce zaszło, całun czarnego dymu spowijał miasto zmienione w cuchnący otwarty grób pełen pomordowanych

dzieci, mężczyzn i kobiet — zhańbionych, nim rozpruto im brzuchy lub odcięto głowy.

Wzdłuż murów piętrzyły się splecione ciała rycerzy i piechurów, chrześcijan, mameluków, Beduinów... Proporce, których drzewca wciąż tkwiły w zaciśniętych dłoniach poległych

chorążych, okrywały litościwie sterty zwłok, falując lekko na wietrze. Tu lub ówdzie pełzł z jękiem jakiś niedobitek, próbując się wyczołgać z piekła krwi i śmierci, zanim nadejdzie mamelucki patrol.

Przed wieczorem zaczęły się zlatywać padlinożerne ptaki. Ocaleni przemykali pośród ruin, kryjąc się przed plądrującymi miasto żołnierzami. Sułtan zdołał utrzymać w ryzach większość armii, lecz niektórym, zwłaszcza członkom najemnych oddziałów, wciąż szumiała w głowach rzeź, a czas mordów i gwałtów jeszcze się nie skończył. Inni szukali łupów, przetrząsając pałace, kościoły i składy. Chalil obrał sobie na kwaterę zamek królewski, a jego emirowie od razu zabrali się do przywracania dyscypliny, wysyłając karne oddziały do wyłapywania

maruderów

i ocalonych. Tylko mężczyźni bardzo zamożni lub bardzo znaczni unieśli cało głowy. Kobiety i dzieci tysiącami brano w pęta. Tym systematycznym działaniom oparły się tylko trzy pełne uciekinierów twierdze: Templum, dom zakonny rycerzy Najświętszej Marii Panny i szpital

Świętego Jana.

Krzyki mordowanych słyhać było do późna w noc. Will, stojący przy oknie w komnacie

wielkiego mistrza, przysłuchiwał się im posepnie. Odwrócił się, gdy Zachariasz poruszył się gwałtownie, a ksiądz rozpoczął modlitwę. Wilhelm z Beaujeu wydał ostatnie tchnienie.

Odkąd przyniesiono go do preceptorium, broczącego krwią z głębokiej rany, odezwał się

tylko raz, pytając, czy obrona się utrzyma. Kiedy Teobald odrzekł, że miasto jest stracone, opadł na poduszki, a z kącików oczu spłynęły mu dwie ciche łzy. Potem leżał już tylko,

przysłuchując się temu, co działo się na zewnątrz. Pochowali go nazajutrz rano w sadzie.

Zachariasza nie było na pogrzebie; nocą po śmierci mistrza poprowadził na wypad niewielką grupę rycerzy, w której znalazło się i paru joannitów. Wedle relacji jedyne, któremu udało się wrócić, uderzyli na silny oddział mameluków. Pędzili w bój z imieniem Wilhelma z

Beaujeu na ustach, znacząc swój szlak trupami nieprzyjaciół.

Dzień później skapitulowały twierdze joannitów i Krzyżaków. Widząc, że sprowadzono

nakabunów i mury długo się nie ostoją, mistrzowie zgodzili się poddać w zamian za

darowanie życia zakonnikom i tym, których mieli pod opieką. Sułtan na to przystał. Templum trzymało się nadal; każdej nocy kolejne partie uciekinierów prowadzono do portu, skąd

zabierały ich statki kursujące nieustrudzenie na Cypr i z powrotem. Mamelucy nie zdołali przeszkodzić ewakuacji; nie mieli własnych statków, a stojące w zatoce frankijskie okręty

ostrzeliwały z trebuszy każdy patrol, który zapuścił się na nabrzeże. Nie mogąc ich dosięgnąć, Chalil machnął ręką na ucieczkę paru setek cywili i wycofał większość sił z okolic portu. Dla zamkniętych w murach preceptorium ewakuacja postępowała o wiele za wolno. Brakowało

żywności, a śmierć wielkiego mistrza pogłębiła aurę przygnębienia. W końcu i templariusze zgodzili się poddać. Zanim wyprawiono posła do sułtana, marszałek Piotr z Sevrey rozkazał

Gaudinowi wsiąść ze skarbcom zakonu na ostatni stojący jeszcze w porcie okręt Templum.

Kiedy dotarli do wylotu, bramę otwarto, a kilku rycerzy wymknęło się przodem, żeby

oczyścić drogę. Mamelucy pilnujący nabrzeża zostali bez hałasu zgładzeni i giermkowie

pociągnęli wózki w stronę mola. Za nimi ruszyli uchodźcy i część rycerzy z mieczami w dłoniach. Latarnie „Feniksa” wskazywały im drogę jak małe gwiazdy przewodnie.

Will zatrzymał się przy wejściu. Stał tam seneszał z kilkoma mężczyznami, którzy pomagali przy transporcie skarbcza. Jego twarde spojrzenie spoczęło na Willu.

Na co czekasz, komandorze?

Płyn z nami — mruknął Will.

Seneszał kiwnął głową na serwientów.

Wracajcie — rozkazał. Kiedy znaleźli się poza zasięgiem głosu, spojrzął na Willa. — Moje miejsce jest tutaj, z marszałkiem i resztą.

Zabiją cię albo wtrącają do lochu.

Jestem już stary — burknął seneszał. — Zresztą przeżyłem całe życie w Akce, nigdzie indziej bym się nie zdomowił. Mój czas minął, twój nie. Czeka cię jeszcze wiele pracy.

Straciliśmy Ziemię Świętą—stwierdził sucho Will.—Anima Templi nie ma już racji bytu.

Oczy seneszala zmrużyły się z przyganą.

Mylisz się — rzekł surowo. — Tak, straciliśmy bastion na Wschodzie, ale to tylko ziemia; piasek i kamień. Jesteśmy czymś więcej. Zakon wciąż istnieje, a bez wielkiego mistrza jest pozbawiony steru. To dla nas niebezpieczny okres. Teraz bardziej niż dotąd musisz bronić Templum przed wszystkimi, którzy zechcą nas wykorzystać dla własnych celów. Musisz

wciąż szerzyć pokój, już nie na Wschodzie, lecz na Zachodzie, gdzie wojna jest równie

powszechna jak tutaj. Na tronach Europy zasiadają ludzie pozbawieni skrupułów, żądni

władzy, którzy nie zawahają się przed wycięciem w pień całych miast lub nawet ludów, by utwierdzić swą dominację. Twoim zadaniem, komandorze, podobnie jak tutaj, będzie

utrzymanie równowagi sił i obrona tych, którym zagrozi chciwość lub ciemnota innych. Taki cel masz przed sobą i dlatego właśnie ty i Robert z Paryża odpływacie tym statkiem. Ktoś został tu zamiast ciebie, Campbell. Nie pozwól, żeby nasza ofiara poszła na marne.

Pociągnął ku sobie skrzydło bramy i dodał szorstko:

Idź już.

Pod murami Akki Dwudziesty ósmy dzień maja

Sułtan al-Aszraf Chalil patrzył w milczeniu na jeńców wyprowadzanych z ruin Templum.

Zachodzące słońce nadawało rdzawy odcień skruszonym murom, które zostały podminowane

i runęły tegoż popołudnia. Dwa tysiące mameluków wdarło się przez wylom, podejmując

walkę z pozostałymi wewnątrz templariuszami. Ale podkop zanadto naruszył mury i zwała się znaczna część umocnień od strony lądu, grzebiąc chrześcijan i muzułmanów pod górą gruzu. Twierdza miała się poddać, ale negocjacje utknęły w martwym punkcie i sułtan

zdecydował się wziąć ją siłą.

Wraz z upadkiem Templum walka dobiegła końca. Akka, zdobyta po raz pierwszy przez

krzyżowców dwieście lat temu, znalazła się z powrotem w rękach wyznawców Allaha. Chalil wysłał od razu jednego z emirów z częścią wojsk do Tyru, by i tam rozpoczął oblężenie. Z

odesłanych mu raportów wynikało, że miasta nie będzie miał kto bronić, większość bowiem mieszkańców uciekła na morze, widząc na horyzoncie słup dymu bijący w niebo nad Akką.

Sydon, Bejrut i Hajfa wkrótce podzielą jej los i wtedy nareszcie dopnie celu. Nie będzie już frankijskich najeźdźców w Palestynie, nie będą już grabić prawowiernym ziemi, odbierać

świętyń, a ich samych zmieniać w niewolników. Pokonał ich on, Chalil. Żołnierze sławili go jako bohatera, pogromcę niewiernych, miecz w ręku samego Allaha. Wysłuchiwał tej

chwalby bez słowa. Za kilka dni zacznie odczuwać wdzięczność, a także dumę, albowiem był

przecież rad z tego, co osiągnął. Kiedy Franków nie będzie, zajmie się Mongołami bez

obawy, że dwaj nieprzyjaciele połączą siły. Stał się godnym następcą Bajbarsa i Saładyna, wycisnął resztkę jadu z rany zadanej im przez Franków przed dwustu laty. Uwolnił swój lud.

Już po wszystkim. Nareszcie jest po wszystkim.

Ale w wielkim grobie, jakim stała się Akka, na spływających krwią ulicach cuchnących

śmiercią trudno było się cieszyć. Sułtan al-Aszraf Chalil odwrócił się więc od wycieńczonych jeńców, od ruin Templum i poszedł przed siebie, czując na twarzy ciepło zachodzącego

słońca.

„Feniks” Morze Śródziemne Trzydziesty dzień maja

Will stał przy burcie galery, patrząc na bezkresne lazurowe morze. Na pokładzie tłoczyli się uchodźcy; po paru dniach grobowej ciszy powoli zaczęli się odzywać, jeść, przewijać rany i nieść pocieszenie bliźnim. Nastrój, choć wciąż smutny, nieco się poprawił. Tak to już jest: przeszli piekło,

ale udało im się przeżyć. Teraz pozostało im żyć dalej, niezależnie od tego co stracili. Will spojrzął na swoją otwartą dłoń. Leżał na niej cienki złoty pierścień. Pamiętał, jak chłodne były palce Ilwiny, kiedy wsuwała mu go na palec, przepychając delikatnie przez

zgrubienie knykcia. Potem przez wiele lat nosił go na łańcuszku obok męclalionu ze świętym Jerzym. Ból — zarówno po stracie, jak "po zdradzie Elwiny — wciąż przenikał go do głębi; silny, zaborczy, omal całkiem nim nie zawładnął. Nie mógł mu na to pozwolić i nie pozwolił.

Trzy dni temu usiadł z Różą na rufie, ignorując zaciekawione spojrzenia braci, i poprosił, żeby wszystko mu opowiedziała. Długo się wahała, zanim otworzyła usta, ale później mówiła bardzo długo, choć każde słowo, nawet te, których nie rozumiała, było dla niej udręką. Czułe i spokojnie wyciągnął z niej całą prawdę. Teraz znał już historię zdrad Garena od Honfleur po Mekkę. Ale przede wszystkim poznał oblicze nieprzyjaciela.

Garen był pionkiem, lichą marionetką. Prawdziwym zdrajcą, wilkiem w owczarni i

animatorem wszystkich jego czynów, okazał się król Edward

ongiś opiekun, dziś wróg.

Seneszał miał rację. Dzieło Anima Templi dalekie było od ukończenia. Will stał na czele bractwa i jak inni przed nim miał obowiązek bronić go przed złem. Do tego wyznaczył go

Ewerard z Troyes. Zatem musi żyć dalej,

aby wypełnić tę powinność. Uniósł pierścionek do ust, ucałował go, a potem wrzucił do

morza. Złoty krążek zawirował, spadając, zaśnił i zniknął.

Posłyszał, że ktoś do niego podchodzi.

Róża się obudziła. — Szymon oparł się o burtę. — Jest pod pokładem, pyta o ciebie.

Zaraz do niej zejść.

Szymon kiwnął głową i klepnął go w ramię, nim odszedł.

Will wciągnął powietrze głęboko w płuca. Musi być silny i będzie silny. Nie jest sam. Bóg ocalił mu Różę. Choć nie jest jego córką, kocha ją jak córkę. Ma przy sobie Szymona i

Roberta, a gdzieś w Szkocji — rodzinę. Zmięty list od Isendy, ocalony z preceptorium,

spoczywał w sakwie. Przywołując w pamięci obraz skąpanych w deszczu wrzosowisk, Will

odwrócił się plecami do Wschodu i popatrzył na Zachód. W stronę domu. I w stronę kolejnej bitwy.

Pisząc tę książkę, starałam się być wierna zapisom historycznym, lecz historia nie zawsze toczy się

tak gładko i dogodnie, jak chcieliby tego autorzy powieści, toteż niekiedy musiałam ją złożyć na ołtarzu literatury. Zwłaszcza daty przysparzają wielu kłopotów, gdy się chce wokół nich uprząść fikcyjną akcję i osadzić postacie. Czasem trzeba je nieco nagiąć dla potrzeb fabuły i wygody czytelnika. Na przykład w tym okresie dziejów zakonu templariuszy urząd seneszała już nie istniał; jego obowiązki leżały w gestii dostojnika, który podobnie jak Teobald Gaudin nosił tytuł wielkiego komandora. Wskrzesiłam dawną funkcję, żeby uniknąć niepotrzebnego zagmatwania. Al-Bira została zaatakowana przez Mongołów zimą 1275 roku i oblężenie już trwało, zanim wojska Bajbarsa tam dotarły. Król Hugo III nie odpłynął z Akki wprost na Cypr, tylko zatrzymał się najpierw w Tyrze, a wieść o wykupie praw do tronu

jerozolimskiego przez Andega- weńczyka dotarła do Akki później, niż to przedstawiłam.

Muzułmański miesiąc muharram w roku 1277 przypadał w czerwcu, a nie w kwietniu, zaś

Trypolis, obleżony pod koniec marca 1289 r., w rzeczywistości bronił się prawie przez

miesiąc, nim zdobyły go wojska sułtana Kalauna.

Opisana tu wersja okoliczności śmierci Bajbarsa jest tworem mojej wyobraźni. Baraka nie mógł otruć ojca, albowiem pozostał w Kairze, gdy ten pociągnął na wyprawę anatolijską.

Istotnie jednak zgon sułtana był przedmiotem licznych spekulacji. Paru kronikarzy pisze, że sułtan zmarł po wypiciu zatrutego kumysu. Sugerują oni, że astrologowie przestrzegali go przed zaćmieniem księżyca mającym jakoby zwiastować śmierć władcy. Bajbars, by odsunąć

od siebie niebezpieczeństwo, postanowił otruć aj- jubidzkiego księcia, który walczył u jego boku w' Elbistanie, ale potem czymś mu się naraził. Relacje różnią się w szczegółach, lecz na ogół stwierdzają, że Bajbars przez pomyłkę wypił truciznę przygotowaną dla księcia. Inne źródła podają, że zmarł od rany odniesionej w bitwie, jeszcze inne

że od choroby. Jakkolwiek było naprawdę, nie umarł nagle, konał przez trzynaście dni.

Czytelnicy pragnący zyskać głębszą wiedzę o nakreślonych w powieści wydarzeniach, znajdą ją w opracowaniach historycznych, których skromną część zamieszczono w bibliografii na

końcu książki.

Zdobycie w 1291 roku Akki przez sułtana al-Aszrafa Chalila to końcowy akord epoki krucjat, którym początek dał słynny apel papieża Urbana II wygłoszony dwieście lat wcześniej.

Teobald Gaudin, wielki komandor zakonu templariuszy, odpłynął wraz z częścią rycerzy do Sydonu, gdzie obrano go wielkim mistrzem. Ocaleni z Akki bracia pozostali tam przez

miesiąc, lecz musieli się wycofać, gdy pod Sydon nadciągnęła armia mamelucka. Gaudin

odpłynął na Cypr wraz ze skarbcem zakonu, pozostawiając niewielki garnizon na warownej

wysepce Arwad, dwie mile od Tartusu. Templariusze utrzymali ją przez dwanaście lat, ale pozostałe frankijskie osady w Ziemi Świętej w krótkim czasie wpadły w ręce muzułmanów.

Opuszczona Akka długo leżała w ruinie. Mieszkańcy, którzy przeżyli oblężenie, rozproszyli się po lochach, obozach pracy i haremach. Niektórych, w tym także część rycerzy zakonnych, udało się wykupić. Niektórzy przeszli na islam. Wiele lat później europejscy pielgrzymi w Ziemi Świętej napotkali templariuszy pracujących przy wyrębie drzew niedaleko Morza

Martwego.

Sułtan Chalil niedługo cieszył się zwycięstwem nad Frankami. W 1293 r. ogłosił świętą wojnę z Mongołami i pod koniec tegoż roku zginął zamordowany przez własnych oficerów.

Tron objął po nim brat, al-Nazir Mohamed, najmłodszy syn Kalauna. Sułtanat mamelucki panował na Bliskim Wschodzie do roku 1517, kiedy to uległ imperium osmańskiemu.

Na Zachodzie chęć odzyskania Ziemi Świętej nie wygasła natychmiast po upadku Akki.

Chociaż planowane później krucjaty spełzły na niczym, bolesne echa tego krwawego epizodu w dziejach świata odzywały się jeszcze nieraz po obu stronach morza, a odczuwamy je do dziś.

Robyn Young, marzec 2007.

SPIS POSTACI HISTORYCZNYCH WYSTĘPUJĄCYCH W POWIEŚCI

(daty odnoszą się do piastowanego stanowiska)

Abaga — mongolski chan Persji (1265—1282)

Al-Aszraf Chalil — syn Kalauna, sułtan Egiptu i Syrii (1290—1293) Al-Mansur Kalaun al-

Alfi — mamelucki emir, przyboczny Bajbarsa i teść Baraki, sułtan Egiptu i Syrii (1279—1290)

Argun — syn Abagi, chan Persji (1284—1291)

Armand z Perigord — wielki mistrz zakonu templariuszy (1232—1244?) As-Said Baraka

Chan — syn Bajbarsa, sułtan Egiptu i Syrii (1277—1279) As-Salih Ali — syn Kalauna

Az-Zahir Bajbars Bunduktari — sułtan Egiptu i Syrii (1260—1277) Balian z Ibelinu — bajlif króla Hugona III w Akce Edward I — król Anglii (1272—1307)

Filip IV — król Francji (1285—1314)

Gerard z Ridefort — wielki mistrz zakonu templariuszy (1184—1189) Grzegorz X — papież (1271—1276)

Henryk II — syn Hugona II, król Cypru (1285—1306 i 1310—1324), władca Królestwa Jerozolimskiego (1285—1291)

Hugo III — król Cypru (1267—1284), władca Królestwa Jerozolimskiego (1269—1277, formalnie do 1284)

Hugo z Pairaud — wizytator zakonu templariuszy Jan z Villiers — wielki mistrz zakonu szpitala Świętego Jana (1284— —1293)

Kadir (lub: Chadir) — zaklinacz na dworze Bajbarsa Karol Andegaweński — brat Ludwika IX Francuskiego, król Sycylii i Neapolu (1266—1285), władca Królestwa Jerozolimskiego (1277— —1285)

Ludwik IX — król Francji (1226—1270)

Łucja — hrabina Trypolisu (1288—1289)

Maria z Antiochii — pretendentka do tronu jerozolimskiego Mikołaj IV — papież (1288—1292)

Mikołaj z Hanapy — patriarcha jerozolimski (1288—1291, wg innych źródeł do 1294)

Muin ad-Din Sulejman — parwana (kanclerz), regent sułtanatu seldżuckiego

Odo (lub: Otto, według innych źródeł: Jan) de Grandson — rycerz Piotr z Sevrey (lub: Sevry) — marszałek zakonu templariuszy Rabban Bar Sauma — wysłannik chana perskiego Arguna

Robert z Sabie — wielki mistrz zakonu templariuszy (1191—1193) Roger z San Severino —

bajlif Karola Andegaweńskiego w Akce Al-AdiI Salamisz — syn Bajbarsa (formalnie sułtan w r. 1279) Tawatan — wódz mongolski

Teobald (lub: Tybalt) Gaudin — wielki komandor zakonu templariuszy, później mistrz (1291

Wilhelm z Beaujeu — wielki mistrz zakonu templariuszy (1273—1291)

Akka (także: Akra, Saint-Jean cTAcra), starożytna osada fenicka na wybrzeżu Morza Śródziemnego, w czasach rzymskich zwana Ptolemaidą. Zdobyta w 640 r. przez Arabów, w 1104 r. przez krzyżowców; główny port nowo powstałego Królestwa Jerozolimskiego.

Początkowo pod władzą króla, po ostatecznej utracie Jerozolimy i upadku lokalnej władzy królewskiej rządzona przez miejscową oligarchię.

Asasyni, skrajna szyicka sekta izmailitów, założona w Persji pod koniec XI w., zyskała wpływy także w Libanie i Syrii. Pod wodzą Sinana, zwanego „Starcem z Gór”, doszła do wielkiej potęgi. Wyniszczona w XII w., jej zamki i ziemie wchłonął mamelucki sułtanat Egiptu.

Bajlif, sędzia, także namiestnik króla lub innego władcy.

Brygantyna, zbroja ze stalowych płytek połączonych siatką kolczą.

Dżihad (arab. zmaganie, walka) oznacza zarówno duchowe dążenia muzułmanina, jak i ciążący na nim obowiązek nawracania niewiernych, krzewienia i obrony islamu na drodze pokojowej, a także zbrojnej.

Emir, początkowo zastrzeżony dla początków Mahometa tytuł wysokich arabskich dowódców wojskowych, później także władców.

Falcjon, jednosieczny miecz (właściwie tasak) o szerokiej, nieco wygiętej głowni.

Hadżdż, doroczna pielgrzymka do Mekki, którą każdy muzułmanin winien odbyć co najmniej raz w życiu. Ma ona miejsce w miesiącu hidżdża, dwunastym muzułmańskiego kalendarza księżycowego. Zwykła pielgrzymka zwana umrą, może być odbyta w dowolnej porze.

Joannici (zwani też szpitalnikami), Zakon Świętego Jana Chrzcziciela Szpitala

Jerozolimskiego, założony w końcu XI w. przez Gerarda z Martigues przy szpitalu św. Jana w Jerozolimie, zatwierdzony w 1113 r.; początkowo zajmował się pieczą nad chorymi

pielgrzymami, po zwycięstwie pierwszej krucjaty przyjął także funkcje zakonu rycerskiego.

Rekrutując rycerzy, nabywając ziemie i budując zamki, dorównał potęgą i znaczeniem

zakonowi templariuszy, z którym często rywalizował. Podobnie jak templariusze, joannici mieli sieć komandorii w całej Europie (także w Polsce); organizowali pierwsze europejskie szpitale. Po upadku Królestwa Jerozolimskiego Zakon Świętego Jana przeniósł się na Cypr, później na Rodos, a w 1530 r. osiedlił się na Malcie, od której pochodzi zwyczajowa nazwa kawalerów maltańskich.

Kaaba (z arab. „kostka, sześcian”), najświętsze sanktuarium islamu, prastara świątynia

znajdująca się wewnątrz Wielkiego Meczetu w Mekce, do której zwracają się muzułmanie w

czasie modlitwy. Według tradycji wzniesiona przez Adama, przebudowana przez Abrahama i

Izmaela; przypuszczalnie przedmuzułmańskie miejsce kultu plemion arabskich zaadaptowane dla islamu przez Mahometa, który osadził w ścianie świątyni tzw. Czarny Kamień (al-Hadžar), cel dorocznych pielgrzymek (hadźdź). W 929 r. Czarny Kamień padł łupem

ismailitów i przez dwadzieścia dwa lata był przetrzymywany poza Mekką.

Kefija, chusta noszona przez Arabów.

Królestwo Jerozolimskie, państwo łacińskie utworzone w 1099 r. po zdobyciu Jerozolimy

przez pierwszą wyprawę krzyżową. Jego pierwszym władcą został francuski hrabia Gotfryd z Bouillon. Jerozolima będąca stolicą królestwa w ciągu następnych dwustu lat parokrotnie przechodziła z rąk do rąk; została ostatecznie utracona w 1244 r. Ośrodek władzy przeniósł

się wtedy do Akki. W skład chrześcijańskiej federacji na Bliskim Wschodzie wchodziły

również: księstwo Antiochii podbite przez Bajbarsa w 1268 r., hrabstwo Trypolisu (upadło w 1289 r.) oraz hrabstwo Edessy zdobyte w 1144 r. przez Seldżuków pod wodzą Zengiego.

Akka, ostatnia stolica krzyżowców, padła w 1291 r. i tę datę przyjmuje się jako koniec

Królestwa Jerozolimskiego i chrześcijańskiego władztwa w Ziemi Świętej.

Krucjaty, wyprawy krzyżowe, ruch mający na celu zaprowadzenie chrześcijańskiego

władztwa w Ziemi Świętej, zapoczątkowany w 1095 r. przez papieża Urbana II na synodzie w Clermont; mający jednak prócz religijnego także podłoże gospodarcze i polityczne.

Wezwanie do krucjaty było odpowiedzią na apel cesarza Bizancjum, nękanego przez

seldżuckich Turków, którzy w 1071 r. zdobyli Jerozolimę. Schizma z 1054 r. rozdzieliła

Kościół wschodni i zachodni; Urban II miał nadzieję na ponowne ich zjednoczenie i zapewnienie chrześcijaństwu dominacji na Bliskim Wschodzie. Cel ten został w pewnej mierze i na krótko osiągnięty wskutek czwartej z krucjat w 1204 r. W ciągu dwóch stuleci do Ziemi Świętej wyruszyło siedem wypraw (jeśli zaś doliczyć krucjaty ludowe, dziecięcą oraz misję Fryderyka II — jedenaście).

Krzyżacy, Zakon Szpitala Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego w Jerozolimie, założony ok. 1190 r. przez mieszczan z Bremy i Lubeki przy szpitalu, od którego wziął nazwę. Zatwierdzony w 1198 r. jako zakon rycerski, w Ziemi Świętej miał w swej pieczy tereny położone na północny wschód od Akki. Z czasem zyskał większe wpływy niż templariusze i joannici; wśród licznych nadań w Europie wypada wymienić ziemię chełmińską przyznaną przez Konrada Mazowieckiego, z której zakon rozpoczął podbój Prus. Po upadku Królestwa Jerozolimskiego i krótkim epizodzie węgierskim stolicą krzyżacką stał się zbudowany po 1274 r. Malbork.

Madrasa, teologiczna szkoła muzułmańska, w której nauczano Koranu, prawa i języka arabskiego.

Mamelucy (z arab. „niewolnik”), oddziały wojskowe złożone z niewolników głównie tureckiego pochodzenia, którzy od ok. IX wieku stanowili gwardię przyboczną sułtanów Egiptu. Znani w swoich czasach jako „templariusze islamu”, w roku 1250 przejęli władzę po obaleniu dynastii Ajjubidów. Pod rządami Bajbarsa sułtanat Egiptu objął także Syrię i doprowadził do ostatecznego wyrugowania Franków z Ziemi Świętej. Mameluckie dynastie panowały w Egipcie aż do jego podboju przez Turków osmańskich w 1517 r.

Mongołowie, związek koczowniczych plemion azjatyckiego stepu, zjednoczony pod koniec XII w. przez Temudżyna zwanego później Czyngis-chanem. Ze stolicy u stóp Karakorum przeprowadził on szereg podbojów, dzięki którym stworzył potężne mocarstwo sięgające od współczesnych Chin i Korei po Rosję. Po śmierci Czyngis-chana imperium podzielono na pięć mniejszych ord, których losy z czasem potoczyły się oddzielnie. Jedną z nich, Złota Orda, przez dwieście lat nękała wschodnią i środkową Europę (najazdy tatarskie). Tamę

Ordzie Perskiej położyło dopiero zwycięstwo Kutuza nad Ajn Dżalud.

Mistrz, przywódca zakonu rycerskiego. Wielki mistrz templariuszy wybierany był

dożywotnio przez radę najwyższych rangą rycerzy zakonu

do końca epoki krucjat rezydował w Palestynie, Jego zastępcą był seneszal. Trzeci w

hierarchii marszałek odpowiadał za dyscyplinę, zaopatrzenie w żywność, broń i wierzchowce; w bitwie osobiście prowadził wojsko, niosąc sztandar. Począwszy od XIII w. zwierzchnikiem wszystkich jednostek zakonu templariuszy w Europie był mistrz noszący tytuł wizytatora.

Ogień grecki, mieszanka smoły, czarnego prochu i ropy naftowej, używana w trakcie działań wojennych do podpalania okrętów i umocnień.

Outremer, „kraj za morzem”, francuskie określenie Ziemi Świętej.

Preceptorium, termin używany najczęściej dla określenia głównej siedziby zakonu w danej prowincji. Mniejszymi jednostkami były komandorie (komturie). Każda taka posiadłość

oprócz budynków klasztornych obejmowała zwykle również ziemie i folwarki.

Reguła zakonu templariuszy została spisana w 1129 r. z pomocą św. Bernarda z Clairvaux i zatwierdzona na synodzie w Troyes. Określała szczegółowo tryb życia i obowiązki braci,

zarówno zakonne, jak i wojskowe. Rozbudowywana i redagowana z biegiem czasu, w XIII w.

miała już około sześciuset punktów.

Salaat, modlitwa muzułmańska celebrowana pięć razy w ciągu dnia.

Szyici i sunnici, dwie gałęzie islamu powstałe wskutek rozłamu po śmierci Mahometa i

niezgody, kto ma być jego następcą. Sunnicka większość uznawszy, że nikt nie może się

równać z Prorokiem, przyznała

zwierzchnictwo nad społecznością muzułmańską obieralnym kalifom. Pierwsi czterej

kalifowie po Mahomecie otoczeni są szczególną czcią, a ich słowa i czyny legły u podstaw prawa zwyczajowego (sunna), którego przestrzegać winni wszyscy wierni. Szyici za swego

zwierzchnika uważają imama pochodzącego z rodu Alego, zięcia Mahometa. Ali był

czwartym kalifem i tylko jego szyici otaczają czcią, odrzucając tradycję sunny.

Templariusze, Zakon Ubogich Rycerzy Chrystusa i Świątyni Salomona, założony ok. 1119 r.

przez Hugona z Payns, który udał się do Jerozolimy w towarzystwie ośmiu francuskich

rycerzy. Nazwę wziął od świątyni Salomona, w której miał pierwszą siedzibę. Zatwierdzony w 1128 r. na synodzie w Troyes, przestrzegał zarówno reguły zakonnej, jak i kodeksu

wojskowego. Pierwotnym zadaniem była ochrona pielgrzymów w Ziemi Świętej, wkrótce

jednak templariusze podjęli się wielu militarnych i handlowych przedsięwzięć na Bliskim Wschodzie i w Europie, dzięki którym stali się jedną z najbogatszych i najpotężniejszych organizacji swej epoki. Zakon obejmował trzy klasy braci: służebnych (serwientów), kapelanów i rycerzy. Tylko tym ostatnim, po złożeniu ślubów czystości, ubóstwa

posłuszeństwa, wolno było nosić charakterystyczne białe szaty z czerwonym krzyżem.

Michel Balard, Wyprawy krzyżowe i łaćński Wschód, Warszawa 2005. Malcolm Barber,

Templariusze, Warszawa 2000.

Łukasz Burkiewicz, Na styku chrześcijaństwa i islamu. Krucjaty i Cypr w latach 1191—1291, Kraków 2008 Jacques Le Goff, Sakiewka i życie. Gospodarka i religia w średniowieczu,

Gdańsk 1995.

Peter Holt, Bliski Wschód od wypraw krzyżowych do 1517 roku, Warszawa 1993.

Wera i Mirosław Hrochowie, Krzyżowcy w Lewancie. W obronie Grobu Chrystusa,

Warszawa 1992.

Marion Melville, Dzieje templariusz}, Warszawa 1991.

Helen Nicholson, Rycerze templariusze, Warszawa 2005.

David Nicolle, Wojna za wiarę. Chrześcijaństwo i Dżihad 1000—1500, Warszawa 2008.

Regine Pernoud, Templariusze, Gdańsk 1996.

Edward Potkowski, Rycerze w habitach, Warszawa 1974.

Steven Runciman, Dzieje wypraw krzyżowych, Warszawa 1987.

Janine i Dominique Sourdel, Cywilizacja islamu (VII—XIIIw.), Warszawa 1980.

James Wasserman, Templariusze i asasyni: dwa tajemne zakony, Warszawa

2007.

James Waterson, Wojny mameluków. Władcy i rycerze islamu, Warszawa

2008.

Zgodnie z intencją Autorki skorygowaliśmy zestawiony przez nią spis lektur tak, by obejmował pozycje łatwo dostępne w Polsce.

Table of Contents

[u. N](#)